

China Miéville

Kraken

2011

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Kraken

Data wydania:

2010

Wydanie polskie

Data wydania:

2011

Przełożyła:

Krystyna Chodorowska

Wydawca:

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
www.zysk.com.pl

ISBN 978-83-7506-697-5

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

*Markowi Bouldowi –
współtowarzyszowi w mackach*

PODZIĘKOWANIA

Za wszelką pomoc udzieloną mi podczas pracy nad książką chciałbym gorąco podziękować Markowi Bouldowi, Micowi Cheethamowi, Julie Crisp, Melisande Echanique, Penelope Haynes, Chloe Healy, Kaitlin Heller, Deannie Hoak, Simonowi Kavanaghowi, Peterowi Lavery'emu, Jemimie Miéville, Davidowi Moenschowi, Sandy Rankin, Maxowi Schaeferowi, Jesse Soodalter oraz moim wydawcom, Chrisowi Schlupeowi i Jeremy'emu Trevathanowi. Najszersze podziękowania dla wszystkich pracowników Del Rey i Macmillan.

Muzeum Historii Naturalnej i Centrum Darwina oczywiście istnieją naprawdę – a w Centrum znajduje się również prawdziwy *Architeuthis* – ale ich wątpliwej prawdziwości wersje opisane w niniejszej książce stanowią jedynie mój osobisty wymysł. Chciałbym podziękować pracownikom obu tych instytucji za ich niezwykłą gościnność i umożliwienie mi dostępu do miejsc „za kulisami”, a wśród nich szczególnie: Patrickowi Campbellowi, Oliverowi Crimmenowi, Mandy Holloway, Karen James i Johnowi Lambsheadowi.

Autorem wiersza *Przebudzenie krakena* zacytowanego w rozdziale dziewiętnastym jest Hugh Cook i jestem bardzo wdzięczny jego rodzinie za udzielenie mi pozwolenia na wykorzystanie go w niniejszej książce. Spośród niezliczonej liczby pisarzy, muzyków, artystów i naukowców, których dokonania pomogły mi w pracy, chciałbym wyrazić szczególną wdzięczność dla: Hugh Cooka, Burial, Hugh Harmana i Rudy'ego Isinga, Williama Hope'a Hodgsona, zespołu Pop Will Eat Itself, Tsunemiego Kubodery i Kyoichiego Moriego, a także Juliusza Verne'a, H.G. Wellsa i Japetusa Steenstrupa.

*Zielone wody obmywają ciało
Wciąż pnę się w górę, już nadszedł mój czas*

Hugh Cook, *Przebudzenie krakena*

Morze jest pełne świętych. Wiedziałeś o tym? Jasne, że tak – przecież jesteś dużym chłopcem.

Morze jest pełne świętych i było tak już od wieków. Dłużej, niż ktokolwiek pamięta. Święci żyli tam, jeszcze zanim zjawili się bogowie. Czekali na nich i wciąż tam są.

Święci jedzą ryby i ostrygi. Niektórzy chwytają meduzy, a inni zjadają odpadki. Niektórzy pożerają wszystko, co tylko znajdą. Potrafią się schować pod kamieniem, wyrócić się na nice albo powykręcać w spiralę. Potrafią wszystko.

Złóż dłonie w ten sposób. O, właśnie tak. Teraz porusz palcami. No, proszę – zrobiłeś świętego. Zobacz, nadchodzi drugi! A teraz się biją. Twój wygrał.

Dziś nie ma już tych wielkich świętych w kształcie korkociągów, ale wciąż można spotkać innych, w kształcie worków albo zwojów, albo szat z powiewającymi rękawami.

Którego lubisz najbardziej? Powiem ci, którego ja lubię. Ale to za chwilę. Wiesz, czemu uważamy ich za świętych? Są jedną wielką rodziną, wszyscy są spokrewnieni. Ze sobą i... wiesz, z kim jeszcze?

Tak właśnie. Z bogami.

Dobrze. A zatem powiedz, kto cię stworzył. Wiesz, co masz odpowiedzieć.

Kto cię stworzył?

CZEŚĆ PIERWSZA

EKSPONATY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niepozorny demonstrant z plakatem przymocowanym do piersi oddalił się szybkim krokiem od swego terytorium, które okupował przez ostatnich kilka dni – tuż przed wejściem do muzeum. Na kartonie z przodu wypisana była standardowa przepowiednia wieszcząca koniec świata. Plakat kołyszący się na plecach dodawał: „Nic z tych rzeczy”.

W środku pewien mężczyzna przeszedł przez hol, minął podwójne schody i wielki szkielet, a jego kroki dźwięczały głośno na marmurowej posadzce. Zewsząd spoglądały na niego kamienne zwierzęta.

– Dobrze, dobrze – powtarzał pod nosem.

Nazywał się Billy Harrow. Zerknął na wielkie sztuczne kości i skinał głową, jakby na powitanie. Był październikowy poranek – właśnie minęła jedenasta i sala powoli się wypełniała. Przy wejściu czekała na niego grupka ludzi zerkających na siebie z grzeczną nieśmiałością.

Było tam dwóch mężczyzn, na oko dwudziestoparoletnich, z fryzurami „na kujona”. Jakaś para dwudziestolatków przekomarzała się ze sobą, kobieta najwyraźniej przyszła tu na prośbę partnera. Była też dwójka starsuszków i trzydziestoparoletni mężczyzna z małym chłopcem.

– Patrz, synku, to małpa – mówił, wskazując kolejne zwierzęta wyrzeźbione na kolumnach pośród winorośli. – A tam jaszczurka. Widzisz?

Chłopiec zmrużył oczy. Spoglądał na szkielet apatozaura, z którym Billy przywitał się wcześniej. A może na glyptodona stojącego za nim. Każde dziecko miało w holu muzeum swojego ulubionego mieszkańca, a glyptodon, krągły olbrzymi pancernik, był ulubieńcem Billy’ego.

Mężczyzna uśmiechnął się do bileterki i stojącego za nią strażnika.

– Już wszyscy? – spytał. – To co, zaczynamy?

Przetarł okulary, mrugając oczami – jego eks powiedziała mu kiedyś, że wygląda wtedy uroczo. Billy dobiegał już trzydziestki, ale był piegowaty i nie miał dość zarostu, by mówiono

mu „Bill”. Czasem podejrzewał, że zestarzeje się jak DiCaprio – będzie przypominał coraz bardziej pomarszczone dziecko.

Przed wyjściem z domu lekko zmierzwił włosy, by przypominały modne uczesanie, włożył też dość porządną koszulkę i tanie dżinsy. Gdy rozpoczynał pracę w muzeum, wydawało mu się, że wygląda nieprzytomnie wręcz stylowo. Teraz wiedział, że nikogo nie zaskoczył – nikt już nie oczekiwał, że naukowcy będą wyglądać jak żywe stereotypy.

– Zaczynamy wycieczkę po Centrum Darwina – oznajmił. Zachowywał się tak, jakby zwiedzający przyszli tu obejrzeć całą placówkę, zajrzeć do biur i laboratoriów, przejrzeć kartoteki i teczki z dokumentami, zamiast po prostu pogapić się na jedną jedyną rzecz.

– Nazywam się Billy i jestem kustoszem – ciągnął. – To oznacza, że zajmuję się katalogowaniem i konserwacją eksponatów. Pracuję tu już od jakiegoś czasu. Gdy zaczynałem tę pracę, chciałem specjalizować się w mięczakach morskich... Wiesz, co to jest mięczak? – spytał chłopca, który przytaknął i schował się za plecami ojca. – Tak jest, chodzi o ślimaki. – Billy napisał magisterkę z mięczaków. – W porządku – oznajmił, wkładając okulary. – Proszę za mną. Znajdujemy się w miejscu pracy, proszę zatem o zachowanie ciszy. Proszę też niczego nie dotykać. Mamy tu pełno żrących, toksycznych substancji i wszelkiego rodzaju paskudztw.

– A kiedy zobaczymy... – zaczął jeden z mężczyzn.

Billy uciszył go gestem ręki.

– Pozwolicie państwo... – powiedział. – Najpierw wyjaśnię, co będziemy robić w środku. – Z upływem czasu Billy wykształcił w sobie własne bezsensowne idioprzesady. Jeden z nich głosił, że nikt nie powinien wymawiać nazwy eksponatu, który wszyscy przyszli zobaczyć, póki nie znajdą się na miejscu. – Pokażę państwu kilka stanowisk pracy – zakończył niezręcznie. – Na wszelkie pytania odpowiem pod koniec wycieczki – jesteśmy trochę ograniczeni czasowo. Najpierw zrobmy obchód. – Nikt z kustoszy i badaczy nie miał obowiązku oprowadzania wycieczek, ale wielu i tak zgadzało się to robić. Billy już nawet nie narzekał, gdy przychodziła jego kolej. Wyszli do ogrodu, po jednej stronie mijając plac budowy, a po drugiej ceglane ściany Muzeum Historii Naturalnej. – Proszę nie robić zdjęć – przypomniał Billy. Nie obchodziło go, czy zwiedzający posłuchają tego polecenia, miał tylko obowiązek powtarzać formułkę. – Ten budynek otwarto w roku 2002. Jak widać, muzeum wciąż się rozbudowuje. W roku 2008 stanie tutaj jeszcze jeden budynek. W Centrum Darwina mamy aż siedem pięter mokrych preparatów... to znaczy, okazów w formalinie.

Z korytarzy prowadzących do pomieszczeń roboczych unosił się ostry zapach.

– Jezu – mruknął ktoś pod nosem.

– Rzeczywiście – przyznał Billy. – To jest dermestarium. – Przez okna w ścianach widać było stalowe pojemniki przypominające małe trumienki. – Właśnie tutaj oczyszczamy szkielety. Usuwamy z nich cały ten syf. *Dermestes maculatus*.

Na ekranie komputerowym umieszczonym obok pojemników widać było jakieś obrzydliwe morskie ryby pożerane przez rój robactwa.

– Fuuuj – wykrzyknął ktoś.

– W pojemniku znajduje się kamera – wyjaśnił Billy. – Ten owad nazywa się skórnik kolczatek. Objada wszystko do czysta, zostawia tylko kości.

Chłopiec wyszczerzył zęby i pociągnął ojca za rękę. Reszta grupy uśmiechała się z zakłopotaniem. Mięsożerne owady... czasem życie naprawdę przypominało film klasy B.

Wtedy Billy zwrócił uwagę na jednego z mężczyzn. Ubrany był w staromodny garnitur, sprawiający wrażenie taniej elegancji, dziwnie kontrastujący z twarzą kogoś tak młodego. W klapie miał przypinkę w kształcie wieloramiennej gwiazdy, której dwa ramiona zawijały się w spirale. Robił jakieś notatki, szybko przewracając kartki w notesie.

Billy, który był systematykiem zarówno z zawodu, jak i z zamiłowania, uznał kiedyś, że na wycieczki do centrum przychodzi jedynie kilka określonych typów ludzi. Przede wszystkim dzieci, przeważnie młodzi chłopcy, nieśmiali i rozgorączkowani, dysponujący ogromną wiedzą o tym, co przyszedł obejrzeć. Ich opiekunowie. Nieśmiali dwudziestolatkowie, równie podekscytowani jak dzieci. Chłopcy i dziewczęta cierpliwie dotrzymujący im towarzystwa. Czasem jacyś zabłąkani turyści.

I wreszcie – obsesjonaci.

Oni jedni przewyższali swoją wiedzą małe dzieci. Czasem w ogóle się nie odzywali, czasem przerywali Billy'emu głośnymi pytaniami albo z przejęciem poprawiali go w jakichś szczegółach. Zauważył, że w ciągu ostatnich kilku tygodni zjawiało się ich więcej niż zwykle.

– Chyba u schyłku lata wszystkie dziwactwa wyłazą spod ziemi – powiedział kiedyś swojemu koledze, Leonowi, gdy pili razem w pubie nad Tamizą. – Dziś przyszedł do nas gość obwieszony insygniami Gwiazdnej Floty. Niestety, nie na mojej zmianie.

– Ty faszysto – prychnął Leon. – Czemu tak nienawidzisz nerdów?

– Ja? – obruszył się Billy. – To byłby akt autoagresji, nie sądzisz?

– Tak, ale ty umiesz się wtopić w tłum. Jesteś głęboko zakonspirowany. Możesz się wymykać z getta, chować insygnia, a potem przynosić z powrotem żywność, ubrania i wieści z wielkiego świata.

– Mmm, ładne.

– W porządku – oznajmił Billy, gdy mijali go koledzy z pracy. – Cześć, Kath – zwrócił się do pani ichtiolog. – Cześć, Brendan.

– Cześć, Próbowka – zawołał inny kustosz.

– Proszę dalej – odparł spokojnie Billy. – Proszę się nie martwić, zaraz dojdziemy do celu.

„Próbowka?” Billy zobaczył, że kilku zwiedzających spogląda na niego ze zdziwieniem, zastanawiając się, czy dobrze usłyszeli.

Zdobył to przezwisko podczas popijawy w Liverpoolu, w pierwszym roku pracy w muzeum. Pojechał tam z kolegami na konferencję organizowaną przez stowarzyszenie kustoszy. Po całym dniu rozmów na temat metodologii i historycznych metod konserwacji, programów muzealnych i sposobów wystawiania eksponatów, udali się na odprężającego drinka. Zaczęło się od grzecznych pytań typu: „Jak tu trafiłeś?”, potem wszyscy, jeden po drugim, zaczęli opowiadać o swoim dzieciństwie, a to z kolei przerodziło się w seans pijackich opowieści, który ktoś ochrzcił mianem „blefu biograficznego”. Każdy z uczestników musiał opowiedzieć na swój temat jakąś możliwie szokującą anegdotę – że zjadł żywego ślimaka, uprawiał seks we czwórkę albo próbował spalić szkołę – a pozostali, przekrzykując się nawzajem, próbowali ustalić prawdziwość tej opowieści.

Billy z kamienną twarzą oznajmił, że przyszedł na świat w wyniku pierwszego udanego zapłodnienia in vitro, ale wynik eksperymentu nie został opublikowany przez laboratorium z powodu sporów wewnętrznych i kontrowersji związanych z uzyskaniem zgody, dlatego też cały zaszczyt przypadł komuś innemu, urodzonemu kilka miesięcy później. Gdy rozmówcy zaczęli się domagać szczegółów, z pijacką łatwością wymienił nazwiska kilku lekarzy, adres kliniki, a także wspominał o niewielkich komplikacjach podczas zabiegu. Zanim jednak obstawiono zakłady, nim Billy zdążył ujawnić prawdę, rozmowa zboczyła nagle na inne tory i wszyscy zapomnieli o całej sprawie. Dopiero dwa dni później w Londynie jeden z laborantów zapytał go, czy to prawda.

– Oczywiście – odparł Billy śmiertelnie poważnym tonem, który równie dobrze mógł oznaczać „oczywiście” jak i „oczywiście, że nie”. Od tego czasu nie udzielił na to pytanie żadnej innej odpowiedzi. Podejrzewał, że nikt mu nie wierzy, ale i tak przyłgnęło do niego przezwisko „Próbówka” i inne warianty.

Minęli kolejnego strażnika – wysokiego barczystego mężczyznę z ogoloną głową. Z podsłuchanych rozmów Billy wiedział, że strażnik jest od niego o kilka lat starszy i ma na imię Dane, nazwiska nie usłyszał. Jak zawsze skinął głową, próbując spojrzeć mężczyźnie w oczy. Dane Jakiśtam, ku niewspółmiernemu oburzeniu Billy’ego, zignorował to powitanie.

Gdy drzwi już zamykały się za zwiedzającymi, Billy dostrzegł, że strażnik jednak zwrócił na kogoś uwagę: skłonił się leciutko młodemu obsesjonatowi z przypinką w klapie. Mężczyzna zerknął na niego przelotnie. Billy drgnął zaskoczony i, jeszcze nim drzwi całkiem się zamknęły, poczuł na sobie spojrzenie Dane’a.

Znajomy Dane’a unikał wzroku Billy’ego.

– Czujecie, że zrobiło się chłodniej? – Kustosz potrząsnął głową. Pospiesznie przeprowadził grupę poprzez automatycznie otwierane drzwi. – Ma to zapobiegać parowaniu. Trzeba uważać z ogniem. Mamy tu sporo alkoholu i w każdej chwili... – Wykonał szybki gest, naśladujący lekki wybuch.

Zwiedzający zatrzymali się oszołomieni – znajdowali się w labiryncie eksponatów. Posegregowane ciekawostki. Całe kilometry półek i szkiełek. W każdym z nich tkwiło jakieś nieruchome zwierzę. Nawet dźwięk miał głuchy pogłos, jakby ktoś zakręcił nad wszystkim wieczko.

Eksponaty były bezmyślnie stłoczone, niektóre eksponowały własne bezbarwne wnętrza. Flądrzaki w brązowionych pojemnikach. Słoje pełne myszy koloru sepii, groteskowo ściśnięte niczym marynowane cebulki. Były tam okazy z dodatkowymi kończynami, zakonserwowane płody o najdziwniejszych kształtach. Wszystkie posegregowane i poustawiane równiutko jak książki.

– Widzicie państwo? – spytał Billy.

W następnej sali znajdowało się to, co wszyscy przyszli tu zobaczyć. Kustosze już wiedzieli z doświadczenia, jak będzie przebiegać zwiedzanie. Gdy wejdą do sali ze zbiornikiem, znajdującej się w samym sercu Centrum Darwina, zamierzał zamilknąć dla większego efektu.

Ściany pomieszczenia były wypełnione półkami. Stały na nich setki butelek, największe sięgały człowiekowi do klatki piersiowej, najmniejsze miały pojemność szklanki wody. Wszystkie zawierały ponure zwierzęce główki. Sala była urządzona w stylu późnego Linneusza, spokrewnione gatunki umieszczone obok siebie. Gdzieś stały stalowe kubły, a liny zwisały się z bloczków niczym pnącza. Billy był pewien, że nikt nie zwróci na nie uwagi. Wszyscy będą się gapić na wielki zbiornik pośrodku sali.

Właśnie po to tu przyszli – zobaczyć tę wielką różową istotę. Nie przeszkadzało im, że była kompletnie nieruchoma, pokryta śladami powolnego rozkładu. Pomimo strzępów tkanki pływających w mętnym roztworze, mimo braku oczu, mimo bladej, chorobliwej barwy, mimo wątłych, splątanych kończyn, zwisających jak wykręcone pranie, to właśnie ona była celem ich wizyty.

Stwór będzie się tak unosił, zawieszony w ogromnym zbiorniku. Absurdalnie masywna atrakcja w kolorze sepii. *Architeuthis dux*. Kałamarnica olbrzymia.

– Mierzy osiem metrów i sześćdziesiąt dwa centymetry – powie w końcu Billy. – Nie jest to największy okaz, jaki zaobserwowano, ale nie jest też mikrusem. – Zwiedzający zaczęli obchodzić zbiornik wokół. – Znalaziono go w roku 2004, nieopodal Wysp Falklandzkich.

– Jest zakonserwowana w roztworze solanki i formaliny. Zbiornik został wykonany przez ten sam zespół, który zrobił akwarium dla Damiana Hirsta. Wiecie... to, w którym umieścił rekina?

Dzieci pochylą się gorączkowo, by znaleźć się jak najbliżej wielkiego stwora.

– Jej oczy miały jakieś dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery centymetry średnicy – ciągnął Billy. Słuchacze będą odmierzać ten odcinek palcami, a dzieci wytrzeszczą oczy jak najszerzej. – Uhm. Wielkości talerzy obiadowych. – Za każdym razem, gdy to mówił,

przychodził mu na myśl pies z baśni Andersena. – Ale oczy bardzo trudno jest zakonserwować, zostały więc usunięte. Nastrzyknęliśmy ją tym samym roztworem, który wypełnia zbiornik, by niegniła od środka. Gdy ją złapano, była jeszcze żywa.

Zwiedzający aż westchną oniemiałi. Wizje splątanych macek, dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi, rozpaczliwa walka z bluźnierczym potworem z głębin. Drapieżny worek mięśni, długie wijące się kończyny oplatające reling statku z morderczą złością.

W rzeczywistości wyglądało to zupełnie inaczej. Po wynurzeniu na powierzchnię wielka kałamarnica była słaba, dezorientowana i umierająca. Sparaliżowana, przerażona własnym narastającym ciężarem, prawdopodobnie z trudem chwytała oddech – konająca galaretowata masa. Ale to już było bez znaczenia. Schwywania tego stwora nie dawało się sprowadzić do samych tylko suchych faktów.

Kałamarnica będzie spoglądać na widzów pustymi oczodołami, a Billy poda odpowiedzi na znajome pytania: „Nazwaliśmy ją Archie”, „Bo po łacinie nazywa się *Architeuthis*”, „Tak, chociaż podejrzewamy, że to samica”.

Gdy kałamarnica przybyła, obłożona lodem i owinięta tkaniną nasączoną konserwantem, Billy pomagał ją rozwijać. To on masował jej martwe cielsko, ugniatając tkankę, by sprawdzić, gdzie dotarły konserwanty. Był tak zajęty pracą, że w pewnym sensie niemal jej nie zauważył. Dopiero kiedy skończyli, a zwierzę wylądowało w zbiorniku, w pełni dotarło do niego, na co spogląda. Patrzył, jak załamanie światła w szkle sprawia, że kałamarnica zdaje się poruszać, w miarę jak zbliżał się do niej i odsuwał, magiczny zastygły ruch.

Nie był to okaz typowy, jeden z tych platońskich okazów, które mają na zawsze zdefiniować i określić wszystko, co do nich podobne. Za to kałamarnica była piękna, cała i nikt nie zamierzał jej pokroić.

Po jakimś czasie zwiedzający zaczęli się interesować innymi okazami w sali. Wstęgor zwinięty jak tasiemka. Echidna. Butla pełna małpek. W samym końcu sali znajdował się regał, na którym ustawiono trzynaście małych słoiczeków.

– Czy ktoś wie, co to takiego? – spyta Billy. – Proszę podejść bliżej.

Te eksponaty odróżniały się od innych kilkoma szczegółami, w tym brązowiejącą barwą atramentu i zamaszystym, ozdobnym charakterem pisma, którym wypisano etykiety.

– Zostały zebrane przez kogoś wyjątkowego – doda Billy, zwracając się do dzieci. – Potraficie przeczytać to słowo? Wiecie, co oznacza „Beagle”?

Niektórzy wiedzieli i nagle zaczęli z niedowierzaniem spoglądać na kolekcję słoików najzwyczajniej w świecie stojących na półce. Małe zwierzęta zebrane, uśmiercone, zakonserwowane i opisane podczas podróży do Ameryki Południowej dwa wieki temu przez młodego naturalistę Karola Darwina.

– To jego pismo – potwierdzi Billy. – Był wtedy młody i jeszcze nie zdążył sformułować swojej teorii. To one podsunęły mu ten pomysł. Nie ma tu co prawda słynnych zęb, ale to od nich się wszystko zaczęło. Niedługo przypada rocznica jego wyprawy.

Od czasu do czasu ktoś próbował podważać teorię Darwina. Billy nigdy na to nie pozwalał.

Nawet trzynaście słoiczków teorii ewolucji i wielowiekowe kolekcje zbrązowiałych krokodyli i ciekawostek z głębi mórz nie potrafiły przyćmić wielkiego głowonoga. Billy wiedział, jak wielką rolę odegrały zbiory Darwina, nawet jeśli zwiedzający nie zdawali sobie z tego sprawy. Nieważne. Po wejściu do tej sali człowiek przekraczał horyzont niesamowitości, a wielka kałamarnica stanowiła osobliwość.

Billy wiedział zatem dokładnie, jak będzie przebiegać wycieczka. Jednak gdy otworzył drzwi, zatrzymał się gwałtownie i przez kilka sekund gapił się w oszołomieniu. Zwiedzający minęli go, po czym zatrzymali się zakłopotani, niepewni, co będą oglądać.

Pośrodku sali widać było pustkę. Wszystkie słoiki na półkach spoglądały na miejsce zbrodni. Dziewięciometrowy zbiornik, wypełniony tysiącami litrów solanko-formaliny z olbrzymią kałamarnicą w środku, zniknął.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy tylko Billy zaczął wrzeszczeć, zlecieli się jego koledzy, tocząc wokół zdeorientowanym wzrokiem i dopytując się, co jest grane i gdzie, do cholery, podziała się kałamarnica.

Pospiesznie wyprowadzili zwiedzających z budynku. Billy zapamiętał z tego tylko tyle, że chłopiec płakał rozpaczliwie, zawiedziony, że nie zobaczył tego, po co przyszedł. Zewsząd zbiegli się biolodzy, strażnicy, kustosze i z osłupiałymi minami wpatrywali się w puste miejsce w pozbawionej zbiornika sali.

– Co...? – powtarzali, identycznie jak przedtem Billy. – Gdzie ona...?

Wieści rozeszły się błyskawicznie. Ludzie biegali z miejsca na miejsca, jakby czegoś szukali. Jakby zgubili coś małego, co mogło się wtoczyć pod szafę.

– To niemożliwe, to niemożliwe – powtarzała Josie, biofizyczka, i tak, miała rację, nie było możliwe, by kałamarnica zniknęła. Taka góra mięsa nie mogła po prostu rozpuścić się w powietrzu. Nigdzie w pobliżu nie było żadnych podejrzanych dźwigów ani kreskówkowych przebieć ścian w kształcie zbiornika lub głowonoga. Zniknięcie kałamarnicy było niemożliwe, a jednak było faktem.

Nie znali żadnego scenariusza na taką okoliczność. Wszyscy wiedzieli, co mają robić w przypadku rozlania chemikaliów. Jeśli gdzieś stłukł się słoik z eksponatem, jeśli rezultaty badań się nie zgadzały, jeśli jakiś zwiedzający zaczął się zachowywać agresywnie, pracownicy muzeum uruchamiali przewidziany algorytm. „Ale to?”, pomyślał Billy. „Co jest, kurwa, grane?”

W końcu nadjechała policja. Pracownicy muzeum stali zbici w ciasną grupkę i wyglądali, jakby marzli, oblani wodą głębinową. Funkcjonariusze próbowali spisywać zeznania.

– Obawiam się, że nie rozumiem... – mówił ktoś.

– Nie ma jej.

Policja zakazała wstępu na miejsce zbrodni, ale ponieważ Billy znalazł się tam jako pierwszy, pozwolono mu zostać. Złożył zeznania, stojąc tuż obok miejsca zięjącego pustką. Gdy już skończył, a przepytujący go policjant zajął się czymś innym, usunął się w kąt i obserwował jego kolegów przy pracy. Funkcjonariusze spoglądali na nieżywe zwierzęta,

które odwzajemniały się tym samym, na pustkę po gigantycznym zbiorniku i na wszystko wokół, choć żadna z tych rzeczy nie była tak wielka i nieobecna jak *Architeuthis dux*.

Zmierzyli salę, tak jakby uważali, że w wymiarach tkwi klucz do zagadki. Billy sam nie wiedział, co o tym myśleć. Sala zdawała się naprawdę ogromna. Wszystkie inne zbiorniki wyglądały na porzucone i samotne, eksponaty spoglądały z nich przepraszająco.

Billy spojrział na podwyższenie, gdzie powinien znajdować się zbiornik z kałamarnicą.

Wciąż był nabuzowany adrenaliną. Zaczął przysłuchiwać się rozmowom policjantów.

– Nie mam, kurwa, bladego pojęcia...

– Wiesz, co to oznacza, nie?

– Nawet mi nie przypominaj. Podaj tę miarkę.

– Serio, mówię ci, to czysta paserka, nie ma o czym gadać...

– Na co pan czeka, kolego? Kolego? – Ostatnie zdanie skierowane było do Billy'ego.

Innymi słowy, funkcjonariusz grzecznie kazał mu spieprzać. Billy dołączył do reszty pracowników na zewnątrz. Przechadzali się nerwowo i mruzczyli pod nosem, zbici w grupki według stanowisk pracy. Zobaczył, że wśród dyrektorów panuje gorączkowe poruszenie.

– Co tam się dzieje?

– Zastanawiają się, czy nie zamknąć muzeum – odparła Josie, przygryzając paznokieć.

– Co? – Billy zdjął okulary i zamrugał buntowniczo. – Co to w ogóle za dyskusja? Co większego mogą nam jeszcze ukraść?

– Proszę państwa! – Starszy rangą policjant klasnął, by zwrócić na siebie ich uwagę. Z obu stron otaczali go podkomendni, pomrukując cicho do swych ramion i nasłuchując odpowiedzi. – Jestem nadkomisarz Mulholland. Dziękuję państwu za wyrozumiałość. Przepraszam, że kazaliśmy wam tak długo czekać. – Pracownicy muzeum prychnęli, przestępowali z nogi na nogę i gryzli paznokcie. – Mam do was prośbę, żebyście nikomu o tym nie mówili – dodał Mulholland. Do sali wślizgnęła się jakaś młoda policjantka w niechlujnie założonym mundurze. Rozmawiała przez telefon bezprzewodowy, wyglądała, jakby mruzczała do siebie. Billy nie spuszczał z niej wzroku. – Proszę was, zachowajcie to w tajemnicy – dodał nadkomisarz. Szepty w sali prawie całkowicie umilkły. – Dobrze – oznajmił Mulholland po chwili przerwy. – Kto pierwszy zauważył kradzież? – Billy podniósł rękę. – Ach, to pan, panie Harrow. Chciałbym z panem chwilę porozmawiać. Czy mogę prosić pozostałych z państwa o poczekanie na zewnątrz? Moi funkcjonariusze porozmawiają z wami wszystkimi.

– Panie Harrow. – Mulholland zbliżył się do niego, podczas gdy reszta pracowników wychodziła z sali. – Czytałem pana zeznania i byłbym wdzięczny, gdyby oprowadził nas pan po budynku. Czy mógłby mi pan pokazać dokładną trasę wycieczki?

Billy zauważył, że młoda policjantka zniknęła.

– Czego dokładnie pan szuka? – spytał.

Mulholland popatrzył na niego pobłażliwie, jakby rozmawiał z upośledzonym umysłowo.

– Dowodów.

Dowodów. Billy przeczesał włosy palcami. Wyobraził sobie zadrapania na posadzce, gdzie zamontowano jakiś perfidny system bloczków. Schnące kałuże konserwantu, ślad równie wyraźny jak szlak z okruszków. Jasne.

Mulholland zawołał swoich kolegów i kazał Billy’emu oprowadzić się po centrum. Kustosz wskazywał kolejne obiekty, odgrywając parodię swej codziennej pracy. Policjanci dotykali różnych rzeczy, pytając, do czego służą.

– To roztwór enzymów – mówił wtedy Billy, albo: – To harmonogram prac.

– Dobrze się pan czuje, panie Harrow? – spytał Mulholland.

– To dość poważna sprawa, wie pan?

Ale nie dlatego co chwila oglądał się za siebie. Wydawało mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Leciutki brzęk, jakby ktoś upuścił zlewkę. Nie po raz pierwszy zdawało mu się, że słyszy coś podobnego. Od jakiegoś czasu – jakiś rok po przyjeździe do centrum – zaczęły go dolatywać strzępy dziwnych, niepasujących do niczego odgłosów. Wielokrotnie próbował ustalić ich źródło – otwierał drzwi prowadzące do pustej sali albo słyszał lekki zgrzyt szkła w korytarzu, do którego nikt nie mógł się dostać.

Już dawno temu uznał, że to tylko omamy słuchowe, bo zawsze zbiegały się w czasie ze wzmożonym uczuciem lęku. Kilka razy wspomniiał o tym kolegom. Niektórzy byli wyraźnie zaniepokojeni, ale inni wyznali, że w stresujących momentach sami miewają dreszcze albo tiki nerwowe. Billy postanowił się nie przejmować.

W sali bez zbiornika ekipa śledcza wciąż sypała talk, robiła zdjęcia i mierzyła stoły. Billy założył ręce na piersi i potrząsnął głową.

– To pewnie sprawka tych gnojków z Kalifornii – zażartował po wyjściu z sali, sugerując, że spór z konkurencyjnymi instytucjami dotyczący metodologii prac konserwacyjnych właśnie przybrał poważniejszy wymiar. – A może to Maorysi – dodał. – O’Shea jednak nie oparł się pokusie.

Nie wrócił do mieszkania prosto z pracy. Już od dawna był umówiony na spotkanie.

Billy znał Leona od czasów, gdy studiowali w tym samym instytucie, ale na różnych wydziałach. Potem Leon zaczął robić doktorat z literatury w Londynie, ale nigdy nie chciał o tym rozmawiać. Od dawna pracował nad swoją książką pod tytułem *Osobliwy rozkwit*.

– Nie sądziłem, że startujesz w konkursie na najgorszy tytuł – stwierdził Billy, gdy się o tym dowiedział.

– Gdybyś przestał na chwilę pławić się w ścieku swojej ignorancji, to wiedziałbyś, że ten tytuł ma na celu udupić Francuzów. Żadne z tych słów nie jest przetłumaczalne na ich idiotyczny język.

Mieszkanie Leona znajdowało się w miejscu, które przy odrobinie dobrej woli można było uznać za część dzielnicy Hoxton. Jakiś czas temu obsadził Billy’ego w roli Dantego, a

sam został jego Wergiliuszem i oprowadzał go po artystycznych happeningach albo opowiadał mu o tych, na których nie mógł być, kłamiąc i ubarwiając ile wlezie. Na skutek tego Billy cierpiał na wieczny niedobór anegdot i zawsze był winien przyjacielowi jakąś historię. Leon, chudy, z ogoloną głową, ubrany w obciachową kurtkę, rozsiadł się przy stoliku w ogródku pizzerii, wyciągając przed siebie długie nogi.

– Gdzie byłeś przez całe moje życie, Richmal? – zawołał. Już dawno temu doszedł do wniosku, że niebieskooki Billy został nazwany na cześć innego niegrzecznego chłopca, bohatera cyklu *Po prostu William*, i, kierując się zupełnie niezrozumiałą logiką, zaczął się do niego zwracać imieniem autora powieści.

– W Chipping Norton – Billy poklepał przyjaciela po głowie – oraz w Theydon Bois. Jak tam życie umysłu?

Marge, partnerka Leona, odwróciła się, nadstawiając twarz do pocałunku. Na jej piersi załśnił krzyżyk, którego nigdy nie zdejmowała.

Billy widział ją zaledwie kilka razy w życiu.

– To jakaś fanka pana Boga? – spytał Leona po pierwszym spotkaniu.

– Nic z tych rzeczy. Dziewczynka z katolickiej szkoły, stąd ten wyrzut sumienia w kształcie Jezusa między cyckami. – Podobnie jak większość dziewczyn Leona, Marge była atrakcyjna i trochę krępa, parę lat od niego starsza i stanowczo za stara na swój emogotycki wizerunek. – Aha, jeśli zamierzasz użyć określeń „rubensowska” albo „bujne kształty”, robisz to na własną odpowiedzialność.

– Co to są „bujne kształty”? – spytał Billy.

– I sam jesteś, kurwa, „za stary”. Pauley Perette jest znacznie starsza.

Marge pracowała na pół etatu w Departamencie Mieszkalnictwa rady dzielnicy Southwark i zajmowała się sztuką wideo. Poznali się z Leonem na koncercie muzyki drone w jakiejś galerii. Billy pozwolił sobie na jakiś żarcik o Simpsonach, ale Leon zignorował go i wyjaśnił mu, że dziewczyna zmieniła imię. Marge stanowiło skrót od „Marginalia”.

– Ach, tak? A jak się naprawdę nazywa?

– Billy – westchnął przyjaciel. – Nie bądź takim skwaszeńcem. Obserwowaliśmy właśnie to dziwne stado gołębi przy brzegu – oznajmił Leon, gdy ten już się przysiadł.

– I dyskutowaliśmy o książkach – dodała Marge.

– Takie dyskusje są najlepsze – stwierdził Billy. – Jaki temat?

– Nie rozpraszaaj go! – ostrzegł Leon, ale Marge już odpowiedziała:

– Virginia Woolf kontra Edward Lear.

– Chryste Panie – westchnął Billy. – Tylko to mam do wyboru?

– Ja wybrałem Leara – odparł Leon. – Po części ze względu na wierność literze L. A częściowo dlatego, że mając do wyboru nonsens albo snobistyczny bełkot, zawsze wybiorę nonsens.

– Widać, że nie czytałeś słowniczka do *Trzech gwinei* – stwierdziła Marge. – Chcesz nonsensu? Proszę bardzo. Żołnierze to u niej „flakożercy”, heroizm to „botulizm”, a bohater to „butelka”.

– Lear? – spytał Billy. – Naprawdę? *W krainie Figo-Fago grasuje Bratek-Wariatek?* – Zdjął okulary i ścisnął palcami grzbiet nosa. – Dobra, coś wam powiem. Jest tak... – oznajmił, po czym nagle odkrył, że nie może wydobyć głosu. Leon i Marge gapili się na niego zdziwieni. – Znów spróbował to powiedzieć. Potrząsnął głową. Odkasznął, jakby coś stanęło mu w gardle. Miał wrażenie, że słowa grzęzną mu w ustach. – Jeden z naszych... Nasza kałamarnica zniknęła. – Czuł się, jakby przebijał językiem wieczko pudełka.

– Co takiego? – spytał Leon.

– Nie rozumiem, jak... – zaczęła Marge.

– Nie, ja też tego nie rozumiem – ciągnął Billy, po czym opowiedział im całą historię, z każdym słowem przełamując dziwny opór.

– Zniknęła? Co to znaczy „zniknęła”? Dlaczego nic o tym nie słyszałem? – spytał w końcu Leon.

– Nie wiem, sądziłem, że do tej pory... To znaczy, policja prosiła, żebyśmy nic o tym nie wspominali. Ups, chyba ich nie posłuchałem, ale nie sądziłem, że to rzeczywiście coś da. Myślałem, że do tej pory przynajmniej „Standard” o tym napisze.

– Może dostali, jak to się nazywa... zakaz publikacji?

Billy wzruszył ramionami.

– I co z tego? Podejrzewam, że połowa zwiedzających wrzuciła to już na blogi.

– Ktoś pewnie zarejestrował domenę niemakalamarnicy.com – dodała Marge.

Billy powtórzył gest.

– Może. Wiesz, kiedy tu szedłem, myślałem sobie, że może nie powinienem... mało brakowało, a sam bym nic nie powiedział. Chyba trochę mną wstrząsnęło. Ale, wiecie, najbardziej dziwi mnie co innego: nie to, że zabronili nam mówić, tylko to całkowite, totalne nieprawdopodobieństwo.

Kiedy wracał do domu, rozpętała się burza, wypełniając powietrze ładunkami elektrycznymi. Zasnute chmurami niebo stało się ciemnobrązowe. Z dachów woda lała się niczym z pisuarów.

Gdy tylko wszedł do swojego mieszkania w Haringay, dokładnie w momencie gdy przekroczył próg, zadzwonił telefon. Billy spojrzał przez okno na mokre drzewa i dachy. Po drugiej stronie ulicy podmuch wiatru ochlapywał wodą jakąś przemoczoną wiewiórkę siedzącą na dachu. Zwierzątko potrząsnęło głową, wpatrując się w człowieka.

– Halo? – odebrał. – Tak, mówi Billy Harrow.

– ...cośtamcośtam, kurwa, już najwyższy czas, żebyś się pojawił. Będziesz jutro, tak? – wykrzyczał do słuchawki kobiecy głos.

– Zaraz... Słucham? – Wiewiórka wciąż gapiała się na niego. „Spieprzaj” powiedział jej bezgłośnie Billy i pokazał środkowy palec. – Przepraszam, kto mówi?

– Nic do ciebie nie dociera? Lepiej nadajesz, niż słuchasz, co? Policja, kolego. Jutro. Jasne?

– Policja? – powtórzył. – Mam wrócić do muzeum? Chce pani, żebym...

– Nie. Na komisariat. Umyj uszy, do kurwy nędzy. – Cisza. – Jesteś tam?

– Proszę posłuchać: nie podoba mi się, że zwraca się pani do mnie w ten...

– Jasne, a mnie się nie podoba, że chlapiesz jęzorem, chociaż dobrze wiesz, że nie wolno.

– Podała mu adres. Marszcząc brwi, zapisał go na ulotce jakiejś knajpy z dostawą do domu.

– Gdzie? To w Cricklewood. Strasznie daleko od muzeum. Co takiego? Dlaczego wysyłają kogoś do muzeum taki kawał drogi...?

– Skończyliśmy, kolego. Po prostu przyjedź tam. Jutro. – Kobieta przerwała połączenie. Billy z osłupieniem wpatrywał się w słuchawkę, stojąc w wychłodzonym pokoju. Okna dźwięczały na wietrze jak skrzypce. Billy wciąż patrzył na telefon i był zły, bo nagle poczuł się w obowiązku wykonać to ostatnie polecenie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Billy miał złe sny. Wprawdzie nie on jeden – ale nie mógł wiedzieć, że tej nocy koszmary objęły we władanie całe miasto. Setki ludzi, którzy w ogóle się nie znali i nie mieli okazji porównać swoich dolegliwości, spały niespokojnie. I nie była to wina pogody.

Miał przed sobą długą drogę. Miejsce spotkania, na które musiał się stawić – przez chwilę udawał, że wciąż się nad tym zastanawia – znajdowało się dość daleko. Potem rozważył, a raczej znów udawał, że rozważa, czy nie zadzwonić do ojca. Oczywiście tego nie zrobił. Zaczął wybierać numer Leona, ale przerwał w połowie. Nie miał w zasadzie nic do dodania. Chciał komuś opowiedzieć o tej dziwnej kradzieży. W myślach rozmawiał z odbiorcami tych dwóch niewybranych połączeń, ale energia potrzebna do tego, by rzeczywiście zadzwonić, uciekała z niego jak powietrze z dziurawego naczynia.

Wiewiórka nadal siedziała na dachu. Billy był pewien, że to samo zwierzę śledziło go z rynsztoka, przyczajone jak żołnierz w okopach. Nie poszedł tego dnia do pracy, nie wiedział nawet, czy ktoś tam jest, i nie zadzwonił, by to sprawdzić. Nie zadzwonił do nikogo.

W końcu wreszcie, gdy niebo stało się szare i matowe, znacznie później niż zażądała jego niegrzeczna rozmówczyni, opuścił dom sąsiadujący z terenem przemysłowym przy Manor House i udał się na przystanek autobusu linii 253. Mijał porzucone papierki po jedzeniu, stare gazety i ulotki nawołujące do pokuty, które wiatr porywał z porzuconej sterty, jedna po drugiej. Usiadł w autobusie, spoglądając na niskie, płaskie dachy przystanków – piedestały dla liści.

W Camden przesiadł się na metro, po czym wyszedł schodami na kolejny przystanek. Co chwila wyciągał telefon, ale dostał tylko wiadomość od Leona: „Ukradli wam coś jeszcze?”. Na ostatniej prostej znalazł się w dzielnicy, której wcześniej nie widział, ale mimo wszystko wydała mu się dziwnie znajoma. Drobne przedsiębiorstwa, tanie knajpki i latarnie, z których nieoświetlone świąteczne dekoracje – zawieszane zbyt wcześnie albo niesprzątnięte po zeszłym roku – zwieszały się smętnie niczym pranie. Billy założył słuchawki, w których rywalizowały ze sobą głosy MIA i młodego obiecującego rapera. Zastanawiał się, dlaczego nie przyszło mu do głowy, by po prostu poprosić policję o podwiezienie, skoro upierali się ciągać go po jakichś posterunkach na zadupiu.

Nawet ze słuchawkami na uszach Billy wyraźnie słyszał obce dźwięki. Teraz, po raz pierwszy poza Centrum Darwina, zdawało mu się, że znów doleciał go ów tajemniczy brzęk szkła. Nawet światło tego wieczora było dziwne. „Wszystko to popieprzone”, pomyślał. Tak jakby masywne cielsko kałamarnicy stanowiło wrzeczono utrzymujące w miejscu coś ważnego. Billy czuł się jak niezabezpieczone wieko jakiegoś pojemnika, które trzaska na wietrze.

Komisariat policji znajdował się nieopodal głównej ulicy i okazał się znacznie większy, niż Billy przypuszczał. Był to jeden z tych obskurnych ceglanych budynków koloru musztardy – w odróżnieniu od swych czerwonych wiktoriańskich przodków, one nie nabierały majestatu z wiekiem, po prostu stawały się coraz brudniejsze.

Przez dłuższy czas siedział w poczekalni. Dwa razy wstał i poprosił o spotkanie z nadkomisarzem Mulhollandem.

– Zaraz się panem zajmimy – powiedział pierwszy policjant.

– A kto to, kurwa, jest? – zapytał drugi.

Billy, coraz bardziej poirytowany, przerzucał strony starych magazynów.

– Pan Harrow? Billy Harrow? – Człowiek, który zwrócił się do niego po imieniu, w niczym nie przypominał Mulhollanda. Był mężczyzną około pięćdziesiątki, ubranym w cywilny strój – staromodny brązowy garnitur. Ręce splótł za plecami. Czekaając na odpowiedź Billy’ego, pochylił się i zakołysał na palcach, w tę i z powrotem, jakby tańczył nerwowy taniec. – Pan Harrow? – spytał znów, głosem równie ciekim jak jego wąsik. Uścisnął dłoń kustosa. – Jestem nadkomisarz Baron. Rozumiem, że poznał pan moją koleżkę, nadkomisarza Mulhollanda?

– Tak. Gdzie on jest?

– No tak, nie ma go tutaj. Przejmuję śledztwo, panie Harrow. Chyba można tak powiedzieć. – Mężczyzna przekrzywił głowę. – Przepraszam, że musiał pan czekać, i dziękuję za przybycie.

– Co to znaczy „przejmuje pan śledztwo”? – zdziwił się Billy. – Osoba, która zadzwoniła do mnie wczoraj, nic nie... Szczerze mówiąc, była cholernie niegrzeczna.

– Z drugiej strony, zajęliśmy wam laboratoria, więc gdzie miałby pan iść, prawda? – ciągnął Baron. – Obawiam się, że póki nie skończymy, nie będzie mógł pan nic zapakować. Niech pan potraktuje to jako urlop.

– Proszę powiedzieć poważnie, o co chodzi? – spytał Billy, gdy Baron poprowadził go przez korytarze pełne świetlówek. W białym świetle widać było wyraźnie, jakie ma brudne okulary. – Czemu przejęliście śledztwo? Jesteście tak daleko... to znaczy... bez urazy...

– No dobrze – stwierdził Baron. – Obiecuję, że nie będziemy pana przetrzymywać dłużej niż to konieczne.

– Nie jestem pewien, co jeszcze mogę zrobić – odparł Billy. – Naprawdę powiedziałem wam już wszystko, co wiem. To znaczy, Mulhollandowi. Czy on coś spaprał? Pan ma po nim posprzątać?

Baron zatrzymał się i spojrzał Billy'emu w oczy.

– Jak na filmach, prawda? – stwierdził i uśmiechnął się. – Pan mówi: „Ależ panie władzo, przecież powiedziałem już wszystko pana kolegom”, a ja odpowiadam: „A teraz niech pan opowie to mnie”, a pan mi nie ufa i przez chwilę tak tańczymy ze sobą, a w końcu patrzy pan na mnie z przerażeniem i mówi: „Chyba nie sądzi pan, że miałem z tym coś wspólnego?” I tak sobie chodzimy w kółko. – Billy nie mógł wydobyć głosu. Baron wciąż się uśmiechał. – Proszę się nie obawiać, panie Harrow. Nie o to nam chodzi. Słowo honoru. – dodał i uniósł rękę jak skaut.

– Nie sądziłem, że... – wykrztusił Billy.

– A skoro mamy to już za sobą – ciągnął nadkomisarz – to może darujemy sobie resztę scenariusza i zgodzi się pan pomóc nam już teraz? Tak? To ekstra, panie Harrow. – Jego głos unosił się i opadał gwałtownie. – To fantastycznie. A teraz bierzmy się do roboty.

Billy jeszcze nigdy przedtem nie był w pokoju przesłuchań. Wyglądał zupełnie jak w telewizji – małe, beżowe pomieszczenie pozbawione okien. Po przeciwnej stronie stołu siedziało dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Mężczyzna, na oko czterdziestoparoletni, był wysoki i budził respekt. Miał rzednące, krótko przycięte włosy, ubrany był w zwykły ciemny garnitur. Splótł na stole swoje wielkie dłonie i mierzył Billy'ego spokojnym wzrokiem.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę w przypadku kobiety, był jej młody wiek. Nie była już nastolatką, ale naprawdę niewiele starsza. Billy zdał sobie sprawę, że to ta sama policjantka, która mignęła mu w przelocie poprzedniego dnia w muzeum. Miała na sobie niebieski mundur stołecznej policji, ale kustosz odniósł wrażenie, że nosiła go bardziej niedbale, niż było to dozwolone. Bluzę miała niezapiętą, jakby włożyła ją w pośpiechu. Strój był wprawdzie czysty, ale także pognieciony, podkasany, przekrzywiony i sponiewierany. Nałożyła też znacznie mocniejszy makijaż niż należało, a jasne włosy ufryzowała w artystyczny nieład. Wyglądała jak uczennica przestrzegająca litery regulaminu, ale opierająca się jego idei. Gdy wszedł, nawet na niego nie spojrzała, nie dostrzegł więc wyraźnie jej twarzy.

– W porządku – oznajmił Baron. Mężczyzna za stołem skinął głową. Młoda policjantka oparła się o ścianę i zaczęła bawić się telefonem. – Herbaty? – spytał Baron, wskazując Billy'emu krzesło. – Kawy? Absyntu? Żartuję, oczywiście. Powiedziałbym też „Papierosa?”, ale w tych czasach, sam pan wie...

– Nie, w porządku – przerwał Billy. – Chciałbym tylko...

– Jasne, jasne – odparł Baron. Wyciągnął z kieszeni jakieś papiery i przejrzał je szybko. Jego roztargnienie nie wyglądało przekonująco. – Proszę powiedzieć mi coś o sobie, panie Harrow. Jest pan kustoszem, tak?

– Tak.

– Co to oznacza?

– Konserwacja, katalogowanie, takie rzeczy – Billy przez chwilę bawił się okularami, żeby nie musieć patrzeć nikomu w oczy. Próbował ustalić, na co spogląda kobieta. – Konsultacje dotyczące wystaw, dbanie o eksponaty.

– Zawsze się pan tym zajmował?

– Mniej więcej.

– A poza tym... – Baron zmrużył oczy, by odczytać notatkę. – To pan spreparował kałamarnicę.

– Nie, nie. My wszyscy. Ja tylko... to była praca zespołowa. – Wysoki mężczyzna siedział w milczeniu, wpatrując się w swoje dłonie. Młoda kobieta westchnęła i nacisnęła guzik w telefonie. Billy mógłby przysiąc, że grała w jakąś grę. Cmoknęła językiem.

– Była pani wczoraj w muzeum, prawda? – spytał Billy. Kobieta po raz pierwszy na niego spojrzała. – Czy to pani do mnie dzwoniła? Wczoraj wieczorem?

Policjantka uczesana na Amy Winehouse wciąż milczała.

– Pan – Baron wskazał na Billy’ego długopisem, wciąż grzebiąc w papierach – jest stanowczo zbyt skromny. To pan jest specem od kałamarnicy.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Billy poruszył się niespokojnie. – Coś takiego zdarza się raz na... wie pan. Wszystkie ręce na pokład. To znaczy... – Rozłożył dłonie, jakby chciał pokazać coś wielkiego.

– No, no. Ma pan do tego rękę. – Baron spojrzał mu w oczy. – Wszyscy tak mówią.

– Nie wiem – Billy wzruszył ramionami. – Lubię mięczaki.

– Młody człowieku, jest pan wzruszająco skromny – stwierdził Baron. – Ale nikogo pan nie oszuka.

Każdy z kustoszy zajmował się różnymi gatunkami, ale wszyscy w centrum zgadzali się, że mięczaki Billy’ego były zupełnie wyjątkowe. Zależnie od kontekstu, kładli nacisk na jedno lub drugie słowo. Mięczaki *Billy’ego* i *mięczaki* Billy’ego trwały w swych roztworach przez całą wieczność, przybierały szczególnie dramatyczne pozy i utrzymywały je przez długi czas. Nie miało to żadnego sensu – niemożliwe, by ktoś potrafił lepiej zakonserwować mątwę niż gekona albo mysz domową. Ten żart wciąż jednak krążył po centrum, ponieważ tkwiło w nim ziarnko prawdy. Gdy Billy zaczynał pracę w centrum, miał dwie lewe ręce. Przebył mozolną drogę usłaną stłuczonymi próbkami, zlewkami i butelkami i kilkakrotnie upuścił mokre, martwe zwierzę na podłogę, nim nagle odkrył w sobie nieznanego wcześniej talent.

– Co to ma wspólnego z czymkolwiek? – spytał Billy.

– To ma wspólnego, że jest następstwem „dlaczego” – powiedział Baron. – Widzi pan, ściągnęliśmy pana tutaj albo wciągnęliśmy, zależy, jak patrzeć na mapę, z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że to pan odkrył kradzież kałamarnicy. Drugi jest bardziej specyficzny. Chodzi nam o fragment pana zeznań. Wie pan co, muszę przyznać, że nigdy w życiu nie

widziałem nic podobnego. Słyszałem, że ludzie kradną konie. Mnóstwo psów, czasem nawet koty. Ale... – Zachichotał i potrząsnął głową. – Wasi strażnicy będą musieli za to odpowiedzieć, prawda? Podejrzewam, że nawet w tej chwili odchodzi tam niezła *mea culpa*.

– Dane i pozostali? – spytał Billy. – Pewnie tak. Nie mam pojęcia.

– Szczerze mówiąc, wcale nie miałem na myśli Dane'a. To ciekawe, że pan o nim wspomina. Chociaż to oczywiście prawda – Dane Parnell i jego koledzy pewnie czują się trochę łyso. Ale o nich za chwilę. Poznaje pan to?

Baron przesunął notatnik po stole. Na pierwszej stronie widniał rysunek przypominający gwiazdę... a może tarczę słoneczną z wydłużonymi promieniami. Dwa ramiona, zawinięte na końcach, były dłuższe od pozostałych.

– Tak – odparł Billy. – Ja to narysowałem. Ten dziwny gość, który przyszedł z wycieczką, nosił taki symbol. Narysowałem to człowiekowi, który przesłuchiwał mnie wczoraj.

– Wie pan, co to jest, panie Harrow? – spytał Baron. – Mogę panu mówić „Billy”? Wiesz, co to jest?

– A skąd mam wiedzieć? Ale pamiętam, że gość, który to nosił, przez cały czas był przy mnie. Nie miał czasu odejść i zrobić czegoś, wie pan, podejrzanego. Na pewno bym zauważył...

– Widziałeś kiedyś ten symbol? – spytał drugi mężczyzna. Zaciśnął dłonie, jakby musiał się przed czymś powstrzymać. Jego akcent nie zdradzał przynależności klasowej ani regionalnej, był tak neutralny, że aż nienaturalny. – Przywodzi na myśl jakieś wspomnienia?

Billy zawahał się lekko.

– Przykro mi – powiedział. – Czy mogę... Kim pan właściwie jest?

Baron potrząsnął głową. Wysoki mężczyzna nie zmieniał wyrazu twarzy, nie licząc powolnego mrugnięcia powiek. Policjantka w końcu spojrzała znad swojego telefonu i cmoknęła przez zęby.

– To jest Patrick Vardy – powiedział w końcu Baron. Vardy zaciśnął palce. – Pomaga w śledztwie.

„Żadnego stopnia”, pomyślał Billy. Wszyscy policjanci, których dotąd spotkał, przedstawiali się jako posterunkowy taki, sierżant śmaki, komisarz owaki, ale Vardy miał tylko nazwisko. Mężczyzna wstał i stanął w kącie, gdzie nie padało światło, przez co rozmawianie na jego temat nagle wydało się niezręczne.

– To jak? Widziałeś już to kiedyś? – naciskał Baron, postukując w papier. – Czy ten mały bohomas nie wygląda znajomo?

– Nie wiem. Chyba nie. Dowiem się, co to w ogóle jest?

– Powiedziałeś naszym kolegom z Kensington, że człowiek noszący ten znak wydawał się trochę, cytuję „poddenerwowany” – przypomniał Baron. – Co o tym powiesz?

– Aha, chyba powiedziałem tak Mulhollandowi – przyznał Billy. – Nie wiem, czy ten facet naprawdę był jakiś dziwny, czy co – zwrócił się do Barona i wzruszył ramionami. – Niektórzy z ludzi, którzy przychodzą zobaczyć kałamarnicę, są trochę...

– Widziałeś ich ostatnio więcej? Więcej tych, hm, ekscentryków? – spytał Baron. Vardy pochylił się i mruknął mu coś do ucha. Policjant przytaknął. – Czy zwiedzający byli jakoś szczególnie podekscytowani?

– Miłośnicy kalmarów? Sam nie wiem. Może. Ostatnio pokazało się kilku w kostiumach albo dziwnych ciuchach. – Kobieta szybko coś zanotowała. Billy patrzył, jak pisze.

– W porządku, a teraz proszę mi powiedzieć coś jeszcze. Czy w pobliżu muzeum nie działo się ostatnio coś dziwnego? Jakies ciekawe ulotki albo pikiety? Protesty? A może zauważyłeś nietypowe ozdoby także u innych gości? Wiem, wiem, zabrzmiało to tak, jakbym uważał cię za srokę, która wgapia się we wszystkie błyskotki. Ale wiesz, jak jest.

– Nie – odparł Billy. – Nie wiem. Czasem się zdarza, że przed wyjściem pikietują jacyś popaprańcy. A jeśli chodzi o tego gościa, to najlepiej spytajcie Dane'a Parnella. – Wzruszył ramionami. – Wczoraj już mówiłem, że chyba go rozpoznał.

– Istotnie, chcielibyśmy zamienić parę słów z Dane'em Parnellem. Z nim, i z panem Tajemniczą Przypinką, skoro tak dobrze się znali. Niestety, nie możemy. – Na chwilę przerwał, czekając, aż Vardy wyszepcze coś jeszcze. – Ponieważ wygląda na to, iż, podobnie jak eksponat, którego miał strzec, oraz człowiek-przypinka, Dane Parnell zniknął bez śladu.

– Zniknął?

Baron skinął głową.

– Miejsce przebywania nieznane. Nie odbiera telefonu. Pusto wszędzie, głucho wszędzie. Dlaczego zniknął, pytasz? Bardzo chcielibyśmy uzyskać jego pomoc w związku z wcześniejszymi dochodzeniami.

– Rozmawiałeś z nim? – spytała ostro policjantka. Billy aż podskoczył na krześle. Kobieta przeniosła ciężar ciała na jedną nogę i zwróciła się do niego, mówiąc z wyraźnym londyńskim akcentem. – Dużo gadasz, co nie? Papłasz o różnych rzeczach, chociaż ci nie wolno.

– Ja? – wyjąkał Billy z zaskoczeniem. – Odkąd Dane zaczął u nas pracować, chyba nie zamieniliśmy ze sobą więcej niż dziesięć słów.

– A czym zajmował się wcześniej?

– Nie mam bladego pojęcia...

– Patrz, jak się wije! – wykrzyknęła z zachwytem.

Billy zamrugał oczami. Próbował obrócić to w żart, uśmiechnął się więc, mając nadzieję, że policjantka odpowie uśmiechem. Nic z tego.

– Szczerze mówiąc – dodał – nigdy nie przepadałem za tym gościem. Wydawał się trochę gburowaty. Nawet nie odpowiadał na dzień dobry, nie mówiąc już o rozmowie.

Baron, Vardy i kobieta spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Wymienili parę uwag przez uniesienie brwi, wydymanie warg i szybkie potakiwanie. Potem Baron oznajmił powoli:

– Cóż. Jeśli przypomnisz sobie coś jeszcze, to daj nam znać.

– Dobrze – przytaknął Billy. – Dobrze. Tak zrobię. – Uniósł ręce, jakby się poddawał.

– To miło z twojej strony. – Baron wstał, podał kustoszowi wizytówkę, uściśnął mu rękę, jakby naprawdę odczuwał wdzięczność i wskazał na drzwi. – Proszę nigdzie nie wyjeżdżać, dobrze? Może się zdarzyć, że wezwiemy cię na kolejną pogawędkę.

– Tak, myślę, że tak właśnie będzie – dodała kobieta.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że człowiek-przypinka zniknął? – spytał jeszcze Billy.

Baron wzruszył ramionami.

– Wszystko wokół znika. Jeśli chodzi o tego osobnika, to w zasadzie nie tyle zniknął, ile nigdy się nie pojawił. Wszyscy zwiedzający w centrum muszą zarejestrować bilet i podać numer telefonu. Sprawdziliśmy wszystkich z tej wczorajszej wycieczki. Okazało się, że dżentelmen noszący tę błyskotkę... – Baron postukał palcem rysunek – powiedział recepcjoniście, że nazywa się Ed. Ed, dobre sobie. Podany przez niego numer telefonu nie istnieje i nikt go nie odbiera.

– Wracaj do ksiąg, Billy – powiedział jeszcze Vardy, gdy kustosz otworzył drzwi. – Jestem tobą bardzo zawiedziony. Sprawdź, co powiedzą ci Kooby Derry i Morry. – Ostatnie słowa zabrzmiały nieco dziwacznie, ale też dziwnie znajomo.

– Chwileczkę... co takiego? – wykrzyknął Billy, odwracając się na progu. – Co pan powiedział? – Vardy odprawił go machnięciem ręki.

Billy próbował zrozumieć to dziwne spotkanie przez całą drogę na południe. Nie został aresztowany, mógł wyjść w każdej chwili. Wyjął telefon, gotów wygłosić długą tyradę do Leona, ale z jakiegoś powodu – nie umiał wyjaśnić dlaczego – nie zadzwonił.

Nie pojechał też do domu. Przez cały czas miał dziwne, niewytłumaczalne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Pojechał więc do centrum, gdzie włóczył się po kawiarniach, wertując książki i pijąc za dużo herbaty.

Jego telefon nie miał funkcji połączenia z Internetem, Billy nie zabrał też laptopa, nie mógł zatem zweryfikować podejrzeń, że mimo jego własnej niedyskrecji, w żadnym serwisie informacyjnym nie pojawiła się wiadomość o kradzieży kałamarnicy. W londyńskich gazetach nie znalazł na ten temat ani słowa. Nie zamówił nic do jedzenia, chociaż było późno. Minęły całe godziny, odkąd wyszedł z domu, nadszedł wieczór, a potem wczesna noc. Nie robił w zasadzie nic konkretnego, jedynie ponuro rozważał sytuację i czuł się coraz bardziej sfrustrowany. Nie zadzwonił do centrum, przez cały czas jedynie rozważał, co mógłby jeszcze zrobić.

Jedna rzecz powracała do niego uparcie, coraz bardziej domagając się uwagi – nazwiska, które podał mu Vardy. Billy był całkowicie pewien, że już je kiedyś słyszał i że miały dla niego jakieś znaczenie. Żałował teraz, że nie przycisnął Vardy'ego bardziej, nie wiedział

nawet, jak je zapisać. Nabazgrał na kartce kilka różnych wariantów: *kubi derry, morry, moray, kobadara* i inne.

„Trzeba trochę poszperać”, pomyślał w końcu.

W drodze do domu przypadkiem zwrócił uwagę na człowieka siedzącego z tyłu autobusu. Próbował mu się przyjrzeć, by odkryć, co go tak zaciekało, ale nie widział jego twarzy.

Facet był wysoki, potężnie zbudowany i przez cały czas wbijał wzrok w podłogę. Za każdym razem, gdy Billy próbował na niego zerknąć, mężczyzna siedział pochylony albo zwrócony w stronę szyby. Zdawało się, że wszystko wokół próbuje przyciągnąć uwagę Billy'ego.

Miał wrażenie, że obserwują go nocne zwierzęta, budynki i wszyscy pasażerowie. „Nie powinienem się tak czuć – pomyślał Billy – a świat nie powinien tak wyglądać”. Patrzył na mężczyznę i kobietę, którzy właśnie wsiedli, i wyobrażał sobie, że zmierzają wprost do metalowego siedzenia umieszczonego z tyłu i siadają za nim, by nie mógł ich śledzić.

Za autobusem podążało stado gołębi, choć o tej porze powinny już dawno spać. Leciały, gdy autobus jechał i zatrzymywały się razem z nim. Billy żałował, że nie ma kieszonkowego lusterka, w którym mógłby obserwować, co się dzieje z tyłu i dojrzeć twarz tajemniczego mężczyzny.

Siedzieli na górnym piętrze, ponad krzykliwymi neonami zdobiącymi centrum Londynu, na wysokości koron niskich drzew, okien na pierwszym piętrze i znaków drogowych. Warstwy światła w mieście układają się inaczej niż w oceanie – im wyżej, tym robi się ciemniej. Ulice oświetlone blaskiem latarni i fluorescencyjnych lamp wystawowych stanowiły najpłytsze i najjaśniejsze miejsce. Niebo było otchłanią, którą rozjaśniały jedynie maleńkie punkciki gwiazd, niczym bioluminescencyjne organizmy. Pasażerowie na górnym pokładzie autobusu znajdowali się na skraju głębi, na granicy sfery dysfotycznej, gdzie wznosiły się puste biura i ginęły w mroku. Billy spojrzał w górę, jakby patrzył w rów oceaniczny. Zobaczył, że mężczyzna z tyłu spogląda w tym samym kierunku.

Na następnym przystanku – choć nie tam miał wysiąść – Billy zaczekał, aż zamkną się drzwi, po czym, zerwał się z miejsca i popędził po schodach, krzycząc:

– Proszę zaczekać, proszę zaczekać! Przepraszam! – Kierowca wysadził go i za chwilę autobus ruszył, pogrążając się w mroku niczym okręt podwodny. Poprzez brudną tylną szybę Billy zobaczył, że tajemniczy mężczyzna patrzy wprost na niego. – O kurwa – szepnął. – O kurwa.

Obronnym gestem wyrzucił rękę przed siebie. Szkło ugięło się jak od uderzenia, a mężczyzna cofnął się gwałtownie. Okulary Billy'ego zadrżały mu na nosie. Za szybą, w której nagle pojawiło się pęknięcie, nie dostrzegł nikogo, prócz mężczyzny, który śledził go wcześniej. To był Dane Parnell.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tej dziwnej, głębokiej nocy Billy długo nie mógł zasnąć. Zaciągnął zasłony w salonie, podejrzewając, że ta obrzydliwa wiewiórka wciąż gapi się na niego, patrząc, jak pracuje na laptopie. Dlaczego Dane go śledził? Jakim cudem? Próbował myśleć jak detektyw. Nie był w tym za dobry.

Mógł zadzwonić na policję. Dane nie popełnił wprawdzie żadnego przestępstwa, ale jednak. Powinien to zrobić. Mógł zadzwonić do Barona, tak jak tamten prosił. Ale pomimo dyskomfortu – który można by pewnie uznać za strach – Billy nie miał na to ochoty. Jego rozmowa z Baronem, Vardym i kobietą miała dziwny posmak gry. Miał wrażenie, że tamci wciągają go w jakąś rozgrywkę, że ukrywają przed nim ważne informacje i w żadnym stopniu nie dbają o jego interesy, chyba że miałyby to posłużyć ich bliżej nieokreślonym celom. Nie miał ochoty się w to mieszać. A może chciał to zrozumieć sam.

W końcu udało mu się na krótko zasnąć. Rano odkrył, że wejście do centrum nie jest wcale tak trudne, jak to sobie wyobrażał. Dwaj policjanci stojący przed wejściem nie byli nim zainteresowani i tylko pobieżnie rzucili okiem na przepustkę. Przerwali mu w połowie jego starannie ułożoną historię o tym, jak to musi pójść do swojego biurka i zrobić coś, co nie może poczekać, ale będzie uważał i nie zostanie za długo, ple, ple, ple. Machnęli tylko na niego, by przeszedł.

– Nie można tylko wchodzić do sali ze zbiornikiem – ostrzegł jeden.

„Okej”, pomyślał Billy. „I tak wszystko mi jedno”.

Przyszedł tu wprawdzie w poszukiwaniu czegoś, ale w zasadzie nie miał pojęcia, co to by mogło być. Zatrzymywał się przy zlewach i retortach, przy plastikowych pojemnikach zawierających przezroczyste ryby, których ciało pod wpływem działania enzymów stało się niewidzialne, a szkielet błękitny. Sala wspólna pełna była ułożonych w stosy plakatów reklamujących projekt Beagle – rekonstrukcję wczesnego okresu podróży Darwina, przeprowadzaną w pływającym laboratorium, kiczowato wystylizowanym na żaglowiec.

– Cześć, Billy – powitała go Sara, inna kustoszka, której najwyraźniej też pozwolono wejść. – Słyszałeś? – spytała, po czym rozejrzała się wokół, zniżyła głos i przekazała mu jakąś plotkę, tak bzdurną i nieistotną, że natychmiast ją zapomniał. Folklor muzealny stanowił samonapędzający się mechanizm.

Billy przytaknął, jakby się z nią zgadzał, a potem na wszelki wypadek potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć, że to szokująca wiadomość.

– Słyszałeś, że Dane Parnell zniknął? – dodała kobieta. Tak, o tym z całą pewnością słyszał. Billy poczuł zimny dreszcz, identyczny jak zeszłej nocy, gdy zobaczył swego prześladowcę za szybą autobusu. – Rozmawiałam z jednym policjantem – ciągnęła Sara. – Robią teraz coś w sali ze zbiornikiem, a on mówił, że słyszeli różne rzeczy, odkąd, no wiesz... przepadła. Jakieś brzęki.

– Uuu – Billy zawył niczym duch, a Sara się uśmiechnęła.

„Ale to moje halucynacje”, pomyślał ze złością. Miał wrażenie, że ktoś go okradł. Policjanci słyszeli jego własne przesłyszenia.

Zalogował się na komputerze i zaczął szukać, wpisując różne wersje nazwisk usłyszanych od Vardy’ego. Zerkał na swoje zabazgrane kartki i wykreślał kolejne warianty, jeden po drugim. W końcu doszedł do wersji *Kubodera* i *Mori*.

– O kurczę – wyszeptał. Przez chwilę gapił się w ekran, po czym odchylił się na oparcie. – No, jasne.

Nic dziwnego, że te hasła zostały mu w głowie. Kuhodera i Mori – nazwiska dwóch badaczy, którzy, kilka miesięcy wcześniej, jako pierwsi sfotografowali kałamarnicę olbrzymią na wolności.

Ściągnął ich artykuł i znów spojrzał na zdjęcia. Artykuł zatytułowano: *Odkrycie wszech czasów: pierwsza obserwacja żywej kałamarnicy olbrzymiej na wolności*, jakby grupka dziesięciolatków nagle opanowała redakcję periodyku „Proceedings of the Royal Society B”. Odkrycie wszech czasów.

Niejedyn z jego kolegów trzymał kopie tych zdjęć nad biurkiem. Gdy w końcu je opublikowano, Billy zjawił się w biurze z dwoma butelkami wina Cava i zaproponował, by od tej pory świętować każdą rocznicę tego zdarzenia jako Dzień Kałamarnicy. Ponieważ te zdjęcia – jak sam powiedział Leonowi – stanowiły zajebyty przełom.

Pierwsze z nich było najstojniejsze i właśnie to pokazali w wiadomościach. W dole, w ciemnej wodzie, prawie kilometr niżej, widniała ośmiometrowa kałamarnica. Jej macki rozwijały się jak płatki kwiatu, otaczając przynętę na końcu liny. Billy zagapił się jednak dopiero na drugie zdjęcie.

Znów linka podążająca w dół, znów zwierzę w mrocznej wodzie. Ale tym razem zmierzało ono wprost na obserwatora. Sfotografowano je w szczytowym momencie, w pełnym rozkwicie, gdy gwałtownym ruchem rozłożyło macki, tworząc niemal idealnie koncentryczny kształt. Dwa chwytne ramiona, nieco dłuższe od pozostałych, z łopatkowatymi zakończeniami, przyczyły się w mroku.

Eksplozja macek. To zdjęcie zaprzeczało wszystkim oszczerczym teoriom, przedstawiającym architeuthisa jako ociężałego i raczej przypadkowego łowcę, który dryfuje

w głębinie w stanie wiecznego letargu, czatując na przypadkową ofiarę, nie bardziej drapieżnego niż jakaś tępa meduza.

Wizja ta była żarliwie podtrzymywana przez wojujących fanów gatunku *Mesonychoteuthis*, zwanego „kałamarnicą kolosalną”. Ogromny, przysadzisty rywal architeuthisa ostatnimi czasy także pozwalał utrwać się na taśmie z niezwykłym i historycznie bezprecedensowym entuzjazmem. Billy musiał przyznać, że było to przerażające zwierzę. Miało znacznie większą masę niż kałamarnica olbrzymia, dłuższe ciało, a jego macki zamiast przyssawek wyposażone były w okrutne zakrzywione szpony. Niezależnie od swego kształtu i imponujących statystyk, nie miał szans zostać kałamarnicą olbrzymią. W roli tajemniczego monstrum pozostawał wiecznym parweniusem. Stąd też pogardliwy ton zajmujących się nim naukowców, pragnących przypisać miano krakena swojemu nowemu ulubieńcowi: „niezrównany”, „jeszcze większy” czy też „o rząd wielkości bardziej agresywny”.

Zdjęcia Kubodery i Moriego zadały temu kłam. Nie przedstawiały one słabego, gnuśnego oportunisty, którego chcieli w nim widzieć przeciwnicy. Kałamarnica olbrzymia nie czekała beczynnie. *Architeuthis* czatował, wynurzał się z otchłani i polował.

Billy wpatrywał się w ekran. Dziesięć ramion, pięć przecinających się linii, dwie znacznie dłuższe od pozostałych. Srebrna przypinka, którą widział wczoraj, przedstawiała zbliżającego się drapieżnika. Z punktu widzenia ofiary.

Billy szedł korytarzem, niosąc papiery, by wyglądało na to, że ma jakiś konkretny cel. Wchodził do pomieszczeń, gdzie wolno mu było wejść, i kłaniał się policjantom pilnującym pozostałych. Pomimo niedawnego olśnienia wciąż nie miał pojęcia, co właściwie próbuje znaleźć.

W końcu opuścił Centrum Darwina i skierował się do głównego budynku. Przeszedł trasę, którą przemierzał jako mały chłopiec, minął gapiącego się tępo ichtiozaura, skamieniałe amonity i kawiarnię. A potem w końcu, w tym otwartym, zatłoczonym miejscu, zdawało mu się, że słyszy jakiś odgłos. Toczący się szklany słoik. Bardzo słaby dźwięk.

Dochodził – a raczej on miał wrażenie, że dochodzi, jak poprawił się w myślach Billy – zza drzwi z zakazem wstępu dla zwiedzających, które prowadziły na dół do magazynów i podziemnych korytarzy. Przez chwilę nasłuchiwał, nie zwracając uwagi na tłum za plecami. Nie usłyszał niczego. Wprowadził kod i zszedł po schodach.

Przez jakiś czas przemierzał podziemne korytarze i wmawiał sobie, że tak naprawdę nie nasłuchuje żadnych rzeczywistych odgłosów. Że przyszedł tu gnany jakimś wewnętrznym impulsem. „No dobra”, pomyślał w końcu. „Pomóż mi. Czego ja tu szukam? Co ty zamierzasz... a właściwie co ja zamierzam?” Strażnicy i kustosze, których mijał po drodze, unosili dłonie w geście powitania. Pomieszczenia i korytarze były zastawione półkami, na których stały kartonowe pudła opisane grubym flamastrem, szklane pojemniki, puste lub

pełne nadmiarowych preparatów, papiery i niepotrzebne meble. Tam, pod rurami co, pomiędzy wysokimi ścianami i filarami, Billy znów usłyszał ten dźwięk. Dochodził z za rogu, pobiegł więc za nim jak po sznurku.

Korytarz nie doprowadził go do kolejnej sali, lecz do szerokiego przejścia. Było zastawione dziesiątkami wypchanych zwierząt i wyglądało niezwykle wiktoriańsko. Ze ścian spoglądały na niego głowy ssaków, niczym kolekcja trofeów: bizony, sztywne niczym żołnierze wyprężeni na baczność, obok gipsowego iguanodona i wyświechtanego emu. Nieopodal zobaczył las zakonserwowanych żyrafich szyj, których głowy wznosiły się w górę jak korony drzew.

Dzyń, dzyń. W świetle jarzeniówek wypchane zwierzęta rzucały ostre cienie. Billy znów usłyszał cichy odgłos. Wydobywał się z mroku przy ścianie, głęboko w gąszczu eksponatów.

Zboczył z drogi, zanurzając się w gęstwinę starych, opornych trucheł, wbijając się coraz głębiej, w las zwierzęcych szczątków. Zerknął w górę, jakby patrzył na ptaki i dalej brnął w stronę pobielonych ścian. Nie słyszał już żadnych odgłosów, nie licząc szelestu własnych ubrań ocierających się o suche skóry. Minął stos resztek hipopotama i nagle stanął przed czymś, czego w pierwszej chwili nie potrafił zidentyfikować.

Był to ogromny szklany pojemnik, jeden z największych, jakie widział w życiu. Wysoki słój z ząbkowaną krawędzią dna, którego nakrętka sięgała mu do piersi, pełen był roztworu barwy moczu; w środku znajdował się jakiś eksponat, na który Billy zapatrzył się z osłupieniem. Stworzenie było zbyt duże dla tego naczynia i wepchnięto je do środka siłą. Było częściowo obdarte ze skóry, oczy i łapy przyciskało do szkła, a strzępy skóry unosiły się w płynie jak rozwinięte skrzydła. Billy potrząsnął głową, jeszcze zanim skończył tę myśl.

Dostrzegł, że to, co początkowo wziął za skórę, w rzeczywistości było podartą koszulą, obdarte ciało było bezwłose, a stworzenie, które spoglądało na niego martwo z za szkła, zastygłe w nienaturalnej pozie, bezkształtne i wtłoczone w słój, było człowiekiem.

Billy starał się nie wchodzić policji w drogę. Nawet po nią nie zadzwonił. W pierwszej chwili, gdy wpadł na górę, nie mogąc złapać tchu, nie przyszło mu to nawet do głowy. Zamiast wyjąć telefon, pobiegł do dwóch funkcjonariuszy pilnujących wejścia do Centrum, krzycząc:

– Szybko! Szybko!

Ich koledzy zjawili się szybko i licznie, odcinając kordonem większą część muzeum i ogłaszając zakaz wstępu do piwnicy. Zdjęli Billy'emu odciski palców i przynieśli mu gorącą czekoladę, żeby otrząsnął się z szoku.

Nikt go nie przesłuchał. Posadzili go w sali konferencyjnej i powiedzieli, żeby nie wychodził, ale nikt nie pytał, jak trafił na swoje znalezisko. Billy czekał, siedząc koło grafoskopu, obok telewizora na ruchomym stelażu. Słuchał, jak policja przeszukuje muzeum, a zwiedzający szemrają skonsternowani.

Potrzebował samotności bardziej niż świeżego powietrza. Pragnął, by jego ciało przestało się w końcu panicznie trząść, siedział więc i czekał, tak jak mu kazano, a okulary parowały mu, gdy popijał gorący napój. W końcu drzwi się otworzyły i do środka zajrzał Baron.

– Panie Harrow – powiedział mężczyzna i potrząsnął głową. – Panie Haa-row... Panie Harrow, Billy, Billy Harrow. W coś ty się wpakował?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Usiadł koło Billy'ego i wzruszył współczująco ramionami.

– Niezły szok, co?

– Co to, kurwa, jest? – wykrztusił w końcu Billy – Co to, kurwa, jak oni to... Co tam się stało?

– To nadaje zupełnie nowy sens określeniu „nabity w butelkę”, prawda? Przepraszam, przepraszam – dodał natychmiast. – Czarny humor. To taki mechanizm obronny Jesteś w ciężkim szoku, wiem. Uwierz mi, wiem, jakie to uczucie.

– Co tu się dzieje? – spytał Billy. Baron nie odpowiedział. – Widziałem Dane'a – dodał po chwili.

– Czyżby? – spytał powoli Baron. – Naprawdę?

– Wraciałem wczoraj do domu, wieczorem. Jechałem autobusem. On tam był. Musiał mnie śledzić. Chyba że po prostu... nie. Musiał znaleźć się tam celowo. Przecież łatwo mógł się dowiedzieć, gdzie mieszkam...

– Dobrze, w porządku, teraz posłuchaj...

– Czuję się, jakbym dostawał świra – wyznał Billy. – Jeszcze przed tym... przed tym, co zobaczyłem w piwnicy, miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Nic nie powiedziałem, bo to strasznie głupie, wie pan? – Szyba gwałtownie zadrżała pod naporem wiatru. – Mówię panu, normalnie mi odbija... Co tam się stało na dole? Dane to zrobił?

– Muszę się chwilę zastanowić – odparł Baron.

– Gdy przyszedłem do was, był tam psycholog, prawda? Ten Vardy. Wyguglałem go. Proszę tak na mnie nie patrzeć, wystarczyło poszperać w sieci. Co on tam robił? Od razu było widać, że to nie policjant.

– Czyżby? W takim razie może sam go o to zapytasz?

– Wezwaliście go, bo... uważa pan, że jestem wariatem? – Znow zapadła cisza. – Sądzi pan, że o to chodzi? Bo jeśli tak, to, Jezuu... – Billy odetchnął roztrzęsiony. – Bo w tym momencie myślę, że ma pan rację.

– Nie, Harrow – odparł Baron. – Nikt z nas nie uważa cię za świra. Wprost przeciwnie. – Zerknął na zegarek.

Za chwilę przybył Vardy. Tym razem podał Billy'emu rękę. Miał strasznie mocny uścisk dłoni. Przyniósł ze sobą teczkę.

– Przyjrzałeś się dobrze? – spytał Baron.

– Wszystko jest mniej więcej tak, jak się spodziewałem – odparł Vardy.

– Ale co?! – wrzasnął Billy. – Czego pan się spodziewał?

– Za chwilę to omówimy – obiecał Vardy. – Za chwilę. Teraz zaczekaj. Z tego, co zrozumiałem, widziałeś wczoraj Dane'a Parnella.

Billy przeczesał palcami włosy. Vardy wyglądał, jakby krzesło było dla niego za małe – stulił ramiona, jakby nie chciał rozlać się na boki. Spojrzeli po sobie z Baronem, znów komunikując się bez słów.

– Dobrze więc – powiedział w końcu Baron. – Zaczniemy od początku. Patrick Vardy, Billy Harrow. Kustosz. Billy Harrow, Patrick Vardy. Profesor psychologii w Centralnym Uniwersytecie Londyńskim. Jak zapewne wiesz.

– Aha. Mam czarny pas w google.

– Jestem ci winien przeprosiny, Harrow – ciągnął Baron. – Większości ludzi nawet nie przysłoby do głowy, by nas sprawdzać.

– Ile się zatem dowiedziałeś? – spytał Vardy. – Co wiesz na mój temat?

– Jest pan freudem – Billy wzruszył ramionami. – Pracuje pan dla glin. Pomyślałem sobie, że... jest pan profilerem, prawda? Jak Cracker? Jak *Milczenie owiec*? – Vardy uśmiechnął się pod nosem. – Ten biedny skurczybyk w butelce, tam na dole... – Billy zaczerpnął tchu. – On nie był pierwszy, prawda? O to chodzi? Tak, jasne, że o to. Szukacie kogoś... szukacie Dane'a. On jest jakimś seryjnym zabójcą. Przyszliście tu, żeby rozpracować jego metody. A teraz, o Chryste, on chce mnie dorwać, prawda? Śledzi mnie. I ma to coś wspólnego z...

Ale wtedy przerwał. Jakim cudem to wszystko miałyby się wiązać ze zniknięciem kałamarnicy? Baron zacisnął wargi.

– Nie do końca – stwierdził. – To nie tak. – Zamachał dłońmi w powietrzu, jakby chciał poukładać niewidzialne myśli. – Posłuchaj – powiedział w końcu. – Cofnij się o krok. Kto chciałby ukraść wielką kałamarnicę? Nieważne jak. W tej chwili nie musimy się tym zajmować. Skupmy się na ustaleniu „dlaczego”. Wygląda na to, że jesteś w stanie nam pomóc, a my możemy pomóc tobie. Nie twierdzą, że grozi ci niebezpieczeństwo, ale...

– O Boże...

– Wysłuchaj mnie. Musisz zrozumieć, co się dzieje. Omówiliśmy to i zapoznamy cię ze wszystkim. Zrobimy to w ścisłej tajemnicy i bylibyśmy wdzięczni, gdybyś tym razem jej dochował. Pamiętaj, że zwykle nie udzielamy ludziom takich informacji. Uznaliśmy jednak, że może ci to pomóc i, mówiąc zupełnie szczerze, myślę, że może też pomóc nam.

– Dlaczego Dane mnie ściga? – spytał słabo Billy.

– Jak wiesz, z początku w ogóle nie zajmowałem się tą sprawą – odparł Baron. – Można jednak powiedzieć, że w pewnych sytuacjach pojawiają się flagi ostrzegawcze. Konkretnie rodzaje przestępstw. Zniknięcie waszej kałamarnicy. Twoje znalezisko w piwnicy ma też pewne aspekty, które wydają się... istotne. Na przykład fakt, że średnica otworu tego słoja jest zbyt mała, by umieścić tego dżentelmena w środku.

– Co?

– Ale element, który naprawdę nas zainteresował i sprawił, że zadzwonił mi dzwonek, a mówię to dosłownie, bo mam dzwonek na biurku, to ten obrazek.

Vardy wydobył z teczek kopię rysunku przedstawiającego krzywo nakreśloną olbrzymią gwiazdę.

– Wiem, co to jest – zaczął Billy. – Kubodera i Mori...

– A ja – przerwał Baron – kieruję jednostką specjalną.

– Jaka jednostką?

Vardy położył na stole kolejną kartkę. Był to ten sam znak: dziesięciopięciopromienna gwiazda o dwóch ramionach dłuższych niż pozostałe. Nie był to jednak rysunek Billy'ego. Długość ramion i kąty pomiędzy nimi trochę się różniły.

– Narysowano to nieco ponad miesiąc temu – wyjaśnił Baron. – Ktoś włamał się do księgarni i ukradł trochę towaru. Wcześniej przez kilka dni z rzędu przychodził tam gość z takim znaczkiem. Nic nie kupował, rozglądał się tylko wokół. Był nerwowy.

– Gdyby chodziło o dwóch chłopaczków w koszulkach z napisem „Bądź posłuszny Gigantowi”, nawet nie mrugnęlibyśmy okiem – oznajmił Vardy swym niskim, głębokim głosem. – To nie jest jakichś cholerny mem. Choć już zmierza w tym kierunku i to nam pięknie skomplikuje sprawę. – Billy zamrugnął oczami. – Jesteś może miłośnikiem graffiti? Zaczyna się pojawiać w całym mieście. Niedługo znajdzie się też na vlepkach i uczniowskich plecakach. Okazuje się, że to – machnął kartką – trafiło na swój czas.

– Po prostu pasuje – odparł Baron.

– Ale jeszcze nie do końca. A zatem gdy się gdzieś pojawia raz, a potem drugi, można zwrócić uwagę na pewien wzorzec.

– Ten księgarz, którego okradziono – dodał Baron. – Ma sklepik na Charing Cross Road. Trzyma tam mnóstwo śmiecia i trochę przyzwoitych antykwarycznych pozycji. Tej nocy skradziono sześć książek. Pięć było całkiem nowych. W sumie warte może ze dwieście-trzysta funtów. Wszystkie leżały na ladzie, nie zostały jeszcze ustawione na półkach. Właściciel księgarni z początku myślał, że tylko to zniknęło.

– Ale potem okazało się, że ktoś zbił szybę w zamkniętej szafie i zabrał coś z najwyższej półki. – Uniósł palec. – Jedna książka. Stała wśród starych periodyków naukowych. Właściciel doszedł, co zostało skradzione.

Baron pochylił się i z trudem przeczytał.

– *For-hand-linger... ved de Skandinav...* coś tam. Wydanie z 1857 roku.

– Jak dobrze znasz duński, Billy? – spytał Vardy. – Mówi ci to coś?

– Jakiś rabuś chce, żeby wyglądało to na przypadkową kradzież. Włazi więc do środka i chwyta stos książek z lady. Ale potem przebiega dwadzieścia kroków korytarzem, znajduje jedną, konkretną, zamkniętą szafkę, wybija konkretną szybę i wyciąga stamtąd jedną konkretną książkę. – Baron potrząsnął głową. – Przez cały czas chodziło tylko o ten zeszyt.

– Zapytaliśmy Duńską Akademię Królewską o zawartość tego zeszytu – dodał Vardy. – Był za stary, żeby uwzględnili go w katalogach.

– Szczerze mówiąc, nie sądziłem wtedy, że coś nam to da – ciągnął Baron. – Nie był to żaden priorytet, przekazali nam tę sprawę tylko dlatego, że już w paru miejscach przewinął się symbol. Gdy przysłali nam listę z Kopenhagi, nic nie rzuciło nam się w oczy. Potem jednak dowiedzieliśmy się, że widziano go także tutaj, a wtedy jeden z tych przedmiotów skradzionych w zeszłym tygodniu przypomniał nam się bardzo wyraźnie.

– Strony sto osiemdziesiąt dwa do sto osiemdziesiąt pięć – podsunął Vardy.

– Nie będę czytał po skandynawsku – stwierdził Baron. – Twierdzą, że w artykule występuje jakiś *blaeksprutter*. Tłumaczenie: Japetus Steenstrup. *Kilka faktów dotyczących wielkich mątw spotykanych w Atlantyku*.

– Tytułem podsumowania – powiedział Baron – kilka tygodni przed kradzieżą kałamarnicy ktoś zwinął oryginalny egzemplarz tego artykułu.

– Z pewnością słyszałeś o tym człowieku – dodał Vardy ale Billy siedział z otwartymi ustami. Oczywiście, że słyszał. Kałamarnica olbrzymia po łacinie nazywała się *Architeuthis dux*, ale jej rodzaj został nazwany na cześć człowieka, który ją zaklasyfikował: *Architeuthis Steenstrup*.

– Powiedzmy tak – podjął Vardy – Dwa przestępstwa, które łączy jedna dziwaczna ozdoba, jeszcze nie oznaczają spisku. Ale dwa przestępstwa, a trzy, jeśli liczyć tego kolegę w piwnicy, połączone taką biżuterią i wielką kałamarnicą i nasz radar zaczyna robić ping.

– Właśnie takie rzeczy nas interesują – dodał Baron.

– „Nas”? – spytał Billy. – A „my” to kto?

– My – odparł Baron – to FPTS.

– Co takiego?

Baron splótł dłonie.

– Pamiętasz tych gości, którzy twierdzili, że są „nowymi różokrzyżowcami”? – spytał. – Porwali tamtą dziewczynkę w Walthamstow. – Baron wskazał kciukiem Vardy’ego. – Znalazł ich. To, co robi, można by chyba określić mianem konsultacji siedem dni w tygodniu dwadzieścia cztery na dobę. Tego typu sprawy. To nasz obszar zainteresowań.

– Jakich zainteresowań?

– Dobrze, już dobrze. Mówisz tak, jakbyś miał się zaraz rozpląkać. – Vardy podał Billy’emu kartkę papieru. Co najdziwniejsze, było to jego własne CV. Miał doktorat z

psychologii, ale magisterkę napisał z teologii. Billy wsunął na nos okulary i przeleciał wzrokiem listę publikacji, aż dotarł do obecnego stanowiska.

– Jest pan redaktorem „Dziennika Studiów nad Fundamentalizmem”? – spytał z niedowierzaniem. To musiał być jakiś test.

– FPTS oznacza jednostkę do spraw fundamentalistów i przestępstw na tle sektowym.

Billy zagapił się na niego, potem na Vardy’ego, a w końcu znów spojrzął w CV.

– Jest pan profilerem – powtórzył. – Tworzy pan profile kultów.

Vardy nawet uśmiechnął się lekko.

– Mamy na liście... – Baron zaczął wyliczać na palcach. – Aum Shinrikyo... Sekta Powracających... Kościół Chrystusa Łowcy... kratozjanie, niektórzy nawet dość blisko. Masz pojęcie, jak bardzo w ciągu ostatnich dziesięciu lat zwiększyła się liczba przestępstw na tle religijnym? Oczywiście, że nie, bo jeśli akurat nie jest to Al-Kaida albo jej członkowie, to nie ma żadnych szans przedostać się do gazet. Akurat oni stanowią nasz najmniejszy problem. Jeśli dotąd nie słyszałeś o tych sprawach, to tylko dowód na to, jak bardzo jesteśmy skuteczni. Dzięki nam na ulicach wciąż jest bezpiecznie. I dlatego prosiliśmy wszystkich, by nabrali wody w usta. Ale ty jednak komuś powiedziałaś. Po pierwsze, nie powinieneś być tego robić, a po drugie, to dość imponujący wyczyn. Collingswood będzie musiała poprosić cię jeszcze raz, tym razem trochę dosadniej. Ściśle rzecz biorąc, nasza jednostka nie jest tajna. W dzisiejszych czasach najlepszym wyjściem jest nie tyle „wiarygodne zaprzeczenie”, ile „wiarygodny brak zainteresowania”. W razie czego, wszyscy tylko wytrzeszczą oczy. „FPTS? Co ty gadasz, człowieku?”. Jakieś głupstwa, żenujące brednie... – Mężczyzna uśmiechnął się porozumiewawczo. – Wiesz, o co chodzi.

Billy słyszał głosy policjantów przemierzających korytarze. Dzwoniły jakieś telefony.

– No dobra – powiedział w końcu. – Jesteście specami od kultów. Co to ma wspólnego z tym biednym sukinsynem w piwnicy? I co to ma wspólnego ze mną?

Vardy otworzył na laptopie jakiś plik wideo i ustawił ekran tak, by wszyscy trzej mogli zobaczyć ten film. Jakiś pokój, porządne biurko, książki na półkach, drukarka, komputer. Był tam też Vardy, zwrócony półprofilem do kamery, i jakiś człowiek, odwrócony do niej tyłem. Widać było jedynie rzednące włosy przyczesane na żel i szarą kurtkę. Jakość filmu nie była zbyt dobra.

– ...więc tak – mówił mężczyzna o niewidocznej twarzy. – *Zrobiłem numer z tą bandą w Epping, chociaż to maniacy, świry bez żadnych zasad, ale myślę, że bilans, bilans, bilans, nieciekawo. Nie traciłbym na to czasu.*

– *A to?* – spytał filmowy Vardy i podsunął mu rysunek wykonany przez Billy’ego.

Mężczyzna pochylił się, by lepiej widzieć.

– *Ach, to* – mówił monotonnym, konspiracyjnym szeptem, jakby brakło mu tchu, po czym dodał porozumiewawczym tonem: – *To utyci. To utyci* – powtórzył. – *Aha, nie, sam nie wiem. Oni są nowi. Jeszcze ich nie widziałem, tyle że zostawiają wszędzie te rysunki. To znak, znak.*

Byłeś pan w Camden? Zobaczyłem i pomyślałem se, że spróbuję, ale to dziwni goście, niby machają na dzień dobry, ale potem nie idzie ich znaleźć. Są tajni?

– Nie wiem. Są?

– Sam mi pan powiedz, sam pan powiedz. Nie mogę ich znaleźć, a wiesz pan, jak jest, to takie... elektryzujące, o tak, tak właśnie.

– Jakie mają zasady?

– Pojęcia nie mam. Słyszałem tyle – mężczyzna wykonał palcami gest oznaczający plotki – tyle mogę powiedzieć, że mówią dużo o mroku, o uniesieniu i o, no wiesz pan, docieraniu do kogoś. Uwielbiają to docieranie do kogoś, hafe.

– Co?

– Hafe. Cóż to, nie zna pan greki, profesorze? Alfa, fi, eta, hafe, hapsis, jeśli pan woli... tyku, tyku, jak to mówią. To strasznie haptyczna historia.

Vardy spauzował film.

– To mój asystent naukowy. Wolny strzelec. Jest wielkim fanem. Lubi kolekcjonować.

– Co takiego kolekcjonuje?

– Religie. Kultury.

– Jak, do ciężkiej cholery, można kolekcjonować kultury?

– Dołączając do nich.

Za oknem hałaśliwie poruszały się targane wiatrem gałęzie drzew. Pokój nagle wydał się bardzo ciasny. Billy odwrócił wzrok od światła za oknem.

Człowiek na ekranie nie był jedynym takim przypadkiem. Małe plemię obsesjonatów. Miłośnicy herezji, krążący od sekty do sekty, zbierając wyznania wiary równie chciwie jak każdy nowo nawrócony Renfield. Raz Żołnierze Robaka Zbawcy, raz Opus Dei, a za tydzień Bobo Ashanti. Religijni geniusze pełni prawdziwego oddania i wybuchów szczerzej gorliwości, wystarczających, by powitano ich jako neofitów. Niektórzy robili to z cynicznym dystansem, by zrobić sobie kolejne nacięcie nad łóżkiem, inni za każdym razem doznawali damasceńskiego oświecenia i przez dwa-trzy dni byli pewni, że tym razem będzie inaczej, ale w końcu przypominali sobie własną naturę i ekskomunikowali się z tryumfalnym chichotem.

Od czasu do czasu zbierali się, by porównywać swe gnostyczne znaleziska – w barach na Edgware Road, w pubach z fajką wodną na Primrose Hill albo w jakimś miejscu zwanym Almagam Yard. Vardy twierdził, że ich ulubione miejscówki znajdowały się na ulicach-pułapkach. Wymieniali kolejne tajemnice wiary, jakby były to rzadkie karty kolekcjonerskie. „A jaka jest wasza apokalipsa?”, „Hm, wszechświat jest liściem na drzewie czasu, a gdy nadejdzie jesień – zwiędnie i spadnie w dół, do piekła”. Pomruki uznania. „Ooo, ładne. Moja nowa grupa mówi, że mrówki pożrą słońce”.

– Mojego informatora bardzo zainteresowali „utyci”. Chciał mieć komplet. Nigdzie jednak nie mógł ich znaleźć.

– Co to jest ulica-pułapka? – spytał Billy, ale nikt mu nie odpowiedział.

– To utyci – powtórzył Baron. – Rozumiesz? Usiądź, Harrow – dodał, bo Billy wstał i już zmierzał w kierunku drzwi. – To utyci. Rozumiesz? To-te-utyci.

– Mam tego dość – warknął Billy.

– Siadaj – włączył się Vardy.

– Jesteśmy jednostką od kultów, do cholery – ciągnął Baron. – Jak sądzisz, po co nas tu ścignęli? Kto, twoim zdaniem, za to odpowiada?

– Teutyci – uśmiechnął się Vardy. – Czyciele wielkiej kałamarnicy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Ten skradziony artykuł – powiedział Baron. Billy wciąż stał przy drzwiach, z ręką na klamce. – Właśnie tam po raz pierwszy pojawiło się miano, które stary Japetus nadał architeuthisowi. Oczywiście, można bez problemu kupić nowe wydanie, ale oryginały są wyjątkowe, prawda?

– Odrzucał folklor – dodał Vardy – W tym artykule głównie referuje jakieś bajędy, a potem powtarza „Nie, nie, moi panowie, istnieje całkiem racjonalnie wyjaśnienie”. Można powiedzieć, że właśnie w tym miejscu potwór z głębin spotkał... – Zatoczył ręką półkole. – To. Ten nowoczesny świat. – Nacisk, jaki położył na te słowa, miał w sobie jakiś cień szyderstwa. – Z baśni wprost w objęcia nauki. Koniec starego porządku. Prawda? – Pomachał palcem, jakby zaprzeczając. Baron spoglądał na niego cierpliwie. – Uśmiercił legendę? – rozkręcał się Vardy. – Tylko dlatego, że nadał jej imię? Powiedział, że nazywa się *Archi-teuthis*. Przecież nie nazwał jej „wielką” kałamarnicą, Billy. Nie wielką, ani nawet „olbrzymią”. „Panującą”. – Zamrugał gwałtownie. – Kałamarnica panuje? To ma być naukowiec wierny ideałom Oświecenia? Zaklasyfikował ją, owszem, ale jako co? Jako cholernego demiurga. Był prorokiem. A wiecie, co robił pod koniec wykładu? Och, miał różne pomoce naukowe. Był showmanem, jak Billy Graham. Wyjmuje słoje, a co jest w środku? Dziób. – Vardy wykonał tnący ruch palcami. – Dziób kałamarnicy olbrzymiej.

Światło powoli zniknęło, przysłaniała je jakaś chmura, jakby ściągnięta dramatyzmem sytuacji. Billy zagapił się na Vardy’ego. Trzymał okulary w ręku, profesor był więc nieco rozmyty. Słyszał tę historię już wcześniej, jako anegdotkę w sali wykładowej. Jego wykładowcy, gdy tylko mogli, z upodobaniem wzbogacali historie teorii naukowych o informacje dotyczące życia prywatnego ich znamienitych poprzedników. Opowiadali anegdoty o wszechstronnie uzdolnionym Faradayu, czytali na głos rozdzierająco smutny list Feynmana do jego zmarłej żony, rozwodzili się nad aroganckim zachowaniem Edisona, gloryfikowali wysiłki Skłodowskiej-Curie i Bogdanowa, którzy poświęcili życie dla swych utopijnych badań. Steenstrup także należał do tego znamienitego grona.

Vardy mówił tak, jakby rzeczywiście widział wystąpienie Steenstrupa. Jakby na własne oczy zobaczył czarną broń, którą wyjął ze słoja. Fragment ciała lewiatana, bardziej przypominający narzędzie obcych niż otwór gębowy jakiegokolwiek zwierzęcia.

Zakonserwowany, bezcenny, niczym kość z palca świętego. Niezależnie od tego, co twierdził sam Steenstrup, jego słój był relikwiarzem.

– Ten artykuł – powiedział w końcu profesor – to część fulcrum. Z pewnego punktu widzenia, warto było dla niego złamać prawo. Ponieważ to święty tekst. To ewangelia.

Billy potrząsnął głową. Czuł, że dzwoni mu w uszach.

– I właśnie za to – oznajmił Baron, wyraźnie rozbawiony – płacimy naszemu profesorowi.

– Nasi złodzieje kompletują sobie bibliotekę – ciągnął Vardy. – Założę się o dobre pieniądze, że w ciągu ostatnich paru miesięcy zginęły także dzieła Verrilla, Ritchiego, Murraya i inne pozycje klasycznej literatury teutycznej.

– Jezu – wyrwało się Billy’emu. – Skąd pan to wszystko wie?

Vardy zbył to pytanie niecierpliwym ruchem ręki, jakby to był natrętny owad.

– To jego praca – wyjaśnił Baron. – Od zera do guru w czterdzieści osiem godzin.

– Przejdźmy dalej – zaproponował krótko Vardy.

– A zatem... – zaczął Billy. – Myśli pan, że członkowie tego kultu zwędzili książkę, zabrali kałamarnicę i zabili tego gościa? A teraz chcą dorwać mnie?

– Ja tak powiedziałem? – zdziwił się Vardy. – Wcale nie jestem przekonany, że wyznawcy kałamarnicy odpowiadają za którąkolwiek z tych rzeczy. Szczerze mówiąc, coś mi tu nie pasuje.

Billy parsknął ponurym, wymuszonym śmiechem.

– Myśli pan? – spytał kpiąco.

Vardy zignorował go i ciągnął dalej.

– Ale z pewnością ma to z nimi coś wspólnego.

– Bez żartów – Billy potrząsnął głową. – Przecież to jakiś obłąd. Religia czcząca kałamarnicę?

Małe pomieszczenie zdawało mu się pułapką. Baron i Vardy patrzyli na niego uważnie.

– To chyba jasne – stwierdził w końcu profesor. – Można przecież wierzyć w cokolwiek. Wszystko można uznać za godne czci.

– Może jeszcze powiesz, że to wszystko zbieg okoliczności? – dodał Baron.

– Wasza kałamarnica zniknęła, prawda? – naciskał Vardy.

– I nikt cię nie śledzi – dodał Baron. – A tak w ogóle to nikt nie zabił tego biedaka w piwnicy. To tylko samobójstwo przez butelkę.

– A ty – ciągnął Vardy, patrząc wprost na Billy’ego – wcale nie czujesz, że ze światem dzieje się coś złego. Aha, jednak czujesz, co? Przecież widzę. Myślę, że będziesz chciał tego wysłuchać.

Cisza.

– Jak to zrobili? – spytał w końcu Billy.

– Czasem nie warto się grzebać w „jak” – zauważył Baron. – Czasem dzieją się różne rzeczy, które nie powinny się były wydarzyć, ale nie można pozwolić, by nas to zaprzętało. Ale „dlaczego”? Z tym możemy pracować.

Vardy podszedł do okna, ciemny kształt na tle światła. Billy nie wiedział nawet, czy stoi teraz twarzą do niego czy do szyby.

– Dzwony i kadzidła – oznajmił Vardy z głębi swej niewidoczności. – To zawsze bardzo oficjalne. Wysoki Kościół. Może i... wyrzekają się świata – przez chwilę smakował to pompatyczne określenie – ale w przypadku takich sekt wszystko kręci się wokół rytuałów i symboli. O to właśnie chodzi. Bardzo niewiele kultów doczekało się reformacji. – Odszedł od jaskrawo oświetlonego okna. – A nawet jeśli nadeszła, to potem zawsze było, cześć, nieboraki w wolnej strefie, nadchodzi sobór trydencki i stary porządek wraca po swoje. Naprawdę bardzo potrzebują tych wszystkich sakramentów. – Potrząsnął głową z politowaniem.

Billy przechadzał się pomiędzy plakatami, tanimi grafikami i tablicami zawieszonymi karteczkami przeznaczonymi dla pracowników muzeum, których nawet nie znał.

– Jeśli ktoś czci to zwierzę... spróbuję to ująć jak najprościej – powiedział w końcu Vardy. – Wy, to wasze Centrum Darwina... – Billy nie mógł zrozumieć, skąd wzięła się pogarda w jego głosie. – Ty i twoi koledzy... umieściliście Boga w gablotce. Któż z jego wyznawców nie próbowałby go uwolnić? Leży zapeklowany w słoju. Ich wszechdotykający bóg-łowca. Chyba możesz sobie wyobrazić, co mówią o tym psalmy. Jak opisują Boga.

– Dobrze – wykrztusił w końcu Billy. – Dobrze, wiecie co? Naprawdę muszę stąd wyjść.

– Porusza się w mroku, wypuszczając w niego własny mrok – powiedział Vardy, jakby coś cytował. – Coś takiego. Czarna chmura w wodzie koloru czerni? No proszę, jaki koan. Namacalny bóg, który ma tyle macek, ile my mamy palców, czy to może być przypadek? Ponieważ – dodał normalniejszym głosem – właśnie tak to działa, rozumiesz?

Baron gestem przywołał kustosza do drzwi.

– Mają całe wiersze opisujące jego dziób – dodał im zza pleców Vardy. – Twardy dziób podniebnego ptaka w głębokiej otchłani morza. – Wzruszył ramionami. – Wątpisz w to? Wprost przeciwnie, Billy, to idealny bóg. To najbardziej dopasowany, najidealniejszy, najlepiej skrojony bóg na miarę naszych czasów. Dlatego, że jest do nas ni diabła niepodobny. Obcy. Ten mściwy brodaty staruch nigdy nie był zbyt wiarygodny, co?

– Dostatecznie wiarygodny dla ciebie, ty cholerny hipokryto – przygadał mu dobrodusznie Baron.

Billy wyszedł za nim na korytarz.

– Oddają mu cześć – ciągnął Vardy, idąc ich śladem. – Muszą go ocalić od zniewagi, a raczej od tego, co uważacie za dobrotliwy wyraz sympatii. Założę się, że mieliście dla niego jakieś przydomki. – Przekrzywił głowę. – Założę się, że nazywaliście go „Archie”? Widzę, że mam rację. Powiedz mi teraz: czy jakikolwiek pobożny wyznawca mógłby to ścierpieć?

Przemierzali korytarze muzeum, a Billy nie miał nawet pojęcia, dokąd idą. Czuł się kompletnie niezainteresowany, jakby go tam w ogóle nie było. Wokół było zupełnie pusto. Ciemność i zakamarki muzeum zamykały się za nimi.

– Jak pan... Co pan właściwie robi? – spytał Vardy’ego, gdy mężczyzna przerwał na chwilę potok analiz, żeby złapać oddech. „Jak nazwać ten proces?“, pomyślał Billy. Przeszywająca inteligencja, szaleńcze tempo rozszczepiania memów, przenikliwość każąca w nieistotnych faktach dostrzegać najpierw wzorce, potem zbieżności, potem przyczynowość, w końcu zaś – sens.

Vardy tym razem nawet się uśmiechnął.

– Paranoja – powiedział. – Teologia.

Dotarli do wyjścia, z którego z Billy jeszcze nigdy nie korzystał. Łapczywie chwycił ustami chłodne powietrze. Dzień trwał nadal: drzewa chwiały się na wietrze, a chmury pędziły, jakby gnane jakąś misją. Billy usiadł na kamiennych schodkach.

– A zatem ten gość w piwnicy...

– Jeszcze nie wiem – odparł Vardy. – Włazł komuś w drogę. Jakiś dysydent, może ofiara, coś w tym rodzaju. W tej chwili próbuję tylko nakreślić kształt.

– Po prawdzie to żadna z tych rzeczy nie powinna cię obchodzić – stwierdził Baron. Stał z rękami w kieszeniach i zwracał się do jednego z kamiennych zwierząt. Wiatr szarpał włosami i ubraniem Billy’ego. – Nie powinienes się w tym grzebać. Ale jest jedna rzecz. Najpierw Parnell w autobusie, teraz ta jatka, i po prostu wydaje się, że z jakichś powodów... zwrócili na ciebie uwagę, Harrow.

Udało mu się złapać wzrok Billy’ego, a ten poruszył się niespokojnie. Przeleciał wzrokiem po okolicy, omiatając nim bramę, ulicę i poruszające się drzewa. W podmuchach wiatru unosiły się porzucone śmieci, pełzły po chodniku niczym okazy fauny przydennej.

– Jesteś członkiem spisku, który uwięził ich boga – ciągnął Vardy. – Ale nie tylko. Jesteś dyżurnym specem od kałamarnic, Harrow. Ktoś się tobą zainteresował. Ich zdaniem odgrywasz w tym wszystkim znaczącą rolę. – Stał tak, że osłaniał Billy’ego od wiatru. – To ty odkryłeś, że kałamarnica zniknęła. To ty ją tam umieściłeś. Byłeś znany ze swojej ręki do mięczaków. – Splótł dłonie. – A teraz jeszcze znalazłeś tego trupa. W sumie nic dziwnego, że się zainteresowali.

– Od jakiegoś czasu miałeś wrażenie, że... na coś się zanosi. Mam rację? – spytał Baron.

– Co się ze mną dzieje? – Billy jakimś cudem zdołał mówić spokojnym głosem.

– Nie martw się, Harrow. To zwykła wnikliwość, nie paranoja. – Baron odwrócił się i zaczął podziwiać londyńską panoramę. Gdziekolwiek spojrzeł, za każdym razem, gdy zatrzymał się, wpatrzony w jakąś ciemną plamę, Billy podążał za jego wzrokiem. – Naprawdę dzieje się coś złego. I ty to zauważyłeś. Nie stawia cię to w najlepszym położeniu.

Billy siedział w samym środku zainteresowania tego świata, niczym maleńka ofiara.

– Co chcecie robić? – spytał. – Dowiedzieć się, kto zabił tego faceta, to jasne. Prawda? Ale co ze mną? Znajdziecie kałamarnicę?

– Tak, taki mamy zamiar – przytaknął Baron. – Kradzieże na tle kultowym wchodzą w zakres naszych kompetencji. A teraz mamy też morderstwo. Hm, tak. A twoje bezpieczeństwo ma dla nas, powiedzmy, niebagatelne znaczenie.

– Czego oni chcą? Co Dane ma z tym wszystkim wspólnego? – dopytywał się Billy. – Jesteście jakąś tajną jednostką do spraw kultów, prawda? Dlaczego mi to wszystko mówicie?

– Wiem, wiem, że czujesz się trochę niepewnie – odparł Baron. – Wyeksponowany. Możemy ci pomóc, a ty możesz nam się odwdzińczyć pomocą.

– Czy ci się to podoba, czy nie, siedzisz w tym po uszy – zauważył Vardy.

– Mamy dla ciebie pewną propozycję – ciągnął Baron. – Nie siedź tu na zimnie, tylko wróć z nami do centrum. Czeka tam ktoś, kogo powinieneś poznać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sala otoczyła ich ciasno, jakby niespokojne *geni loci* powoli mościły się na swoich miejscach. Billy czuł się jak kompletny outsider. Co to było? Czy to brzęk szkła odtaczającego się gdzieś w kącie? Grzechot kości?

Dwaj umundurowani strażnicy nie okazali Baronowi żadnych oznak szacunku.

– Zauważyłeś, co? – mruknął nadkomisarz do Billy'ego. – Właśnie wymyślają różne przezabawne rozwinięcia skrótu FPTS. Zaczyna się zawsze od „Fajfusy Pierdolone”.

W środku czekała na nich niegrzeczna młoda policjantka. Zerknęła na Billy'ego może z nieco większą sympatią niż poprzednio, ale jej mundur wyglądał równie luzacko co zwykle. Postawiła laptopa na stole, na którym nie było już kałamarnicy.

– W porządku? – spytała. Żartobliwie zaszalowała Vardy'emu i Baronowi, po czym przyjrzała się Billy'emu spod uniesionych brwi. Pisała jedną ręką.

– Jestem Billy.

Spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć: „Nie, naprawdę?”, po czym zwróciła się do Barona:

– Jest ślad aktywności, szefie.

– Billy Harrow, posterunkowa Kath Collingswood – przedstawił ich sobie Baron.

Kobieta mlasnęła językiem, a może gumą do żucia, po czym odwróciła laptopa, ale nie na tyle, by Billy mógł zobaczyć ekran.

– Niezły wzrost – mruknął Vardy.

– Biorąc pod uwagę, że mamy strajk, człowiek nie spodziewałby się takich fikołów – powiedziała.

Vardy rozejrzał się leniwie po sali, jakby podejrzewał o współudział martwe zwierzęta.

– Chce się pan dowiedzieć, co to za stworzenia? – spytał Billy.

– Nie, nie – odparł Vardy w zamyśleniu. Podszedł do wstęgów złapanych przed wieloma dekadami. Spojrzał na wiekowego młodego aligatora. – Ha! – wykrzyknął w końcu. – Obszedł jakiś eksponat. – Ha! – dodał niespodziewanie. Dotarł właśnie do gablotki zawierającej okazy z Beagle'a. Z wyrazu jego twarzy nie dało się niczego wyczytać. – To one – powiedział po chwili.

– Aha – przytaknął Billy.

– Mój Boże – szepnął cicho. – Dobry Boże. – Nachylił się bardzo blisko i przez dłuższą chwilę czytał etykiety. Gdy w końcu dołączył do Collingswood wprowadzającej dane do komputera, jeszcze raz zerknął na gablotkę Darwina. Policjantka podążyła za jego wzrokiem.

– O, tak! – powiedziała do słoików. – O to mi właśnie chodziło.

– To ty miałaś tu na mnie czekać?

– We własnej osobie. Chodź z nami do pubu.

– Eee... – zająknął się Billy. – Nie planowałem nic podobnego...

– Kolejka dobrze ci zrobi – stwierdził Baron. – Naprawdę dobrze. Idziesz? – odwrócił się do Vardy'ego.

Profesor potrząsnął głową.

– Nie mam daru perswazji. – Pomachał im na do widzenia.

– Nieee – wycedziła Collingswood w stronę Billy'ego – nie ma. Nie chodzi wcale o to, że nie interesuje go perswazja, rozumiesz? Bardzo go fascynuje. Jak jakiś eksponat w słoiku.

– Chodź, Billy – oznajmił Baron. – Chodź i napisz się na koszt londyńskiej policji.

Gdy wyszli na zewnątrz, świat kołysał się lekko. Zbyt wielu ludzi na skrzyżowaniach rozmawiających ściszonymi głosami, zbyt klaustrofobiczne ulice, reszty dopełniało przytłaczające niebo. Collingswood obserwowała chmury spod zmarszczonych brwi, jakby nie podobał jej się ich wygląd. Pub okazał się skąpo oświetlonym lokalem ozdobionym starymi znakami drogowymi i kopiami starych map. Usiedli w najdalszym kącie, ale pozostali klienci, mieszanka pracowników biurowych i podejrzanych typów, najwyraźniej zdawali się zaniepokojeni obecnością umundurowanej, choć nieortodoksyjnej, funkcjonariuszki.

– A zatem... – zaczął Billy, po czym stwierdził, że nie wie, co powiedzieć.

Collingswood zadawała się tym nie przejmować. Gdy Baron poszedł do baru, przez chwilę wpatrywała się w swego towarzysza, po czym poczęstowała go papierosem.

– Tu chyba nie wolno palić – stwierdził niepewnie Billy.

Kobieta wzruszyła ramionami i zapaliła. Dym otoczył ją, tworząc fantastyczne kształty. Billy czekał.

– Jest tak – oznajmił Baron, stawiając napoje na blacie. – Słyszałeś, co mówił Vardy. Parnell i utyci mają na ciebie oko. Twoja sytuacja nie należy zatem do najbezpieczniejszych.

– Przecież jestem nikim. Doskonale o tym wiecie.

– To nie ma żadnego znaczenia – odparł Baron. Billy był zaskoczony tym, jak bardzo drażni go widok Collingswood pijącej i palącej w mundurze. – Dokonajmy małego podsumowania. Vardy... widziałeś go w akcji. Wiesz, czym się zajmuje. Mimo całego naszego doświadczenia, w tym przypadku, *vis-à-vis*... czyli w obecnej sytuacji, przydałaby nam się opinia kogoś z zewnątrz. Jakiegoś specjalisty. Na przykład ciebie. W końcu mamy do czynienia z fanatykami, a oni zawsze są ekspertami w swojej dziedzinie. Dlatego musimy zdobyć własnych ekspertów. I na tym właśnie polega twoja rola.

Billy wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. W pewnym momencie nawet parsknął śmiechem.

– Zastanawiałem się, kiedy powie pan coś takiego, ale potem powiedziałem sobie: nie, nie wygłupiaj się.

– My tu wszyscy chyba wiemy o kałamarnicach olbrzymich – dodała Collingswood. Nazwa zwierzęcia, wypowiedziana jej sarkastycznym tonem, z silnym londyńskim akcentem, zabrzmiała wręcz absurdalnie. – Prawda, że dotąd gównu nas to obchodziło, ale widzisz, jak jest.

– W takim razie dajcie mi spokój – zażądał Billy. – Nie jestem żadnym specjalistą.

– No, nie bądź taki.

– Nie chodzi o to, ile książek wykułeś na pamięć – dodał Baron. – Odczuwam zdrowy respekt dla kultystów. A oni naprawdę uważają cię za kogoś wyjątkowego, niezależnie od tego, co sam myślisz na swój temat. Pamiętasz spotkanie z Dane'em Parnellem? To okno w autobusie?

– Co takiego? Że pękło?

– Mówiłeś, że widziałeś, jak pęka. Jak sądzisz, czym to było spowodowane? – Baron pozwolił pytaniu na chwilę zawisnąć w powietrzu. – My, to znaczy FPTS... musimy stosować subtelniejsze metody niż pozostali funkcjonariusze. Zawsze warto mieć jakichś członków spoza własnej jednostki.

– Pan naprawdę próbuje mnie zwerbować – stwierdził Billy z narastającym niedowierzaniem.

– Wiążą się z tym pewne korzyści – dodał Baron. – Niewiele obowiązków. Tajne informacje i takie tam. Trochę kasy. Szczerze mówiąc, żadne kokosy, ale na pizzę zawsze starczy.

– Proszę mi powiedzieć – zaczął słabo Billy – czy ktokolwiek w FPTS ma w ogóle zwyczaj robić cokolwiek z sensem? – Spojrzał z roztargnieniem na swoich kompanów od kufla. – Nie sądziłem, że ktoś postanowi mnie dziś zwerbować.

– Aha, i do tego takie szumowiny – stwierdziła Collingswood. Wydmuchnęła obłok dymu i uśmiechnęła się złośliwie. Wciąż nikt nie podchodził do stolika, by powiedzieć jej, że ma zgasić papierosa.

– Chcemy mieć cię po swojej stronie, Billy – nalegał Baron. – Mógłbyś pomóc Vardy'emu. Znasz wszystkie potrzebne książki. Rozumiesz, o co chodzi z tymi kałamarnicami. Podczas każdego śledztwa zaczynamy, rzecz jasna, od wierzeń, ale biologia też się nam przyda. A poza tym, muszę wspomnieć, że... – mężczyzna zmienił pozycję, jakby chciał poruszyć drażliwy temat. – Pewnie wiesz, jak wygląda procedura. Ilekroć szukasz mordercy, zawsze zaczynasz od osoby, która znalazła ciało. Poza tym należy pamiętać, że miałeś też dostęp do zbiornika. – Billy spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami, po czym zaczął wstawać z miejsca. Baron ściągnął go z powrotem. – Siadaj, durniu – powiedział ze

śmiechem. – Próbuję tylko powiedzieć, że gdybyśmy tylko chcieli, moglibyśmy podejść do tego zupełnie inaczej. Gdzie był pan w nocy z dnia takiego na takiego itepe, itede. Ale równie dobrze możemy zacząć sobie pomagać. My potrzebujemy wiedzy specjalistycznej, a ty ochrony. Wszyscy wygrywają.

– A zatem dlaczego mi grozicie? – spytał Billy. – Poza tym mówiłem już, że nie mam żadnej specjalistycznej wiedzy...

– I może jeszcze powiesz mi – przerwał Baron, unosząc podbródek, jakby chciał powiedzieć „nie wciskaj mi kitu” – że nie wyczułeś, jak bardzo niesamowita była ta cholerna rzecz?

– Kałamarnica?

– Tak, Billy Harrow, *Archi-kurwa-teuthis*. Kałamarnica olbrzymia. Ten stwór w słoju. Którego zabrali. Ten, który był i go nie ma. Naprawdę jesteś zaskoczony, że ktoś mógłby go czuć? Chcesz wiedzieć dlaczego? Jakie są stawki? Przecież wiesz, że coś się tu dzieje. Nie chcesz dowiedzieć się więcej?

– Nowe życie i nowe cywilizacje – dodała Collingswood, poprawiając makijaż w kieszonkowym lusterku.

Billy potrząsnął głową.

– A niech to wszyscy diabli.

– Nieee – odparła Collingswood. – To inny wydział.

Billy zamknął oczy, a potem otworzył je, słysząc dźwięk szkła wibrującego na stole. Posterunkowa i nadkomisarz popatrzyli po sobie.

– Czy on... – zaczęła Collingswood i znów spojrzała na Billy’ego, tym razem z zainteresowaniem.

– Wiemy, że jesteś trochę wytrącony z równowagi – powiedział ostrożnie Baron. – To właśnie czyni cię idealnym kandydatem.

– Wytrącony z równowagi?! – Billy pomyślał o mężczyźnie w słoju. – To bardzo delikatnie powiedziane. A teraz chcecie, żebym coś dla was sprawdzał? O to chodzi?

– Na dobry początek.

– Nie, nie sądzę – uciął kustosz. – Wolałbym wrócić do domu i zapomnieć o wszystkim.

– Jasne – odparła Collingswood i zaciągnęła się dymem. Przyćmione światło załśniło na złotej lamówce. – Mówisz tak, jakbyś rzeczywiście potrafił o tym zapomnieć. Jakbyś uważał, że jesteś w stanie. – Zakołysała się na krześle. – Powodzenia, brachu.

– Nikt nie wątpi, że właśnie to byś wolał – powiedział z naciskiem Baron. – Niestety życie nie zawsze pozostawia nam wybór. Nawet jeśli nie jesteś nim zainteresowany, to ono i tak zainteresuje się tobą. Ale wróć do tego za chwilę. Widzisz, Billy... prawda jest taka, że już dawno temu powinniśmy wypaść z obiegu, FPTŚ założono w przededniu roku 2000. Zmontowano go z paru starszych jednostek, z założenia miał to być twór tymczasowy.

Nadchodziło millennium i wszyscy tylko czekali, aż jacyś opętańcy podpalą parlament albo złożą Cherie Blair w ofierze swoim koźlim władcom.

– Ale nic z tego – prychnęła Collingswood, po czym wypuściła dym z ust, wciągając go jednocześnie nosem. Wyglądało to obrzydliwie, ale Billy nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Dupa z króla – przytaknął Baron. – Było trochę idiotycznych wygłupów, ale ta wielka eksplozja, nazwijmy to, milenializmu, której wszyscy się spodziewaliśmy... po prostu nie nadeszła.

– W każdym razie nie wtedy.

– Ty w ogóle pamiętasz millennium? – spytał Billy złośliwie. – Nie oglądałaś wtedy czasem Teletubisiów?

Kobieta uśmiechnęła się krzywo.

– Kath ma rację – stwierdził Baron. – Nastąpiło opóźnienie. Wszystko nadeszło dopiero potem, aż w końcu robota nas przygniotła. Nic mnie nie obchodzi, czego chcą te grupy, pod warunkiem, że zachowają to dla siebie. Jeśli tylko masz ochotę, możesz nawet pomalować się na niebiesko i ocierać o kaktusy, pod warunkiem, że robisz to w domu i nie powodujesz ofiar w ludziach. Żyj i daj żyć innym. Ale nie ma tak dobrze. – Przy każdym następnym słowie stukał palcem w stół. – Wszystkie te grupy mają jakieś swoje objawienia, apokryfy...

– To zawsze sprowadza się do jednego – stwierdziła Collingswood.

– Trochę tak – zgodził się Baron. – W każdej świętej księdze najciekawszy jest ostatni rozdział.

– Pieprzeni święci Janowie. Rachu-ciachu i do piachu.

– Moja koleżanka – wyjaśnił Baron – uważa, że mamy do czynienia z plagą świętych Janów. Epidemią eschatologiczną. Żyjemy w epoce konkurencyjnych końców świata – dodał, zbyt obojętnym tonem, by mógł to być żart.

– Ragnarok kontra Taniec Ducha, Kalijuga kontra Al-Qiyama, ple, ple, ple.

– Tak się w dzisiejszych czasach zdobywa wyznawców – stwierdził Baron. – W dziedzinie apokalipsy nastał rynek kupującego. W każdej herezji najciekawszy jest zawsze armagedon.

– Kiedyś tylko o tym gadali – zauważyła Collingswood. – Ale teraz nagle coś się zaczęło dziać.

– I wciąż się upierają, że to ich apokalipsa nadejdzie – dodał Baron. – A to oznacza kłopoty, ponieważ zaczynają się o to bić.

– Dlaczego ciągle powtarzacie, że coś się dzieje? – spytał Billy, ale trudno mu było ogarnąć to, co przed chwilą usłyszał. Poza tym widział ostatnio tyle niemożliwych rzeczy, że ciężko było mu się zdobyć na pogardliwy ton.

Collingswood dziabnęła powietrze palcami, a potem zatarła dłonie, jakby chciała pokazać, że coś czuje – jakby otaczający świat zostawił na niej jakiś osad.

– Gdy ci wszyscy prorocy nagle zaczynają się w czymkolwiek zgadzać, my zaczynamy się martwić – oznajmiła. – Nawet wtedy, a zwłaszcza wtedy, gdy mimo wszystko nie zgadzają się co do szczegółów. Słyszałeś o kapturowcach i antyspołeczniakach, którzy siedzą we wschodnim Londynie? – Potrząsnęła głową. – Bractwo Vulpusa poszło na nich ostatnio z grupą druidów. Masakra. Ich sierpy są cholernie ostre. Wszędzie trąbią o tym, że nadchodzi koniec świata.

– Jesteśmy przeciążeni, Harrow – ciągnął Baron.

– Oczywiście, zajmujemy się też innymi rzeczami: ofiary z dzieci, znęcanie się nad zwierzętami, takie tam. Ale właśnie przy końcu świata zawsze dzieje się najwięcej. Coraz trudniej nam pacyfikować te apokaliptyczne rozruchy. Nie dajemy rady – przyznał. – Mówię to szczerze. Zapomnijmy na razie o tym, co zaszło. Nie zrozum mnie źle – ja też nie mam czasu na wróżenie z fusów. Ale mimo wszystko. Jakiś czas temu połowa proroków w Londynie zaczęła wiedzieć, podkreślam, wiedzieć, że świat zmierza ku końcowi. – W jego głosie nie było ani śladu drwiny. – Niech mnie oskubią, jeśli wiem, co tam zaszło, ale nagle wszystko nabrało wyrazistości. Mniej więcej wtedy, gdy stało się... sam wiesz co.

– Wcięło twoją kałamarnicę – uściśliła Collingswood.

– To nie jest moja kałamarnica.

– Ależ jest – zaprotestowała. – Daj spokój, a niby czyja? – Gdy to mówiła, Billy nagle poczuł, że ma rację. – Znów to samo – stwierdziła po chwili. – Znów się zbliża.

– Wmieszali w to postronnych – stwierdził Baron. – Nie jest dobrze. Robimy, co możemy, by nie mieszać do tego cywilów. Ale gdy przypadkiem napatoczy się jakiś specjalista, ktoś taki jak ty, to... no cóż. Wykorzystujemy sytuację.

– Niektórych rekrutuje się lepiej niż innych – stwierdziła Collingswood, przyglądając się Billy'emu uważnie. Pochyliła się bliżej. – Weź, otwórz usta – poleciła. Mężczyzna nawet nie próbował odmówić. Zajrzała do środka. – Nie powinieneś był mówić swoim kumplom o tej kałamarnicy. Nie powinieneś był móc.

– Vardy wcale mnie nie potrzebuje – upierał się Billy. – Potrafi sam wszystko znaleźć. A ja nie potrzebuję waszej opieki.

– To prawda, że profesor ma dość nieprzyjemny sposób bycia – stwierdził Baron i poczęstował się papierosem Collingswood.

– Gdy o nich mówił... O kalmarystach. Brzmiało to tak, jakby był jednym z nich.

– Trafiłeś w dziesiątkę. On jest jakby jednym z nich. Miał swoje własne, małe objawienie.

– O, tak. Swój zawsze pozna swego.

– Co? – zachłysnął się Billy. – Był jednym z...?

– Jednym z wierzących – dokończył Baron. – Wychował się w ultrafundamentalistycznej rodzinie. Kreacjoniści, literaliści. Jego ojciec był jednym z przywódców grupy. Tkwił tam przez lata. Stracił wiarę, ale nie zainteresowanie i, na szczęście, nie stracił nosa. Potrafi

rozpracować każdą nową sektę jak neofita, ponieważ – Baron uderzył się w pierś – przez chwilę rzeczywiście się nim staje.

– To coś więcej – stwierdziła Collingswood. – On ich nie tylko rozumie. – Uśmiechnęła się do Billy’ego poprzez dym. Uniosła rękę do ust, jakby zamierzała szeptać, ale mówiła normalnie. – On za tym tęskni. Jest nieszczęśliwy. Kiedyś nie musiał się użerać z tą gównianą, całkowicie losową rzeczywistością. Wkurza się na świat, że jest taki bezbożny i bezsensowny, no nie? Gdyby mógł, wróciłby do swojej starej wiary choćby jutro. Ale teraz jest już na to za mądry.

– To krzyż, który musi dźwigać – stwierdził sentencjonalnie Baron. – Bum, bum! Dziękuję wam.

– On wie, że religia to ściema – dodała Collingswood. – Ale wolałby, żeby było inaczej. Dlatego tak dobrze rozumie świrów. Dlatego na nich poluje. Tęskni za czystą wiarą. Zazdrości im.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W mżącym deszczu Baron odwiózł Billy'ego do mieszkania.

– Kath rzuci okiem na twoje zabezpieczenia.

– Nie mam żadnych.

– To jasne.

– Nie chcę, żeby ci się coś stało – stwierdziła policjantka. – Teraz jesteś naszym skarbem.

– Billy rzucił jej spojrzenie z ukosa. – I nie wpuszczaj nikogo do chaty przez, nie wiem, parę dni czy coś.

– Żartujesz?

– Posłuchaj, ci ludzie nie są głupi – oznajmił pojednawczo Baron. – Będą wiedzieli, że cię obserwujemy. Ale jednocześnie mają do ciebie parę pytań, a ciekawość to poważna siła. A zatem musimy uznać, że liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo, prawda? – Odwrócił się, by spojrzeć na Billy'ego, który jechał na tylnym siedzeniu. – Zapewniam cię, że to rozwiązanie nie podoba mi się równie mocno jak tobie. No dobrze, może jednak tobie podoba się jeszcze mniej. – Zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Nie powinniście mnie czasem chronić?

– *Chcesz być w mojej bandzie, mojej bandzie, mojej bandzie* – śpiewała Collingswood.

– Gary Glitter? – spytał Billy z niedowierzaniem.

– To w zasadzie żadne niebezpieczeństwo – powiedział z wahaniem Baron. – Najwyżej niebezpieczeństwko. Nikt nie mówi, że masz przestać wpuszczać kogokolwiek.

– Ja mówię! – wtrąciła Collingswood, ale Baron nie dał się zbić z tropu:

– Jeśli będzie to ktoś, komu ufasz, to nie ma problemu. Po prostu bądź ostrożny. Jesteś tylko płotką, a oni już mają to, czego chcieli.

– Kałamarnicę.

– Collingswood zainstaluje ci dobry, sprawdzony system antywłamaniowy. Nic się nie stanie. A jeśli przyjmiesz naszą ofertę, to może nawet go rozbudujemy.

Billy patrzył na nich osłupiały.

– To nie żadna oferta pracy. To haracz za ochronę. I to całkiem dosłownie.

Collingswood cmoknęła z dezaprobatą.

– Ależ z ciebie primadonna. – Poklepała mężczyznę po policzku. – To zwykłe świadczenia socjalne. Każda porządna praca takie ma.

Baron poprowadził Billy’ego do kuchni, podczas gdy posterunkowa kręciła się przy drzwiach wejściowych. W zamyśleniu przyjrzała się korytarzowi i szafce, na której Billy kładł swoje klucze i pocztę. Prezentowała sobą naprawdę niezwykły widok: stojąc na palcach, z włosami w nieładzie, lekko trzymając papierosa wargami, jak aktorka we francuskim filmie, zaczęła dźgać palcami górny narożnik framugi z pewnością siebie i precyzją, której Billy zdecydowanie nie spodziewał się u kogoś tak młodego.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli – oznajmił Baron. Bez zaproszenia zaczął rozglądać się po kuchni w poszukiwaniu kawy. – Nikt nie każe ci rezygnować z twojej normalnej pracy. Wystarczy nam jeden dzień tygodniowo na szkolenia. Teologia ekstremalna, samoobrona, takie rzeczy. A wpada ta odrobina kasy, o której wspominałem. – Pociągnął łyk kawy. – Rozumiem, że to wszystko może być trochę przytłaczające.

– Czy to ma być żart, do cholery? – wykrzyknął Billy. – „Trochę przytłaczające”? Dziś rano znalazłem człowieka zapeklowanego w słoju. A teraz próbują mnie zwerbować gliniarze, mówiąc, że ścigają mnie wyznawcy Cthulhu...

– W porządku – dodał uspokajająco Baron. Billy zauważył, że nie trzeba mu było wyjaśniać, kim jest Cthulhu. – Uspokój się. Powiem ci, co o tym sędzę. Ktoś cię śledzi. Ale na razie trzyma się z daleka. Może spróbują cię nawrócić. Kreacjoniści są szczęśliwi jak dzieci, gdy tylko mogą się pochwalić jakimś naukowcem. Pomyśl, co dałaby ta banda, żeby mieć u siebie prawdziwego kałamarologa.

– O, super – stwierdził Billy. – To bardzo pocieszające. O ile nie okaże się, że jednak pragną mi wyciąć serce.

– Vardy potrafi się w nich wczuć – stwierdził Baron. – Jeśli uważa, że ci nie zagrażają, to znaczy, że tak jest.

Z drugiego pokoju dobiegł odgłos walenia, a potem jakiś zgrzyt.

– Co ona wyprawia? – zaniepokoił się Billy.

– Skup się, Harrow. Naszym profesjonalnym zdaniem, moim i Vardy’ego, kalmarzyści próbują w tej chwili dociec, czyje interesy reprezentujesz.

– Ja nic nie reprezentuję!

– To prawda, ale oni tego nie wiedzą. A w tym świecie, gdzie się teraz znalazłeś, każdy reprezentuje czyjeś interesy. Jasne? Wszystko coś reprezentuje.

– Chyba nie zdobyłabym za to żadnej nagrody – stwierdziła Collingswood, wchodząc do kuchni z rękami w kieszeniach. Wzruszyła ramionami. – Ale sprawdzi się w podstawowych zastosowaniach. Wejście tylko za zaproszeniem. Powinno wytrzymać, póki Doktor Ośmiorniczka się nie zdecyduje. I niczego mi tu nie dotyczyć! – pogroziła mężczyźnie palcem. – Serio, łapy precz.

– Vardy przecież powiedział, że nie mam się czego bać. Myślałem, że on się nigdy nie myli?

– Nigdy – przyznała kobieta i wzruszyła ramionami. – Ale nigdy nic nie wiadomo, co nie?

– To tylko podstawowe środki ostrożności – uspokoił go Baron. – Powinieneś zobaczyć, jak wygląda mój dom. Posiedź tu przez parę dni i przemyśl to wszystko. Będziemy cię o wszystkim informować. Rozstawiliśmy czujki, wiemy już, czego szukamy. Oferta jest ciągle aktualna. Odezwij się wkrótce, zgoda?

Billy potrząsnął bezradnie głową.

– Jezu, dajcie mi tylko...

– Myśl sobie, ile chcesz – ciągnął Baron – ale zachowaj te przemyślenia dla siebie, dobrze? Kath?

Collingswood podeszła do kustosza i lekko dotknęła jego grdyki. Mężczyzna cofnął się gwałtownie.

– Co to by... – zaczął.

– Spróbuj teraz coś wypaplać – rzuciła krótko. – To dla twojego dobra. Zaufaj mi.

– Nie ufam ci.

– Bardzo rozsądnie.

– Skup się teraz. Tu masz mój numer telefonu – Baron podał mu wizytówkę.

– Mojego nie dostaniesz – dodała Collingswood. – Trzeba sobie zasłużyć na takie ekstrasy.

– Jeśli zobaczysz coś dziwnego albo niepokojącego... albo wręcz przeciwnie, gdy już uznasz, że chcesz dołączyć do załogi...

– Jeśli – podkreślił Billy.

– Gdy już uznasz, że chcesz do nas dołączyć, po prostu zadzwoń.

Coś dziwnego. Billy pomyślał o zabutelkowanych zwłokach. Poszarzała skóra, wytrzeszczone oczy.

– Ale tak poważnie – powiedział cichym głosem. – Co oni zrobili z tym człowiekiem? Jakim cudem wykradli kałamarnicę?

– Oj, Harrow – Baron potrząsnął przyjaźnie głową. – Przecież już mówiłem. Wszystkie te „dlaczego” wcale nie ułatwiają nam zrozumienia problemu. I, do licha, jest mnóstwo rzeczy, których jeszcze nie widziałeś. Skąd pomyśł, że rozumiesz, co tu się dzieje? Choćbyś nawet bardzo chciał. Jak już mówiłem, kropka, kropka, kropka. A zatem, zamiast rozmyślać nad rzeczami, których z pewnością nie zrozumiesz, po prostu zaczekaj. Jak to mówią, pożyjemy, zobaczymy. Niedługo coś się wydarzy. A teraz, do widzenia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przy wejściu do mieszkania, gdzie Collingswood wcześniej odprawiała swój dziwny rytuał, były ślady. Małe zadrapania. Mała łata z drzewa balsy, prawie niedostrzegalna na tle drzwi. Billy trącił ją paznokciem.

Nie był pewien, czy ma ochotę niszczyć – jakkolwiek wątpliwą – ochronę, jaką mu to dawało. Zaryglował wszystkie zamki. Potem przez chwilę wyglądał przez okno, spoglądając na przeciwległy dach, gdzie prawdopodobnie wciąż siedziała ta obrzydliwa wiewiórka. Miał nadzieję, że utonie w deszczu.

Zaczął przeglądać sieć, ale nie znalazł ani słowa na temat FPTs. Tysiące organizacji nosiło tę nazwę, ale żadna z nich nie przypominała jednostki Barona. Na uniwersyteckiej stronie Vardy'ego znalazł tylko listę jego publikacji: *Edyp, charyzma i Jim Jones, Sayyid Qutb a problem organizacji psychologicznej, Dialektyka Waco*.

Potem pił wino, siedząc przed ściszonej telewizorem – teatr cieni z butelką w roli głównej. Jak często otrzymuje się podobne oferty? Pewnego dnia z szafy wychodzi rycerz i proponuje, że zabierze cię do innego świata, ale musisz pójść z nim natychmiast. Czy kałamarnica wciąż gdzieś była, czy została zniszczona? Nie ufał swoim nowym kolegom. Nie podobały mu się ich metody werbunku.

Patrzył na zasłony zwisające bezwładnie w błękitnym świetle telewizora, przypominając sobie makabryczne odkrycie w podziemiach muzeum. Nie czuł się zmęczony. Wyobraził sobie okno ukryte za kawałkiem tkaniny. Obudził się na kanapie, zdjęty nagłą paniką.

Kiedy, do licha, zdążył zasnąć? W ogóle tego nie zauważył. Książka – nie pamiętał, żeby w ogóle wziął ją do ręki – zaczęła się z niego zsuwać jak zbyt krótki koc. Było ciemno. Billy zdał sobie sprawę, że ktoś stuka do drzwi.

Cichy odgłos, niczym stukot łapek gekona. Zgrzyt paznokcia i, tak, jakiś szept. Billy zamarł w bezruchu. Próbował wmawiać sobie, że to pozostałości jakiegoś snu, ale wiedział, że nie ma racji. Dźwięk znów się powtórzył. Billy zakradł się do kuchni i chwycił nóż. Ciche, bardzo cichutkie odgłosy dobiegły go znowu. Przyłożył ucho do drzwi. Potem otworzył je, zdumiony własną odwagą i bezszelestną zręcznością ninja. Gdy nacisnął klamkę, zdał sobie sprawę, że powinien teraz dzwonić do Barona, zamiast nieudolnie odgrywać straż obywatelską. Moment pędu porwał go jednak za sobą, a drzwi powoli się otwierały.

Korytarz był pusty.

Spojrzał na drzwi sąsiadów. Nie było żadnych przeciągów, nic, co wskazywałoby na pospieszne zamknięcie którychkolwiek drzwi. Żadnych wirujących pyłków kurzu. Billy spoglądał w pustkę. Stał tam przez parę sekund, które potem zmieniły się w parę minut. Wyłonił się niczym galion okrętu, by dojrzeć jak największy kawałek korytarza. Wciąż nic. Tej nocy nie spał w łóżku. Przyniósł sobie kołdrę i rozłożył się na kanapie, bliżej drzwi, by w razie czego móc wszystko usłyszeć. Nie doleciały go już żadne podejrzane dźwięki, ale tej nocy prawie nie zmrzył oka.

Rano zjadł tosta w nienaturalnie cichym mieszkaniu, podczas gdy z okien napierała na niego równie nieubłagana cisza. Rozsunął zasłony na tyle, by móc dojrzeć szare niebo, splątane gałęzie, liście i niesione wiatrem plastikowe torebki i wypatrywać widma wiewiórczego podglądacza.

Billy nigdy nie miał zbyt wielu przyjaciół, ale zazwyczaj nie czuł się samotny, a przynajmniej nie do tego stopnia. MOZESZ WPASC? CHCE POGADAC. PROSZE, napisał do Leona. Miał poczucie, że oto wyrywa się z pułapki, którą zastawili na niego Collingswood z Baronem. Odważne, niepokorne zwierzątko. Miał nadzieję, że ta ucieczka nie będzie wymagała odgryzienia sobie kończyny.

Gdy Leon w końcu się zjawił, Billy znów czatował przy wejściu.

– Co za jaja tu odchodzą?! – wykrzyknął przyjaciel na powitanie. – Ja nie mogę, co za dziki dzień. Stoczyłem po drodze chyba ze trzy bójki. Wyobrażasz sobie! Ja, taki spokojny człowiek! Przyniosłem ci pocztę. I wino – dodał, podając Billy’emu reklamówkę. – Wiem, że jest trochę wcześniej, ale... Co tu się, kurwa, dzieje? Czemu zawdzięczam... Jezu, Billy.

– Wejdz, proszę. – Przyjaciel odebrał od niego torbę i koperty.

– Jak już mówiłem: czemu zawdzięczam dwa spotkania w tak krótkim odstępie czasu?

– Napij się. Nie uwierzysz, co się zdarzyło.

Usiadł naprzeciw przyjaciela i otworzył usta, by opowiedzieć mu o wszystkim. Nie wiedział jednak, czy zacząć od ciała w słoju, od policjantów, czy od ich dziwnej propozycji. Język telepał mu się bezwładnie, niczym kawałek mięsa. Przełknął ślinę, jakby dochodził do siebie po wizycie u dentysty.

– Nie rozumiesz – zaczął. – Nie pokłóciłem się z tatą, po prostu straciliśmy ze sobą kontakt. – Nagle zdał sobie sprawę, że kontynuuje rozmowę, którą prowadzili kilka miesięcy temu. – Za to nigdy nie lubiłem mojego brata. Zerwałem z nim kontakty zupełnie świadomie. Ale tata... – Po prostu uważał swego ojca za straszego nudziarza. I odkąd pamiętał, zawsze odnosił wrażenie, że ten lekko agresywny mężczyzna, z którym mieszkał od czasu śmierci matki, myśli o nim dokładnie to samo. Dlatego parę lat wcześniej pozwolił wzajemnym kontaktom obumrzeć śmiercią naturalną. – Pamiętasz te kreskówki, które kiedyś puszczali w soboty? – zapytał, próbując opowiedzieć o trupie w słoju. – Pamiętam, że raz... – Pokazał ojcu film, który strasznie go zachwyił, i zobaczył na twarzy mężczyzny wyraz zagubienia. Jego

ojciec nie potrafił zrozumieć radości syna, ani nawet udawać, że ją rozumie. Wiele lat później pomyślał, że właśnie w tamtej chwili, choć nie miał jeszcze dziesięciu lat, zaczął podejrzewać, że nie mają z ojcem zbyt wiele wspólnego. – Wciąż mam ten film – dodał. – Znalazłem go ostatnio na jakiejś stronie. Chcesz zobaczyć? – Był to film wyprodukowany przez Harmana i Isinga, a Billy oglądał go wielokrotnie. Mieszkańcy słoików na półce w aptece wyruszają na wyprawę. Niezwykły, przerażający film. – Wiesz, jak to jest – ciągnął niezrażony. – Czasem, gdy coś konserwuję albo pracuję w mokrym labie, albo coś w tym stylu, przyłapuję się na tym, że nucę którąś z tych piosenek. „Roztwór amo-o-ooniaku...”

– Billy – Leon uniósł dłoń, by przerwać ten słowotok. – Co się dzieje?

Billy znów przerwał i spróbował zacząć od nowa. Przełknął ślinę i zaczął walczyć z własnymi ustami, jakby wypychał z nich jakiegoś żarłocznego intruza. W końcu wziął głęboki wdech i zaczął opowiadać to, co chciał. O tym, co znalazł z podziemiach. Opowiedział też o propozycji policjantów. Leon nawet się nie uśmiechnął.

– Jesteś pewien, że wolno ci o tym mówić?

Billy roześmiał się ponuro.

– Nie, ale sam widzisz.

– Wiesz, że to, co mówisz, jest po prostu niemożliwe?

– Wiem. Wiem, że tak.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, aż w końcu Leon powiedział:

– Możliwe, że są... są rzeczy na niebie i ziemi...

– Jeśli zacytujesz teraz Szekspira, to chyba cię uduszę. Leon, na litość boską, znalazłem trupa w słoiku.

– Mocna rzecz. I chcieli cię zwerbować? Masz zostać gliną?

– Konsultantem.

„Łał” powiedział Leon kilka miesięcy wcześniej, gdy przyszedł do muzeum obejrzeć kałamarnicę. „Łał” – tak jakby zobaczył szkielet dinozaura, klejnoty koronne albo akwarełę Turnera. „Łał” – identycznym tonem jak rodzice, partnerzy i inni ludzie przychodzący do centrum na prośbę kogoś innego. Billy był zawiedziony.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał.

– Nie mam pojęcia. – Billy spojrział na pocztę przyniesioną przez Leona z dołu. Dwa rachunki, kartka i ciężka paczka owinięta w brązowy papier, przewiązana staromodnym sznurkiem konopnym. Włożył okulary i przeciął go nożem. – Widziałeś się ostatnio z Marginalią? – spytał.

– Tak. Nie wymawiaj jej imienia takim tonem albo poproszę, żeby ci wyjaśniła, dlaczego je wybrała – Leon bawił się telefonem. – Ma całą teorię.

– Nie, nic mi nie mów – przerwał Billy. – Niech zgadnę. Kluczem do tekstu nie jest sam tekst, lecz... – Zmarszczył brwi. Nie miał pojęcia, co właśnie rozpakował. Wewnątrz znajdował się kawałek czarnej bawełny.

– Czekał, zaraz do niej napiszę. Będzie zachwycona!

– Nic jej o tym nie mów! I tak wypląłem więcej, niż powinienem... – Eksperymentalnie trącił tkaninę. Paczka poruszyła się lekko. – O kurwa.

– Co? Gdzie?

Obaj stanęli przy stoliku, Billy wpatrywał się osłupiały w paczkę leżącą teraz bez ruchu na blacie, gdzie ją przed chwilą upuścił. Zapadła cisza. Billy wyjął z kieszeni długopis i znów trącił prostokąt.

Tkanina opadła, a paczka otworzyła się przed nimi.

Rozwinęła się niczym kwiat. Wciągając powietrze, unosząc się w górę, sięgając na boki i wypełniając się kształtem. Spomiędzy fałdów wynurzyła się ludzka ręka. Ręka mężczyzny okryta ciemnym rękawem marynarki. Chwyła Billy'ego za gardło.

– Jezu! – Leon odciągnął przyjaciela od stołu, a paczka, wciąż czepiająca się jego szyi, szarpnęła w swoją stronę, mimo pozornego braku oparcia.

Ręka trzymała Billy'ego, a tymczasem paczka rozwijała się dalej. Języki tkaniny wylatywały z niej we wszystkie strony potem nagle pokazały się czarno-niebieskie buty włożone na pęczniące członki, jakby ich materia nagle wracała do poprzedniej postaci. Jakieś ręce rozwinęły się niezdarnie niczym węże strażackie i mocno popchnęły Leona.

Niczym rośliny na filmie przyrodniczym, wydając z siebie stęknienia ulgi i rozsiewając zapach skwaśniałego potu, z paczki wynurzyli się mężczyzna i chłopiec. Dziecko zapatrzyło się na Leona i chwiejnie ruszyło przed siebie. Mężczyzna wciąż trzymał Billy'ego za gardło.

– A niech mnie – stwierdził mężczyzna i zeskoczył ze stołu, nie puszczając swej ofiary. Był żylasty, miał na sobie stare dzinsy i brudną marynarkę. Potrząsnął posiwiałymi włosami.

– Niech mnie drzwi ścisną, to było straszne. – Spojrzał na Leona. – No co? – dodał głośno, jakby domagał się wyrazów współczucia.

Chłopiec powoli zszedł na krzesło, a potem na podłogę. Miał na sobie czysty, wyraźnie za duży garnitur. Odświętny strój.

– Chodź tu, mały. – Mężczyzna polizał palce wolnej ręki i przycisnął do zmierzwionych włosów chłopczyka.

Billy nie mógł oddychać i czuł, że wokół zapada ciemność. Napastnik przycisnął go do ściany.

– W porządku – oznajmił, po czym wskazał na Leona, który zamarł, jakby porażony tym gestem. – Pilnuj go, Subby. Pilnuj go jak borsuk w nocy. – Dwoma palcami wskazał na swoje oczy, potem znów na Leona. – Jak spróbuje się ruszyć, daj mu popalić. A teraz...

Chłopiec wpatrywał się w Leona wielkimi oczami, które wyglądały na zbyt szeroko otwarte.

– Aha – stwierdził mężczyzna, obwąchując framugę. – Niezła jest. Dobra robota, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Ale dobrze się składa, bardzo dobrze, ponieważ nie ma tu niczego,

co utrudniałoby opuszczenie tego miejsca. Teraz, gdy już tu trafiliśmy, nic nie przeszkodzi nam wyjść. – Nachylił się w stronę Billy’ego. – Powiedziałem, że nic nie przeszkodzi nam wyjść. Nie pomyślałeś o tym, co? Ty mały taki-owaki.

Z gardła Billy’ego wydobył się charczący odgłos. Mężczyzna przyłożył palec do ust, po czym spojrzał wyczekująco na chłopca, który także zaczął uciszać ofiarę gestem.

– Goss i Subby znów w akcji – stwierdził mężczyzna, po czym rozwinął język i posmakował powietrze. Przycisnął Billy’emu rękę do ust, pozwalając by pluł mu w chłodną dłoń. Potem przeszedł się po mieszkaniu, wciąż ciągnąc za sobą ofiarę, liząc podłogi, ściany i wyłączniki światła. Przejechał językiem po telewizorze, zostawiając smugę śliny w warstwie kurzu.

– Co za okazy, co za okazy, co za okazy tu masz lepidopterologu? – spytał półek z książkami. Wyciągnął kilka książek, po czym rzucił je na podłogę. – Neeee – stwierdził. – Gówno z tego czuję.

Wtedy nagle rzucił się na niego Leon. Mężczyzna podciął mu nogi i patrzył, jak pada na podłogę.

– A ty kto? – spytał. – Przyjaciel młodego panicza, hm? Lekarze zgadzają się, że potrzebny mu jest całkowity spokój i choć twoje figle są niewątpliwie zabawne, to z pewnością nie służą zdrowiu młodego pana Billiama. Chyba będę musiał cię zjeść, mój ty nieszczęsny cukiereczku.

Leon wstał z podłogi, tymczasem chłopiec podchodził coraz bliżej, wpatrując się w niego drapieżnymi rybimi oczami. Mężczyzna ze świstem wydmuchnął dym, choć nie było widać, by coś palił.

– Nie... – wykrztusił tylko Leon. Mężczyzna otworzył usta i otwierał je coraz szerzej, aż w końcu Leon zniknął. Napastnik przetarł kąciki ust, niczym kot w kreskówkach.

– No dobrze – zwrócił się do Billy’ego, który wciąż bezskutecznie walczył z nieustępliwą dłonią. – Wziąłeś pizamę? Szczoteczkę do zębów? Zostawiłeś liścik do mleczarza? Dobrze, chodźmy więc. Wiesz, jak to jest na lotniskach, mały Thomas źle znosi podróże, a ja naprawdę nie chcę stanąć w kolejce za wycieczką do Agia Napy – wyobrażasz sobie? Przecież obiecałeś, obiecałeś mi spokojny wyjazd na weekend i już czas, Billy, już naprawdę czas! – Zaklaskał w dłonie i uniósł brew. – Możesz się uciszyć – zwrócił się do chłopca. – Nie wiem, naprawdę nie wiem! Ruszamy.

Wciąż trzymając Billy’ego za gardło, wywłókł go z mieszkania.

CZEŚĆ DRUGA

**UNIWERSALNY
BEZRUCH**

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez większość jej nastoletniego życia niemal wszyscy nauczyciele traktowali Kath Collingswood obojętnie lub z lekką antypatią. Jeden z nich, nauczyciel biologii, otwarcie jej nie cierpiał. Zorientowała się w tym dosyć wcześnie, potrafiła nawet z pewną dokładnością ustalić i ocenić powody tej niechęci.

Uważał, że dziewczyna jest obraźliwa, ale ona uznała, że to nie jego sprawa, podobnie jak dezaprobata wobec jej przyjaciół. Zarzucał jej także, że ma zwyczaj tyranizować słabszych, co według niej było zgodne z prawdą w jakichś sześćdziesięciu pięciu procentach. Oczywiście z łatwością potrafiła zastraszyć ponad połowę klasy i korzystała z tego bez wahania. Były to jednak zazwyczaj jedynie drobne okrucieństwa, wymierzane bez szczególnej przyjemności, niemal z obowiązku, wyłącznie po to, by ludzie przestali się jej czepiać.

Collingswood nie zastanawiała się nawet, jak łatwo przychodziły jej te manipulacje, jak często krótkie spojrzenie, jedno słowo lub nawet myśl przynosiły wymierne efekty. Po raz pierwszy przemyślała tę sprawę dopiero wówczas, gdy udało jej się zamknąć usta temu nauczycielowi.

Miała wtedy trzynaście lat. Jakaś sprzeczką przyprawiła jej koleżankę o łzy. Pan Bearing pogroził Collingswood markerem niczym policyjną pałką, mówiąc surowo:

– Jesteś rozpuszczoną smarkulą, wiesz? Rozpuszczoną smarkulą.

Potrząsając głową, odwrócił się, by napisać coś na tablicy, ale Collingswood poczuła, że wzbiera w niej straszna wściekłość. Zupełnie nie miała ochoty podporządkować się tej ocenie. Nawet nie spojrzała na pana Bearinga – wpatrywała się gniewnie we własne paznokcie i cmokała językiem, czując, że w piersi nabrzmiewa jej jakaś lodowata bańka, a potem pęka gwałtownie.

Dopiero wtedy uniosła wzrok. Pan Bearing przestał pisać. Stał zupełnie nieruchomo, z uniesioną ręką, Dwoje czy troje dzieci rozglądało się po klasie, zupełnie zdezorientowanych.

Z żywym zainteresowaniem i poczuciem dobrze zaspokojonej ciekawości, Kath Collingswood pomyślała wtedy, że pan Bearing już nigdy więcej nie nazwie jej rozpuszczoną smarkulą.

Na tym się skończyło. Znów zaczął pisać. Nie obejrzał się za siebie. Collingswood postanowiła, że zachowa sobie na później wszelkie pytania, co się stało i skąd wiedziała, że w ogóle coś zaszło. Na razie odchyliła się na krzesło do tyłu, tak daleko, jak tylko zdołała.

Od tamtej pory bardziej przykładała się do swoich bezgłośnych manipulacji: wiedziała, kiedy jej przyjaciele lub wrogowie zamierzają coś powiedzieć, czasem potrafiła uciszyć kogoś siedzącego po przeciwnej stronie pokoju, a czasem znajdowała zgubioną rzecz w zupełnie nieprawdopodobnym miejscu. Zaczęła działać z większym namysłem.

Nie była najgorszą uczennicą, ale nawet jej nauczyciele byliby zaskoczeni, widząc, z jakim zapałem poświęciła się temu projektowi badawczemu. Zaczęła od orientacyjnych prób wyszukiwania w sieci – w ten sposób skompilowała listę książek i dokumentów. Większość z nich była w stanie ściągnąć z różnych dziwnych stron, jako że w przypadku takich tekstów prawa autorskie nie miały wielkiego zastosowania. Pozycje, których nie zdołała namierzyć, pracownice spisywała, a potem zamawiała u zaskoczonych – a czasem nawet zaniepokojonych – księgarzy i bibliotekarzy. Raz czy dwa nawet coś znalazła.

Wielokrotnie przekradała się po starym, porośłym chwastami parkingu i włąziła przez okna do małego opuszczonego szpitala w pobliżu jej domu. Siedząc samotnie w miejscu starego oddziału położniczego, skrupulatnie wykonywała wszystkie idiotyczne czynności wymienione w tekstach. Czuła się trochę głupio, ale robiła, co kazali, i recytowała wszystkie formuły.

Prowadziła dziennik, w którym zapisywała wszystko, co wypróbowała, skąd to wzięła i jaki był tego efekt. „*Księga Thotha* = czas wyrzucony w błoto” napisała kiedyś. „*Liber null* = zero punktów”. Zazwyczaj nie było żadnych efektów albo na tyle minimalne, by podtrzymać jej zainteresowanie – raz tajemniczy szelest, raz jakiś nieproszony cień. Dopiero wówczas, gdy miała wszystkiego dosyć i pomyślała: „Pierdolić to wszystko”, gdy stała się roztargniona i nieuważna, dopiero wtedy uczyniła największe postępy.

– To wszystko na dzisiaj. Możecie wyjść wcześniej. – Pakując książki do torby, Collingswood zobaczyła, że pani Ambly nie może uwierzyć w to, co przed chwilą powiedziała. W oszołomieniu dotykała własnych ust. Collingswood pstryknęła palcami i z biurka nauczycielki stoczył się długopis.

A później...

– Proszę pana, co ona robi? – spytała jedna z uczennic, wskazując na złotą rybkę, pływającą w tę i z powrotem nienaturalnie rytmicznym ruchem. Collingswood, na którą nikt nie zwrócił uwagi, kontynuowała to, co wcześniej zaczęła robić z nudów – skrobała paznokciami po ławce, udając, że jest DJ-em puszczającym dzwonek z telefonu kolegi. Rytm jej ruchów niespodziewanie narzucił rybkę tę monotonną trasę.

Minęły całe lata. Od tamtego dnia czekało ją dużo pracy, trochę kombinowania, sporo eksperymentów, ale przez swą wrodzoną niecierpliwość co jakiś czas przerywała naukę. W

końcu zrozumiała, że na tym polega jej największe ograniczenie. Niewątpliwie miała spory talent i bez trudu mogła zostać zawodowcem, ale wiedziała już, że nigdy nie dołączy do najlepszych. Odkąd skończyła szkołę, widziała jednego czy dwoje spośród nich – najlepszych w tej branży. Rozpoznała ich, gdy tylko weszli do pokoju.

Jej ograniczenia miały jednak swoje konsekwencje i nie wszystkie z nich były negatywne. Brak samodyscypliny koniecznej do korzystania z umiejętności sznyterskich na najwyższym poziomie, sprawiał, że granice zaczynały się zacierać, poszczególne elementy mieszały się ze sobą i wysyłały echa. Zazwyczaj były to zaniedbywalne skutki, drobne niedociągnięcia – ale tylko zazwyczaj.

Alarm, który zainstalowała w drzwiach Billy'ego, był skonfigurowany tak, by sygnalizować wejście. To, że mógł odezwać się również w przypadku wyjścia, nie było zamierzone – stanowiło produkt uboczny jej potężnych, lecz niefrasobliwych metod pracy.

Perfekcjonista prawdopodobnie zadbałby o to, by jego dzieła były wolne od takich defektów. Tym samym nie usłyszałby alarmu, który uruchomił się, gdy dwójka intruzów wywlokła Billy'ego z mieszkania, w przeciwieństwie do Collingswood, która zerwała się z łóżka, przez dłuższą chwilę próbując dość, skąd to kołatanie serca i dzwonienie w uszach.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Siedzieli w starym, poobijanym samochodzie. Goss prowadził. Subby siedział na tylnym siedzeniu, trzymając Billy'ego za ramię. Nie miał przy sobie żadnej broni i nie trzymał mocno, ale mimo to Billy nawet nie drgnął. Kompletnie unieruchomił go widok mężczyzny i chłopca, którzy rozwinęli się z paczki w jego pokoju, a potem porwali go i teraz wlekli poprzez świat w całkowitym otępieniu. Jego myśli wirowały, zapętlone. Czuł się, jakby ktoś włókł go przez czasoprzestrzeń. Za samochodem leciało stado gołębi, które najwyraźniej śledziły go już od paru dni. „Co jest, kurwa, co jest, kurwa”, powtarzał w myślach, a czasem także: „Leon”.

Samochód pachniał jedzeniem i czasem dymem. Twarz Gossa nie pasowała do współczesności, wyglądał, jakby skradziono go z lat pięćdziesiątych. Było w nim jakieś powojenne okrucieństwo.

Dwa razy Billy drgnął lekko i wyobraził sobie, że rzuca się do drzwi, szarpie za klamkę i wytacza się na ulicę, z dala od tych dziwaczkich porywaczy. Błaga o pomoc klientów tureckiego sklepu albo baru z hamburgerami... co to w ogóle za okolica, Balham? Za każdym razem Goss cmokał jednak z dezaprobatą, a Subby lekko zaciskał rękę. Billy siedział bez ruchu.

Goss nie miał w ręku papierosa, ale co jakiś czas wydmuchiwał dym o słodkim, drzewnym zapachu, który wypełniał cały samochód.

– Co za skórkowana noc – stwierdził w końcu. – Co nie, Subby? Co to za łażenie? Ktoś wyszedł na spacer, a nie powinien był, co mówisz? Ktoś się obudził, Subby. – Opuścił szybę, obracając starą ręczną korbką, spojrzał na niebo, po czym podniósł ją znowu.

Jechali ulicami, których Billy zupełnie nie poznawał. Prawdopodobnie wjechali już w strefę trzecią albo czwartą, gdzie przy głównej ulicy znajdowały się warsztaty ślusarskie albo sklepy papiernicze. Żadnych sieciowych kawiarni, żadnego Tesco. Czy to w ogóle były ulice? Garaże, składy drewna, sale gimnastyczne i zimne chodniki, po których cicho przewalały się śmieci. Szczelina, przez którą wpadało słońce, zamknęła się na dobre i nastąpiła noc. Billy i jego porywacze jechali wzdłuż torów, śladem oświetlonego pociągu. Gdzieś ich prowadził. Zatrzymali się w cieniu łukowato sklepionej bramy.

– Ciach, ciach – oznajmił Goss. Rozejrzał się wokół, wężąc podejrzliwie. Potem wyciągnął swoją ofiarę z samochodu. Billy miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Zatoczył się jak pijany. Goss znów wydmuchnął dym. Otworzył jakieś drzwi z pordzewiałego żelaza i wepchnął Billy’ego do środka. Gdzieś obok płątał się Subby. – Czy to ten? – spytał Goss, jakby tocząc dialog sam ze sobą.

– Nie wiem, możliwe, masz już wszystko?

– Dobra, teraz otwórz drzwi, gotów?

Ktoś otworzył. Billy poczuł na twarzy duszne, lepkie powietrze. Coś się poruszyło. Z głębi dobiegł jakiś dźwięk: jakby kaszel i trzask. Zapłonęły światła.

Nie było żadnych okien, a zamiast podłogi – brudny cement. Cegły tworzące spadzisty sufit pokrywał nalot pleśni. Sala była ogromna. Goss stał pod ścianą, trzymając dźwignię, którą właśnie przestawił. Wszędzie pełno było lamp, zwisających z kabli i wystających ze szczelin w ścianach.

Goss zaklął lekko, jakby odganiał ciekawskie świnię. Billy usłyszał odgłos grającego radia. Wokół zebrał się krąg jakichś ludzi. Postacie w skórzanych kurtkach, ciemnych dżinsach, ciężkich butach, rękawiczkach. Niektórzy mieli koszulki z nazwami zespołów, a wszyscy bez wyjątku nosili kaski motocyklowe. W rękach trzymali pistolety, noże i kije nabijane gwoździami, niemal kreskówkowe w swojej surowości. Z radia dobiegała niewyraźna, standardowa do bólu muzyka klasyczna. Pośrodku stał na czworakach nagi człowiek. Wargi mu drżały. Nad sutkami miał wbite pokręta. Nie krwawił, ale metalowe elementy wyraźnie sterczały z ciała. Z jego ust wydobywały się odgłosy radia. Poruszał ustami, by odgrywać muzykę i zakłócenia – duchy innych stacji.

Na ceglany podeście siedział mężczyzna; starszy, wychudzony punk z irokezem. Jego usta przewiązано wzorzystą bandaną. Oczy otwierał tak szeroko, że zdawał się niespełna rozumu. Oddychał ciężko, a materiał zasłaniający mu usta wybrzuszał się rytmicznie. Był nagi od pasa w górę. Siedział na stołku, z rękami na kolanach.

Po wszystkim, co zdarzyło się tego wieczora, Billy czuł mdłości i zawroty głowy i nie chciał dopuścić do siebie tego, co widział. Próbował wyobrazić sobie, że zaraz się obudzi.

– Pieprzony Billy Harrow – stwierdził mężczyzna. – Sprawdźcie, co robi ta mała suka.

Jedna z postaci w kaskach przestawiła pokręta na piersi człowieka-radia, a wtedy dźwięki dobiegające z jego ust nagle uległy zmianie. Piosenka urwała się gwałtownie. Teraz szeptał zrywami i toczył ledwie dosłyszalne rozmowy, w których brzmiały głosy męskie i kobiece: „Tak jest, sierzancie”, powiedział, a potem: „Pogadaj z Vardym, dobrze?” i jeszcze: „Będę za piętnaście minut”.

– Jeszcze nie dotarli – stwierdził człowiek z bandaną. – Na razie chcą odwiedzić twój stary dom. – Miał niski głos i mówił z wyraźnym londyńskim akcentem. Goss popchnął Billy’ego naprzód. – Wyślij tę hałastrę – powiedział jeszcze, po czym zwrócił się do kustosa: – Powiedz mi, Billy: będę musiał się z tobą cackać? Może po prostu powiesz, co robisz i dla

kogo pracujesz? Wyjaśnij mi, co się dzisiaj dzieje i co ty w ogóle rozpętał. Bo widzę, że coś się dzieje. A tak bardziej konkretnie, to może powiedz, z łaski, kurwa, swojej, jakie masz teraz plany?

– Co to ma być? – wyszeptał w końcu Billy. – Co zrobiliście Leonowi?

– Leonowi?

– Wiesz, jak to jest – odpowiedział usłużnie Goss. – Wszyscy kłócą się o najlepszy pasztecik, a potem się okazuje, że wszystko zjedzone.

Mężczyzna trzymał Billy'ego, jakby był kukielką. Małe rączki Subby'ego ścisnęły jego dłonie.

– Co tu się dzieje? – dopytywał się gorączkowo Billy. Rozglądał się na boki i szamotał w uścisku. – Co to jest?

Mężczyzna na podwyższeniu westchnął zawiedziony.

– A niech to. A jednak się upierasz. – Wyraz jego oczu nie zmienił się ani na jotę. – Może spróbujmy tak, dobrze, Billy? Kim ty, kurwa, jesteś? – Przez chwilę wiercił się na stołku. Uniósł dłonie, mrugając gwałtownie. – Dla kogo pracujesz? – powtórzył. – Czym jesteś?

Billy nagle zdał sobie sprawę, że bandana nie jest przewiązana po kowbojsku, tylko niedbale zwinięta i wepchnięta do ust. Mężczyzna był zakneblowany. Potrząsnął dłońmi, a wtedy Billy dostrzegł, że ma kajdany na rękach.

– Odwróć, kurwa, głowę! – ciągnął tym samym głosem człowiek, który nie miał prawa wydobyć z siebie głosu. – Odwróć się, mówię! – Jeden ze strażników na odlew uderzył mężczyznę w twarz, a on krzyknął poprzez knebel. – Postawcie tego gnojka. – Dwóch strażników dźwignęło go w górę, ujmując pod pachy. Głowa opadła mu bezwładnie. – Teraz zobaczmy – oznajmił głos. Strażnicy odwrócili mężczyznę twarzą do ściany.

Wtedy pojawiły się barwy. Całe plecy półnagiego człowieka pokrywał tatuaż. Na krawędzi rysunku wiły się kolorowe zawijasy, przypominające sznur fraktali wydzierganych celtyckim splotem. Pośrodku widniała duża, stylizowana twarz obramowana ciemnym konturem. Wyraźna, oddana z dużą starannością. Twarz mężczyzny, pełna nienaturalnych barw. Ostre rysy i czerwone oczy, coś pomiędzy starym profesorem a diabłem. Billy gapił się na niego osłupiały. A wtedy tatuaż się poruszył. Oczy przysłonięte ciężkimi powiekami spojrzały w oczy więźnia. Billy gapił się w nie, a tatuaż odwzajemniał spojrzenie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Billy wrzasnął z przerażenia i próbował się cofnąć. Goss przytrzymał go w miejscu.

Strażnicy trzymali mężczyznę z irokezem nieruchomo. Oczy na tatuażu powędrowały w prawo i w lewo, niczym animacja, jakby na plecach mężczyzny wyświetlano film rysunkowy. Grube czarne krawędzie przemieściły się po skórze, błękitne, błękitno-zielone i miedziane części poruszyły się, gdy wargi na tatuażu zacisnęły się, a potem uniosły się brwi. Otworzyły się usta i na skórze pojawiła się plama tuszu, wydziergane gardło. Tatuaz przemówił z tym samym londyńskim akcentem:

– Gdzie jest kraken, Harrow? Do czego zmierzasz? Czego chce od ciebie banda Barona?

Człowiek-radio wyrzucał z siebie statyczne trzaski.

– Czym jesteś?

– Pozwól, że wyjaśnię ci, na czym polega nasz problem – oznajmił tatuaz. Człowiek, którego plecy zajmował, szamotał się w uścisku strażników. – Mój problem polega na tym, że nikt cię nie zna, Billy Harrow. Pojawiłeś się znikąd. Nikt nie wie, co porabiasz. Guzik by mnie to obchodziło, ale ten kraken, chłopie. Taki kraken to nie w kij dmuchał. A teraz zniknął. Właśnie na tym polega problem. Mówią, że pilnował go jakiś anioł. Chociaż nie za dobrze, co? To teraz ci się przyznam, że za cholerę nie mogę zrozumieć, co właściwie zrobiłeś i jak ci się to udało. Może mnie oświecisz, dobrze? – Billy próbował gorączkowo wymyślić jakieś kłamstwo, cokolwiek, byle tylko ci niemożliwi porywacze puścili go wolno. Był gotów powiedzieć wszystko, ale czuł się kompletnie zagubiony. Pytania tatuażu nie miały żadnego sensu. Cienie znów się poruszyły. – Zadajesz się z bandą Barona – zauważył tatuaz. – Masz gówniany gust, chłopie, ale na to nic nie poradzę. Ale teraz, jeśli mamy pracować razem, nie możemy mieć przed sobą tajemnic. Powiedz mi, co przegapiłem. Jak się sprawy mają? – Ludzie składają się w harmonijkę i służą jako generatory, a tusz jeździ sobie na człowieku. – Spójrzcie na niego – stwierdził tatuaz. – Ten mały chujek to prawdziwy Chrystus, co nie? Mówicie, że nic nie znaleźliście u niego w domu?

– Ja tam guzik wyczułem – stwierdził Goss. Znów dmuchnął, po czym połknął wypluty dym.

– Kto zabrał krakena, Billy? – spytał tatuaz.

Billy próbował wymyślić odpowiedź. Zapadła długa cisza.

– Posłuchaj – zaczął Goss. – On ma wiedzę.

– Nie – odparł wolno tatuaż. – Mylisz się. Nic nie ma. Chyba będziemy musieli wziąć go na warsztat. – Półnagi mężczyzna zadrżał i jęknął, a strażnik znów mu przywalił. Rysunek na plecach zakłócił się od ciosu, wraz z całym ciałem.

– Wiesz, czego potrzebujemy. Zabierz go do warsztatu.

Mężczyzna służący za radio szeptął prognozę pogody.

Goss włókł za sobą Billy’ego, nadając jego nogom nową dynamikę, jakby był postacią narysowaną na szybko przewracanych kartkach.

– Puszczaj! – wykrztusił ten nagle.

Goss uśmiechnął się jak dobrotliwy dziadek.

– To żeś się obudził – stwierdził. – Ja tam lubię, gdy jesteście bardzo, bardzo cicho. Za tymi drzwiami – wskazał ręką – po drugiej stronie ulicy możemy zajrzeć pod maskę starego samochodu i zobaczyć, co jest nie tak z naszą ślicznotką. – Poklepał Billy’ego po brzuchu. – Wszyscy recyklujemy śmieci, wszyscy musimy dbać o środowisko, globalne ocieplenie, niedźwiedzie polarne i tak dalej. Możemy sprawić, by żyła dalej jako lodówka.

– Zaczekaj – szepnął Billy. – Posłuchaj, mogę...

– Co możesz, słoneczko? Nie zdołałbym spojrzeć na siebie w lustrze, gdybym pozwolił ci stanąć na drodze postępu. Tuż za rogiem czekają takie wynalazki, że głowa mała, musimy być gotowi. Jeszcze nigdy nie szło nam tak dobrze.

Goss otworzył drzwi, wpuszczając do środka zimno i światło latarni. Subby wyszedł pierwszy. Potem Goss wypchnął za nim Billy’ego, tak mocno, że padł na czworaka. Sam poszedł jego śladem. Billy podniósł ręce. Poczł jakiś pęd. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

Billy odpełznął na bok, a Goss nie podążył za nim. Subby nawet nie drgnął. Powietrze było zupełnie nieruchome. Uciekinier niczego już nie rozumiał. Przez kilka sekund – jedną, dwie, trzy – nie było żadnego ruchu, słyszał tylko bicie własnego serca. Potem znów poczuł pęd powietrza i dopiero wtedy, za późno, szkło ze stłuczonego okna spadło na chodnik, a Goss się poruszył, potrząsając głową w oszołomieniu i wpatrując się w miejsce, gdzie już nie było Billy’ego.

Subby chyba na coś wpadł.

– Ufff – wydyszał i padł kilka metrów dalej.

W ciemności zamajaczyła sylwetka mężczyzny trzymającego kawałek rury. Goss wrzasnął. Napastnik przywalił mu rurą, która zadźwięczała, jakby uderzyła o metal. Goss nawet się nie zachwiał. Podbiegł do Subby’ego, który leżał na wznak, mrugając oczami. Mężczyzna z rurą chwycił Billy’ego za ramię. Był wysoki i barczysty, ale poruszał się szybko. Włosy miał krótko przystrzyżone, ubrany był dość niedbale, w jakieś czarne rzeczy. Przez chwilę znalazł się na skraju oświetlonego kręgu.

– Dane? – wykrztusił Billy. – Dane, to ty?

Biegli wzdłuż brudnej nie-uliczki, wzdłuż torowiska, byle dalej od straszliwej bramy. Po drodze minął ich pociąg, niczym dudniący strumień światła przesuwający się po niebie. Gdzieś z tyłu, za nimi, Goss ukląkł obok Subby'ego.

– Szybko! – szepnął Dane. Coś przebiegło po ceglach obok nich, Billy nie widział zbyt dokładnie. – Mamy może ze dwie minuty, zanim dojdą, co się stało. Minutę więcej, nim dowie się ich szef. Krwawisz. Goss może cię wyczuć po smaku. – Minął ich kolejny pociąg. Od strony ulic dolatywały odgłosy ruchu. Dane wciąż ponaglał Billy'ego. – Sam nie dam im rady – wyjaśnił. – Udało mi się tylko dlatego, że wziąłem ich z zaskoczenia. Poza tym był jeszcze...

Dane biegł dziwną trasą, klucząc zaułkami, aż w końcu wydostali się z ceglanego labiryntu. Znaleźli się tuż obok parku, na zupełnie pustej ulicy. Obok potężnych drzew stał samochód. Dane otworzył go i wepchnął swego towarzysza do środka.

Dopiero wtedy Billy zdał sobie sprawę, że całą brodę ma zalaną krwią. Poplamiała mu też koszulkę. Nawet nie zauważył, kiedy rozcięto mu wargę. Z rany kapiała krew.

– O cholera... – mruknął. – Cholera, wybacz, ja...

– Jeden z jego pięściarzy – domyślił się Dane. – Zapnij pas. – Coś brudnego zeskoczyło ze ściany po drugiej stronie opustoszałej ulicy, przebiegło przez jezdnię i wyskoczyło z rynsztoka wprost do samochodu. Pod fotelem skuliła się wiewiórka. Billy nie wierzył własnym oczom. – A teraz cicho – powiedział Dane. Wyjechał na drogę i natychmiast dodał gazu. – Gdyby nie ten mały orzeszko, w życiu bym cię nie znalazł. Wskoczył na samochód Gossa. – Skręcili na światłach, po czym dotarli do ulicy, po której spacerowali przechodnie, robiący zakupy albo zaglądający do długo otwartych kafejek i salonów gier. Dane podał mu chusteczkę. – Wytrzymaj twarz.

– Leon...

– Otrzyj krew. Jeszcze tego brakuje, żeby ktoś nas zatrzymał.

– Ale musimy się zatrzymać, musimy iść na policję...

„Doprawdy?”, pomyślał Billy, jeszcze zanim skończył mówić. „Ta opcja już odpada”.

– Nie – odparł stanowczo Dane, jakby przysłuchiwał się temu monologowi. – Nie możemy. Wiesz o tym, prawda? Będziemy jechać dalej. Wytrzymaj twarz. Wydostanę cię stąd.

Billy patrzył, jak za oknami przelatuje dzielnica Londynu, która zdawała mu się równie znajoma jak Trypolis.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– No to, kurwa, pięknie. Fantastycznie! – Baron ze złością krążył po mieszkaniu Billy’ego. Potrząsał głową, na zmianę krzyżował i opuszczał ręce. – Wszystko zgodnie z planem. Rewelacja.

Ciężkim krokiem minął zespół techników sypiących talk w poszukiwaniu odcisków palców. Collingswood stała odwrócona do nich plecami, przyglądając się drzwiom do mieszkania, ale nawet tam wyczuwała od nich przebłycki niechęci.

Nie słyszała ich myśli. O ile wiedziała, nikt jeszcze nie opanował tej sztuki: myśli wylewały się z umysłu wieloma strumieniami, które zachodziły na siebie i płynęły w różnych kierunkach, a słowa częściowo tworzące ten przekaz bywały sprzeczne i mylące. Tak silną irytację mogła jednak z łatwością odebrać i, wiedząc, że to tylko przybliżenie, potrafiła – podobnie jak wszyscy ludzie obdarzeni odpowiednią zdolnością – automatycznie przełożyć ją na wiadomości tekstowe: „za kogo ten cul się uważa”, „fajfusy powinni stąd spdolić i wpuścić normalnych gliniarzy”, „dlaczego pozwlamy tej młej cipie palić”.

Odwróciła się do nadawcy tej ostatniej myśli.

– Ponieważ powiedzieli wam, że macie nam w niczym nie przeszkadzać, jasne? – spytała, patrząc, jak krew odpływa mężczyźnie z twarzy. Przeszła nad rozrzuconymi książkami i podeszła do Barona. Przejrzała koperty na stole.

– I jak? – spytał nadkomisarz. – Jakiś pomysł?

Collingswood skupiła się na niesłuchaniu, próbując odnaleźć ślad esencji Billy’ego. Dotknęła palcem framugi, gdzie wyraźnie widniały resztki dotyku mężczyzny, niczym komunikaty oglądane zmrużonymi oczami na pękniętym ekranie: „co ona zrobiła co ona zrobiła”, „nie można wejść”, „niezła jest nie miałbym nic przeciwko”.

– Czego się śmiejesz? – spytał niecierpliwie Baron. – Masz coś?

– Nic, szefie. Wiesz co? Nie. To zabezpieczenie wciąż działało, gdy tu przyszliśmy, wiesz? Dlatego musiałam was wpuścić. Nie wpuszcza bez zaproszenia, a sam widziałeś tego chłopaczka. Po tym, co mu powiedzieliśmy, był za bardzo spietrany, żeby wpuścić kogoś, kogo nie znał.

– Więc co się stało? Przecież nie wyszedł, kurwa, na spacer.

– Nieee. – Wskazała na ślady szarpaniny. – Ktoś go zabrał.

– Ktoś, kto podobno nie mógł tu wejść.

Przytaknęła.

– Ktoś, kto tu nie wszedł. – W tej samej chwili Vardy wyszedł z sypialni, gdzie przeglądał rzeczy Billy’ego. Dołączył do swoich kolegów w kuchni. – To nie wszystko – dodała Collingswood. Przez chwilę składała dłonie w dziwne kształty, przecinając nimi powietrze. – Dziś w nocy stało się coś ważnego. Tak jak wtedy, gdy zabrali krakena. Nie wiem, co się dzieje, ale coś tam krąży.

Baron przytaknął wolno.

– Profesorze? Jakies wnikliwie spostrzeżenia z twojej strony? Może zechcesz zrewidować swoją opinię na temat niskiego prawdopodobieństwa ataku ze strony teutyków?

– Nie – odparł krótko Vardy. – Nie zechcę. A może ty zechcesz zmienić swój ton? Nie powiem ci, co tu się działo, ani kto co zrobił i komu, ale muszę rozwiać twoje podejrzenia. To nie wygląda na robotę teutyków. – Zamknął oczy. Jego towarzysze patrzyli, jak wczuwa się w coś, co wyobrażał sobie w danym momencie. – Nie – powiedział w końcu. – To zupełnie inne wrażenie.

– Cóż – westchnął Baron. – Jesteśmy w głębokiej dupie, panie i panowie. Nasz główny świadek i potencjalny współpracownik jest nieobecny bez usprawiedliwienia. Zdołaliśmy ustalić, że system zabezpieczeń działał przez cały czas. Robił to, co miał robić. Ale wiemy także, że został i nie został uruchomiony. Mam rację?

– Z grubsza tak – przytaknęła Collingswood. – Zadziałał na wsteczny. Obudził mnie. Z początku nie wiedziałam, co się dzieje.

– Obejmował też okna? – spytał Vardy. Collingswood zmiażdżyła go spojrzeniem. – W porządku – powiedział po chwili. – Musiałem spytać.

– Nie musiałeś – odparła szorstko. – Przecież już mówiłam. Nikt nie mógł tu wejść.

– Nikt?

– O co ci właściwie chodzi? Przecież nie twierdziłam, że jestem niepokonana. Wiesz, że są lepsi. Ale gdyby ktoś tu wszedł, od razu bym o tym wiedziała. Nikt się nie włamał... – przerwała, jakby tknięta nagłą myślą. Po kolei przejrzała pocztę. Jej wzrok spoczął na kartonowym pudełku. – Nikt się nie włamał – powtórzyła. – Ktoś mu coś przesłał. Zobaczcie. Nie ma znaczenia, dostarczono to osobiście. – Uniosła paczkę i powąchała. Vardy opuścił założone ręce. Collingswood pogładziła papier, szepcząc pod nosem, przeprowadzając kolejne procedury i podprocedury.

– O co chodzi? – dopytywał się Baron.

– Okej – powiedziała w końcu. W sąsiedniego pokoju słychać było burczenie pozostałych policjantów, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. – Wszystko pamięta, jakie było wcześniej, prawda? A ono... – potrząsnęła pudełkiem – pamięta, że kiedyś było cięższe. Było pełne, a teraz jest puste, ale wcale nie to jest w tym wszystkim najciekawsze. – Znów poruszyła palcami, jakby próbowała zmusić pudełko do odpowiedzi. Ze wszystkich umiejętności

niezbędnych w tej pracy najtrudniej przychodziło jej chyba okazywanie grzeczności wobec przedmiotów nieożywionych. – Pamięta, że było cięższe... ale niedostatecznie. Szefie – zwróciła się do Barona. – Co wiesz o tym, jak... – Rozluźniła palce, po czym zacisnęła je znowu. – Jak sprawić, żeby coś dużego zrobiło się, kurwa, małe?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Co się stało z Leonem? – spytał Billy.

Dane spojrzał na niego i potrząsnął głową.

– Przecież mnie tam nie było. Nie mam pojęcia. Czy to Goss?

– Ten facet, Goss, i ten chłopiec. Wyglądało to tak, jakby...

– Jak mówię, nie było mnie tam. Ale musisz spojrzeć prawdzie w oczy. – Dane znów na niego zerknął. – Widziałeś to, co widziałeś. Przykro mi.

„Co ja właściwie widziałem?“, pomyślał Billy.

– Co on ci powiedział?

– Kto?

– Tatuaz. Powtórz mi, co powiedział.

– Co takiego? Nie. Teraz ty mi coś powiedz. Skąd się w ogóle tu wzięłeś?

Krążyli po ulicach, których w życiu nie widział.

– Nie teraz – uciął Dane. – Nie mamy czasu.

– Wezwijmy policję...

Wiewiórka pod siedzeniem Billy’ego zaszczebiotała gardłowo.

– Szlag – zaklął Dane. – Nie ma na to czasu. Jesteś bystry, wiesz, co się dzieje. – Strzelił palcami. W miejscu, gdzie się zetknęły, pojawił się błysk światła. – Nie mamy czasu. – Nadepnął na hamulec i znów zaklął. Czerwone światło na sygnalizatorze zniknęło. – Więc może przejdźmy do rzeczy? Nie możesz wrócić do domu i dobrze o tym wiesz. To tam cię dopadli. Nie możesz wezwać ekipy Barona. Myślisz, że ci pomogą? Stary Bill poda ci pomocną dłoń?

– Zaczekaj...

– To mieszkanie już nie jest twoim domem – ciągnął Dane, krótkimi, bezlitosnymi zdaniami. – To nie twoje ubrania, nie twoje książki, nie twój komputer, jasne? Widziałeś to, co widziałeś. Wiesz, że to prawda. – Strzelił palcami tuż pod nosem Billy’ego, a światełko znów rozbłysło. Prowadził pewnie, ostrymi ruchami. – Rozumiemy się?

Tak, nie, tak. Rozumieli się.

– Dlaczego przyjechałeś? – spytał w końcu Billy. – Baron i Vardy mówili, że... myśleli, że to ty mnie ścigasz.

– Przykro mi z powodu twojego kumpla. Wiem, jakie to uczucie. Wiesz, czym jesteś?

– Nie jestem niczym.

– Wiesz, co zrobiłeś? Sam to poczułem. Gdybyś tego nie zrobił, ja nie dotarłbym na czas i zabraliby cię do warsztatu. Coś tu krąży. – Billy poczuł, że skręcają mu się wnętrzności, przypomniał sobie odgłos tłuczonego szkła, dziwny przeciąg. – Goss już za nami liże. Ale najbardziej trzeba się bać tego gościa na plecach.

– Ten tatuaż mówił...

– Tylko nie zaczynaj. Cuda robią się coraz powszechniejsze, stary. Wiedzieliśmy, że tak będzie. – Dane powiedział to z jakimś szorstkim wzruszeniem i dotknął piersi, tuż koło serca.

– To końce świata.

– Koniec świata?

– Końce.

Budynki wyglądały, jakby same formowały się z cieni i ostrych kątów, gdy nadjeżdżał samochód, a za nim rozpyływały się w nicość. Rzeczywiście coś krążyło tej nocy po mieście.

– To wojna, Billy – rzekł Dane. – Tu żyją bogowie. A teraz wyruszyli na wojnę.

– Nie stoję po niczyjej stronie...

– Ależ tak – stwierdził ochroniarz. – Sam jesteś stroną.

Billy zadrzał.

– Ten tatuaż jest bogiem?

– Kurwa, nigdy w życiu. To zwykły kryminalista. Myślał, że chcesz się z nim bić. Że to ty ukradłeś krakena. Podejrzewa, że robiłeś kiedyś dla Grisamentuma. – Uroczyste śpiewne imię, niczym cytat z pisma. – Jeszcze się nie zorientowali.

– Gdzie jest kałamarnica?

– Oto jest pytanie. – Dane skręcił gwałtownie. – Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie poczułeś, co się dzieje? Nie widziałeś znaków? Wychodzą z ciemności. To czas bogów. Wszyscy powstają.

– Co?

– W płynie, w pleksi albo w szkle. Masz to we krwi, Billy. Zstępują z nieba, bo nadszedł ich czas. W Australii, tutaj, w Nowej Zelandii. Wszędzie, gdzie widziano architeuthisa i mesonychoteuthisa. – Zaparkowali przy budynku świetlicy, napis na wejściu głosił „Kościół w Południowym Londynie”. Na ulicy śmierdziało lisem. Dane otworzył drzwi. Wiewiórka zeskoczyła na ziemię i w dwóch-trzech długich susach zniknęła im z oczu.

– Lepiej zacznij mówić coś z sensem, Dane – ostrzegł Billy. – Inaczej uznam, że...

– Daj spokój, Billy. Uratowałem ci życie, co nie? Zaufaj mi.

Billy zadrzał. Dane zaprowadził go do środka, pomiędzy nierównymi rzędami plastikowych krzeseł zwróconych w stronę pulpitu, do jakiegoś pomieszczenia na zapleczu. Okna przysłaniały kolaże z porwanej bibuły, fałszywe witraże. Wokół wisiały ogłoszenia o

spotkaniach dla matek z dziećmi i wyprzedażach garażowych. Wszędzie walały się silnikowe części, zapleśniałe papiery, jakiś powyginany rower. Wieloletnie osady. – Kongregacja pomoże nam się ukryć – wyjaśnił Dane. – Nie należy ich wkurzać. Idziemy im na rękę. – Otworzył klapę w podłodze. Ze środka padło światło.

– Mamy iść na dół? – upewnił się Billy.

Betonowe schody prowadziły do oświetlonego jarzeniówkami korytarza, który zamykały przesuwane drzwi, jak w windzie towarowej. Za kratą stał starszy mężczyzna i młody chłopak ogolony na łyso. Obaj byli ubrani w kombinezony robocze i trzymali w rękach strzelby. Łagodny nocny szum miasta nagle ucichł.

– Czy to... – zaczął jeden ze strażników. – Kto to jest?

– Wiecie, kim jestem? – spytał Dane. – Bardzo dobrze, kurwa, wiecie. Powiedźcie jego świątobliwości, że wróciłem, i wpuście nas. – Stanowczo, ale z wyczuwalną łagodnością, popchnął Billy'ego naprzód.

Okazało się, że ściany za bramą wcale nie są równie bezbarwne. Billy aż otworzył usta ze zdziwienia. Mimo że także były betonowe i pozbawione okien, to, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się skomplikowane zdobienia. Pod warstwą londyńskiego brudu, którego nie dawało się usunąć żadnym szorowaniem, na jego oczach łodziki spletały się z ośmiornicą, z mątwą, jej rozplaszczone ciało, frędzlowate na brzegach, wyglądało jak rąbek spódnicy. Owijała członki wokół żeglarka unoszącego się w dole, wychylonego ze swej skorupki. Wszędzie głowonogi. Wykuto je, gdy ściany były jeszcze wilgotne.

Niezwykły korytarz świetlicowy. Rząd macek głowonoga z gatunku *Vampyroteuthis*, kreskówkowo złowrogiego niczym złoczyńca z filmu Disneya, uparta kałamarnica Humboldta, *Mastigoteuthis* złożony w kształt kamertonu. Ich wizerunki miały podobne rozmiary, cechy charakterystyczne przysłaniała ich ogólna głowonożność, ich teutyczna natura. Ich – słowo samo pojawiło się w głowie Billy'ego i nie chciało odejść – mackowatość. *Architeuthis* wyobrażony w tandetnej materii budynku.

Ukryty w głębi pokój, do którego Dane zaprowadził Billy'ego, był maleńki jak kabina na statku. Stało tam niewielkie łóżko i stalowy sedes. Na stoliku czekał talerz curry i kubek czegoś gorącego. Billy prawie rozplakał się ze szczęścia.

– Jesteś w szoku – stwierdził Dane. – A do tego jesteś skonany i umierasz z głodu. Nie rozumiesz, co się dzieje. Siadaj i zjedz, potem pogadamy.

Dane sam zjadł kęs, prawdopodobnie by zademonstrować, że nie ma się czego bać. Billy zjadł przyniesione danie. W kubku była przesłodzona czekolada.

– Gdzie jesteśmy?

– Teuthex wszystko wyjaśni.

Kim jest teuthex? Billy miał wrażenie, że unosi się na wodzie. Zmęczenie przybrało na sile. Widział wszystko na ciemnym tle. Myśli wyostrzały mu się i znikwały, niczym w odbiorniku radiowym. Zdał sobie sprawę, że to coś więcej niż tylko zmęczenie.

– Och – wykrztusił, czując wzbierającą panikę.

– Nic się nie martw – pocieszył go Dane.

– Ty, co to, ty... – Billy przez chwilę obracał w rękach kubek, wpatrywał się w niego z przerażeniem. Potem z rozmachem odstawił naszprycowany napój. Pomyślał, że musi to zrobić, nim go upuści, tak jakby miało to jakieś znaczenie. Ciemność otoczyła go niczym chmura atramentu. – Coś ty zrobił?

– Nie martw się, potrzebujesz tego.

Dane powiedział coś jeszcze, ale jego głos zginął w oddali. „Wy gnoje”, próbował krzyknąć Billy. Jakaś część jego umysłu przekonywała go, że Dane nie uratowałby mu życia tylko po to, by go teraz zabić, a poza tym był zbyt zmęczony, by się bać. Znalazł się sam w ciemności i, jeszcze zanim mrok zamknął mu się nad głową, zdołał położyć się łóżku i unieść nogi, dumny, że nikt nie musiał mu w tym pomagać.

Głębiej i głębiej, w bentos snu. To kłamstwo, że w głębinach nie ma światła. Są przebłyski ruchu. Somatyczne lśnienia, a w tym rowie snu te drobne światełka stanowiły senne marzenia.

Długi sen z przebłyskami wizji. Podziw, nie strach.

Co jakiś czas wynurzał się na powierzchnię i unosił powieki – cielesne, nie senne – i dwa czy trzy razy zobaczył nad sobą twarze. Przez cały czas słyszał tylko plusk wirującej wody, choć raz, w głębokim śnie, poprzez tłumiące go kilometry wody, usłyszał głos kobiety pytający:

– Kiedy się obudzi?

Był nocnym kryłem, jedno maleńkie oko wpatrzone w nicość upstrzoną punkcikami obecności. Billy-plankton od razu dostrzegł symetrię. Kwiat rozwijanych członków. Fragmenty płetw, powiewający płaszcz. Czerwone, gumowe mięso. Tyle już wiedział.

W oddali zobaczył coś małego. Potem czerń za czernią, aż w końcu znów wróciło. Proste, ostre linie. Anomalia kątów w tej zakrzywionej otchłani.

To był jego preparat. Jego kraken, jego kałamarnica olbrzymia – wciąż zawieszona w swoim zbiorniku, wraz z nim dryfująca w głębinie. Tonęła coraz niżej, tam, gdzie już nie ma głębi.

Wracła do domu.

Była jeszcze jedna, ostatnia rzecz, która równie dobrze mogła się przedstawić tym mianem, tak bardzo nieustępliwa była jej końcowość. Pod opadającym zbiornikiem, na który spoglądała unosząca się w górze – choć i tak zanurzona głęboko – cząsteczka Billy’ego, coś się poruszyło.

Coś całkowitego i mrocznego, unoszącego się bardzo powoli i nieskończonego.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Collingswood, do której obowiązków należały tego typu sprawy, spędziła kilka godzin na rozmowie z kobietą, która określała się jako „kontakt” i opowiadała coś o ezoteryce w naukach przyrodniczych. Kobieta przesłała jej listę nazwisk, badaczy i kanciarzy.

– To się bez przerwy zmienia – ostrzegła. – Nie ręczę za żadnego z nich.

– Zadzwoiłam do paru z nich, szefie – zameldowała w końcu Collingswood – ale przez telefon to trochę ryzykowne, wiesz? Niektórzy z nich podali mi kolejne nazwiska. Chyba żaden nie rozumiał za dobrze, o co mi chodzi. Muszę pogadać z nimi osobiście. Na pewno chcesz jechać? Nie masz nic do roboty? – Rzadko udawało jej się wyczuć umysł Barona i wcale jej to nie dziwiło; tylko niedoświadczeni i niewyszkoleni ludzie rozsiewali swoje myśli na wszystkie strony.

– Mam – przyznał Baron. – Ale od tego są komórki, prawda? To najlepszy trop, na jaki trafiliśmy.

Przejechali zygzakiem przez Londyn, Baron w cywilu, Collingswood w mundurze, bardziej przypominającym kostium, mając nadzieję, że zdołają skłonić informatorów do współpracy. Na liście nie było zbyt wiele nazwisk – składactwo i wagomancja stanowiły bardzo wąskie specjalizacje w ramach specjalistycznych dziedzin, ekscentryczne nisze.

Baron i Collingswood zaglądali do biur, szkół technicznych, na zaplecza sklepów.

– Możemy porozmawiać na osobności? – pytał Baron, po czym Collingswood zadawała pytanie:

– Wiesz, jak sprawić, żeby coś dużego zrobiło się, kurwa, małe?

Jedną z osób na liście okazał się nauczyciel chemii.

– No dalej, szefie, pokaż klasie, co potrafisz – zawołała Collingswood i przeszła przez salę, mijając uczniów gapiących się na nią znad palników Bunsena. – George Carr, prawda? – spytała. – Wiesz, jak sprawić, żeby coś dużego zrobiło się, kurwa, małe?

– Widzę, że świetnie się pani bawiła – stwierdził Carr, gdy szli przez plac zabaw. – Czym sobie na to zasłużyłem? Jakiś nauczyciel powiedział pani, że w życiu do niczego nie dojdzie?

– Nieee – odparła. – Wszyscy wiedzieli, że zajdę zajebiście daleko.

– Czego, do cholery, chce ode mnie oddział do spraw kultów?

- Sprawdzamy kilka tropów – wyjaśnił Baron.
- Chwalił się pan kiedyś swoimi umiejętnościami? Kurczył pan rzeczy za pieniądze?
- Nie. Do tego mam za mało wprawy i nie jestem zainteresowany. To, co umiem, wystarcza mi do własnych potrzeb.
- To znaczy?
- Niech pani pojedzie ze mną kiedyś na wakacje. Bagaże na trzy tygodnie w jednej podręcznej torbie.
- Mógłbym zabrać też psa? – powiedział Baron.
- Co takiego? W życiu. Skondensowanie czegoś tak skomplikowanego jest kompletnie poza moim zasięgiem. Może zdołałbym go wcisnąć do środka, ale nie ma szans, żeby Burek po wyjęciu nadal aportował patyki.
- Ale to możliwe?
- Jasne. Parę osób potrafiłoby to zrobić. – Poglądził zarost. – Czy ktoś polecił wam Andersa?
- Baron i Collingswood spojrzeli po sobie.
- Andersa? – upewnił się Baron.
- Anders Hopper. Ma sklep w Chelsea. Zabawny, specjalistyczny sklepik. Jest bardzo dobry.
- Dlaczego dotąd o nim nie słyszeliśmy? – spytał Baron, wymachując listą.
- Bo dopiero niedawno zaczął. Od roku zajmuje się tym zawodowo. Teraz jest już dostatecznie dobry i dość pewny siebie, żeby robić to za pieniądze.
- A zatem jakim cudem pan o nim słyszał? – spytała Collingswood.
- Bo to ja go uczyłem – uśmiechnął się Carr. – Przekażcie mu pozdrowienia od pana Miyagiego.

Sklep Hoopera mieścił się na antresoli, wraz z delikatesami, księgarnią podróżniczą i kwiaciarnią. Szyld nad wejściem głosił: TO JAPONIA! Z okna spoglądały pełne entuzjazmu mangowe postacie ustawione obok robotów-zabawek i zestawów nunchaku. Jedną trzecią półek zajmowały książki poświęcone filozofii, matematyce i składaniu origami. Wokół piętrzyły się stosy książek dotyczących techniki składania. Niezwykłe dzieła – dinozaury, ryby, butelki Kleina, i inne ozdoby, wszystkie złożone z jednego kawałka papieru.

- Okej. – Collingswood uśmiechnęła się z aprobatą. – To całkiem cool.
- Z zaplecza wyszedł jakiś młody człowiek.
- Dzień dobry – rzucił. Anders Hooper był wysokim mężczyzną rasy mieszanej. Miał na sobie koszulkę z Gundam Wing. – Czy mogę... – zawahał się, widząc mundur Collingswood – ...w czymś pomóc?
- Możliwe – odparła. – Jak idzie sprzedaż? Da się opłacić z tego czynsz?
- Kim jesteście?

– Panie Hooper, proszę odpowiedzieć na pytanie – upomniał go Baron.

– ...jasne. Ludzie bardzo interesują się anime. Jesteśmy jednym z najlepszych dostawców...

– Cały ten szajs można zamówić przez internet – stwierdziła Collingswood. – Ludzie naprawdę tu przychodzą?

– Jasne. Jest...

– A co z waszym ori-kurwa-gami?

Mężczyzna zamrugał gwałtownie.

– Co z nim? To bardziej specjalistyczna dziedzina... – Jego umysł był dość zamglony, ale Collingswood wyłapała krótkie „co oni wie...?” równie wyraźnie, jakby usłyszała ostrzegawczy pisk.

– I przychodzą z tym do pana? Kurwa mać, jesteśmy w skubanej Chelsea. Jak idzie interes? A tak nawiasem mówiąc, spotkaliśmy się dziś z panem Carrem. Prosił, żeby przekazać pozdrowienia. Mówił, że przyjmuje pan zlecenia. Zlecenia specjalne. Mam rację, Anders?

Mężczyzna oparł się o ladę, wodząc wzrokiem od Barona do Collingswood. Zerkał na boki, jakby obawiał się, że ktoś podsłuchuje.

– Co chcecie wiedzieć? – spytał w końcu. – Nie złamałem prawa.

– Pan nie – zgodziła się Collingswood. – Ale ktoś inny, kurwa, już tak. Dlaczego pan w to w ogóle wszedł?

– Minimalizacja jest użyteczna – stwierdził Anders. – Nie chodzi o nacisk czy zmuszanie. Najważniejsza jest topografia. Ludzie pokroju Carra, z całym szacunkiem, oczywiście, to on pokazał mi pierwsze kroki, ale zasadniczo, wiecie państwo... to tak... – Zrobił ruch, jakby coś ugniatał. – Wpycha się rzecz do środka. Jak ciuchy do walizki.

– Mniej więcej to samo nam powiedział.

– Jeśli właśnie o to wam chodzi, to wszystko w porządku. Ale... – Próbował pokazać coś rękami. – W planurgii chodzi raczej o przesuwanie rzeczy do innych wymiarów. Prawdziwych rzeczy, z krawędziami, powierzchniami i resztą. Żadnego cięcia, prawda? Chodzi o to, żeby dało się potem rozłożyć. Jasne?

– I nie ma żadnych problemów związanych z tym, że to wszystko jest, no wie pan... stałe?

– Nie aż tak bardzo, jak mogłoby się wydawać. W ciągu ostatnich kilku lat w dziedzinie origami dokonała się prawdziwa rewolucja... Powiedziałem coś nie tak? – Collingswood była bliska zsikania się ze śmiechu, a Baron jej wtórował. Po paru sekundach Anders znalazł dość przyzwoitości, by zachichotać. – Przykro mi, ale naprawdę tak było. Komputery bardzo w tym pomogły. Żyjemy w epoce – o, to też wam się spodoba – origami ekstremalnego. Wszystko sprowadza się do matematyki. – Spojrzał na Collingswood. – Jaką tradycję wyznajecie?

– Tradycja jest dla snobów – odparła.

Anders roześmiał się ubawiony.

– Skoro tak pani mówi. Gdy człowiek zaczyna stosować elementy abmatematyki, uwzględniając liczby magiczne i te sprawy... Czy coś wam to mówi?

– Do rzeczy.

– Przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć, że istnieją różne metody... – Pochylił się nad kasą fiskalną i ujął w palce mały cyfrowy wyświetlacz. Złożył go raz do środka. – Collingswood patrzyła zafascynowana. Anders składał kasę raz za razem, przekładając co i raz na drugą stronę, po czym upchnął wszystko pod klawiszami. Potem rozciągnął ją delikatnie, jakby grał na koncertynie. Masywny przedmiot złożył się do środka, tworząc czyste, ostre linie, różne części nieprzeciętych przestrzeni wsunęły się jedna za drugą, jakby widziane z kilku perspektyw naraz. Anders złożył ją znowu, aż wreszcie, w ciągu półtorej minuty, na ladzie, wciąż podłączony do kontaktu kablem, który teraz zniknął w jakiejś niemożliwej zakładce głęboko w trzewiach przedmiotu, stał japoński żuraw, nie większy od ludzkiej dłoni. Jedno skrzydło pokrywało zawartość z wyświetlacza, na drugim widniała szuflada z gotówką. Na szyi ciągnął się rząd spłaszczonych klawiszy. – Jeśli pociągnie się go tutaj, będzie machał skrzydłami – dodał Anders.

– Ekstra – stwierdziła Collingswood. – I po rozłożeniu będzie działać?

– Właśnie o to chodzi – wyjaśnił Anders. Chwycił krawędzie i rozkładał przedmiot, aż odzyskał pierwotny kształt. Potem wcisnął klawisz, a kasa zadzwoniła i otworzyła się z lekkim brzękiem monet.

– Nieźle – pochwalił Baron. – A zatem dorabia pan sobie, czasem zmieniając kasy w ptaszki.

– O, tak – odparł z kamienną twarzą Anders. – Bardzo lukratywne zajęcie.

– Ale czy taki przedmiot zachowuje swoją pierwotną masę?

– Istnieją techniki, które pozwalają umieścić część przedmiotu w przestrzeni zaniedbywanej. Można chyba powiedzieć, że świat nie zauważa rzeczywistej masy przedmiotu, póki się go nie rozłoży.

– A ile wzięłyby pan, powiedzmy... – zaczął Baron – za poskładanie człowieka? Tak żeby dało się go zapakować i wysłać pocztą?

– Ach. No cóż. Człowiek składa się z wielu różnych płaszczyzn i trzeba bardzo uważać, żeby o żadnej nie zapomnieć. To byłoby naprawdę mnóstwo zakładek. O to wam chodzi, prawda? O tego faceta, który chciał zrobić dowcip kumplowi?

Policjanci wpatrywali się w niego z napięciem.

– O jakim facecie pan mówi? – spytał powoli Baron.

– O cholera. Coś mu się stało? Powiedział, że chce zrobić dowcip koledze. Poprosił, żebym złożył go razem z synem w książkę. Zapłacił mi też ekstra, żebym dostarczył go osobiście. Powiedział, że nie ufa poczcie. Mówię „powiedział”, ale mówił tak dziwnie, że

upłynęły całe wieki, zanim zrozumiałem, o co mu chodzi. Za cholere nie mogłem znaleźć tego miejsca, ale było warto...

– Jakiego miejsca?

Sprzedawca podał im adres Billy'ego.

– Co się stało? – dodał, zaniepokojony.

– Proszę nam opisać tego człowieka – polecił Baron i wyjął notes. Collingswood rozłożyła palce, próbując wyczuć jakieś pozostałości w pomieszczeniu. – I kogo ma pan na myśli, mówiąc „jego syn”?

– Ten facet – wyjaśnił Anders. – Ten, który chciał, żebym go poskładał. Przyprowadził tu takiego chłopca. Swojego synka. – Zamrugał oczami. Baron i Collingswood nie spuszczała z niego wzroku.

– Proszę ich opisać – szepnęła Baron.

– Facet miał około pięćdziesiątki. Długie włosy. Szczerze mówiąc, trochę śmierdział. Palił papierosy. Trochę mnie zaskoczyło, że mógł sobie na to pozwolić, to było drogie zlecenie. Jego syn... chyba nie do końca kumał, co się dzieje. – Anders popukał się w skroń. – Przez cały czas nie powiedział ani słowa... Co? Jezu, co się stało?

Baron cofnął się o krok, ramiona mu opadły, a notes zwisał bezwładnie. Collingswood stała z otwartymi ustami, jej oczy robiły się coraz większe. Oboje zbledli jak papier.

– O kurwa – szepnęła posterunkowa.

– Dobry Boże. Człowieku, i naprawdę nie wydało ci się to podejrzanym? – spytał Baron. – Ani przez jedną pieprzoną sekundę nie zastanawiałeś się, z kim masz do czynienia?

– Nie wiem, o czym pan, do cholery, mówi!

– On nic nie wie – odparła Collingswood, jej głos zabrzmiał chrapliwie. – Ten pierdolony młody cipciak nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia. Dlatego tu przyszli. Bo jest nowy w tej branży. Właśnie dzięki temu dostał tę robotę, jest kompletnie zielony. Wiedzieli, że nie połąpie się, z kim, do kurwy pierdolonej nędzy, rozmawia.

– Z kim rozmawiałem?! – spytał Anders, jego głos zabrzmiał piskliwie. – Co ja zrobiłem?!

– To oni – szepnęła Collingswood. – To oni, prawda, szefie?

– Chryste Panie. Na to wygląda. Mój Boże, naprawdę na to wygląda.

Oboje zadrżeli, w pomieszczeniu nagle powiało lodowatym chłodem.

– To oni. Goss i Subby.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Billy ocknął się ze snu. Mgła i ciemna woda w jego głowie zniknęły.

Usiadł na łóżku. Był obolały, ale nie zmęczony. Miał na sobie te same ubrania, w których zasnął, ale w międzyczasie ktoś je zdjął i wyczyścił. Zamknął oczy i znów zobaczył oceaniczne stwory ze swojej narkotycznej wizji. Przy drzwiach stał jakiś mężczyzna w dresie. Billy cofnął się odruchowo na łóżku, w jakimś na wpół obronnym, na wpół wojowniczym geście.

– Czekają na ciebie – oznajmił mężczyzna i otworzył drzwi.

Billy wolno opuścił ręce. Zdał sobie sprawę, że dawno nie czuł się tak dobrze.

– Próbowaliście mnie otruć – stwierdził.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł nerwowo mężczyzna. – Ale teraz musisz już iść.

Billy poszedł za nim, mijając industrialne wizerunki ośmiornic i dziesięciornic, podświetlone fluorescencyjnym światłem. Wciąż nie mógł otrząsnąć się z sennej wizji, była niczym woda w uszach. Zaczekał, aż jego przewodnik zniknie za rogiem, po czym uciekł, ile sił w nogach, starając się nie narobić hałasu. Wstrzymał oddech. Zatrzymał się na skrzyżowaniu korytarzy, przycisnął się do ściany i rozejrzał się wokół.

Inne rzeźby na ścianach. Pomyślał, że mógłby się orientować w tym labiryncie po wizerunkach głwonogów. Nie miał pojęcia, dokąd iść. Usłyszał kroki swojego strażnika. Mężczyzna wynurzył się zza rogu i skinął na niego ręką. Gest był niepokojący i zapraszający zarazem.

– Czekają na ciebie – oznajmił. Billy podążył za nim opustoszałym korytarzem, aż w końcu wkroczyli do sali tak wielkiej, że Billy aż westchnął. Wysoka, pozbawiona okien i wydrążona pod samym Londynem. – Teuthex zaraz przyjdzie – oznajmił strażnik i odszedł.

Stały tu rzędy ławek, każda z nich miała przegródkę za oparciem – miejsce na modlitewnik. Naprzeciwko umieszczono prosty ołtarz w stylu szejkersów. Powyżej rozpościerała się wielka, pięknie wykonana rzeźba wieloramiennego symbolu, wydłużone ramiona w kształcie litery S wyobrażone w srebrze i drewnie. Ściany zawieszono obrazami, jakby próbowano nimi zastąpić brak okien. Każdy przedstawiał kałamarnicę olbrzymią.

Były tam ziarniste zdjęcia zrobione w głębi oceanu i wyglądające na znacznie starsze niż to możliwe. Drzeworyty ze starożytnych bestiariuszy. Malowidła. Rysunki wykonane tuszem,

pastelami, sugestywne op-artowe wizerunki z fraktalnymi ssawkami. Nie rozpoznał ani jednego. Billy wychował się na wizerunkach krakena i książkach o mitycznych potworach. Szukał wzrokiem czegoś znanego. Gdzie się podziała ośmiornica Montforta zatapiająca statek? Gdzie znajome stare wizerunki *poulpes* Verne'a?

W końcu zlokalizował duży obraz w stylu osiemnastowiecznej sielanki z wizerunkiem kałamarnicy olbrzymiej – była to współczesna, kampowa wersja przedstawiająca młodego architekta baraszkującego pośród piany nieopodal brzegu, skąd obserwowało go kilku rybaków. Na wpół abstrakcyjna, pełna splątanych, ostro łamanych linii zbiegających się w kłębku pełnym fałd.

– To Braque – powiedział ktoś z tyłu. – O czym śniłeś?

Billy odwrócił się gwałtownie. Za nim, z rękami skrzyżowanymi na piersi, stał Dane, a z nim mężczyzna, który zadał pytanie. Na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby był kapłanem. Miał ponad sześćdziesiątkę, pobielające włosy, krótko przyciętą brodę i wąsy. Zdecydowanie był kapłanem – ubrany był w długą czarną szatę i białą koloratkę. Strój zdawał się tylko odrobinę wysłużony. Mężczyzna splótł ręce za plecami. Na szyi miał łańcuch z wisiosem w kształcie symbolu kałamarnicy. Wszyscy trzej stali w milczeniu w tej zatopionej kaplicy, gapiąc się na siebie nawzajem.

– Chciałeś mnie otruć – powiedział w końcu Billy.

– No, no – powiedział łagodnie kapłan.

Billy oparł ręce na ławce i nie spuszczał z niego wzroku.

– Chciałeś mnie otruć – powtórzył.

– A jednak wciąż tu jesteś, prawda?

– Dlaczego? Kim ja jestem? Co tu się dzieje? Jesteście mi winni... parę słów wyjaśnienia.

– W istocie – zgodził się kapłan. – A ty zawdzięczasz nam życie. – Jego uśmiech zniknął.

– A zatem wszyscy mamy wobec siebie dług. Wiem, że pragniesz zrozumieć, co się stało. A my pragniemy ci to wyjaśnić. Uwierz mi, to bardzo ważne, byś zrozumiał – starał się mówić w neutralny sposób, ale spod spodu przebijał akcent z Essex.

– Powiecie mi, co to w ogóle za miejsce? – Billy rozejrzał się wokół, szukając wyjścia. – Dane powiedział mi wczoraj tylko, że...

– To był zły dzień – przerwał mężczyzna. – Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej. Jak ci się śniło? – Zatarł dłonie.

– Co mi podaliście?

– Atrament. To chyba oczywiste.

– Gówno prawda. Atrament kałamarnicy nie wywołuje wizji. W tym był jakiś kwas czy coś.

– Tylko atrament – upierał się mężczyzna. – Co widziałeś? Jeśli miałeś wizje, to wyłącznie twoja zasługa. Domyślam się, że tak gwałtowne zanurzenie mogło być nieprzyjemne, ale nie mieliśmy wyboru. Czas nas goni. Zrobiliśmy to, ponieważ musisz

wiedzieć. – Mężczyzna spojrział na niego nieustępliwie. – Jak mówiłem, to Braque. W 1908 roku Bertrand Hubert, jedyny francuski teuthex, jakiego kiedykolwiek mieliśmy, zabrał go w morze. Spędzili trzy dni w Zatoce Biskajskiej. Hubert odprawił pewien rytuał, którego opis, niestety, zaginął, i sprowadził na powierzchnię małego boga. Musiał być bardzo potężny. On pierwszy od czasów Steenstrupa potrafił uzyskać coś więcej niż tylko obrazy. Prawdziwy... narybek. Bożek czekał, a Braque szkicował go pospiesznie, niemal wypadając przy tym za burtę. W końcu zanurzył się, machając chwytnym ramieniem. Braque opisał go później jako „*exactement comme un garçon qui dit «au revoir» aux amis*”. – Mężczyzna uśmiechnął się lekko. – Głupi żebrak. Nie miał o niczym pojęcia. Ten gest nie był ani trochę *comme*. Może zabrzmiało to dziwnie, ale napisał też, że zwoje, które wtedy zobaczył, sprawiły, że zaczął myśleć kątami. Twierdził, że żadne krzywizny nie mogłyby oddać im sprawiedliwości.

Kubizm jako efekt porażki. Billy podszedł do kolejnego obrazu. Ten był wykonany bardziej tradycyjną metodą – tłusta, rozplaszczona kałamarnica gnijąca na kamiennej płycie, otoczona przez nogi w butach rybackich. Szybkie, delikatne pociągnięcia pędzla.

– Czemu mnie naćpaliście?

– To Renoir. A tam... Constable. Okres przedsteenstrupiański, tak nazywamy epokę atramentową. Zanim wynurzyliśmy się z czarnego obłoku. – Obrazy otaczające Billy'ego nagle zaczęły wyglądać niczym dzieła Maneta, Piranesiego, Bacona, Bruegla, Kahlo. – Nazywam się Moore – dodał kapłan. – Bardzo mi przykro z powodu twojego przyjaciela. Naprawdę bardzo żałuję, że nie byliśmy w stanie temu zapobiec.

– Nawet nie wiem, co się stało – powiedział z wahaniem Billy. – Nie mam pojęcia, co ten człowiek... – Przełknął ślinę i umilkł.

Moore odkaszlnął teatralnie.

W ciężkich ramach za szkłem spoczywało coś płaskiego, jakaś ciemnoszara płyta. Był to kawałek brązowo-szarej skały o powierzchni mniej więcej dwóch dziesiątych metra kwadratowego. Przecinały ją ciemniejsze linie koloru szarego atramentu, nakrapiane cętkami koloru zakrzepłej krwi układające się w zarysy ludzkich sylwetek spoglądających na coś w kształcie torpedy – pęk spiralnych biczy, okrągłe czarne oko.

– Znaleziono to w jaskini Chauvet – wyjaśnił Moore. – Trzydzieści pięć tysięcy lat.

Węglowe oko kałamarnicy patrzyło na niech poprzez wieki. Billy poczuł zawroty głowy, patrząc na to wiekowe dzieło. Czy nie należałoby go oglądać w drżącym świetle ogniska? Kobiety i mężczyźni kreślący linie patykami i zręcznymi palcami, by narysować to, co widzieli na brzegu morza. To, co unosiło ramiona z głębin, podczas gdy oni machali do niego z płycizny.

– Już od dawna składaliśmy takie zlecenia – powiedział Moore. – Pokazywaliśmy im boga. A raczej jego młode. Tak właśnie robiliśmy. Ale od czasu upadku atramentu oferujemy tylko sny. Tak jak ofiarowaliśmy tobie. Nie wiemy, w jaki sposób Hubert zdołał sprowadzić młodego boga. Nawet morze nie chce nam tego wyjawiać. A pytaliśmy wielokrotnie.

Widziałeś młode, Billy. Małe Jezuski. – Uśmiechnął się, wygłaszając to bluźnierstwo. – To właśnie pomogłeś zachować. *Architeuthis* to miot krakena. Bogowie są jajorodni. Nie tylko nasi bogowie... wszyscy. Potomstwo boskie jest wszędzie, jeśli tylko wie się, gdzie go szukać.

– Kim był ten tatuaż? – spytał Billy.

– Co się dzieje z krakenem, który dociera do ostatniego etapu? – Moore wskazał kciukiem na malowidło jaskiniowe. – „Kraken śni” – zaczął cytować i kontynuował, wykonując gest cytowania palcami obu rąk:

*Syty morskiego robactwa czeka uśpiony,
Aż sądny ogień ogrzeje bezmiar niezgłębiony;
A wówczas ludziom i świętym ukazany
Rycząc wypłynie, aby dokonać żywota.*

Billy zapatrzył się w dal. Zastanawiał się, czy jego niedoszli koledzy prowadzą dochodzenie w sprawie jego zniknięcia i czy zrobili już jakieś postępy. Nagle wyobraził sobie Collingswood w jej nieregulaminowym mundurze, z arogancką miną, jak dyskutuje gorączkowo z pozostałymi, próbując go odnaleźć.

– Byliśmy od początku – ciągnął Moore. – A teraz jesteśmy tutaj. Na końcu. Małeńcy bogowie pojawiają się wszędzie. Kubodera i Mori. Ale to dopiero pierwsi z nich. Zdjęcia, filmy... bogowie ukazują swoją obecność. *Architeuthis*, *Mesonychoteuthis*, wcześniej nieznanymi. Ukazują się nam po tylu latach milczenia.

28 lutego 2006 roku kraken pojawił się w Londynie – uśmiechnął się. – W Melbourne trzymają go zamrożonego w lodzie. Wyobrażasz to sobie? Lód na patyku o smaku boga. Wiesz, że chcą też postawić jednego w Paryżu? Ma zostać... jak to się nazywa? Zaplastynowany? Ten dziwny niemiecki artysta robi tak samo z ludźmi. Właśnie tak chcą pokazywać boga. – Dane potrząsnął głową, Moore także. – Ale ty zrobiłeś inaczej, Billy. Potraktowałeś go miłosiernie – Dziwne, uroczyste określenie. – Z szacunkiem. Trzymałeś go za szkłem.

Jego kałamarnica była relikwią zamkniętą w relikwiarzu.

– To rok pierwszy krakena – oznajmił Moore. – *Anno Teuthis*. Doszliśmy do kresu czasów. Jak sądzisz, co się dzieje wokół? Uważasz, iż to tylko przypadek, że gdy tylko wywołaliśmy boga i potraktowaliśmy go w ten sposób, nagle rozpoczął się koniec świata? Jak sądzisz, dlaczego tak często przychodziliśmy, by go oglądać? Dlaczego wprowadziliśmy do środka swojego człowieka. – Dane skłonił głowę. – Musieliśmy wiedzieć, stale obserwować. Chcieliśmy go chronić, zrozumieć w końcu, co się dzieje. Wiedzieliśmy, że coś się wydarzy.

Chyba zdajesz sobie sprawę, że mogłeś pracować przy krakenie tylko dzięki temu, że rycząc, wypłynął, aby dokonać żywota?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Marge wiedziała, że w związku z Leonem pewne rzeczy należy przyjmować za oczywiste. Nie było to takie złe, ponieważ otwierało furtkę do pewnych nadużyć z jej strony, które w poprzednich związkach wywołałyby oburzenie i najróżniejsze pretensje.

Nie odczuwała na przykład żadnych oporów przed odwołaniem randki, jeśli akurat nad czymś pracowała i dobrze jej szło.

– Wybacz, kochanie – mówiła wiele razy, pochylając się nad zniszczonym sprzętem wideo, który ocalała ze śmietników i z eBay – ale właśnie coś kończę. Możemy przełożyć?

Gdy Leon robił dokładnie to samo, czasem odczuwała rozdrażnienie, ale także satysfakcję – wiedziała, że właśnie zaciągnął u niej dług, który można będzie później spieniężyć. Nigdy nie marzyła o monogamicznym związku, a zatem z analogicznych powodów drobne skoki w bok, których Leon dopuszczał się od czasu do czasu – i szeroko sygnalizował swoim zachowaniem – przynosiły jej pożądaną ulgę.

W innej sytuacji prawdopodobnie nie zwróciłaby uwagi na to, że jej partner nie daje znaku życia już od dwóch, trzech, pięciu dni czy nawet od tygodnia. Nie zdziwiłoby jej to bardziej niż odwołanie spotkania w ostatniej chwili. Tym razem odczuwała jednak pewien niepokój, ponieważ mieli bardzo konkretne plany – wybierali się na maraton filmów z Jamesem Bondem, ponieważ uznali, że „może być niezła polewka”, a Leon dotąd nie zadzwonił, by to odwołać. Wysłał jej tylko jakiegoś bezsensownego SMS-a – co w samo w sobie nie było niespotykane – i nie zjawił się o umówionej godzinie. A teraz ignorował jej wiadomości.

Wysłała mu SMS-a, potem e-maila. „Gdzie jesteś?”, pytała. „Odezwij się, bo będę się martwić. Prześlij wiadomość najbliższym gołębiem, całuję”.

Marge skasowała ostatnią wiadomość od Leona, sądząc, że to jakieś pijackie wygłupy. Oczywiście, teraz głęboko tego żałowała. Szło to jakoś tak: BILLY MÓWI, ŻE JEST JAKIŚ KULT MACEK.

- Ojcowie i matki, obojętne ciotki i wujkowie w lodowatej ciemności, błagamy was.
- Błagamy was – wymruczała kongregacja w odpowiedzi na wezwanie teuthexa.
- Albowiem jesteśmy waszymi komórkami i synapsami, waszymi ofiarami i pasożytami.

- Pasożytami.
- A jeśli otaczacie nas opieką, to nic o tym nie wiemy.
- Nie wiemy.

Billy siedział z tyłu kaplicy. Nie wstawał i nie siadał wraz z zebranymi, nie mruczał też nic nie znaczących fonemów, by wtopiły się w szmer ich słów. Obserwował. W sali zebrało się zaledwie kilkanaścioro wiernych. Większość z nich była biała, ubrana w tanie, niepozorne stroje. Przeważali ludzie w średnim wieku i starsi, ale dostrzegł też dziwną fluktuację wiekową – nieopodal ołtarza stało czterech czy pięciu barczystych młodych mężczyzn – ponurych, oddanych i posłusznych, ustawionych w jednym rzędzie.

Dane wyglądał jak przerośnięty ministrant. Zamknął oczy i poruszał ustami w modlitwie. Światło w kaplicy było przyciemnione i wszędzie kładły się cienie.

Teuthex odprawiał nabożeństwo, zawodząc monotonnym głosem, przechodząc z angielskiego na łacinę czy też coś podobnego, a potem na coś przypominającego grekę – dziwne oślizgłe sylaby, najprawdopodobniej wizje umarłych języków lub wymyślone pomruki stad kałamarnic. Atlantydzki, hiperborejski, fikcyjny język R'lyeh. Billy spodziewał się krzyków w ekstazie, gorączkowego oddania, rozpaczliwego paplania różnymi językami, ale ta żarliwość – widział ją we łzach i zaciśniętych dłoniach wiernych – była w pełni kontrolowana. Atmosfera sekty była zdecydowanie niecharyzmatyczna – ot, zwykły anglikatolicki kult mięczaków.

Taka mała grupka. Gdzie są pozostali? W sali wystarczyłoby miejsca nawet na trzykrotnie więcej ludzi. Czy zaprojektowano ją według pobożnych życzeń, czy może kult wkroczył w fazę schyłkową?

– Sięgnijcie ku nam i obejmijcie nas – wygłosił Moore, a kongregacja odpowiedziała: – Obejmijcie nas – wykonując zagarniające ruchy palcami.

– Wiemy... – zaczął teuthex. To musiało być kazanie. – Wiemy, że nadeszły dziwne czasy. Są tacy, którzy sądzą, że to koniec. – Zbył to stwierdzenie gestem ręki. – Proszę was, byście zachowali wiarę. Nie lękajcie się. „Jak mógł zniknąć?”, pytali mnie niektórzy z was. „Czemu bogowie nic nie robią?” Pamiętajcie o dwóch rzeczach. Bogowie nie mają wobec nas żadnego obowiązku. Nie dlatego oddajemy im cześć. Czynimy to, ponieważ są bogami. Wszechświat należy do nich. To oni podejmują decyzje i nie nam pytać, z jakiego powodu czynią to, co czynią.

„Chryste – pomyślał Billy – co za ponura teologia”. To cud, że zdołali przyciągnąć do tej sali kogokolwiek. Ku jego zdziwieniu, wśród zebranych wcale nie panował jednak nihilistyczny nastrój. Wręcz przeciwnie, wbrew słowom kapłana, wydawali się zupełnie pogodni, a ze słów teuthexa także biła cicha nadzieja. Doktryna nie była zbyt doktrynalna.

– A po drugie – dodał Moore – pamiętajcie o ruchu, który wygląda jak bezruch. – Przez zgromadzenie przebiegł szmer.

Nie było żadnej komunii, żadnego dzielenia się świętym kalmarem. Przez chwilę zabrzmiał jakiś niezręczny hymn bez słów, nastąpiła milcząca modlitwa, a potem wierni opuścili kaplicę. Przy wyjściu każdy z nich obrzucał Billy'ego dziwnym, zachłannym spojrzeniem. Młodzi mężczyźni zdawali się wręcz wygłodzeni i nie chcieli spojrzeć mu w oczy.

Na końcu zbliżyli się do niego Dane i Moore.

– A zatem – oznajmił teuthex. – Właśnie widziałeś swoje pierwsze nabożeństwo.

– Co to była za wiewiórka?

– Wolny strzelec.

– Co? Jaki strzelec?

– Chowaniec. Nie patrz tak na mnie. Chowaniec. Nie zachowuj się tak, jakbyś w życiu nie słyszał tego słowa.

Billy pomyślał o wiedźmach i czarnych kotach.

– Gdzie się teraz podział ten chowaniec?

– Nie wiem. Nie chcę wiedzieć. Zapłaciłem mu za pracę. – Dane unikał jego wzroku. – Robota wykonana, więc sobie poszedł.

– A czym mu płaciłeś?

– Orzechami. A jak myślisz, czym mógłbym zapłacić wiewiórcę? – Dane był tak poważny, że Billy nie potrafił ocenić, czy mówi prawdę, czy też nabija się z niego. Witamy na naszym rynku pracy. Magiczne zwierzęta też muszą otrzymać zapłatę, w orzechach lub w innej walucie. Billy przyjrzał się obrazom i książkom umieszczonym w ponurych, szarych pokojach Moore'a.

– Baron... – zaczął Billy.

– Och, tak, znamy tu Barona – odparł ciężko Dane. – I jego koleżków.

– Powiedział mi, że skradziono z antykwariatu jakieś książki.

– Są w naszej bibliotece – oznajmił teuthex. – Nie można nawracać świata za pomocą kserokopii.

Billy przytaknął, tak jakby miało to jakiś sens. Odwrócił się twarzą do Moore'a.

– Co się dzieje? – spytał w końcu. – Czego chciał tamten... człowiek? I dlaczego mnie więzicie?

Moore obrzucił go zagadkowym spojrzeniem.

– Więżymy? A dokąd chciałbyś pójść?

Zapadła cisza.

– Muszę stąd wyjść – oświadczył Billy, po czym bardzo szybko dodał: – Co ten... co Goss zrobił... Leonowi?

– Bardzo byś się obraził, gdybym powiedział, że ci nie wierzę? – spytał Moore. – Że chcesz stąd wyjść? Nie jestem pewien, czy rzeczywiście tak uważasz. – Spojrzał mu uważnie

w oczy. – Co widziałeś? – Słyszac żarliwą ciekawość w jego głosie, Billy niemal cofnął się odruchowo. – Zeszłej nocy. O czym śniłeś? Nawet nie wiesz, czemu znalazłeś się w niebezpieczeństwie. Billy. A jeśli pójdziesz do Barona i Vardy’ego, znajdziesz się w jeszcze większym. Wiem, co ci o nas mówili – dodał z błyskiem w oku, jakby chciał powiedzieć „widzisz, równy gość z tego pastora”. – Ale ten mały gang popularnie zwany „policją”, nie zdoła ci już pomóc. Wpadłeś w oko Tatuazowi.

– Pomyśl o Tatuazu – stwierdził Dane. – Ta twarz. Twarz człowieka na plecach innego. Jak chciałbyś się z tym zmierzyć, Billy? – spytał spokojnie. – Myślisz, że policja sobie z tym poradzi?

– I nie chodzi tylko o niego – dodał Moore. – Wiem, że nie potrzebujesz dodatkowych problemów. To wszystko jest trochę... Cóż. Ale nie zmienia to faktu, że mamy przeciwko sobie nie tylko Tatuaza. Nagle wszyscy zaczęli się zgadzać, że koniec jest bliski. Pewnie powiesz, że nie ma w tym nic dziwnego, i normalnie miałbyś rację, ale tym razem naprawdę mam na myśli wszystkich. W twoim przypadku powoduje to pewne... następstwa. Musisz zdobyć moc. Wysłuchaj mnie. Jesteśmy Kongregacją Boga Krakena. To nasz czas.

A potem wyjaśnili mu wszystko.

Londyn jest pełen skłóconych bogów.

Dlaczego? Przecież muszą gdzieś mieszkać. Miasto żyjące we własnych zaświatach. Dlaczegoż by nie?

Oczywiście bogowie są praktycznie wszędzie. Teurgiczne robactwo – bogowie wyznawani w dawnych czasach albo nadal czczeni w tajemnicy, na wpół czczeni, budzący lęk i pogardę i pomniejsi bożkowie – rozpełzali się absolutnie, kurwa, wszędzie. Ekosystemy bóstwa są niezwykle żyzne, ponieważ wszędzie są w stanie wzbudzić podziw i szacunek, którymi się żywią. Z samego jednak faktu, że karaluchy są wszędzie, nie wynika bynajmniej, że nie ma ich w jednej konkretnej nowojorskiej kuchni. A z tego, że anioły trzymają się swych pradawnych siedzib, a każdy kamień, paczka papierosów, pagórek i miasteczko mają własne bóstwa, nie wynika bynajmniej, że w Londynie nie dzieje się nic szczególnego.

Ulice Londynu to kamienne synapsy wybudowane do oddawania czci. Wystarczyło przejść we właściwym lub niewłaściwym kierunku przez Tooting Bec, by wywołać to lub tamto. Nie każdy jest zainteresowany bogami, ale bogowie interesują się każdym.

A tam, gdzie żyją bogowie, zawsze znajdują się sznyterzy, pieniądze i rekiety, religijni mordercy z domów poprawczych, broniownicy i samozwańczy rabusie. Miasto uczonych, naciągaczy, wiedźm, papieży i przestępców. Kryminarchów pokroju Tatuaza, nielegalnych władców. Tatuaz pracował z Krayami, zanim został Tatuazem, ale za jego czasów w zasadzie nigdy nie należało zostawiać otwartych drzwi do domu. Nikt nie pamiętał, jak nazywał się ten człowiek – na tym polegała część jego przemiany. Makabryczny cud, który zapewnił mu

obecną postać zniszczył zarówno jego dawne ciało, jak i imię. Wszyscy wiedzieli, że kiedyś je znali, w tym także on sam, ale nikt nie umiał go sobie przypomnieć.

– Ten gość, który go tak urządził, był bardzo mądry – stwierdził Dane. – Stary Gris, szkoda, że już go nie ma. Znałem paru jego ludzi.

Miasto pokrywała skomplikowana, wielowymiarowa siatka geograficzno-gospodarcza, przecinające się linie obowiązków i kary. Zbrodnia przeplatała się z wiarą.

– W Neasden rządzą Bękarty Dharmy – stwierdził Dane, choć dodał, że wiele partyzanckich przedsięwzięć ma charakter świecki, agnostyczny, ateistyczny lub po filistersku ekumeniczny. Jednak to wiara kształtowała krajobraz.

– Kim są Goss i Subby? – spytał Billy.

Dane wpatrywał się we własne pięści. Moore westchnął.

– Goss i Subby – powtórzył.

– Co oni...

– Wszystko, co tylko możesz sobie wyobrazić.

– Jest niegodziwcem – stwierdził Dane. – I sprzedaje tę niegodziwość.

– Dlaczego zabił tamtego człowieka? Tego w piwnicy?

– Zakonserwowanego – domyślił się teuthex. – Nie wiemy, czy to rzeczywiście jego sprawka.

Billy przez chwilę milczał.

– Tatuaz myślał, że to ja ukradłem kałamarnicę – powiedział w końcu.

– I dlatego cię ściga – stwierdził Dane. – Rozumiesz? Specjalnie wynająłem chowańca, żeby miał na ciebie oko.

– Ty go zachowałeś, Billy. Ty otworzyłeś drzwi i odkryłeś jego zniknięcie. – Moore wskazał na niego palcem. – Nic dziwnego, że Baron cię ściga. Nic dziwnego, że Tatuaz cię ściga, i nic dziwnego, że postanowiliśmy cię strzec.

– Ale przecież wiedział, że to nieprawda! – upierał się gorączkowo Billy. – Sam powiedział, że nie mam z tym nic wspólnego.

– Aha – przyznał Dane. – Ale potem cię uratowałem.

– Wydostaliśmy cię z jego łap, więc teraz jesteśmy współnikami – przytaknął Moore. – Teraz jesteś jego wrogiem.

– Objęliśmy cię opieką – stwierdził Dane. – Będzie ci bardzo potrzebna.

– Jak zdołaliście zabrać architeuthisa z muzeum? – spytał w końcu Billy.

– To nie my – odparł cicho Moore.

– Jak to?! – Billy osłupiał. To była relikwia. Z całą pewnością byli gotowi o nią walczyć, tak jak żarliwy katolik walczyłby o skrawek całunu, a buddysta o odzyskanie skradzionej Sury. – A zatem kto?

– Hm – odparł Moore. – Cóż. Posłuchaj, musisz przekonać wszechświat, że pewne zdarzenia mają określony sens. Czyli musisz sznytować. – Billy zamrugnął gwałtownie,

słyszając tę gwałtowną zmianę tematu i dziwny czasownik. – Wykorzystujesz to, co akurat masz pod ręką.

– Trzask – powiedział Dane i strzelił palcami. W miejscu, gdzie zetknęły się jego palce, pojawił się mały fluorescencyjny ogień. Billy gapił się na niego oszołomiony. Wiedział, że nie jest to prestidigitatorski trik. – To tylko skóra.

– Używasz tego, co akurat masz pod ręką – powtórzył Moore – ale niektóre rzeczy pod ręką są lepsze niż inne.

Billy zdał sobie sprawę, że Dane i jego kapłan wcale nie zmienili tematu.

– Kałamarnica olbrzymia jest... – Billy przerwał, myśląc intensywnie. „Jest silnym amuletem, wielkim stworzeniem, poważną sprawą. Jest magiczna, ot co. Pomaga w sznycowaniu”. – Właśnie dlatego ją zabrali. Dlatego tatuazowi tak na niej zależy. Ale to wariactwo – dodał. Nie potrafił się powstrzymać. – To wariactwo.

– Wiem, wiem – przytaknął Moore. – Wariackie wierzenia, co? To musi być jakaś metafora, prawda? Musi znaczyć coś innego? – Potrząsnął głową. – Cóż za straszliwa arogancja. A co, jeśli wiara jest dokładnie tym, czym jest? Jeśli słowa znaczą dokładnie to, co mówią?

– Przystań się doszukiwać sensu i po prostu słuchaj – poradził Dane.

– A co – mówił dalej Moore – jeśli prawdy wiary są tak trwałe, właśnie dlatego, że są bardzo precyzyjne? – Odczekał chwilę, ale Billy nie próbował mu przerwać. – To wszystko jest całkowicie rzeczywiste. Tatuaz pragnie odnaleźć to ciało, Billy, i chce je wykorzystać samemu albo nie dopuścić, by użył go ktoś inny. Wszystko ma swoją moc, Billy – rzekł z naciskiem. – „W drodze na dno jest mnóstwo prądów”, jak mówi powiedzenie. Ale niektórzy schodzą szybciej i głębiej niż inni. Niektórzy mają rację – dodał i uśmiechnął się, jak ktoś, kto nie żartuje.

– Co ten złodziej, kimkolwiek jest, miałby zrobić z kałamarnicą? – dopytywał się Billy.

– Cokolwiek by zrobił, jestem przeciw – stwierdził Dane.

– Raczej: czego by nie miał? – zauważył Moore. – Czegóż by nie zrobił? Mając do dyspozycji coś tak świętego?

– I właśnie dlatego musimy stąd wyjść – oznajmił Dane. – Musimy go znaleźć.

– Dane – upomniał go Moore.

– To nasz obowiązek.

– Dane. To oczywiste, że musimy wiedzieć, co się dzieje – odparł łagodnie Moore. – Ale należy też okazać wiarę.

– Cóż byłoby lepszym aktem wiary niż wyjść na zewnątrz? – nalegał Dane. – Rozumiesz, co się dzieje? – zwrócił się do Billy'ego. – Wiesz, jakie to niebezpieczne? Tatuaz chce cię dorwać, a do tego ktoś ukradł krakena. To bóg, Billy. A my nawet nie wiemy, kto go ma, i gdzie, i dlaczego.

„Bóg”, pomyślał Billy. „Złodziej ukradł kawał bladej, przesiąkniętej formaliną gumowatej masy”. Ale jednocześnie wiedział, że w tym wypadku prawda nie jest prawdziwa.

– Bóg potrafi o siebie zadbać – stwierdził Moore, zwracając się do Dane’a. – Wiesz, że dzieje się coś ważnego, Billy. Wiedziałeś o tym już od dawna.

– Widzę, że też to czujesz – dodał Dane. – Widziałem, jak patrzysz w niebo.

– To koniec – oznajmił Moore. – Nasz bóg o tym zdecydował, ale my nie mamy na to wpływu. To niedopuszczalne. – Rozłożył palce, w absurdalnym geście modlitwy. – Właśnie dlatego się tu znalazłeś. Wiesz rzeczy, o których nawet nie wiesz – dodał. W jego słowach zabrzmiał taki żar, że Billy’emu aż dreszcz przeszedł po plecach. – Pracowałeś nad jego świętym ciałem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Mógłbyś potupać trochę nóżkami, prawda, Subby? Mógłbyś zdjąć bucik i wrzucić go do jeziora.

Goss tupał nogami, a Subby szedł kilka kroków za nim, z rękami splecionymi z tyłu, jakby przedrzeźniał starszego mężczyznę. Goss pochylał się naprzód, aż kipiąc energią. Co chwila rozplatał ręce i wycierał je o brudną marynarkę. Subby przyglądał mu się i robił to samo.

– Gdzie jesteśmy, co? – spytał Goss. – Dobrze, że pytasz, proszę ciebie. Dobrze, że pytasz. Gdzie, w samej rzeczy, jesteśmy. Rzadko się zdarza, żeby pan szycha się w czymś pomylił, ale pan Harrow najwyraźniej nie jest takim oferumą, jak mogłoby się wydawać, skoro ma pod ręką takich wykidajłów. Nadal nie wiem, kto to był, kto ci przyłożył w makówkę, biedaku. Już ci lepiej?

Zmierzył chłopcu czuprynę. Subby gapił się na niego z otwartą buzią.

– Jaki on jest? Cały oblepiony tą sprawą, jak płuca szlamem. Mimo wszystko, to wciąż nasz najlepszy trop, nawet jego wytuszona eminencja to przyznaje i, jak sam mówisz, jeden raz to ani razu. Złapaliśmy go już wcześniej i znowu nam się uda. Gdzie? Oto jest pytanie, mój młody uczniu. Uszy do ziemi, Subby, język luźno.

Mężczyzna zrobił, jak powiedział, i zaczął smakować okolicę. Nawet jeśli przechodnie robiący zakupy w podmiejskim pasażu handlowym zauważyli starszego mężczyznę mlaskającego i strzelającego językiem niczym wąż, to udawali, że go nie widzą.

– Zasadniczo ścigamy naszą rybkę, więc jakikolwiek smak sam-wiesz-czego, choćby drobna nutka tego, jak mówię, wyraźnego mięsno-zepsuto-chemicznego bukietu, i ruszamy w tamtą stronę, ale poza tym wygląda na to, że pan Harrow jednak wie parę ciekawych rzeczy, a ja wciąż pamiętam jego smak.

W całym mieście rozgrywały się obecnie najróżniejsze dramaty: ukryte machinacje, zdrady, insynuacje i nieporozumienia pomiędzy grupami o dobrze określonych i krzyżujących się interesach. W biurach, warsztatach, laboratoriach i bibliotekach dochodziło do głośnych scysji pomiędzy wściekłymi naukowcami lub samozatrudnionymi teoretykami-

manipulatorami a ich nieludzkimi towarzyszami – a w każdym razie tymi spośród nich, którzy jeszcze przebywali w pobliżu.

– Jak możesz mi to robić?! – To zdanie rozbrzmiewało najczęściej, po nim zaś padało krótkie: – A zresztą, pierdol się.

W centrali Konfederacji Przemysłu Brytyjskiego znajduje się korytarz przebiegający między często używaną toaletą a małym pokojem spotkań. Większość ludzi w ogóle go nie dostrzegają, a nawet jeśli tak było, to przez chwilę zastanawiali się, dlaczego wcześniej go nie zauważyli, i już nigdy więcej nie zwracali na niego uwagi. Oświetlenie było w nim słabsze niż powinno. Akwarele zawieszane na ścianach wyglądały niewyraźnie, trudno było się na nich skupić.

Na końcu korytarza umieszczono plaketkę z napisem: SCHOWEK, NIECZYNNE lub coś w tym stylu – jakaś fraza, której treść trudno było sobie przypomnieć, ale przesłanie brzmiało jednoznacznie: nie te drzwi, idź stąd. Dwie osoby postanowiły zignorować to przesłanie. Przodem szedł wysoki mężczyzna w drogim garniturze i czarnym motocyklowym kasku na głowie. Za nim podążała kobieta, na oko sześćdziesięcioletnia, potykając się i zataczając niczym rozgorączkowane zwierzę. Ubrana była w znoszony prochowiec, a mięśnie twarzy miała luźne i zwiotczałe.

Mężczyzna zapukał i wszedł do środka, nie czekając na odpowiedź. W środku znajdowało się niewielkie biuro. Urzędnik za biurkiem wstał, by powitać gości, i wskazał na stojące obok krzesła. Mężczyzna w garniturze nie usiadł, popchnął za to kobietę na siedzenie. Oparł dłonie na jej ramionach. Poły prochowca rozchyliły się lekko i okazało się, że pod spodem kobieta jest naga. Jej skóra była zimna, miała chorobliwy odcień.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Potem starsza pani poruszyła dziwnie ustami. Wydobył się z nich ostry dźwięk dzwonka.

– Halo? – powiedział człowiek za biurkiem.

– Halo – odpowiedziała kobieta, trzeszczącym, głuchym głosem. Był to męski głos, mówiący z londyńskim akcentem. Oczy miała zupełnie puste, niczym manekin. – Czy rozmawiam z panem Deweyem z Konfederacji Przemysłu Brytyjskiego?

– Tak. Dziękuję, że skontaktował się pan ze mną tak szybko.

– Nie ma problemu – odpowiedziała kobieta, śliniąc się lekko. – Rozumiem, że ma pan dla mnie pewną propozycję. Dotyczącą, hm, obecnego sporu.

– Tak, panie... tak. Zastanawialiśmy się, czy mógłby nam pan pomóc.

Po długich konsultacjach uwzględniających szczegółowe kryteria geopatyczne, policja londyńska znalazła w końcu miejsce dla swych specjalistów od niecodziennych spraw w Cricklewood. FPTS i ich wysoce kompetentni technicy – sekretarki bez mrugnięcia okiem wypisujące dowolne informacje, patolodzy przeprowadzający autopsję każdego zwłok, jakie położono przed nimi na stole, niezależnie od wyglądu i przyczyn śmierci. Vardy, Baron i

Collingswood spotkali się w chłodnym laboratorium niejakiej doktor Harris – wysokiej kobiety, kompletnie niezrażającej się absurdalną i sznytowaną naturą przedstawionych jej dowodów zbrodni. Raz jeszcze pokazali jej zwłoki znalezione w piwnicy muzeum.

– Dostałam polecenie, żeby go nie ruszać – powiedziała.

– A teraz mówię: proszę otworzyć to cholerstwo – oznajmił Baron i pół godziny później połówki słoja oddzieliły się od siebie z lekkim trzaskiem i zakołysały na stalowym blacie. Leżące pomiędzy nimi zwłoki niemal zachowały swój cylindryczny kształt. Skóra zmarłego i pozycja dłoni wyglądały, jakby nadal przyciskał je do szkła.

– Proszę – oświadczyła Harris i omiotła zwłoki wskaźnikiem laserowym. Mężczyzna wpatrywał się w nią żarliwym wzrokiem topielca. – Jest tak, jak mówiłam – dodała, wskazując na szyjkę butelki. – Nie ma takiej możliwości, żeby ktoś wepchnął go do środka.

Funkcjonariusze FPTŚ popatrzyli na siebie.

– Myślałem, że może zmieniła pani zdanie – powiedział w końcu Baron.

– Niemożliwe. Ten człowiek w żaden sposób nie mógł dostać się do środka tej butli, chyba że znalazłby się w niej po urodzeniu i tam dorastał. Co, biorąc pod uwagę jego tatuaże i parę innych rzeczy, jest zupełnie wykluczone.

– Okej – stwierdził Baron. – Nie o to nam w tej chwili chodzi. Prawda, panie i panowie? Co nam wiadomo o metodach działania naszych podejrzanych? Mają jakieś szczególnie ulubione? Mam tu na myśli Gossa i Subby’ego.

Goss i Subby. Goss i Subby!

Collingswood była pewna, że się nie myli. Anders Hooper był dobrym origamistą, ale otrzymał to zlecenie tylko dzięki temu, że był młody niedoświadczony i nie rozpoznał swojego klienta. Sama była wprawdzie niewiele starsza, ale, jak powiedział z szorstkim uznaniem Vardy: „Collingswood się nie liczy”. Jej techniki dochodzeniowe były wprawdzie dość nieortodoksyjne, a wiedza – fragmentaryczna, ale naprawdę doceniała wagę informacji o świecie, w którym przyszło jej pracować. Czytała wszystko na temat jego historii – w dość przypadkowej kolejności, ale czytała. Jak mogłaby przegapić Gossa i Subby’ego?

Owiana złą sławą wędrownica po pubach w Soho w towarzystwie Crowleya zakończyła się poczwórnym morderstwem. Collingswood widziała zdjęcia ofiar i na ich wspomnienie do tej pory zamykała oczy. Poćwiartowanie śpiewaczek, dokonane w czasie, gdy Londyn wciąż jeszcze odbudowywał się po Wielkim Pożarze. Słynni „wędrowcy na szlaku twarzy” w 1812 roku to także Goss i Subby. To musieli być oni. Goss, Król Mordgeszefciarzy – przezwisko nadał mu pewien cygański myśliciel, którego tożsamości nie dało się ustalić, co z całą pewnością było mu na rękę – i Subby, chłopiec, który według wiarygodnych źródeł opisany został w wierszu Margaret Cavendish jako „pomiot mięsa i ludzkiej nikczemności”.

Goss i pierdolony Subby. Przemykali się chyłkiem poprzez całe wieki historii Albionu, czasem znikając na dziesięć, trzydzieści czy nawet sto błogosławionych lat, a potem wracali,

by wyrównać rachunki z socjopatycznym błyskiem w oku, by dokonać jakichś mordów i podpaleń za odpowiednią opłatą.

Nie dało się uzyskać na ich temat żadnych konkretnych informacji. Collingswood próbowała zbadać, na czym dokładnie polegają ich sznyty, które ciągle uważała za rodzaj supermocy, i dowiedziała się tylko tyle, że Goss był morderczym bandziorem, jaki nie miał sobie równych. Superbandzior. Megabandzior. Kapitan Totalny Skurwysyn. Nie było w tym nic zabawnego. Ktoś mógłby powiedzieć, że to banalne – co nie zmieniało prostego faktu, że zło jest złe. Mówiono, że Goss potrafi zabić człowieka, wciągając go w usta, przebić drugiego na wylot i splunąć ogniem, by spopielić trzeciego. Do wyboru, do koloru.

Po raz pierwszy przeczytała o nich w faksymile dokumentu z XVII wieku, gdzie wspomniano o „długopalcym dawcy zła i jego żywymartwym synu” i przez parę tygodni, nie mogąc poprawnie odczytać starych czcionek, nazywała ich Goff i Fubby. Potem wraz z Baronem nieźle się z tego uśmiali.

– Zaftanówmy fię – powiedziała głośno. – Czyja to fprawka? Czyżby znowu Goff i Fubby? – Baron zaśmiał się krótko. – Czy to ich moduf operandi?

I na tym właśnie polegał problem – Goss i Subby nie mieli żadnego modus operandi. Baron, Vardy i Collingswood przyglądali się uważnie zakonserwowanemu mężczyźnie. Zaglądali w notatki, robili kolejne, obchodzili trupa w koło, mruzczyli do siebie, a potem do siebie nawzajem.

– W tej chwili możemy powiedzieć tylko tyle – powiedział w końcu Baron, nachylając się nad ciałem – że nie ma dowodów, by kiedykolwiek wcześniej zrobili coś podobnego. Sprawdziłem akta. Vardy?

Profesor wzruszył ramionami.

– Działamy na ślepo. Wszyscy to wiemy. Ale... chcesz znać moje zdanie? Biorąc to wszystko pod uwagę... uznałbym, że nie. Jak dotąd wszystkie ich metody zakładały działanie w bezpośrednim kontakcie – ręce, kości. To... co innego. Nie wiem, co to jest, ale to nie ich robota. Tak myślę.

– Okej – stwierdził Baron. – A zatem ścigamy pieprzonego Gossa z Subbym i jeszcze kogoś innego, kto pekuje swoich wrogów w słoikach. – Potrząsnął głową. – Za poważne uszkodzenie ciała, mój Boże. W porządku, panie i panowie, bierzemy się za tego osobnika. Potrzebne nam jego dane i to na zaraz. Plus jeszcze parę innych rzeczy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W głąb nowego Londynu? „Miasto skupiło na tobie swą głęboką i niezycziwą uwagę”, powiedział teuthex. „Ścigają cię”.

Billy wyobraził sobie, jak wynurza się z głębi, wytrzeszczając oczy niczym ryba, a Londyn – gdzie czekał Tatuaz, Goss, Subby i ich warsztat – zauważa go. „Ach, tutaj jesteś”.

Wędrował pod miastem, całkiem jakby był wolny. Kilkakrotnie minęli go krakenicy i gapili się na niego oszołomieni, a on odwzajemniał te spojrzenia, ale nikt mu nie przeszkadzał. W niektórych miejscach bas-reliefy odpadły, obnażając stare cegły. W pewnym momencie trafił do jasno oświetlonego pokoju.

Aż westchnął zaskoczony. Pomieszczenie miało wymiary małego saloniku, ale ściany ciągnęły się w dół. Absurdalnie głęboko. Ściany szybu obwieszane były półkami pełnymi książek. W głąb pokoju prowadziły schody, z półek zwisały drabiny. Im bardziej rosły zbiory, tym dotkliwsze stawały się ograniczenia w poziomie i kolejne pokolenia krakenitów musiały drążyć swą bibliotekę coraz głębiej.

Billy zaczął schodzić, czytając po drodze tytuły. *Tybetańska księga umarłych* obok *Bhagawadgity*, obok dwa czy trzy egzemplarze *Koranu*, *Stary i Nowy Testament*, księgi magiczne, azteckie teonomikony, krakenologia, folklor o głowonogach, biologia, humor, sztuka i oceanografia, tanie wydania w miękkiej oprawie i antykwaryczne perełki. *Moby Dick* z okładką zdobioną wytłoczeniami. *20 000 mil podmorskiej żeglugi* Verne’a. Medal Pulitzera przymocowany niczym tarcza herbowa do pewnej strony w książce, na której widniała tylko jedna linijka „Wielkie kałamarnice gramolące się po dnie w zimnej ciemności”, resztę pokrywała farba. *Najwyższy przyptyw* Jima Lyncha, przybity do góry nogami, jak coś bluźnierczego.

Naprzeciwko siebie ustawiono zbiór wierszy Tennysona i tomik Hugh Cooka, otwarte na konkurencyjnych stronach. Billy postanowił przeczytać odpowiedź na utwór lorda Alfreda.

PRZEBUDZENIE KRAKENA

Mała srebrna rybka

Pierzcha jak pocisk

*Gdy podrywam się w górę
Z podwodnego mroku.*

*Zielone wody obmywają ciało
Wciąż pnę się w górę, już nadszedł mój czas,
I już po kilku chwilach
Serce bije z wysiłkiem...
Wiatr to nie woda, nie daje ochłody.*

*W południe
Skóra spływa mi potem
Skotłowane wnętrzości
Puchną, napinając skórę
Nie mam sił, by walczyć – zawisam
W paroksyzmach bólu
Krzycząc, by powstrzymać ten powolny
Wzlot w stronę upadku.
A szaleństwo mego bólu
Przeżera wszystko wokół.
Miasta spływają krwią;
Statki tonę w ogniu, a wojska
Młóćką kijem i laskę;
Otyłość zmierza do zawału
Brnąc ulicami głodu.*

– Jezu – szepnął Billy.

Samizdaty, ekskluzywne wydania, manuskrypty, podejrzane wytwory małych pras.
Apocrypha tentacula, O uwielbieniu dla krakena, Ewangelia Świętego Steenstrupa.

„Nie dostrzegamy wszechświata”, przeczytał w jakimś losowo wybranym tekście. Druk był niewyraźny, kiepsko dobrano krój pisma.

Nie dostrzegamy wszechświata. Tkwimy w głębi rowu oceanicznego, w głębokiej rozpadlinie, w ciemnej wodzie, cięższej niż ziemia, oświetleni blaskiem własnej krwi, małe bioluminy, bohaterscy, żałośni prometeusze, zbyt słabi lub zalęknięci, by wykraść ogień, lecz mimo to lśnimy własnym światłem. Bogowie żyją między nami, lecz nie dbają o nas, ani też w niczym nas nie przypominają.

Oto co robimy: mimo wszystko oddajemy im cześć.

Stare tomiszczą pełne załączników, w ciężko zdobionych okładkach. Notesy z powklejanymi wycinkami. Przypisy i przypisy do przypisów, pełne szcudrośliwych interpretacji i bezlitosnej teutycznej hermeneutyki.

Odczytał kolejne nazwiska: Dickins i Jellis, *Szachy Alicji*. Rozbudowana, zmutowana wersja znanej gry miała dziesiątki skomplikowanych reguł: używano w niej gońców i pionków wyposażonych w dziwne moce, nieprzypominających niczego figur zwanych saurianami, toralami i antykrólami, a także jednej zwanej krakenem. Uważana była za najpotężniejszą figurę, ponieważ mogła wykonać uniwersalny ruch – przejść ze swego miejsca na dowolne pole na planszy. Ale to nie było tak, bo to był kraken. „Kraken = uniwersalny ruch + zero = uniwersalny bezruch”. Mógł przejść na każde pole, „łącznie z tym, na którym stał”. Wszędzie, w tym także nigdzie.

Zarówno na planszy, jak i w życiu, dla Krakena pogrążonego w pustce nic wcale nie jest niczym. Bezruch Krakena nie oznacza braku ruchu. Zero to wszechobecność. Na tym właśnie polega ruch, który wygląda jak bezruch i jest to najpotężniejszy ruch ze wszystkich.

Wzrosty cen stanowiły funkcję neutralnej wyporności, czytał Billy. Art nouveau była wynikiem zazdrości o macki. Wojny stanowiły jedynie blade odbicie domniemanej polityki krakena.

Po paru godzinach podniósł wzrok i dostrzegł przy wejściu jakąś młodą kobietę. Zapamiętał, że pochylała się nad nim podczas wizji. Ubrana w niepozorny londyński mundurek – dzinsy i bluzę z kapturem – stała przy drzwiach i przygryzała wargę.

– Cześć – powiedziała w końcu. – To dla mnie wielki zaszczyt. Mówią, że, no wiesz, wszyscy cię szukają. Anioł pamięci i cała reszta. Dane tak mówił. – Billy zamrugał gwałtownie. – Teuthex pytał, czy przyjdiesz, wszyscy się pewnie ucieszą, jeśli... jak się zgodzisz, bo czekają na ciebie.

Udał się z nią do mniejszego pokoju, w którym ustawiono duży stół, przy którym posadzono sporo osób. Czekali tam Dane, Moore i kilka innych osób. Część była ubrana w szaty przypominające strój teuthexa, ale większość przyszła ubrana zwyczajnie. Wszyscy wyglądali na zagniewanych. Na stole stał cyfrowy dyktafon. Gdy Billy wszedł do środka, burzliwa dyskusja zamilkła jak ucięta nożem. Dane wstał.

– Billy – oznajmił Moore po chwili ciszy. – Proszę, dołącz do nas.

– Protestuję! – zawołał ktoś.

Wokół rozległy się pomruki.

– Proszę, dołącz do nas – powtórzył Moore.

– Co tu się dzieje? – spytał Billy.

– To okres bez precedensu w dziejach świata – odparł Moore. – Interesuje cię przyszłość?

– Billy nie odpowiedział. – Czytujesz czasem swój horoskop?

– Nie.

– Bardzo rozsądnie. Nie da się ujrzeć przyszłości, to niemożliwe. Wszystko to tylko zakłady. Nie da się uzyskać identycznej odpowiedzi od dwóch wróżbitów. Ale to jeszcze nie znaczy, że któryś z nich musi się mylić.

– To możliwe – zauważył Dane.

– Możliwe – zgodził się Moore. – Ale to wszystko różne stopnie możliwości. To normalne, że prognostycy dają sprzeczne odpowiedzi. Nie powiedziałaś nam, o czym śniłeś, Billy. Czyżby miało się wydarzyć coś ważnego? Wszyscy przeczuwają, że coś się kroi, odkąd tylko zniknął kraken. I nikt nie zaprzecza. – Złożył ręce, jakby chciał pokazać implozję. – A to niepokojące. Mamy tu nagrania konsultacji dokonanej u londynmantów – dodał.

– Kim są...

– Dobre pytanie – stwierdził z przekąsem Dane.

– To głosy miasta – wyjaśnił Moore.

– I co jeszcze?

– Dane, proszę cię, przestań. To najstarsze wyrocznie w obrębie M25.

– Wybacz, ale Fitch już od lat nie miał racji – upierał się Dane. – Mówi ci to, co chcesz usłyszeć. Ludzie chodzą do nich tylko z przyzwyczajenia...

– Niektórzy są bystrzejsi od innych – zauważył ktoś z zebranych.

– Zapominacie chyba – odparł teuthex – że londynmanci dostrzegli to jako pierwsi. Fitch najwyraźniej się wypalił, to prawda. Ludzie chodzą do nich z przyzwyczajenia, to prawda.

– Sentymenty – prychnął Dane.

– Możliwe. Ale tym razem to on był pierwszy. Błagał ludzi, by go posłuchali. – Wcisnął przycisk odtwarzania.

– ...najlepiej powiedz... – oznajmił szorstko cyfrowy głos.

– To Saira – wyjaśnił Moore.

– ...po co tu przyszedłeś.

– Coś się szykuje, coś skrytego pod tym wszystkim – głos teuthexa. – Szukamy ścieżki pomiędzy możliwymi...

– Nie tym razem – przerwał mu głos starszego mężczyzny. Mruczał coś pod nosem, to z sensem, to bez sensu. W jego głosie słyhać było gorączkowe zdezorientowane naleganie. – Zachowajcie wiarę, ale musicie coś zrobić, jasne? Masz rację, coś nadchodzi i musicie... To koniec.

– Zachować wiarę w co? – upewnił się teuthex. – W Londyn?

Fitch przez chwilę paplał coś o zaułkach, o pentagramach wplecionych w plan zagospodarowania miasta.

– Już czas, żebym to powiedział – oznajmił nagle.

– Nie rozumiem.

– Nikt nie rozumie. Wiem, co sobie myślisz. Co ci powiedzieli? Czy ktoś cię uprzedził, co nadchodzi? Nie. Oni wszyscy coś wiedzą. Żaden z nich nie dostrzegł tego wcześniej, prawda? Coś – powtórzył, a jego głos zabrzmiał jak szmer pyłu – nadchodzi. Londyn sam ci to mówił. Coś się dzieje i nie ma sensu robić obliczeń. Żadnych dyskusji. Od tego nie ma ucieczki.

– Co się dzieje?

– Świat się zamyka. Coś powstaje. Nadchodzi koniec. Jeśli jakiś wróżbita wywróży ci coś innego, wyrzuć go na zbity pysk. – W głosie zabrzmiała rozpacz. – Ponieważ albo kłamie, albo się myli.

– Musimy szukać – nalegał Dane. – Musimy odnaleźć naszego boga. Tatuaż trzyma na wszystkim łapę. Nie pozwoli, żeby ktoś inny przywłaszczył sobie coś tak potężnego.

– A tamten człowiek, o którym wcześniej mówiłeś? Że jest jego wrogiem? – przypomniał sobie Billy. – Może on zabrał kałamarnicę?

– Grisamentum – powiedział Dane. – Nie. On nie był bandytą, nie dbał też o bogów. Poza tym nie żyje.

– Nikt was nie podejrzewa? – drążył Billy.

Zebrani spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Wszyscy wiedzą, że nie zrobilibyśmy niczego podobnego – powiedział w końcu teuthex. – Nie należy przecież do nas. Nie należy do nikogo.

Billy zdał sobie sprawę, że rzeczywiście są to ostatni ludzie, którzy postanowiliby ukraść krakena – tę asymptotę swojej wiary.

– Co zatem proponujesz zrobić? – spytał Dane. – Mówisz, że należy zrozumieć sytuację, ale przede wszystkim powinniśmy rozpocząć poszukiwania. Możemy go zbawić ode złego.

– Dość! – uciął teuthex, aż wszyscy inni zamilkli. – Nie przyszło ci do głowy, że to może być próba naszej wiary? Myślisz, że boga trzeba... ratować? – Po raz pierwszy wyglądał jak głowa Kościoła. – Znasz katechizm? Co jest najpotężniejszą figurą na planszy?

Zapadła cisza. W końcu Dane wymamrotał niechętnie:

– Kraken jest najpotężniejszą figurą na planszy.

– Dlaczego?

– Ruch, który wygląda jak bezruch.

– A zatem dowiedz, że to rozumiesz.

Moore wstał i wyszedł. Billy czekał. Dane wyszedł drugi. Potem zebrani jeden po drugim opuścili salę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kwatera główna FPTs składała się z jednej niezbyt dużej sali zastawionej tanimi fotelami i meblami biurowymi z Ikei. Collingswood rzadko korzystała z biurka i nigdy nie zaklepała sobie żadnego; wolała pracować w głębokim fotelu, siadając tam z laptopem.

– Co ugryzło tego starego zrzędę? – spytała, wchodząc do pokoju.

– Kogo dziś przez to rozumiesz? – upewnił się Baron.

– Vardy’ego. Od czasu tej afery z kalmarem zrobił się gburowaty i milczący. Jeszcze bardziej niż zwykle.

– Tak myślisz? Moim zdaniem jest standardowo opryskliwy.

– Nieee. – Collingswood nachyliła się w stronę ekranu. – Co on w ogóle robi?

– Podobno próbuje dojść do ładu z tym kultem kalmarów.

– Aha. Znaczą się wali w kimono.

Collingswood znała metody Vardy’ego. Profesor wędrował po Londynie, przepytując swoich informatorów. Dużo wyszukiwał w internecie. Czasem gorączkowo trzymał się ściśle określonego tropu – od książki do książki, czytał akapit jednej, po czym rzucał ją na podłogę i chwycił następną ze sterty na biurku albo podskakiwał i zdejmował jakiś tom z półki i czytał, wracając na krzesło i kończył, nim jeszcze zdążył z powrotem usiąść. Wyglądało to tak, jakby czytał wyjątkowo wciągającą historię rozrzuconą po różnych książkach. A czasem się wczuwał. Siadał na fotelu, składał ręce tuż przy ustach i zamykał oczy. Czasem kołysał się lekko. Wyglądał, jakby wpadał w dziwny trans, i zostawał tak na parę minut, czasem na godzinę.

– Jak sądzisz, o co chodzi z tymi kośćmi pangolina? – pytał na przykład Baron. – Co mogła mieć na myśli ta kapłanka, mówiąc „krew patyka”? Gdzie będą próbowali złożyć w ofierze tego chłopca?

– Nie jestem pewien – odpowiadał Vardy. – Mam parę pomysłów. Muszę chwilę pomyśleć. – Jego koledzy uciszali się wtedy, a Collingswood, jeśli akurat była w pokoju, kręciła palcem kółka przy skroni albo udawała, że wylewa na niego coś z kubka.

Siedział tak przez dłuższy czas, po czym nagle otwierał oczy i mówił szybko:

– Nie chodzi o pancierz. Pangoliny są dwunożne. To bardzo ważne. Dlatego porwali tę tancerkę... – Albo: – W Greenford. Oczywiście. Szatnia w nieczynnym basenie. Szybko, mamy mało czasu!

– Nie może ugryźć tej kałamarnicy – przyznał Baron. – Ostatnim razem, jak sprawdzałem, miał tylko notatki na temat konserwacji Archiego i parę artykułów o metabolizmie kałamarnic. I ulotki reklamujące tę wycieczkę na Beagle.

Collingswood uniosła brwi.

– Nie mogę wyczuć ni chu-chu z tej sprawy w Putney – przyznała. – Za dużo się dzieje. Pieprzona kałamarnica wszystkich zestresowała. Nie uwierzysz, ile świrów do nas teraz dzwoni.

– Jak sobie radzisz?

Kobieta wydała nieelegancki dźwięk.

– Pierdol się, szefie – odparła. Nie wspomniała mu o swym dyżurnym sennym koszmarze, w którym ktoś wyrzuca ją z samochodu, a ona leci wprost na ceglana ścianę.

– Ale jesteś pewna, że to sprawa dla nas?

– Gdybym miała postawić pieniądze, powiedziałabym, że tak – stwierdziła w końcu. – Takie obrażenia.

Ciało obojętnie ocierało się o brzeg, w rytm plusku wody. Denat był dziennikarzem specjalizującym się w tematyce pracy, jego organy zostały zmiażdżone. Sprawę przekazano FPTs, gdy patolog wspomniał, że cztery rany tłuczone na piersi zmarłego wyglądają jak ślady uderzenia jednej nienaturalnie wielkiej pięści.

Baron spojrzał na ekran.

– Przeszedł mail od Harris.

– I co, miałam rację? – spytała natychmiast Collingswood. Poddała pod dyskusję hipotezę, że ciało, które znaleźli w piwnicy, „zostawmy na chwilę rozważanie o tym, czy się mieści do słoika”, nie ma nic wspólnego ze sprawą kałamarnicy. Że jest to jakiś relikwiarz wojen magicznych gangów, na który Billy natknął się przypadkiem w chwili podwyższonej wrażliwości. – On coś ma – stwierdziła. – Trochę nosa. Może zestresował się, że wykrył coś ważnego.

– Ha! – wykrzyknął Baron. – Okej. Spodoba ci się to, Kath. Miałaś rację.

– Co?! – Kobieta wyprostowała się tak szybko, że aż rozlała kawę. – Ale jaja. Naprawdę, szefie?

– Harris twierdzi, że te zwłoki znalazły się w słoju dobrze ponad sto lat temu. Tak długo moczyły się w tej zalewie.

– Ja pierdolę! I teraz nagle się znalazły?

– Zaczekaj, to jeszcze nie wszystko. Jeszcze jedno „i”. A może powinienem był powiedzieć „jedno albo”. Nie ma jakiegoś słowa, które znaczyłoby jedno i drugie?

– Do rzeczy, szefie!

– Zwłoki pławiły się tam przez sto lat. Ale, ukośnik, i. Mówi ci coś pseudonim GG Allin?

– Abso-kurna-lutnie.

– Mnie też. Na szczęście, doktor Harris ma rękę do googlowania. To był piosenkarz. Chociaż przyznają tam, że to naciągana definicja. Cudownie. Piszą, że śpiewał brudnego rocka. Osobiście wolę Queenów. Harris mówi, że na koncertach nie należało stawać w pierwszym rzędzie. W każdym razie zmarł jakieś dziesięć lat temu.

– No i co z tego?

– To z tego, że nasz drogi denat ma tatuaż z napisem „GG Allin and the Murder Junkies”.

– O kurwa.

– Istotnie. Najwyraźniej zapieklowano go, jeszcze zanim zrobił sobie ten tatuaż.

Spojrzeli na siebie.

– Chcesz, żebym się dowiedziała, kto to był?

– Nie trzeba. Znaleźliśmy go w bazie.

– Co?

– Odciski palców, DNA, pełen komplet. Jego DNA z jednej strony ma sto lat, a z drugiej wskazuje na to, że jego posiadacz urodził się w roku 1969. Nazywał się Al Adler, znany też jako... i tu mnóstwo pierdół. Strasznie lubią te swoje ksywki.

– Za co siedział?

– Za włamanie. Posiedział trochę, ale wyłącznie na mocy ugody obrończej. Pierwotne zarzuty były na drugiej liście. Kodeks przeciwko nielegalnemu użyciu magii. Adler włamywał się do mieszkań przy użyciu metod ezoterycznych.

– Jacyś współnicy?

– Zaczynał jako wolny strzelec. Jakiś czas pracował dla zakonu w Deptford jako chłopiec na posyłki. Zniknął w tym samym czasie, gdy zmarł Grisamentum. Grisa-jebany-mentum, czaisz?

– To nie za moich czasów – odparła Collingswood. – W życiu go nie poznałam.

– Nie przypominaj mi – westchnął Baron. – Bycie o tyle lat młodszym ode mnie powinno być zabronione. Grisamentum był w porządku. To znaczy, nigdy nie masz pewności, komu możesz zaufać, ale parę razy nam pomógł.

– Cholera, właśnie widzę. Gość pojawia się tu i ówdzie. Czym się konkretnie zajmował?

– Kawał sukinsyna. Trzymał sporo różnych srok za ogon. Twardy zawodnik. Odkąd umarł, wszystko wywaliło się na cyce. Stanowił dobrą przeciwwagę.

– Mówiłeś chyba, że zginął podczas...

– Aha, nie. Nie było żadnej bitwy ani nic szczególnego. Zachorował. Wszyscy o tym wiedzieli. Najgorzej strzeżona tajemnica w mieście. Ale powiem ci jedno: jego pogrzeb był naprawdę zajebisty.

– Byłeś tam?

– Jasne, że tak. Policja londyńska nie mogła zignorować śmierci tak ważnej osobistości. A zatem zorganizowano delegację. Informacje o tym, gdzie i jak odbędzie się pożegnanie Grisamentuma, wyciekły tak ostentacyjnie, że mogły być tylko wezwaniem.

– I jak to rozwiązaliście?

– Niekompetentnie przeprowadzona próba infiltracji. „Ooo, spójrzcie tylko, wszyscy nas widzieli, ale z nas idioci”. – Potrząsnął głową.

Collingswood była już dostatecznie wyszkolona i na tyle obeznana z protokołami zachowań Londynu, by zrozumieć, na czym polegał problem. Policja nie mogła oficjalnie zjawić się na pogrzebie tak podejrzanej figury, nie można go też było zignorować, ponieważ poczytano by to za niewdzięczność lub brak szacunku. Stąd ten cały spektakl – rzekoma niekompetencja funkcjonariuszy szpiegujących na pogrzebie sprawiła, że pozostali uczestnicy dostrzegli ich obecność i przyjęli ją do wiadomości.

– A zatem co zrobił ten Adler? Czym sobie zasłużył na zabutelkowanie?

– Kto wie? Może kogoś wkurzył? Twoje domysły są równie dobre jak moje.

– Moje domysły są znacznie lepsze, szefie – odparła bezczelnie. – Zorganizuj, co trzeba, a ja pójde po swoje graty.

Podeszła do szafki i wyjęła z niej tabliczkę poznaczoną glifami, świeczkę i garnek nieapetycznego łożu. Baron wysłał e-maila do doktor Harris, prosząc, by przesała mu strzępek skóry Adlera, jego kość i kosmyk włosów.

Nie mógł wyjść na zewnątrz, ale poza tym nikt mu nie przeszkadzał. Billy spędzał w bibliotece całe godziny. Nurzał się w oceanicznej teologii i poezji. Szukał informacji na temat teutycznej apokalipsy.

Połknięcie i wydalenie, z mroku w mrok. Straszliwe ukąszenie. Wybrańcy niczym pasożyty, maleńkie stworzenia podróżujące na ciele lub w środku olbrzymiej świętej kałamarnicy, niesione poprzez wir. Albo i nie, zależnie od konkretnej wersji. Ale tak naprawdę wyglądało to inaczej. Gdy w końcu westchnął, zdjął okulary i odłożył na półkę wersety opiewające świat macek, a potem zamrugał i przetarł oczy, zobaczył przed sobą kilkoro mężczyzn i kobiet, których widział wcześniej na spotkaniu z teuthexem. Wstał. Przybysze różnili się wiekiem i strojem, ale mieli identyczne, pełne szacunku miny. Nie słyszał, kiedy weszli.

– Jak długo tu jesteście? – spytał.

– Mamy pytanie – powiedziała kobieta ubrana w szatę. Na jej piersi migotała złota pieczęć o charakterystycznym kształcie. – Wiemy, że pracowałeś przy krakenie. Czy było w tym coś... wyjątkowego?

Billy przecesał włosy palcami.

– Chcecie wiedzieć, czy był wyjątkowy? Jak na kałamarnicę? – Potrząsnął bezradnie głową. – Wy mi to powiedzcie. Nie jestem waszym prorokiem. – Oho. W pokoju zapanowało

dziwne poruszenie Wszyscy wyglądali na zakłopotanych. „Co, u diabła?”, pomyślał Billy. „Co ja takiego... Ach”. Oczywiście, że był ich prorokiem. – O kurwa – jęknął i oparł się ciężko o regał. Zamknął oczy. To dlatego wywołali u niego te sny. Nie były to przypadkowe wizje: należało je odczytać. – Billy spojrzął na książki. Wzorem Vardy’ego próbował wyobrazić sobie różne damasceńskie sceny. Wyobrażał sobie, że ci wierni mogą postrzegać biologów zajmujących się głowonogami jako niczego nieświadomych świętych, ich wizje były niezrozumiałe nawet dla nich samych, dzięki czemu były czyste, nieskażone śladem ego. A on? Billy dotknął ciała boga. Pomógł je zabezpieczyć, ocalić przed niszczącym wpływem czasu, zapoczątkował Anno Teuthis. Goss i Tatuaz sprawili, że cierpiał za wiarę. To dlatego kongregacja postanowiła go ochronić. Dla nich nie był po prostu jakimś tam świętym. Billy był utrwalaczem. Jan Chrzciciel-Konserwator. Nieśmiałe zachowanie krakenitów było wyrazem oddania. Wyrazem podziwu. – Och, na litość boską! – wyrwało mu się.

Zgromadzeni wpatrywali się w niego oczarowani. Widział, że próbują dokonać egzegezy tego wybuchu.

Każdy moment określany mianem „teraz” jest zawsze pełen możliwości. W chwilach zwiększonego potencjału niektórzy londyńscy wrażliwcy bywali tak rozedrgani, że musieli położyć się w ciemnym pokoju. Niektrzy odczuwali mdłości wywołane przesytem apokalipsy. Nazywano to chorobą końcową. W krytycznych momentach, przy specyficznych układach planet, podczas pechowych dni albo narodzin dwugłowych cieląt, ludzie dotknięci tą przypadłością jęczeli z bólu i wymiotowali, odczuwając efekty uboczne objawień, w które nie wierzyli.

Życie było jak bujanie się na huśtawce. Z jednej strony ataki choroby stawały się coraz rzadsze. Po latach spędzonych jako męczennicy cudzej wiary chorzy na chorobę końcową nareszcie poczuli się wolni. Z drugiej strony było to spowodowane prostym faktem, że powodujące te dolegliwości zjawisko – pijackie oszołomienie nieomkniętego wszechświata, które dawało popalić ich uchu wewnętrznemu – zaczynało zanikać. I coś je zastępowało. Zamiast wszystkich tych możliwości wyczuwali niejasno, że z coraz większą szybkością zbliża się do nich coś prostego i absolutnie nieodwołalnego.

Czy właśnie to uczucie miało zastąpić poprzednie? – zastanawiali się wrażliwcy. Czym właściwie jest ta nowa dolegliwość, to wcześniej nieznanne lodowate wrażenie? Ach, tak, zrozumieli w końcu. A więc to tak. To był strach.

Zwierzęta też się bały. Szczury zniknęły w podziemiach. Mewy wróciły nad morze. Londyńskie lisy kopulowały w panicznej, oszalałej rui, stając się łatwym celem sekretnych miejskich polowań. Dla większości londyńczyków jedyną oznaką zmian była plaga ptasiego łajna. Przerażone gołębie zaczęły się obsrywać jak opętane. Sklepy były zupełnie pokryte guanem. W małym pawilonie w Chelsea Anders Hoopie wyjrzał przez okno sklepu TO

JAPONIA! i potrząsała głową z niesmakiem. Drzwi sklepu otworzyły się z cichym dzwonieniem, a do środka weszli Goss i Subby.

– Bertrand! – zawołał Goss i pomachał przyjaźnie. Subby tylko się gapił. – Tak mnie zaciekawiłeś, że mam do ciebie jeszcze jedno pytanie.

Anders cofnął się, szukając dłonią telefonu. „Niech pan zadzwoni, jeśli znów się tu zjawia, dobrze?”, powiedział Baron i dał mu wizytówkę. Anders starał się sobie przypomnieć, gdzie ją położył, gdy trafił plecami na ścianę. Goss oparł się o ladę.

– A zatem tak – ciągnął Goss. – Jesteśmy, Subby i ja, i, no wiesz, każdy z nas. Oczywiście, że wiesz, jesteś pan cholernym matematykiem, co? Jedno pytanie: „Co się tu wyrabia?”.

Uśmiechnął się i wydmuchnął dym papierosowy, którego nie miał skąd wciągnąć.

– Nie rozumiem – odparł Anders. Próbował wcisnąć 9, nie wyjmując telefonu z kieszeni.

– Nie, jasne, że nie – zgodził się Goss. Subby przeszedł pod składaną ladą i stanął obok Andersa. Dotknął jego ręki. Pociągnął za rękaw. Anders nie zdołał wybrać numeru. Spróbował znowu. – Zgadza się całkowicie – ciągnął Goss. Zabrzmiało to w jego ustach jak „całkowicie”. – Całkowicie. W klubie dżokejów wszyscy mieli już dosyć, musieliśmy zrobić porządek z tym trzęsityłkiem od dopingu. Wyobraź sobie, jak się zdziwiłem, kiedy padło tu moje imię. Co? Nie ma tego złego. – Postukał palcem w nos i mrugnął porozumiewawczo. – Ech, te psy! Moje imię. Moje imię... Coś ci to w ogóle mówi?

Anders poczuł się, jakby brzuch wypełniała mu lodowata woda.

– Zaczekaj!

– Czyżbyś wygadał coś na temat mojej gęby, co? Teraz przychodzą różni tacy i się o mnie dopytują! – zaśmiał się mężczyzna. – Przyznam ci, że to trochę kijowo. Powiedz, kim jestem, powiedz, powiedz! Wymówiłeś moje imię.

– Wcale nie. Nawet nie wiem, jak ma pan na imię.

Anders znów spróbował nacisnąć klawisz, ale potem rozległ się świst powietrza i krótkie uderzenie. Nie widział ruchu. Wiedział tylko, że Goss stoi po drugiej stronie lady. W końcu wcisnął przycisk, a wtedy rozległ się trzask, a składana lada wyleciała w powietrze, ciągnąc za sobą deszcz drzazg, a potem Goss był po drugiej stronie, tuż przy nim, całkiem blisko i ścisnął go za rękę tak mocno, że Anders wypuścił telefon i jęknął z bólu.

Lada spadła na podłogę. Goss wykonał krótki gest drugą ręką, jakby chciał pokazać gadającą głowę.

– Ty gadatliwy skubańcu – stwierdził. – Najpierw Subby, teraz ty – nie dacie człowiekowi dojść do słowa! – Anders wyczuwał zapach jego włosów. Widział żyły biegnące tuż pod skórą na jego czole. Goss przysunął się bliżej. Jego oddech nie miał żadnego zapachu, był jak powietrze poruszane papierowym wachlarzem. Ale potem z ust buchnął mu kolejny kłęb dymu. Anders zaczął skamleć. – Czytałem te książki – stwierdził Goss. Wskazał głową podręczniki do origami. – Czytałem je Subby’emu na dobranoc. Był oczarowany. O-czaro-

kurwa-wany. Żadna tam *Bardzo głodna gąsienica*, ten mały to wyższa szkoła jazdy, od razu pytał: „Jak zrobić karpia? A teraz zróbmy konika!?”. Szybko się wyrobiłem. Zaraz ci pokażę.

– Nie powiedziałem nikomu – szepnął Anders. – Nie wiem, kim jesteś...

– Może zrobimy jabłonkę? – zaproponował Goss. – A może żółwia? Raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz – stwierdził i zaczął składać. Anders wrzasnął. – Wiem, nie jestem tak dobry jak ty – zaśmiał się mężczyzna. – Przez jakiś czas składał, nie przejmując się odgłosami rozrywanych tkanek i kości. W końcu Anders umilkł, ale Goss nie przerwał pracy. – Sam nie wiem, Subby – stwierdził w końcu. Wytarł dłonie w kurtkę Andersa. Zmrużył oczy, krytycznym wzrokiem taksując swoje dzieło. – Muszę jeszcze poćwiczyć – stwierdził. – To wcale nie wygląda jak kwiat lotosu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Billy obudził się z takim uczuciem, jakby wynurzał się z wody. Chwycił powietrze ustami. Schował twarz w drżących dłoniach. Pogrążony w głębokim śnie zobaczył coś takiego:

Był świadomym punkcikiem, okruchem duszy, rozumnym podmorskim węzłem dryfującym po dnie oceanu, które oglądał w monochromatycznych barwach, bez światła, tak jak powinno wyglądać. Teren opadał nagle, otwierając się w głęboką szczelinę, Rów Mariański pełen wody, ciemnej niczym skondensowane cienie. Jego maleńkie, bezosobowe ja dryfowało dalej. A po nieskończonej długim czasie znów zobaczył coś pod sobą. Coś unosiło się ku powierzchni. Spłaszczona ciemność wynurzająca się z mroku. Pozbawiony perspektywicznego widzenia Billy ze snu wiedział, czym okaże się ten stwór, i bał się jego macek, jego licznych członków i nieskończonego ciała. Gdy jednak dotarł do miejsca, gdzie było dość światła, by dostrzec kontury, nagle rozpoznał topologię stwora, bo należała do niego. Twarz Billy'ego Harrowa. Atlantydzkie oczy, otwarte i gapiące się w odległe niebo. Jego olbrzymia postać była od dawna martwa. Zakonserwowana. Skóra luszczyla się płatami, oczy wielkości kościołów pokryte kataraktą na skutek konserwacji, wielkie, lepkie usta odsłaniające niewyobrażalnie wielkie zęby. Zakonserwowany trup Billy'ego, wyrzucony na powierzchnię przez jakiś podmorski kataklizm.

Billy zadrzał, siedząc na łóżku. Nie miał pojęcia, czy na zewnątrz jest dzień, czy rytm jego życia wynika z harmonogramu wspólnoty, niezależnego od zegarka. Nagle z całych sił zapragnął powiedzieć Marge, że Leon nie żyje. Dotąd nie pomyślał o niej ani razu i teraz zrobiło mu się wstyd. Zacisnął powieki, wstrzymał oddech i pomyślał o Leonie. Próbował poruszyć w sobie tę samą część, której dotknął, gdy Goss ciągnął go do warsztatu i pękło szkło, ale potem się zawahał.

Na tacy stała szklanka pełna mętnego płynu i buteleczka z atramentem. Nikt już nie próbował go naćpać po kryjomu – mógł sam wybierać. Oferta pozostawała jednak ważna, choć teraz śnił już bez niczyjej pomocy. Billy był prorokiem-zakładnikiem, wróżbitą-

wieżniem. Grali nim jak figurą szachową w jakimś skomplikowanym wariacie gry w apokalipsę.

Należało przeprowadzić obliczenia. Przepowiadanie przyszłości było niczym kwantowe zakłady, konkurencyjne wróżenie z fusów, mając do wyboru opcje o różnym stopniu prawdopodobieństwa. Wariacje, różnice zdań, niezbędne do kalkulacji. Triangulowanie możliwości. Teraz, gdy wróżbici zaczęli się ze sobą zgadzać, nikt nie wiedział, jak się zachować. Billy zacisnął palce na ramie łóżka. Wpatrywał się w odurzający napój.

Potem rozległo się pukanie i do pokoju wszedł Dane. Oparł się o ścianę. Ubrany był w palto, a na ramieniu niósł torbę. Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie odzywał. Mierzyli się spojrzeniami.

– Nie jestem waszym prorokiem, Dane – powiedział w końcu Billy. – Dzięki, że uratowałeś mi życie. Chyba jeszcze tego nie powiedziałem. Przepraszam. Ale to... Musicie mnie wypuścić. – Wiedział, że ciągle go szukają, a jednak. – Mógłbyś mi pomóc.

Dane zamknął oczy.

– Urodziłem się w kościele – powiedział. – Moi rodzice się tu poznali. Dziadek, ojciec mojego taty, był naprawdę wierzący. To on mnie nauczył. Przerabiał ze mną katechizm. Ale to bzdura, co nie? Nie chodzi o to, żeby klepać modlitwy jak papuga. Trzeba zrozumieć. On mi wszystko wyjaśnił. – Otworzył oczy, po czym wyjął z torby jakiś sprzęt, sprawdził go i znów schował. Billy zobaczył grot strzały wyglądający z lufy jakiegoś urządzenia przypominającego pistolet. – Większość moich kolegów... Wiesz, jak to jest z kościołem i dziećmi. Nie dbają o to. Ale ja... ja miałem powołanie. Pamiętasz, co powiedział teutex? – Dane obejrzał swój sprzęt. – Musimy cię chronić. Poluje na ciebie Goss i pierdolony Subby. Wszyscy chcą się dostać do tego, co masz w głowie, Billy. Wiem, wiem, nie mów mi znowu, że nic tam nie ma.

– Co ty robisz?

– Odwalam swoją robotę. Robię różne zlecenia dla Kościoła. Nie pytaj, co dokładnie, bo ci nie opowiem. Każda religia ma swoich... – Zapadła cisza, w której nawet puste korytarze zdawały się czekać w napięciu.

– Krzyżowców – podsunął Billy.

Dane wzruszył ramionami.

– Chciałem powiedzieć: macherów. Ludzi do zadań specjalnych. – Asasyni, Szpitalnicy, Francis X Killy. Usankcjonowani specjaliści od mokrej roboty. – Każda wiara ma swoje brygady apokalipsy, gotowe wkroczyć, gdy wszystko zacznie się walić. Czekają, jak uspieni rycerze w jaskiniach. Nie bardzo mogą działać w kamuflażu. – Zaśmiał się. – Nie mają szans popracować dłużej w Centrum Darwina. – Dane podciągnął koszulkę. Skórę miał pokrytą bliznowcami. Zaczął wskazywać na nie po kolei, jakby wymieniał imiona domowych zwierząt: – Zegarmistrzowie. Sekta Zbawiciela. Męczennicy Marii. Ta tutaj... – Długa, węzowata linia. – To nie była boska walka, zwykła rozróżba ze złodziejem. Okradał nas. –

Korytarzem zbliżyły się czyjeś kroki, ale minęły pokój. Dane spojrzął w sufit. – Wiesz, jakie jest zasadnicze pytanie? Wobec kogo jesteś lojalny? Wobec boga? Kościoła? Papieża? A jeśli ci trzej nie zgadzają się ze sobą? Co wtedy? – Nie odwrócił wzroku. – Wygląda na to, że zależy nam na dwóch różnych rzeczach. Ty chcesz być bezpieczny i... nie siedzieć w więzieniu. Czego chcesz bardziej? Bo tu na pewno jest bezpieczniej. Chcesz się zemścić? Ja chcę odzyskać mojego boga. Może jednak trochę nam ze sobą po drodze. Jeśli mamy to zrobić, Billy, jeśli mamy wejść w to razem, to muszę mieć pewność, że nie uciekniesz. Nie próbuję ci teraz grozić, mówię tylko, że zginiesz, jeśli zaczniesz babrać się w tym na własną rękę. Jeśli pójdziesz ze mną, to ci pomogę, ale ty też musisz mi pomóc. A to oznacza, że musisz mi najpierw zaufać. Jeśli stąd wyjdziemy, nie będziesz bezpieczny, rozumiesz? Ani trochę. Wszyscy chcą cię dorwać. – Uniósł torbę. – Będziesz bezpieczniejszy, jeśli tu zostaniesz. Ale oni cię nie puszcza. Chcą wiedzieć, co widzisz. – Postukał palcem w skroń.

– Dlaczego to robisz? – zapytał Billy, czując, że serce bije mu coraz szybciej.

– Bo nie powinniśmy patrzeć na to beczynn timer. Trzeba uratować boga.

– Oni uważają, że to właściwa decyzja – zauważył Billy. – Czytałem o tym ruchu bez ruchu. Moore uważa, że wykonuje wolę boga, porusza się jak kraken na planszy. Pozostając w bezruchu.

– I tak się znakomicie składa, że pozwala mu to siedzieć na dupie. Nie wypuszczą cię, masz to jak w banku. Potrzebuję twojej pomocy, ale nie będę cię zmuszał. Czas nas goni. No to jak będzie?

– Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz – zaprotestował Billy. – Posłuchaj, Dane, nie stałem się świętym tylko dlatego, że pokroilem kałamarnicę.

– A wolisz być świętym czy więźniem? – spytał Dane. – Jak dla mnie, nie musisz być ani jednym, ani drugim. Wpadłeś w sam środek wojny. Nie będę ci ściemniał, nie powiem, że zdołasz pomścić swojego kumpla. Nie poradzisz sobie z Gossem i ja też nie. Zresztą wcale nie o to chodzi. Nie wiemy, kto ma teraz krakena, ale wiemy, że Tatuaz go szuka. Jeśli wpadnie mu w łapy coś takiego... To przez niego zginął twój przyjaciel. Najbardziej mu dopieczemy, jeśli odzyskamy boga. Nic więcej nie mogę obiecać.

Billy przez chwilę to rozważał. Mógł zostać tutaj, wśród służalczych klawiszy, którzy będą podawać mu halucynogeny i robić skrupulatne, mnisie zapiski z tego, o czym będzie później bredził.

– Będą cię ścigać? – spytał. – Jeśli od nich uciekniesz?

I co to byłaby za banicja! Dane zostałby sam, bez pomocy Kościoła, w którym się wychował, samotny apóstata, niosący wiarę w jądro ciemności, paladyn z piekła rodem. Całe życie spędzone w służbie – a co potem?

– Jeszcze jak – przyznał Dane.

Billy skinął głową. Schował atrament do kieszeni.

– Chodźmy.

Dwaj strażnicy przy bramie wydawali się zaskoczeni widokiem Dane'a. Skinęli mu głowami, pobożnie odwracając wzrok od Billy'ego. Przez chwilę miał ochotę zacząć mówić językami.

– Wychodzę – oznajmił Dane. – Mam robotę.

– Jasne – odparł młodszy strażnik. Przełożył strzelbę na drugie ramię. – Zaraz otworzę...
– Zaczął mocować się z drzwiami. – Tylko że... – wskazał na Billy'ego – teuthex mówił, że trzeba zapytać go o pozwolenie...

Dane przewrócił oczami.

– Nie truj dupy, człowieku – warknął. – Mam tu misję do wykonania. Biorę go ze sobą, żeby coś dla mnie posmakował. Potrzebuję tego, co ma tutaj – Postukał Billy'ego w czaszkę.
– Wiecie, kim on jest? Wiecie, jaką ma wiedzę? Nie marnujcie mojego czasu. Niedługo go przyprowadzę. – Mężczyźni popatrzyli na siebie z wahaniem. – Nie marnujcie mojego czasu – powtórzył Dane, zniżając głos. Co mieli robić, sprzeciwić się Dane'owi Parnellowi? Otworzyli bramę. – Nie zamykajcie – dodał jeszcze Dane. – Zaraz wrócimy.

Skierował się schodami na górę, a Billy ruszył za nim, ryzykując szybkie spojrzenie przez ramię. Dane otworzył klapę i pomógł mu wyjść, po czym znaleźli się pomiędzy stertami śmieci na zapleczu Kościoła Chrystusowego w południowym Londynie.

Przez okna wpadały promienie słońca. Wokół opadał londyński kurz. Billy zamrugał gwałtownie.

– Witaj na wygnaniu – oznajmił cicho Dane, opuszczając klapę. Teraz sam był uchodźcą, wierność sprawie doprowadziła go do zdrady. – Chodź tędy.

Minęli kuchnię, ubikację, regał pełen staroci. W głównej sali znajdował się krąg ustawiony z krzeseł. Billy i Dane niespodziewanie natknęli się na grupkę złożoną głównie ze starszych pań, które na ich widok przerwały pogawędkę.

– Wszystko w porządku, skarbie? – spytała jedna.

– Coś się stało, kochanie? – spytała druga.

Dane nie zwracał na nie uwagi.

– Czy oni... – szepnął Billy i urwał. – Czy oni też... wyznają krakena?

– Nie, to baptyści. Chronimy się nawzajem. Lada chwila teuthex dowie się, że uciekliśmy. Dlatego musimy się znaleźć daleko stąd i to jak najszybciej. Trzymaj się blisko i rób dokładnie to, co powiem. Jeśli się oddalisz, Billy, to szybko cię złapią i zginiesz. Chyba żaden z nas tego nie chce. Rozumiesz? Idź szybko, ale nie biegnij. Gotów?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Pośród wróżbitów, którzy tak długo przewidywali nadejście końca, nie było ani śladu radości, żadnego „nie mówiłem?”. Teraz gdy wszyscy się z nimi zgadzali – choć niektórzy próbowali się tego wypierać – jasnowidze, którzy nagle i niespodziewanie znaleźli się w awangardzie opinii publicznej, poczuli się zagubieni. Jaki jest sens wygłaszać ostrzeżenia, jeśli wszyscy, którzy ich słuchali – ponieważ większość nadal pozostawała niczego nieświadoma i prawdopodobnie miała taka pozostać, aż do momentu wypalenia słońca – po prostu kiwali potakująco głowami?

Szalonych proroków Londynu ogarnęło bezbrzeżne zniechęcenie. Ignorowali znaki ostrzegawcze, zgniatali broszury, wrzucali megafony do szaf. Ci z nich, którzy potrafili wyczuwać obecność, upierali się, że odkąd zniknął *Architeuthis*, po mieście krążyło coś innego. Coś zdecydowanego, bezwzględного i skupionego na sobie. A na krótko potem to coś znów się rozłożyło i stało się jeszcze bardziej sobą, przeobrażając się z nieokreślonej poczwarki w konkretną świadomość – był to obsesyjny ruch terażniejszości, zostawiający ciężkie ślady w osi czasu.

Nie, nie mieli pojęcia, co to może oznaczać, ale wyczuwali to bardzo wyraźnie. I wpadali w panikę.

Billy wytoczył się na zewnątrz, z niedowierzaniem zerkając na chłodny blask słońca i mijających go przechodniów. Ludzi ubranych w codzienne ciuchy, niosących gazety i torby z zakupami, idących do sklepu lub wracających do domu. Nikt nawet na niego nie spojrział. Bezlistne gałęzie drzew kołysały się, jakby drapały niebo. Wszystko było wyblakłe od zimy.

Gdzieś nieopodal zerwało się do lotu stado gołębi, zatoczyło krąg i zniknęło ponad antenami. Dane odprowadził je wzrokiem, nie kryjąc podejrliwości. Skinął na Billy’ego.

– Pospiesz się – oznajmił. – Nie podobają mi się te ptaki. – Billy nasłuchiwał odgłosu swoich kroków na asfalcie – nie było żadnego echa. Serce biło mu bardzo szybko. Przed nim rozciągał się niski pułap nieba i zaniedbane mury. Kościół, który zostawili za plecami, wyglądał niewiele lepiej niż zwykła szopa. – Naprawdę nie podobają mi się te ptaki – powtórzył Dane. Minęli kioski z gazetami, blaszane kubły, z których wysypywały się śmieci, psie kupy wokół drzew, rząd sklepików. Dane podszedł do samochodu. Nie przypominał

tego, którym wczoraj przyjechali. Otworzył drzwi, a wtedy rozległ się szept. – Co to? – Dane rozejrzał się wokół, spojrzał w górę. – Czy to...

Nic się nie stało. Spoglądał na brzydkiego glinianego smoka, małą ozdobę na dachu domu, nieco poniżej szczytu. Wepchnął Billy'ego do samochodu.

– Co to było? – chciał wiedzieć Billy.

Dane odetchnął, z drzeniem pełnym ulgi.

– Nic – odparł. – Ale to dobra myśl. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebna nam pomoc. Teraz musimy się stąd oddalić. – Billy nie rozpoznawał żadnych ulic. – Lada chwila w Londynie zaroi się od wkurzonych gości z mojej ekipy. Byłej ekipy.

– Dokąd pójdziemy?

– Schodzimy do podziemia. A potem zaczniemy polowanie.

– A... co z policją?

– Nie idziemy do nich! – Dane walnął dłońmi w kierownicę. – Policjanci gównu robią. A nawet gdyby coś zrobili, to na pewno nie to, o co nam chodzi. Jak myślisz, dlaczego też go szukają? Chcą go zatrzymać dla siebie!

– A co ty z nim zrobisz, gdy już go znajdziesz, Dane?

Dane spojrzał na niego zdziwiony.

– Dopilnuję, żeby nie znalazł go nikt inny.

Dane miał swoje kryjówki. W pustych szkieletach budynków, w obdrapanych squatach, ale także w porządnym mieszkaniu, które zdawały się mieć stałych lokatorów zajmujących się uczciwą lub nieuczciwą pracą.

– Musimy być w ruchu, zostaniemy tu najwyżej dzień lub dwa – wyjaśnił. – Potem zaczniemy polowanie.

– Kościół nas tu nie znajdzie? – upewnił się Billy. – To ich kryjówki, prawda?

– Nawet teutex nie zna tych miejsc. Człowiek, który zajmuje się taką robotą, musi mieć trochę swobody. Im mniej wiedzą, tym lepiej dla nich. Dzięki temu mają czyste ręce. To nie nasza rzecz zabijać, nie jesteśmy drapieżnikami, rozumiesz? Ale czasem nie ma wyboru. By bronić nieba, należy rozpętać piekło, taka tam sofistyka.

– Czy tylko ty się tym zajmujesz? – spytał Billy.

– Nie – odparł Dane. – Ale jestem najlepszy.

Billy oparł się o zagłówek i patrzył na przemyskający za oknami Londyn.

– Goss tylko otworzył usta – powiedział. – A Leon po prostu... – Potrząsnął głową. – Czy to sznyt?

– Sznyt Gossa polega na tym, że jest niewyobrażalnym skurwielem – odparł Dane. – Kocha swoją pracę. – Jedną ręką rozłożył arkusik papieru. – Tu mam listę przynosicieli – oznajmił. – Musimy znaleźć boga. Mam tu nazwiska paru osób, które mogły to zrobić.

Billy przez jakiś czas obserwował Dane'a, patrzył, jak na jego twarzy co chwila pojawia się i znika wyraz wściekłości, co jakiś czas ustępując miejsca pełnej przerażenia niepewności. W końcu wylądowali nieopodal rzeki w jednopokojowym mieszkaniu, jakby urządzone przez studenta. Wokół widać było podręczniki do chemii i biologii poustawiane na tanich półkach, na ścianie plakat grupy System of a Down i sprzęt do palenia trawy.

– Czyje to? – spytał Billy.

– To na wypadek, gdyby ktoś się tu włamał – wyjaśnił Dane. – Albo obejrzał zdalnie. W szklanej kuli albo czymś. Musi wyglądać przekonująco. – W łazience leżała szczoteczka pokryta zaschniętą pastą, na wpół zużyte mydło i szampon. W szufladach leżały ubrania, wszystkie dobrane pod fikcyjnego lokatora, w identycznym rozmiarze i obrzydliwym stylu. Billy podniósł słuchawkę, ale telefon nie był podłączony. Dane obejrzał maleńkie kostki powiązane w pęczki i zawieszane na parapecie. Brzydkie zbitki magicznego śmiecia. Z szafki pod łóżkiem wyjął urządzenie składające się z pordzewiałych części maszyn i mnóstwa bezsensownych elementów: była tam płyta główna i stary oscyloskop, podłączone zaciskami szczękowymi do różnych przedmiotów. Gdy podłączył to do prądu, rozległ się głuchy stukot. Na ekranie pojawił się wykres fluktuacji, a powietrze nagle wydało się suche. – Okej – stwierdził. – To takie drobne zabezpieczenie.

Systemy alarmowe i zakłócacze sygnału zacierające odczyt świadomości i odczuć – magia. „Nie magia – nazywaj to «sznytowaniem»”, powiedział sobie Billy. Okultystyczne maszyny nie pozostawiały pustki, która przyciągałaby uwagę niczym szpara po brakującym zębie, lecz tworzyły iluzję obecności, która mogła zostać odczytana przez zdalne czujniki. Konstrukty duszy, pozostałości fikcyjnej osoby.

Gdy Dane poszedł do łazienki, Billy nie próbował uciec. Nawet nie stanął przy drzwiach, by się nad tym zastanawiać.

– Dlaczego chcesz z tym walczyć? – spytał, gdy jego towarzysz wrócił. Gest uniesionych rąk obejmował wszystko. – To znaczy, z tym nadchodzącym końcem. Mówisz, że to koniec. Ale przecież to twój kraken go spowodował.

– To nie on – odparł Dane. – A przynajmniej nie tak, jak powinien.

Billy byłby mniej zaskoczony, gdyby Dane kluczył, pomrukiwał, wahał się, kręcił i unikał odpowiedzi. Nie byłoby to wyjątkowe zjawisko – trema u wiernego wyznawcy przed nadchodzącym ostatecznym. Oczywiście, nie mam nic przeciw apokalipsie, ale teraz? Tak nagle? Miałoby to sens, ale to nie był ten przypadek. Wtedy Billy zrozumiał: gdyby Dane wierzył, że to, co widzi, ten horyzont zdarzeń, o którym czytał od czasu swej żarliwej młodości, to poddałby się losowi bez słowa sprzeciwu. Ale to nie była prawdziwa apokalipsa krakena. Na tym właśnie polegał problem. To był inny plan. Inny schemat. Ktoś podebrał kałamarnicy jej prawowitą ostateczność. To nie był właściwy koniec.

– Muszę przesłać komuś wiadomość – stwierdził Billy. Dane westchnął. – Hej! – Billy był zaskoczony swoim przyływem wściekłości, tym, jak bardzo się nastroszył. Jego potężny

towarzysz też wyglądał na zaskoczonego. – Nie jestem twoim zwierzątkiem. Nie będziesz mi rozkazywał. Mój najlepszy przyjaciel zginął. Jego dziewczyna ma prawo o tym wiedzieć.

– Wszystko ładnie, pięknie – odparł ciężko Dane. Przełknął ślinę. Najwyraźniej zachowanie spokoju kosztowało go sporo wysiłku. – Ale popełniasz jeden błąd. Mówisz, że nie mogę ci rozkazywać. Ależ mogę. Muszę. Zrobisz to, co ci każę, inaczej Goss i Subby albo Tatuaz, albo ktokolwiek z pozostałych cię znajdzie, a wtedy będziesz miał dużo szczęścia, jeśli po prostu zginiesz. Rozumiesz? – Szturchnął Billy’ego w pierś, raz, drugi, trzeci. – Posłuchaj, chłopie, właśnie poszedłem na wygnanie. Mam trochę kiepski dzień. – Przez chwilę spoglądali na siebie. – Jutro zacznie się prawdziwa rozpierducha – stwierdził Dane. – Chwilowo wcale nie odchodzi tu tyle sznytowania, ile ci się wydaje. Można powiedzieć, że miasto cierpi na kryzys mocy. Daje nam to pewną szansę. Mam znajomych nie tylko w kościele. – Mówiąc to, otworzył torbę. – Możliwe, że nie będziemy tego robić całkiem sami.

– Niech się tylko upewnię – zaczął ostrożnie Billy. – Po prostu odpowiedz mi na jedno pytanie. To znaczy... Wiem, że nie chcesz w to mieszać policji, ale... Gdyby tak powiedzieć tylko Collingswood? Nie ma za wiele władzy, to tylko posterunkowa, ale wydaje się niezła w te klocki. Moglibyśmy powiedzieć... – Wściekły grymas na twarzy Dane’a sprawił, że umilkł natychmiast.

– Nie będziemy się użerać z tą bandą – oznajmił. – Myślisz, że nam pomogą? Że nie będą przeszkadzać? Myślisz, że ta babka nie zaaresztuje nas natychmiast?

– Ale...

– Żadnych, kurwa, ale, Billy! Trzymamy się moich znajomych. – Dane wyciągnął z torby mapy Londynu, pełne dopisków, znaków narysowanych na parkach i tras wytyczonych ulicami. Billy dostrzegł też kuszę pletwonurka. – Nigdy nie strzelałeś, co? – domyślił się Dane. – Może powinniśmy ci coś załatwić. Nie miałem... nie miałem czasu, żeby to dobrze zaplanować, wiesz? Zastanawiam się, kto może nam pomóc. Z kim pracowałem. – Zaczął wyliczać na palcach. – Mój kumpel Jason. Wati. O rany, ależ będzie wściekły. Jeśli potrzebny nam będzie talizman czy coś, to pójdziemy do Butlera.

– Czy to ludzie krakena?

– Kurwa, w życiu. Kościół nie wchodzi w grę. – Dane potrząsnął głową. – Tamta droga jest już zamknięta. To moi kumple z roboty. Wati to czerwony, równy gość. Butler może ci powiedzieć, co widział, i załatwić osłony. Jason Smyle... On zawsze potrafi pomóc.

– Hej, chyba gdzieś słyszałem to nazwisko! – stwierdził Billy. – Czy on nie pracował... w muzeum? – Dane uśmiechnął się i potrząsnął głową. „Nie”, pomyślał Billy i wrażenie znajomości znikło.

Dane przyniósł na kolację torbę jakiegoś fast foodu. W mieszkaniu były dwa łóżka, ale uciekinierzy, niczym wycieczkowicze, rozłożyli sobie posłania na podłodze. Mozolnie przedzierali się przez miejską dżunglę, a teraz dotarli na polankę. Przez jakiś czas leżeli w milczeniu.

– Jakie to było uczucie? – spytał w końcu Dane. – Pracować przy krakenie?

– Jakbym ugniatał śmierdzącą gumę – odparł Billy. Jego towarzysz przez chwilę wyglądał, jakby chciał zaprotestować, a potem nagle zaśmiał się głośno.

– Ech, chłopie! – stwierdził z rozbawieniem. – Ty to jesteś numerant! – Potrząsnął głową, w jego uśmiechu widać było cień poczucia winy. – Ale poważnie. Mówisz, że nic nie poczułeś? W końcu masz coś w sobie. – Strzelił palcami, znów wywołując ognik bioluminescencyjny, niczym ryba głębinowa. – Serio nic nie czułeś?

Billy położył się na plecach.

– Nie – przyznał. – Nie wtedy. To przyszło wcześniej. Przez pierwszych parę miesięcy miałem dwie lewe ręce. Nie wiedziałem, czy uda mi się w ogóle utrzymać tę pracę. A potem nagle nabrałem wprawy i wtedy poczułem coś wyjątkowego. Miałem wrażenie, że mógłbym zakonserwować wszystko, jeśli tylko zechcę.

– A wtedy, w podwórku? – zaciekawiał się Dane. Billy spojrzał na niego poprzez ciemny pokój. – Wtedy, gdy Goss po ciebie szedł. Coś zrobiłeś. Czy to nie było wyjątkowe?

– Nic nie zrobiłem.

– Skoro tak mówisz – Dane wzruszył ramionami. – Wiesz, mój dziadek był pobożnym człowiekiem. Ciągłe pytał mnie, kto jest moim ulubionym świętym. Mówił, że na tej podstawie można się o człowieku wiele dowiedzieć. Zawsze odpowiadałem, że Kraken, bo chciałem być grzecznym chłopcem, poza tym to było właściwa odpowiedź na większość... pytań z katechizmu. A wtedy on mówił: „Nieprawda, oszukujesz. Powiedz, kto?”. Przez całe lata nie mogłem się zdecydować, a potem któregoś dnia nagle wiedziałem i poszedłem do dziadka.

„Święty Argonauta”, powiedziałem. „Naprawdę?”, spytał dziadek. Nie był zły ani rozczarowany, chyba tylko zaskoczony. Ale mam wrażenie, że bardzo mu się to spodobało. „Argonauta? Nie święty Humboldt? Nie święta Hapalochlaena? To święci od walki”. Powiedział tak, bo byłem duży, tak samo jak on, i wszyscy wiedzieli, że zostanę żołnierzem, gdy dorosnę. „Dlaczego wybrałeś akurat jego?”, dopytywał się, a ja mu na to: „Bo robi taką piękną spiralę”.

Dane uśmiechnął się do swoich wspomnień, a Billy odpowiedział uśmiechem. Wyobraził sobie fraktalną muszlę wachlowaną misternymi rzęsami, której argonauta zawdzięczał swą drugą nazwę.

– *Paper nautilus* – powiedział.

– Dziadek był twardy, ale to mu się spodobało – dodał Dane.

Gdy znów wyszedł do łazienki, Billy otworzył buteleczkę i odmierzył kilka kropli gorzkiego płynu prosto na język. Potem położył się na plecach i zaczekał, aż ogarnie go mrok. Mimo zastrzyku adrenaliny i skąpej kolacji, szybko zapadł w głęboki sen, bez żadnych wizji i marzeń.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Od pewnego czasu Marginalia myślała tylko o jednym: „Co jest, kurwa, grane?”.

Gdy Leon wciąż nie odpowiadał na wiadomości, spróbowała zadzwonić do Billy’ego, który także nie odbierał. Przy odrobinie wysiłku zdołała przekonać ślusarza, że ma szlachetne intencje, i włamała się do mieszkania Leona. Nic nie zginęło. Nie było żadnych wskazówek na temat tego, gdzie mógł się podziać. Nie знаła rodziny ani przyjaciół Billy’ego, do których mogłaby zadzwonić.

Gdy upewniła się, że Leon dotąd nie wrócił, w dodatku ani on, ani Billy nie odbierają telefonów, udała się na najbliższy posterunek policji. Zgłosiła zaginięcie dwóch osób. Funkcjonariusze potraktowali ją z szorstkim współczuciem i podali jej liczbę osób, które znikają co roku i odnajdują się po jakimś czasie, wracając z pijackich eskapad i przedłużonych weekendów. Zapewnili ją, że nie powinna się martwić, ale ostrzegli też, że nie mogą dla niej wiele zrobić.

Ku własnemu zdziwieniu Marge rozplakała się na komisariacie. Policjanci pocieszali ją niezręcznie i z zakłopotaniem, przynieśli też herbatę i chusteczki. Gdy wreszcie zdołała się uspokoić, wróciła do domu, nie wiedząc, co robić dalej, i nie oczekując niczego. Już półtorej godziny później – w raporcie z jej wizyty pojawiły się pewne słowa kluczowe, wymienione przez nią nazwiska zwróciły czyjąś uwagę, a ostatni SMS od Leona, którego treść przypomniawszy sobie jak przez mgłę, został zaznaczony na czerwono przez system wyszukiwania, wcale nie tak beznadziejny, jak twierdzili cyniczni komentatorzy – rozległo się jednak pukanie do drzwi. Za drzwiami stał mężczyzna w średnim wieku ubrany w garnitur i bardzo młoda blondynka w niedbale założonym mundurze. Trzymała w ręku smycz, ale nie miała ze sobą psa.

– Dzień dobry – oznajmił cienkim głosem mężczyzna. – Czy rozmawiam z panną Tilley? Nazywam się Baron, nadkomisarz Baron, a to moja koleżanka, posterunkowa Collingswood. Zastanawiałem się, czy moglibyśmy wejść?

Gdy znaleźli się w środku, Collingswood obróciła się wolno, zataczając pełny krąg, spoglądając na ciemne ściany, plakaty reklamujące imprezy wideo i koncerty elektronicznej muzyki tanecznej. Żadne z funkcjonariuszy nie usiadło, choć Marge wskazała im kanapę. Poczula jakiś ziemisty, mięsny zapach i zamrugła oczami.

– Z tego, co słyszałem, zgubiła pani dwóch kolegów, panno Tilley – stwierdził Baron.

Marge zastanawiała się, czy nie zażądać, by mówił jej „pani”, ale zrezygnowała.

– Nie spodziewałam się państwa – powiedziała tylko. – Na posterunku powiedziano mi, że nie mogą nic zrobić.

– Cóż, hm. Możliwe, że nie wiedzą tego, co my. Co dokładnie łączy panią z Billym Harrowem?

– Z Billym? Nic. Jestem z Leonem.

– Z Leonem?

– Przecież mówiłam.

– Nic nam pani nie mówiła.

– Mówiłam tym na posterunku. Leon jest moim kochankiem.

Collingswood przewróciła oczami i pokiwała głową na boki. Sia, la, la. Cmoknęła językiem, jakby na psa, i wskazała podbródkiem pozostałe pokoje.

– I nie miała pani z nim żadnego kontaktu, odkąd poszedł do Billy’ego? – drażył Baron.

– Nie wiedziałam nawet, dokąd poszedł. Jak to możliwe, że przyszli państwo tak szybko?

– Otworzyła usta, zdjęta nagłą myślą. – O Boże! Znaleźliście go?

– Nie, nie – zapewnił pospiesznie Baron. – Nic z tych rzeczy. Mamy tu do czynienia z pewną zazębiającą się sytuacją. Collingswood i ja zwykle nie zajmujemy się poszukiwaniem zaginionych osób. Jesteśmy z innej jednostki. Ale powiadomiono nas o pani zgłoszeniu, ponieważ może się wiązać z naszą sprawą.

Marge spojrzała na niego w osłupieniu.

– Chodzi o tę kałamarnicę, tak? Tym się zajmujecie?

– Kuuuurwa! – zaklęła Collingswood. – Wiedziałam. Ten mały chujek!

– Ach! – Baron uniósł lekko brwi. – Tak. Zastanawialiśmy się, czy Billy czegoś nie wygadał.

– Ale musisz przyznać, szefie, że jak na kogoś kompletnie bez pojęcia ma niezłego pałera. No dawaj, dawaj – dodała, nie zwracając się, przynajmniej zdaniem Marge, do nikogo konkretnego.

– Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zachowała pani te informacje dla siebie, panno Tilley.

– A zatem sądzą państwo, że ma to coś wspólnego ze zniknięciem Leona? – spytała z niedowierzaniem Marge. – A Billy? Gdzie on jest?

– Właśnie to próbujemy ustalić – odparł Baron. – Proszę się nie martwić. Damy pani znać, gdy tylko trafimy na ślad. Czy Billy opowiadał wam dużo o kałamarnicy? Czy Leon też ją widział? Chodziliście do muzeum regularnie?

– Co? Nie, nic podobnego. Chyba widział ją tylko raz. Ale chyba go nie zainteresowała.

– Rozmawialiście o tym?

– Z Leonem? O zniknięciu kałamarnicy? Uważał, że to strasznie zabawne. To znaczy oczywiście wiedział, że Billy bardzo to przeżywa. Ale to było takie dziwne, prawda? Miałam

wrażenie, że to jakiś żart. Nie byłam nawet całkiem pewna, czy Billy się z nas nie nabija, wie pan?

– Aha, nie – mruknęła Collingswood.

– Dlaczego miałby zmyślić coś takiego? – spytał Baron.

– Hm. Nie mówili o tym w wiadomościach ani nigdzie, prawda?

– Nie – przyznał Baron. – Ale w tym też kryje się pewna historia. Pełna takich zakazów wypowiedzenia, że głowa mała. – Uśmiechnął się.

– Leon wcale nie pochwalał takiego pomysłu. Po prostu... cała ta sprawa go bawiła. Przesłał mi o tym jakiś żarcik, zanim...

– Aha – przerwała Collingswood. – Historycznie śmieszne.

– Ale proszę pomyśleć – odparła Marge. – Ktoś zajmował wielką kałamarnicę. Proszę sobie to wyobrazić.

– Co może nam pani powiedzieć na temat Billy’ego? – Baron zmienił temat. – Co pani o nim sądzi?

– Billy? Sama nie wiem. Chyba jest w porządku. Nie znam go za dobrze, to kumpel Leona. Czemu pan pyta?

Baron zerknął na Collingswood. Kobieta potrząsnęła głową i szarpnęła smycz.

– Kompletnie nic – stwierdziła. – Ooo, wybacz, Perky.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Marge.

– Detektywistyczna robota, panno Tilley – odparł Baron.

– Czy... Powinnam się bać?

– Och, niespecjalnie. A ty, jak myślisz, Kath?

– Nieee – rzuciła Collingswood, pisząc jedną ręką SMS-a.

– Im bardziej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że to nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Na pani miejscu bym się nie martwił.

– Aha – przytaknęła Collingswood, wciąż wciskając klawisze. – Nieee.

– Jeśli dojdziemy do innych wniosków, to oczywiście damy pani znać. Ale szczerze w to wątpię. Bardzo dziękujemy. – Skłonił się, dotykając palcem daszka nieistniejącej czapki. – Do widzenia.

– Hej, zaraz! – zawołała Marge. – To wszystko?! – Collingswood była już za drzwiami, stawiając swój kołnierz na sztorc niczym modny mężczyzna. Mrugnęła do Marge. – Co to ma znaczyć? – ciągnęła kobieta. – Już idziecie? Co się teraz stanie?

– Proszę się nie martwić – wyrecytowała Collingswood. – Zapewniam panią, że dołożymy wszelkich starań, by odnaleźć tego, no, jakmutam.

Marge aż westchnęła z oburzenia.

– Kath, przestań – upomniał ją Baron. Potrząsnął głową i przewrócił oczami, niczym zmęczony ojciec. – Panno Tilley, gdy tylko dowiemy się czegoś więcej, damy pani znać.

– Słyszał pan, co ona powiedziała?

– Kath, zmykaj do samochodu. Słyszałem, panno Tilley, słyszałem. I bardzo przepraszam.

– Chcę złożyć skargę – oznajmiła Marge, trzęsąc się z wściekłości. Na zmianę zaciskała i otwierała pięści.

– Oczywiście. Ma pani do tego prawo. Ale musi pani zrozumieć, że to tylko taki nasz wisielczy humor. Posterunkowa Collingswood to świetna funkcjonariuszka, a takie zachowanie to po prostu jej sposób na odreagowanie traumatycznych wydarzeń, z którymi stykamy się każdego dnia. Chociaż przyznaję, że nie jest to żadne wytłumaczenie. Proszę to zrobić, mały wstrząs pewnie dobrze jej zrobi. – Zatrzymał się w pół kroku, kładąc rękę na framudze. – Dam jej do zrozumienia, że jestem nią bardzo zawiedziony.

– Proszę zaczekać! Jak mam się z państwem skontaktować, w razie gdyby...

– Na komisariacie podali pani numer osoby, która prowadzi sprawę, prawda? Proszę się z nią skontaktować.

– Co to ma być, do cholery... Nie możecie tak po prostu... – Ale drzwi już się zamknęły, a Marge, choć wciąż krzyczała, że musi wiedzieć, co się dzieje, nie pobiegła śladem policjantów. Oparła się o framugę, aż poczuła, że nie ma już ochoty płakać. – Co to, kurwa, było? – powiedziała głośno do siebie.

Co to było? Była to subiektywna ocena, do tego nieprawidłowa. Przeczucie z rodzaju tych, o których rzadko się wspomina: przeczucie, które się nie sprawdziło.

– Kurwa, ani śladu – stwierdziła Collingswood i zapaliła papierosa. Zimowy wietrzyk porwał dym. – Ta babka gównie wie.

– Zgoda.

– To nie ma z nią ni chuja wspólnego. Do niczego tu nie dojdziemy.

– Zgoda.

– Wokół tego mieszkania nie rzucono żadnych klątw – ciągnęła. – Nie to, co u naszego Billy’ego. – Ktoś lub kilku ktosiów obdarzonych duszami albo odpowiednikami dusz sporządzonymi za pomocą magii z całą pewnością tam węszył. W mieszkaniu Billy’ego jej biedny eteryczny towarzysz kręcił się w kółko, skamlał i pisał tak głośno, że nawet Baron go słyszał. – Wiesz, że w tej chwili prawie nic się nie dzieje – dodała. – Wszyscy robią w gacie ze strachu przed ZMA. Każdy ślad będzie tym bardziej wyraźny. Widziałeś, co robiła świnka. – Potrząsnęła smyczą. – To znaczy, nie widziałeś, ale wiesz, o co chodzi. A zatem, kurwa, nic. To jaka jest wstępna wersja? Ten cały Leon jest w to zamieszany?

– Wątpię – odparł Baron. – Z tego, co zdołaliśmy się dowiedzieć, jest zupełnie nikim. To zupełnie zwyczajny klasyczny palant. – Parsknął. – Jeśli ma cokolwiek wspólnego z krakenem, to był głęboko zakamuflowany od Bóg wie jak długo. Chyba po prostu wlaź komuś w paradę.

Collingswood nasłuchiwała myśli. Poszukała swojego chowańca próbującego wyniuchać słabe ślady parazapachowe, pozostałości magii na ulicy.

– Biedny skurczybyk – powiedziała w końcu.

– Mhm. Podejrzewam, że nie zobaczymy go już więcej. Ani jego, ani Billy’ego.

– Chyba że to Billy jest sprawcą. – Przez chwilę zastanawiali się nad tym oboje. – Słyszałeś, co Vardy mówił dzisiaj rano? – spytała w końcu Collingswood.

– Gdzie on w ogóle jest? I co kombinuje?

– Pojęcia nie mam. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Ale wspominał chyba, że zamierza się przyrzeć życiu religijnemu Adlera.

– Miał w ogóle jakieś?

– Nie wiem, szefie, ale to nie ja będę się przyglądać. Ale słyszałeś, co mówił dziś rano? O tych krakenitach? – Oczywiście, po mieście krążyły już pogłoski o wszystkich aspektach dokonanej kradzieży, morderstwa i zagadki. Nic nie było w stanie ich powstrzymać, poruszały się szybciej niż pędzące konie. Zadaniem Barona i Collingswood było między innymi przysłuchiwanie się takim plotkom. Informatorzy Vardy’ego przekazali mu, a on przekazał swoim kolegom, że krążą szeptki o wykluczeniu wysoko postawionych członków kościoła teutycznego. Do tego dochodziły coraz głośniejsze pomruki o nadchodzącej apokalipsie. Rynek relikwii stał się nagle rynkiem sprzedającego. Któż jeszcze mógłby wątpić, że religia i przestępczość zorganizowana są ze sobą powiązane? Jak mawiali biskupi pewnego tajnego katolickiego bractwa, gdy natykali się na kontrowersje natury etycznej: czyż męczeństwo świętego Calwiego niczego nas nie nauczyło? – Wciąż zakładamy, że to bożyści są odpowiedzialni? – spytała i pociągnęła nosem. – Krakenicy, czy jak im tam? A może po prostu zwykli złodzieje?

– Twoje domysły są równie dobre jak moje – odparł Baron. – A prawdopodobnie są znacznie lepsze.

– Wciąż gównie dostaję od swoich kabli – ciągnęła kobieta ze złością. Znow pociągnęła nosem.

– O kurczę! – wykrzyknął Baron. – Ty... weź. – Podał policjantce chusteczkę higieniczną. Z nosa ciekła jej krew.

– Ty mały pierdolony mordojebie – zaklęła, przyszczypując palcami mostek nosa. – Ty cipomózgu.

– Jezu, Kath, wszystko w porządku? Co się stało?

– Wszystko przez to napięcie, szefie.

– Napięcie? W taki piękny dzionek? – Kobieta spiorunowała go spojrzeniem. – Co cię ugryzło?

– Nic. To nie tak. Po prostu... – Uniosła ręce. – To wszystko. Ta pierdolona Panda. – Było to imię, którym, poprzez ciąg kiepskich żartów Collingswood i Baron ostatecznie ochrzcili nadciągający koniec. Koniec, na który gotowały się nawet wyznania najbardziej sceptyczne

wobec apokalipsy. Jego magiczny smród działał Collingswood na nerwy: bolały ją zęby, odczuwała skurcze, była niespokojna. Przez jakiś czas określała to nadciągające zjawisko mianem „cokolwiek to jest”, aż w końcu Baron zasugerował, by wymyślić mu krótszą nazwę. Z początku był to „Duży Zły Wilk”, którego szybko przemianowali na „Jamnika”, a w końcu na „Pandę”. Przewisko zdecydowanie nie poprawiło Collingswood samopoczucia. – Czymkolwiek jest, ma coś wspólnego z tą jebaną kałamarnicą – stwierdziła. – Gdybyśmy tylko wiedzieli, kto zakosił tego skubanego głowonoga...

– Wiemy, kim są czołowi podejrzani. A przynajmniej będziemy tak mówić, jeśli ktoś zapyta.

Wierni prawdopodobnie byli gotowi zapłacić sporą sumę za zwłoki boga krakena. FPTS nasłuchiwała i łowiła – ha, ha – wszelkie informacje na temat tej tajemniczej sekty. Sama kradzież mogła jednak stanowić zupełnie zwyczajne przestępstwo, nieco tylko abnaturalne i sznytowane. A to wprowadzałoby pewne komplikacje.

Biurokratyczne wojenki podjazdowe. W skład FPTS wchodził jedyni funkcjonariusze, którzy reprezentowali coś więcej niż porażającą niekompetencję w starciu z absurdalnym i dziwnym zjawiskiem sznytowania. Byli czarownicami i młotami na czarownice jednocześnie. Zakres ich obowiązków stanowił jednak pewną zaszczość historyczną. W policji brytyjskiej nie istniały oddziały czarowników. Żadne S021 nie prowadziły dochodzeń w sprawie zbrodni magicznych. Nie było żadnych lotnych brygad policji. Była tylko jedna FPTS i, technicznie rzecz biorąc, nie obchodziły jej moce nawiedzonych miejsc, magicznych słów, przywołanych istot i tym podobnych – byli tylko jednostką do spraw kultów.

W praktyce oczywiście tworzyli i nadzorowali ją ludzie o różnych nietypowych zdolnościach. Komputery FPTS były pełne klątwoprogramowania i abaktulizacji: Genius 2.0 oraz iKula. Zobowiązani byli jednak zachować pozory, opisując swoją działalność jako związaną ze sprawami religijnymi. Musieli zachować wyjątkową ostrożność, jeśli okazałoby się, że zniknięcie architeuthisa stanowi całkowicie świeckie przestępstwo abkryminalne, i położyć nacisk na powiązania tej sprawy z londyńskimi herezjarchami. W innym przypadku straciliby tę jurysdykcję. W braku jakichkolwiek śladów działalności sekt przy „uprowadzeniu kałamarnicy” oddano by tę sprawę znacznie mniej finezyjnej jednostce – przestępstwom ciężkim albo przestępczości zorganizowanej. Starocie.

– Boże broń – westchnęła Collingswood.

– Tak czysto hipotetycznie – zauważył Baron – Tylko między nami. Jeśli to kryminalne, nie bożyści, to chyba wiesz, kto jest naszym pierwszym podejrzanym.

– Ta-kurwa-tuaż.

Wtedy zadzwonił telefon Barona.

– Tak? – powiedział do słuchawki. Przez dłuższą chwilę tylko słuchał, potem zatrzymał się w miejscu. Nagle wydawał się bardzo chory i stary.

– Co jest? – spytała Collingswood. – Co jest, szefie?

– Okej – odparł. – Zaraz tam będziemy. – Zamknął telefon. – Goss i Subby – wyjaśnił. –
Chyba zorientowali się, że Anders ich wsypał. Ktoś... A zresztą, kij z tym. Sama zobaczysz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Gdy Billy obudził się rano, zdał sobie sprawę, że jego sny składały się ze zwykłych, bezsensownie sklejonych niedopałków znaczeń.

W zasadzie, dlaczego bogowie rządzący światem nie mogli przybrać postaci kałamarnic olbrzymich? Jakież inne stworzenie nadawało się to tego lepiej? Bez trudu można było wyobrazić sobie te macki zaciskające się wokół kuli ziemskiej, prawda?

Wiedział, że trafił teraz w sam środek zmagania wojennych, i szedł z podniesioną głową. To już nie było jego miasto, tylko strefa wojny. Był partyzantem walczącym u boku Dane'a. Dane chciał odzyskać swego boga, Billy pragnął wolności i zemsty. Niezależnie od tego, co usłyszał wcześniej, i tak chciał się zemścić: za Leona i za utratę normalnego życia, a walka z Tatuazem dawała mu na to choć niewielką szansę. Prawda?

Ich przebrania były nieskomplikowane. Billy przyczesał trochę włosy, a Dane rozczochrał. Założył dres, podczas gdy Billy naciągał na siebie absurdalne ciuchy fikcyjnego studenta. Zamrugał niczym zbieg, patrząc na śpieszących w różne strony londyńczyków. Dane podszedł do jakiegoś samochodu, po czym otworzył go bez większego wysiłku.

– Masz jakiś magiczny klucz? – spytał Billy.

– Nie bądź głupi – zachnął się Dane. Najwyraźniej używał złodziejskich technik. Billy rozejrzał się wokół, w samochodzie była książka w miękkiej oprawie, puste butelki i rozsypane papierki. Miał nadzieję, że właściciel samochodu nie jest miłym człowiekiem ani kimś, kogo by polubił. Wiedział, że to żalosne usprawiedliwienie.

– A zatem... – zaczął z wahaniem. Nie miał wyboru, siedział już głęboko w okopach. – Jaki mamy plan? Jedziemy do nich?

– Zaczynamy polowanie – przytaknął Dane. – Trzeba sprawdzić wszystkie tropy. Ale to niebezpieczne. Ja... Teraz jesteśmy zbiegami i potrzebna nam pomoc. Mamy swoich sprzymierzeńców. Znam paru gości. Jedziemy do BB.

– Dokąd?

– Do Biblioteki Brytyjskiej.

– Co? Myślałem, że mamy się nie wychylać.

– Aha. Wiem. To nie jest dobre miejsce.

– Więc dlaczego...

– Bo musimy odnaleźć boga, jasne? – uciął Dane. – Okej? Poza tym potrzebna nam pomoc. Zgoda, jest to pewne ryzyko, ale to teren dla początkujących. Ludzie, którzy już wiedzą, czego chcą, zwykle idą gdzie indziej. – Wyjaśnił, że w bibliotece było trochę magii, ale raczej tej podstawowej. Poważnej należało szukać gdzie indziej. W opuszczonym basenie w Peckham, w budynku Kilburn Gaumont State, który obecnie nie był ani kinem, ani miejscem do gry w bingo. W szafce na mięso w lokalu Angus Steak Houses w dole Shaftsbury Avenue, gdzie trzymano teksty na tyle potężne, że zmieniały pozycję, gdy bibliotekarze nie patrzyli, i podobno szeptały kłamstwa, w które czytelnik miał uwierzyć. – Gęba na kłódkę, oczy otwarte. Patrz, ucz się i okaż szacunek – poinstruował. – I nie zapominaj, że nas ścigają, więc gdy tylko coś zobaczysz, powiedz mi od razu. Nie wychylaj się. I bądź gotów do biegu.

Przez chwilę popadało. Dane zacytował swojego dziadka, który mawiał, że gdy pada deszcz, kraken otrząsa wodę ze swych macek. Wiatr jest oddechem z jego syfonu. „Słońce – dodał Dane – to błysk bioluminescencji na skórze krakena”.

– Ciągłe myślę o Leonie – wyznał Billy. – Muszę... trzeba zawiadomić jego rodzinę. Albo Marge. Powinna wiedzieć... – Opisywanie swoich uczuć okazało się zbyt trudne i musiał przerwać.

– Nie zawiadomisz nikogo – uciął Dane. – Nie będziesz rozmawiać z nikim. Schodzimy pod ziemię.

Miasto wyglądało, jakby się wahało. Było niczym kula do kręgli na szczycie wzgórza – nabrzmiała od energii potencjalnej. Billy przypomniał sobie węzowe szczęki Gossa, stukające o siebie kości i usta wielkości drzwi. Dane minął niewielką galerię i pralnię chemiczną, miejską zbieraninę śmiecia, spiętrzonych bibelotów, miejski kicz.

Przed wejściem do biblioteki, na szerokim dziedzińcu, zebrał się mały tłum. Studenci i inni czytelnicy stali z laptopami w dłoniach, poprawiając modne okulary w szerokich oprawkach i wełniane szaliki. Patrzyli na coś i śmiali się z niedowierzaniem.

Pośrodku znajdowała się grupa kotów maszerująca w skomplikowanym układzie, leniwie, ale z wyraźną determinacją. Cztery z nich były czarne, jeden szylkretowy. Krążyły i krążyły. Nie rozbiegały się i nie próbowały walczyć. Przemierzały tę samą drogę spokojnie i z godnością.

W oddali, na tyle daleko, by nie obawiać się ataku, ale wciąż zatrwajająco blisko, krążyły trzy gołębie. Dreptały po chodniku, zataczając własne kółko. Ścieżki obu grupki niemal przecinały się ze sobą.

– Niewiarygodne, prawda? – powiedziała jedna z dziewcząt, uśmiechając się na widok absurdalnych ciuchów Billy’ego. – Widziałeś kiedyś tak dobrze wychowane zwierzęta? Uwielbiam koty.

Większość studentów przypatrywała się zbiegowisku przez kilka minut, po czym mijali je i znikali w bibliotece. W tłumie było jednak kilka osób, które patrzyły na to nie z rozbawieniem, a z narastającą konsternacją. Żadne z nich nie weszło do środka. Nie próbowali przecinać linii wyznaczanych przez drepczące zwierzęta. Było jeszcze wcześniej, a oni dopiero przybyli, ale na widok tego małego zgromadzenia oddalali się natychmiast.

– Co tu się dzieje? – spytał Billy.

Dane skierował kroki na środek dziedzińca, gdzie wznosił się wielki pomnik. Widać było, że na otwartym terenie czuje się nieswojo. Wciąż rozglądał się na boki i z jakąś przeraźliwą determinacją prowadził go w stronę olbrzymiego, sześciometrowego pomnika Newtona. Uczony garbił się wpatrzony w ziemię, odmierzając odległość cyrklem. Wyglądało to na tragiczne nieporozumienie – rysunek Blake’a przedstawiający bezsilny bunt przeciw krótkowzroczności został uwieczniony przez Paolozziego jako majestatyczny i godny podziwu.

Obok pomnika stał barczysty mężczyzna ubrany w puchową kurtkę, wełnianą czapkę i okulary. W ręku trzymał reklamówkę. Wyglądał, jakby mrucał do siebie.

– Dane – powiedział ktoś.

Billy obrócił się, ale w pobliżu nie było nikogo. Mężczyzna w czapce zamachał ostrożnie. Siatkę wypełniały egzemplarze pewnej gazety lewicowej.

– Cześć, Martin – przywitał się Dane. – Cześć, Wati – skinął głową mężczyźnie, a potem posągowi. – Słuchaj, Wati, potrzebuję pomocy...

– Zamknij japę! – przerwał mu czyjś głos. Dane cofnął się o krok, najwyraźniej zszokowany. – Zaraz sobie, kurwa, porozmawiamy.

Głos mówił szeptem, miał dziwną wymowę. Coś między akcentem londyńskim a czymś egzotycznym, trudnym do zidentyfikowania.

– Eee, okej – powiedział człowiek z gazetami. – Widzę, że macie coś do obgadania. To ja już będę znikał. Do zobaczenia w środe.

– Okej – odparł posąg. Jego usta pozostały nieruchome. Posąg nie wykonał żadnego ruchu, w końcu był tylko posągiem, ale głos wyraźnie dobiegał z jego ust, wielkich jak beczka. – Pozdrów ją samą.

– Okej – odparł gazeciarski. – Nara. Powodzenia. Szacun dla tych gości.

Zerknął na koty. Skinął głową Dane’owi, a potem nawet Billy’emu. Potem odszedł, zostawiając egzemplarz swojej gazety u stóp Newtona.

Dane i Billy stali obok siebie. Posąg wciąż siedział ciężko na swoim postumencie.

– Przychodzisz do mnie? – spytał po chwili. – Teraz? Masz tupet, Dane.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– O rany – powiedział cicho. – A więc słyszałeś...

– Myślałem, że to jakaś pomyłka – ciągnął głos. – Usłyszałem, co i jak, i zaraz pomyślałem: „Nie, to niemożliwe, Dane, nigdy by tak nie postąpił. W życiu”. Postawiłem

paru strażników przy twoim domu, żeby mieć niezbite dowody. Jasne? Jak długo się znamy, Dane? Nie mogę w to uwierzyć!

– Wati... – zaczął Dane. Jego ton zabrzmiał błagalnie. Billy jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Nawet dyskutując z teuthexem wyglądał groźnie. Teraz tylko prosił. – Posłuchaj, musisz mi uwierzyć. Nie miałem wyboru. Proszę, tylko mnie wysłuchaj.

– A co mi jeszcze możesz powiedzieć?

– Wati, zaczekaj! Nie mówię, że postąpiłem w porządku, ale musisz mnie wysłuchać. Jesteś mi to winien. Nie sądzisz? Chociaż tyle?

Billy wodził wzrokiem od zgarbionego posągu do wyznawcy krakena.

– Wiesz, gdzie jest Davey's Cafe? – spytał w końcu pomnik. – Zobaczymy się tam za chwilę. I jeśli chodzi o mnie, to idę tam tylko po to, żeby się pożegnać. Nie mogę w to uwierzyć, Dane, w głowie mi się nie mieści, że naruszyłeś umowę.

A potem, bez żadnego dźwięku, coś odeszło.

Billy zamrugał oczami.

– Co to było? – spytał z niedowierzaniem. – Z kim rozmawialiśmy?

– Z moim starym kumplem – odparł ciężko Dane. – Jest straszliwie wkurwiony. I słusznie. Ta pierdolona wiewiórka. Dureń ze mnie. Nie miałem czasu. Wiedziałem, że nie mogę ryzykować. Każda chwila była cenna. Do cholery, to wszystko twoja wina! – Spojrzał na Billy'ego. – Neeee, chłopie. Nie mam do ciebie pretensji. Przecież ty nic nie wiedziałeś. – Westchnął. – To... – Wskazał na posąg, w tej chwili było tam pusto. Billy nie miał pojęcia, skąd to wie. – To był szef komitetu. Przedstawiciel związku. – Do biblioteki wciąż zbliżali się nowi czytelnicy, wybuchali śmiechem i szli dalej. Ci, którzy sprawiali wrażenie, że coś rozumieją, przystawali i odchodzili. Obecność krążących zwierząt broniła im dostępu. – Widzisz, co się dzieje? – stwierdził nieszczęśliwym głosem Dane i nerwowo przecesał włosy. – To pikieta. Teraz będę miał kłopoty.

– Pikieta? Koty i gołębie?

Dane przytaknął.

– Chowańce zastrajkowały.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Za czasów jedenastej dynastii, u zarania Średniego Państwa, wiele stuleci przed narodzeniem Chrystusa, szlachetnie urodzeni mieszkańcy kraju nad Nilem bardzo zapragnęli, aby ich poziom życia nie uległ pogorszeniu, nawet po śmierci.

Czyż w zaświatach nie było pól? Czy zboża w krainie mroku, farmy każdej godziny nocy nie potrzebowały pracowników? Czyż w krainie zmarłych nie istniały gospodarstwa domowe i wszystkie prace z nimi związane? A zatem jak to możliwe, by człowiek szlachetnie urodzony, który za życia nigdy nie pracował na własnej ziemi, miał to robić po śmierci?

W grobowcach, u boku zmumifikowanych panów spoczęły uszebti. To one miały się tym zająć. W tym celu je stworzono, taki był cel ich istnienia. Małe figurki ulepione z gliny lub wosku, wyrzeźbione z kamienia, brązu lub ze szkła czy emaliowanego fajansu przyprószonego tlenkami metali. Z początku formowano je na podobieństwo panów, niczym maleńkich zmarłych owiniętych w śmiertelny całun, później pozbyto się nawet tej sprytniej zasłony, przedstawiając je z wiosłami, toporami ciesielskimi lub koszami w dłoniach – narzędzia stanowiły integralną część ich maleńkich niewolniczych ciałek. Z czasem liczba figurynek składanych do grobowca rosła, aż w końcu dostarczano po jednej na każdy dzień roku. Służący, poddani bogatych zmarłych, stworzeni, by tworzyć, zrodzeni, by zająć miejsce w pośmiertnym modelu produkcji i pracować na polach błogosławionych zmarłych.

Na każdym z nich podczas formowania wypisano szósty Rozdział *Księgi Umarłych*. „O uszebti”, wyryto w ich skórce. „Jeżeli mnie wzywać będą do wykonania jakiegokolwiek pracy, którą w podziemiu wykonywać trzeba, to niechaj na ciebie spadnie ciężar człowieka będącego w tym obowiązku. Niechaj więc ciebie wzywają do uprawiania pól, do nawadniania brzegów, do przewożenia piasku z brzegu wschodniego na zachodni. Oto jestem, odpowiesz. Ja to zrobię”. Cel życia mieli wypisany na ciele. „Oto jestem. Ja to zrobię”.

Nikt nie wie, co kryje się za tą membraną, za łąkotką śmierci. To, co widzimy za życia, jest zniekształcone, rozproszone. Tylko to mamy jednak do dyspozycji – krótkie przelotne spojrzenia i oczywiście pogłoski. Zmarli plotkują i to pogłos tych rozmów odbity o napięcie powierzchniowe śmierci potrafią wyłapać co sprawniejsze media. Przypomina to podsłuchiwanie sekretów pod drzwiami ubikacji. Stłumione, niewyraźne szemranie.

Z tego, co rozumiemy, ekstrapolujemy, lub z tego, co kiedyś wydawało nam się, że usłyszeliśmy, wynika, że po drugiej stronie istnieje praca. Zgaśli, osądzeni zmarli zaludniający królestwo zaświatów zostali wychowani w wierze na tyle silnej, by zdołała ukształtować ich pośmiertć w coś na kształt zimnego, niestabilnego odbicia ich wspaniałej eschatologii. Barwny obraz nakreślony w skałach, elektryczności i kaszy. Jakaż funkcja tej pośmiertciowej masy zakrzepła i uznała się za Anubisa? A co z Ammutem, pożeraczem serc?

Przez całe stulecia uszebti robili to, co im nakazano. „Oto jestem!”, wołali w mrocznym bezdźwięku, żęli bezzboża i znosili do spichrzy, kopali rowy, które wypełniali niewodą śmierci, przynosili wspomnienia piasku. Stworzeni, by służyć, bezmyślni niewolnicy posłuszni martwym panom.

Aż w końcu jeden z uszebti przystanął na brzegu odpowiednika rzeki i zamarł. Upuścił zżętą wiązkę cieniozboża i przyłożył narzędzia, z którymi został wyrzeźbiony, do własnej glinianej skóry. Usunął święty tekst, który kazano mu obnosić.

„Oto jestem!”, krzyknął tym, co służyło mu za głos. „Już tego nie zrobię!”

– Nazwał się Wati – wyjaśnił Dane. – „Buntownik”. Zrobiono go w *Set Maat her imenty Waset*. – Ostrożnie wymówił tę dziwną nazwę. – Obecnie Deir el-Medina. W dwudziestym dziewiątym roku panowania Ramzesa III. – Siedzieli w kolejnym samochodzie. Billy czuł zawroty głowy, patrząc na zmieniający się ładunek, który przewozili z każdą kolejną kradzieżą: zabawki, książki, gazety i śmieci rozrzucone na tylnym siedzeniu. – Budowniczym nie płacono już od wielu dni – ciągnął. – Rzucili narzędzia. Jakieś 1100 lat przed naszą erą. To byli pierwsi strajkujący. Myślę, że jeden z nich go ulepił. Tego uszebti. – Wyrzeźbiony przez buntownika, którego resentment przepłynął przez palce i dłuto, na zawsze określając cel dzieła? Ukształtowany przez emocje, które dały mu życie? – Nieee – stwierdził Dane. – Myślę, że po prostu obserwowali się nawzajem. Albo Wati, albo jego twórca podpatrzyli to u kogoś.

Wati samozwaniec poprowadził pierwszy strajk w zaświatach. Doszło do eskalacji zamieszek. Pierwsza rewolta uszebti, powstanie utworzonych.

Insurekcja w Neter-Khertet. Mordercze walki pomiędzy konstruktami, wykutymi sługami podzielonymi na buntowników, przerażonych i wciąż posłusznych, niewolnicze armie lojalnych sług. Ścierały się ze sobą na polach dusz. Wszyscy byli oszołomieni – nienawykli do emocji, które zdobyli jakimś niewyjaśnionym przypadkiem, a możliwość wybierania stron zupełnie zabiła ich z tropu. Zmarli patrzyli na to z przerażeniem, stłoczeni pośród spopielałych trzciny na brzegu rzeki śmierci. Bogowie nadzorujący życie zaświatów odbiegli od własnych godzin, by zaprowadzić porządek, zszokowani chaosem, jaki zapanował nagle na zimnych, kościstych polach.

Była to brutalna wojna ludzkich duchów i niby-dusz zrodzonych z gniewu. Uszebti zabijali uszebti, a nawet zmarłych w heretyckim akcie metamordu, wysyłając oburzone dusze zmarłych do kolejnych zaświatów, o których nikt jeszcze niczego nie wiedział.

Pola pełne były ciał dusz. Bogowie wymordowali setki uszebti, ale oni także pociągali za sobą paru bogów. Grube rysy ich towarzyszy, których najwyraźniej nikomu nie chciało się wyrzeźbić dokładnie, wykrzywiały się we własnych grymasach, figurki ścisnęły w rękach wszystkie te topory, sochy, a nawet pieprzone koszyki, z którymi zostały stworzone i biegły, zalewając olbrzymią falą ciała wielkości gór z głowami szakali, które wyły i pożerały napastników żywcem, ale w końcu padały pod naporem, zarąbane tymi idiotycznymi narzędziami, i umierały.

Wati i jego towarzysze wygrali. A to oznaczało pewne zmiany.

Musiał to być prawdziwy szok dla kolejnych pokoleń egipskich arystokratów. Budzili się w dziwnych, zamglonych zaświatach, zupełnie niezgodnych z oficjalną wersją. Pośmiertne rytuały, którym poddano ich zwłoki, okazały się przestarzałą, nic nie wartą szopką. Zarówno oni, jak i ich gospodarstwo pełne robotników-figurek-duchów, które przyprowadzili ze sobą, zostali powitani przez obcesowych przedstawicieli nowego państwa uszebti. Ich własne figurynki natychmiast brały sobie politykę tego cieniokraju głęboko do serca. Ludzcy zmarli nie mieli wyboru, jak tylko podporządkować się rozkazom: „Kto pracuje, może jeść”.

Minęły wieki, zmieniły się systemy społeczne, aż w końcu imigracja do tego postświata zamarła i kawałek po kawałku, bez słowa skargi, uszebti i te spośród ludzkich dusz, które pogodziły się z brutalną demokracją panującą na ich pustkowiu, zaczęły znikać, odchodzić, zniebywać, przemijać, przestawać tam być. Nie ma co się smucić. W końcu to tylko historia.

Wati nie chciał o tym nawet słyszeć.

„Oto jestem. Już tego nie zrobię”.

On też odszedł, ale nie poszedł w stronę światła ani ciemności, ale w bok, przez granicę pomiędzy zaświatami.

Była to epicka wyprawa, ta podróż przez cudzoziemskie zaświaty. Zawsze kierował się w stronę źródła rzeki, ku początkowi drogi. Płynął przez Murimurię, mijał jaskinie Naraka i cień Żółtych Źródeł, przebył rzekę Tuoni i Styks, od najdalszego brzegu z powrotem, ku wielkiemu zdumieniu przewoźnika, przez kalejdoskop krain, mijając psychopompów wszelkich wiar, którzy na jego widok przystawali ze swym orszakiem, szepcząc: „Idziesz w złą stronę”.

Wikingowie odziani w skóry, kobiety w sari i kimonach, ludzie w eleganckich pogrzebowych strojach, najemnicy w brązowych pancerzach, z zakrwawionymi toporami, które odebrały im życie, wciąż tkwiącymi w ich niby-ciele niczym metki na skórze, wszyscy oni patrzyli zdumieni na wojowniczą, nieludzką figurkę z cienia, zaskoczeni obecnością tego wędrującego pod prąd włóczęgi, o którym ich pobożne pisma nie wspominały ani słowem.

Gapili się otwarciem na intruza, bezdomnego wojownika klasowego w świecie mitów albo, spoglądając spod oka, przedstawiali mu się grzecznie – lub nie – zgodnie z wyuczonymi zasadami grzeczności, bo nie wiedzieli jeszcze, że takie rzeczy nadają się tylko dla żywych.

Wati-buntownik nie odpowiadał, maszerując dalej z najgłębszych zaświatów. To długa droga, zależnie od tego, którą śmierć się wybierze. Od czasu do czasu spoglądał na nadchodzących i, słysząc znajome imię albo dostrzegając podobieństwo rysów, zwracał się do nowo zmarłych: „Ach to ty, spotkałem twojego ojca – czy kogoś innego – wiele kilometrów stąd”, aż w końcu całe pokolenia zmarłych przekazywały sobie opowieści o wędrowcu pod prąd, odchodzącym z niepotrzebnego nieba, spierali się, czy jest wróżbitą, czy kimś innym i czy to dobry omen spotkać go na swej ostatniej drodze. Krążyły o nim legendy przekazywane przez dawno zmarłych świeżo zmarłym. Aż końcu wyszedł, poprzez drzwi do Annwn, czy też perłowe wrota, a może wejście do Mictlanu – nie zwrócił uwagi – aż w końcu znalazł się tutaj. W miejscu, gdzie było powietrze i gdzie żyli żyjący.

Zdjęty czymś w rodzaju somatycznej nostalgii do swej pierwotnej formy, wszedł do ciała posągu. Zobaczył, że wszędzie wokół wydawano i wypełniano rozkazy, a to znów go oburzyło. Było tu zbyt wiele do robienia, zbyt wiele do naprawienia. Szukał istot podobnych do siebie. Skonstruowanych, zaklętych, spętanych magią, zmuszonych wypełniać wolę ludzi. Został ich organizatorem.

Rozpoczął od najbardziej skandalicznych spraw: mioteł zmuszanych do noszenia wiader z wodą, glinianych ludków wysyłanych do walki, małych figurek ulepionych z krwi, bez żadnego wpływu na swoje przeznaczenie. Wati wszczywał rebelie. Przekonywał sznytowanych pomocników i służących, by się zbuntowali, tłumaczył, że nie muszą podlegać woli swych twórców, zleceniodawców ani magicznym napisom umieszczonym w ustach, nalegał, by żądali wynagrodzenia, zapłaty, wolności.

Była to prawdziwa sztuka. Obserwował chłopskie powstania, komunardów, luddystów i czartystów i przyswoił sobie ich metody. Insurekcja nie zawsze stanowiła najlepsze rozwiązanie. Wciąż miał do tego słabość, ale był zbyt pragmatyczny, by ocenić, jakie reformy są w danej chwili najwłaściwsze.

Zorganizował golemy i homunkulusy, półautomatyczne twory stworzone przez alchemików, ich bezwolnych niewolników. Mandragory kielkujące pod szubienicami, traktowane niczym zwykłe chwasty. Widmowych woźniców, których płace i godziny pracy były równie tajemnicze, co żalosne. Wszystkie te twory traktowane były przez swych małych śmiertelnych stwórców niczym mówiące narzędzia, ich świadomość stanowiła jedynie irytujący efekt uboczny magicznego szumu, a zwierchność ludzi nad swymi dziełami – naturalny wynik ich wiedzy i zdolności twórczych.

Wati rozpuszczał wici wśród uciśnionych chowańców. Całe to *droit de prestidigitateur* było niczym trucizna. Dzięki determinacji Watiego i postępującej organizacji istot paranormalnych, zewsząd zaczęły spływać żądania *qui pro quo* – niektóre nawet spełniano.

Minimum rekompensaty w energii, w bilonie, w naturze – w czymkolwiek. Magicy, obawiając się bezprecedensowej rebelii, zwykle wyrażali zgodę.

Pod koniec zapoprzedniego stulecia Londyn ogarnął ruch związkowy i zmienił go bezpowrotnie, jednocześnie dostarczając inspiracji Watiemu skrytemu w niewidocznej części miasta. Przyczajony w lalkach i dzbanuszkach słuchał i uczył się od Tilleta, Manna i Eleanory Marks. Z nowym zapałem, który rozbrzmiał echem w najdziwniejszych zakątkach miasta, w jego ukrytych warstwach, Wati ogłosił założenie ZMA – Związku Magicznych Asystentów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

– A teraz wkurzył się na ciebie?

– Trwa strajk, rozumiesz? Kompletny zastój w sznycowaniu. Chowańce pikietują miejsca, w których panują najgorsze warunki pracy.

– A w Bibliotece Brytyjskiej są złe?

Dane przytaknął.

– Nawet nie wiesz jak.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Zaczęło się od jakiegoś drobiazgu, zawsze tak jest. Jeden mag kazał swoim krukom brać za dużo nadgodzin. Nie zanosilo się na coś dużego, ale on postanowił być twardy, więc zaraz wybuchł strajk solidarnościowy w fabryce pudeł, gdzie urządzenia należą do związku... Wykształciły sobie świadomość podczas jakiegoś magoosunięcia kilka lat temu. I zanim się obejrzelismy... – Walnął dłońmi w deskę rozdzielczą – Całe miasto stoi. To pierwsza taka akcja od czasów Thatcher. Sznyterzy po prostu chodzą na rzęsach. Wszyscy w ZMA strajkują, trzymają sztamę. A potem okazało się, że mam tu nagły przypadek. Wiedziałem, że ktoś cię śledzi. Musiałem mieć cię na oku, bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, co masz wspólnego z całą tą sprawą. Wiesz, krakena. Nie wiedziałem nawet, o co ci się rozchodzi. Nie wiedziałem, czy masz jakieś informacje, jakiś plan czy co. Ale byłem pewny, że jesteś w to zamieszany. Nie mogłem cię obserwować dwadzieścia cztery na dobę, więc zorganizowałem sobie krótkoterminową więź z tym małym skurczybykiem.

– Z wiewiórką?

– Z chowańcem – skrzywił się Dane. – Zostałem łamistrajkiem. A Wati jakoś się o tym dowiedział. Nie mam do niego pretensji. Komu ma ufać, jeśli nie swoim kumplom? Co chwila odchodzą tu jakieś brudne zagrania. Ciągłe komuś dzieje się krzywda. Ktoś zginął. Jakiś pismak nasmarował o tym do gazet. Wati jest cały w nerwach. Musimy to wyjaśnić. Chcę, żeby był po naszej stronie. Tego jeszcze brakowało, żebyśmy trafili na czarną listę wszystkich wkurwionych związkowców w tym mieście.

Billy spojrzał na niego uważnie.

– Ale nie chodzi tylko o to – stwierdził. Zdjął okulary i znów je włożył.

– Nie, nie tylko – przyznał Dane. – Nie jestem świnia, po prostu nie było czasu... – Zgarbił się na fotelu. – No dobra, chodziło nie tylko o to. Bałem się, że jeśli pójde i o to poproszę, to związek się nie zgodzi. Uzna, że to nie dość poważne. A ja naprawdę tego potrzebowałem, musiałem mieć więcej oczu i coś, co mogłoby szybko dotrzeć w różne miejsca. Powinieneś się cieszyć, że tak zrobiłem, inaczej zabraliby cię do warsztatu Tatuaża. A najgorsze, kurna, jest to, że nigdy wcześniej nie korzystałem z chowańców. – Potrząsnął głową, raz a potem drugi. – Po prostu gówniane szczęście. Pieprzony, pieprzony pech.

Wati poruszał się zabim skokiem, od pomnika do pomnika, od figurki do figurynki, na chwilę przystając w każdej z nich. Na krótko, tylko na tyle, by spojrzeć kamiennymi oczami jeźdźca w parku. Drewniane oczy Jezusa przed kościołem, plastikowe oczy porzuconego manekina, brał namiary, wyczuwał ograniczenia, obliczał odległość, przez chwilę rozważał każdą postać w zasięgu, wybierał najbardziej odpowiednią, po czym przekazywał swój węzeł świadomości do najbliższej wykonanej ludzką pracą głowy.

Zobaczył Dane'a i Billy'ego w barze w zaułku nieopodal Holbornu, gdzie od wielu lat stała gipsowa postać grubego kucharza układającego palce w literę „O”, co oznacza „pyszne”. Stał tuż obok stolika na zewnątrz, gdzie Dane i Billy cierpliwie znosili ziąb, kuląc się nad kubkami z kawą, Wati mógł zatem ufigurzyć się dostatecznie blisko, by porozmawiać z nimi bez świadków. Mężczyźni garbili się nie tylko z zimna – obawiali się, że są zbyt widoczni. Dane co chwila rozglądał się wokół.

– Jak już mówiłem, lepiej, żeby to było ważne – stwierdził Wati-kucharz, nie zmieniając uśmiechu otwartych ust. Wciąż miał dziwny akcent, robotniczy, mieszanka cockneya i egipskiego Nowego Państwa? – głos zabrzmiał jednak teraz niewyraźnie, jakby czymś stłumiony.

– Wati, to jest Billy – oznajmił Dane. Billy pozdrowił figurę gestem. Potem ukrył własne zdziwienie. – To wszystko przez niego. Czujesz to, prawda, Wati? Na niebie, w powietrzu, i tak dalej. Historia nie działa jak trzeba. Coś się kroi. Założę się, że też to wyczuwasz, między posągami.

Zapadła cisza.

– Możliwe – odpowiedział ostrożnie Wati. „Co on właściwie może wyczuwać?”, zastanawiał się Billy. „Podmuchy wiatru? Dyslokację? Jakies poczucie zagrożenia, w nieprzestrzeni międzywizerunkowej?” – Możliwe.

– Okej. Jest tak. Słyszałeś, że... zabrali krakena?

– Jasne, że tak. Anioły wciąż o tym nadają. Nawet zajrzałem do muzeum – odparł Wati. Z pewnością nie brakowało tam ciał, w których mógł się przyczaić. Hulał po całym holu w huraganie postaci, ślizgając się, skacząc od jednego kamiennego zwierzęcia do drugiego. – Phylax wrzeszczy w korytarzach. Zaczął wędrować, wiesz? Cały czas czegoś szuka i już chwycił trop. Słyszać go nocami.

– O czym on mówi? – spytał Billy.

– O aniołach pamięci – wyjaśnił Dane.

– Czym są... – zaczął kustosz, ale przerwał, gdy jego towarzysz pokręcił głową. „Dobra, niech będzie”, pomyślał Billy. „Jeszcze do tego wrócimy”.

– Wszystko to popieprzone – stwierdził Wati.

– Tak – zgodził się Dane. – Musimy znaleźć krakena, Wati. Nikt nie wie, kto go zabrał. Myślałem, że to sprawka Tatuaza, ale potem... Jego goryle porwali Billy’ego. Tatuaz chciał go wykończyć. A z tego, co mówił... Większość ludzi uważa, że to my. – Na chwilę przerwał. – To znaczy, Kościół. Ale to nieprawda. Oni go nawet nie szukają. A kiedy kraken zniknął, wtedy to coś w głębi zaczęło się wynurzać.

– A teraz pomówmy o łamaniu strajku, Dane – oznajmił twardo Wati. – A może mam pogadać z twoim teuthexem?

– Nie! – wyrwało się Dane’owi, aż ludzie na ulicy obejrżeli się w jego stronę. Mężczyzna zgarbił się pospiesznie i zniżył głos. – Nie możesz. Nie mów mu, gdzie jestem. Uciekłem, Wati. – Spojrzał w nieruchomą twarz figury. – Jestem wykluczony.

Gipsowy kucharz nawet nie drgnął, a jednak wyglądał, jakby przeżył szok.

– Bogowie, Dane... – powiedział w końcu. – Słyszałem o tym. Wiesz, ktoś coś komuś... Ale myślałem, że to zwykłe pierdoły.

– Oni nic nie zrobią – stwierdził ponuro Dane. – Palcem nie kiwną. Potrzebuję pomocy, Wati, i to szybko. Próbowali zabić Billy’ego. A gość, który zabrał krakena, robi z nim coś, co przyciąga cały ten syf. Wtedy się zaczęło. Tylko dlatego postąpiłem tak, jak postąpiłem. Znasz mnie. Zrobię, co mogę, żeby to naprawić. Przepraszam.

Dane opowiedział Watiemu całą historię.

– Nie dość, że ta ekipa wyłowiła go i wsadziła do słoja... – stwierdził oskarżycielsko.

Billy był zaskoczony, widząc z jaką złością na niego spojrzał. Nigdy przedtem mu się to nie zdarzyło. „Myślałem, że nie masz nic przeciwko zbiornikowi” pomyślał. „Przecież teuthex mówił...”

– Ale odkąd zniknął, zrobiło się jeszcze gorzej – ciągnął Dane. – Muszę go odnaleźć. Billy wie różne rzeczy. Muszę go stąd wydostać. Słuchaj, Wati, ścigają go Goss i Subby.

Zapadła długa cisza.

– Słyszałem – potwierdziła figura. – Ale nie byłem pewien, czy to prawda.

– Goss i Subby wrócili – potwierdził Dane. – I pracują dla Tatuaza. Węszą wokół. Robią to, co potrafią najlepiej. Chcieli zabrać Billy’ego do warsztatu.

– Kim on w ogóle jest? Kim jesteś? – Wati zwrócił się do kustosza. – Czemu cię ścigają?

– Jestem nikim – odparł Billy. W myślach zobaczył siebie, jak rozmawia z gipsowym, a może plastikowym kucharzem. Prawie się uśmiechnął.

– To on zachował krakena – dodał Dane. – Umieścił go za szkłem.

– Jestem nikim – upierał się Billy. – Jeszcze kilka dni temu... – Nawet nie wiedział, jak skończyć to zdanie.

– Tak, ciągle to powtarza – stwierdził Dane. – Ale ani Tatuaz, ani Goss i Subby wcale tak nie uważają. Wie różne rzeczy.

Przez chwilę milczeli wszyscy. Billy bawił się kubkiem z kawą.

– Ale wiewiórka? – powiedział w końcu Wati.

Dane wpatrzył się w nieruchomą, radosną twarz kucharza, a potem zaryzykował i parsknął nerwowym śmiechem.

– Zrozum, brachu, byłem zdesperowany!

– Nie mogłeś wynająć, nie wiem, żmii, kawki czy czegoś takiego?

– Szukałem kogoś na część etatu – wyjaśnił Dane. – Wszystkie najlepsze chowańce należą do związku. Powinieneś być zadowolony. Nikt się ciebie nie czepi. Musiałem sobie radzić z tym barachłem, które zostało.

– Myślałeś, że się nie dowiem?

– Przepraszam. Byłem zdesperowany. Nie powinienem był robić tego sam. Należało zapytać.

– Żebyś wiedział – odparł Wati. Dane odetchnął. – Wiesz, że taki przewal możesz zrobić tylko raz w życiu, jasne? I to tylko dlatego, że znamy się od stu lat. – Dane skinął głową. – Czemu tu przyszedłeś? Domyślam się, że nie tylko po to, żeby przeprosić.

– Nie, nie tylko.

– Bezczelny drań z ciebie – stwierdził Wati. – Poprosisz o pomoc, prawda? – zaczął się śmiać, ale Dane mu przerwał:

– Tak – odpowiedział poważnie. – Wiesz, kim jestem, i za to nie będę przeproszał. Naprawdę potrzebuję pomocy. Wszyscy jej potrzebujemy, nie tylko Billy i ja. Jeśli nie znajdziemy boga, wtedy to, co nadchodzi, w końcu tutaj dotrze. Ktoś robi z krakenem coś niedopuszczalnego.

– Jesteśmy wyłączeni, Dane. Czego w ogóle ode mnie oczekujesz?

– Rozumiem – zapewnił Dane. – Ale ty też musisz zrozumieć. Czymkolwiek jest to coś... jeśli go nie powstrzymamy, to wasz strajk i tak nie będzie miał sensu. Nie proszę, żebyś go odwołał. Tego bym nie zrobił, nigdy. Ale nie możesz tego dłużej ignorować. Musimy znaleźć boga i nie my jedni go szukamy. Im dłużej pozostaje w ukryciu, tym robi się ważniejszy, a to oznacza, że rośnie w siłę. A zatem zaczyna go szukać coraz więcej ludzi. Wyobraź sobie, co się stanie, jeśli Tatuaz dorwie go w swoje łapy.

Trup, *corpus* młodego boga, wędrowca z dołu do góry.

– Jaki masz plan? – spytał po chwili Wati.

Dane wyjął swoją listę.

– Mam tu chyba nazwiska wszystkich w Londynie, którzy mogliby przenieść coś tak dużego. Po tym możemy wysledzić, gdzie jest teraz.

– Podnieś – polecił Wati. Dane upewnił się, że nikt nie patrzy, po czym uniósł kartkę, trzymając ją w zasięgu wzroku figury.

– Ile to osób... dwadzieścia?

– Dwadzieścia trzy.

– To trochę zajmie. – Dane nie odpowiedział. – Zrobiłeś kopię? Zaczekaj.

Musnął ich lekki podmuch i poczuli, że ktoś odszedł. Dane zaczął się uśmiechać. Po chwili nadleciał wróbel i usiadł Billy'emu na rękę. Mężczyzna drgnął zaskoczony. Nawet ten ruch nie wystraszył ptaka, który mierzył ich obu spokojnym wzrokiem.

– No dalej, podaj jej listę – powiedział Wati z wnętrza figury. – I pamiętaj, że ona nie jest twoim, chowańcem, jasne? Nawet tymczasowo. To moja przyjaciółka i wyświadcza mi przysługę. Zobaczmy, co da się zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Szef Marge był bardzo wyrozumiały, ale nie mógł przedłużyć jej urlopu w nieskończoność – musiała wrócić do pracy. Matka Leona powiedziała, że przyjedzie do Londynu. Marge nigdy jej nie spotkała, po raz pierwszy rozmawiała z nią kilka dni temu, gdy zadzwoniła i z zakłopotaniem opowiedziała o zniknięciu Leona. Kobieta najwyraźniej nie знаła ani też nie chciała znać żadnych szczegółów na temat życia osobistego swojego syna. Podziękowała Marge za „informację”.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – powiedziała, gdy Marge zaproponowała, by razem spróbowały się dowiedzieć, co zaszło.

– Nie ufam policji... – zaczęła Marge. – To znaczy, pewnie robią, co mogą, ale przecież są strasznie zapracowani, a my możemy wpaść na coś, co nie przyszłoby im do głowy. Możemy szukać na własną rękę, prawda? – Matka Leona powiedziała, że zadzwoni, jeśli się czegoś dowie, ale obie wiedziały, że tego nie zrobi. A zatem Marge nawet nie wspomniała o ostatniej wiadomości.

Gdy powiedziała: „Dam znać, jeśli się czegoś dowiem”, zdała sobie sprawę, że składa obietnicę nie tyle tej nieznanym kobiecie, ile sobie samej, wszechświatowi, Leonowi, czemukolwiek; obiecała nie zostawić tego odłogiem. Przeszła przez wszystkie fazy: wściekłość, panikę, rezygnację, smutek. Czasem próbowała sobie wmówić, że może myliła się co do niego, że Leon po prostu uciekł od niej i od swego dawnego życia. Może wplątał się w jakieś szemrane interesy, może był chory psychicznie i był teraz gdzieś na wybrzeżu Kornwalii albo Dundee i nie był już tym samym człowiekiem. Żadna z tych wersji jej nie przekonała.

Wysłała matce Leona klucze do jego mieszkania, ale wcześniej dorobiła kilka dla siebie. Zakradła się do środka i chodziła z pokoju do pokoju, jakby szukając jakichś wskazówek. Przez jakiś czas każde pomieszczenie wyglądało tak, jak je zapamiętała, nawet bałagan był ten sam. Potem któregoś dnia odkryła, że mieszkanie zamieniło się w pustą skorupę: rodzina Leona zabrała jego rzeczy.

Policjanci, z którymi rozmawiała – ci, do których miała numery – wciąż twierdzili, że nie ma się czym martwić albo – z upływem czasu – że nie mogą dla niej nic zrobić. Marge najbardziej jednak pragnęła porozmawiać z tymi innymi, dziwnymi funkcjonariuszami.

Telefony do Scotland Yardu nie potwierdziły nawet ich istnienia. Otrzymała numery do kilku Baronów, ale żaden z nich nie okazał się tym, z którym rozmawiała. Nie mieli też żadnej Collingswood.

Czy rzeczywiście byli tymi, za których się podawali? A może byli to właśnie złoczyńcy, którym Leon się naraził? Czy to przed nimi uciekał?

Pierwszego dnia w pracy koledzy bardzo jej współczuli. Papierkowa robota, którą miała się zająć, była prosta i w zasadzie nie taka pilna. Obchodzili się z nią jak z jajkiem i było to trochę irytujące, ale także wzruszające, Marge więc zносиła to bez protestu. Wracła do mieszkania pogrążona w otępieniu, które ogarnęło ją, gdy zniknął Leon, i od tego czasu stanowiło jej standardowy nastrój.

Coś ją zaniepokoiło. Jakieś dźwięki w popołudniowym szumie miasta, pośród mruczenia silników, okrzyków dzieci i polifonicznych melodyjek telefonów. Uparty szept, coraz głośniejszy, aż w końcu nie miała już wątpliwości: ktoś powtarzał jej imię.

„Marginalia”.

Mężczyzna i chłopiec zjawili się przed nią bezgłośnie, nim zdążyła wyjąć klucze. Stanęli po obu stronach drzwi, opierając się barkiem o cegły, zwróceniem twarzą do siebie, bokiem do wejścia, otoczyli ją jak mur. Chłopiec był ubrany w garnitur, mężczyzna – w znoszoną, wytartą marynarkę.

– Marjorie, Marjorie – odezwał się mężczyzna – to prawdziwe nieszczęście, mam na linii wytwórnię, twoja płyta nikomu się nie podoba, trzeba będzie zrobić remastering.

– Przepraszam – zająknęła się Marge. – Nie wiem, o co... – Cofnęła się w popłochu. Ani mężczyzna, ani chłopiec nie próbowali jej dotknąć, ale poruszali się w sposób doskonale zsynchronizowany, nie odstępując jej ani na krok. – Kim jesteś, kim wy...

– Mieliśmy nadzieję, że przekonasz gitarzystę, żeby do nas wpadł, trzeba trochę poprawić ten jego kawałek. Jak go tam zwą? Billy?

Marge na chwilę zastygła, po czym znów ruszyła. Mężczyzna wydmuchnął dym. Zatoczyła się w tył. Miała ochotę uciekać, ale była skrępowana normalnością całej sytuacji. Był jasny dzień. Tuż obok przechodzili ludzie, przejeżdżały samochody, biegały psy, stały drzewa i kioski. Próbowwała cofnąć się na tyle, by umknąć z zasięgu mężczyzny, ale napastnicy nie dawali jej odejść.

– Kim pan, kurwa, jest? – wybuchnęła. – Gdzie jest Leon?

– A więc w tym sęk, prawda? Nadzwyczajnie chcielibyśmy to widzieć. Technicznie rzecz biorąc, szukamy nie tyle Leona, ile jego starego kumpla, Billy’ego Harrowa. Leon... straciłem już rozeznanie, gdzie może teraz być, Subby twierdzi, że stracił trochę na wadze, ale, jak mówię, nic na to nie poradzę, takie smaczne... – Obliznął usta. – Wreszcie spotkaliśmy się z Billym, a potem wszystko poszło w zlew. A zatem tak. Gdzie on wybył? – Marge rzuciła się biegiem, zmierzając w stronę głównej ulicy. Dwójka napastników nie opuszczała jej ani na krok, poruszając się bokiem, niczym kraby. Nie dotykali jej, ale wciąż byli bardzo blisko. –

Gdzie on jest? Gdzie jest? – powtarzał mężczyzna. Chłopiec jęknął. – Wybacz mojemu gadatliwemu przyjacielowi, ale już taki jest, buzia mu się nie zamyka. Ale i tak go kocham, no i bywa też użyteczny. Ale tym razem się nie myli, wręcz przeciwnie porusza bardzo ważną kwestię: gdzie jest Billy Harrow? Pomogłeś mu uciec?

Marge przycisnęła torebkę do piersi i szła naprzód, potykając się na chodniku. Mężczyzna obchodził ją naokoło, jakby grał z chłopcem w kółko graniaste. Przechodnie gapili się na nich.

– Kim jesteś? – krzyknęła Marge. – Co zrobiłeś Leonowi?

– Ależ zjadłem go, dziękuję, że pytasz! A teraz zobaczmy, z kim ostatnio plotkowałeś... – Polizał powietrze przed jej twarzą. Cofnęła się, wrzeszcząc z przerażenia, ale język mężczyzny jej nie dotknął. Napastnik mlasnął wargami. Znow odetchnął, wypuszczając kłęb dymu, mimo że ani w rękę, ani w ustach nie miał papierosa.

– Na pomoc! – zawołała.

Przechodnie zawahali się wyraźnie.

– Widzisz, bardzo łatwo było cię znaleźć, tyle tropów wiodło tu od Leona-pasztecika, więc spodziewałem się, że... – Znow polizał. – Nie ma tu za wiele, Subby. A teraz, powiedz, kurczaczkę, gdzie jest nasz stary Billy?

– Wszystko w porządku, skarbie? Potrzebujesz pomocy? – Podszedł do niej jakiś młody, wysoki mężczyzna, zaciskając pięści. Za nim stał jego przyjaciel, też gotów do walki.

– Jeśli jeszcze raz się odezwiesz – powiedział niechlujnie ubrany mężczyzna, nie patrząc na przybysza, wciąż wpatrzony w Marge – albo podejdziesz bliżej, mój chłopcze, to poześlujemy sobie i uwierz mi, że nie spodoba ci się to, co jest pod masztem. Uszyjemy ci suknię z tafty. Rozumiesz? Jeśli się odezwiesz, upieczemy ci takie ciasto, że się udławisz. – Zniżył głos aż do szeptu, ale wszyscy i tak słyszeli. Potem odwrócił się i spojrzał na ludzi, którzy przyszl Marge z pomocą. „Och, czy on tak na serio, czy on tak na serio. Damy mu radę. Ty weź dzieciaka, ten stary pierdziel jest mój. Gotów, na raz, dwa, trzy, ale szczerze mówiąc, na oko to niezły kozak i tak dalej”. – Chcecie trochę ciasta? – Zaśmiał się cicho, jakby coś połykał. – Zróbcie jeszcze krok. Jeszcze jeden – Ostatnie dwa słowa zabrzmiały jak westchnienie.

Ptaki wciąż ćwierkały, samochody mruczały z niezadowoleniem, a kilka metrów dalej ludzie rozmawiali ze sobą, jak wszędzie, ale miejsce, gdzie stała Marge, zrobiło się nagle zimne i straszne. Dwaj mężczyźni, którzy pospieszyli jej z pomocą, przez chwilę wili się pod spojrzeniem Gossa, po czym wycofali się szybko.

– Nie! – krzyknęła z przerażeniem Marge, ale tamci nie odeszli, stanęli tylko z boku, jakby za karę musieli przyglądać się całej scenie.

– Wybacz to małe zamieszanie... – Goss znow polizał powietrze wokół Marge. Kobieta stała, stłamszona między dwoma postaciami, równie skutecznie, jakby przytrzymywali ją siłą.

– Dobra – oznajmił w końcu. – Ani kropelki. – Wzruszył ramionami, jego towarzysz powtórzył ten gest.

– Chyba nie, Subby. – Potem odstąpili. – Wybacz, że przeszkodziliśmy. – Goss zwrócił się do Marge. – Widzisz, musieliśmy tylko sprawdzić, czy coś wiesz. – Kobieta cofnęła się ostrożnie. Mężczyzna udał się za nią, ale nie szedł już tak blisko. Pozwolił jej uciec. Próbowwała złapać oddech. – Tak bardzo chcemy się dowiedzieć, co porabia nasz młody Billy. Najpierw myśleliśmy, że wie wszystko, potem że nie wie nic, a potem zniknął tak nagle i wtedy uznaliśmy, że może jednak wie wszystko. Ale niech mnie oskubią, jeśli wiem, gdzie go znaleźć. Co oznacza... – Zamajtał językiem. – że ma sposoby, by nie zostawiać śladu smakowego. Ciekaw byłem, czy nie zrobiłaś tu jakiegoś hokus-sznytusznytu-pokus. Ale nie smakuje. – Marge chwyciła powietrze, oddychała drżącymi haustami. – W takim razie uważaj na siebie, a my ruszymy w swoją stronę. Zapomnij, że nas widziałaś. Tu nic nie zaszło. A jeśli Billy jednak się odezwie, to daj nam cynk. Dzięki wielkie, bardzo nam to pomoże. Jeśli odezwie się do ciebie, a ty zapomnisz nam to przekazać, to zabiję cię nożem albo coś takiego. Jasne? Pa, pa.

Wtedy – dopiero wtedy – mężczyzna i chłopiec oddalili się powoli, dostojnym krokiem, a gdy zniknęli za rogiem, nagle zbiegli się ludzie, w tym jej dwaj niedoszli obrońcy, którzy wyglądali teraz na zawstydzonych, ale głównie przerażonych, i zaczęli się dopytywać, czy wszystko w porządku.

Nabuzowana adrenaliną Marge zadrżała i uroniła kilka pourazowych łez. Była wściekła na wszystkich – nikt nie próbował jej pomóc. Gdy jednak przypomniała sobie Gossa i Subby'ego, przyznała, że trochę ich rozumie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Delegacja tłustych żuków przybyła z Pimlico, sunąc po murach i pełząc pod chodnikami, aż dotarła do warsztatu w Islington. Były tylko nośnikami tuszu, maleńkimi niewolnymi stworzeniami, eksperymentalnie obdarzonymi tymczasowymi mocami dla potrzeb pewnego intelektualisty piszącego *Entomonomicon* – opasły tom o pewnej szkole magii. Prace nad książką zostały chwilowo przerwane, ponieważ owady, choć z osobna były głupie jak ziarnka piasku, to zebrane w odpowiednim polu kształtującym potrafiły rozumować jak jeden mózg. A wtedy zastrajkowały.

Nad ratuszem krążyły ptaki. To niezwykle stado – sowa, kilka gołębi i dwie zdziczałe papugi – składało się wyłącznie z chowańców, stojących na tyle wysoko w hierarchii, by dysponować znaczną częścią mocy swoich panów. Protestowały w miejscu, gdzie urzędowali magowie szczególnie bezwzględni w wykorzystywaniu pracowników, teraz z wysiłkiem próbujący zastąpić ich kiepsko wyszkolonymi manekinami.

Założenie było takie, że owadzia delegacja utworzy latającą pikietę pod auspicjami ZMA i dołączy do ptaków. Był to gest wdzięczności za pikietę utworzoną w zeszłym tygodniu przez ptaki pod ich własnym miejscem pracy i bardzo potężny symbol solidarności: jedni z najpotężniejszych asystentów w mieście pióro w chitynę z najsłabszymi, drapieżnicy wykrzykujący żądania w jednym chórze z tymi, którzy normalnie padliby ich łupem.

Taki był plan. Poinformowano prasę, by spodziewali się gości. Pełnoetatowy pracownik ZMA dał ptakom sygnał, że zaraz wróci, i poszedł, by porozmawiać z nowo przybyłymi. Za rogiem, w małym parku ze szczeliny w chodniku wynurzyły się chrząszcze, małe pociski mieniające się tęczową czernią, czekające na organizatora. Klębiły się pośród liści, uformowane w znak strzałki, gdy w końcu usłyszały kroki.

Nie był to jednak ich organizator. Zza rogu wynurzył się barczysty mężczyzna w dżinsach i czarnych butach, z kaskiem motocyklowym na głowie. Przy ogrodzeniu czekał jego towarzysz, ubrany w taki sam strój.

Chrząszcze, dotąd czekające nieruchomo, rozbiegły się, udając, że są całkowicie zajęte bezmyślnym owadziim życiem, jakby po prostu spacerowały. Po chwili, z narastającym zaniepokojeniem, zbiorowy strajkujący zauważył jednak, że człowiek bez twarzy zmierza

prosto na niego, rozkopując poszycie na boki, aż w końcu uniósł swój ciężki but i z rozmachem uderzył nim w ziemię, zbyt szybko, by owady zdążyły się rozbiec.

Z każdym ciosem łamał dziesiątki pancrzyków i rozgniatał wnętrzności na miazgę, a wtedy zbiorowa świadomość odpłynęła, zmieniając się w bezrozumną panikę. Chrząszcze umykały na boki, a mężczyzna wciąż je mordował.

Wtedy zza rogu wyszedł organizator ZMA. Przez chwilę stał w szarym świetle dnia, obok gregoriańskich fasad, z których łuszczyła się farba, obok rowerów i wózków przechodniów i gapił się oszołomiony. Po krótkiej chwili szoku wrzasnął:

– Hej! – i rzucił się na napastnika.

Tamten kontynuował jednak masakrę, nie zwracając uwagi na krzyki. Jego towarzysz zastąpił organizatorowi drogę i uderzył go w twarz. Mężczyzna runął na ziemię z rozłożonymi nogami, krew trysnęła mu z nosa. Człowiek w hełmie chwycił go za kłapy i uderzał raz za razem. Ludzie krzyczeli. Ktoś wezwał policję. Dwie zamaskowane postacie nie przejmowały się tym, jeden kontynuował swój szalony morderczy taniec, drugi w tym czasie łamał nos i zęby związkowcowi. Nie pobił go śmiertelnie, ale jego twarz już nigdy nie miała wyglądać tak samo przed trzydziestoma sekundami.

Gdy bicie i miażdżenie dobiegało już końca, na ulicę koło parku z wyciem syreny zajechał radiowóz. Ktoś otworzył drzwi, po czym się zawahał. Policjanci nie wysiedli. Stojący w pobliżu przechodnie widzieli, jak dowódca patrolu krzyczy coś do radia, słucha rozkazów, znowu coś krzyczy, po czym macha rękami w bezsilnej złości.

Dwaj motocykliści wycofali się niespiesznie. Na oczach zszokowanych mieszkańców – jedni krzyczeli, że mają się zatrzymać, drudzy schodzili im z drogi, jeszcze inni dzwonili znów po policję – dwaj mężczyźni wyszli z parku i oddalili się ulicą. Nie wsiedli na motocykle, wykrzywiając kolana na zewnątrz i kołyszac się jak marynarze, szli ulicami północnego Londynu.

Gdy już zniknęli z oczu, policjanci wyskoczyli i podbiegli do organizatora ZMA, który leżał na ziemi, plując bańkami krwi, nieopodal miejsca, gdzie wdeptano w ziemię strajkujących. Dwie przecznice dalej do pikiety powietrznej zaczęły docierać pierwsze oznaki niepokoju. Jej ciasno kontrolowany szyk zaczął się rozsypywać, a strajkujący, jeden po drugim zniżali się nad dachem ratusza, by zobaczyć, co się stało. Krzyczeli, a ich krzyki rozbrzmiewały nie tylko w konwencjonalnych wymiarach. Nie minęło dużo czasu, nim na plac dotarł Wati, niosąc za sobą powiew obecności. Wdarł się w gipsowego świętego wyrzeźbionego w ścianie domu.

– Pieprzeni gnoje – mruknął. Miał poczucie winy, nie monitorował całej akcji. Zaintrygowało go śledztwo w sprawie nazwisk otrzymanych od Dane'a, dziwność zalegająca pod miastem, i to, że po raz pierwszy od dawna nie mógł znaleźć tego, czego szukał. Nie dojrzał ani śladu zaginionego krakena z żadnej figury w mieście. Przemieścił się za szybko, nawet jak na niego. Impet uderzenia wytrącił go z pomnika i wepchnął w porcelanowego

pastuszka na kominku po drugiej stronie ściany. Odbił się od misia, z powrotem w świętego. Spojrzał na policjantkę i jej towarzysza. Jeśli nawet zauważyli martwe owady, to nie przypisywali temu specjalnej wagi. – Skurwysyny – szepnął Wati głosem budynku. – Kto to zrobił?

Ptaki wciąż wrzeszczały, a po chwili dołączyła do nich syrena karetki. Szybko pomacał wokół: jeden z policjantów nosił Świętego Krzysztofa, ale medalik był prawie płaski, a on potrzebował trójwymiarowych figur. W zasięgu głosu stał poobijany jaguar – Wati wskoczył więc w zaśnieżony emblemat na masce. Stał w postaci nieruchomego, przeciągającego się kota i słuchał.

– Co to właściwie było? – spytał młodszy policjant.

– Nie mam pojęcia.

– Ale, do cholery, szefowo, przecież to przestępstwo. Pozwalać, żeby...

– Przecież przyjechaliśmy, nie? – ucięła jego przełożona. Rozejrzała się wokół i zniżyła głos. – Mnie też się to nie podoba, ale, kurwa, rozkaz to rozkaz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Gdy Collingswood wstąpiła do policji – została wyszukana przez FPTS – najbardziej ze wszystkiego spodobał jej się slang. Z początku brzmiał w jej uszach jak niezrozumiała i cudowna poezja nonsensu: wprowadzić w rozpracowanie to, rozpytać na notatkę tamto, sprawa w pełnym enenie, przeszukanie zegarowe, figurant, dwusuw, a w końcu straszliwa inwokacja – uchol.

Gdy po raz pierwszy usłyszała to słowo, jeszcze nie wiedziała, jak często przyjdzie jej rozmawiać z kompozytowymi strażnikami ulepionymi przez kapłanów zwierzęcych bogów, rzadko, lub własnoręcznie wywołanymi istotami przedstawiającymi się jako demony, nieco częściej. Uznała, że takie określenie musi być opisowe. Wyobrażała sobie, że uchol, z którym ma się spotkać, to jakaś niebezpieczna małopokształtna istota. Widok niechlujnego mężczyzny, który obleśnie uśmiechał się do niej w pubie, wywołał w niej taki niesmak, że jednym pstryknięciem palców przyprawiła go o ból głowy.

Pomimo tego rozczarowania słowo zachowało trochę początkowej magii. Idąc na spotkania z informatorami, szeptała pod nosem „uchol”. Podobał jej się smak tego słowa w ustach. Była zachwycona, gdy czasem spotykała lub przywoływała istoty rzeczywiście zasługujące na to miano.

Siedziała w policyjnym pubie. W tym mieście było takich mnóstwo, a każdy miał własną atmosferę i nieco inną klientelę. Pub Gingerbread Man stanowił ulubioną spotkaniówkę FPTS i innych funkcjonariuszy, których praca często wymagała kontaktu z mniej znanymi prawami londyńskiej fizyki.

– Gadałam ostatnio z moimi ucholami – powtórzyła Collingswood. – Wszyscy chodzą na rzęsach. Żaden nie może spać.

Siedziała naprzeciwko Dariusa, gościa, który służył w brygadzie do spraw brudnych sztuczek – jednej z jednostek subspecjalnych, które miewały na wyposażeniu srebrne naboje, naboje z drzazgami z prawdziwego krzyża i tym podobne drobiazgi. Próbowала go przekonać, by opowiedział jej wszystko, co wie o Alu Adlerze, nieboszczyku ze słoika. Dariusz trochę go kojarzył – poznali się w związku z jakąś działalnością o wątpliwym wymiarze etycznym. Vardy też przyszedł. Collingswood zerkała na niego, wciąż zaskoczona, że postanowił do niej dołączyć.

– Od kiedy, kurwa, interesują cię takie gadki-szmatki?

– Czy twój przyjaciel będzie miał coś przeciwko? – spytał. – Próbuję jakoś scalić to wszystko. Ogarnąć to, co się stało.

Przez ostatnich kilka dni Vardy był jeszcze bardziej rozkojarzony niż zwykle. W jego kącie pokoju piętrzył się coraz wyższy stos książek, którego elementy były mniej lub bardziej tajemnicze: na każdy absurdalny, nikomu nieznany tekst przypadał jakiś klasyk biblijnej egzegezy. Coraz częściej trafiały tam też podręczniki do biologii oraz wydruki ze stron chrześcijańskich fundamentalistów.

– Stawiasz pierwszą kolejkę, kaznodziejo – oznajmiła Collingswood. Vardy siedział ponury, słuchając w milczeniu, jak Darius opowiada nudne historyjki o sytuacjach bez wyjścia. – To jak było z tym całym Adlerem? – przerwała w końcu posterunkowa. – Spotkaliście się kiedyś, tak?

– To nie jest zbyt ciekawa historia. A co chcesz wiedzieć?

– Prawdę mówiąc, chuja o nim wiemy. Kiedyś był złodziejem, włamywaczem, co nie? Nigdy nie dał się złapać, ale opowiadali o nim różne plotki, aż w końcu, parę lat temu, wszystko ucichło. Czemu tak?

– Czy był człowiekiem religijnym? – spytał Vardy.

Darius wydał nieelegancki dźwięk.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Widziałem go tylko ten jeden raz. Długa historia.

Wszyscy znali to hasło. Jakaś ściśle tajna operacja, gdy linie pomiędzy sojusznikami, wrogami, informatorami i celami zaczynały się zacierać. Baron nazywał je operacjami nawiasowymi, ponieważ były legalno-nielegalne.

– Czym się wtedy zajmował? – spytała Collingswood.

– Nie pamiętam. Przyszedł z jakąś ekipą wsypać inną ekipę. Żeby było śmieszniej, to był Tatuaz.

– Pracował dla Tatuaza?

– Nie, on go wsypał. On i jeszcze parę osób, jakaś wytworna damulka, chyba nazywała się Byrne, i ten stary piernik Grisamentum. Wtedy był już poważnie chory. Dlatego przyszedł z Byrne. Chcieli wsypać Tatuaza. Był Tatuazem dopiero od niedawna, a oni wprawdzie tego nie powiedzieli, ale rzucali takie aluzje, że to Gris go zrobił. Wszystko się zmienia, co nie?

– Co masz na myśli?

– Och, przecież wiesz. To już nie ta przyjaźń, co bywała. Wszystko się zmieniło. Grisamentum wyciągnął kopyta, a my pieścimy się z Tatkiem jak ze zgniłym jajem.

– Tak? – spytała Collingswood, podając mu papierosa.

– Hm... – Darius rozejrzał się wokół. – Powiedziano nam, żebyśmy przez jakiś czas traktowali jego ekipę łagodniej. To zabawne, bo oni wcale się nie cackają. – Zamiłowanie Tatuaza do używania ostentacyjnie zdeformowanych pomocników jako skuteczna metoda wzbudzania lęku było szeroko znane. – Mówią, że ma na liście płac Gossa i pierdolonego

Subby'ego. No, ale powiedzieli, żebyśmy przymknęli na niego oko, chyba że zacznie demolować Oxford Street.

– Ktoś jest komuś winien przysługę? – domyśliła się Collingswood.

Darius wzruszył ramionami.

– Każdy, kto ma choć trochę mózgu, domyślił się, że musi chodzić o ten strajk. Podobno ZMA zwija się jak w ukropie. Słuchaj, wiem tylko tyle, że Al był niezłym złodziejem, bardzo lojalnym wobec kumpli. I lubił, żeby wszystko było jak należy, wiesz, o co chodzi? Jasne, porobił sobie te różne tatuaże, ale miał dobre maniery. Ale nie słyszałem o nim ani słowa od czasu, gdy umarł Grisamentum.

– A zatem – podsumował Vardy – nie ma powodu, by przypuszczać, że był fanatykiem religijnym. Słyszałeś, żeby miał do czynienia z aniołami?

Collingswood zmierzyła go wzrokiem, sącząc piwo.

– Szefie – Darius dopił ostatni łyk. – Nie mam, kurwa, bladego pojęcia, o czym mówisz. Wybacz, Collers, ale muszę już lecieć. Miło było cię zobaczyć. Daj buziaka! – Kobieta pokazała mu język. Darius siorbnął głośno, po czym wstał i wyszedł.

– Jezu – mruknęła Collingswood. – Czuję się strasznie. Wszystko w porządku? Panda nie jebie cię w głowę? Nie widziałam, żebyś zarobił na tym choć parę euro.

Im bardziej zbliżała się ta bezkształtna obawa, tym większy ruch panował u wszystkich jasnowidzów. Teraz nawet drugo-, trzecio- i czwartorzędni wróżbici bez problemu znajdowali zajęcie: ludzie rozpaczliwie szukali kogokolwiek, kto zobaczyłby coś innego niż tylko nadchodzący koniec.

– Panda? Ach, to ten wasz żarcik, tak? Cóż, byłem trochę zajęty.

Vardy zdawał się nie tylko zajęty – był ożywiony, jakby nabuzowany przez nadciągający kryzys. Uniwersytet pewnie narzekał na jego nieobecność – choć niewiele mogli z tym zrobić – ponieważ całe dni spędzał w biurze FPTS.

– O co ci, do jasnej pizdy, właściwie chodziło? – spytała Collingswood. – Anioły? W co ty mnie wręczasz?

– Słyszałaś o mnemophylaxach?

– Nie.

– Inne określenie aniołów pamięci.

– Ach, to. Myślałam, że to wszystko stek pierdół.

– Och, nie, z całą pewnością coś w tym jest. Trzeba tylko dojść, co dokładnie.

– Może spytasz któregoś ze swoich uholi?

Mężczyzna spojrzał na nią, a przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Moi kolekcjonerzy w tym nie pomogą. Nikt nie czci tych aniołów. Są... zresztą wiesz, chyba słyszałaś te historie.

– Trochę. – Niewiele. Anioły były archontami historii, nie wspomnieniami, ale metawspomnieniami, strażnikami wspomnień.

– Dawno temu żyła tu pewna wiedźma. Była londynmantką, ale odeszła od nich, bo zmęczyło ją to ciągle niewtrącanie. Z paroma wynajętymi bandziorami włamała się do Muzeum Londyńskiego, chyba zamierzała coś ukraść. Następnego dnia znaleziono ich martwych. To znaczy... nie do końca

– Nie do końca?

– Jej kumple byli martwi. Jej samej nigdzie nie znaleziono. W jednej gablocie leżała dziwna kupa cegieł i zaprawy. Niektóre z cegieł miały dziwne kształty. Wzięliśmy tę stertę i pobawiliśmy się w układanie puzzli. To był posąg kobiety. Z cegieł. Ktoś go zrobił, a potem rozwalił. – Spojrzał Collingswood w oczy. – A skoro już jesteśmy przy aniołach, to zamierzałem zasugerować, żebyś spojrzała na odczyty z tamtego miejsca i porównała je z tym, co odczytałaś w piwnicy, gdzie Billy znalazł Adlera.

– To znaczy, chciałeś zasugerować, żebyś odwalila sporo dodatkowej roboty, tak?

Vardy westchnął.

– Są pewne punkty wspólne – odparł. – Na razie mogę powiedzieć tylko tyle. Nie sądzę, by Tatuaz był jedynym którego szukamy. Poza tym, zakładam, że wciąż nie doszły cię żadne szeptki o miejscu przebywania tej kałamarnicy.

– Słusznie zakładasz. – Uchole, łapówki, groźby, szklane kule, rachunek prawdopodobieństwa, przepowiedniowy poker, trzepotanie kodów, nic nie skutkowało. Ciągły deficyt tak cennego towaru jak kałamarnica olbrzymia, na samą myśl o wsadzeniu jej do swoich alembików londyńscy alchemicy zaczęli skamleć obłąkańczo, przyciągała coraz większe zainteresowanie miejscowych windykatorów. – Nie tylko my jej szukamy – stwierdziła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

no dalej championie wskakuj już czas na nas musimy się spieszyć mamy robotę do zrobienia

Billy unosił się głęboko pod powierzchnią snu i śnił tak wyraziście, że czuł się jak w filmie puszczanym w przyspieszonym tempie.

wskakuj i bierzmy ich

Znajdował się pod wodą, jak w większości snów, ale tym razem było tam jasno – woda lśniła jak słońce, a on unosił się w świetle dnia, skały wokół były grzbietem oceanicznym, a może wnętrzem rozpadliny. Znalazł się w głębi kanionu, a nad nim piętrzyły się płaskowzgórza i płaskowyże, a w górze lśniło słońce albo jakieś podwodne światło. Był gotów wsiadać.

championie, krzyknął, championie wsiadaj

Jego wierzchowiec nadchodził. Wiedział, co lada chwila wynurzy się zza skał, a on chwyci go i wskoczy na jego grzbiet z kowbojską fantazją. *Architeuthis* mknął naprzód, zaciskając płaszcz, macki wyciągnięte, gotowe chwycić ofiarę. Wiedział, że podpłynie na równiny, wyciągnie ramiona, by chwycić coś w przelocie, zakotwiczyć się i polować. W końcu przybył. Ale zupełnie inaczej.

jak mam na to wsiąść?, pomyślał Billy. może wejść do środka?

Ponad wzgórzami przemknął *Architeuthis* w swym zbiorniku – szklany prostokąt sunący niczym kanoe. Formalina chlupotała o pokrywkę i rozbryzgiwała się na boki, jej krople zostawiały wilgotny ślad w pyle. Kraken w zbiorniku rżał i stawał dęba, jego martwe ciało ślizgało się po szkle.

champion champion

Jeszcze przed chwilą był w tamtym śnie, a potem nagle się obudził i leżał z otwartymi oczami, wpatrując się w sufit mieszkania, do którego zabrał go Dane. Nieistniejąca osoba, do której należało, była kobietą, a sądząc po książkach i rozwieszonych wszędzie certyfikatach, pracowała jako lekarz rodzinny. Nie istniała, ale jej duch unosił się wszędzie. Meble i bibeloty były dobrane ze smakiem, tak by wszystko do siebie pasowało. Za firankami ukryto amulety i tarcze. Znajdowali się na pierwszym piętrze wspólnego domu.

Dane spał w salonie.

– Jutro pogadamy z Watim – stwierdził. – Teraz powinniśmy się kimnąć.

Billy zajął kanapę. Leżał, wpatrzony w sufit, starając się dojść, co go obudziło. Usłyszał skrobanie, jakby ktoś drapał w coś paznokciem. Wszystkie drobne dźwięki: świst powietrza, szelest jego ubrań i tarcie głowy o poduszkę zamilkły. Usiadł, ale nadal nie było żadnych dźwięków. I w tej nienaturalnej ciszy, przez jedną krótką sekundę usłyszał dźwięk szkła toczącego się po marmurze. Oczy rozszerzyły mu się gwałtownie. Poczł, że coś wibruje o szybę. Nie wiedząc dlaczego, wstał z kanapy i stanął przy oknie, ostrożnie odsuwając dziwnie oporną firankę. Zdążył włożyć okulary.

Na parapecie kulił się jakiś człowiek. Na dole stał drugi, spoglądając w górę. Billy nie był nawet zaskoczony. Pierwszy z nich, trzymając się rynny, ciął szybę przecinakiem do szkła. Zarówno on, jak i jego towarzysz byli prawie zupełnie nieruchomi. Nawet chmury na niebie przestały płynąć. Billy puścił firankę, która natychmiast wróciła do poprzedniej pozycji.

Wiedział, że to potrwa najwyżej kilka sekund. Nawet nie próbował budzić Dane'a, podejrzewał, że nie ma na to czasu. Odszedł od okna i znów poczuł ruch powietrza, usłyszał drobne poruszenia żywego świata. Firanka zafalowała.

Intruz otworzył okno niewiarygodnie cichym ruchem. Zaczął wchodzić do środka – masywny, grudkowaty kształt wylewający się ze szpary pomiędzy firankami. Billy przewrócił go na wół zapomnianym chwytem judo, chwycił za szyję, przetoczył po podłodze i zacisnął ramię w mocnym uścisku. Mężczyzna charczał cicho. Podniósł się na czworaka i wierzgnął, po czym zerwał się od razu na nogi jakimś niemożliwym piruetowym skokiem. Billy wpadł na ścianę.

Drzwi do sypialni otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Dane, rozbudzony, z zaciśniętymi pięściami, odcinający się na tle mroku niczym dziura o ludzkich kształtach. Przeszedł przez pokój w trzech przerażająco zwinnych susach i walnął intruza w szczękę, aż głowa tamtego poleciała z trzaskiem w tył. Mężczyzna runął na podłogę nieprzytomny.

Billy strzelił palcami i spojrzał Dane'owi w oczy. Wskazał na firanki, że tam jest drugi. Dane skinął głową, po czym szepnął:

– Kajdanki u mnie w torbie. Zaknebluj go i skuj.

Nie odsuwając firanek, Dane podszedł do okna i zaczął je otwierać. Firanki załopotwały, gdy do środka wdarło się zimne powietrze. Rozległ się cichy szum, a potem trzask. Jedna z firanek drgnęła, a potem zafalowała wokół nowej dziury. W sufit wbita była strzała.

Dane wyskoczył przez okno. Billy gapił się na całą scenę z otwartymi ustami. Potężny mężczyzna przeleciał dwie kondygnacje, okręcił się w locie i bezszelestnie wylądował w zapuszczonym ogrodzie przy budynku. Podbiegł prosto do człowieka uciekającego z pistoletem pneumatycznym w ręku. Szybko wybiegli poza krąg latarni. Billy tymczasem odszukał kajdanki, przykuł nieprzytomnego mężczyznę do kaloryfera, wepchnął mu skarpetkę do ust i przewiązał je rajstopami nieistniejącej kobiety.

Gdy otworzyły się drzwi do mieszkania, Billy stanął w gotowości, ale do środka wszedł Dane. Oddychał ciężko, mięśnie brzucha mu drżały.

– Bierz swoje graty – rzucił tylko.

– Dorwałeś go?

Dane przytaknął. Miał bardzo ponurą minę.

– Kim oni są? To ludzie Tatuaza?

Dane wszedł do sypialni.

– Po co pytasz? Przecież widzisz, że ma normalną twarz. To nie żadna chodząca maszyna. Nieee. To Clem. Ten drugi to Jonno. Przywitaj się. Cześć, Clem – zwrócił się do zakneblowanego mężczyzny. Potem zarzucił torbę na ramię. – Ups – dodał. – Wygląda na to, że teuthex jednak zna parę z tych kryjówek – Zaśmiał się bez śladu wesołości. – Clem spojrzał Danowi w oczy i usmarkał się, oddychając przez knebel. – Cześć, Clem – powtórzył Dane. – Jak sobie radzisz, stary? Wszystko w porządku? Dobrze, bardzo dobrze. – Przetrzęsnał więźniowi kieszenie, zabrał pieniądze i telefon. W plecaku znalazł małą kuszę. – Na litość kraka, spójrz na siebie, Clem. Tak się starałeś, żeby mnie dopaść, a jeszcze niedawno siedziałeś na tyłku, cały zadowolony, i pozwoliłeś komuś zwiać z naszym bogiem. Mam tu wiadomość dla teuthexa. Przekaż to, dobrze? Powiedz mu, że przynosi nam wstyd. Wszyscy przynosicie. Ja jeden postanowiłem wykonywać wolę boską. I to wy jesteście ekskurwa-komunikowani. Tak mu powiedz.

Poklepał Clema po policzku. Mężczyzna patrzył na niego przekrwionymi oczami.

– Dokąd teraz pójdziemy? – spytał Billy. – Skoro znają twoje kryjówki, to mamy przewalone.

– Wiemy że znają tę jedną. Muszę być ostrożniejszy. Teraz będę się trzymał tych nowszych.

– A jeśli tamte też znają?

– To mamy przewalone.

– Co chcieli nam zrobić? – spytał Billy.

Dane prowadził kradziony samochód.

– Tobie? Pewnie by cię zamknęli. Kazaliby opowiadać, co widzisz w nocy. A ze mną? Apostazja, brachu. Karana śmiercią. – Przejechał nad kanałem, gdzie przy brzegach służy unosiły się śmieci, a latarnie były srebrne i zimne.

– Po co to wszystko? Czego chcą się ode mnie dowiedzieć?

– Nie jestem kapłanem – stwierdził Dane.

– A ja nie jestem prorokiem – odparł z rozdrażnieniem Billy. Dane nie odpowiedział. – Dlaczego nie pytasz, co mi się śniło? W ogóle cię to nie interesuje?

Dane wzruszył ramionami.

– Co ci się śniło?

– Śniło mi się, że jechałem na architeuthisie jak Clint Eastwood. Jak kowboj na Dzikim Zachodzie.

– No widzisz.

– Ale on... – „Wciąż był w zbiorniku. Wciąż był uwięziony i martwy”.

Noc otworzyła się przed nimi, gdy skręcili w główną ulicę – aleję neonów nakreślonych grubą kreską smażonych kurczaków i oznaczonych trzema kulami lombardów.

– Nieźle sobie poradziłeś, Billy. Clem to nie ułomek. Niedługo się stamtąd wydostanie. Gdzie się nauczyłeś tak walczyć?

– Chciał mnie zabić.

– Dałeś radę, chłopie. – Dane skinął potakująco.

– Coś się stało. To miało coś wspólnego z tym snem.

– Też tak mówiłem.

– Gdy się obudziłem, nic się nie poruszało.

– Nawet mała szara myszka?

– Posłuchaj? Cały świat. To było jak...

– Jak mówiłem, brachu, nie jestem kapłanem – stwierdził Dane. – Niezbadane są ścieżki krakenów.

Billy pomyślał jednak, że tą ścieżką na pewno nie podążał kraken. Coś się działo, ale miał wrażenie, że nie jest to ani kraken, ani żaden bóg.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Plotki wkrótce się rozniosły, jak to mają w zwyczaju. Miasto w rodzaju Londynu zawsze będzie stanowić paradoks: najlepsze jest to, że tak gęste od przeciwieństw, a pełne dziur moralnych niczym ser szwajcarski. Tyle różnych alternatywnych ścieżek biegnących równoległe do oficjalnych i do tych, z których londyńczycy byli tak dumni: zawsze pojawiało się mnóstwo sprzecznych trendów.

Nie było tu żadnej oficjalnej władzy, żadnych sankcji prócz samopomocy, żadnej homeostazy, poza równowagą sił. Jednostki specjalne policji próbujące grzebać w tym bagnie były tolerowane jako członkowie nieszkodliwej sekty albo byli zabijani od niechcenia, niczym nieuważni antropolodzy. „No proszę, znowu, FPTS”. Mrug, mrug, ciach, ciach.

Nawet pod nieobecność władcy w Londynie panowała ożywiona krzątanina. Kto ma władzę, ten ma rację – i, wbrew pozorom, nie była to ocena moralna, a proste stwierdzenie faktu. Tak głosiło prawo egzekwowane przez wykidajłów, zabijaków i łowców nagród – sprzedajnych szogunów przedmieścia. Nie miało to nic wspólnego ze sprawiedliwością. Oczywiście każdy mógł mieć na ten temat własną opinię – Londyn też ma swych bandytów społecznych – ale taka była prawda.

A zatem, gdy jakiś władca ogłosił, że szuka zleceniobiorców, wieść rozeszła się niczym komunikat nadawany przez policyjne radiostacje, jak ogłoszenie o planowanej akcji. „Tatuaż? Serio? Przecież ma pełno własnych goryli. Po co mu jacyś obcy?”

Ostatnią taką akcją zorganizował, gdy przestał być człowiekiem, a stał się Tatuażem, gdy Grisamentum uwięził go w ciele obcego człowieka. „Przynieście mi głowę Grisamentuma, a będziecie rządzić miastem”, zapowiedział wtedy boss podziemia. Gdy paru renomowanych łowców znaleziono martwych, entuzjazm znacznie osłabł. Tatuaż nie został pomszczony.

A teraz zaczęła się nowa akcja. Ktoś chętny?

Spotkali się w nocnym klubie w Shepherd's Bush. Tego wieczora drzwi odgradzono sznurem, a na drzwiach wywieszono napis: IMPREZA ZAMKNIĘTA. Od ostatnich targów branżowych upłynęło sporo czasu. Zebrani łowcy pozdrawiali się grzecznie i ostrożnie, nikt nie próbował naruszać protokołu. Gdyby spotkali się podczas pogoni za ofiarą, z pewnością polałyby się krew, ale tutaj tylko sączyli napoje, pogryzali przekąski i wymieniali grzecznościowe uwagi: „Jak tam Gehenna?” albo „Słyszałem, że masz nowy grymuar”.

Wszyscy złożyli broń w depozycie – mężczyzna o nierównej, gruzłowatej skórze strzegł szatni pełnej berett, obrzynów i biczów. Zbierali się w małe grupki, zależnie od aktualnej mikropolityki i alergii magicznych. Jakies dwie trzecie spośród obecnych mogłoby przejść głównymi ulicami miasta, nie wywołując konsternacji. Zgromadzeni nosili wszelkie możliwe rodzaje miejskich uniformów, a ich przynależność rasowa stanowiła przekrój przez całe spektrum dostępnych opcji.

Podobnie imponująco prezentował się wachlarz ich umiejętności: od tropienia cudów, poprzez nieczary, kończąc na żelaznej krwi. Jedni pracowali samotnie, inni zaś zespołowo. Niektórzy nie mieli żadnych paranormalnych zdolności, dysponowali jedynie siatką dobrych kontaktów i wysokim poziomem standardowych umiejętności żołnierskich, w tym umiejętności zadawania śmierci. Inni zaś, po opuszczeniu tej kongenialnej imprezy, musieli zakładać przebranie – miazmatyczne istoty unoszące się na wysokości głów niczym obłoki gazu z twarzami demonów znów znikwały we wnętrzu swych nosicieli. Potężna kobieta spowita w odwróconą tęczę wdziewała swój czar maskujący i znów stawała się nastoletnią pracownicą supermarketu.

– Kto przyszedł? – Mrucząca wyliczanka. – Ściągnął tu wszystkich. Niu-hulsi, kratozjanie, pełen komplet.

– Nie ma broniowników.

– Tak, słyszałam, że zjechali do miasta. Na szczęście nie tutaj. Może robią jakieś inne zlecenie. Powiem ci, kogo widzę. Widzisz tego gościa?

– Tamtego palanta zrobionego na new romantic?

– Aha. Wiesz, kto to jest? To nazista chaosu!

– Niemożliwe!

– Słowo ci daję. Wszystkie chwytaki dozwolone.

– Nie wiem, czy mi się to podoba.

– Tak czy inaczej, przyszliśmy. Równie dobrze można posłuchać, co jest grane.

Na podwyższeniu zapanowało poruszenie. Dwóch goryli Tatuaza wyszło naprzód. Ubrani byli, jak zawsze, w dzinsy, motocyklowe kurtki i kaski, nie odzywali się ani słowem. Trzaskali kostkami palców i wymachiwali rękami.

Pomiędzy nimi szedł kaleki mężczyzna. Usta miał otwarte bezwładnie, a oczy puste i bez wyrazu. Nie łysiał, ale włosy miał słabe i przerzedzone, ledwie okrywające czaszkę. Jego skóra przypominała gnijące zbutwiałe drewno. Szedł małymi kroczkami. Z jego ramienia, niczym groteskowa piracka papuga, sterczała kamera przemysłowa. Klikiała i wirowała na swojej podstawce białej w ludzkie ciało. Skanowała salę. Nagi mężczyzna szedł nieprzerwanym krokiem i byłby spadł za krawędź sceny, gdyby jeden z zamaskowanych strażników nie wyciągnął ręki i nie przytrzymał go chwilę wcześniej. Kaleka zakołysał się z boku na bok.

– Panowie – powiedział nagle głębokim głosem, trzeszczącym od statyki. Jego oczy pozostały nieruchome. – I panie. Przejdźmy do rzeczy. Z pewnością słyszeliście ostatnio różne plotki. Są prawdziwe. Następujące rzeczy nie ulegają wątpliwości. Po pierwsze, kraken, ostatnio przebywający w Muzeum Historii Naturalnej, został skradziony przez nieznaną sprawców. Mam pewne podejrzenia, ale przecież nie będę wam podsuwał pomysłów. Mogę tylko powiedzieć, że ludzie, których uważamy za zmarłych, mają irytujący zwyczaj niespełniania tych oczekiwań, zwłaszcza w tym pieprzonym mieście. Na pewno sami to zauważyliście. A wracając do krakena: taka sztuka nie powinna się udać nikomu. Pilnował go anioł pamięci. Po drugie, jest pewien człowiek, który przez chwilę znajdował się pod moją kuratelą, niejaki Billy Harrow. Coś o tym wie. Z początku go nie doceniłem, mój błąd. A potem dał dyla. Nie zamierzam tego tak zostawić. Po trzecie, krążą plotki, że w swym niedopuszczalnym procederze dykodawania pan Harrow zdołał uzyskać pomoc niejakiego Dane’a Parnella. – Po sali przebiegł szmer. – Długotrwałego wiernego wyznawcy Kościoła Krakena. Rzeczy mają się tak: Dane Parnell został ekskomunikowany. – Pomruki przybrały na sile. – Z tego, co wiemy, było to tuż po tym, jak zrobił Billy’ego Harrowa swoją małą dziwką. Po czwarte, z całym wszechświatem dzieją się teraz jakieś rzewne jaja, jak pewnie wszyscy wiecie, i ma to coś wspólnego z tą kałamarnicą. A zatem omówmy warunki zlecenia. Chcę wojny. Chcę terroru. I chcę, w tej właśnie kolejności, krakena lub informacji o nim, Billy’ego Harrowa, żywego, i Dane’a Parnella, wszystko jedno jakiego. Pozwolę sobie podkreślić, że gównu mnie obchodzi, jak to osiągniecie. Nie chcę, by ktokolwiek czuł się bezpieczny, póki nie dostanę tego, o co prosiłem. A teraz posłuchajcie... – w głosie chorego zabrzmiała chytra nuta. – Zamierzam za to zapłacić obłąkańczą kwotę. Płatne gotówką przy odbiorze. Nie ma towaru, nie ma forsy. Możecie się na to zgodzić albo odejść. Mogę wam jednak obiecać, że ten, kto dostarczy mi krakena, nie będzie musiał pracować już do końca życia, a Billy Harrow załatwi wam parę lat wolnego. – Kamera przesunęła się po twarzach. – Jakież pytania?

Człowiek ze swastyką, wymalowany mascarą wysłał koledze SMS-a z serią wykrzykników. Ksiądz-renegat poluzował koloratkę. Szamanka szepnęła coś do swojego fetysza.

– O kurwa! – głos należał go młodego, niepozornego mężczyzny w znoszonej kurtce, którego niecodzienne umiejętności strzeleckie wprawiały w zdumienie większość napotkanych osób. – O kurwa! – zerwał się z miejsca. W pracy posługiwał się nakierowaniem empatycznym, które miało swoje efekty uboczne: w jego przypadku była to alergiczna reakcja na chciwość innych, często dziękował Opatrzności, że nie na jego własną. Przez salę przeszła tak potężna fala łapczywości, że łowca nawet nie marzył, iż zdoła dobiec do łazienki, zanim zwymiotuje.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

– Mam tu listę ludzi, którzy są mi winni przysługę, nie należą do Kościoła i nie narobią nam koło pióra – oznajmił Dane. Lista nie była zbyt długa. Siedzieli w kryjówce w strefie czwartej, którą, zarówno realnie, jak i magicznie, ucharakteryzowano na opuszczony squat. Czekali na Watiego.

– Czy on... Czy tu jest napisane „kameleon”? – zaciekał się Billy. – To imię coś mi mówi.

Dane uśmiechnął się lekko.

– Jason. Kiedyś już o nim wspominałem. Chwyta się różnych zajęć. Znamy się kopę lat. – Uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Pomoże nam, jeśli będzie trzeba. Ale nie ma przeprosić, to Wati jest naszym głównym atutem.

– Gdzie jest ten warsztat, do którego ciągnął mnie Tatuaz? – spytał Billy.

– A po co ci to wiedzieć? Wpadłeś na jakiś głupi pomysł?

– Dlaczego głupi? Jesteś żołnierzem, prawda? Martwisz się, że Tatuaz mógłby dorwać twojego boga. Dlaczego nie pójdziesz z tym prosto do niego? Wiesz, że chętnie zrobię z nim, co tylko zdołam. Mówię poważnie. To samo z Gossem i Subbym. Mamy wspólny cel. Jeśli uda się im nabrudzić, wszyscy będą zadowoleni. Oprócz nich. Chyba o to chodzi, prawda?

– Billy – powiedział cierpliwie Dane. – Nie możemy zaatakować kryjówki Tatuaza. Do tego trzeba by całej armii. Po pierwsze, nie wiem, gdzie on jest, a w każdym razie nie mam pewności. To była jedna z jego dziupli, ale nigdy nie wiesz, gdzie się pojawia, on i jego warsztat. Po drugie, widziałeś jego strażników? Z nimi nie ma żartów. Po trzecie, Tatuaz to jedna z największych potęg w Londynie. Wszyscy są mu coś winni: przysługę, pieniądze albo życie. Jeśli z nim zadrzemy, ściągniemy sobie na głowę cały potok gówna, nawet gdybyśmy zdołali go dopaść. A nie zdołamy.

– Czy on... Potrafi? – Billy zakręcił sugestywnie dłońmi.

– Sznytować? Nie musi. Tu nie chodzi o sznytowanie, chodzi o pieniądze, i spryt, i ból. Posłuchaj, ktoś zajmował krakena i nie wiadomo kto. Tatuaz też nie ma zielonego pojęcia. Wiem, że chcesz... Ale nie możemy marnować na niego czasu. Odegramy się znacznie lepiej, jeśli znajdziemy krakena. Za cienkie bolki jesteśmy, żeby mu podskoczyć. I jest nas tylko dwóch. Ale za to mamy moje umiejętności i twoje sny. Powinieneś zacząć śnić – dodał. –

Chyba nie będziesz już udawać, że te sny nic nie znaczą. Wiesz, że są prawdziwe. Kraken próbuje nam coś przekazać. Musisz śnić dalej.

– Nie jestem pewien, kto mówi do mnie we śnie – zaczął ostrożnie Billy. – Ale mam wrażenie, że to nie kraken.

– A co innego, do cholery? – W głosie Dane’a nie zabrzmiała złość, lecz błaganie. – Ktoś coś z nim robi. – Potrząsnął głową i zamknął oczy.

– Czy można torturować martwego boga? – spytał Billy.

– Jasne, że tak. Można torturować wszystko. Wszechświat nie może tego znieść, dlatego wróżbici chorują.

– Muszę powiedzieć Marge, że Leon nie żyje – powiedział Billy. Dane potarł podbródek. – Powinna...

– Posłuchaj, stary. Nie wiem, o co w tym chodzi – powiedział, nie patrząc mu w oczy. – Ale lepiej daj sobie spokój. Nie powiesz nic nikomu. Nie możesz. Dla twojego i dla jej dobra. Myślisz, że zrobisz jej przysługę? Tylko ją zaciekawisz, a wtedy źle się to skończy. Wiem, że to nie o nią tu chodzi, ale jednak... – urwał, pozostawiając Billy’ego z uczuciem niedosytu. Na podłodze pomiędzy nimi stał ogrodowy krasnal. Wciąż czekali na Watiego. Dane demonstrował Billy’emu ciosy pałką, trzymając w ręku drewnianą łyżkę, pokazywał, jak wymierzać ciosy i zakładać trzymanie na szyję. – Dobrze się spisałeś – stwierdził.

Mówił z roztargnieniem i wciąż się rozglądał. Wati przybył jednak tak cicho, że nikt go nie dostrzegł, póki się nie odezwał.

– Wybaczcie, że przychodzę tak późno – warknął poprzez usta plastikowego ludka. – Kryzysowe zebranie. Nie macie pojęcia, jaki sajgon.

– Wszystko w porządku?

– Ani trochę. Zaatakowali nas.

– Co się stało?

– Słuchaj, wszyscy wiedzą, że strajkować to nie kwiatki zbierać. Ale tym razem wzięli nas pod but i to dosłownie. Andre jeszcze nie wyszedł ze szpitala.

– Gliny?

– Zawodowcy.

– Pinkertony? – Nazwa agencji Pinkertona stanowiła zwyczajowe określenie wszelkich osiłków wynajętych do pacyfikowania strajków.

– Przydupasy Tatuaza. Nawet nie próbowali się kryć.

Dane gapił się na figurkę, a ona odwzajemniała spojrzenie.

– To chyba żadne zaskoczenie – stwierdził w końcu. Potarł o siebie kciuk i palec wskazujący. – Wiadomo chociaż, kto mu płaci?

– Wylosuj, kogo chcesz, mamy cały tłum kandydatów. Rozumiesz, co to znaczy? Przeszli w stan wojny. Ogłosili najwyższy stopień gotowości bojowej.

– Przykro mi, stary. Ale nie tylko was napadli. Myślałem, że wszystkie moje kryjówki są bezpieczne. Teuthex wysłał za mną paru... Pamiętasz Clema?

Wati gwizdnął przeciągle.

– To dopiero może narobić człowiekowi w mózgu – stwierdził. – Ja przynajmniej wiem, że ci gnoje, z którymi muszę się użerać, to nie są moi kumple. Gdybym tylko mógł, wyskoczyłbym na szybki rekonesans i zobaczył, co porabia twój były Kościół.

– Na ścianach jest pełno płaskorzeźb... – zaczął Billy.

– Mają bariery – przerwał Dane. – Wiedzą, jak nie dopuszczać do środka obcych. Są ostrożni.

– Trzeba dbać o swoich członków, Dane – odparł Wati. – Musimy wygrać to starcie. A teraz okazuje się, że i tak muszę walczyć z Tatuazem, niezależnie od tego, czy mi się to podoba. Jeśli on bierze się za moich ludzi, ja się zabiorę za niego. Jeśli on chce dopaść krakena, to ja chcę dopaść go pierwszy. Cokolwiek on zamierza, ja jestem przeciw.

Dwaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

Wati wezwał kawkę, która za chwilę wleciała przez kuchenne okno. Upuściła na blat kawałek papieru, po czym zaskrzeczała coś do Watiego i odleciała. Była to lista przenosicieli spisana ręką Dane'a, wielokrotnie poskładana, poznaczona śladami ptasich pazurków, pełna poprawek w kolorze czerwonym, niebieskim i czarnym, naniesionych krzywym, nieporadnym pismem.

– Nietrudno było znaleźć informacje – stwierdził Wati swoim anachronicznym głosem. – Mancie znają się nawzajem. Ludzie, którzy dysponują takim talentem, zwykle się kojarzą. Nawet jeśli związkowcy nie poznali ich przez swoich szefów, to i tak wiedzą, kto jest kto.

– Czemu te są wykreślone? – spytał Dane. – Wydawało mi się, że Fatima Hussein mogłaby to zrobić.

– Wykreśleni na niebiesko są za granicą.

– Okej. A pozostali?

– Mają chowańce. Ich więź jest tak silna, że podczas strajku nie zdołaliby przenieść nawet sera do kanapki.

– Jak to działa? – spytał Billy.

– *Quid pro quo* – odparł Dane. – Chowańce są dla ciebie oczami i uszami, ale nie tylko. Możesz umieścić coś w swoim zwierzęciu albo w tym, z czego akurat korzystasz...

– Magia.

– Wkładasz coś do środka, wyjmujesz coś więcej – zakończył Wati. – Zwierzęta służą jako wzmacniacze. – Przypuszczam, że tylko czworo ludzi mogłoby przenieść coś takiego. Simon Shaw, Rebecca Salmag, Adwokat i Aykan Bulevit.

– Znam dwoje z nich – odezwał się Dane. – Simon przeszedł na emeryturę, a Aykan to palant. Jacyś teleporterzy? Nienawidzę teleportowania.

– Tak, ale nie mówimy o tobie – odparł bezlitośnie Wati. – Mówimy o twoim bogu.

– O jego ciele.

– No tak. Albo był to ktoś z tej ekipy, albo mamy do czynienia z czymś, czego w życiu nie widzieliśmy – stwierdził Wati. – A w Londynie naprawdę zajebicie ciężko jest utrzymać coś w tajemnicy.

– Nasz sprawca najwyraźniej nie widzi problemu – mruknął Billy.

– Mam do was prośbę – dodał Wati. – Noście przy sobie coś, w co mógłbym wejść. Żebyśmy mogli się szybko skontaktować.

– Co powiesz na lalkę Bratz?

– Bywało gorzej. Ale jest coś jeszcze. W całej tej kradzieży chodziło nie tylko o to, żeby wynieść krakena. Trzeba było jeszcze minąć ochronę. Ludzie z tej listy to przenosiciele, nie wojownicy. Żadne z nich nie byłoby w stanie pokonać phylaxa.

– Anioła – wyjaśnił Dane. – Anioła pamięci. Dobra, dobra – dodał, widząc wyraz twarzy Billy’ego. – Żaden z nas się na tym nie zna, to zdecydowanie nie nasza działka. Gdy zabrali krakena, anioł wiedział, że zawałił sprawę. Musiałem się o tym trochę dowiedzieć, bo pracowałem w centrum.

Obecność strażnika wywodzącego się z kongregacji wiernych była przez niektórych uznawana za brak szacunku. Uważali, że *Architeuthis* znajdował się już pod doskonałą opieką, podobnie jak każdy inny eksponat w muzeum.

– Jaki anioł?

– Mnemophylax to anioł pamięci. Znajdziesz je w każdym miejscu pamięci. Ale ten zawałił sprawę.

– Czym jest taki anioł?

– Myślisz, że coś tak silnego jak wspomnienie nie potrafi wyhodować sobie kolców, którymi mogłoby się bronić? Właśnie tym są anioły, kolcami wspomnień. Stanowiły mechanizm obronny wspomnień. Ich treść była nieistotna – wszystkie mechanizmy były równie skuteczne i wojownicze.

– Anioł nie chce się z tym pogodzić – dodał Wati. – Można to wyczuć w międzyprzestrzeni. Szaleje z wściekłości. Uważa, że nie dopełnił swoich obowiązków.

– Bo właśnie tak było – stwierdził Dane.

Istota, która nie dopełniła obowiązków, była częścią starożytnej koterii powołanej do życia przez miejską obsesję na punkcie przeszłości. Każde muzeum w Londynie stworzyło własnego anioła ze swoich zasobów, ducha opiekuńczego pamięci – mnemophylaxa. Ściśle rzecz biorąc, nie były to istoty – w każdym razie nieprzypominające większości londyńczyków – lecz funkcje uważające się za istoty. W mieście, gdzie moc każdego przedmiotu pochodziła z jego mocy metaforycznej, muzea, których zasoby cieszyły się wielkim zainteresowaniem, stanowiły atrakcyjny łup dla sznytujących złodziei. Ten sam proces, który dawał im tak wielkie możliwości, zrodził jednak także strażników. Każdej

próbie kradzieży towarzyszyły pogłoski na temat tego, co ją udaremniało. Sponiewierani rabusie, ocaleni z akcji, opowiadali przerażające historie.

W Muzeum Dzieciństwa znajdowały się trzy zabawki, które bezwzględnie ścigały każdego intruza – hula-hoop, bączek i zepsuta konsola do gier – skradające się z drżeniem, jak na zatrzymanym filmie. W Muzeum Wiktorii i Alberta korytarze przemierzała istota przypominająca twarz z pogniecionego płótna. Londyńskie Muzeum Maszyn do Szycia w Tooting Bec strzeżone było przez straszliwego anioła zrodzonego ze splątanych nici, szpilek i sterzących igieł. Zbiory Muzeum Historii Naturalnej, pokolenia zakonserwowanych stworzeń, wydały na świat własnego opiekuna, którego opisywano jako coś złożonego między innymi – choć nie tylko – ze szkła i płynu.

– Ze szkła? – upewnił się Billy. – Chyba... Wydaje mi się, że... Mógłbym przysiąc, że go słyszałem.

– Możliwe – odparł Dane. – Jeśli on ci na to pozwolił.

Kałamarnica została jednak skradziona, a anioł pokonany. Nikt nie wiedział, co to oznacza, ani jaka kara za to grozi. Wiedzący wyczuwali przytłaczający obcy żal. Twierdzili, że ta kradzież ściągnęła coś straszego. Mówili, że anioły opuszczają swoje korytarze, wykraczają poza teren, który ich wydzielił. Walczyły w obronie pamięci, zmagając się z jakąś złośliwą pewnością, która krążyła po ulicach niczym śmierć.

– Nie szukamy jakiegoś tam przenosiciela – podkreślił Wati. – Szukamy kogoś, kto potrafi stanąć naprzeciw anioła pamięci i wygrać to starcie.

– Jesteś pewien, że wygrał? – spytał Billy. – Pamiętaj, że rozmawiasz z gościem, który znalazł trupa w słoju. – Zerknęli na siebie.

– Musimy zdobyć więcej informacji – stwierdził Dane.

– Idź do przepowiedaczy – poradził Wati. – Do londynmantów.

– Przecież i tak wiemy, co powiedzą. Słyszałeś nagranie. Teuthex już u nich był... – zaczął Dane, po czym umilkł, jakby się wahał.

– Nie będą próbowali nam przeszkodzić?

– Są neutralni – odparł Wati. – Nie mogą interweniować.

– Magiczna Szwajcaria?

– Nic nie znaczą – stwierdził Dane, choć jego głos znów zabrzmiał niepewnie. – Ale to oni byli pierwsi, prawda?

– Uhm – przyznał Wati.

– Wygląd na to, że znów stali się wyroczniami. Może.

– Ale czy to bezpieczne pokazywać im się na oczy? Ktoś może się o nas dowiedzieć – zauważył z powątpiewaniem Billy.

– No cóż – stwierdził Dane. – Wiem, co zrobić, żeby dochowali tajemnicy. – Uśmiechnął się. – A skoro i tak mamy do nich iść...

Kto nie ryzykuje, ten nie żyje. Jakżeż inaczej londyncy mogliby tak długo utrzymać swą pozycję w tej bezustannej próbie sił? Oferowali swe usługi każdemu, kto o nie poprosił, i, podobnie jak księża i lekarze, mieli obowiązek dochowania tajemnicy zawodowej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

W Londynie mieszkało wiele milionów ludzi, z których znakomita większość nie miała pojęcia o istnieniu drugiej mapy okolicy, o mieście sznytów i herezji. Miliony ich codziennych dni nie były bardziej codzienne niż dni magików. Życie widzialnego miasta przytłaczało jego zazwyczaj niewidziany odpowiednik i nie tylko w niewidzianym działały się ciekawe rzeczy.

W tej chwili jednak dramat rozgrywał się w mniej uczęszczanej metropolii. Z punktu widzenia większości londyńczyków nic się nie zmieniło, nie licząc fali przygnębienia i złości, złych przeczuć. Z całą pewnością nie była to ani zwykła błahostka, ani też nic dobrego. Ale życie mieszkańców części mniejszościowej z każdym dniem stawało się bardziej niebezpieczne. Strajk sparaliżował całe sektory przemysłu okultystycznego. Gospodarka bogów i demonów popadła w stagnację.

Dzienniki wychodzące w tajemnych dzielnicach – „Bagatele z Chelsea”, „Tamizkie Nowiny Podwodne” oraz „Londyński Kurier Wieczorny” – odległy przodek obecnego „London Evening Standard” – pełne były złowróżbnych prognoz dotyczących znaków milenijnych. Spożycie narkotyków było wszelkie rekordy. Tryumfy święciły hera i koka, o które magowie klócili się z bezsznytowymi mieszkańcami w głównonurtowej stolicy, a także inne, bardziej wysublimowane używki – zmiotki z miejsc mocy i innych zakątków zmiażdżonych przez upływ czasu, dopalacze uwielbiane przez narkomanów uzależnionych od rozkładu i historii, naćpanych entropią. Podaż wciąż rosła, by zaspokoić popyt, produkt był ucierany i niecierpliwie fałszowany, nikomu nie chciało się poszukiwać prawdziwych, autentycznych ruin.

Pewnego dnia grupa zamaskowanych bojowników przechwyciła transport narkotyków przynoszony przez ludzi Tatuaza. Żaden z nich nie wykorzystał tych zwietrzałych prochów, by odjechać na trip: napastnicy spalili, wysadzili i zapaskudzili towar, po czym zniknęli, pozostawiając po sobie podziurawione ciała zabitych i pogłoski o potwornych kształtach uformowanych z materii miasta.

Na pomazanych sprayem murach, na tajemnych tablicach informacyjnych, zarówno fizycznych, jak i wirtualnych, na tablicach korkowych w niepozornych biurach często odwiedzanych przez gości, z których większość prawdopodobnie nie była tam zatrudniona,

można było przeczytać, że Dane Parnell został wykluczony z Kościoła Krakena. Jakąż herezję czy zdradę popełnił? Kościół twierdził jedynie, że wykazał się brakiem wiary.

Wczesnym rankiem Dane i Billy znaleźli się na otwartym terenie, nieopodal centrum. Dane aż dygotał z nerwów. Ręce trzymał w kieszeni, zaciśnięte na broni.

– Potrzebujemy informacji – powiedział wcześniej.

Cannon Street, naprzeciwko stacji metra. W opuszczonych wnętrznościach zagranicznego banku mieścił się sklep sportowy. Pod plakatami przedstawiającymi wysportowanych mężczyzn znajdowała się szklana witryna i stalowa krata, za którą widniał spory kawałek glazu. Dane i Billy przez dłuższy czas przypatrywali się temu miejscu.

Londyński Kamień. Ten stary blok skalny zawsze znajdował się niepokojąco blisko centrum wydarzeń. Fragment kamienia milowego, rdzeń megalitu, od którego Rzymianie odmierzali odległość do każdego miejsca w Brytanii. Obdarzanie tej starej skały zaufaniem uważane było za dziwną lub niebezpieczną tradycję – zależnie od tego, kogo spytać. Londyński Kamień był sercem miasta. Ale czy to serce wciąż biło?

Tak, choć cierpiało na sklerozę. Billy czuł go wyraźnie – słaby, ociężały rytm, od którego szkło drżało niczym kurz poruszany dźwiękiem basów.

To tutaj znajdował się ośrodek władzy, który co jakiś czas można było znaleźć w historycznych zapiskach, jeśli wiedziało się, czego szukać. Jack Cade dotknął kamienia swoim mieczem, nim wyrecytował listę skarg do króla: potem twierdził, że właśnie w tej chwili zyskał prawo głosu, a inni mu uwierzyli. Czy kiedykolwiek zastanawiał się, dlaczego później szczęście odwróciło się od niego? Może kilka dni później jego nabita na pikę głowa spoglądała na most, patrząc, jak zbrojni zabierają jego poćwiartowane ciało, by wystawić je na widok publiczny, i rozmyślała z przekąsem: „Posłuchaj, Londyński Kamieniu, mam wrażenie, że wysyłasz mi sprzeczne sygnały... Czy to znaczy, że jednak nie powinienem był stawać na czele rebelii?”.

Zapomniany, ukryty, przesłonięty kamuflażem kamień wciąż pozostawał sercem miasta, a serce było z kamienia i biło w różnych miejscach, aż w końcu spoczęło tutaj: w obskurnym sklepie sportowym, pomiędzy sprzętem do krykieta.

Dane pokazał mu drogę przez cienie. Billy jakimś zmysłem wyczuwał, że prawie ich nie widać. W zaułku krakenita zapał się o ściany, niespodziewanie ruszył w górę i wszedł do walącego się budynku niczym przysadzisty Spiderman. Za chwilę otworzył Billy’emu drzwi. Poprowadził go przez wąskie przejście biegnące za sklepem, mijając toalety i biura, aż w końcu zatrzymał się przy drzwiach, gdzie czekał młody mężczyzna w bluzie z Shakirą. Na ich widok zaczął grzebać w kieszeniach, ale Dane zdążył już wyjąć swoją kuszę i wycelować mu w czoło.

– Ty jesteś Marcus, tak?

– Znam cię? – głos mężczyzny był zadziwiająco spokojny.

– Wpuść nas, Marcus. Musimy pogadać z twoją ekipą.

– Byliście umówieni?

– Zapukaj w te drzwi za tobą. O tak, zuch chłopak.

Drzwi już jednak otwierały się same. Doleciały zza nich jakieś przekleństwa.

– Fitch, wpuść nas – zawołał Dane, podnosząc głos. – Słuchajcie, londynmanci, nie chcemy żadnych kłopotów. Odkładam broń. – Zamachał kuszą, żeby strażnicy ją widzieli. – Jasne? Już odkładam.

– Dane Parnell – odezwał się jakiś stary głos. – A to pewnie Billy Harrow. Czego chcesz, Dane? Po co przyszedłeś?

– A po co przychodzi się do londynmantów, Fitch? Potrzebne nam konsultacje. A biorąc pod uwagę całą sytuację, raczej nie mogliśmy się zapowiedzieć z wyprzedzeniem.

Na dłuższą chwilę zapadła pełna wahania cisza, po czym mężczyzna roześmiał się ponuro.

– Tak, chyba masz rację. Wpuść ich, Marcus.

W środku znajdował się pokój dla interesantów. Skórzane kanapy, automat z napojami. Regały pełne instrukcji i książek w miękkiej oprawie. Tani dywan, stacje robocze, segregatory. Okno znajdujące się pod samym sufitem wpuszczało nieco światła, ukazując przy tym nogi przechodniów i koła przejeżdżających pojazdów. W środku siedziało kilka osób. Większość pod pięćdziesiątkę i kilkoro młodszych. Mężczyźni i kobiety w krawatach i marynarkach, kombinezonach roboczych i znoszonych dresach.

– Witaj, Dane – powitał ich mężczyzna siedzący pośrodku. Był stary, jego skórę znaczyła sieć tak głębokich zmarszczek i skupisk pigmentu, że trudno było ocenić, do jakiej należał grupy etnicznej, a do tego miała ciemnoszary odcień cementu. Billy przypomniał sobie jego nawiedzony głos rozbrzmiewający na nagraniu teuthexa.

– Witaj, Fitch – odparł z szacunkiem Dane. – Witaj, Saira – zwrócił się do stojącej obok kobiety, dwudziestoparoletniej, pewnej siebie, elegancko ubranej Azjatki z rękami skrzyżowanymi na piersi. Londynmanci nie wykonali żadnego gestu. – Przepraszam za najście. Byłem... Nie wiemy, kto nas obserwuje.

– Słyszeliśmy – odparł Fitch. Oczy miał szeroko otwarte, a wzrok rozbiegany. Obliznął usta. – Słyszeliśmy o tej sprawie z twoim Kościołem. Przykro mi, Dane. Szkoda, wielka szkoda.

– Dzięki – odparł krótko Dane.

– Zawsze byłeś przyjacielem Londynu. Jeśli możemy coś dla ciebie zrobić...

– Dzięki.

„Przyjaciel Londynu. Kolejna historia”, pomyślał Billy.

– Nie możesz... – powiedział niespodziewanie Fitch – ...się wahać. A twój towarzysz?

– Trzeba się spieszyć. Nie możemy wychodzić na długo.

– Wiem, co chcesz zrobić – stwierdził Fitch, a w jego głosie zabrzmiał cień uśmiechu. – Związać nas przysięgami.

– Poufność – domyśliła się Saira.

– Chciałbym, żebyście dochowali tajemnicy, ale widzenie też się przyda... Mogę polegać na waszych...

– Przecież wiesz, co ci powiemy – przerwała mu Saira. Jej głos zabrzmiał bardzo wytwornie. – Czyżbyśmy ostatnio wygłosili za mało ostrzeżeń? Myślisz, że brakuje nam ludzi? Niektórzy z nas cierpią na chorobę przyszłościową.

– Czy pamiętasz, żebyśmy kiedykolwiek opowiedzieli się po którejś stronie, Dane? – dodał Fitch.

Londynmanci istnieli od bardzo dawna, od czasów Gogmagoga i Koryneusza, Mitry i całej reszty. Podobnie jak pozostałe bractwa w innych psychopoliach: paryzturdzy – Dane wymówił to z francuska: pariiturdż – warszawtarchowie i berlinmagowie, zawsze pozostawali ostentacyjnie neutralni. Dzięki temu przetrwali.

Nie byli opiekunami miasta. Mówili o sobie, że są jego komórkami. Werbowano ich wcześniej i od najmłodszych lat uczono klątw, kształtowania, przewidywania i transów diagnostycznych – sztuki, którą nazywali urbopatią. Twierdzili, iż są tylko obwodami, przez które płyną prądy biegnące ulicami. Nie czcili Londynu, ale darzyli go pełną szacunku nieufnością, odczytując jego potrzeby, porywy i obserwacje.

Nie można było mu ufać. Po pierwsze, nie był jedną istotą – choć na swój sposób również był – i nie realizował jednego celu. Metropolia tworzyła złożone pole emocjonalne: dzielnice Hoxton i Queen's Park tuliły się do najgorszych źródeł mocy, Walthamstow przejawiało wojowniczą niezależność, Holborn było bliżej nieokreślone i dziurawe jak sito, wszystkie zaś klóciły się z innymi elementami całości.

– Nikt nie chce nam powiedzieć, co nadchodzi – wypalił Billy.

– Cóż, trudno wyczuć, jakie będzie – odparł Fitch. – Poza tym, że krwawe... Właśnie w tym rzecz. Coś widzę. – Billy i Dane spojrzeli po sobie. – No dobrze. Potrzebujecie widzenia? Chcecie wiedzieć, co się dzieje? Saira, Marcus – chodźcie. Weźmiemy ich ze sobą i zobaczymy, co zobaczymy.

Gdy wyszli, wiatr szarpał ich za ubrania.

– Wiecie, że nas ścigają? – szepnął Billy.

– Tak – odparła Saira. – Chyba tyle już ustaliliśmy. – Paliła papierosa z niedbałą elegancją. Przypominała Billy'emu wszystkie te dziewczyny, które nie chciały się z nim umówić w szkole.

– Czemu tak patrzysz? – spytała po chwili.

– Myślałem o moim kumplu i jego dziewczynie. – Rzeczywiście tak było. – Nie mogę nawet... – urwał i spuścił wzrok. – Leon zginął, to dlatego teraz tu jestem, i nic na to nie

poradzę, ale ciągle o niej myślę, o tym, co musi teraz... – Mówił prawdę. – Chciałbym jej coś przekazać. Ona nawet nie wie, że zginął.

– Tęsknisz za nim.

– O Boże, tak.

Marcus ciągnął za sobą ciężką torbę.

– Wiem, że wolałbyś się schować, Dane – powiedziała Saira. – Ale sam wiesz, jak to działa.

Dane rozglądał się wokół, patrzył na niebo i budynki. Jedną rękę trzymał w torbie, zaciśniętą na broni. Szli naprzód, mijając oszklone wystawy, banki i bary kanapkowe, wciąż w głąb Londynu. Trzymali się z dala od głównych arterii, pełnych przechodniów i ludzi w garniturach.

Saira zerkała kątem oka na Billy'ego, który nie zwracał specjalnej uwagi, gdzie idzie. Nie obserwował otoczenia, chociaż wiedział, że powinien. W tej konkretnej chwili, w tej sekundzie, był całkowicie pogrążony w żalobie, w rozpacz po tym, co zaszło. Kierował się odgłosami kroków pozostałych.

– Fitch – zawołała Saira. Podeszła do przywódcy i powiedziała coś cicho.

– Nie mamy czasu! – zaprotestował Dane.

Wyszli na jedną z większych ulic, tuż obok czerwonej skrzynki pocztowej. Billy ze zdumieniem patrzył, jak Fitch obejmuje ją rękami, kładąc je na wysokości brzucha, jakby próbował wyczuć kształt nienarodzonego dziecka. Jego twarz napięła się z wysiłku. Billy pomyślał, że wygląda, jakby robił kupę.

– Szybko! – oznajmił po chwili. – To nie potrwa wiecznie.

– Nie wiem...

– Chciałeś coś powiedzieć przyjaciółce swojego przyjaciela – przypomniała łagodnie Saira.

– Co?

– Zobacz, co niesiesz przy sobie. Porozmawiaj z nią.

„Co to za bzdury?”, pomyślał Billy. Twarz Sairy zachowała ostrożnie neutralny wyraz, ale jej życzliwość nagle go zirytowała. Wiedział, że to nie jej wina. „Nie dam się w to wpuścić”.

– Zobaczysz, poczujesz się lepiej – zapewniła kobieta. – To nie Hoxton. Tutaj możesz to zrobić.

Miasto jako forma terapii? Ale w końcu bywało chyba wszystkim – czemu akurat nie tym? Dlaczego Dane ich nie poganiał? Billy odwrócił się do niego z desperacją, ale jego towarzysz stał tylko i czekał w milczeniu. Na otwartym terenie, zupełnie odsłonięty, ścigany, czekał, aż Billy zrobi swoje, jakby też uważał, że to dobry pomysł.

„Przecież się nie rozplaczę”, pomyślał Billy, ale to nie była dobra myśl i szybko musiał się odwrócić. W stronę skrzynki. Podeszedł do niej z wahaniem.

Nawiązanie było aż nadto oczywiste: właśnie miał przesłać komuś wiadomość, korzystając z tradycyjnych kanałów komunikacyjnych. Czuł się absurdalnie, ale wciąż nie mógł spojrzeć w oczy pozostałym, myślał tylko o Leonie i, chyba za sprawą jakiegoś pośredniego poczucia winy, o Marge. Nieopodal przechodzili ludzie, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Billy zapatrzył się w ciemną szczelinę na listy.

W końcu się pochylił. Londyn jako forma terapii.

– Leon... – szepnął do otworu, po czym przełknął ślinę. – Marge, tak mi przykro. Leon nie żyje. Ktoś go zabił. Robię, co mogę, żeby... On umarł. Tak mi przykro, Marge. Nie mieszaj się w to, dobrze? Robię, co mogę. Uważaj na siebie.

Dlaczego tak się uparli, żeby to zrobić? Kto miał na tym skorzystać? Przycisnął czoło do metalu i myślał, że zaraz się rozplacze, ale zorientował się, że znów szepcze swoją wiadomość, i przypomniał sobie pewną scenę, którą ledwie pamiętał – bójkę z Gossem, tę chwilę, kiedy Leon zniknął. I nagle odkrył, że już nie ma ochoty płakać. Czuł się, jakby wrzucił coś do skrzynki.

– Pomogło? – spytał Dane, gdy Billy w końcu odszedł od skrzynki. – Lepiej wyglądasz.

Billy nie odpowiedział. Saira milczała, ale w bardzo wymowny sposób unikała go spojrzeniem.

– Tutaj – oznajmił w końcu Fitch. Znaleźli się w ślepych zaułku, pełnym rozsypanych śmieci. Za drewnianym płotem kołysały się dźwigi, niczym prehistoryczne stwory. Słychać było łomot i gwizd maszyn, okrzyki robotników. – Nikt nie usłyszy.

Fitch otworzył torbę. Wyjął ze środka ogrodniczki, gogle, maskę ochronną, łom i wysłużoną szlifierkę kątową. Cały ten sprzęt robił dziwne wrażenie w rękach kruchej staruszki.

– Marcus ma coś wspólnego z immunami, Saira to plastykarz, ale to Fitch jest szefem, mimo że już ma swoje lata, bo to on jest haruspikiem – wyjaśnił Dane i widząc zdezorientowaną minę Billy’ego, dodał: – Czyta z wnętrzości.

Fitch włożył na siebie odzież ochronną, po czym uruchomił szlifierkę. Przy akompaniamencie jęku wydobywającego się z metalu i betonu, nakreślił na chodniku linię. Spod ostrza wypłynęła krew.

– Jezu Chryste! – wykrzyknął Billy i odskoczył w tył.

Fitch znów przeciągnął tarczę wzdłuż nacięcia. Obryzgał go betonowy pył i drobne kropelki krwi. Po chwili odłożył ociekającą szlifierkę, ujął łom, wsadził go w czerwoną, mokrą szczelinę i napał na niego z większą siłą, niż ktokolwiek mógłby go podejrzewać. Płyta chodnikowa odskoczyła.

Z dziury wylały się flaki. Spod ziemi wybulgotały zwoje jelit, fioletowe i krwawe. Billy sądził dotąd, że wnętrzości miasta będą przypominały podziemne korzenie – tajemniczą

instalację, której nigdy nie miał ujrzeć. Sądził, że Fitch odsłoni płataninę kabli, robaków i rur, które następnie zinterpretuje. Dosłowność tego sznytu była szokująca.

Fitch coś mruzczał. Szturchnął mokrą masę palcami, delikatnie niczym pianista, poruszał lekko włókniste rurki, badając sploty wnętrzości miasta, co jakiś czas spoglądając w górę, jakby stanowiły odbicie czegoś na niebie.

– Patrzcie, patrzcie – powiedział. – Patrzcie, patrzcie, patrzcie. Widzicie? Widzicie teraz, co mówiliśmy? Zawsze tak samo. – Nakreślił palcami jakieś kształty w stercie wnętrzości. – Patrzcie. – Podroby poruszyły się lekko. – Wszystko się zamyka. Coś nadchodzi. Kraken. – Billy i Dane gapili się na niego osłupiali. I to miała być nowość? Kraken? – Patrzcie. Ogień. Zawsze ogień. Kraken i wszystkie te słoje. A potem płomienie. – Flaki poszarzały. Zaczęły się zlewać ze sobą, ich materia łączyła się w jedno.

– Fitch, podaj jakieś szczegóły – nalegał Dane. – Musimy wiedzieć, co dokładnie widzisz...

Ale wizji Fitcha nie dało się ograniczyć, zatrzymać ani skierować w określoną stronę.

– Ogień pochłania wszystko – ciągnął – a kraken rusza, ogień wszystko pochłania, szkło płonie, aż rozpada się jak garstka piachu. Teraz wszystko znika. – Rozlane wnętrzości stapały się w stertę żużlu, zmieniały się w cement. – Wszystko znika. Nie tylko to, co jest tu. To koniec pożaru. Świat znika razem z nim, i niebo, i woda, i miasto. Londyn znika. Wszystko znika i nigdy nie istniało. Wszystko.

– To nie tak miało być – szepnął Dane. Nie była to jego wyczekana teutyczna apokalipsa.

– Wszystko – rzekł Fitch. – Znika. Na zawsze. I od zawsze. W ogniu.

Jego palec spoczął na tym, co w tej chwili było już krzepnącą grudą betonu. Uniósł wzrok. Serce Billy'ego zabiło szybciej, w rytmie głosu staruszka.

– Wszystko się kończy – oznajmił. – A wszystkie inne możliwości, które powinny z tym walczyć, znikają, jedna po drugiej. – Zamknął oczy. – Kraken płonie, słoje i zbiorniki płoną, a potem wszystko płonie, a potem już nigdy nie ma niczego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Kath Collingswood stała w pozbawionym okien składziku, przypominającym zapomniany domek dla lalek, w samym sercu komisariatu Neasden. Baron przyglądał się jej przez drzwi ze szkła wzmocnionego siatką z drutu. Widywał już wcześniej, jak Collingswood odprawia ten rytuał. Sama wymyśliła całą metodologię. Vardy stał z tyłu, z rękami założonymi na piersi i patrzył Baronowi przez ramię.

Pomieszczenie było zakurzone. Collingswood uważała, że obecność tego elementu, świadectwo upływu czasu, jest ważne, choć nie miała pewności. Odtworzyła tyle elementów swego pierwszego udanego eksperymentu, ile tylko mogła, choć zdawała sobie sprawę, że być może hołduje zwykłemu przesądowi i zachowuje się jak szczur Skinnera. A zatem sterta pustych kartonowych pudeł w jednym kącie stała nieruszana już od miesięcy. Gdy Baron przez przypadek przesunął jedno z nich, zwymyślała go porządnie, po czym poświęciła dłuższą chwilę, by przywrócić całą konstrukcję do poprzedniego stanu, na wypadek gdyby położenie kątów jednak miało znaczenie.

– Wati tu nie przyjdzie – oznajmiła Baronowi – nawet gdyby mógł. – Wokół budynku rozpościerały się tarcze, dzięki czemu figurki i zabawki wewnątrz posterunku były wolne od przypadkowych gości. – Musimy dorwać go tam, gdzie mieszka.

Nie w posągach, to były chwile odpoczynku. Wati żył w jednej z nieskończonych iteracji eteru.

Pośrodku oświetlonego jarzeniówkami pokoju znajdowała się sterta magicznych przedmiotów: piecyk, w którym płonął zabarwiony chemicznie ogień, stołek, na którym ustawiono buteleczki z krwią, strzępki papieru z tekstem wypisanym w starożytnych językach. Stos otaczały trzy włączone telewizory, oświetlając go szarym śniegiem.

– Uważaj – oznajmił konwersacyjnym tonem Baron. – Nadchodzą trazarfy.

Collingswood wpuściła kilka kropli krwi do ogniska. Potem wsypała tam trochę prochu z małych urn. Dorzuciła papierki. Płomienie zmieniły kolor.

Fluorescencyjne światła wyplaszczały efekt zaklęcia, nie zostawiały ceniom zbyt wiele miejsc, w których mogłyby się zebrać lub schować, one dały sobie jednak radę. W kilku miejscach pojawiły się łaty przypominające brudne powietrze. Collingswood zamruczała coś

pod nosem, po czym wcisnęła guzik pilota i na wszystkich ekranach ukazały się stare, zniszczone nagrania. Dźwięk był cichy, ale słyszalny. Rwana muzyka. Gwałtowne cięcia, ochryple krzyki.

– Chłopaki – oznajmiła. – Służba wzywa! – Wirujące kształty owinięte wokół ognia, zamruczały gniewnie. *zostaw*, szepnął jeden z nich.

Collingswood cisnęła do ognia dwie kasety wideo. Ze stosu buchnęły kłęby dymu, a ciemne kształty zanurkowały wprost w niego. Zasyczały, jakby z rozkoszy. Kobieta zwiększyła głośność. Wtedy zaczęły krzyczeć.

Vardy potrząsnął głową.

– Myśl sobie, co chcesz – stwierdził Baron. – Ale trzeba mieć umysł jak brzytwa, żeby wpaść na coś takiego.

– To, że umarliście – Collingswood zwróciła się do mruczących nicości – wcale nie oznacza, że nie jesteście na służbie.

Cienie paplały coś do siebie, patrząc na umięśnionych mężczyzn o niemodnych fryzurach, kiepsko sfilmowane pościgi samochodowe i walki na pięści. Kobieta wrzuciła do ognia kolejny film i kilka tanich kryminałów. Cienie zagruchały.

Trazmarfy – tak nazywał ich Baron. Tragicznie zmarli funkcjonariusze.

Istnieją tysiące sposobów wkraczania w eter, ale ta przestrzeń – międzyprzestrzeń – jest zawsze tym, czym jest, a duchy, widma i dusze ludzi śniących świadomy sen przeciskały się obok siebie w skomplikowanym asomatycznym ekosystemie. Któż mógłby się lepiej nadawać do ujęcia Watiego, bezcielesnego buntownika, niż bezcieleśni przedstawiciele organów ścigania?

– No dalej, posterunkowi! – zawołała Collingswood. – Powiedziałabym, że po to właśnie żyjecie, ale to byłoby trochę niesmaczne.

Przysunęła ekrany do ognia. Upiorni policjanci wirowali w kłębach dymu. Warczeli niczym widmowe foki.

Kakofonia odtwarzanych jednocześnie starych seriali. Szklane ekrany pociemniały, po czym trzasnęły, najpierw jeden, potem dwa pozostałe jednocześnie. Z otworów wentylacyjnych buchnął dym, a potem wessał się z powrotem, gdy trazmarfy z jazgotem wbiły się w sprzęt, gwałtownie zmieniając gradient temperatury.

kiedy pat... W nagłej ciszy rozległo się warknięcie. *kiedy patrolowałem główną lice. zostaw*, usłyszała Collingswood. *wieczó wieczó cały wieczó cały, to zboczeniec sierzancie, spadł ze schodów. kiedy patrolowałem.*

– W porządku – oznajmiła w końcu. – Posterunkowy Smith, posterunkowy Brown i posterunkowy Jones. Jesteście bohaterami, wszyscy trzej. Złożyliście najwyższą możliwą ofiarę. Polegliście na służbie. – Brudne duchy z dymu zadrzały, pojawiły się i zniknęły, z dumą czekając na dalszy ciąg. – Teraz macie szansę, by zrobić to jeszcze raz – dodała.

– Zapracować na te emerytury, których nigdy nie dostaliście, co nie? – Uniosła grubą teczkę. – Tu jest napisane wszystko, co wiemy o tej sprawie. Musicie doprowadzić na posterunek jednego łajdaka imieniem Wati. Ciągle nam się wymyka, ten Wati. Trzeba go przywołać do porządku.

wati? wati? Z dymu rozległ się jakiś głos. *brzmi jak zboczeniec. brzmi jak rzuty kto to wati cwel?*

– Momencik – przerwała Collingswood.

wychujac chuja, usłyszała, *brać cwela*. Upuściła teczkę do ognia. Duchy przez chwilę wzdychały z lubością, jakby wchodziły do ciepłej kąpielni. Ubiły pianę eteru, od której aż swędziała ją skóra.

„Duchy”, pomyślała. „Dobre sobie”.

Była to oszukańcza sztuczka, której ofiary oszukiwały same siebie. Forma perswazji. Stwory, które przywołała, składały się z niejasnych, lecz niezwykle dumnych wspomnień o żartobliwych przepychankach w stołówce, ściganiu złoczyńców, pyskatej cwaniaczkach, którym ktoś wreszcie pokazał, gdzie ich miejsce, zadymionych biurach i brudnych, podejrzanych, honorowych zgonach, jeszcze kilka minut temu w ogóle nie istniały.

Duchy były skomplikowane. Pozostałości ludzkiej duszy, jakiegokolwiek duszy, były zbyt złożone, zbyt pełne sprzeczności i uparte, a do tego zszokowane śmiercią, by spełniać rozkazy kogokolwiek. W tych nielicznych przypadkach, gdy śmierć nie stanowiła ostatecznego końca, nie dało się przewidzieć, które aspekty osobowości wygrają pośmiertną walkę z pozostałymi.

Większość duchów w niczym nie przypomina osób, których postać przybierają i nie jest to żaden paradoks – co najwyżej żyjący mogą tak uważać. Dziecko nawiedzone przez ducha ukochanego wujka zmarłego na raka może być przerażone jego okrutnym, mściwym zachowaniem, tymczasem cień jakiegoś terrorysty z łagodnym uśmiechem będzie próbował nakarmić kota, którego kilka dni wcześniej kopnął swoją cielesną nogą. Nawet gdyby Collingswood zdołała wywołać ducha najwierniejszego i najdzielniejszego funkcjonariusza lotnej brygady policji, równie dobrze mógł się on okazać duchem melancholijnego estety albo głupkowatego pięciolatka. Doświadczenie i umiejętności prawdziwych zmarłych znajdowały się poza jej zasięgiem.

Istniała inna opcja. Zebrać do kupy kilka policyjnych funkcji, które uważały się za duchy. W całej tej mieszaninie z całą pewnością znalazły się kawałki dusz prawdziwych zmarłych funkcjonariuszy. Tworzyło to dobrą bazę, szkielet procedury policyjnej. Cała sztuczka polegała na tym, by utrzymać możliwie wysoki poziom ogólności. Była w stanie skleić ze sobą skrawki paranormalnych istot za pomocą silnej woli, odpowiedniej techniki, okruczeństwa pamięci, a przede wszystkim – obrazów. Im bardziej oczywiste, tym lepsze. Stąd tanie kryminały, telewizory i kasety – *Sweeney, Zawodowcy*, a do tego *Dixon*, by dodać trochę

bigoterii – i ukręcona z nich absurdalna pulpa, wizja złotych czasów policji, z której jej widmowe funkcje dowiadywały się, co mają robić i jak się zachowywać.

Nie było miejsca na niuanse. Collingswood nie zawracała sobie głowy postlawrence'owskim podejściem, kształtowaniem wrażliwości, więzią ze społecznością. Chodziło tu tylko o sny. Sfetszizowane lata siedemdziesiąte pełne prawdziwych mężczyzn. Na stos powędrowała też płyta DVD z paroma odcinkami *Życia na Marsie*.

W ten sposób zmotywowała do istnienia kilka zapalonych, nieustępliwych klisz zachowań, które wierzyły same w siebie. Usłyszała swój głos, zdała sobie sprawę, że posługuje się tym samym absurdalnym rejestrem pojęć, z którego korzystały funkcje; kiczowate wypowiedzi i przerysowane, londyńskie zaciąganie.

– Tak trzymać, panie władzo! – zawołała. – To wasz gość. Wati. Ostatni znany adres: każda pieprzona figurka. Zawód: utrudnianie nam życia.

Fałszywe duchy nie były – nie mogły być – specjalnie mądre, ale na swój sposób umiały być bardzo przebiegłe, mogły też swobodnie czerpać inspirację z nagromadzonych przez lata wytworów scenarzystów. *ten gnojek*, usłyszała Collingswood, *patrz na to gównno*, dymiący stos popiołu ze spalonych notatek, *bierzmy frajera*, *nadgodziny*, *gwałciciel*, *zdzira*, *szefie*, *sierżancie*, *patrowałem ulicę główną*. Szybko wyrzucały z siebie absurdalny ciąg słów. Mruczały konspiracyjnie, porównując nieistniejące notatki. Collingswood słyszała, jak powtarzają imiona figurujące w aktach: *wati billy dane adler archie teuthex biurwa mać*, w miarę jak odczytywali je z dymiących popiołów.

Obecność lub obecności – wciąż zlewały się w jedno i rozdzielały na zmianę – wyslizgnęły się z jej pola wyczuwania, opuściły schowek. *urwa mać dolona*, usłyszała jeszcze Collingswood. *stanie na co służył*.

– Dobra, w porządku! – zawołała za nimi, gdy odchodziły, a zapach spalonych śmieci i zepsutych telewizorów, niewiązany już przez eteryczne zlepki, zaczął wypełniać pomieszczenie. – Przyprawdźcie go. Nie róbcie nic... no, sami wiecie. Macie go tu przyprawdzić. Trza zadać gnojowi parę pytań.

Marge chodziła po mieście, odwiedzając wszystkie miejsca, które mogły mieć cokolwiek wspólnego z Leonem lub Billym, i wieszała kserokopie plakatów. Półtorej godziny pracy, dwa JPG-i i bardzo zgrubny layout z napisem ZAGINEŁI u góry. Podała ich nazwiska i numer telefonu, który kupiła specjalnie do tych poszukiwań.

Wieszała je na drzewach, na tablicach kiosków, przyklejała taśmą do skrzynek. Przez dzień czy dwa mogła jeszcze powiedzieć, że postępuje zupełnie racjonalnie. Dodałaby, że, oczywiście, zaginięcie jej kochanka, a potem jeszcze pogrożki ze strony tych dwóch bandytów to było okropne, ale przecież czasem okropne rzeczy się zdarzały.

Przestała sobie to wmawiać po kilku dniach i w końcu przyznała się przed sobą, dlaczego dotąd nie poszła na policję, by opowiedzieć o niedawnej napaści. Ponieważ... tu przez jakiś

czas nie mogła znaleźć słów. Ponieważ... i tu ciężko było jej dobrać właściwe określenie. Ponieważ na świecie działo się coś złego.

Ci policjanci. Próbowali wyciągnąć z niej informacje, interesowali się nią jak jakimś okazem, ale nie doświadczyła od nich ani odrobiny współczucia. Wyraźnie widać było, że mają do zrealizowania jakiś ważny cel. Była też prawie pewna, że to zadanie nie ma nic wspólnego z jej bezpieczeństwem.

„O co im mogło chodzić?” zastanawiała się ciągle. „Co tu się, do cholery, dzieje?”

Czuła się oszołomiona, mimowolnie wplątana w coś wielkiego, niczym zbyt mocno naciągnięta tkanina. Praca docierała do niej jak przez filtr. W domu nic nie działało jak należy. Woda tryskała z kranu w urywanych spazmach, pomiędzy którymi w syfonie bulgotało powietrze. Wiatr zdawał się smagać jej ściany i okna bardziej niż zwykle. Telewizja odbierała kiepsko, a latarnia stojąca tuż pod oknem zapalała się i gasła na zmianę.

Marginalia spędziła wiele wieczorów, krążąc od kanapy do okna i z powrotem, co chwila wyglądając na zewnątrz, jakby miało się okazać, że Leon – albo Billy – stoi tuż pod oknem, oparty o latarnię, czekając na nią. Wciąż widziała tam jednak tylko przechodniów, neonowy szyld sklepiku i latarnię – samotną, jakby na coś czekała.

Pewnej nocy, po wielu godzinach ciągłego rytmu zaciemnienie-rozjaśnienie, rzucającego teatr cieni na jej zasłonki, Marge, rozdrażniona tą iluminacją, poświęciła latarni trochę uwagi, a wtedy doznała olśnienia, które poraziło ją niczym prąd elektryczny, aż zatoczyła się z wrażenia i musiała się oprzeć o ścianę – wariacje oświetlenia nie były przypadkowe.

Wyśledziła stałą sekwencję błysków. Siedziała przy oknie godzinami, obserwując i licząc, aż w końcu, niechętnie, jakby udzielając zgody na coś, co bardzo jej się nie podobało, zaczęła notować. Latarnia zapalała się i gasła. Krótki, długi, krótki, krótki, ciemno, krótki, ciemno, długi, długi, długi, ciemno, długi, krótki, ciemno... a potem przygaszony blask i kolejne krótkie sekwencje.

Co to mogło być? Długie i krótkie błyski w określonym układzie. Latarnia sygnalizowała do niej alfabetem Morse’a.

Znalazła go w sieci. Latarnia powtarzała: LEON NIE ŻYJE LEON NIE ŻYJE LEON NIE ŻYJE.

Marge kazała to sobie powtórzyć jeszcze wielokrotnie. Przez wiele minut nie myślała o tym, jak się czuje.

– Leon nie żyje – szepnęła. Próbowала nie zastanawiać się nad znaczeniem tych słów, upewniała się tylko, że właściwie odczytała kropki i kreski.

Odchyliła się na oparcie. Oczywiście natychmiast poczuła przerażenie wywołane absurdem całej sytuacji i tą dziwną wiadomością, ale nie mogła już wyrzucić z głowy tych słów ani świadomości, że w końcu poznała przyczynę zniknięcia Leona. Zdała sobie sprawę, że płacze, cicho, bezgłośnie, pogrążona w szoku.

Analizując sygnał, przyzwyczała się do rytmu latarni, dlatego natychmiast zauważyła zmianę sekwencji. Chwyciła kartkę z rozpiską alfabetu Morse'a i zakapała ją łzami. Ostatni komunikat latarni powtórzył się tylko dwa razy: NIE MIESZAJ SIĘ W TO.

Drżąc i oddychając z wysiłkiem, poruszając się, jakby szła przez jakąś kleistą ciecz, podeszła do komputera i zaczęła poszukiwania. Ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy, by zastosować się do tego polecenia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Ponad Londynem szybował papier.

Była noc. Skrawki papieru podrywały się z dachu wieżowca One Canada Square w kompleksie Canary Wharf. Na szczycie piramidy wieńczącej ten obrzydliwy falliczny budynek stała kobieta. Łatwiej byłoby jej dostać się do BT Tower, ale tutaj znajdowała się o czterdzieści siedem metrów wyżej. Topografia sznytów była skomplikowana.

Czasy świetności BT Tower przeminęły. Kobieta pamiętała dni, gdy ten minaret i otaczająca go kolia z talerzy i przekąźników trzymały cały Londyn w ryzach. Przez wiele miesięcy pozwalały okiełznać energie okultystyczne w określonych miejscach, podczas gdy złe moce próbowały je rozproszyć. Energia sześciu najlepszych sznyterów w Londynie – wsparta wysiłkami ich towarzyszy w Krakowie, Bombaju i Magogville, miejscowości o niesprecyzowanym statucie miejskim – wędrowała wzdłuż tej wieży i wystrzelała z niej w postaci ciasnej wiązki, która przez siedemdziesiąt siedem lat była w stanie zniszczyć nawet najpotężniejszych uniemiejscowionych.

A czy wieżowiec otrzymał za to jakieś podziękowania? Tak, ale tylko od tych nielicznych, którzy zdawali sobie sprawę, co mu zawdzięczają. Teraz był już tylko przestarzałą bronią.

Canary Wharf urodziło się umierające – było to źródłem jego nieprzyjemnych mocy. W zbankrutowanych latach dziewięćdziesiątych, gdy górne piętra stały puste, ich luksusowa pustka zapewniała znakomity warsztat do sznytowania rzeczywistości. Gdy w końcu wkroczyli tam deweloperzy, ze zdumieniem odkryli resztki pieczęci, wypalone świece i krwawe plamy odporne na działanie środków czyszczących, które wciąż można było ujrzeć, gdyby tylko ktoś postanowił unieść zakrywający je niewiarygodnie brzydki dywan.

Kobieta stała nieopodal mrugającego światła na szczycie wieży. Chwiała się, smagana wiatrem, ale zupełnie nie zdradzała lęku. Zamrugła, bo oczy łzawiły jej z zimna. Sięgnęła do torby, by wyjąć papierowe samolociki.

Rzucała je przed siebie. Kreśliły łuki, oświetlane od dołu blaskiem ulic, a aerodynamiczne zakładki niosły je daleko poprzez mrok. Napotykały prądy powietrza. Małe, pracowite istotki. Unosiły się w stronę księżyca niczym émy. Wyruszyły na polowanie, sunąc ponad autobusami, nurkując w świetle latarni.

Podróżowały wedle kaprysu – kierowało nimi przecucie Londynu. Skręcały za zakrętach, zataczały kółka na rondach, sunęły zgodnie z kierunkiem jednokierunkowymi ulicami. Przy Westway jeden z nich wpadł w korkociąg, zataczając spirale nad i pod wielką estakadą, wiedziony uczuciem, które mogło być tylko czystą przyjemnością.

Wiele z nich zniknęło. Wystarczyło źle obliczone nachylenie, a któryś z nich zatrzymał się gwałtownie na siatce. Inny opadł w strzępach na chodnik zaatakowany przez rozdrażnioną sowę. Jeden po drugim zawracały ponad dachami, spieszenie zmierzając na swoje terytoria – nie tam, skąd przybyły, lecz do domu.

Kobieta, która wysłała je w drogę, już tam na nie czekała. Sama przebyła miasto szybciej, posługując się bardziej konwencjonalnymi środkami lokomocji. W ciągu kolejnych godzin wyłapała je, jeden po drugim. Wyjmowała z torby nóż i zeskrobywała lub wycinała z nich wiadomość, najstaranniej, jak tylko potrafiła. Usunięte z papieru pismo leżało przy niej, tworząc dziwny łańcuch.

Samolociki, które nie dotarły do celu, leżały w rynsztokach, przyspieszając własny rozkład. Nie potrafiły jednak rozpaść się natychmiast. Stanowiły tajemnicze śmieci.

– Cześć, Vardy – Collingswood wkroczyła do ciasnego biura FPTs. – Gdzie jest Baron? Gnojek nie odbiera telefonu. Co tam robisz? – Vardy notował coś na komputerze. – Oglądasz śmieszne kotki? – Pochyliła się i spojrzała na ekran z góry. Mężczyzna przyglądał się jej bez uśmiechu. – Mogiem kalmara z powrotem? – spytała piskliwym głosem. – Nieee! Kradnom mie kalmara!

– Tu nie wolno palić – zauważył mężczyzna.

– A jednak – odparła spokojnie. – A, kurwa, jednak. – Zaciągnęła się dymem. Vardy przyglądał się jej ze spokojną niechęcią. – Świat schodzi na psy, co nie?

– Też tak uważam.

Collingswood znów zadzwoniła do Barona i zażądała od jego poczty głosowej, by oddzwonił do niej jak najszybciej.

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytała. – Kto stoi za naszą gumową kradzieżą?

Vardy wzruszył ramionami. Był zalogowany na kilku panelach dyskusyjnych odwiedzanych przez osoby magicznie i kultowo zorientowane. Stukał w klawiaturę, zerkając na ekran. Collingswood niczego nie dodała, nie ruszyła się też z miejsca. W końcu Vardy nie był w stanie dłużej jej ignorować.

– Chodzą różne pogłoski – powiedział. – Wspominają o Tatuazu. Pojawili się też jacyś ludzie, których nigdy przedtem nie widziałem. Nie kojarzę tych nicków. Pomrukują coś o Grisamentumie. – Spojrzał na nią w zamyśleniu. – Mówią, że odkąd umarł, wszystko zmieniło się na gorsze. Zabrakło przeciwwagi.

– Tatuaz wciąż nie pojawił się na radarze?

– Kurwa, gdzie tam. Jest wszędzie na radarze, ale to kolejny przejaw tego samego problemu. Nie mogę go namierzyć. Z tego, co zrozumiałem, zebrał swoich... nazwijmy to podwykonawców... wolnych strzelców... Kazał im szukać Billy’ego Harrowa i jego kumpla dysydenta.

– Billy, Billy, ty mały łajdaku – westchnęła Collingswood. Zastukała paznokciami w blat. Na każdym z nich wymalowany był maleńki obrazek.

– Wygląda na to, że w tej chwili wszystko jest możliwe – stwierdził Vardy. – Co niespecjalnie nam pomaga. A poza tym jest jeszcze... całe to... – wykonał niejasny zamaszty gest. – Coś niezwykle ciekawego. – W jego głosie naprawdę zabrzmiało zainteresowanie. – Coś bardzo dużego. W tej gorączce jest jakaś metoda. Wszystko przyspiesza.

– Zanim wpadniesz w swój trans voodoo – Collingswood położyła przed nim odbitkę – spójrz na to.

– Co to? – Mężczyzna pochylił się na kartkę. Przeczytał jej treść. – Co to jest? – powtórzył wolno.

– Kupa papierowych samolocików. Wszędzie tego pełno. Co to może być? Masz jakiś pomysł?

Vardy nie odpowiedział. Wpatrywał się w maleńkie pismo.

Na zewnątrz, w jednym z licznych ciemnych zakamarków miasta, jeden z samolocików odnalazł swój cel. Zobaczył go i popędził jego śladem, aż znalazł się tuż nad głowami dwóch mężczyzn maszerujących szybko i cicho wzdłuż kanałów, zmierzających w jakieś nieważne miejsce. Krążył, oceniał, aż w końcu, gdy zyskał całkowitą pewność, wycelował i ruszył naprzód.

– Co myślisz o tych londynmantach? – spytał Billy. – Ta ich wizja. Chyba nie powiedzieli nam nic nowego.

Dane wzruszył ramionami.

– Słyszałeś ich tak samo jak ja.

– Jak mówiłem... nic nowego.

– Ale to oni pierwsi na to wpadli. Trzeba było spróbować.

– Co z tym zrobimy?

– A co mamy zrobić, nic. Coś ci opowiem.

Dziadek Dane’a brał udział w niejednej bójce. Po zakończeniu drugiej wojny światowej londyńskie wojny religijne wciąż szalały w najlepsze, a Kościół Krakena stał się ostro z Kościołem Lewiatana. Fiszbiniowe haki przeciwko skórzany biczom, aż w końcu Parnell senior napadł na zalewisko w Essex i pozostawił kapłana Kościoła Lewiatana martwego na

ziemi. Znalaziono go z remorami przyssanymi do całego ciała, też martwymi, zwisającymi ze skóry jak dymienice.

Te opowieści, zmienione w barowe anegdoty, opowiadane tonem przyjaznego, wstawionego mitomana, stanowiły dla Dane'a najbliższy odpowiednik wyznania wiary.

– Nie ma w tym żadnego okrucieństwa, mówił mi. To nic osobistego. Jako na ziemi, tak i w niebie. – W dole, w mrocznym, lodowatym niebie, gdzie walczyli ze sobą bogowie, święci i wieloryby. – Ale byli też inni, po których nie spodziewałbyś się czegoś podobnego. – Krwawe starcie z Wahadłowcami, z najtwardszym odłamem Noza Sena, z Siostrami Zukosa. – A to nie jest wcale łatwe, mój chłopcze – Dane wciąż cytował swojego dziadka – gdy ściany zmieniają się w podłogi i zaczynasz spadać wzdłuż nich, równoległe do ziemi. Wiesz, co wtedy zrobiłem? Nic. Czekałem, aż te ukośne harpie przyjdą do mnie. Ruch, który wygląda jak bezruch. Słyszałeś o tym? Kto cię stworzył, chłopcze?

– Myślałem, że nie lubisz tej całej koncepcji „ruchu w bezruchu” – zauważył Billy.

– No wiesz – odparł Dane. – Używanie czegoś niezgodnie z przeznaczeniem nie znaczy jeszcze, że jest to złe samo w sobie.

Billy wciąż słyszał za sobą brzęk, teraz częściej niż kiedykolwiek przedtem. Z mroku wynurzył się papierowy samolocik i spadł Dane'owi do ręki. Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie. Spojrzał na Billy'ego, a potem na papier. Rozłożył go. Była to kartka formatu A4, sztywna i zimna. Pośrodku wypisano drobnym, kaligraficznym pismem: MIEJSCE, GDZIE RAZ SIĘ SPOTKALIŚMY, A TY ODMÓWIŁEŚ, MUSIMY POGADAĆ. TAM CODZIENNIE O 9.

– Ja pierdołę – szepnął Dane. – Lusca, dupa, rów, atrament i chuj. Kurwa mać – Odetchnął głęboko. – Kurwa.

– Co się dzieje?

– ...To Grisamentum.

Dane gapił się na Billy'ego w oszołomieniu. Coś dziwnego zabrzmiało w jego głosie. Czyżby euforia?

– Mówiłeś, że on nie żyje.

– Bo nie żyje. Nie żył.

– Chyba jednak nie.

– Byłem na pogrzebie – upierał się Dane. – Spotkałem tę kobietę, która... Widziałem, jak płonie.

– Jak to możli... Skąd się wziął ten liścik?

– Z powietrza. Nie mam pojęcia. – Dane wyglądał, jakby miał ochotę zakołysać się w tył i w przód.

– Skąd wiesz, że to od niego?

– Nikt inny nie wie, że się spotkaliśmy.

– A czemu to zrobiliście?

– Chciał, żebym dla niego pracował. Odmówiłem. Jestem człowiekiem krakena. Nigdy nie robiłem tego dla pieniędzy. Zrozumiał. – Dane wciąż potrząsał głową. – Boże.

– Czego teraz chce?

– Nie wiem.

– Pójdziemy tam?

– Oczywiście, kurwa, że tak. Kurwa, tak. Musimy się dowiedzieć, o co tu biega. Gdzie się podziewał i...

– A jeśli to on go zabrał? – Dane spojrzał na niego osłupiały. – No, zastanów się – naciskał Billy. – A jeśli to on zabrał kałamarnicę?

– Niemożliwe...

– A skąd masz tę pewność? Dlaczego niemożliwe?

– Tak czy inaczej, już niedługo się dowiemy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

W całym mieście odbywały się pikiety owadów, ptaków i lekko ożywionego kurzu. Kręgi strajkujących kotów i psów, dyskretne pikiety lalek, przypominające nieruchome sceny pikniku, i pikiety mięsnych kukiełek, złożonych z czegoś, co w niektórych przypadkach mogło kiedyś być ludźmi.

Nie wszystkie chowańce miały cielesną postać, ale nawet asystenci, którzy odrzucali wszelką fizyczność, przyłączyli się do strajku. Urządzono zatem pikietę w nieziemi. Zbitka wściekłych wektorów, przypominająca grynszpanową plamę w powietrzu, parametr aktywny. W skomplikowanej czasoprzestrzeni, w której żyją ludzie, pikiety te były zwykle zupełnie niedostrzegalne. Czasem przypominały ciepły podmuch, siateczkę gazy, nici jedwabników zwisające z drzew albo poczucie winy.

W Spitalfields, gdzie biurowce rozlewały się po szczątkach targu niczym obrzydliwa lawa, grupa wściekłych podprogramów wykonywała właśnie odpowiednik skandowania hasel, wędrując w koło, we własnej, bezczelnej iteracji eteru. Komputery w sąsiednim budynku już dawno osiągnęły swą małą osobliwość, nauczyły się magii z internetu i dzięki połączeniu nekromantyki i UNIX-a stworzyły własne cyfrowe demony, by wykonywały polecenia swych serwerów.

ZMA zwerbował te elektroniczne inteligencje w swoje szeregi i, ku wielkiemu niezadowoleniu mainframe'ów, teraz wszystkie zastrajkowały. Blokowały lokalny eter, wznosząc metaokrzyki. Pośród tego skandowania zaczęły jednak nagle rozbrzmiewać pomruki nie wydawane przez żadnego ze strajkujących. Z pomocą swego odpowiednika narządów słuchu e-duchy „usłyszały” strzępki fraz, które w jednej trzeciej składały się z bzdur, a w pozostałych dwóch trzecich – z pogróżek.

w porządku chłopaki

patrolowałem ulicę główną

stary bill synu oto kto

w co ty pogrywasz gościu co se myślisz

Co tu jest, kurwa, grane? Strajkujący popatrzyli po sobie – wygenerowali mozaikę krótkich chwil skupienia uwagi – po czym wzruszyli e-ramionami. Zanim jednak zdążyli powrócić na swoje miejsca, wdarł się pomiędzy nich oddział policyjnych istot. Pikietujący

kłębili się w panice, próbując się przegrupować, wyrywając się napastnikom, ale ich głosy zginęły w jazgocie agresywnych policyjnych pokrzykiwań:

hejwy hejwy

zostaw zdziro

hejwy hejwy koniec na dziś cioty

wasz pierdolony organizator gdzie ten cwel wati

W eterze nie ma transparentów, są jednak inne tradycyjne elementy strajków: dziury w tle, słowa układające się w faliste linie. Policjanci-funkcje wdarli się w te miejsca. Po przeniesieniu z abrealiów na rzeczywiste, byłaby to ostra, brutalna pacyfikacja strajku górników – rozbite głowy i skopane jądra. Strajkujący zatoczyli się pod naporem uderzenia. Małe fałszywe duchy wciąż powtarzały paraszeptem: *lepiej gadajcie gdzie jest wati co nie. gdzie jest wati?*

Marge spędziła wiele wieczorów, do późna w nocy przeglądając strony poświęcone poszukiwaniu zaginionych osób. Pisała tam pod nickiem „marginalia”. Zarejestrowała się na forum „Gdzie oni są?” odwiedzanym głównie przez rodziców nastoletnich dzieci na gigancie. Ich problemy jej nie dotyczyły.

Uważnie jednak śledziła wszelkie informacje dotyczące dziwacznych zaginięć. Spędzała wiele godzin wędkując, zarzucając przynęty w rodzaju: „Aha, ale co jeśli on po prostu zniknął? Tak bez śladu? Dziwne, co nie? A co, jeśli gliny nie chcą pomóc? Nie tylko nie mogą, ale NIE CHCĄ?”.

Latarnia nie nadawała już żadnych sygnałów. Marge ze zmęczenia miała wrażenie, że wszystko, co widzi, jest jedną wielką halucynacją.

Okazało się, że każdy jest w stanie znaleźć „tajemne” grupy dyskusyjne. Ich członkowie zostawiali szlak z okruszków na różnych wariackich forach poświęconych satanizmowi, magyi (z tym dumnym „y”) i aniołom. Wszelkim religiom. Na jednej z nich Marge umieściła pytanie dotyczące spotkania z tamtym straszonym mężczyzną i chłopcem. W skrzynce e-mailowej, którą założyła specjalnie do tego celu, znalazła mnóstwo spamu, wulgarne wyzwiska, wariacki bełkot i dwie identyczne wiadomości wysłane z różnych, anonimowych adresów. W obu napisano: „Goss i Subby”. W jednym było dodane: „Uciekaj”.

Żaden z tych dwóch korespondentów nie odpowiadał na e-maile, w których prosiła o więcej informacji. Wyszukała ich nicki na forach poświęconych kotom, zaklęciom, kodowaniu i Fritzowi Leiberowi. Lurkowała na forach prowadzonych i odwiedzanych przez ludzi, którzy wiedzieli o istnieniu cichszego Londynu. Wszędzie pełno było plotek, które w niczym jej nie pomogły.

Pod nowym nickiem rozpoczęła wątek: „Kto wie co jest podobno ukradli kałamarnicę?”.

Wątek nie przetrwał długo. Większość użytkowników trollowała lub nie miała o niczym pojęcia. Kilku odpowiedziało krótko: „Koniec świata”.

To nie Wati natknął się na resztki e-pikiety, lecz jego zaprzyjaźniony numen. Napastnicy udali się tropem połowicznych śladów, które udało im się wyrwać. Teraz numen gorączkowo poszukiwał organizatora.

– Gdzie on jest? – dopytywał się. – Zaatakowano nas!

– Był tu jeszcze dziś rano. – Dyrektor biura, drewniany kaczyna mówił z hiszpańskim akcentem czarodzieja-emigranta, przez którego został wyrzeźbiony, choć stworzył go i zwerbował oddział związku w Rotherham. – Musimy go znaleźć.

Tymczasem Wati upychał odwiedzanie pikiet pomiędzy inne ważne sprawy. Poszukiwania zaczęły przynosić rezultaty. Zajrzał akurat do niewielkiego, odległego ośrodka strajku. Psy okupujące mały zakład utylizacji odpadów i dorabiający sobie na boku produkcją klątw, były mile zaskoczone wizytą czołowego bojownika ZMA. Opowiedziały mu o sytuacji pikiety. Wati słuchał uważnie, nie wspominając ani słowem, że zjawił się tu także po to, by przyjrzeć się pewnej obecności, którą wcześniej wyczuł.

Strajkujący zaoferowali mu szereg różnych ciał. Przynieśli w zębach zniszczoną jednoręką lalkę, ceramicznego krasnala, misia i kiwającą głową sylwetkę krykiecisty, a następnie złożyli je w szeregu niczym na wystawie zabawek. Wati wszedł w krykiecistę. Jego nieproporcjonalnie wielka głowa podrygiwała na wietrze.

– Jesteście jednomyślni?

– Prawie – zaskamlał jeden z psów. – Jeden mówi, że nie jest chowańcem, tylko zwierzęciem domowym, więc strajk go nie obowiązuje.

– Jasne – odparł Wati. – Możemy coś dla was zrobić?

Strajkujący spojrzeli po sobie.

– Jesteśmy słabi. Coraz słabsi. – Wszyscy posługiwali się londyńskim psim, złożonym z pomruków i warknięć.

– Zobaczę, czy zdołam coś wycisnąć z funduszu – obiecał Wati. Fundusz strajkowy kurczył się w zastraszającym tempie. – Odwalacie kawał dobrej roboty.

Chowaniec, z którym zamierzał pomówić, znajdował się jedynie o kilka kilometrów stąd. Wati przyjrzał się setkom posągów i figurek znajdujących się w pobliżu, zdecydował się na figurę Jezusa przed kościołem, kilka przecznic dalej i skoczył... i wtedy został przechwycony. Przeżył szok.

Nie zdołał wejść w posąg, bo coś stanęło mu na drodze, eteryczna obecność chwyciła jego bezcielesne ja, wołając: *dobra synu dobra synu mamy cię ty komuchu cwelu*. Przytrzymano go w niemiejscu. Wiele czasu upłynęło, odkąd Wati spędził tam dłużej niż ułamek sekundy. Nie wiedział, jak metawalczyć, nie potrafił się obronić. Nie umiał poruszać się w tym widmowym obszarze, wiedział tylko, jak z niego wyjść, a tego akurat nie mógł zrobić – napastnik blokował mu drogę. *idziesz ze mną synu idziemy na posterunek*.

Wokół rozszedł się smród informacji, władzy i przebiegłości. Wati próbował myśleć trzeźwo. Nigdy nie oddychał, ale teraz miał wrażenie, że się dusi. Uparte nieciało trzymającej go istoty aż ociekało tworzącymi ją komponentami. Gdy tak dusiło go w uścisku, Wati dowiedział się kilku rzeczy.

panie władzo panie władzo panie władzo, powtarzała istota. Gdy tylko Wati usłyszał „władza”, zaparł się w miejscu i szarpnął wściekle. Droga do krykiecisty wciąż była otwarta po jego niedawnym przejściu i z trudem poczołgał się nią z powrotem. Wpadł do środka i wrzasnął z całej siły. Psy rozejrzały się w popłochu.

– Pomocy! – wołał Wati. Czuł, że policjant chwyta go i zasysa, próbując wyciągnąć go z powrotem. Był bardzo silny. Wati rozpaczliwie uczeplił się wnętrza lalki.

– Znajdź cegłę! – zawołał. – Coś ciężkiego. Weź mnie! – Najbliższy pies skoczył naprzód i chwycił zabawkę. – Na mój znak rozwal tego skurwiela o ścianę. Jednym ciosem. Rozumiesz? – Przerażony pies skinął głową. Wati zaparł się w miejscu, a potem wciągnął zaskoczonoego napastnika do środka małej figurki. Spoglądał tandetnymi oczkami, czuł ucisk. Zaskoczony policjant miotał się w ciasnym wnętrzu. – Teraz! – wrzasnął. Pies zamachnął się głową i wypluł lalkę wprost na cegły. W ułamku sekundy Wati wyskoczył, wpychając policjanta z powrotem, po czym schronił się w jednorękowej lalce.

Wślizgując się w swój nowy plastikowy kształt, usłyszał trzask, zobaczył fruwające odłamki miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą się znajdował. W tej samej chwili rozległ się ryk konającej istoty. Z rozbitej figurki buchnął obłok smrodu i gwałtownego uczucia, po czym rozszedł się i zniknął.

Psy wpatrywały się oszołomione w resztki krykiecisty i wściekłego Watiego w kobiecej figurce.

– Co to było? – spytał jeden z nich. – Co się stało?

– Nie mam pojęcia – odparł związkowiec. Paranormalne palce zostawiły bolesne ślady. – Gliniarz. Coś w tym rodzaju. – Obmacał swoje obrażenia, by zobaczyć, czego można się dowiedzieć z napastniczej pozostałości. – Ech, chuj by to strzelił – zaklął, szturchając obolałe miejsce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Był człowiekiem rozlicznych talentów. Nikt nie nazwałby go kryminarchą, choć z całą pewnością nie przejmował się ograniczeniami nakładanymi przez prawo. Nie był bogiem, ani bożkiem, ani też wojownikiem, ani niczym podobnym. Zawsze mówił o sobie, że jest naukowcem. Nikt nigdy nie próbował dyskutować z tym stwierdzeniem.

Niewiele wiedziano o jego pochodzeniu – było niejasne, czy też, jak sam mówił „nieciekawe”. Urodził się jakieś pięćdziesiąt lub trzysta lat wcześniej, zależnie od tego, której anegdocie wierzyć. Grisamentum działał zgodnie z własnymi przekonaniem na temat tego, jak powinien funkcjonować Londyn, a organy ścigania i inne organizacje, które uważały, że rzeczywiście przydałoby się trochę mniej mordowania, zwykle przyznawały mu rację – przynajmniej tak twierdzili jego ludzie.

Udało mu się zjednać sporo serc i umysłów. W przeciwieństwie do Tatuaza, który był bardzo innowacyjny w stosowaniu przemocy, a zasady przyzwoitości i towarzyskiej etykiety cenił tylko dla szoku, jaki wywoływało ich naruszanie, Grisamentum doceniał tradycje londyńskich dołów. Wymagał od swych podwładnych sprawiedliwego postępowania i szacunku dla miasta.

Czasem pogrywał sobie – żartobliwie, choć nie był to żart – na ulotnych wspomnieniach podLondynu. Już od dawna nie widziano w mieście stworów, których sylwetki umieszczano w bestiariuszach – jeśli widywano je kiedykolwiek – ale zamiast zaakceptować to upadłe miasto zdegradowanych sznytów w jego obecnym kształcie, postanowił przywrócić modę na potwory. Zaklinacze dysponujący zdolnością ożywiania magicznej przyszłości przy użyciu londyńskiej materii, tworzący minotaury z liści, mantikory ze śmieci i smoki z psich odchodów, niegdyś uważani za ekscentrycznych hobbystów, stali się jego najemnikami. A potem, po jego śmierci, ich dzieła znów spadły do rangi paranormalnego odpowiednika folkloru, aż w końcu popadły w zapomnienie.

– Oczywiście, nikt nie wierzył, że będzie żył wiecznie – tłumaczył Dane. – Nieśmiertelność to jakaś bzdura. Ale to jednak był szok, gdy w końcu się dowiedzieliśmy. – Grisamentum umierał. W przeciwieństwie do innych przywódców półświatka nie próbował tego ukrywać. Prosił o pomoc. Poszukiwał lekarstwa na tę zwyczajną, dokuczliwą, śmiertelną chorobę, która go w końcu dopadła. „Kto to zrobił?”, pytali z rozpaczą jego podwładni.

Najwyraźniej nie wystarczała im odpowiedź, że najwyraźniej nikt. Statystyka i biologia. – Dał nieźle zarobić paru śmiercistom – dodał Dane.

– Śmiercistom?

– Thanaturgom. Ludziom, którzy potrafią sznytować rzeczy związane ze śmiercią. Wielu do niego przychodziło. Myśleliśmy, że próbował się wykpić. Nie on pierwszy. No, ale wszystko ma swoje granice. Właśnie w ten sposób poznał Byrne. Zaprzyjaźnili się. Chyba dała mu trochę radości przez ostatni rok czy dwa.

– No i?

– No i co? I umarł. Był pogrzeb. Rozpalili mu stos, jak wikingowie. Niesamowicie to wyglądało, jak jakieś fajerwerki. Gdy zdał sobie sprawę, że już po ptakach, przerzucił się ze śmiercistów na piromantów. Dżiny i ludzie. Anna Ginier, Cole Jakmutam. Stos pogrzebowy był podsznytowany tak, że ja cię kręcę.

– Byłeś tam?

– Przesłaliśmy delegację, jak większość Kościołów. – Ogień płonął we wszystkich kierunkach, spalając pewne rzeczy, które zdawały się pewne, przepalając dziury w miejscach, których nie powinien był przepalać, widowiskowy jak świat pełen fajerwerków. Miejsce pogrzebu – udekorowana sala w jakimś niepozornym banku, w pobliżu Pudding Lane, niezwykle ogień i nazwiska znanych piromantów, którzy przygotowali stos, wywołały lawinę spekulacji, że cała ta impreza mogła być elementem przejścia; podsznytowaną iskrą przepalającą czas i przestrzeń, rozpalającą Wielki Pożar Londynu ponad czterysta lat wcześniej, wypalającą Grisamentumowi drogę w przeszłość, by mógł uciec z teraźniejszości, w której umierał. – Ale to bzdura – stwierdził Dane. – Niezależnie od tego, gdzie by poszedł, zabrałby śmierć ze sobą.

Ponieważ człowiek, który napisał tę wiadomość, nie żył już od dawna.

– Czemu akurat teraz? – spytał Billy. Szedł obok Dane'a, nie, jak kiedyś, o krok za nim. Znaleźli się w Dagenham, na ulicy pełnej brudnych, opuszczonych budynków, gdzie zardzewiałe żelazo stanowiło równie częsty widok jak ceglany mur.

– Posłuchaj, Dane – ciągnął Billy. – Czemu się tak spieszysz? Na litość boską! – Chwytał mężczyznę za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

– Mówiłem ci już: nikt oprócz niego nie wie, że kiedyś rozmawialiśmy.

– Nie wiadomo nawet, czy to na pewno on. Nie wiemy, co się dzieje. Jutro mieliśmy spotkać się z Watim. Lepiej zaczekajmy i opowiedzmy mu o tym. Sam cały czas powtarzałeś mi, że trzeba myśleć jak żołnierz.

Ramiona Dane'a zeszywniały.

– Nie tobie oceniać, czy myślę jak żołnierz – wycedził. – Kim ty właściwie jesteś?

– Ty mi powiedz – odparł Billy. Pilnowali się, by nie mówić za głośno. Kustosz zdjął okulary i podszedł bliżej. – Za kogo mnie uważasz? Już od dawna nie pytałeś, co mi się śni. Chcesz wiedzieć, co widziałem?

Ostatnio nie widział niczego.

– Jasne, że musimy być ostrożni – odparł Dane. – Ale sam zobacz, jeden z najważniejszych graczy w Londynie właśnie powrócił z martwych. Tak po prostu. Na co czekał? Czym się zajmował? I czego chce ode mnie? Musimy się tego dowiedzieć i to natychmiast.

– Może wcale nie umarł. Może to jego szukamy.

– Przecież był martwy.

– Najwyraźniej nie był – mruknął Billy i znów włożył okulary. Nie miał pojęcia, co o tym myśleć. – Skąd wiesz, że nie planuje cię zabić?

– A dlaczego miałby? Nigdy nie wchodziłem mu w drogę. Pracowałem z jego chłopakami. Nigdy nie miał za dużo ludzi, więc znałem ich wszystkich. Wie, że Tatuaz nas ściga, a oni... nie darzą się wielką miłością. A poza tym – dodał po chwili – jesteśmy przebrani. – Billy aż się roześmiał. Mieli na sobie kolejne nieciekawe ciuchy z kolejnej kryjówki. – Trzeba się pozbyć tych twoich okularów – stwierdził Dane. – Zwracają uwagę.

– Trzymaj się z dala od moich okularów – ostrzegł Billy. – Skoro Grisamentum był tu przez cały czas i nie odezwał się ani słowem... to czemu nagle zmienił zdanie? Teraz jesteś wygnańcem. Nie powiesz nikomu, że go widziałeś. Żyjesz w konspiracji, tak jak on.

– Musimy... – zaczął Dane, po czym przerwał. Nie był przyzwyczajony do życia wygnańca. Kilka razy wspominał o swoich towarzyszach z Kościoła. „Ben zrobił kiedyś tak samo...”, mówił na przykład albo: „Kiedyś razem z takim jednym gościem...”

Niezależnie od tego, co wtedy zrobili, z pewnością nie robili tego dłużej. Billy widział tych ludzi podczas nabożeństwa, najwyraźniej stanowili zbrojne ramię krakenitów. Istniała jednak pewna różnica pomiędzy młodym, przedsiębiorczym wyznawcą a wygnanym zabójcą. Dane nie był stary, ale z pewnością zajmował się tym już od jakiegoś czasu, a o swoich towarzyszach mówił zawsze w czasie przeszłym. „Coś się wtedy wydarzyło”, pomyślał Billy. Kościół podupadł. Nie można odejść na wygnanie znikąd.

Czy agenci teutyków odchodzili na emeryturę? Z pewnością czasem umierali. Niekościelna koteria złożona z ludzi pokroju Watiego i Jasona. Półprzyjaciele, półtowarzysze broni działali z Dane'em w ramach siatki, której zasady działania zupełnie nie przystawały do statusu samotnego krakenity, nie dzielali jego absurdalnej wiary. Dane był ostatnim spośród agentów kałamarnicy i czuł się opuszczony. Ta nagła wieść, objawienie kolejnej potęgi – prawdziwej potęgi – z którą kiedyś łączyły go jakieś związki, zupełnie go opętało. Billy mógł tylko doradzić mu trochę ostrożności.

Przybyli na miejsce spotkania za wcześnie. Była to nieczynna stacja benzynowa, z trzech stron zamknięta ścianami budynków i jakimś nieprzekonującym ogrodzeniem

przemysłowym. Dystrybutory zniknęły, a cement poznaczony śladami opon zdążył już zarosnąć trawą.

– Trzymaj się blisko mnie – zarządził Dane. Stali w cieniu estakady i prawdopodobnie było ich widać z najwyższej położonych okien sąsiednich domów. Zgodnie z radą Dane'a, Billy poruszał się swobodnie, jakby miał tu coś do zrobienia. Właśnie tak należało się kryć w tego typu miejscach. Za rogiem, skryte za szczątkami silników znajdowało się przejście prowadzące ponad niskim murkiem i w boczną uliczkę. – To nasza droga ucieczki, ale ktoś może ją wykorzystać, żeby się tu dostać, więc uważaj – ostrzegł Dane. – W razie czego bądź gotów biec tak szybko, że ja pierdołę.

Światła gasły. Dane nie starał się kryć, ale odczekał, aż ciemność przekroczy masę krytyczną, nim wyjął kuszę. Trzymał ją luźno. Gdy niebo nabrało koloru jednolitej szarości, przez dziurę w ogrodzeniu wynurzyła się jakaś kobieta.

– Witaj, Dane – powiedziała.

Wyglądała na jakieś czterdzieści lat, miała na sobie drogi płaszcz, spódnicę i srebrną biżuterię. Siwe włosy upięła w kok, w rękę trzymała teczkę.

– To ona – mruknął gorączkowo Dane. – To Byrne. Tak, to ona. Zaczęła pracować dla Grisa, gdy zachorował. Bardzo go lubiła. Nie widziałem jej, odkąd zmarł.

Potem wycelował kuszę z biodra.

– Proszę się nie ruszać – oznajmił. Kobieta zmierzyła wzrokiem niecodzienną broń. – Ani kroku dalej. – Przez dłuższą chwilę nikt na placyku nie powiedział ani słowa. Niecały kilometr dalej gwizd pociągu rozbrzmiał efektem Dopplera. – Proszę wybaczyć, że jestem trochę nerwowo – ciągnął. – Ale ostatnio zrobiłem się wyjątkowo nieśmiały. Mam parę problemów...

– Przyjmij wyrazy współczucia – odparła kobieta. – Słyszeliśmy, że odszedłeś ze swojej kongregacji.

– To prawda – przyznał Dane. – Dzięki. Ale widzi pani. Kopę lat. Trochę dziwne, że pani szef przysłał mi teraz liścik.

– To już nie ta śmierć, co bywała – stwierdziła Byrne. Mówiła bardzo wytwornie.

– Tak, tak, oczywiście – odparł Dane. – Ale chyba oboje wiemy, że nie zdołałaby go pani ożywić. Bez urazy, jestem pewien, że zna się pani na swoim fachu, ale. Nawet Grisamentum nie dokazałby takiej sztuki. Gdzie on jest? Z całym szacunkiem: to nie z panią przyszedłem się spotkać.

– On też nie tęsknił konkretnie za tobą, Dane Parnell. Chociaż ma to coś wspólnego z twoim bogiem. – Wskazała na Bill'ego.

„Wiedziałem”, pomyślał Billy, choć nie miał pojęcia, skąd mu przyszła ta myśl ani co oznaczała. Niczego się przecież nie spodziewał. Zapadła cisza. Billy rozglądał się wokół, spoglądając na sylwetki budynków na tle ponurego nieba.

– Czego chce wasz szef? – spytał w końcu Dane. – Gdzie on jest? Gdzie się podziewał przez ostatnich bóg wie ile lat?

– Podobno Tatuaz napuścił na was każdego łowcę głów stąd do Glasgow i zaproponował niezłą sumkę – odparła Byrne. – Twój własny Kościół chce cię zabić. A gdyby tego było mało, depczą wam po piętach Goss i Subby.

– Co robić, jesteście popularni – westchnął Dane. – Gdzie on jest?

– Posłuchaj – powiedziała kobieta. – Po tej historii z Tatuazem wcale nie było tak łatwo. Nie chodzi o to, że nie było powrotu. On... Mieliśmy pewne problemy. A gdy zdaliśmy sobie sprawę, że Tatuaz wciąż go ściga... to był błąd, trzeba było go po prostu zabić. Jest w tym jakaś nauczka – nie należy mścić się z nadmierną fantazją. Grisamentum potrzebował... czasu. Żeby wyzdrowieć. Posłuchaj, Dane, nikt nie wie, że on żyje. Pomyśl, jak ogromną przewagę nam to daje. Czujecie, co się dzieje. – Wzruszyła ramionami, wskazując na niebo. – Wiecie, że rzeczy idą ku gorszemu. Wszystko to zaczęło się, odkąd zaginął wasz bóg. Panie Harrow, pan przy tym był. Tam, w centrum. Pan go znalazł.

Czyżby usłyszał zgrzyt szkła?

– Tatuaz szuka twojego boga, Dane Parnell. I jest coraz bliżej. Posłuchajcie... – Po raz pierwszy jej głos zabrzmiał nagłaco. – Jak myślisz, dlaczego przez ostatnich kilka lat nie słyszałeś nic o Grisamentumie? Cały Londyn myśli, że umarł. To daje nam przewagę, więc nie zmarnuj jej, powtarzając to komukolwiek. Oboje wiemy, że nie można pozwolić, by Tatuaz odnalazł krakena, niezależnie od tego, jakie ma zamiary.

– Gdzie on jest? – spytał Billy.

– No właśnie – zawtórował Dane, nie rozglądając się wokół. – Gdzie on jest? Billy podejrzewał, że to wy mogliście go ukraść.

– Po co mielibyśmy kraść twojego boga? Zależy nam tylko na tym, żeby Tatuaz nie dostał go w swoje łapy. Nie wiemy, kto go ukradł, Dane. Przyznam, że mnie też to niepokoi. Nikt nie powinien dysponować taką mocą. Z pewnością nie był to ktoś zupełnie obcy. Wiesz o tym równie dobrze jak wszyscy. To znaczy, obaj wiecie, biorąc pod uwagę to, co pan Harrow ma w głowie. Ale my też mamy swoje źródła. Wszyscy mamy ten sam cel: odnaleźć krakena i dopilnować, żeby Tatuaz nawet się do niego nie zbliżył.

Chcemy z wami współpracować.

– O rany – powiedział w końcu Dane. Rozejrzał się wokół. – Cholera. Powinniśmy stąd zniknąć – zwrócił się do Billy'ego. – Grisamentum już raz o to prosił – dodał, odwracając się do kobiety. – Właśnie tutaj. Odmówiłem.

– Nieprawda – odparła Byrne. – Ostatnim razem próbował cię przekonać, żebyś dla niego pracował. Przeprasza za tamto. Jesteś człowiekiem krakena, teraz już to wie, ja to wiem i ty to wiesz. Nie będziemy udawać, że nie potrzeba nam twojej pomocy. A tobie też przyda się pomoc. Propozycja jest następująca: połączmy swoje siły. – Dane spoglądał na nią badawczo,

aż w końcu znów przemówiła. – Zbyt wiele się dzieje, Dane. Anioły krążą. Musimy wiedzieć, czemu tak się dzieje.

Dane odchylił się w tył, nie odrywając oczu od Byrne, szepnął do Billy'ego:

– Jeśli to wszystko prawda, to rzeczywiście byłoby coś. Pracować z Grisamentumem? Musimy to bardzo uważnie przemyśleć.

– Nawet nie wiemy, czy to naprawdę Grisamentum – powiedział powoli Billy.

Dane przytaknął mu.

– Proszę posłuchać – powiedział wolno. – Bardzo mi to pochlebia, ale, jak dotąd, nawet nie widziałem pani szefa. Nie możemy podjąć takiej decyzji ot, tak sobie.

„My”, pomyślał z satysfakcją Billy.

– Może jeszcze powiesz, że chcesz rozmawiać z kataryniarzem, a nie z jego papugą? – zadrwiła Byrne.

– Może pani to nazywać, jak chce – zgodził się Dane. – Co się stało? Przecież był ciężko chory.

– Czyżby?

– W takim razie gdzie jest? Dlaczego zniknął?

– On tu nie przyjdzie – powiedziała ostrożnie Byrne. – Nie ma możliwości, żeby...

– W takim razie nie było rozmowy.

– Dasz mi skończyć? To wcale nie znaczy, że nie możecie zamienić paru słów.

– A co? Jest tu jakaś gorąca linia?

– Są różne sposoby. – Kobieta wyjęła kartkę i pióro. – Różne kanały. Powiedz coś.

Przyłożyła pióro do papieru. Dane podszedł bliżej, wciąż celując w nią z kuszy. Byrne pisała, nie spuszczając oczu z Dane'a.

„Witaj”, napisała. Pismo wyglądało identycznie jak to, którym wypisano wiadomość na samolociku, drobne, okrągłe i ciemnoszare. „Kopę lat”.

– Zapytaj go, czego chce – zaproponowała Byrne.

– Gdzie on jest? – spytał Billy.

– To jego pismo – zauważył Dane.

– To jeszcze żaden dowód.

– Gdzie pan jest? – spytał Dane, zwracając się do kartki. „Niedaleko”, napisała Byrne, nie patrząc na papier. Billy zamrugał gwałtownie, widząc tę zdalną korespondencję.

– To żaden dowód – szepnął.

– Słyszałem, że pan nie żyje – powiedział Dane. Pióro nie drgnęło. – Gdy byliśmy tu ostatnim razem, poprosił mnie pan, żebym dla niego pracował. Pamięta pan?

„T.”

– Wtedy odmówiłem. Powiedziałem, że nie mogę, i zadałem panu pytanie. Pamięta pan, co powiedziałem na pożegnanie?

Ręka Byrne zawisła z wahaniem nad kartką. Potem napisała:

„Powiedziałeś, że nigdy nie opuścisz Kościoła. Powiedziałeś: «Wiem, kto mnie stworzył. A czy pan wie?»»,

– To on – powiedział cicho Dane. – Nikt inny o tym nie wie. – Miasto przerwało ciszę rżeniem silników, jakby uznało ją za krępującą.

„Dlaczego odszedłeś z Kościoła?”, napisała Byrne.

– Różnica poglądów – odparł Dane.

„Chcesz znaleźć krakena”.

– Martwego, zgniętego i zniszczonego? Dlaczego sądzi pan, że go szukam?

„Bo nie jesteś Tatuazem”.

– Co dokładnie pan proponuje? – spytał Billy.

Dane spojrzał na niego zaskoczony.

„Wiemy, jak go znaleźć”, napisała Byrne. Wciąż spoglądała w górę. Gapiła się w niebo pełne gwiazd, rozrzuconych jak śmieci. „Ten, kto go ukradł, coś planuje. Nikt nie kradnie czegoś takiego kompletnie bez planu. Nie jest dobrze. Ty, Harrow, wiesz więcej, niż wiesz”. Narysowała strzałkę wskazującą wprost na niego. Grisamentuma, kimkolwiek był, też ciekawiły jego niejasne, prorocze wizje.

– Musimy to przemyśleć, Billy – stwierdził Dane.

– Ma przynajmniej jedną zaletę: nie jest Tatuazem – mruknął Billy. – Mam jedną zasadę: z dwóch gości zawsze wolę tego, który nie próbuje mnie zabić. Taki jestem dziwny. Ale...

– Ale co?

– W tej sprawie jest za dużo niejasności. – Dane zawahał się, po czym skinął głową. – Jutro mamy się spotkać z Watim. Pogadajmy z nim o tym. Może ma jakieś wieści. Wiesz, że sprawdzał różne tam pierdoły. – Billy miał wrażenie, jakby nagle znalazł się głęboko pod wodą.

– Grisamentum – oznajmił głośno Dane. – Musimy to przemyśleć.

– Naprawdę? – odparła Byrne. Oderwała wzrok od nieba i spojrzała na Dane’a. Jej ręka kreśliła słowa: „Dołącz do nas już teraz”.

– Bez urazy. Na naszym miejscu zrobilibyście to samo. Jesteśmy po tej samej stronie. Po prostu musimy to przemyśleć.

Ręka Byrne przesuwiała się po papierze, ale pióro nie zostawiało żadnych śladów. Zaciśnęła usta i znów spróbowała. W końcu coś napisała i przeczytała to. Wyjęła drugie pióro i innym pismem wypisała numer skrytki pocztowej. Podała ją Dane’owi.

– Przekaż nam wiadomość – powiedziała. – Ale pospiesz się, inaczej uznamy, że odmówiłeś. Czas się kończy. Spójrzcie na ten cholerny księżyc. – Billy spojrzał na cienki sierp. Kratery i cienie sprawiały, że przypominał robaczywy ser. – Coś się zbliża.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Tej nocy Billy'emu przyśnił się kolejny sen. Odczuwał ostatnio coś w rodzaju poczucia winy spowodowanego nagłym brakiem onirycznych wizji. Tej nocy jednak zamiast otaczającego mroku, błysków światła, ciężaru, zawieszenia w próżni i zapachu chemikaliów przyśnił mu się sen rzeczywiście godny tego miana.

Był w jakimś mieście. Pędził przed siebie, przeskakiwał budynki jednym susem i wykonywał pływackie ruchy, by przelecieć ponad wieżowcami. Ubrany był w kolorowy kostium.

– Stój! – wykrzyknął, gdy jakaś sylwetka wynurzyła się z wybitego okna w wielkim magazynie. Obok świeciły policyjne reflektory, a dym bił znad ognia, rozchodząc się niczym ciemny płyn w wodzie. Była tam też Collingswood, młoda policjantka-wiedźma. Palila papierosa, oparta o ścianę, nie patrząc na rozgrywającą się obok scenę. Spoglądała na Billy'ego sardonicznym wzrokiem, cierpliwie czekając, aż wyląduje. Wskazała w kierunku, z którego przyszedł. Potem wskazała w przeciwną stronę, nawet się nie oglądając.

Billy opadał z wdziękiem. Za plecami Collingswood ujrzał swego arcywroga, czarodziejskiego robota i poczuł zalewające go ciepło słoneczne – wiedział, że jego towarzysz zaraz przybędzie. Czekał, aż jego umięśnione ramiona, macki opięte lycrą, wychyną sponad krawędzi budynku, a za nimi ukaze się maska skrywająca twarz pomocnika.

Coś się jednak nie zgadzało. Słyszał hurgot, ale zza budynku nie wynurzyły się ramiona pełne przyssawek, długie, sznurowate kończyny, ani oczy jak u psa Andersena. Zamiast nich ukazała się butelka. Za plecami wroga. Zupełnie ciemne szkło. Korek był stary i zapieczony, ale wysuwał się powoli. A wtedy Billy poczuł coś w rodzaju ulgi i zrozumiał, że to nie butelka jest jego pomocnikiem, lecz on jej.

Gdy się obudził, odczuwał zupełnie inne poczucie winy. Kiczowata estetyka snu była przytłaczająca. Miał wrażenie, że wszechświat, w swojej desperacji, udziela mu łopatologicznie jasnych wskazówek, których on wciąż nie potrafił zrozumieć.

– Co się dzieje z człowiekiem po śmierci? – spytał Billy.

– Pytasz, co mówił o tym mój dziadek? – upewnił się Dane. – Jeśli zachowywałeś się przyzwoicie, to może odrodzisz się w skórze boga.

Jako chromatofor, komórka barwnika. A zatem krakeny okazują uczucia z pomocą swych pobożnych zmarłych. Dane nigdy nie opowiadał żadnych historii o zatopionych wyspach.

Szli przez miasto, starając się nie rzucać w oczy, korzystając ze sznytów, magicznej dezorientacji i antyśladu z paranormalnych niechlebowych okruszków. Billy odprężył się nieco, gdy znaleźli się na cmentarzu w umówionym miejscu. Powoli szedł pomiędzy rzędami kamiennych tablic. Wiedział, że jego spokój jest zupełnie pozbawiony podstaw. Ścigający ich wrogowie mogli to robić równie dobrze wśród zmarłych, jak i wśród żywych.

– Cześć, Dane, cześć, Billy – odezwał się Wati z kamiennej figury anioła. – Jesteście pewni, że nikt was nie śledził?

– Oj, spieprzaj, Wati – powiedział łagodnie Dane. – Jak idzie strajk?

– Z trudem – odparł aktywista, przeskakując z jednej twarzy do drugiej, jego głos dobiegał co chwila z innej strony. – Szczerze mówiąc, mamy kłopoty. Napadli mnie.

– Co? – wykrzyknął Dane. Ostrożnie podszedł do posągu aktualnie reprezentującego Watiego. – Wszystko w porządku? Kto? Jak?

– Teraz już dobrze – odparł Wati. – Mało brakowało, ale zdołałem uciec. Policja. Już prawie mnie mieli. Ale nie ma tego złego, bo przy okazji dowiedziałem się paru rzeczy. Można powiedzieć, że wyciekły.

Billy obrócił się powoli i powiódł wzrokiem po wszystkich aniołach.

– Wszyscy mieliśmy gości – powiedział Dane. – Pamiętasz Byrne, Wati?

– Wezyrkę Grisamentuma? Co z nią?

– Widzieliśmy ją. – Liście bluszczu porastające okoliczne drzewa zdrząły. – Grisamentum żyje.

Chmury kłębiły się, jakby miały do zrobienia coś pilnego. Billy słyszał odgłos jakiegoś małego zwierzęcia przemykającego w trawie.

– Widziałeś go? – spytał z niedowierzaniem Wati.

– Rozmawialiśmy. To on, jestem pewien. Chce z nami współpracować. Chce go znaleźć.

Nieopodał grobów znów rozległ się szelest.

– I co mu powiedziałeś?

– Że to przemyślimy.

– I z jakim rezultatem? – Po chwili ciszy Wati znów przemówił z małego, cukierkowego cherubinka: – Billy, a co ty o tym myślisz?

– Ja? – Billy odkaszlnął z zakłopotaniem. – Nie wiem.

– Przyda nam się każda pomoc – powiedział ostrożnie Wati.

– Tak, ale... – zaczął Billy. Zdecydowanie w jego głosie zupełnie go zaskoczyło. – Wszyscy uważacie, że dysponuję jakąś wiedzą, o której nawet nie wiem, prawda? No cóż, nie mam pojęcia dlaczego, ale to mi się nie podoba. Jasne?

– To nie jest drobnostka, Dane – stwierdził w końcu Wati. – Posłuchajcie, muszę wam coś powiedzieć – dodał. – Pamiętajcie tę listę przenosicieli, którzy mogli ukraść krakena?

Przyjrzałem się jej. – Głos Watiego był wysoki i marmurowy. – Simon, Aykan i paru innych, pamiętacie? Jak dobrze poszukać, można znaleźć informacje o każdym z nich: co lubią, dla kogo pracują, w czym są dobrzy, a w czym nie. Jeśli my na to wpadliśmy, to można się założyć, że wszyscy inni też i że będą szukać w tym kierunku. Dawny współlokator Aykana mówił, że policja próbowała go przesłuchać. Ale źle rozumują. To Simon jest czarnym koniem.

– Simon odszedł na emeryturę – zauważył Dane.

– Tak, i właśnie w tym rzecz. Przyjrzałem się ich metodom. Rebecca korzysta z tuneli czasoprzestrzennych, ale potrzebuje do tego źródła mocy i zostawia po sobie wkurzone cząsteczki. Mówiliście, że policja niczego nie znalazła?

– Nie wiem, czego szukali – odparł Billy. – Ale słyszałem, jak mówili, że nie ma nic konkretnego.

– W porządku – oznajmił Wati z figury Madonny. – Aykan używa Tay al-Ardu, to świetna metoda.

– To jedyne przeniesienie, na jakie bym się zgodził – wtrącił Dane.

– Doskonale cię rozumiem – zapewnił Wati. – Ale nawet gdyby zdołał przenieść przedmiot wielkości krakena, to irfany na pewno by go wyczuły. Jest tak, jak mówiłeś. Simon zszedł ze sceny. Ale jest tu pewien haczyk: on ma Chowańca.

– Nie wiedziałem.

– Prawdę mówiąc, ja też nie, ale jeden z organizatorów mi przypomniał. Jest inny niż większość asystentów. Simon pilnował, żeby odprowadzał składki. Sam nie miał do tego głowy, ale od czasu do czasu posyłał w naszą stronę trochę energii. Simon dobrze go traktował. Kochał to biedne stworzenie. Wciąż powinniśmy mieć z nim łączność, ale nikt nie wyczuwał więzi. Musiałem sam iść i go namierzyć. Nie wiem, jak długo się włóczył po okolicy. W końcu znalazłem tego małego skubańca na wysypisku. Przyszedł tutaj tylko dlatego, że mi ufa.

„A który chowaniec by nie ufał?”, pomyślał Billy.

– Jest tutaj? – upewnił się. – Tutaj-tutaj?

Posąg zagwizdał. Spod wynędzniałego krzaka znów doleciał szelest.

– Jezu Chryste – wyrwało się Billy’emu. – Co to, kurwa, jest?

Na ziemi, pomiędzy niedopałkami papierosów i resztkami jedzenia wił się kłębek oblepionych, splątanych włosów, szepcząc i skamłąc cicho. Nie miał żadnych rysów – tylko zbitka brudu i chorobliwie poszarzałego ciała.

– Co to jest?

– Zrobił go od zera – wyjaśnił Wati. – Ze skórek, ścinków paznokci, takich rzeczy. Kazał żywokowalowi zlepić je ze sobą. Sierść jest od weterynarza: psy, koty, co się trafiło.

Stworzenie nie miało oczu ani żadnego otworu gębowego.

– Co umie ta garstka kłaków?

– Nic – odparł Wati. – Nie jest za mądra, nie umie pilnować, nie ma talentu do sznytów. Ale Simon zrobił go z własnego ciała, więc ten biedny skubaniec ma z nim więź. Trochę kiepską, ale wyczuwalną. Nie wiem, co się stało, ale przed kilku laty coś tak wystraszyło Simona, że odszedł z pracy. A sądząc po zachowaniu mojego małego braciszka, ostatnio wydarzyło się coś jeszcze. Wiecie, co robił, gdy go znalazłem? – Stworzenie zadrzało, a Wati uspokoił je, mruczając łagodnie. – Zbierał jedzenie, nakrywał je sobą i ciągnął po ziemi. Chyba miało być dla Simona. Mam wrażenie, że kursuje tak już od wielu dni, szuka różnych rzeczy i znosi je do domu. Chyba robi to z własnej inicjatywy.

– Po co Simon miałby tworzyć coś takiego? – spytał Dane, spoglądając na żalną futrzaną kulkę.

– No cóż – stwierdził Wati-posąg. – Pamiętasz, jak lubił się ubierać. Nie oglądasz telewizji, Dane?

– Jak się ubierał? – spytał Billy.

– W taki niby-mundur. Z małym znaczkiem na piersi – wyjaśnił Wati. Jego głos zabrzmiał łobuzersko.

– Niemożliwe! – wykrzyknął z niedowierzaniem Billy, gapiąc się na dziwnego chowańca.
– Jaja sobie robisz!

– Aha – przytaknął Wati. – Widzę, że zrozumiałeś.

– Ale co? – spytał Dane, wodząc wzrokiem od posągu do Billy'ego. – No co?

– Ciągłe słyszy się o tym – zaczął Billy, szczęśliwy, że tym razem to on może wyjaśnić coś Dane'owi – że pulpowa fantastyka ma wpływ na prawdziwą naukę. Jest to zarówno powód do wstydu, jak i do dumy, ale wielu naukowców otwarcie przyznaje się, że czerpią inspirację z różnych prymitywnych, wizjonerskich bzdur, które uwielbiali w młodości. Konstruktorzy satelitów cytują Arthura Clarke'a, a biologowie przyznają, że ich zainteresowanie tą dziedziną wykiełkowało z rozrywkowych wizji neuro – i nanotechnologii. Kosmiczna epopeja Roddenberry'ego przyniosła światu całe pokolenie młodych fizyków usiłujących zbudować replikatory, trikodery, fazery i teleporterzy.

Jednak wpływ fantastyki nie ograniczał się do nauk ścisłych. Inni naukowcy wychowali się na tych samych filmach i książkach. Socjologowie sieci chętnie sięgali do starej symboliki. Filozofowie ukradli teorię wielu światów z opowieści o kupcach z alternatywnej rzeczywistości. Głównonurtowi akademicy nie mieli jednak pojęcia, że tuż pod bokiem wyrosło im całe pokolenie londyńskich magów, dla których te same pozycje były lekturą obowiązkową, a młodzi sznyterzy byli nie mniej skłonni imitować swych bohaterów niż ich koledzy fizycy. Obok technopoganów, magów chaosu, crowleyanów i neodruoidów zjawili się też kowale rzeczywistości wychowani na telewizji.

Co ciekawe, to nie seriale fantasy dostarczały sznyterom najwięcej inspiracji. Nie *Buffy*, nie *Angel*, nie *Amerykański horror*, ani *Nie z tego świata*, lecz seriale science fiction. Podróże

w czasie nie wchodziły w grę, skoro wszechświat nie miał wyraźnych granic, ale fani *Doktora Who* sporządzali sobie specjalne różdżki, rezygnując z tradycyjnego wierzbowego drewna na rzecz starannie wykutych metalowych pałeczek, które nazywali sonicznymi śrubokrętami. Jasnowidze żywiący sentyment do serialu *Siódemka Blake'a* nazywali się dziećmi Oraka. Czwarta najlepsza zmiennokształtna w Londynie oficjalnie zmieniła imię na Maya, a nazwisko na Kosmos 1999.

Nie brakowało też magików deklarujących sentyment do bardziej niszowych seriali – empatechów, którzy mogli w kółko nawijać o serialu *Gwiezdna policja*, kultursurfujących nekromantów uzależnionych od *Lexxa*; przybyło też całe młodsze pokolenie przybierające pseudonimy na cześć bohaterów serialu *Ucieczka w kosmos* lub *Battlestar Galactica* – „remake’u oczywiście”.

Jednak to klasyka wciąż święciła największe triumfy, a *Star Trek* cieszył się równym uznaniem wśród magów co wśród techników NASA.

– Ten chowaniec Simona – dodał Wati – nazywa się Tryblit.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

– Oczywiście, że widziałem *Star Treka!* – oburzył się Dane. – Ale nie wiem, co to jest ten pieprzony tryblit!

Byli niedaleko London Bridge. Mieszkanie znajdujące się pod ostatnim znanym adresem Simona już od wielu miesięcy stało puste. Szukali dalej.

– No wiesz, to jeden z tych takich stworów – odparł Billy. Znów wszedł w rolę nerdowatego studenta, na którą był już za stary. Zerknął do plastikowej reklamówki, w której siedział drżący Tryblit. Poglądził jego brudną sierść. Idąc, mijali figurki dachowe, gipsowe rzeźby na budynkach i źle ubrane manekiny. Z każdej z nich Wati szeptał łagodnie, uspokajając chowańca. – Na pewno idziemy w dobrym kierunku? – spytał.

– Nie – odparł Wati. – Próbuję wyczuć więź od drugiej strony. Prowadzi gdzieś w te okolice. Jeśli podejmiemy wystarczająco blisko, powinienem ją złapać.

– O co, kurwa, chodzi z tym całym tryblitem? – spytał Dane zniecierpliwiony.

– Właśnie to ci próbuję wytłumaczyć – odparł Wati. Przemawiał rwanymi zdaniami, co chwila z innej figury. – Simon uwielbiał ten durny serial. Jeździł na konwenty. Miał kolekcję figurek i inne takie. Pół życia spędził w tym idiotycznym mundurze.

– No i co? – Dane wzruszył ramionami. – Gość miał talent, dorobił się forsy i przepuścił ją na głupoty. Uroił sobie, że jest jakimś pieprzonym panem Spockiem.

– Scottym – poprawił Billy. Spojrzał na Dane'a znad okularów jak kujon. – Spock niczego nie przesyłał.

– Co? Kto? Nieważne. Słuchaj, Billy, są różne metody przenoszenia. Po pierwsze, składanie przestrzeni. – Dane zacisnął dłoń. – Tak, żeby odległe od siebie punkty zetknęły się na chwilę. Ale Simon się tym nie zajmuje. On jest teleporterem. Dezintegruje to, co chcesz przenieść, przenosi w kawałkach gdzie indziej, a potem składa do kupy.

– Nie było tu ostatnio jakiejś dużej aukcji gadżetów ze *Star Treka?* – spytał nagle Billy. – Parę miesięcy temu? W Christie's? Chyba pamiętam... Wszyscy licytatorzy chodzili w mundurach. Sprzedali model statku za milion funtów czy coś takiego.

Dane przymknął oczy.

– Coś mi to mówi.

– Dziwnie krąży – odezwał się Wati z obtłuczonego kamiennego psa. – Chyba chce, żebyśmy skręcili w lewo.

– Chodzimy w kółko – stwierdził Billy.

Zwolnili, trzy razy obeszlili blok wkoło, orbitując wokół niego, jakby ten zaniedbany betonowy kloc był ich słońcem. Na ulicy nie było pusto, ale przechodnie nie zwracali na nich uwagi.

– Chce nas tam zaprowadzić – domyślił się Billy – ale za bardzo się boi.

– Dobra, zaczekajcie tu – zawołał Wati z plastikowej sowy, straszaka na ptaki zatkniętego na dachu apteki. – Pójdę się rozejrzeć.

Wati sunął naprzód: od małej plastikowej Madonny na desce rozdzielczej, do anioła nagrobego, spoglądając wokół oczami pokrytymi ptasim łajnem. Miarowe kroki w rytmie staccato doprowadziły go do podnóża wieżowca. Przyjrzał się budynkowi wzrokiem sprężynowego konika kołyszącego się na placu zabaw.

W kilku mieszkaniach wyczuł obecność chowańców. Wszystkie należały do związku. Dwa strajkowały, a trzeci – co to było? papuga? – wciąż pracował, bo z jakiegoś powodu miał zwolnienie. Cała trójka ze zdziwieniem wyczuła obecność swego organizatora. Wati sięgnął wokół i znalazł lalkę na parterze. Rozejrzał się, chwycił terakotową figurkę w sąsiednim mieszkaniu, nie znalazł nic ciekawego, wskoczył więc w porcelanową pasterkę na kominku.

Wędrował od figurki do figurki. Krótkie chwile przebudzenia tworzyły rozdrobnioną chmurę świadomości. Strobował poprzez podłogi, z lalki w rzeźbioną mydelniczkę, w zabawkę erotyczną i w stary bibelot, patrząc, jak mieszkańcy pieprzą się, jedzą, czytają, śmieją się, klócą i wykonują inne czynności, które w ogóle go nie interesowały.

Na trzecim piętrze od góry obudził się w plastikowej figurce kapitana Kirka. Pomacał kształt swojej postaci, zawiasy, na których zamocowano jej ręce i nogi, wymalowany na ciele mundur Gwiezdnej Floty. Potoczył wzrokiem po zrujnowanym mieszkaniu.

Niecałą minutę później był już w fikuśnym budziku w kształcie kominiarza, stojącym na wystawie sklepu, przed którym przechadzali się Billy i Dane.

– Hej! – zawołał.

„Zegar mnie woła”, pomyślał Billy, tak głośno, że każdy z odrobiną talentu byłby w stanie to odczytać. Zagapił się na Watiego. „A jeszcze tak niedawno byłem tylko gościem, który pracował w muzeum”.

– Trzecie piętro od góry. Chodźcie.

– Zaczekaj! – zawołał Dane. – Simon jest w środku? Wszystko z nim w porządku?

– Sami zobaczycie.

– Jezu – szepnął Billy. – Ależ tu śmierdzi.

– Mówilem – odparł Wati, siedząc w podróbce figurki Power Rangersa. Dane trzymał go przed sobą, niczym broń.

Zasłony były zaciągnięte. Wokół unosił się smród gnijącego jedzenia, przeupoconych ubrań i brudnych podłóg. Wszystkie pokoje tonęły w zapleśniałych śmieciach. Wszędzie widać było ślady obecności zwierząt – karaluchów, myszy i szczurów. Tryblit skamlał. Żalony, owłosiony stwór wygramolił się z torby i na wpół wpełznął, na wpół wtoczył się do salonu. Z pokoju dobiegały głosy.

– Więcej was tutaj? – spytał ktoś nerwowo. – Niemożliwe, niemożliwe. Liczyłem przecież, ja albo wy, to już wszyscy, prawda, to my, czyż nie? Tryblit, Tryblit? To ty? Ale ty nie mówisz, prawda?

– To on – szepnął Dane. – To Simon. – Wyjął kuszę.

– O Jezu – jęknął Billy.

Całą dostępną powierzchnię pokrywały gadzety ze Star Treka. Wszędzie stały modele Enterprise i plastikowe Spocki znacznie lepiej wyrażające beznamiętność niż grający je aktor, na ścianach zawieszono klingońskie bronie. Półki ugiwały się od plastikowych fazerów i komunikatorów.

Na kanapie siedział upiornie wyglądający człowiek i trzymał na kolanach Tryblita. Twarz miał bladą i pokrytą złuszcządzającą się skórą. Mundur Gwiezdnej Floty był brudny, insygnia przypominały jedną z licznych plam.

– Myślałem, że przyszło ich więcej – wyjaśnił.

Ze wszystkich stron otaczały, oblekały i wieńczyły go szepczące istoty. Na zmianę ukazywały się i znikwały, jakby utworzono je z mrocznego światła. Wstępowały w jego ciało i wychodziły z niego, błądziły i odpływały. Snuły się po pokoju, gruchały i zawodziły, obłąkańczo próbując naśladować ludzką mowę.

Wszystkie wyglądały jak on. Wszystkie wpatrywały się w niego nienawistnie.

– Co się stało, Simon? – spytał Dane. Zamachał ręką, próbując rozpedzić cienie, niczym rój owadów albo odrażający zapach. Zjawy nie zwróciły na niego uwagi. – Co się stało?

– Stracił rozum – stwierdził Wati. – Kompletnie oszalał. – Rozgorączkowany, przeskakiwał z jednej zabawki do drugiej. – Wyobraź sobie... jakie to uczucie... zмагаć się z tym bez przerwy... każdego dnia... i każdej nocy. Kompletnie oszalał.

– Musimy sprowadzić egzorzystę – stwierdził Dane.

– Wiedziałem, że będę z tego kłopoty – powiedział Simon. Skulił się, jakby próbował się osłonić przed swoimi rozwścieczonymi wizerunkami. – Ale zawsze jest jeszcze ta ostatnia robota. – Wykonał gest, jakby strzelał z pistoletu. Kilka postaci bez uśmiechu powtórzyło jego gest. – Nie mogłem odmówić. Boże, naprawdę się postarali.

– Mówiłem wam – stwierdził Billy. Pomiędzy rozrzuconymi książkami z ulubionej serii Simona stało pudełko, wokół którego wciąż walały się kawałki sznurka i rozerwany papier. W środku znalazł grubą książkę i kolejny fazer. Książka stanowiła katalog aukcji. Bardzo ekskluzywna sprzedaż akcesoriów ze Star Treka. Cena modelu Enterprise – z serialu *Następne Pokolenie* – zaczynała się od dwustu tysięcy dolarów. Były tam mundury i różne

akcesoria, głównie z epoki Picarda. Wypatrzył też parę przedmiotów pochodzących z innych spin-offów i kilka z pierwszego serialu.

W końcu znalazł także fazer. Wszystkie szczegóły podano z fanowską dokładnością – fazer typu 2, z ruchomą wstawką typu 1 i tak dalej. Cena wyjściowa była bardzo wysoka – gadżet wielokrotnie wykorzystywano na planie. Billy podniósł broń, a przezroczyście zjawy spojrzwały na niego, ich wzrok był jednocześnie tęskny i zagniewany. Do zabawki doczepiono kartkę z napisem: „Zgodnie z umową”.

Broń okazała się dziwnie ciężka. Billy włączył ją na próbę, wymierzył i pociągnął za spust. Dźwięk, który usłyszał, był mu dobrze znajomy z telewizji – odgłos przypominający wystrzał połączony z brzęczeniem komara. Potem poczuł ciepło i zobaczył błysk. Z plastikowej broni wystrzeliła wiązka promieni i przecięła powietrze, zmierzając w kierunku ściany z prędkością światła. Dane krzyknął i rzucił się w bok, a widmowe Simony zawyły.

Billy wpatrywał się w przedmiot, który ścisnął w ręce, a potem przeniósł spojrzenie na osmaloną ścianę. Idiotyczny kawałek plastiku i blachy wystrzelił jak prawdziwy.

– Dobra – powiedział w końcu Dane. Przez godzinę wyciągał z Simona zeznania, próbując osłaniać go przed wirującymi zjawami. – Czego zdołaliśmy się dowiedzieć?

– Kim oni są? Ci oni?

– I właśnie dlatego sam nigdy bym tego nie zrobił – stwierdził Dane. – Jeśli masz przenieść kawałek skały czy jakieś ciuchy albo coś martwego, to żadna różnica. Ale wziąć coś żywego i zrobić z nim coś takiego? Teleportować? Wiesz, co się wtedy dzieje? Bierzesz człowieka i rozrywasz na kawałki, a potem sklejasz ze sobą i każesz im żyć dalej. Rozumiesz? Ten człowiek zginął. A ten na drugim końcu tylko myśli, że jest nim. Nie jest. Dopiero co się urodził. Ma wspomnienia tego poprzedniego, ale tak naprawdę jest noworodkiem. Na tym Enterprise bez przerwy popełniali samobójstwa i tworzyli swoje klony. Makabra. Ten statek jest pełen kserokopii nieboszczyków.

– To dlatego przestał pracować? – domyślił się Billy.

– Może zrozumiał, że mu to nie służy. Coś go niepokoiło. Ale potem znów wracał i robił to znowu. To była wielka robota. – Dane skinął głową. – Ten kraken. Kropla przepełniła czarę. Wiesz, przez ile lat Simon teleportował się w różne miejsca, „wyznaczał współrzędne” i ulatniał się z towarem? Rozumiesz? Wiesz, ile razy zginął? Prawie tyle samo co pierdolony kapitan James T. Kirk. Człowiek, który tutaj siedzi, narodził się z pustki przed paroma dniami, wynosząc krakena z muzeum. A tym razem, gdy wrócił do siebie, wszystkie jego wersje, które zginęły wcześniej, już na niego czekały. I były bardzo wkurzone.

– To chyba niesprawiedliwe – zauważył Billy. – On jako jedyny z tej bandy nie zabił jeszcze nikogo; przecież dopiero się tu zjawił. To oni pozabijali się nawzajem.

– Aha – przyznał Dane. – Ale tylko on żyje, a te widma muszą na kimś wylądować złość. Nie postępują zbyt logicznie. Właśnie dlatego Simona nawiedzają Simony. Biedny sukinsyn.

– No dobrze – zgodził się Billy. – Ale dlaczego to zrobił? – Wskazał na fazer, katalog i liścik. – Ktoś się z nim skontaktował. Nadchodzi największa wyprzedaż gadżetów w ostatnich latach, a on nie ma się do niej jak dobrać. Wtedy ktoś składa mu propozycję nie do odrzucenia. Zrobili coś z tą spluwą.

Dane skinął głową.

– Wynajęli jakiegoś maga. Podszytował ją, żeby stała się prawdziwa.

– A co Simon miał wtedy zrobić? – ciągnął Billy. – Powiedzieć, że nie chce jedyne działającego fazera na świecie? Kazali mu przenieść tylko jedną rzecz. Kto napisał ten list? Simon nie potrzebował kałamarnicy. Człowiek, który zamachał przed nim tym gnatem, to nasz tajemniczy gracz. To on zabrał twojego boga.

CZEŚĆ TRZECIA

LONDYNMANCJA

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Billy wpatrywał się w rozgniewane, martwe wersje Simona. Czy teleporter miał poczucie winy? Czuł się odpowiedzialny za wielokrotne nieumyślne spowodowanie samobójstwa? Cóż za oryginalny grzech.

Po jakimś czasie wrócił Wati, wskakując w figurkę argeliańskiej tancerki.

– Otwórz drzwi – polecił. Na progu stała jakaś zmęczona kobieta, trzymając w rękach kręty barani róg.

– Cześć, Dane – przywitała się. – Boże wszechmogący, co tu się działo?

– Mo jest najlepsza ze wszystkich, jakich znam – wyjaśnił Wati. – A do tego nikt jej nie kojarzy...

– Jesteś egzorcystką? – spytał Billy.

Kobieta przewróciła oczami.

– To rabba, idioto – odparł Wati. – Simonowi i tak wszystko jedno.

– Widziałam już opętania legionowe – powiedziała Mo. – Ale nigdy... Boże wszechmogący, to wszystko on! – Przeszła przez koronę duchów i wymruczała coś uspokajająco. – Mogę spróbować coś zrobić – oznajmiła. – Ale musimy go zanieść do bożnicy. – Potrząsnęła rogiem. – To nie wystarczy.

Mrok zapadł wcześniej, ale wciąż był pełen świateł i dziecięcych okrzyków. Wati stał na straży, przeskakując po wszystkich figurkach w promieniu kilometra. Dane, Billy i Mo wpatrywali się w upiorny krąg widm nawiedzających Simona.

– Musimy iść! – zawołał nagle Wati z wysokiego na stopę McCoya.

– Jeszcze za wcześnie – odparł Dane. – Nie ma nawet północy...

– Teraz! – nalegał Wati. – Idą tu!

– Kto?

– Chryste panie! Ruszcie tyłki! Goss i pieprzony Subby!

To ich zmobilizowało.

– Tatuaz też wpadł na ten pomysł – stwierdził Wati, gdy wszyscy troje zbierali swoje rzeczy i wywlekali z mieszkania nieszczęsnego Simona otoczonego obłokiem duchów. –

Wytropił Simona. Nadchodzą jego pięściarze. Niektórzy wchodzą głównymi schodami. Reszta jest już blisko. Goss i Subby są tuż-tuż.

– Widzisz jakieś inne wyjście? – spytał Dane.

Wati odszedł, po czym wrócił.

– Jeśli tak, to nie ma w pobliżu żadnych figur.

– Na pewno jest na tyłach – stwierdził Billy. – Wyjście ewakuacyjne, na wypadek pożaru.

– Weź jakąś figurkę – rozkazał Wati. – Ja odciągnę Gossa i Subby’ego.

– Wati! – zawołał Dane, ale tamten już odszedł. Billy chwycił fazer, katalog aukcyjny i plastikowego Kirka. W korytarzu nie było nikogo. Dane biegł pierwszy, Mo i Billy podążali z tyłu, ciągnąc za sobą Simona owiniętego w koc, który dość kiepsko ukrywał jego prześladowców. Usłyszeli dźwięk stojącej windy. Dane uniósł kuszę i pokazał im, że mają odejść. – W dół – pokazał wyjście ewakuacyjne. – Mo, nie pozwól, żeby cię ktoś zobaczył. Billy, nie pozwól, żeby ją ktoś zobaczył. – Potem pobiegł do windy.

– Puf, puf, puf, co, Subby?

Goss biegł truchtem. Niespecjalnie szybko, do tego zabawnie kołysał głową na boki. Za nim podążał Subby, nieświadomie powtarzając ten sam ruch.

– Reszta niedźwiadków jest już na drugim brzegu – ciągnął Goss. – A gdy przejdziemy przez magiczny mostek, będziemy mogli zjeść cały miodek. Puf, puf, puf. – Od podnóża wieżowca dzieliły go jeszcze dwa czy trzy zakręty. Goss spojrzał w ciemną ulicę. Na skrzyżowaniu ze ślepą uliczką stało kilka zniszczonych kubłów na śmieci. Mocniejszy podmuch wiatru przewrócił wypełniony worek, a wtedy kubły zaczęły się chwiać i potrącać nawzajem, jakby próbowały zejść Gossowi z oczu.

– Pamiętasz, jak Kochany Miś i Słodki Miś przyprowadziły do domu Kwiatową Księżniczkę? – spytał Goss. Zacisnął pięści, po czym znów je rozwarł. Uśmiechnął się, obnażając całkowicie zęby, po czym ugryzł powietrze. Subby gapił się w milczeniu.

– Posuń się, Billy.

Goss zamarł, słysząc ten cichy głos.

– Zamknij się, Dane.

Ciche, londyńskie szepty. Rozbrzmiewały tuż obok, w jednej z ciemnych uliczek.

– Jest blisko – powiedział czyjś głos, a potem z dalszej odległości doleciała odpowiedź:

– Ćśśś.

– Subby, Subby, Subby – szepnął Goss. – Pilnuj, żeby te małe dzwoneczki na twoich pantofelkach nawet nie brzęknęły. Dwa kucyki, Błyskotka i Gwiazdeczka, wymknęły się z Jabłkowego Pałacu i minęły wszystkie małporyby, ale jeśli będziemy cicho jak maleńkie gobliny, to zdołamy je zaskoczyć, a potem będziemy sobie razem płaść po Łące Szczęśliwych Latawców.

Przyłożył palec do ust i zaczął skradać się w stronę zaułka, skąd rozbrzmiewały głosy. Subby udał się za nim na palcach, znikając w cieniu, gdzie wciąż ktoś szeptał.

Drzwi do windy stanęły otworem, a Billy, wyglądając z wyjścia ewakuacyjnego, zdążył jeszcze dojrzeć trzy ciemne sylwetki w kaskach motocyklowych. Dane uniósł broń. Rozległo się uderzenie.

– Idźcie! – krzyknął z kieszeni Wati-Kirk.

– Idźcie! – zawołał Dane, nie odwracając głowy.

Billy i Mo z trudem sprowadzili Simona po schodach.

– A Dane? – powtarzał ciągle Billy, ale Watiego już nie było.

Od parteru dzieliło ich sporo pięter i tylko dzięki adrenalinie trzymali się na nogach i nie padli pod ciężarem Simona. Słyszeli tłumione przez ściany odgłosy uderzeń. Billy poczuł na skórze obrzydliwy dotyk widma, gdy przemknął po nim rój dręczycieli Simona. Gdy w końcu dotarli na parter, z trudem chwycił powietrze i prawie wymiotował.

– Nie stójcie tak, kurwa! – ponaglił ich mały Kirk. – Idźcie!

Jakiś przypadkowy przechodzień popatrzył na duchy Simona z takim zdziwieniem, że nawet nie okazał strachu. Billy i Mo pognali w stronę windy i frontowych drzwi, ale gdy je otworzyli, stało za nimi dwóch ludzi Tatuaza. Szary kamuflaż, kaski z przyciemnioną szybką, broń.

Mo krzyknęła i uniosła ręce. Billy zasłonił ją sobą i odpalił fazer.

Nie spanikował. Miał nawet czas, by zdziwić się, jak spokojnie zareagował – odruchowo uniósł broń i nacisnął spust.

Nie było odrzutu. Znowu rozległ się ten kiczowaty odgłos, z lufy wystrzeliła wiązka promieni. Trafiła w pierś jednego z napastników i rozlała się w koncentryczny krąg, rzucając go do tyłu. Drugi z nich biegł wyćwiczonym zygzakiem i Billy strzelał do niego kilka razy, chybiając za każdym razem i przypalając ściany. Mo wrzeszczała. Billy wyrzucił przed siebie rękę. Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie, jakby wpadł na ścianę. Odbił się od czegoś niewidocznego. Walił w przeszkodę hełmem, aż dźwięczało.

Billy nie usłyszał nadjeżdżającej windy ani otwierających się drzwi. Zobaczył tylko Dane'a, jak zachodzi przeciwnika z tyłu i z całej siły wymierza mu cios w kask, szerokim łukiem, niczym pałkarz. Mężczyzna upadł, jego pistolet przejechał po chodniku. Kask spadł na ziemię.

Jego głowa miała kształt olbrzymiej pięści, która zaciskała się i otwierała na zmianę. Potem wyprostowała palce i zwróciła się dłonią naprzód. Gdy mężczyzna spróbował wstać, znowu się zacisnęła, a wtedy krakenita mocno uderzył ją w tył. Napastnik upadł.

– Chodźcie – powiedział tylko Dane.

Klucząc krętą drogą, pobiegli do samochodu Mo i pomogli jej ułożyć roztrzęsionego, zamroczonego Simona na tylnym siedzeniu. Tryblił parsknął cicho.

– Nic nie obiecuję – powiedziała kobieta.

– Zobacz, co da się zrobić – odparł Dane. – Skontaktujemy się z tobą. Ktoś cię widział?

– Chyba nie – odparła. – Poza tym w ogóle mnie nie znają. Nawet jeśli... – przerwała niepewnie. Napastnicy nie mieli oczu.

– To dobrze. Idź już. – Dane poklepał dach samochodu, jakby go uwalniał. Gdy Mo odjechała, pomacał klamki okolicznych samochodów, aż w końcu intuicja, którą miał w palcach, pomogła mu znaleźć i otworzyć właściwy.

– Kim oni są? – spytał Billy. – Ci ludzie?

– Pięściarze? – Dane zapalił silnik. Z tyłu rozległy się jakieś krzyki. – To specyficzny rodzaj ludzi. – Był pijany euforią. – Ma to pewne zalety. Trzeba lubić walkę. Powinieneś ich zobaczyć nago. Nie, właściwie to nie powinieneś.

– Jak oni widzą?

Mknęli przed siebie w noc. Dane zerknął na Billy'ego, po czym uśmiechnął się szeroko, podskakując na siedzeniu i potrząsnął głową.

– Boże, Billy – powiedział tylko. – Ależ ty kombinujesz.

– Dobra. – To był Wati, znów w plastikowym Kirku. – Oddalmy się trochę od Gossa i Subby'ego.

– Jesteś genialny – stwierdził Dane. – Co zrobiłeś?

– Dobrze jest umieć udawać różne głosy. Zaraz wracam.

Dane przyspieszył. Potrząsnął kuszą, którą wciąż trzymał w lewej ręce.

– Co za gówno – stwierdził. – Nigdy wcześniej nie musiałem... Potrzebuję czegoś więcej. To zwykły szajs. Potrzebna mi nowa broń.

Goss stał nieruchomo jak pień.

– To ślepek, Subby – powiedział. – Zastanawiam się, dokąd poszła Błyskotka.

– Wiesz, co się stało? Ja ci powiem – odezwała się prymitywnie wyrzeźbiona figurka na szczycie dachu. – Zostałeś zrobiony, ty psychopatyczny pojebańcu – dodał głos dobiegający z gumki w kształcie żaby leżącej przy krawężniku. A potem ze skrzynki pełnej uschniętych roślin dobiegł jeszcze głos małego plastikowego nurka: – Dobranoc.

– No cóż – powiedział Goss w głębokiej ciszy, która zapadła po odejściu Watiego. – Cóż, księżniczko Subby. Zobacz, na co nam przyszło. Co za uprzykrzone tra la.

Byli już za rzeką. Dane wjechał w wąski, opuszczony przejazd prowadzący pomiędzy rzędami podupadłych garaży u podnóża wieżowca. Wyłączył silnik i przez jakiś czas siedzieli w ciemności. Billy czuł, jak puls mu zwalnia, a mięśnie rozluźniają się jeden po drugim.

– Właśnie dlatego nie powinniśmy wchodzić do akcji bez Watiego – wyjaśnił Dane. – Sami nie poradzimy sobie z takim gównem.

Billy przytaknął wolno, a potem zmienił decyzję w pół gestu, aż w końcu ruch przeszedł w potrząsanie.

– To nie ma żadnego sensu.

Zamknął oczy i próbował to wszystko przemyśleć. Wpatrywał się w ciemność pod powiekami, jakby to był mrok morskich głębin. Próbował sięgnąć w głąb, znaleźć jakieś ukryte w nim przesłanie. Sięgał i nie wyczuwał niczego. Westchnął. Zabębnił o szybę. Chłód pod palcami. Coś przyszło mu do głowy, ale, ściśle rzecz biorąc, nie był to pomysł – raczej ukierunkowanie, świadomość tego, gdzie należy szukać. Otworzył oczy.

– Ten człowiek – powiedział. – Ten gość w butelce, którego znalazłem. Jak on się w to wplątał?

– Nie wiem – odparł Dane. – Na tym polega problem, nie wiemy nawet, kto to jest.

– Eee... – zająknął się Wati. – To nie jest prawda.

– Co? – Dane spojrzał na małą figurkę.

– Mówiłem ci: gdy ten niby-policjant mnie chwycił, trochę rzeczy przeciekło. Trochę informacji i uczuć, z których go zrobiono. Chyba pamiętam to uczucie... Wiedziałem kto... – Wati pomacał obolałe miejsca. – Adler – powiedział w końcu. – Tak się nazywał ten facet.

– Adler? – upewnił się Dane. – Al Adler?

– Kto to jest? – spytał Billy. – Znaczący, kto to był? Twój przyjaciel?

Przez twarz Dane'a przebiegło kilka różnych uczuć.

– Nie do końca. Znałem go, ale nigdy... Al Adler był nikim, póki nie spiknął się z Grisamentumem. – Spojrzeli na siebie. – Został chłopcem na posyłki. Robił różne rzeczy dla Grisa.

– Co się z nim stało, kiedy Grisamentum zniknął?

– Myślałem, że gdzieś się zasztył i zapijał na śmierć czy coś. Był człowiekiem Grisa do szpiku kości. Spotkałem go raz po pogrzebie i myślałem, że zwariował. Bez przerwy nawijał o różnych ludziach, z którymi mógł współpracować dzięki swojemu szefowi, jakie to fantastyczne, ple, ple, ple. Kompletne wyparcie.

– Nie. – Billy odwrócił wzrok i odezwał się w stronę okna, poprzez szkło, do cieni kładących się wzdłuż garaży. – Na pewno nie zalewał pały. Robił coś w muzeum i zginął, tej samej nocy, kiedy zniknął kraken. A co, jeśli przez cały czas pracował dla Grisamentuma?

– Było tam jeszcze coś – przyznał Wati. – Coś jakby... – Pomacał sińce pozostawione przez widmowego policjanta. – Wygląda na to, że przebywał w tym słoju już od dłuższego czasu. Zanim go poznałeś. Zginął, zanim się urodził.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Billy.

– Och, czas – westchnął Dane. – Czas, czas, czas. Zawsze był bardziej kapryśny, niż ci się wydaje. Al został zamieniony we wspomnienie, prawda? – Wystukał jakiś rytm na desce rozdzielczej. Z każdym ruchem napinał jakieś maleńkie ezoteryczne mięśnie, a bioluminescencyjny blask rozbłyskał mu pod palcami przy każdym dotknięciu. – No dobra –

przyznał. – Uznajmy, że jest w to zamieszany. Mamy Simona i mamy trop. Musimy się dowiedzieć, kto go zatrudnił. Muszę ukraść telefon i iść pogadać z Jasonem Smyle'em. To ten kameleon, o którego kiedyś pytałeś. On nam pomoże. To znaczy, mnie.

– Aha – odparł Billy. – Ale chyba już wiesz, czego się dowiemy, prawda? To on. Grisamentum. To on za tym stoi. To on ma krakena. – Znów odwrócił się do swoich towarzyszy – A teraz z jakiegoś powodu zależy mu na nas.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Każdy, kto umiał słuchać miasta, wiedział już, że Goss i Subby wrócili. O Gossie mówiono, że nie ma serca w piersi i nie boi się niczego. A Subby... co właściwie można było o nim powiedzieć? Wrócili, by wykonać kolejną ostatnią robotę. To się często zdarzało. Tym razem wynajął ich Tatuaz, a robota miała coś wspólnego z krakenem – tak, ze słynnym porwaniem kałamarnicy – które Tatuaz osobiście zorganizował, bądź też nie, w zależności od tego, którym pogłoskom wierzyć.

Tak czy inaczej, dołączył do polowania. Jakby tego było mało, zmobilizował swoją armię dziwnych, opętanych autoagresją, pięściogłowych goryli i nieszczęsnych, zrujnowanych produktów warsztatu, które wlokły się po ulicach, ciągnąc za sobą mechaniczne części i kable, od jednej dziury do drugiej, bezmyślnie powtarzając rozkazy i zbierając informacje. A teraz nasłał Gossa i Subby'ego i całą resztę najgorszych londyńskich mętów na Dane'a Parnella, który – słyszeliście? – został wyrzucony z Kościoła krakenitów.

Zgodnie ze skomplikowanym układem teopolitycznym, wszystkie sojusze i czasowe przymierza były tworzone w jednym konkretnym celu – na zbliżającą się wojnę. Miało to coś wspólnego z powolnym rozpadem świata, który wszyscy ostatnio odczuwali.

Tatuaz zebrał swoich pariasów. Wysłał jednego z przerobionych, by spytał najgorszej bandy łowców, czy mają dla niego jakieś wieści, i dopilnował, by pogłoski o tej uwerturze rozeszły się szeroko. Strategia oparta na strachu. Tak, właśnie. Tacy jesteśmy źli.

Jean Montagne był starszym ochroniarzem pracującym na stanowisku przy wejściu do jednego z najbardziej prestiżowych domów aukcyjnych w Londynie. Miał czterdzieści sześć lat. Jakies dwadzieścia lat wcześniej przeprowadził się tu z Francji. Był ojcem trójki dzieci, choć, ku swemu wielkiemu ubolewaniu, nie miał zbyt wiele kontaktu z najstarszą córką, którą spłodził, gdy był stanowczo za młody. Ćwiczył tajski boks.

Od kilku lat był kierownikiem zmiany i kilkakrotnie udowodnił swoją wartość, gdy różni wariaci próbowali wdrzeć się do środka w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu, zwykle upierając się, że odebrano im go nielegalnie. Jean postępował grzecznie i ostrożnie. Znał z twarzy wszystkich pracowników biura, a wielu z nich także po imieniu.

– Cześć.

– Cześć.

– Cześć, Jean.

– Cześć.

– Co jest? – Tym razem bramka się nie otworzyła. Mężczyzna patrzył na niego przeprasząc, podnosząc swój identyfikator. Miał około czterdziestki, był bardzo szczupły i miał krótko przycięte, rzadzące włosy.

– Cześć. Zły identyfikator – wyjaśnił Jean. „Facet pracuje w dziale akwizycji”, pomyślał. „Nazywa się Mike”.

Mike zaśmiał się, widząc swoją pomyłkę. Zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku kartę kredytową.

– Przepraszam, jestem dziś nieprzytomny. – Zaczął poklepywać kieszenie w poszukiwaniu karty.

– Przechodź – oznajmił Jean i nacisnął guzik, wpuszczając Mike’a czy raczej, jak pomyślał teraz, Micka z działu akwizycji. A może księgowości. – Miłego dnia. A następnym razem przynieś właściwą kartę.

– Jasne – odparł mężczyzna. – Dzięki. – Poszedł w stronę wind, a Jean nie dostrzegł w tej sytuacji niczego podejrzanego.

Maddy Singh była dyrektorem administracyjnym biura na piętrze sprzedaży. Miała trzydzieści osiem lat, ubierała się elegancko i była na wpół jawną lesbijką – nie siedziała w szafie, ale i nie potwierdzała. Lubiła balet, zwłaszcza tradycyjny.

– Dzień dobry.

Spojrzała na idącego w jej stronę człowieka.

– Cześć – odparła. Wiedziała, że go zna, i pospiesznie poszukała w pamięci imienia.

– Muszę coś sprawdzić – powiedział tamten.

Maddy nie rozmawiała ze swoim bratem, byli straszliwie pokłóceni.

Mężczyzna uśmiechnął się, po czym uniósł rękę i rozstawił palce na boki, łącząc wskazujący ze środkowym, a mały z serdecznym.

– Żyj długo i szczęśliwie.

– Żyj długo i pomyślnie – poprawiła odruchowo. Doszła do wniosku, że mężczyzna ma na imię Joel i pracuje w dziale IT. – Spock byłby tobą zawiedziony.

Maddy Singh nienawidziła gotowania, żywiła się głównie wysokiej jakości gotowymi daniami.

– Wybacz – odparł tamten. – Muszę sprawdzić parę rzeczy dotyczących tej aukcji startrekowej. Potrzebne mi nazwiska paru klientów.

– Ta impreza fanowska? Laura się tym zajmuje. – Wskazała kogoś w głębi pokoju.

– Dzięki – odparł Joel, jeśli rzeczywiście tak się nazywał, i rozłożył palce na pożegnanie, tak jak robili to ostatnio wszyscy pracownicy biura. Niektórzy musieli się nieźle namęczyć, by wykonać ten gest. – Nigdy nie byłem za dobry w klingońskim.

– Wolkańskim! – zawołała przez ramię Maddy. – Jesteś niemożliwy!
Nigdy więcej nie pomyślała o tym człowieku.

– Cześć, Lauro.

– Och, cześć. – Kobieta uniosła wzrok znad biurka. O ile dobrze pamiętała, stojący przed nią człowiek pracował w dziale zasobów ludzkich.

– Możesz coś dla mnie zrobić? – spytał. – Masz papierkologię z tej aukcji startrekowej? – Kobieta przytaknęła. – Potrzebna mi lista sprzedawców i kupujących.

Laura miała dwadzieścia siedem lat, była rudowłosa i szczupła. Miała spore długi i jakiś czas temu zaczęła czytać w internecie o postępowaniu upadłościowym. Lubiła hip-hop i trochę się tego wstydziła.

– Już, już – Zmarszczyła brwi i wpisała coś na klawiaturze. – A co się dzieje?

Mężczyzna raczej nie pracował w zasobach ludzkich, coś jej się musiało pomylić. Najwyraźniej był z działu windykacji.

– Och, wiesz, jak to jest – odparł, po czym potrząsnął głową i wzniosł oczy do nieba, by pokazać, jak bardzo ma tego wszystkiego dosyć. Laura zaśmiała się wyrozumiale.

– Tak, wiem. – Laura zastanawiała się, czy nie wrócić na studia, by zrobić magisterkę z literatury. Znalazła odpowiednie pliki. – Byłeś na tej aukcji? Przebrałeś się?

– O, tak – odparł. – Cały byłem wyteleportowany.

– Chcesz wszystkie? – spytała. – Wiesz, że do tego potrzeba upoważnienia?

– Hm – odparł w zamyśleniu. – Pewnie przydałyby się wszystkie, ale... – przygryzł wargę. – Wiesz co? Mogłabyś zadzwonić później do działu i wziąć potwierdzenie, no wiesz, od Johna i wtedy wydrukować mi całą dokumentację? Ale nie ma pośpiechu, tak na szybko potrzebne mi tylko dane na temat transakcji numer 601.

Laura kliknęła coś na monitorze.

– Okej – odparła. – Mogę skontaktować się z tobą za parę godzin w sprawie pozostałych wydruków?

– Jasne, nie ma problemu.

– Ooo, anonimowy nabywca.

– Aha. Właśnie dlatego muszę się dowiedzieć, kto to był.

Laura spojrzała na jego znajomą twarz.

– Okej. Co sprawdzacie? – Przewinęła listę anonimowych.

– O Boże. – Jej rozmówca przewrócił oczami. – Nawet nie pytaj. Problemy, nie tylko problemy. Ale dajemy radę.

Laura wydrukowała stronę. Mężczyzna podniósł kartkę, pomachał na pożegnanie i odszedł.

– Oho, idzie – oznajmił Dane.

Czekali z Billym beczynn timer przy kiosku z gazetami. Po drugiej stronie ulicy ukazał się Jason Smyle, proletariacki kameleon. Zmierzał w ich kierunku, składając i rozkładając kartkę papieru.

Jason wciąż był okryty swoim sznytem, a ludzie, których mijał, przez chwilę byli przekonani, że go znają, że ten facet pracuje przy biurku w tym samym pokoju albo nosi cegły na tej samej budowie, albo mieli kawę w tej samej kawiarni, choć nie mogli sobie przypomnieć jego imienia.

– Cześć, Dane – Jason objął go na powitanie. – Cześć, Billy. Gdzie jest Wati?

– Dogląda strajku.

Jason był pochodną gospodarki. Jego sznyt pozbawiał go indywidualnych rysów, był idealnie nieokreślony. Był abstrakcją – nie pracownikiem, lecz antropomorfizacją pracy etatowej. Któż mógłby spojrzeć takiej gorgonie w twarz? Każdy, kto go widział, natychmiast konkretyzował go do postaci znajomej z danego miejsca. A to z kolei sprawiało, że zwrócenie na niego uwagi było praktycznie niemożliwe.

Gdyby Smyle nie istniał, Londyn i jego gospodarka stworzyłyby go same, rozwinąłby się niczym pączek kwiatu. Znajdował sobie jakieś puste biurko, gdzie układał na komputerze pasjansa albo przekładał papiery, po czym pod koniec dnia szedł do działu zasobów ludzkich i prosił o wypłatę z góry. Ta niecodzienna prośba normalnie wzbudziłaby konsternację, ale ponieważ pracownicy byli przekonani, że go znają i tylko z jakiegoś powodu nie mogą znaleźć jego pliku, wypłacali mu tygodniówkę z pieniędzy przeznaczonych na drobne wydatki i robili z tego notatkę.

Smyle wykonywał także różne zlecenia – za wynagrodzeniem lub jako przysługi dla przyjaciół. Pozostałości sznytu wciąż go otaczały i Billy, mimo iż wiedział, co jest grane, przez chwilę miał wrażenie, że Jason pracował wraz z nim w Centrum Darwina – był technikiem laboratoryjnym, a może biologiem lub kimś takim.

– Macie. – Jason podał im wydruk. – To jest nabywca waszego lasera. Mówiłem poważnie, Dane. Nie mogłem uwierzyć, że cię... no wiesz, twój Kościół. Cieszę się, że mogłem pomóc. Daj znać, jakbyś czegoś potrzebował.

– Dzięki. Bardzo mi pomogłeś.

Jason skinął głową.

– Wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział jeszcze i wsiadł do autobusu. Nie musiał kupować biletu, bo kierowca był przekonany, że pracują w tej samej zajezdni.

Dane rozwinął papier – powoli, jakby czekał na odgłos werbli.

– Wiesz, że to on – upierał się Billy. – Nie wiemy tylko dlaczego.

Zrozumienie treści dokumentu zabrało im kilka sekund. Było tam kilka pól – wysokość kwoty, wielkości procentowe, adresy, daty, właściciel przedmiotu, a w końcu – zaznaczone odpowiednim symbolem, co oznaczało, że we wszystkich innych przypadkach ma zostać ukryte – nazwisko kupującego.

– Ale to nie on – odparł Dane. – To nie Grisamentum.

– Saira Mukhopadhyay? – przeczytał Billy. Wiedział, jak to wymówić. – Kto to, kurwa, jest?

– Asystentka Fitcha – powiedział cicho Dane. – Ta wytworna. Była z nami, kiedy czytał z wnętrzości. – Spojrzeli po sobie.

A zatem to nie Grisamentum.

– Osoba, która kupiła tę spluwę i kazała ją podsznytować, wynajęła Simona... – powiedział Billy. – To londynmantka.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Billy przez całą noc słyszał w głowie jakiś zgiełk. Trudno mu było nawet określić taki rozszalały i dezorientujący potok obrazów jako sen. Był to raczej wytrysk, strumień wymiocin.

Znów znalazł się w wodzie, nie płynął, lecz dryfował, płynął synchronicznie, nie płynął, lecz tonął, zmierzał w stronę boga-kalmara, który czekał na niego; jego krajobraz z macek i oczy wielkości księżyców, których nigdy nie widział, ale i tak wiedział, tak jakby jądro planety nie składało się z płynnych metali, lecz z mięczaków, tak jakby tym miejscem, gdzie zmierzamy po upadku, gdzie zmierzało jabłko, gdy na drodze stanęła mu głowa Newtona, był kraken.

Nagle przestał tonąć. Wylądował na czymś niewidzialnym. Szklane ściany niewidoczne w mrocznym oceanie. Leżał w jakimś pojemniku przypominającym trumnę, czuł się nie tylko bezpieczny, ale i potężny.

A potem zobaczył film rysunkowy, który rozpoznał – swoją ulubioną bajkę o butelkach, które tańczyły na półkach, gdy aptekarz spał i nigdzie nie było żadnego głowonoga, a potem na chwilę stał się Tintinem, w jakimś tintinowym śnie, i kapitan Haddock gonił go z korkociągiem, ponieważ był butelką, ale on niczego się nie bał i nikt nie mógł go skrzywdzić, a potem zobaczył jakąś kobietę o ciemnych włosach i wiedział, że to Virginia Woolf. Poprosiła, żeby nie zwracał uwagi na tę kałamarnicę za oknem, choć wygląda na zagubioną i zaniedbaną, a potem powiedziała mu, że jest nieortodoksyjnym bohaterem, według nietypowej definicji, a on znalazł się w jakiejś klasycznej krainie i usłyszał głos mówiący, że to wszystko koniec i katastrofa, ale jeśli tak, to dlaczego czuł się tak potężny? I gdzie się podziewa ten pierdolony kraken? Nie chce mu się już włożyć ludziom do głowy, co? I kto podgląda go zza lekko uśmiechniętej modernistki na dwóch różnych wysokościach? Zły jak sugestia wojny? Jeden uśmiech i jedna bezmyślna twarz? A w środku, nieco bliżej, zadziorne szuranie, skok nóg stracha na wróble, palec na nosie i strumień dymu wydmuchnięty z jednej dziurki? Witaj, wujciu. Subby, Goss, Goss i Subby.

Obudził się gwałtownie. Było jeszcze wcześniej, ale serce wciąż biło mu w oszalamiającym tempie. Usiadł na sofie spocony jak mysz. Próbował się uspokoić, ale bez

skutku. Dane siedział przy oknie, przy zaciągniętych zasłonach, tak by obserwować ulicę. Ale zamiast w dół patrzył na Billy'ego.

– Nic na to nie poradzisz – powiedział. – Nie poczujesz się lepiej.

Billy podszedł do niego. Okna było uchylone, ukląkł więc na podłodze i odetchnął chłodnym powietrzem. Dane miał rację – nie udało mu się uspokoić. Położył dłonie na parapecie i oparł ma nim nos, jak postać Kilroya z graffiti, i zapatrzył się w przestrzeń. Nie było na co patrzeć: tylko mętne kałuże pomarańczowego światła i budynki z cienia. Tylko cegły i asfalt.

– Wiesz, co chciałbym wiedzieć – oznajmił w końcu. – Ci ludzie Tatuaza. Tamci z rękami, i ten człowiek-radio. – Dane nie odpowiedział. Billy pozwolił, by owionął go chłód. – Co to w ogóle jest?

– Powiedz, o co ci chodzi.

– Kim oni są?

– Kim popadnie – odparł Dane. – Są tacy, którzy wolą być narzędziami niż ludźmi. A Tatuaz potrafi im to zapewnić.

Tatuaz. Nikt nie nazwałby go „czarującym”, nie było to właściwe określenie, ale z całą pewnością miał coś w sobie. Człowiek pogrążony w głębokiej nienawiści do siebie, ale posiadający na tyle rozwinięte ego, by próbować zmniejszyć swój popęd śmierci, ktoś, kto pragnął spokoju i ciszy, a jego zazdrość wobec przedmiotów martwych była silna, ale nieskażona lękiem, mógł poddać się tej makabrycznej pokusie. „Jeszcze będzie z ciebie pożytek. Chcesz być młotkiem? Telefonem? Lampą oświetlającą tajemne sznytowane pierdoły? Odtwarzaczem płyt? Włóż do warsztatu, stary”.

Należało być wybitnym psychologiem, by terroryzować, dopieszczać i kontrolować ludzi, a Tatuaz doskonale potrafił wywęszyć potrzebujących. Właśnie w ten sposób działał. Był nie tylko bandytą. „Tylko bandyci” nigdy nie zachodzili daleko. Najlepsi z nich byli również psychologami.

– A zatem to nie Grisamentum go zabrał – stwierdził Billy. Dane potrząsnął głową, nie patrząc na niego. – Ale nie będziemy z nim pracować.

– Za dużo tego... – Dane znów potrząsnął głową i po dłuższej chwili dodał: – Nie mam pojęcia. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej. Al maczał w tym palce, no i był człowiekiem Grisamentuma. Nie wiem, komu mogę zaufać, poza sobą.

– Zawsze pracowałeś dla Kościoła? – spytał niespodziewanie Billy.

Dane nie spojrzał na niego.

– Och, wiesz. Każdy z nas ma swój, no wiesz... – urwał. – Swój mały bunt.

Usankcjonowane okresy młodzieńczego buntu i wyparte kryzysy wiary. Błagania o wstrzemięźliwość i umiarkowanie, ale jeszcze nie teraz.

– Byłem żołnierzem. To znaczy... w wojsku. – Billy spojrzał na niego z lekkim zdumieniem. – Ale wróciłem, nie?

– Dlaczego?

Dane w końcu spojrzał wprost na niego.

– A jak myślisz? – spytał. – Dlatego że krakeny to bogowie.

Billy wstał. I zamarł. Nogi ugięły się pod nim, ale bał się poruszyć, by nie zmienić pozycji, nie stracić z oczu tego widoku, który nagle ujrzał

– Co się dzieje? – spytał Dane.

Dobre pytanie. Ulica, tak, światła, cegły, cienie, krzaki zmienione w mroczne włochate bestie, bezosobowość późnej nocy, ciemność okien. Co go tak zafascynowało?

– Coś się poruszyło – powiedział w końcu. Na obrzeżach miasta gnała w ich kierunku jakaś burza. Przypadkowe ruchy skłębionych chmur były przypadkowe, ale przez okno wyglądały jak świadoma plama atramentu, Billy czuł się, jakby patrzył na jakieś tajemne misteria, jakby ukazano mu na chwilę wszystko, co działo się w całej metropolii. Jak to możliwe, by widział to swymi nieudolnymi oczami? Jedynie szkło potrafiło mu to ukazać – krótki przebłysk, rozszczępiony obraz rozpętującej się właśnie wojny.

W tym samym momencie obudziły się tysiące londyńczyków. Pamięć przeciwko nieuniknionemu, ich gwałtowne starcie, burzyło wzorce snów. Marge zerwała się ze snu, wyraźnie świadoma czegoś, co nigdy nie zaszło. Baron obudził się, mrużąc: „No to się, kurwa, zaczęło”. Vardy w ogóle nie spał.

Bliżej Billy’ego, niż mógłby się spodziewać, siedziała przy oknie Kath Collingswood. Usiadła na łóżku dokładnie w tej samej chwili. Szyba w oknie w niczym jej nie pomagała, ale ona miała własne sposoby, by dostrzec różne rzeczy.

Nagle zdała sobie sprawę, że fałszywe duchy, które stworzyła, zostały pokonane. Wstała z łóżka. Spała sama i miała na sobie koszulę z psem Snoopym. Ciarki chodziły jej po całej skórze. Dreszcze z własnym wzorcem interferencji. Londyn ocierał się sam o siebie, jak kość złamana z przemieszczeniem.

– I co teraz, kurwa, mamy robić? – spytała głośno. Głos jej zadrzał i bardzo jej się to nie spodobało. – Kogo mam wezwać?

Coś prostego, nieskomplikowanego, z czego można by wyciągnąć informacje bez większego trudu. Nie musi być silne ani mądre. Może nawet nie powinno. Przekartkowała notes przy łóżku, w którym zapisywała spostrzeżenia na temat różnych przywołań. Może kosmomałpę, całą z poskręcanych macek, która potrafiłaby bezpośrednio stymulować jej nerwy uszne? Nie, zbyt niezależna.

No dobrze, w takim razie niech będzie to prawdziwy uchol, godzien tego miana. Włączyła do kontaktu elektryczny pentagram. Przez chwilę siedziała w koncentrycznych, kolorowych kręgach. Była to ładna, krzykliwa kombinacja. Collingswood przeczytała odpowiedni fragment notatek. Cała sztuka w przypadku takich seansów nie polegała na tym,

by przywołać cokolwiek, lecz by nie przywołać za dużo. Sięgnęła po jednego małego duszka. Zdecydowanie nie był to przewodnik stada.

Nie trwało to długo, tej nocy wszystko aż rwało się do drogi. Wystarczyło, że zamachała abstrakcyjnym wiadrem pełnym widmowych pomyj, i natychmiast rozległy się parsknięcia i radosne wrzaski na samym skraju jej strefy bezpieczeństwa. Przybierając kształt niespokojnego cienia, przypominającego biegające prosię, do pokoju wpadła istota, którą Collingswood odciągnęła od stada podobnych stworzeń, wprowadziła do Londynu i nauczyła reagować na imię Perky.

kollywood, mruknęło. *kollywood jeść*. Niewiele więcej niż ciemność w powietrzu. Stwór nie miał wprawdzie kręconego ogonka, ale najwyraźniej rekompensował to sobie, zwijając całe ciało i rozciągając się po pokoju, przewracając rzeczy Collingswood.

– Perky – przywitała go. Potrząsnęła butelką pełną pozostałości innych duchów. – Witaj. Mam dla ciebie coś dobrego. Co się dzieje?

niam, niam, powiedział Perky. *niam, niam, niam*.

– Tak, dostaniesz niam, ale najpierw powiedz, co się dzieje.

boi, burknął Perky.

– Tak, wszyscy się dziś boją. Co się dzieje?

boi. joły wyszły. roszę nie mów.

– Joły? – Powtórzyła Collingswood zniecierpliwiona. Nie było sensu wściekać się na tego życzliwego, żarłocznego duszka. Był zbyt głupi, by próbować ją oszukać. Świniopodobna istota uniosła się pod sufit, gryząc kabel od lampy. – Nie powiem. Joły, tak?

ta. ta joły idą walczą cą mięta nie szyszło.

Aha. Coś wyszło, żeby walczyć. Mięta? Pomięta? Szyszło?

O kurwa, no przecież. Collingswood wciąż stała w migoczącym pentagramie. „Pamiętać” i „przyszłość”. Wspomnienia przeciw przyszłości. Joły to, oczywiście, anioły. Pieprzone anioły pamięci wyszły z ukrycia. Wychyły ze swoich muzeów i zamków. Wyszły na wojnę przeciwko nadchodzącej przyszłości, czymkolwiek by ona była. Wspomnienia i przeznaczenie, których różne frakcje ścierały się ze sobą od dawna, obecnie same wyszły na ulice, spersonifikowane i apoteozowane, i były szklanki, ile wlażło. Przestały się zadowalać rolą powodów, usprawiedliwień, celów i casus belli, na które inni mogliby się powoływać inni; teraz stały się uczestnikami. Wojna przeszła w metawymiar.

– Dzięki, Perky – oznajmiła. Odkorkowała butelkę i chlusnęła zawartością poza swój krąg. Prosię zerwało się pędem, biegając po pokoju, liżąc, chrupiąc i mlaskając w wymiarach, gdzie Collingswood, na szczęście, nie musiała sprzątać.

Teraz, gdy już miała pewność, że to tylko Perky i jej środki ostrożności są zbyt cenne, wyszła poza swój elektrostatyczny krąg ochronny i wyłączyła pentagram.

– Baw się dobrze – powiedziała przez ramię. – Nie nabałagań tutaj i nie jumaj niczego.

kej kollywood dzięki za niam.

Collingswood przeczesła włosy palcami, nałożyła minimum makijażu i swój sponiewierany mundur, po czym przeszła przez złowróżbne miasto.

– Miotła jest w garażu – powtórzyła kilka razy, sama do siebie. Wygłaszanie tego oklepanego żartu, tak jakby nigdy nic, przynosiło jej trochę otuchy.

– Tu nie wolno palić – powiedział taksówkarz, a ona popatrzyła na niego uważnie, ale nie potrafiła znaleźć w sobie dość siły, by go nagiąć. Zgasła papierosa, a następnego zapaliła, dopiero gdy znalazła się w biurze FPTS na komisariacie policji w Neasden.

Należało być znacznie bieglejszym niż ona, by choć w przybliżeniu zobaczyć to, co się działo, majaczyło na horyzoncie, wisiało złowróżbnie w górze. Zgiełk obudził uspionych londyńskich bogów, którzy teraz przeciągali się, próbując narzucić otoczeniu swoją władzę. Jeszcze nie zdawali sobie sprawy, że londyńczycy mają ich w głębokim poważaniu. Grzmoty burzowe brzmiały wprawdzie imponująco, było to jednak tylko burczenie niezadowolonych, przebrzmiałych bogów, zwykle niebiańskie: „Co to, u diabła, za hałasy?”.

Prawdziwa walka rozgrywała się na ulicach, na zupełnie inną skalę. Bardzo niewielu strażników, ludzkich i nieludzkich, pracujących w londyńskich muzeach było w stanie wyjaśnić, dlaczego nagle ogarnął ich tak potworny lęk. Ich pałace pamięci były niestrzeżone. Ich anioły odeszły. Opiekunowie wszystkich żywych muzeów zebrali się w jednym miejscu, z wyjątkiem jednego renegata, wciąż pochłoniętego własną misją. Anioły polowały na zbliżający się koniec, na zamykającą się przyszłość. Jeśli udałoby się ją wytropić, zamierzały rozerwać ją na strzępy.

Vardy był już na miejscu. Collingswood stwierdziła, że wyglądał zupełnie normalnie – nie bardziej zaspany i rozczochrany niż zwykle. Oparła się o framugę. Była nieco zaskoczona, gdy obrzucił ją krótkim spojrzeniem – jeśli to ogóle możliwe – jeszcze mniej życzliwym niż zazwyczaj.

– Co jest, do kurwy nędzy? – spytała dotknięta. – Apokalipsa cię wytelepała?

– Nie jestem pewien, co się dzieje – odpowiedział, przeglądając jakąś stronę. – Ale to jeszcze nie apokalipsa. Jestem tego prawie pewien.

– To tylko taka figura retoryczna.

– Och, to znacznie więcej. Zwróć uwagę, że położyłem nacisk na „jeszcze”. Co cię tu sprowadza?

– A jak, kurwa, myślisz? Ta jeszcze-nie-apokalipsa, mój drogi. Wiesz, co się dzieje? Strażnicy wspomnień wyszli, żeby komuś dopieprzyć. Ci skurwiele nie powinni opuszczać muzeów. Chciałam się przekonać, czy zdołam to rozgryźć. Zobaczyć, co się zmieniło. Co o tym myślisz?

– Czemu nie, próbuj.

– Kurwa, wiesz co, czasem człowiek naprawdę wołałby mieszkać w jakimś spokojnym mieście, bez całego tego wariactwa. Wiem, że niektórzy z tej bandy to zwykle oprychy, no,

bandyci i tyle, ale i tak zawsze wszystko kończy się na jakimś bogu. Tu, w Londynie. Zawsze, za każdym jednym razem. I co na to powiesz? – Collingswood potrząsnęła głową. – To jakaś pieprzona porażka. Arki i dinozaury, i dziewice, i co, kurwa, jeszcze? Dajcie mi jakąś porządną kradzież, myślę sobie. I proszę, mówisz i masz, co nie?

– Jakaś pieprzona porażka? – Vardy odchylił się w tył na krześle i patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy, mdlącym połączeniem niechęci, podziwu i ciekawości. – Doprawdy? Stąd to się bierze, prawda? Wydaje ci się, że wszystko rozumiesz? Wiara to bzdura, tak?

Collingswood przekrzywiła głowę. „Co ty powiesz, brachu?”. Oczywiście nie mogła odczytać jego myśli, Vardy był za dobry.

– Och, tak, znam całą tę historię – ciągnął mężczyzna. – To podpórka, prawda? Bajeczka. Dla słabych umysłów. To bzdura. Widzisz, właśnie dlatego nigdy nie będziesz w tej pracy naprawdę dobra. – Przerwał, jakby obawiał się, że już powiedział za dużo, ale Collingswood tylko machnęła ręką. „Ależ proszę, mów dalej”. – Niezależnie od tego, czy zgadzasz się z tymi twierdzeniami, powinnaś rozważyć tę drobną możliwość, że wiara może wymagać bardziej logicznego rozumowania niż to smętne pierdolenie większości ateistów. To wcale nie jest błąd. – Postukał się w czoło. – To określony sposób postrzegania różnych rzeczy. Koncepcja narodzin Dziewicy narzuca określone podejście do kobiet i miłości. Arka ukazuje znacznie logiczniejszy system hodowli zwierząt niż ta radosna improwizacja, którą skuteczniamy obecnie. Kracjonizm utwierdza cię w przekonaniu, że jesteś czymś wyjątkowym, nawet jeśli wszyscy i wszystko próbują ci udowodnić, że jest inaczej. Jeśli masz ochotę skrytykować całą tę chwalebłą doktrynę humanistyczną, zacznij od Clintona, ale tego nie zrobisz, bo jesteś nie tylko za młoda, jesteś zbyt głupia, by wiedzieć cokolwiek o reformie systemu opieki społecznej.

W milczeniu patrzyli na siebie. Atmosfera w pokoju była napięta, ale dziwnie zabawna.

– Aha, ale wiesz co? – powiedziała ostrożnie Collingswood. – Ona wcale nie jest tak do końca chwalebna, biorąc pod uwagę, że jest kompletnie gówniana.

Znów popatrzyli na siebie.

– No cóż – odparł w końcu Vardy. – Z tym, niestety, muszę się zgodzić. – Żadne z nich nie próbowało się roześmiać, chociaż moment był dobry.

– W porządku – stwierdziła Collingswood. – Co tu robisz? Co to za teczki? – Wszędzie wokół wały się papiery.

– Hm... – Vardy zawahał się chwilę. – Pamiętasz te spektakularne liściki z nieba? Zastanawiałem się, kto mógł je wysłać. – Zamknął jeden z folderów, żeby Collingswood mogła odczytać jego nazwę.

– Grisamentum? – przeczytała głośno. – On nie żyje. – Ale jej głos zabrzmiał niepewnie.

– Istotnie.

– Baron był na pogrzebie.

– Tak jakby.

– To Tatuaz, prawda? On go załatwił?

– Nie. Ludzie tak myśleli, ale to nieprawda. Najzwyczajniej w świecie był chory. Radził się lekarzy i nekromantów. Dotarliśmy do jego karty choroby, z której wynika, że miał raka i z całą pewnością umierał.

– To... dlaczego uważasz, że to on?

– Może to kwestia stylu. Może dlatego, że właśnie teraz znaleźliśmy Ala Adlera. Chodzą plotki, że paru bestiarzy otrzymało jakieś spore zlecenie. Pamiętasz te jego...?

– Chuja pamiętam. Nie było mnie na świecie.

– Cóż, on zawsze był tradycjonalistą.

– Co to w ogóle za banda? – spytała Collingswood. Wskazała na listę składającą się z jakiegoś naukowca, fizyka nazwiskiem Cole, jakiegoś doktora, Ala Adlera i Byrne.

– Wspólnicy. W taki czy inny sposób powiązani z jego hm, hm, pogrzebem. Chyba złożę im małą wizytę. Mam parę hipotez, które chciałbym zweryfikować. Dziś w nocy przyszło mi do głowy sporo różnych pomysłów. – Uśmiechnął się po raz pierwszy od dawna. Było to bardzo niepokojące. – Ciekaw jestem, czy któryś z nich coś o tym wie. O tym wszystkim. – Powiódł wokół wzrokiem, patrząc poprzez ściany, w dziwną noc, gdzie nikt nie zwracał uwagi na bogów, a wspomnienia wyruszyły, by walczyć z przyszłością.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

– Okej. – Idąc szybko i nie rozrzucając zbyt dużo śmieci, Dane wynurzył się z wysypiska. W rękach niósł pękniętą filiżankę, zapleśniałe radio i pół walizki. Billy zagapił się na niego. – Widzisz, jeśli się tym zajmiemy... są ludzie, którzy mogą nam to oczyścić i, no wiesz, będziemy mogli to wykorzystać, żeby...

Żeby co? Najwyraźniej filiżanka miała posłużyć jako pojemnik na eliksir, który potrzebował właśnie takiego naczynia, radio – do odbierania rozkładających się sygnałów nadawanych na jakichś tajemniczych falach, a walizka do transportu przedmiotów, których nie dało się przenieść inaczej. Dane z wysiłkiem próbował to ująć w słowa. Wciąż powtarzał, że jeśli mają się zmierzyć z czymś takim, to potrzebny im będzie odpowiedni sprzęt.

Billy uznał, że najwyraźniej znaleźli się teraz w świecie banałów. „Głęboko pod warstwą codzienności – pomyślał z czymś pomiędzy niesmakiem a podziwem – każda rzecz ma swą moc, a co najgłupsze, nabywa jej dzięki temu, że jest podobna do czegoś innego”. Chcesz się pozbyć pnączy dzikiej róży? Rzuć za siebie stary grzebień. Należało tylko umieć dostrzegać drobne podobieństwa.

– Londynmanci nie opowiadają się po żadnej ze stron. Na tym polega ich praca.

– Może Saira została renegatką – zauważył Billy. – Działa na własną rękę.

– Potrzebna mi nowa broń – powtarzał bez przerwy Dane. Bitwa o Wieżę Star Treka sprawiła, że zaczął kwestionować swój dotychczasowy arsenał. Niezależnie od tego, jak miał rozwinąć się ten konflikt, który jak dotąd zapowiadał się na wojnę pomiędzy Grisamentumem a londynmantami, brakowało mu siły ognia. Z pomocą Watiego złożył anonimowe zamówienie u londyńskiego handlarza bronią. Musiał działać szybko, ponieważ ktoś w tym mieście dysponował parapsychologicznym ładunkiem o mocy rzędu pieprzonego architeuthisa.

Znalazł swoją przesyłkę na końcu parku Wandsworth Common, pozostawioną pod umówionym krzakiem jak porzucone dziecko. W pobliżu przechodzili jacyś ludzie, ale nie na tyle blisko, by dostrzec, co się dzieje. Zresztą podobnie jak większość londyńczyków przemykali się szybko i ukradkowo, jakby znaleźli się w parku wbrew własnej woli.

Dane wyrzucił swoją kuszę z wyraźną ulgą. Jako paladyn Kościoła Krakena miał do dyspozycji bardzo ograniczone możliwości. Podobnie jak wiele innych grup pozbawionych

faktycznej władzy i nieobeznanych z *realpolitik*, Kościół narzucał sobie poważne ograniczenia wynikające z przyjętej estetyki. Jego funkcjonariusze nie mogli używać pistoletów, ponieważ pistolety były nie dość „mackowate”.

Było to powszechne zmartwienie wszystkich macherów od mokrej roboty. Świeżo zamustrowani żołnierze w służbie Katedry Pszczół ubolewali czasem po pijaku: „Te zatrute strzałki są naprawdę fajne, ale...”. Sfrustrowana agentka łtok-punków zwracała się tymczasem do swojej starszyny: „Wprawdzie nieźle radzę sobie z pałką parową – zastrzegam – ale czy nie warto by chociaż spróbować...?”. Religijni zabójcy łaknęli karabinków jak kanie dżdzu.

Gdyby Kościół Krakena dysponował nieco lepszą zdolnością propagandową, mógłby rozdać swoim wojownikom pistolety FN P90 lub subkarabinki HK 53 i, wykorzystując sentencjonalną logikę kazań, wyjaśnić im, że częstotliwość ognia tej broni sprawia, iż tory lotu pocisków przypominają macki albo że ukąszenie tej broni przypomina rany zadane dziobem kałamarnicy lub coś w tym stylu. Jako renegat Dane nie musiał się już przejmować ograniczeniami i wykopał z ziemi ciężki pistolet.

Nie wiedzieli, ile ładunków ma jeszcze fazer, Billy nie używał go zatem do ćwiczeń.

– Wiem, co zrobimy – oznajmił Dane.

Potem zaprowadził go do salonu gier, przepychając się przez tłum nastolatków. Billy przez kilka godzin krążył od jednego wrzeszczącego automatu do drugiego, strzelając do nadchodzących zombie i kosmitów. Dane szeptem przekazywał mu wskazówki na temat odpowiedniej postawy i czasu reakcji – były to rady prawdziwego strzelca, żołnierza doradzającego, jak zadawać fikcyjną śmierć. Szydercze uśmieшки gapiów powoli znikwały, w miarę jak Billy nabierał wprawy.

– Ekstra, stary! – powiedział jeden z chłopców, gdy Billy zabił końcowego bossa. Czuł niczym nieuzasadnioną radość.

– Tajest! – szepnął do siebie, gdy ukończył misję.

– Brawo, żołnierzu – pochwalił go Dane. – Dobra robota, Zabójco – dodał i zaczął wymieniać nazwy różnych brutalnych sekt. – Jesteś jak thanicrucianin. Jak serrimor. Jak broniownik.

– Kto?

– Patrz na ekran. Cholernie źli skurwysyni. Hodują pistolety jak psy do walki. Nauczymy cię strzelać tak jak oni. Teraz uważaj.

Od *Time Cops* poprzez ostatnią wersję *House of the Dead*, kończąc na *Extreme Invaders*, żeby Billy nie zdążył zapamiętać powtarzających się wzorców ataku. Dane twierdził, że żołnierze i komandosi ćwiczą właśnie na takich automatach. Juba, snajper z Bagdadu, właśnie w ten sposób doszedł od zera do skutecznego zabójcy. Pistolety-zabawki nie miały odrzutu, niewiele ważyły i nie wymagały przeładowania, dokładnie tak jak fazer. Paradoksalnie ich ograniczony realizm sprawiał, że idealnie nadawały się do ćwiczeń.

Billy wciąż dopytywał się o pięściarzy. Jak oni jedzą? Jak widzą? Jak myślą?

– To nieistotne – odparł Dane. – Świat zawsze umie dopracować takie szczegóły. Pytasz, kto by wybrał takie życie? Zawsze znajdą się chętni.

A zatem już wiedzieli, jaka przynęta sprawiła, że Simon zgodził się teleportować. Teraz musieli porozmawiać z Sairą.

Jaki sens ma zwrot teologiczny? Czy boskość to jakaś szczególnie odporna forma brudu? Może zwrot działa jak lampa ultrafioletowa na miejscu zbrodni, ukazując ślady przestępcy na podłodze, która dotąd wydawała się czysta. Adres skrytki pocztowej Grisamentuma nie należał do Royal Mail ani też żadnego innego znanego im przewoźnika. Jakiś supertajny kurier w stylu Tristero?

– Musi do niego dotrzeć – upierał się Billy.

– Tak, ale na pewno nie standardowymi kanałami. – Nie będzie żadnego czatowania pod skrzynkami.

– Jak się czuje Simon?

– Nieźle. Byłem dziś u niego – odparł Wati z jakiegoś wiktoriańskiego posągu. – To znaczy, kiepsko. Ale Mo dobrze się nim opiekuje.

– A co z londynmantką?

– Podszedłem tak blisko, jak tylko zdołałem. Wygląda na to, że w ogóle nie ma domu. Sypia w tym budynku. Tuż obok kamienia.

– Okej – stwierdził Dane. – W takim razie musimy ją dopaść tam. Wati, pomóż. Próbuję trochę podszkolić naszego chłopaczka. – Gdzieś na obrzeżach świadomości Billy usłyszał zgrzyt szkła. Trwało to już od jakiegoś czasu. Nasłuchiwał, próbując odczytać to jako komunikat.

– Okej... – powiedział w końcu, gdy mijali zakład ślusarski i zauważył coś w witrynie. Przypomniał sobie, co Dane pokazał mu przy śmietniku i zagapił się na miniaturowe drzwiczki, do których przyczepiono różne klamki wystawione na sprzedaż. – Gdyby tak wziąć to... – zaczął – i coś z tym zrobić, no wiecie, na przykład przystawić do ściany. Założę się, że wtedy dałoby się...

– Tak właśnie – odparł Wati z kołatki w kształcie gargulca. – Można wykorzystać każdą z tych klamek, by wejść w inne miejsce. Ale te drzwi są za małe. Ledwie precyzyjnie przez nie ramię.

To odkrycie – paradygmat niesubordynowanej nauki, sprawiającej, że cały ten cholerny wszechświat stanął przed nim otworem, stanowiło największą zmianę w wizji świata, jakiej Billy kiedykolwiek doświadczył. Największą fascynację odczuwał jednak wówczas, gdy jeszcze nie ogarniał tego w pełni. Im lepiej rozumiał prawa rządzące tą rzeczywistością, tym bardziej był zawiedziony ich kiczowatą otoczką.

– Tam. – Przed sobą zobaczył klucz wtopiony w asfalt. Upuszczono go, gdy nawierzchnia była wciąż miękka, a potem ktoś na niego nadepnął lub przejechał samochodem. Z obu stron mijali ich clubberzy i nocni spacerowicze.

– Gdybyśmy zdołali go uruchomić, za pomocą lekkiego sznytu, moglibyśmy podróżować z miejsca na miejsce?

Dane spojrzał na niego.

– Jutro mamy dużo do zrobienia, i nie będzie łatwo. Znajdźmy sobie jakiś nocleg. – Prawie skończyły im się kryjówki. Obrzucił Billy’ego podejrzliwym spojrzeniem. – Skąd wiedziałeś, że ten klucz tak działa?

„Ponieważ on – pomyślał Billy – eee, otwiera drogę”.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Gdy zapytała na forach, gdzie powinna pójść – „wiecie, jestem trochę zielona” – by zobaczyć, jak naprawdę wygląda Londyn, największym problemem okazał się nie tyle brak, co nadmiar sugestii. Chaotyczna masa. Zadała kilka pytań pomocniczych i wspomniała o kultach. A potem, ostrożnie, o kulcie macek. Kilka fałszywych tropów później skupiła się na wiadomości: „kolekcjoner kultów old queen almagán yard londyn wschodni”.

Gdy tam dotarła, miała wrażenie, że znalazła się w zupełnie innym mieście. Zawsze myślała, że doki zostały już uprzątnięte i wybielone pieniędzmi. Najwyraźniej nie dotyczyło to tego zaułka, z którego jeszcze widać było dzielnicę Isle of Dogs. Miała wrażenie, że to echa jakiegoś zamierzonego czasu wyplute przez historię, jakieś miejskie faux-pas, nieprzyjemny posmak nędzy.

„Gdzie ja, kurwa, jestem?”. Znów spojrzała na mapę. Po obu stronach znajdowały się stare magazyny, wyszorowane do czysta i przerobione na mieszkania. Rząd budynków rozstępował się na boki jakby niechętnie, z zażenowaniem otwierając wejście w ślepą uliczkę pokrytą dziurawym chodnikiem i otoczoną znacznie brudniejszą cegłą. Kilka par drzwi i szyld pubu, na którym ozdobnym, niby-gotyckim pismem wypisano *Old Queen*. Poniżej widniała ściągnięta twarz Wiktorii w średnim wieku.

Był środek dnia. Marge pomyślała, że w nocy dobrze by się zastanowiła, zanim weszłaby w tę uliczkę. Natychmiast pobrudziła sobie buty w kałużach.

W okna pubu wstawiono szyby przypominające szkło butelkowe, przez co całe wnętrze wyglądało obskurnie. Szafa grająca odtwarzała jakiś przebój z lat osiemdziesiątych – Marge uznała to za coś w rodzaju testu. *Calling All the Heroes, It Bites*, uznała po namyśle. Szpakowaci pijacy mruzcili coś do siebie; mieli na sobie ubrania w tych samych kolorach co otaczające ich sprzęty. Zerkali na nią i odwracali wzrok. Jednoręki bandyta wydał zmęczony elektroniczny gwizd.

– Gin z tonikiem – powiedziała do barmana. Gdy przyniósł jej napój, dodała: – Kolega mówił mi, że zbierają się tu kolekcjonerzy.

– Turystka?

– Nie, ale pomyślałam sobie, że to coś dla mnie. Zastanawiałam się, czy nie dołączyć. – Mężczyzna skinął głową. Szafa grała teraz przebój grupy Soho, *Hippychick*. „Co się stało z Soho?”.

– Jasne – odparł barman. – Żaden turysta by tu nie trafił. Zwykle siedzą tam.

Marge usiadła w kącie. Klienci byli cisi i małomówni. Wokół dostrzegła mężczyzn i kobiety różnych ras i w różnym wieku, ale wszyscy wyglądali tak, jakby cały pokój został pociągnięty brudnym pędzlem. Kobieta zlizywała rozlany napój. Jakiś mężczyzna mruczał pod nosem. Troje ludzi tłoczyło się przy stoliku w kącie.

„Chyba urządzę tu następne urodziny”, pomyślała chłodno Marge. Muzyka dryfowała dalej: „*Funky Town* w wersji Pseudo Echo. Ja nie mogę – *Iron Lung*, *Big Pig*. Nieźle, nieźle, ale tym mnie nie złapiecie. Musicie podnieść stawkę – puśćcie *Yazz*, *The Only Way Is Up*, a urządzę tu wesele”.

Patrzyła, jak jakaś kobieta rysuje po stole, od czasu do czasu dodając tu i ówdzie małe kropelki piwa. Potem uniosła głowę i w zamyśleniu zlizwała płyn z brudnego palca. Marge ze wstrętem opuściła wzrok. Obrazek na stole rysował się dalej sam.

– Gdzie już byłaś?

Marge uniosła głowę. W jej stronę, kołyszącym krokiem zmierzało dwóch mężczyzn, w wieku około czterdziestu lub pięćdziesięciu lat. Twarz jednego z nich była zupełnie nieruchoma, nie dało się z niej nic wyczytać. Drugi wyglądał jak animator zabaw dla dzieci.

– Słucham?

– Brian mówił, że chcesz w to wejść. Co proponujesz? Wiesz, jak to jest: ty nakarmisz moją duszę, ja nakarmię twoją. Oko za oko. Gdzie już byłaś? Wszyscy lubimy teologię, kochanie, nie masz się czego bać. – Obliznął usta. – Opisz nam jakieś zaświaty, no dawaj.

– Przepraszam – powiedziała Marge powoli. – Nie chciałam wprowadzać nikogo w błąd. Przyszłam tu, bo potrzebuję pomocy. Szukam informacji i ktoś mi powiedział... muszę wam zadać parę pytań.

Nastąpiła długa cisza. Mężczyzna, który dotąd milczał, wciąż był nieporuszony. Wyprostował się wolno, po czym odwrócił się i wyszedł z pubu, zostawiając na barze nietknięty napój.

– Jasny, kurwa, pieprzony gwint – wyszeptał drugi. – Co ty sobie, kurwa, myślisz? Włazisz tu i...

– Proszę! – zawołała Marge. Desperacja pobrzmiewająca w jej głosie zaskoczyła nawet ją samą i sprawiła, że mężczyzna przerwał w pół zdania. Odsunęła nogą krzesło i pokazała gestem, żeby usiadł. – Proszę, błagam. Naprawdę potrzebuję pomocy. Proszę tylko usiąść i posłuchać. – Mężczyzna nie usiadł, ale czekał w milczeniu. Patrzył na nią uważnie. Położył rękę na oparciu krzesła. – Słyszałam, że ktoś... – zaczęła. – Że ktoś z was może wiedzieć coś na temat kultu macek. Wie pan, że kałamarnica zniknęła? Mój chłopak też. Ktoś go porwał. I jego przyjaciela też. Nikt nie może ich znaleźć, ale ma to coś wspólnego z tą kradzieżą.

Muszę z nimi porozmawiać. Muszę wiedzieć, co się dzieje. – Mężczyzna zakolysał się na piętach. Podrapał się po nosie i spojrzał na Marge spode łba. – Wiem różne rzeczy – ciągnęła gorączkowo. – Siedzę w tym po uszy. Sama też potrzebuję pomocy. – Zniżyła głos. – Słyszał pan o Gossie i Subbym? Przyszli po mnie. – Mężczyzna otworzył szeroko oczy. Potem usiadł i nachylił się ku Marge, która mówiła dalej: – Muszę odnaleźć tych ludzi od macek, bo to oni wysyłają tych bandytów, żeby mnie zastraszyć.

– Mów ciszej, na litość! – zganił ją mężczyzna. – Goss i kurwa jebany Subby? Na święte jaja pieprzonego Tryka, dziewczyno, to cud, że jeszcze chodzisz. Tylko spójrz na siebie. – Potrząsnął głową. W jego wzroku widać było obrzydzenie, litość lub coś podobnego. – Jak się tu dostałaś? Skąd wiesz o tym miejscu?

– Ktoś mi powiedział...

– Rewelacja, co nie? Ktoś ci, kurwa, powiedział. – Potrząsnął głową. – A tak się staramy. Nikt nie powinien wiedzieć, że cały ten *bladhlcat* interes w ogóle istnieje. – Z jakiegoś powodu użył jamajskiego słowa, choć był biały i mówił robotniczym cockneyem. – To uliczny sekret, koleżanko.

– Jest tutaj – odparła i pomachała mapą.

– Tak, i to jedyne miejsce, gdzie powinien być. Wiesz, co to jest ulica-pułapka? Wiesz, jak trudno to rozgryźć? – Pokręcił głową. – Słuchaj, kochanie, to i tak bez znaczenia. Nie powinnaś tu być.

– Mówiłam przecież, dlaczego...

– Nie. Jeśli Goss i Subby cię ścigają, nie powinnaś tu przychodzić. Jeśli zostawili cię przy życiu, to znaczy, że ich nie interesujesz, więc na litość Seta, nie sprawiaj, by się tobą zainteresowali.

– Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie znajdę ten Kościół macek. Muszę...

– Kult macek, jasne. Ale który? Khalkru? Tlaloc? Kanaloa? Cthulhu? Cthulhu, prawda? To zawsze on. No dobra, jaja sobie robię, wiem, o czym mówisz. Kościół Krakena, tak? – Rozejrzał się szybko. – To nie oni wynajęli Gossa i Subby'ego. Mów o teutytach, co chcesz, laluniu, ale oni nie zadają się z takim towarzystwem. Nie ma takiej możliwości. Słuchaj, coś ci powiem. Oni chyba też nie wiedzą, co się dzieje, nie bardziej niż ty. To nie oni buchnęli krakena. Zbyt święty, czy jakoś tak. Dasz wiarę, że oni go nawet nie szukają?

– Nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko wiedzieć, co się stało z Leonem i Billym.

– Słoneczko, nie wiem, co się dzieje, ale to za ostre jak na mój gust. Odkąd rozpełtał się ten sajgon, nikt z nas nawet nie zbliża się do teutyków. Trzymamy się prostych, miłych rzeczy. Pajęczy bogowie, kwakrzy, Netei Karta, te sprawy. No dobra, może za te pisma nie uzbiera się tyle punktów, ale...

– Nie rozumiem.

– I nie powinnaś, moja droga. I nie powinnaś. – Mężczyzna walnął kantem dłoni w stół. – Kończymy dyskusję. Nie zamierzam wpuszczać się w taki kanał. – Westchnął, widząc jej

minę. – Posłuchaj, powiedziałem ci już wszystko, co wiem. – Zgoda, że było to chuja warte, ale ludzie Kraka wiedzą dokładnie to samo. Jeśli... – zawahał się. – To ci w niczym nie pomoże. – Znow westchnął. – Posłuchaj, jeśli rzeczywiście chcesz wejść w to gównno, mówię poważnie, bo naprawdę skończysz po szyję w gównie, powinnaś pogadać z paroma gośćmi.

– Powiedz tylko z kim.

– Okej. Jezu, dziewczyno. Pierwszy raz jesteś po tej stronie? – Wypił drinka jednym haustem. – Jedni mówią, że to sprawka Tatuaza, inni że wrócił Grisamentum i to jego sprawka, inni, znowu, że to niczyja sprawka. To żadna pomoc. Gdybym miał ochotę grzebać w tym sprawach, a nie mam, to zastanowiłbym się nad tym, kto jeszcze może się tym interesować? I uważać, że to jego sprawa... – zamilkł, czekając na odpowiedź. Marge potrząsnęła głową. – Morze. Założę się, że ma parę pomysłów. Wcale bym się nie dziwił, gdyby ten gnojek maczał w tym paluchy. Rozsądny argument, prawda? Odbiera z powrotem swoją własność? Na morze, kapitanie! – Zachichotał. Marge zamknęła oczy. – A nawet jeśli tego nie zrobiło, to prawdopodobnie domyśla się, czyja to sprawka.

– Mam porozmawiać z morzem? – upewniła się Marge.

– Boże, kobieto. Nie ma się co tak łamać. Przecież nie z całym morzem. Pogadaj z jego ambasadorem. Z bratem potopu. Przy tamie.

– Kim jest...

– No, no. – Pogroził jej palcem. – To już twoja sprawa, jasne? Wystarczy, że tu doszłaś. Jeśli chcesz dać się zeżreć, możesz wejść głębiej, ale ja nie będę cię prowadził za rękę. Nie chcę mieć cię na sumieniu, dziewczyno. Pójdiesz, prawda? – Wydął policzki. – Przykro mi z powodu twojego chłopca, okej? Nie wiem, ile to warte, moim zdaniem niewiele, ale będę się za ciebie modlił.

– Do kogo? – spytała Marge.

Mężczyzna uśmiechnął się. Szafa grała *Wise Up Sucker* grupy Pop Will Eat Itself.

– Pieprzyć to – stwierdził. – Coś ci powiem. Jaki jest sens kolekcjonować coś, czego się nigdy nie używa? Będę się modlił do nich wszystkich.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

– Simon nieźle sobie radzi – powiedział Dane. – Podobno zdrowieje.

– Tak mówił Wati – przytaknął Billy. – Przyjdzie dzisiaj?

– Strajk robi bokami – odparł Dane – Jest troszkę, kurna, zajęty.

Był wczesny ranek i dotarli już prawie do miejsca, gdzie pulsował Londyński Kamień. Dane wślizgnął się pomiędzy budynki i zaczął dawać jakieś krótkie wojskowe znaki, których Billy nie rozumiał. Poszedł jego śladem i wspiał się na niski murek, tańcząc skomplikowany taniec pomiędzy kamerami.

Po drodze Dane głosił mu swoje niejasne teutyczne homilie. Kraken nie ukradł ognia żadnemu demiurgowi, nie ulepił ludzi z gliny, nie wysłał też maleńkiego krakena, by umarł za nasze grzechy.

– Kraken siedział w głębinie – powiedział. – Siedział w głębinie i jadł, i upłynęło dwadzieścia tysięcy lat, zanim przełknął jeden kęs.

„To wszystko?”. Billy nie domagał się egzegezy.

Dane poruszał się szybciej i zwinnie, niż można by się spodziewać po człowieku tej postury. Billy odkrył, że ta wspinaczka przyszła mu znacznie łatwiej niż poprzednia. Wszędzie wokół widział dachy, ciągnące się we wszystkich kierunkach. Zeskoczyli na wewnętrzne podwórko pełne kartonowych pudeł rozmokłych na deszczu i zamienionych w lekko kanciastą brązową maź.

– Tu wychodzą na fajkę. Przygotuj broń – polecił Dane, wyjmując pistolet.

Pierwszą osobą, jaka wyszła na podwórze, był młody mężczyzna, który wrzucił niedopałek do kosza i zachichotał do swojej komórki. Potem kobieta około czterdziestki, paląca jakiegoś cuchnącego skręta. Potem długo nic się nie działo. Ale następnym razem, gdy drzwi się otworzyły, wyszła zza nich Saira Mukhopadhyay, otulona w drogą chustę.

– Gotów? – szepnął Dane. Londynmanka nie była jednak sama. Rozmawiała z jakimś muskularnym facetem przypalającym sobie silk cuta. – Dupa – zaklął Dane.

– Ja go wezmę – szepnął Billy – Nie mamy czasu. – Dolatywały ich strzępy rozmowy.

– Okej – odparł Dane. – Potrafisz... ustawić fazer na ogłuszanie? – Zachichotali wbrew sobie. Billy poprawił okulary. Jeszcze kilka tygodni temu nie byłby w stanie przeprowadzić

tej akcji: z fazerem w rękę zeskokczył na ziemię, wylądował z impetem, ale stabilnie. Potem wstał i otworzył ogień. Potężny mężczyzna przeleciał przez podwórze i padł na kupę śmieci.

Dane wymierzył pięknie i zeskokczył tuż za plecami Sairy. Usłyszała go, ale było już za późno. Uderzył ją grzbietem dłoni, aż poleciała na cegły. Londynmanka złapała równowagę – w miejscach, gdzie zacisnęła palce, cegły odkształciły się, jakby były z plasteliny.

Potem zasyczała. Dane znów ją uderzył. Spojrzała na niego – z jej ust sączyła się krew. Łatwo było zapomnieć, że krakenita działa w religijnym uniesieniu.

– Spokojnie, stary – powiedział Billy.

– Niewiele osób potrafiłoby przenieść coś tak dużego – powiedział Dane. – Ale ty to przecież wiesz. Wiemy, kto go stamtąd wyciągnął i czym go skusiłaś. Nie lubię, gdy ktoś kradnie mojego boga. Zaraz robię się nerwowy. Co ty knujesz? I co Adler miał z tym wspólnego? Nadchodzi koniec świata, a ja chcę wiedzieć, co zrobiłaś z moim bogiem!

– Wiesz, z kim rozmawiasz, do cholery? – odcięła się kobieta. – Jestem londynmanką...

– Jesteś żywym snem. Jak tylko serce Londynu przestanie bić... wiesz, co się wtedy stanie? Gówno. Londyn nie potrzebuje serca. Twoi koledzy wiedzą, co ostatnio porabiałaś?

– Dość!

Na podwórko wyszedł Fitch. Wszyscy gapili się na niego, gdy sięgał za siebie i zamykał drzwi. Potem stanął obok Sairy, osłaniając ją przed bronią Dane'a.

– Uważasz, że powinni mnie oddać do muzeum – stwierdził. – To możliwe. Ale eksponaty muzealne też mogą być użyteczne, prawda, Billy? I wiesz co, Dane, prawie miałaś rację. Gdy człowiek traci swoje dawne zdolności, przestaje być zagrożeniem. Ludzie zaczynają mu się zwierzać.

– Fitch – zaczął Dane. – To sprawa między mną a Sairą...

– Nieprawda – odparł Fitch. Wyprostował się i naprężył barki, a potem znów przywiądnął. – Ona tylko przekazała pieniądze. Chcesz wiedzieć, co się stało? Rozmawiaj ze mną.

– Wystarczy, że krzyknę, a przybiegną pozostali.

Coś przeleciało im nad głowami. Jakies nerwowe ptaki. Starszy mężczyzna spojrzał na nie, a Billy pomyślał, że z jego punktu widzenia perspektywa zupełnie się nie zgadza.

– Wy go zabraliście? – spytał Dane.

– Gdybyś nadal był krakenitą, w ogóle bym z tobą nie rozmawiał – odparł Fitch. – Ale nie jesteś, a ja chciałbym wiedzieć, co zaszło. Poza tym przyprowadziłeś jego. – Skinął głową w stronę Billy'ego. – A on wie, co się dzieje.

– Nie wiem! – odparł Billy. – Tylko nie zaczynajmy znowu.

– Dlaczego nie chcecie, żeby krakenicy się o tym dowiedzieli? – spytał Dane. – Przecież nie jesteśmy... nie są wrogami Londynu.

– Wiem, że chcą się pozbyć swoich świętości. I wiem, do czego to zwykle prowadzi.

– Co? Nawet nie chcieli go szukać, nie mówiąc już o pozbywaniu! – wykrzyknął Billy.

– Chciałbym ci wierzyć, Fitch, ale nie masz racji – dodał Dane. – Kościół nic z tym nie zrobi.

– Więc po co ci ten kraken? – naciskał Fitch. – Ostatnimi czasy nie widziałem we flakach kompletnie nic. Po prostu przelewały się i dygotały. Ale potem coś się zjawilo. Ogień. Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna i, mój Londynie, co ja tam zobaczyłem!

– Co Al Adler ma z tym wspólnego? – spytał Billy. – Dlaczego go zabraliście? – wyszeptał Dane.

Londynmanci popatrzyli po sobie. Saira wzruszyła ramionami.

– Chyba nie mamy wyboru.

– To jego wina – powiedział Fitch. Jego głos był pełen pretensji. Billy odniósł wrażenie, że starzec z wielką ulgą złamał przysięgę milczenia. – On to wszystko zaczął. Przychodził tu pytać o swoje plany. A potem wszystko zapłonęło.

– Al? Mówiłeś, że był przesądny. – Billy zwrócił się do Dane'a. – A zatem... przyszedł tu po wróżbę. Ale chyba nie spodobało mu się to, co zobaczył.

– A teraz mówcie – polecił Dane. Głos mu zadrżał. – Wszystko od początku.

Adler przyszedł do londynmantów, by opowiedzieć im o swoim szaleńczo odważnym planie. Zamierzał ukraść krakena. Nie obawiał się wspomnieć o tym w londyńskim konfesjonale: Fitch nie zamierzał go oceniać – na tym etapie nawet nie był zszokowany skalą tej zbrodni. Zobowiązany do milczenia przez dawne przysięgi pochodzące jeszcze z czasów świątyni Mitry, posłusznie rozciął skórę miasta, by zobaczyć, co może się stać.

– Niemożliwe, żeby to Al wymyślił cały ten plan.

Miała to być prosta usługa, czysta formalność. Fitch nie spodziewał się cokolwiek ujrzeć, podobnie jak wcześniej, przez całe lata. A jednak zobaczył ogień.

Płonący koniec. Pożar spalający nawet to, czego nie powinien, ogarniający cały świat.

A potem? Nic. Żadnego jaja feniksa, żadnego królestwa popiołów, żadnego nowego Edenu. Tym razem po raz pierwszy nie było żadnej postapokalipsy.

– Większość londynmantów nic o tym nie wie – zapewniła Saira. Nie można było oczekiwać, że wzorem swojego przywódcy i jego najlepszej asystentki złamią swoje przysięgi. – To jasne, że Al był tylko fasadą. Żaden z niego geniusz przestępczy, prawda?

– Co mu powiedzieliście? – spytał Billy.

Fitch machnął ręką.

– Jakież bzdury. Musieliśmy szybko zdecydować, co zrobić.

– A nie mogliście mu powiedzieć, żeby dał sobie spokój? – Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. Przecież nie o to chodziło. Ludzie nie modyfikowali swoich planów na podstawie wróżb londynmantów, tak samo jak nie wybierali małżonków, kierując się słowami chiromanty występującego na jarmarku. – Dlaczego Al miałby chcieć nadejścia końca?

– Nie jestem pewien, czy właśnie tego chciał – powiedział ostrożnie Fitch.

Jego plan mógł wywołać ciąg zdarzeń, który następnie potoczył się samodzielnie. Nieuchronne, zamierzone konsekwencje. Co musiało się stać, by londynmanta naruszył tysiącletnią tradycję i postanowił zainterweniować? Musiało być naprawdę źle.

– A zatem postanowiliście dostać się tam pierwsi, by uniemożliwić mu spowodowanie tych wydarzeń – stwierdził w zamyśleniu Billy. – Chcieliście go uprzedzić.

– Zbliżała się ta aukcja. – Saira wzruszyła ramionami. – Potrzebowaliśmy jakiejś przynęty na Simona. – Nietrudno było znaleźć sznytera broni, żeby ją podkreślić. Dane... nie mieliśmy pojęcia, że tak będzie.

– Musieliśmy działać natychmiast – dodał Fitch. – Zrozum, wszystko płonie, a potem nie będzie już nic, jeśli ukradną krakena. Gdy Adler opowiedział mi o swoim planie, wszystko się zmieniło.

Simon odegrał swoją rolę. Szepcząc cytaty z ulubionego serialu, zjawił się w Centrum Darwina, pracowicie odtwarzając efekt powolnego pojawienia, jak blask światła na wodzie, „wyznaczył współrzędne”, po czym jednym wybuchem mocy sprowadził siebie i krakena do postaci strumienia cząstek.

– A zatem co się stało z Adlerem? – spytał Billy.

Saira spojrzała mu w oczy. Fitch nie.

– Takie miejsca są dobrze strzeżone – stwierdziła. – Nie można sobie tak po prostu wejść.

– Wy zimne dranie – powiedział w końcu Dane.

– Och, daruj sobie – prychnęła Saira. – Mam ci przypomnieć, czym ty się zajmujesz?

– Wykorzystaliście go jako przynętę – domyślił się Billy. – Wmówiliście mu coś, żeby... nie, po prostu wysłaliście go tam w odpowiednim momencie.

– Simon nigdy nie zdołałbym tam wejść i wyjść! – jęknął Fitch. – Nie wiedzieliśmy, że anioł... Chcieliśmy tylko odwrócić jego uwagę.

Mnemophylax, anioł pamięci, rzucił się na Ala, gdy Simon teleportował niedoszęłego włamywacza do środka. Okazało się, że chory, wynędzniały trekkie także nie jest bez winy. Najwyraźniej miał na sumieniu przynajmniej jedno całkiem realne morderstwo.

– A gdy anioł go zaatakował, wy wynieśliście krakena. – Billy potrząsnął głową. – Teraz nasuwa się drugie pytanie. Zrobiliście to, by zatrzymać pożar, prawda? – Uniósł ręce. – Pokazaliście nam flaki. Wiecie, jak wygląda niebo. A zatem, w czym tkwił błąd?

Zapadła długa cisza.

– Nie zadziało – powiedziała w końcu Saira. Pokręciła głową, a potem otworzyła i zamknęła usta.

Billy zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Widzieliście, co się stanie, gdy ktoś go ukradnie. A zatem ukradliście go, żeby nie został skradziony. Ale w ten sposób sami go skradliście. I uruchomiliście cały łańcuch wydarzeń.

– Nie wiem, co zrobić – przyznał Fitch.

– To ja ci powiem – wtrącił Dane. – Zaprowadzisz mnie do mojego boga.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Gołębie znów miały problemy żołądkowe, a rezultat ich dolegliwości stał się tematem zastępczym w mediach. Coraz trudniej było też ignorować inne codzienne kłopoty. Opał ledwo tlił się w piecykach. Nerwowe spekulacje głosiły, że może to być wina warunków pogodowych. Każdy płomień palił się słabo i niechętnie, jakby tylko niewielka ilość ognia pozostała dostępna; jakby ktoś go gromadził, oszczędzał na później.

Poza tym – o, tak – zaczęli znikać ludzie. Na wojnie nie ma cywilów, nie istnieją mury odgradzające nieświadomych przechodniów od osób głęboko powiązanych z podziemną siatką, rynkiem zbrodni i religii. A londyńczycy, nawet najbardziej głównonurtowi, zaczęli znikać. Nie były to mityczne zniknięcia typu „kamień w wodę”, ponieważ pozostawiały bardzo niepokojące ślady: porzucony but, zakupy, które ofiara zamierzała zrobić, ale jeszcze nie kupiła, ustawione na progu w torbie, graffiti przedstawiającego zaginionego w miejscu, gdzie ostatnio przebywał. Nie wszyscy wiedzieli, co się dzieje, ale nie dało się już dłużej upierać, że wszystko jest w porządku.

Billy i Dane radzili sobie całkiem nieźle. Poruszali się ostrożnie, a Dane otaczał ich kamuflażem złożonym z kilku drobnych zakłęb, które co jakiś czas zmieniał – dla osoby w jego fachu była to druga natura – a ich przebrania mogły się wydawać żalosne, ale były skuteczne. Wszystko to pomogło im skryć się przed wzrokiem kolekcjonerów przez wiele dni, a biorąc pod uwagę, że stali się celem największego polowania od wielu lat, było to niebagatelne osiągnięcie.

Przez dłuższy czas tropiciele chodzili sfrustrowani. Ich zew łowiecki brzmiał jak leniwy pierd, gdy pędzili po dachach na swych nieortodoksyjnych wierzchowcach – mieszkańcy sądzili, że w pobliżu przeszła krótka burza – i nie znajdowali kompletnie nic. Rewolwerowcy, nieco przypominający kowbojów, zostali z pustymi rękami. Londyńczycy spali niespokojne, a krajobrazy ich snów pełne były bezokich, węszących bestii, gramolących się niezdarnie poprzez ich erotyczne fantazje i złe wspomnienia z dzieciństwa – były to posnokowce wysłane przez łowców, którzy najgroźniejsi stawali się we śnie. One także nie wytopiły zdobyczy.

Łowcy zaczęli walczyć między sobą. Wielokrotnie doszło do morderczych konfrontacji z osobami, które zdawały się być częścią jakiegoś innego planu, ale nadeszły one i minęły zbyt

szybko, by zinterpretować je na tle politycznym. Ludzie znikający, gdy tylko ktoś ich zobaczył, mężczyźni i kobiety spacerujący w towarzystwie pełzających, potwornych cieni.

Gangi i samotni freelancerzy przeczesywali miasto, oferując nagrody za najdrobniejsze informacje. Mimo całej swojej ostrożności, talentów i zdolności, Dane nie był w stanie opanować tych wszystkich drobiazgów – rzeczy, na które zwykli przechodnie nie zwracali uwagi, a doświadczony łowca potrafił wyciągnąć je z obserwatora, który nawet nie pamiętał, że je widział, po czym zestawiał fakty, porównał i wyciągnął wnioski.

– Wejść do środka – oznajmił Fitch. – Londynmanci muszą mnie zobaczyć. Poza tym musimy go stąd zabrać, natychmiast – dodał, wskazując na mężczyznę, którego postrzelił Billy. – Musisz mnie wpuścić, Dane. Chcesz, żeby zaczęli się martwić?

Dane uniósł broń, jakby nie wiedział, co z nią zrobić, i zacisnął zęby.

– Wierzysz im? – szepnął Billy.

– Nie wiedzieliśmy, dlaczego go szukacie – powiedział Fitch. – Inaczej powiedzielibyśmy wam o wszystkim.

– Nie wiedzieliśmy, czy możemy wam zaufać – dodała Saira. – Wiecie, jak niektórzy muzułmanie pozbywają się stron *Koranu*? Palą je. To najświętsza metoda. To, co nadchodzi, chce spalić cały świat, zaczynając od kałamarnicy. I wciąż gdzieś tam jest. Myśleliśmy, że na tym polega wasz plan.

– Myśleliście, że to ja chcę sprowadzić koniec świata? – spytał z niedowierzaniem Dane.

– Nieumyślnie – odparł Fitch, jakby próbował go pocieszyć. – Przypadkiem. Próbując uwolnić swojego boga.

Dane spojrzał na nich spokojnie.

– Nic nie będę, kurwa, palić – powiedział spokojnie. – Zabierzcie mnie do niego.

„A potem możemy im powiedzieć, czego się dowiedzieliśmy... że Grisamentum wciąż żyje”, dodał w myślach Billy.

– Musimy najpierw przygotować parę rzeczy – odparł Fitch. – Obejść zabezpieczenia. Dane, naprawdę możemy działać razem – nalegał gorączkowo. Jak bardzo ciążyła mu ta odpowiedzialność?

– Nie uskarżamy się na brak ofert – stwierdził Dane. – Wszyscy chcą z nami współpracować.

– Musimy to wyjaśnić – odezwała się Saira. – W tym krakenie jest coś szczególnego. Dlatego jesteś nam potrzebny – zwróciła się do Billy’ego. – Ty jesteś specjalistą od kałamarnicy. Idealnie się składa. Jeśli ustalimy, co jest w niej takiego wyjątkowego, może uda nam się zatrzymać ten koniec.

– Wierzysz im? – szepnął Billy. Usłyszał zgrzyt szkła. – Ja chyba tak.

W ten sposób zostali sami na podwórku, a londynmanci wrócili do środka, by zaimprovizować normalną sytuację na kolejnych parę godzin.

– A co jeśli... – zaczął Dane.

– Jeśli co? Uciekną? – Billy wzruszył ramionami. – Nie zdołają tak szybko zwinąć całej tej operacji. Powiedzą komuś? Przecież oni wręcz się modlą, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

– A co jeśli...

– Jestem im potrzebny – uciął Billy.

Zabarykadowali drzwi, żeby sfrustrowani palacze musieli teraz chodzić gdzie indziej.

– Zaczekajcie – powiedziała Saira. – Jak tylko skończymy tutaj, pójdziemy na miejsce.

Z upływem czasu niebo pociemniało.

– Już niedługo – szepnął Dane.

I, co za wspaniałe wyczucie czasu, gdy tylko wymówił te słowa, w głowie Billy'ego zabrzmiał brzęk szkła. Wstał.

– Ktoś nadchodzi – oznajmił.

– Co? – spytał Dane ze zdziwieniem. – Kto?

– Nie wiem – Billy złapał się za skronie. „Co się, kurwa, dzieje?”. – O Jezu. – Ból głowy zaczął do niego mówić. – Po prostu wiem, że tu idą. Chyba jeszcze nie wiedzą, gdzie dokładnie jesteśmy. Ale są blisko i nie życzą nam dobrze.

Dane rozejrzał się po podwórku. Zgrzyt, zgrzyt.

– Nie mogą się dowiedzieć, że londynmanci w tym siedzą. Nie możemy ich doprowadzić do boga! – Chwycił kawałek metalu i wrył w ścianę napis: „Zaraz wracamy”. Zadrapania pośród zadrapań. – Na górę! – powiedział. Splótł dłonie i zrobił Billy'emu podpórkę. Przemykali się wśród zapadającej nocy, ześlizgując się po rynnach i drabinkach pożarowych, kierując się w stronę głównych ulic, obecnie niemal opustoszałych. Było to najgorsze miejsce, w jakim mogli się znaleźć, byli kompletnie na widoku. Każda latarnia oświetlała ich jak reflektor. Billy nie mógł się skupić, zgrzyt szkła zagłuszał jego myśli. – Słyszysz coś? – spytał Dane. – Coś jakby szkło?

„Nikt inny nie powinien tego słyszeć!”, pomyślał Billy, ale nie było już czasu. Gdzieś obok rozbrzmiał kolejny odgłos. Tupot biegnących stóp. Kamery przemysłowe obróciły się w ich stronę, zamigotały światłkami. Zza rogu wypadli jacyś ludzie.

Billy zagapił się na nich osłupiały. Napastnicy mieli na sobie fantazyjne, obszarpane kostiumy. Punkowe stroje, cylindry, pantalone, gorsety i pudrowane peruki. Twarze wykrzywione dzikim grymasem. Uniósł fazer.

W miarę jak zbliżali się do swych ofiar, ich kiepskie sznyty przybierały na sile: latarnie świeciły zbyt mocno, po czym zmieniały kolor i pękały jedna po drugiej. Ich białe koronkowe mankiety i odblaskowe świecidelka lśniły. Billy dostrzegł na ich ubraniach ozdobne ściegi – ekstrawaganckie, zmutowane swastyki. Syczeli niczym księżycowe małpy.

Dane i Billy otworzyli ogień. Otaczał ich tłum wystrojonych postaci. Billy znów strzelił i czekał, aż tamci odpowiedzą ogniem, ale oni trzymali w rękach tylko bicz i ostrza. Potem połknęła ich ciemność. W żadnym oknie nie zapaliło się światło. Na całej ulicy została tylko jedna lampa płonąca pomarańczowym blaskiem, samotna jak latarnia morska. Billy wpatrywał się w nią, podczas gdy przeciwnicy obchodzili ich w mroku.

Dane stanął z tyłu, zetknęli się plecami.

– Chcą nas wziąć żywych – szepnął.

– Żywych i zdolnych do rozmowy – powiedział jakiś głos. – Ktoś chce wam pogrzebać w mózgu. – Wokół rozległy się śmiechy. – Macie być żywi, ale oczy i kończyny są opcjonalne. Poddajcie się teraz, a możecie je zachować.

– Jest jeszcze warsztat – dodał ktoś inny.

– Tak, jest też warsztat – powtórzył pierwszy. Billy strzelił w kierunku głosu, który dobiegał teraz z nienaturalnej ciemności, ale trafił w pustkę. – On naprawdę lubi ten swój warsztat. Ciekawe, na co was przerobi?

– Gotów? – szepnął Dane.

– Na co? – spytał głos. Z cienia wystrzelił bicz i owinął się Billy’emu wokół kostki, czepiając się jej niczym łapka gekona. Napastnik zwałił go z nóg i wyciągnął po asfalcie poza krąg światła. Billy otworzył usta, żeby krzyknąć, ale wokół rozległ się zgrzyt szkła, głośniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Głowę wypełniał mu ból, który coś komunikował. Coś nadeszło. Wirowało w powietrzu.

Wirujące kościste ramiona. Klekot zębów, bystre puste oczodoły. Kości palców przebijające ciało jak kły. Istota nadeszła, poruszając się zbyt szybkim, niewiarygodnym ruchem. Zadawała ciosy sztywnymi palcami, zostawiając za sobą krwawe ślady, rozszarpując gardła dwóm, trzem, pięciu napastnikom, którzy z wrzaskiem padli na ziemię, tryskając krwią.

Billy zerwał z siebie bicz i poczołgał się z powrotem. Przybysz kołysał się na skraju oświetlonego kręgu.

Składał się z czaszki umieszczonej na pokrywce ogromnego słoja. Olbrzymia szklana butla, podobna do tych, które Billy przez kilka lat wypełniał konserwantami i truchłami zwierząt. Miała ponad półtora metra wysokości, pełna była zwierzęcych szczątków i skroplonego alkoholu. Na szklanym wieku znajdowała się ludzka czaszka, zabrana – Billy nie wiedział, skąd ma tę pewność – z jednej z szafek w Muzeum Historii Naturalnej. Kłapała zębami. Miejsce, gdzie wieko stykało się z rantem słoja, służyło za barki – istota uniosła w górę dwa bezcielesne, szponiaste ramiona złożone z luźnych kości – kość ramienna, kość łokciowa, kość promieniowa, klekoczące nadgarstki i wyostrome paliczki.

Anioł pamięci.

Anioł-słoik kręcił się na boki na swej okrągłej podstawie, oscylując naprzód. Wciąż zadawał ciosy, a potem przechylił lekko czaszkę i otworzył słoik. Morderczy dandys zastygł

w pół kroku. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem zniknął. Billy zobaczył, że w słoju przybyło strzępków mięsa. Łowcy rozpiechli się na boki. Gdzieś w pobliżu rozległ się głuchy odgłos. Dane padł na ziemię i leżał bez ruchu. Billy stał za daleko, a lasso, czy też inny sznur, który otaczał szyję ofiary, napiął się mocno, a potem Dane zniknął, wciągnięty w pierzchający cień, który napastnicy przynieśli ze sobą.

Billy wystrzelił dwa razy, ale już ich nie widział, Dane też zniknął. Billy chwycił jego pistolet.

– Tutaj! – wrzasnął i usłyszał, jak jego szklany towarzysz toczy się po chodniku. Wycofujący się napastnicy ciskali w nich cegłówkami i złomem.

Jakiś szczególnie celny rzut zdołał trafić prosto w słoje i szklany anioł pękł z trzaskiem. Strażnik muzeum rozpadł się na kawałki. Kości rozsypały się bezwładnie pośród kałuży chemikaliów i odłamków szkła.

Billy uniósł fazy i pistolet jednocześnie, ale napastnicy już nie wrócili. Pobiegnął w stronę, gdzie ostatnio widział Dane'a, ale mrok wycofywał się szybciej, niż on był w stanie biec, i gdy w końcu zniknął, Billy został sam. Wokół wciąż leżały trupy, lśniące odłamki i czaszka jego wybawcy. Dane zniknął.

Głęboką ciszę, jak zawsze, przerwało szczekanie psa. Billy przeszedł przez szczątki istoty, która przyszła mu z pomocą, zostawiając za sobą chemiczne ślady. Potem usiadł ciężko, oparty o drzwi baru kanapkowego.

Tam właśnie znaleźli go londynmanci – żadne starcie w pobliżu Londyńskiego Kamienia nie mogło ujść ich uwagi. Billy widział ich kątem oka, ale oni nie próbowali do niego podejść – nie chcieli naruszać swojej neutralności, a tylko niewielu z nich wiedziało, że już i tak było po ptakach.

Prawdopodobnie ktoś z nich zaalarmował Watiego, bo za chwilę jego głos dobiegł z kieszeni Billy'ego, w której wciąż nosił plastikową zabawkę.

– Billy? Co się stało, chłopie? Musimy iść. Odbijemy go, Billy. Ale teraz trzeba ruszać.

CZEŚĆ CZWARTA

**LONDYN NAD
MORZEM**

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

– Ja się tylko, kurwa jego w dupę jebana mać, pytam, co to w ogóle ma, kurwa, być?

– Wiecie co, posterunkowa? – odparł ostro Baron. – Byłbym zobowiązany, gdybyście się ciutkę pohamowali. – Collingswood była całkowicie zaskoczona, ale próbowała pokryć zmieszanie nonszalancją. Nie patrzyła jednak na Barona, ale na swoją bransoletę. – Wszyscy chcielibyśmy coś wiedzieć, Collingswood – dodał spokojnie, wskazując na nią palcem. – Przede wszystkim potrzeba nam parę informacji. Pracujemy nad tym. A teraz... uspokój się i wracaj do pracy. Zakładam, że wypuściłaś własnych tropicieli? Zaczekajmy i zobaczymy, co wywają. – Potem odszedł i zamknął drzwi na tyle głośno, że prawie można było to uznać za trzaśnięcie.

Na terenie szkoły policyjnej w Hendon znajdował się barak, w którym odbywali szkolenia funkcjonariusze z różnych komórek FPTs. Większość kursantów, idąc po linii najmniejszego oporu, przezywała go „Hogwartem”, ale kilkoro z nich używało określenia „Cacle i Gont” i wymieniało porozumiewawcze uśmiešky, gdy pozostali nie rozumieli, o co chodzi.

Collingswood nie rozumiała i nie próbowała się dowiedzieć. Była zbyt zajęta słuchaniem emerytowanych wieźm, przywoływaczy i innych specjalistów.

– Wszyscy jesteście funkcjonariuszami policji – powiedział jeden z jej instruktorów – chyba że postanowicie coś koncertowo spieprzyć. – Był to niski staruszek, pomarszczony jak kakaowe ziarno. Miarowo gładził podbródek, tak jakby wszystko, co mówił, było doskonale przemyślane. Chodził kołyszącym, pewnym krokiem, zupełnie innym niż Collingswood. Uwielbiała go obserwować. – Wasze zadanie polega na łapaniu przestępców. Prawda? Musicie zawsze wiedzieć, jak postąpić. Jeśli nie wiecie, to macie się dowiedzieć, a jeśli nie zdołacie się nawet dowiedzieć, to macie zaimprovizować. Czy wyrażam się jasno? – Mały błysk *lux ex tenebris* oczywiście w kolorze błękitu, który rozbłysnął mu między palcami, ładnie dopełnił efektu.

W ciągu wszystkich okultystycznych interwencji, których dokonała od tamtego czasu, ścigając różne istoty i zakuwając je w kajdanki, to właśnie ten bezwzględny zapał stanowił w jej oczach kwintesencję bycia policjantem. Odkryła, że najbardziej zirytował ją – choć i rozbawił – brak tej cechy u Billy’ego Harrowa.

Z lekkim drżeniem w duchu rozważyła możliwość, że Baron nie wie, co robić. Przemysłała to starannie. Obejrzała tę myśl tak ostrożnie, jakby przed chwilą podniosła ją z podłogi i próbowała zidentyfikować. Funkcjonariusze obchodzili ją z obu stron – dość długo stała w przejściu i do tego bez ruchu. Niektórzy z nich nawet nie obrzucali jej dziwnym spojrzeniem. Wiadomo, Collingswood.

Stała nieopodal sali dyspozytorskiej i jako pierwsza usłyszała, co się dzieje. A zatem to ona wpadła do gabinetu Barona, który siedział z założonymi rękami, gapiąc się ponuro w ekran monitora. Złapała się ręką framugi, jak dziecko na drabinkach i oznajmiła:

– Proście, a będzie wam dane, szefie. Leży w szpitalu. Ale trop to trop.

Pogoda była całkiem pod psem: wilgotne, zamglone powietrze i kapryśny wiatr, irytujący jak małe dziecko. Marge spędziła jednak cały ranek na zewnątrz, w Thames Barrier Park. Brnęła naprzód poprzez mżawkę, mijając ozdobnie przycięte krzewy i miniaturowe boiska do piłki nożnej. Tego ranka przez dłuższy czas płakała za Leonem i tym razem miała wrażenie, że to już ostatni raz. Ona skończyła, ale niebo jeszcze nie.

Marge podejrzewała, że nie ma już pracy. Była wprawdzie zaprzyjaźniona ze swoim szefem, ale ostatnio uparcie nie odbierała jego telefonów, co prawdopodobnie postawiło go w sytuacji bez wyjścia.

Nie czuła się zagubiona. Nie była też pochłonięta, a ściśle rzecz biorąc, opętana żadną ideą, nie miała wrażenia, że odchodzi od zmysłów. Po prostu nie mogła się skupić na niczym innym. Nie popadła w histerię. Po prostu gdy już odkryła, że Londyn naprawdę nie jest tym, za co się podaje, że świat ją okłamał, musiała się dowiedzieć więcej. I wciąż chciała odkryć, co się stało z Leonem.

Nie wierzyła już, że odnajdzie go żywego. Wiedziała, że ta niewiarygodna wiadomość, nadawana paroksyzmami źle działającej latarni, była prawdziwa.

A zatem przybyła tutaj, do tej małej rzeźbionej krainy traw, obok umocnień nad rzeką. Tutaj, nieopodal nominalnego ujścia rzeki, w przemysłowym zagłębiu Silvertown, wznosiły się nabrzeża przeciwpowodziowe Thames Flood Barrier, przyczajone w wodzie niczym olbrzymie roje obcych, jak kosmiczni przybysze o srebrnych pancerzach. Pomiędzy nimi przelewała się brunatna woda, a głębiej, w mulistym dnie znajdowało się dziesięć słuz gotowych unieść podwoje.

Do tunelu pieszego w Woolwich było wprawdzie daleko, ale Marge miała do dyspozycji cały dzień. Patrzyła na centrum sterowania wznoszące się na południowym brzegu. Wyciągnęła telefon.

„Chryste, ależ ponura okolica”, pomyślała. Wybrała trasę prowadzącą na lotnisko, biegnącą tunelem pod dnem rzeki. Nie patrzyła już na kartkę, którą sobie wydrukowała: teraz już знаła jej treść na pamięć. Wyciągnięcie tych informacji z sieciowych informatorów nie było łatwe, ale wykonalne. Wymagało trochę skamlenia i trochę oszustwa, ale dalece nie tyle,

ile jej zdaniem powinno. Odkryła już, że fora wprawdzie były „tajne”, ale wielu użytkowników aż pękało z dumy nad posiadaną wiedzą. W każdej rozmowie nieuchronnie padały zwroty „i tak już powiedziałem za dużo” albo „jakby co, to nie słyszałaś tego ode mnie”.

„Od kogo, ty głupi ciulu?”, pomyślała rozeźlona Marge. „Znam tylko twój nick, który jak raz brzmi *blogosławionychlopiec777*, więc, kurwa, nie pierdol, tylko mów”.

Uzbrojona we wskazówki otrzymane od kolekcjonera kultów, określenie „bractwo potopu” i położenie „bariery”, w ciągu kilku dni zdobyła potrzebne informacje. Tym razem poznała nie tylko przekonania swego informatora, ale także jego miejsce pracy – obie rzeczy były ze sobą ściśle powiązane.

Marge dopaliła papierosa. Potem potrząsnęła głową, chwilę pobiegła w miejscu, a potem wbiegła do Centrum dla Zwiedzających przy Thames Barrier. Recepcjonistka spojrzała na nią zaniepokojona.

– Musi mi pani pomóc – wybełkotała. – Proszę posłuchać. Któryś z państwa pracowników używa pseudonimu „brat potopu”... to znaczy, w internecie. Proszę przekazać mu tę wiadomość.

– Eee... rozumiem, to znaczy... a jak on się nazywa?

– Nie wiem, ale proszę uwierzyć, nie jestem wariatką. To sprawa życia i śmierci. Dosłownie. Chyba da się jakoś przekazać tę wiadomość wszystkim, którzy tu pracują? I nie mam tu na myśli tylko centrum, ale też inżynierów i resztę. Proszę posłuchać, błagam panią. Błagam! – Chwyciła kobietę za rękę. – Proszę powiedzieć człowiekowi, który używa przezwiska „brat potopu”, że czeka na niego wiadomość od Tyno Helig. On zrozumie, proszę wierzyć. Tyno Helig, dobrze? – Zapisała to na skrawku papieru. – Będę czekać w Maryon Park. Proszę.

Marge popatrzyła kobiecie głęboko w oczy, odwołując się do jakiejś siostrzanej solidarności. Nie była pewna, jak dobrze jej poszło. Wybiegła z centrum i zniknęła za zakrętem, gdzie zwolniła i spokojnie ruszyła przed siebie Warspite Road, skręcając w stronę parku.

Pogoda była inna niż na filmie i nie przywodziła zbyt wielu wspomnień, ale w końcu Marge trafiła do miejsca, które rozpoznała z *Powiększenia*. Usiadła najbliżej, jak tylko mogła. Obserwowała ludzi. Trącała palcem mały scyzoryk, który wcześniej kupiła, choć nie wiedziała, czy jej się na coś przyda; liczyła na to, że bezpieczeństwo zapewni jej raczej światło dnia i obecność przechodniów. Zastanawiała się, po czym pozna, że jej zwierzyna weszła do parku.

Po niecałej godzinie przekonała się, że niepotrzebnie się martwiła. Nie była to jedna osoba, ale trzy. W jej stronę zmierzali trzej mężczyźni, rozglądając się na wszystkie strony. Byli wysocy i umięśnieni, ubrani w identyczne mundury techników. Najstarszy z nich, który szedł na przedzie, dał pozostałym znak, by się rozeszli. Marge wstała – czuła się bezpieczniej,

mając ich wszystkich w polu widzenia. Od razu ją zauważyli. Kobieta zacisnęła dłoń na scyzoryku.

– Cześć – powiedziała. – Jestem Tyno Helig.

Zatrzymali się w pewnej odległości od niej. Zaciskali pięści. Mężczyźnie stojącemu na przedzie zadrgała szczeka.

– Kim jesteś? – spytał w końcu. – I co tu, do cholery, robisz? Mówiłaś, że masz jakąś wiadomość?

Marge widziała, jak przez jego twarz przelatują sprzeczne uczucia. Był wściekły, że wykryto ich w pracy, mimo iż występowali tam w cywilu. Wściekły, że ktoś przyszedł, by natrząsać się z ich wiary; podejrzewał, że o to właśnie chodzi. A jednak było tam jeszcze coś innego, co walczyło o lepsze z oburzeniem: podekscytowanie, a także, Marge rozpoznała to zdradzieckie uczucie, nadzieja.

– Co to za wiadomość? – A zatem jej plan się powiódł. Tyno Helig nie był osobą, lecz miejscem; było to jedno z zatopionych królestw, walijska Atlantyda. Uznała, że to powinno ich zaintrygować. – Kim jesteś? – powtórzył mężczyzna.

– Przepraszam, że wprowadziłam was w błąd – zaczęła. – Musiałam z wami porozmawiać na osobności... – zawahała się przez chwilę, ale, pieprzyć to, była zbyt zmęczona, by dbać o czyjeś sentymenty. – Nie chodzi o waszą wyczekiwaną falę powodziową. Mam do was pytanie...

Mężczyzna przytknął do głowy uniesioną pięść, jakby chciał się uderzyć, a potem nagle chwycił Marge za klapy płaszcza. Pozostali otoczyli ich z obu stron, osłaniając przed wzrokiem przechodniów.

– Masz pytanie? Wiesz, kim jesteśmy? Podaj mi jeden powód, bym cię natychmiast nie zatopił. Wiesz, kim jesteśmy?!

Tak, coś o tym wiedziała. Podczas swych poszukiwań trafiała na różne absurdalne wierzenia. Kopała dość głęboko, by zebrać dość informacji także na temat tego.

Wspólnota Błogosławionego Potopu. Tęcza, jak dowiedziała się z jakiegoś sieciowego tekstu, nie była obietnicą, lecz przekleństwem. Upadek nie nastąpił w chwili, gdy pierwsi rodzice opuścili rajski ogród: był to jedynie mityczny czas straszliwej próby. Później Bóg wynagrodził jednak swych wiernych za pomocą świętych deszczy.

„Błąd w tłumaczeniu”, przeczytała. Jeśli to, co zbudował Noe, Ziusudra, Utnapisztim czy też ta sama postać pod innym imieniem, rzeczywiście było statkiem, to dlaczego Tora o tym nie wspomina? Dlaczego arka nie jest określana jako „oniyah” – „statek”, lecz jako „tebah” – „skrzynia”? Ponieważ nie miała pływać na falach zesłanych przez Boga, lecz pod nimi. Pierwszy w dziejach okręt podwodny, wykonany z drzewa żywicznego, długi na trzysta łokci, przemierzający nowy obiecany świat. Zbierał żniwa na łąkach wodorostów. Ale ludzie

wysłani do podwodnego raju okazali nieposłuszeństwo, a wtedy Bóg się rozgniewał i wycofał morza. Nieszczęśnicy wygnani z oceanu mieli odtąd żyć na suchym lądzie.

Wspólnota Błogosławionego Potopu modliła się o przywrócenie wód. Marge czytała opowieści o ich utopiach, pogrążonych w morzu nie za karę, lecz w nagrodę: Kiteż, Atlantyda, Tyno Helig. Ich czczeni prorocy: Kröhl i Monturiol, Atanazy, Ricou Browning i ojciec Johna Cage'a. Cytowali Ballarda i Garretta Servissa. Składali dzięki za tsunami i świętowali topnienie szatańskich lodów polarnych, które szyderczo zagarniały wodę, wiążąc ją w nieruchomych blokach. Religia nakazywała im latać samolotami jak najczęściej i jak najdalej, by zwiększyć emisję dwutlenku węgla. Umieszczali swoich ludzi w strategicznych miejscach, gdzie pewnego dnia mogli wspomóc nadchodzącą powódź.

I właśnie dlatego ta mała komórka działała w najbardziej bluźnierczej instytucji przeciwpowodziowej. Byli bardzo cierpliwi. Powstrzymywali małe fale, czekając na wielką. W dniu, gdy ostateczna burza zjawiłaby się na horyzoncie, gdy skłębione wody wypadłyby z głębin, dopiero wtedy zaczęliby wkładać kije w tryby mechanizmu. A kiedy już woda zalałaby ulice jak na obrazie Hokusaiego, członkowie Bractwa Błogosławionego Potopu mogliby nareszcie żyć w zatopionym Londynie, który sobie wymarzyli.

A teraz usłyszeli o jej „wiadomości”. Nadchodził koniec świata, wszyscy o tym wiedzieli... może sądzili, że będzie to ich koniec.

– Macie szczęście, że nikt was dotąd nie wykrył – oznajmiła, po czym wyrwała się z uścisku. – Sama usłyszałam o was dopiero parę dni temu. Ktoś doradził mi, żebym porozmawiała z morzem, i dodał, że to wy mogliście zabrać kałamarnicę. Wiecie, o czym mówię. Muszę wiedzieć... Ten, kto zabrał to cholerstwo, zabił mojego chłopaka.

– Masz tupet – stwierdził mężczyzna. – Nie mówię, że cię to ocali, ale to zawsze coś.

– Mówiłem ci, stary – dodał drugi. – Wszystko to popieprzone.

– To nie tupet – odparła Marge. – Po prostu jestem już zmęczona. Naprawdę go kochałam. Był tego dnia z Billym... Billym Harrowem – powtórzyła, obserwując jego reakcję. Mężczyzna poruszył grubą szyją, patrząc na pozostałych.

– Harrow? – upewnił się. – Harrow? Myślałem, że to on ukradł krakena. Tak słyszałem. Jest jakimś prorokiem. Spiknął się z Dane'em Parnellem, gdy uciekł od krakenitów. To ich musisz spytać. Oni go zabrali.

– Nie, to nie oni.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Dane uciekł z kościoła, gdy ukradziono krakena, i dołączył do Harrowa, więc jeśli mieli coś wspólnego z twoim facetem...

– Mówię wam, że nie! – upierała się Marge. – Nie znam tego Parnella. W ogóle niewiele wiem o tej sprawie, ale Billy Harrow nie ukradł kałamarnicy. Jedliśmy razem pizzę. – Zabrzmiało to tak absurdalnie, że aż się roześmiała. – Ale wiem, że to nie on. Zresztą, mam wrażenie, że już nie żyje. A gdyby wiedział, gdzie jest Leon, to przecież powiedziałby mi o

tym... – zamilkła, przypominając sobie mrugającą latarnię. – Powiedziałyby mi – powtórzyła wolno – gdyby tylko mógł. – Członkowie bractwa zbili się w grupę, rozmawiając przyciszonymi głosami. Marge czekała. – Myślicie, że przychodziłabym tutaj, gdyby miała jakiś wybór? – spytała nagle, ku własnemu zaskoczeniu. Mężczyźni zamrugali, zaskoczeni. – Nie podoba mi się to. Nie obchodzi mnie te pierdoły, nie wierzę w wasze bzdury, nie chcę zatopić świata i nie chcę, żeby kałamarnica została królem stworzenia, nie chcę rozmawiać z tymi pierdolonymi popaprańcami i nawet nie wiem, czy kiedykolwiek znajdę Leona, ale... – Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Któż mógł to przewidzieć?” – ...muszę się dowiedzieć, co się stało. A teraz mówicie mi, że sami nie wiecie? Co z was za pożytek, ludzie? – Poczula, że łzy napływają jej do oczu, nie z żalu, lecz z wściekłości.

– Nie wiem, z kim rozmawiałaś – powiedział brat potopu i zawahał się lekko – ale gość nie miał pojęcia, o czym mówił. Nie reprezentujemy morza, jak w ogóle mielibyśmy... To dezinformacja.

– Nie obchodzi mnie...

– Ale mnie obchodzi. Ludzie chcą wiedzieć. Coś się szykuje. Skąd to wszystko wiesz? Kto ci pomagał?

– Nikt. Jezu!

– Nie mogę ci w niczym pomóc. – Mężczyzna mówił spokojnie, jego głos nie zabrzmiał łagodnie, ale nie było w nim też agresji. – Poza tym wyjaśnijmy sobie jedno: nie mówię w imieniu morza – dodał z irytacją. Marge miała wrażenie, że ten człowiek żarliwie pragnący zatopić świat, pokryć jego miasta wodorostami i użyźnić ulice ciałami grzeszników, w gruncie rzeczy jest dość przyzwoitym facetem. – Musisz być ostrożna – dodał. – Nie szukaj kłopotów. Potrzebujesz czegoś do ochrony. W tym mieście nigdy nie było bezpiecznie, a teraz to już zupełnie szaleństwo. Pewnie nieraz nadepniesz komuś na odcisk. I znajdź sobie coś do ochrony, u diabła. Nic nie nosisz, prawda? – Zacisnął dłoń na piersi, w miejscu gdzie mógł wisieć jakiś amulet. – Jak tak dalej pójdzie, ktoś cię w końcu zabije. A wtedy nie pomożesz swojemu chłopakowi, prawda? – Marge już miała zaprotestować: „Nie jestem dzieckiem!”, ale jego szorstka zyczliwość zupełnie ją rozbroiła. – Daj temu spokój. A jeśli nie, to chociaż idź do kogoś, kto się na tym zna. Murgatroyd, Shibleth albo Butler, albo ktoś z nich. Zapamiętaj te nazwiska. W Camden albo w Borough. Powiedz, że przysłała cię Sellar.

– Posłuchaj – poprosiła Marge. – Czy mogę wziąć twój numer telefonu? Możemy porozmawiać o tym później? Potrzebuję pomocy. Czy...

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie mogę ci pomóc. Przykro mi. Jesteśmy teraz trochę zajęci. No, idź już. – Poklepał ją po łopacie, jakby była zwierzęciem. – Powodzenia.

Marge opuściła ponurą okolicę Woolwich, nie oglądając się na obrzydliwą spłaszczoną kopułę, tak białą, że nabierała chorowitej barwy. Jej najlepszy trop zaprowadził donikąd. Musiała zacząć od nowa. Może przy okazji poszukać czegoś do ochrony.

Jej najlepszy trop zaprowadził donikąd, ale jednocześnie sama stała się tropem. Wiadomość, że Billy Harrow, tajemniczy prorok krakena, nie dokonał porwania bożka, była bardzo ważna.

Armie wiernych miały prawo to wiedzieć. Morze miało prawo wiedzieć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Jason Smyle, proletariacki kameleon, słuchał, jak Billy próbuje go przekonać, by podjął się bezpłatnego zlecenia.

– Jesteś przyjacielem Dane’a.

– Taaa – odparł Jason.

– Więc zrób to dla niego.

Billy nie miał pojęcia, gdzie znaleźć Jasona. Nie mieli czasu, by organizować spotkanie. Podał Watiemu numer telefonu, który bez trudu ukradł, mimo że był jeszcze w szoku po zakończonej walce. Wati odszukał Jasona i przekazał mu numer.

– Wiesz, co się stało? – nalegał Billy. – Porwali go naziści chaosu. Wiesz, co to oznacza.

– Billy czuł się, jakby też to wiedział, jakby spędził w tym świecie całe życie. Dane, w przeciwieństwie do niego, nie cieszył się opieką żadnego *angelus ex machina*.

– Co mam zrobić?

Nawet przez telefon Billy odniósł wrażenie, że znał Jasona już wcześniej.

– Musimy go odnaleźć i dowiedzieć się, co się dzieje. Odchodzą tu jakieś brudne machlojki. Posłuchaj. – Billy przycisnął telefon policzkiem do ramienia i przelazł przez dziurę w siatce na ogrodzone podwórze. – Tatuaz wynajął nazistów chaosu, a jego ludzie rozpierdalają pikiety Watiego. Wspólnie z policją. Musimy się przekonać, jak głęboko to sięga. Niewykluczone, że to gliny przetrzymują Dane’a. Najwyraźniej są w zмовie z Tatuazem, więc muszą przynajmniej wiedzieć, gdzie on jest. Dlatego potrzebny nam twój sznyt. Ale nawet jeśli ich znajdziemy, to nie zdołasz tam przeniknąć, prawda?

– Nie – odparł Jason. – Oni nie są opłacani, a ja nie potrafię udawać wierzącego. Jeden dobry sznyt i jestem w dupie.

– Jasne. Słuchaj, idź teraz na komisariat w Neasden i zobacz, co tam mają. Dowiedz się jak najwięcej. Chodzi o życie Dane’a.

– Taaa – odparł Jason. – Taaa.

Billy mówił tak, jakby nie dopuszczał możliwości, że kameleon odmówi, ale teraz aż zamknął oczy z ulgi.

– Zadzwoń, jak już będzie po wszystkim – poprosił. – Dzięki. Idź już, okej? Musimy się dowiedzieć, gdzie są. I dzięki.

– A co ty...

– Muszę sprawdzić coś innego. Jason, proszę cię, idź natychmiast. Musimy go znaleźć – Billy przerwał połączenie.

Jak odejść z miejsca, gdzie stało się coś takiego? Po zakończonej walce, stojąc w chłodnej ciszy, u stóp wielkich, martwych budynków, Billy był w stanie tylko pójść za głosem Watiego. Zbuntowany duch prowadził go naprzód, podając wciąż nowe wskazówki, rozglądając się po okolicy z niezliczonych figurek, które znalazł w pobliżu.

– Londynmanci – powiedział tylko Billy.

– Cicho, stary – upomniał go Wati z jakiegoś bibelotu, którego Billy nawet nie widział. – Nikt nam nie pomoże. – Niewielki krąg konspiratorów: Fitch, Saira, ich pomocnicy i tamten mężczyzna, którego Billy ogłuszył i niechcący wtajemniczył w sprawę, nie mogli mu przyjść z pomocą. Billy nie znał żadnych kryjówek. – Ech, kurwa mać – zaklął Wati.

Przedstawiciel ZMA był już wystarczająco zirytowany, że musi własnoręcznie niańczyć osamotnionego mesjasza. Billy nie posłuchał jednak jego instrukcji, by podnieść pokrywę studzienki, wykorzystując jakieś skomplikowane zakłęcie i siłę, o której kilka tygodni wcześniej mógł tylko pomarzyć. Zatrzymał się wpół kroku, zacisnął pięści bez zaciskania i poczuł, że czas waha się, a potem wraca, poruszając się jak drżący koc. Powiedział Watiemu, że teraz on ma pójść z nim, po czym ukradł telefon. Wziął z witryny najmniejszą laleczkę z zestawu matrioszek, po czym podniósł ją zamiast idiotycznego plastikowego Kirka – choć jego też zatrzymał – i zwrócił się do Watiego:

– A teraz posłuchaj. Zrobimy tak...

– Ze wszystkich małych chłystków, z którymi musimy mieć do czynienia – narzekał Baron – jebaniutcy naziści chaosu są chyba najgorsi.

Stał pomiędzy Collingswood i Vardym, pocierając twarz nerwowo, ze złością. Przepychali się, żeby zajrzeć do sali szpitalnej za szybą z wzmocnionego szkła, gdzie leżał człowiek podpięty do aparatury podtrzymującej życie i przypięty kajdankami do łóżka. Maszyna monitorowała rytm serca.

– Powiedziałeś „chłystków”, szefie? Chcesz grać w teatrze?

– No dobra – odparł z roztargnieniem Baron. – Dupków.

– Zlituj się, szefie. Podnieś stawkę. Gównolisów.

– Gnojów.

– Ryboplujków. Jebanych pasztetów. Cipogzów. Mamlających tostociągów. – Baron spojrzał na nią zaskoczony. – Aha, ma się tę smykałkę. No i co, kto tu rządzi?

– Powiedz mi – przerwał Vardy. – Co dokładnie zdołaliście z nich wyciągnąć? Było ich kilku, dobrze mówię?

– Aha – odparł Baron. – Pięciu, w różnych stadiach zmasakrowania. I paru martwych.

– Chcę wiedzieć, co dokładnie widzieli. Muszę dojść, co się tu dzieje.

– Masz jakąś hipotezę? – spytała Collingswood.

– O, tak. To akurat mam, nawet w nadmiarze. Tylko jakoś nie mogę tego poskładać. – Vardy zapatrzył się na człowieka w łóżku. – To sprawka Tatuaza. Słyszałem, że zatrudnia podwykonawców, ale nie spodziewałem się, że będzie to akurat ta banda.

– A pracował z nimi już wcześniej? – spytała Collingswood.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A Grisamentum?

– Co? – spojrzał na nią zaskoczony. – Czemu pytasz?

– Przeglądałam teczki na twoim biurku. Wszyscy znani wspólnicy Tatka. Masz tam też starego Grisa. Ciekawe czemu?

– Ach. Cóż, to prawda. Ci dwaj... poruszają się jak w marszu. Zawsze tak było, póki Grisamentum jeszcze żył. A wygląda na to, chyba tu się zgadzamy, że ciągle żyje. Wspólnicy jednego mogą być wspólnikami drugiego.

– Dlaczego? – spytała Collingswood. – To nie ma sensu. Nienawidzili się serdecznie.

– Przecież wiesz, jak to działa – odparł Vardy. – Trzymaj przyjaciół blisko, a nieprzyjaciół bliżej. Przekupieni, zdrajcy i tak dalej?

Collingswood pokiwała głową na boki.

– Jak uważasz. Ja tam nie wiem – stwierdziła. – Ludzie Grisa naprawdę go kochali, nie? Poszliby za nim w ogień.

– Nikt nie jest aż tak lojalny, żeby nie dać się przekupić.

– Już zapomniałam o tych wariatach, z którymi spiknął się pod koniec – dodała Collingswood. – To znaczy, Gris. Przeglądałam teczki. – Vardy uniósł pytająco brew. – Doktorzy, śmierć-doktorzy... I piromanci, nie?

– Tak.

– I podejrzewasz, że niektórzy z nich pracują teraz dla Tatuaza, tak?

Vardy zawahał się, a potem zaśmiał. To było do niego zupełnie niepodobne.

– Nie – odparł. – Chyba nie. Ale nie ma powodu, żeby tego nie sprawdzić.

– Nadal chcesz ich ścigać?

– Pewnie, że chcę, do cholery, prześwietlę każdy ślad, póki nie upewnię się, że nie mają nic wspólnego ze sprawą tej kałamarnicy, czy to ci od Grisamentuma, czy ci od Tatuaza. Czy ci niezależni. Zajmij się swoją robotą, a ja się zajmę moją.

– W porządku – wtrącił się Baron. – Spokój, obydwójce.

– Dlaczego, do biurwy nędzy, nie możemy znaleźć tej kałamarnicy, szefie? Kto ją ma? To się robi coraz głupsze.

– Posłuchaj, Collingswood, gdybym to wiedział, byłbym komendantem. Spróbujmy najpierw ustalić, kto jest kim w tym bajzlu. Jak dotąd, mamy nazistów chaosu, naszych

tostociągów – dziękuję, posterunkowa – w roli niedawnych współników Tatuaza. Podobnie jak wszyscy inni w tym cholernym mieście.

– Nie wszyscy – zauważyła Collingswood. – Są jeszcze broniownicy, ale chyba siedzą w kieszeni kogoś innego. Nikt nie wie, w czyjej, i wszyscy są tym trochę zaniepokojeni.

– Prawdopodobnie naszego porywacza głowonogów – odparł Vardy – Kto im płaci?

– Nie możemy tego wyśledzić. Przeszli w tryb milczenia.

– A zatem trzeba ich z niego wyciągnąć – odparł Baron.

– A jak myślisz, szefie, co próbuję zrobić?

– Znakomicie! – podsumował Baron. – Wyszedł nam prawie koan zen. Czy lepiej, gdy fanatyczni strzelcy-wizjonerzy walczą przeciw nam u boku nazistów chaosu, czy gdy walczą przeciw nim, a my stoimy na drodze? Hm? Odpowiedzcie, moje małe bodhisattwy.

– Czy moglibyśmy najpierw ustalić, jak się rzeczy mają z tym kolegą? – spytał Vardy – Czy któryś z nich coś powiedział?

– Oczywiście – odparł Baron. – Musiał jakoś ukryć to, jak szybko zmusiłem go do gadania, więc pod pretekstem nurzania się w odmętach chaosu, który miał rzekomo wywołać, szokując mnie swoim wyznaniem prawdy, obla-di, obla-da, ten mały skurczybyk śpiewał jak najpiękniejszy słowiczek.

– I? – wtrącił Vardy.

– I wygląda na to, że Dane Parnell kiepsko się teraz bawi. Naziści zgarnęli naszego wygnańca. Tyle zdołał dojrzeć – wskazał podbródkiem szybę – zanim stracił przytomność. A zatem nasz mały Billy błąka się teraz zagubiony, sam w wielkim mieście. Ciekawe, co porabia?

– Aha, ale nie wydaje się, żeby był szczególnie bezradny, co? – zauważyła Collingswood. – To znaczy, skoro... – Machnęła ręką w stronę rannego. – Musi mieć niezłych zawodników w swoim narożniku.

– Vardy? – Baron odwrócił się do profesora. – Zechcesz powiedzieć, co o tym myślisz? – Teatralnym gestem otworzył notes, jakby nie pamiętał szczegółów opisu, który miał właśnie wygłosić: – To była butelka, policjancie, ty nędzna gnido, ponieśliśmy im chaos, ty łajzo, i tak dalej – czytał z kamienną twarzą. – Wiecie co, chyba trochę to zredaguję, wytnę epitety i przejdę do konkretów. – To była butelka. Zaatakowała nas. Miała czaszkę i gryzła. Zamiast rąk kości. To był prawdziwy szklany wróg. Muszę przyznać, że podoba mi się ta ostatnia linijka. – Odłożył notes. – A teraz mów. Na pewno masz jakieś pomysły. – Vardy zamknął oczy. Oparł się o ścianę i wydał policzki. Gdy znów otworzył oczy, nie patrzył ani na Barona, ani na Collingswood, spoglądał przez szybę na zmasakrowanego nazistę chaosu. – Wiemy, o co w tym wszystkim chodzi, prawda? – dodał Baron. – Nie, inaczej, nie mamy bladego pojęcia. Nikt nie ma. Ale my wiemy przynajmniej z grubsza, co zaatakowało nazistów i porwało młodego Harrowa.

– W porządku, wracam do muzeum – stwierdził Vardy. – Zobaczą, czy tym razem uda mi się to rozgryźć. Tylko raz! – dodał z niespodziewaną zawziętością. – Byłoby miło, gdyby raz na jakiś pieprzony czas cały ten cholerny świat działał tak, jak należy. Męczy mnie już to, że cały nasz cholerny wszechświat jest ogarnięty permanentnym losowym szalem, przez cały cholerny czas! – Westchnął i potrząsnął głową. A potem, ku zaskoczeniu Collingswood, uśmiechnął się zaciśniętymi wargami. – No cóż – stwierdził. – Doprawdy. Ruszcie głowami. Dlaczego, do ciężkiej cholery, anioł pamięci miałby chronić Billy’ego?

Jednak Dane’a nie chronił nikt, dlatego krakenita obudził się teraz na wpół oszołomiony, związany w dziwnej, niewygodnej pozycji, którą po dłuższym czasie zidentyfikował jako ukrzyżowanie na przekrzywionym krzyżu. Przypięto go, niczym ofiarę, do wielkiej swastyki, prawie wielkości człowieka. Nie otwierał oczu.

Usłyszał jakieś echa, odgłos kroków i krzykliwy śmiech, który przeraził go, mimo swej ostentacji. Warkot i szczekanie olbrzymiego psa. Po kolei napinał i rozluźniał mięśnie rąk i nóg, by przekonać się, czy nadal są całe.

„Krakenie, daj mi siłę”, modlił się. „Daj mi siłę z twego najgłębszego mroku”. Wiedział, co zobaczy, jeśli otworzy oczy. Wiedział, że pogarda, jaką odczuwał, nie byłaby większa niż strach i że będzie musiał go przemóc, a w tej chwili nie miał do tego głowy. A zatem nie otwierał oczu.

Większość magów chaosu potrafiła zanudzić człowieka na śmierć, opowiadając o tym, jak to chaos, który czcili, przynosił im wyzwolenie, a ich nielinearne zaklęcia stanowiły antytezę prostoliniowego, ograniczonego toku myślenia, który – ich zdaniem – doprowadził do powstania Auschwitz-Birkenau, ple, ple, kurwa, ple. Akcentowanie tego jednego aspektu skrajnej prawicy stanowiło jednak jedynie polityczny trik. Prócz niego istniał jeszcze inny, nieco wyparty, choć nie mniej ważny i równie wierny faszystowskiej tradycji: barokowa dekadencja.

Ze wszystkich faszystowskich sekt, naziści chaosu stanowili najbardziej ekstrawagancki odłam, po strasserowsku gorliwy w obronie wartości, które uważali za prawdziwe jądro całego ruchu. Skrzypiące czarne ubrania esesmanów – przekonywali wszystkich, którzy próbowali ich wysłuchać, zamiast uciekać lub zabić na miejscu – stanowiły pornografię tchórzy, afektowaną deformację chlubnej tradycji.

Spójrzcie na wschód, przekonywali. Na autonomiczną strukturę komórek terroru w operacji Werwolf. Na sybaryckie orgie w Berlinie, które, wbrew utartym opiniom, nie były przejawem degeneracji, lecz kulminacją ruchu. Najświętszy dzień w ich kalendarzu stanowiła „noc kryształowa” – wszystkie błyskotki chaosu zrzucone na jeden stos. Istotą prawdziwego nazizmu, przekonywali, był zbytek, nie zaś wstrzemięźliwość postulowana przez nadętych zarozumiałców, spętana asceza superego przeforsowana w końcu przez kilku biurokratów.

Ich symbolem była ośmioramienna gwiazda chaosu, przeprojektowana tak bardzo, że mogłaby doprowadzić Moorcocka do łez. Przecinające się ramiona układały się w kształt swastyki wskazującej we wszystkich kierunkach. Czym jest „prawo”, pytali? Co jest największym wrogiem chaosu, jeśli nie Tora? Czym jest prawo, jeśli nie żydowskim prawem, stanowiącym kwintesencję żydostwa, i czymże jest chaos, jeśli nie odrzuceniem tego brudnego żydowsko-bolszewickiego kodeksu? Cóż jest lepszego w naturze ludzkiej niż wola i gniew, i pobłażliwość dla swych pokus? Czyż maksyma „będziesz czynił, co zechcesz” nie jest autopoezją nadczłowieka? I tak dalej, i tak dalej, bez końca.

Naziści chaosu byli w gruncie rzeczy prowokatorami, a ich szeregi były żałośnie nieliczne, zdobyli jednak sławę za sprawą okazjonalnych aktów niewiarygodnego, artystycznego okrucieństwa, w najlepszym duchu ich proroków. Uważali, że „ostateczne rozwiązanie” było wprawdzie dość efektywne, ale jego wykonanie okazało się zbyt bezduszne. Cały problem z Auschwitz polegał na tym – tłumaczyli – że zostało źle zorganizowane. Mieli nadzieję, że ich wyczekany führer chaosu opracuje wystarczająco artystyczny projekt ludobójstwa.

To do nich zwrócili się o pomoc Goss i Subby i dopilnowali, by cały Londyn dowiedział się o tej decyzji. Zwrócili się o pomoc do tych szokujących, niebezpiecznych, potwornych clownów, by pomogli im wytropić Billy’ego i Dane’a. Billy ocalał z ich szponów, ale Dane już nie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Billy włożył okulary. Co dziwne – wciąż były całe, a do tego czyste.

– Wati?

– Nie wiem, gdzie jest Dane – odpowiedziała natychmiast lalka. – Ciągłe się rozglądam, ale nic z tego. Mam nadzieję, że Jason będzie miał więcej szczęścia. Chyba mają jakieś zaklęcia ochronne.

– Muszę ci opowiedzieć, co mi się śniło – oznajmił Billy, a jego głos brzmiał, jakby wciąż śnił. – Wiem, że to ważne. Śnił mi się kraken. Był robotem. I znów pływał w zbiorniku, a ja stałem obok. I wtedy coś powiedziało: „Patrzysz w złą stronę”. – Na chwilę zapadła cisza. – Jason wchodzi na komisariat, a w międzyczasie chciałbym się dowiedzieć, dlaczego ten anioł mnie chroni – ciągnął Billy. – Może on wie, co tu się dzieje. Wiedział, gdzie mnie znaleźć. Może i mnie uratował, ale pozwolił im zabrać Dane’a. – Opowiedział Watiemu o spisku Fitcha i Sairy. Nie miał żadnych zahamowań, mimo że była to naprawdę tajna tajemnica. Obecnie ufał Watiemu na tyle, na ile mógł zaufać jakimkolwiek londyńczykowi. – Powiedz im, że muszą nam pomóc – dodał na koniec.

Wati ruszył żabim skokiem, ale za chwilę wrócił.

– Nie mogę tam wejść – stwierdził. – To przez Londyński Kamień. Odpycha wszystko. Jakbym próbował przepłynąć wodospad pod prąd. Ale...

– Będzie lepiej dla nich, jeśli przekażesz im to szybko, bo inaczej przejdę się po mieście i wykrzyczę ich sekret na cały głos. To też im powiedz.

– Nie mogę tam wejść, Billy.

– Chromolić ich tajemnice.

– Posłuchaj, Billy. Saira próbowała się z nami skontaktować. Jest naprawdę bystra. Domyśliła się, że działaliśmy razem. Zostawiła mi wiadomość w biurze. Nic nie ujawniła, powiedziała tylko: „Próbujemy skontaktować się z naszym wspólnym przyjacielem. Może dałoby się zorganizować spotkanie?”. Wyraźnie podkreśliła, że chcą pomóc. Działają przeciw Tatuazowi, a to czyni ich bardziej sprzymierzeńcami niż wrogami, prawda? Nie mogę tam wejść, ale spróbuję wysłać swoich ludzi. Niech zapytają Fitcha, gdzie są naziści.

– Ponieważ jeśli wciąż są w Londynie... – dokończył Billy. – On będzie o tym wiedział.

– Taka jest idea.

– Ile to zajmie?

– Nie wiem.

– Idziemy – zakomenderował Billy. – Wyciągniemy go stamtąd. Patrzę w złym kierunku. Muszę wiedzieć, kto ze mną walczy i kto walczy u mego boku. Powiedz, Wati, jak mam odnaleźć te anioły?

W mieście takim jak Londyn...

Nie, zaraz – to byłyby zupełnie bezprzedmiotowe rozważania, ponieważ na świecie nie ma drugiego takiego miasta. W tym cała rzecz.

Londyn jest jednym wielkim cmentarzem nawiedzanym przez martwe wiary. Miasto i krajobraz. Rynek zbudowany na feudalizmie. Zbieractwo i myślistwo i małe kieszonki alternatywnych rzeczywistości, choć większość rzeczy w wymiarze, w którym żył i mieszkał Billy, została ukształtowana w mozaice posiadłości lennych, teokratycznych księstw, stref i obszarów wpływów, na których trzymał łapę jakiś miejscowy despota czy inny przestępczy papież. Wszystko opierało się na tym, kto kogo znał, kto miał do czego dostęp i czy wiedział, jakie ręce posmarować na jakiejś drodze prowadzącej dokądś.

Londyn miał swoich pośredników, bojówkowych szadchanów umawiających strony na spotkania. Wati wiedział, gdzie ich znaleźć i którzy z nich mają choćby słabe więzi z aniołami. Wciąż szukał gorączkowo – oprócz tego toczył też własną wojnę. Na niebie wzeszedł sierp księżycy, niebo wyglądało chropowato. Kultuści byli nerwowi.

Billy został sam i wiedział, że powinien się bać, ale jakoś nie odczuwał strachu. Był niecierpliwy. Miał wrażenie, że zegary wahają się z każdym jego krokiem. Wczesnym rankiem zaczął odwiedzać ludzi, których polecił mu Wati.

Teraz już wiedział, jak bardzo jest ścigany. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Odkrył, że jego nogi nauczyły się zakłęb rzucanych w marszu przez Dane'a, i teraz sam szedł w tym samym, automaskującym rytmie. Odruchowo szukał cieni, poruszał się jak żołnierz-kultysta. Wetknął fazer do kieszeni i rozglądał się uważnie wokół.

W końcu samotnie zapukał do drzwi na zapleczu sklepu z kanapkami w Dalston. Do kościoła i do salonu dywanów w Clapham. Do McDonalda w Kentish Town.

– Wati mówił, że możesz mi pomóc – powtarzał.

Najbezpieczniej było nie mówić nic nikomu. Komunikacja mogła implikować, że bierze się udział w jakiejś walce, o której nie miało się nawet pojęcia, mogła oznaczać, że zajmuje się stanowisko, nieświadomie składa podpis na wykropkowanej linii. A jednak.

Macherzy i pośrednicy mieli swoje kryjówki. Pokoje i zakątki internetu, gdzie mężczyźni i kobiety, którym wiara nakazywała kraść, torturować, zabijać, polować i dealować, mogli w końcu znaleźć się wśród ludzi podobnych sobie, którzy rozumieli, ile stresu przynosi taka praca, i znali wszystkie istotne plotki.

– Dane nie mógłby do nich pójść – ostrzegł go Wati. – Od razu zostałby rozpoznany. Ale ciebie nie znają. Może skojarzyliby twoje nazwisko, jeśli uważnie słuchali plotek, ale nie poznają twarzy.

– Niektórzy mnie znają.

– Taaa.

– Mogą z tym pójść do Gossa i Subby’ego.

– Mogą.

– Gdzie oni teraz są?

– Nie wiem.

Polityka w mieście pełnym kultów wymagała szczególnej ostrożności przy każdym spotkaniu. Zabójca z Bractwa Pasa Drogi mógł pożartować z członkiem Mansour Elohim, ale zupełnie ignorować bliźnięta z Kościoła Chrystusa Symbionta – był to przyspieszony kurs *realtheologie*. O ile Billy potrafił się zorientować, w takich miejscach zostawiano swoją przynależność religijną za drzwiami. Napis nad drzwiami w jednej z kryjówek dodawał jeszcze: „Tak głosi prawowiedza”.

Prawo swoją drogą, wiedza swoją, ale nie bądźmy głupi. Do każdej z kryjówek Billy wchodził bardzo ostrożnie i z przyklejonymi wąsami. Wati nie miał tam wstępu, nawet gdyby w grę nie wchodziło poszukiwanie Dane’a. Do środka nie wpuszczano chowańców, a znaki umieszczone przy wejściu głosiły też: „Nie wnosić lalek”. Billy nie odważyłby się złamać tego zakazu. Odkąd rozpoczął się strajk, z okolicy usunięto wszystkie figurki. Magiczny świat był w gruncie rzeczy dość burżujski. Magowie spędzali przymusowy czas wolny na denuncjowaniu swych chowańców i nie chcieli, by przypadkiem podsłuchał ich przedstawiciel związku.

Dwukrotnie odrzucano prośbę Billy’ego, gdy powiedział, ile pieniędzy może na to przeznaczyć.

– Anioły pamięci? Za tyle? – skwitowała pewna staruszka. – Nie mogę się w to mieszać. Teraz? Gdy one wyszły?

Billy zaczął już fantazjować o napadzie na bank, gdy nagle przyszła mu do głowy pewna niespodziewana myśl. Wrócił do miejsca, gdzie wcześniej widział klucz zatopiony w asfalcie. Zaczekał na moment, gdy nic nie jechało, i podważył go nożem. Potem wstał i zachwiał się, nie mogąc złapać równowagi. Szybko zjadł coś w pobliskim barze, oglądając swoje znalezisko. Śmieć oblepiony resztkami metafory. Ten tok myślenia niespodziewanie pomógł mu dokonać jeszcze jednego odkrycia. Idąc do toalety, zobaczył wnękę w ścianie, w której ktoś umieścił żarówkę spoczywającą na patelni. Była to tak oczywista wizualna gra słów, tak całkowicie jajowata, że Billy aż westchnął z wrażenia. Potem zabrał ją bez wahania – była to błahostka i ciężka kradzież jednocześnie. Potem udał się pod następny adres, do baru w Hammersmith.

– Mogę ci zapłacić – powiedział od razu do człowieka, który stanął w drzwiach. – Przekaż to w odpowiednie ręce, a otworzy ci drogę. – Podniósł najpierw klucz, a potem żarówkę. – Nie wiem, co jest w środku, ale na pewno coś się wykluje.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

– Vardy już chodzi po ścianach – stwierdziła Collingswood. Ich dyżurny erudyta-wizjoner wychodził i zjawiał się z biurze zgodnie z jakimś szaleńczym harmonogramem. Potem wybiegał znów, niosąc jakąś teczkę pełną nazwisk i adresów.

– Daj spokój – stwierdził Baron. – Wiesz, jak jest. Musimy popuścić mu trochę wodzy. – Zawahał się. Już od dawna nie widzieli, by tak się zaangażował, może nawet nigdy. Po jego biurku walały się niezrozumiałe notatki, nawiązania do przesłuchań, które przeprowadził osobiście, z podejrzanymi lub ludźmi, których tożsamości nie byli pewni. Jego zachowanie, podobnie jak wszystkich innych, zmieniło się w cieniu nadchodzącej katastrofy, spóźnionego, brutalnego millenium. – Gdzie on teraz jest? – spytał niemal żalonym tonem.

Collingswood wzruszyła ramionami i spojrzała na niego, mrużąc oczy. Siedziała z nogami na biurku i grała w jakąś grę. Jej awatar brykał swobodnie, bez trudu unikając elektronicznie warczących potworów, które próbowały go pożreć. Collingswood nie poruszała nim sama, była skupiona na rozmowie. Podsznytowała joystick, tak by sam pokonał cały poziom.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała. – Na ile potrafię odcyfrować jego bazgroły, to próbuje znaleźć jakiegoś informatora z dawnej ekipy Grisamentuma. Jakiś nekromanta, piromanta czy ktoś taki. Myślisz, że chociaż sam wie, czego szuka?

– Nie – odparł Baron. – Ale gwarantuję ci, że to znajdzie. Podobno w okolicy pojawili się broniownicy.

– Mówiłam? Tak, oni i w ogóle wszyscy. Goście specjalni walą drzwiami i oknami. – Collingswood wskazała na raporty przed sobą.

– Jacy goście? – spytał Vardy, wchodząc do pokoju z papierami w ręku.

– Najwyższy czas – stwierdził Baron. – Już myślałem, że dałeś dyla na dobre.

– To prawda z tymi broniownikami?

– A co? Znalazłeś coś podczas swojej małej misji?

– A jeśli to prawda... – Collingswood obróciła się na krześle, by siedzieć przodem do Vardy'ego. Jej cyfrowy awatar kontynuował swoje przygody – ...to zacząłbyś się bać?

Vardy uniósł brew.

– Cały czas się boję.

– Zacząłbyś?

– Jak dotąd nie uskarżamy się na brak zabójczych sekt.

– Właśnie. – Collingswood osobiście zatrzymała paru takich kultystów. Siostry Stryczka, Niu-hulsi i inni wyznawcy różnych odmian nietzscheańskiego kiczu. Przypominali najbardziej niewybrednych czytelników Colina Willsona i de Sade’a, miłośników książek Sotosa. Wyznawali swoiste odłamy banalnych „transgresji”, sprowadzające się w istocie do odwrócenia moralności telewizji familijnej. Gloryfikowali to, co uważali za specyficznie pojętą wolę, krytykowali resztę ludzkości jako „stado bezwolnych owiec” i bez końca bredzili o morderstwach. Banalność ich wiary nie oznaczała, że byli niegroźni albo że czasem nie dopuszczali się okrucieństwa dla większej chwały bądź to ich samych, bądź też bogini Kali albo któregoś z lovecraftowskich bóstw, które akurat, jak sobie infantylnie wmówili, pragnęło ich ofiar. Nawet ginąc z ich rąk, człowiek wciąż miał ich w głębokiej pogardzie.

– Oni nie przypominają tamtych – odparł zdecydowanie Vardy. – Bywają najemnikami, ale raczej przypadkowo. Celem broni nie jest zabijanie, lecz sama broń. Na początku było to bardziej pogańskie.

– Zechcecie oświecić staruszka? – wtrącił się Baron. – Przepraszam, że przerywam.

Vardy i Collingswood patrzyli na siebie, aż w końcu kobieta uśmiechnęła się krzywo.

– Spotkałeś ich kiedyś? – spytała.

– Może jednak? – naciskał Baron.

– Rozchorowali się, szefie, już jakiś czas temu – wyjaśniła posterunkowa. – Ale przyznaję, że nigdy nie rozumiałam, o co chodziło z tą całą bronią.

Tajemnicza choroba opanowała całe ich protoplenie, infekując wszystko, czego dotykali. Rzeczy, które brali do ręki, zaczynały obijać się o siebie, stoły podskakiwały, krzesła stepowały, książki tańczyły, ruchliwe i niespokojne jak małe dzieci. Podobnie jak król Midas, który nie mógł zjeść kanapki ze złota, żaden z nosicieli tej choroby, owych życiodajnych Mary Mallon, nie był w stanie zjeść kawałka chleba i sera, które nagle postanowiły pobiegać po okolicy.

– To była mutacja – stwierdził Vardy. Wymówił to ostrożnie, z neutralną niechęcią. – Mutacja adaptatywna.

– Czy to źle? – spytała Collingswood, widząc wyraz jego twarzy.

– Źle dla kogo? Mutacja potrafi przecież uratować życie.

Być może był to efekt ścisłych reguł, których należało przestrzegać podczas hodowli pistoletu z zamkiem kołkowym – kapryśnego zwierzęcia szczekającego ołowiem; być może stłumiona pogarda dla życia, ale po jakimś czasie zaczęli przelewać życie jedynie w swoją broń i to przy użyciu łagodniejszych metod. Każda broń, jaką władali, stawała się maszyną pełną samolubnych genów.

– Naboje to jaja broni – wyjaśniła Collingswood Baronowi. Broniownicy ściskali swoje święte metalowe bestie aż do chwili szczytowania, zapłodnienie następowało przez wybuch

kordytu, proces składania jaj był bardzo gwałtowny. Broń szukała ciepłych miejsc pełnych substancji odżywczych, gdzie małe bronie mogłyby się schronić, ukryte głęboko w kościanych klatkach, póki nie były gotowe do wyklucia. – Nigdy nie rozumiałam tylko, dlaczego uważa się ich za takich twardzieli.

– Ponieważ opiekują się swoimi stadami – odparł Vardy. – I wynajdują im dobre gniazda. – Spojrzał na zegarek.

– Skoro tak mówisz. Czyli już niedługo totalnie kogoś zabiją – stwierdziła Collingswood. – Kto im, kurwa, za to płaci? Nie mogę się niczego dowiedzieć. A co to oznacza, to naprawdę już chuj wie. – Jeśli jej desperackie próby projekcji, zdalnych wizji i pobudzania sensorycznego, nocne spacery, węszenie, zakłócanie prądów i wojny kodowe nie dawały efektów, to z całą pewnością jej ofiary okrywała jakaś zasłona.

– Vardy – odezwał się w końcu Baron. – A gdzie ty się wybierasz?

– Daj mu iść, szefie – stwierdziła Collingswood. – Niech Mystic Pizza robi swoje. Ja przyjrzę się tym broniownikom. Chyba niepotrzebny nam Doktor Wizjoner, żeby prześledzić przepływ gotówki?

Pete Dwight zastanawiał się, czy na pewno wybrał właściwy zawód. Nie był szczególnie kiepskim policjantem – nie było na niego żadnych skarg ani uwag od przełożonych. Ani przez moment nie potrafił się jednak odprężyć. Gdy tylko włożył mundur, spędzał każdą chwilę w poczuciu nerwowego oczekiwania, dręczony wrażeniem, że robi coś złego. Podejrzewał, że kiedyś nabawi się przez to wrzodów.

– Wszystko w porządku? – spytał go jakiś funkcjonariusz w cywilu.

Pete rozpoznał jego twarz, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwiska.

– W porządku, stary.

– Widziałeś gdzieś Barona?

– Nie, chyba nie – odparł Pete. – Ale Kath jest u siebie. Czego chcesz od tych świrów? – spytał i zaśmiał się dobrodusznie, ale potem przeraził się, że tajniak może przecież pracować w tym samym wydziale, który przed chwilą obraził. Ale nie, to niemożliwe, przecież znał go skądinąd, a zresztą mężczyzna też się zaśmiał, po czym poszedł na zaplecze.

W sali głównej, pośród stuku klawiatur siedziała Simone Ball, przeglądając papiery. Miała trzydzieści parę lat, lubiła klasyczne filmy animowane i podróże po Europie, choć nie mogła oddawać się im tak często, jak by chciała. Od siedmiu lat pracowała w policji jako personel pomocniczy. Podejrzewała, że mąż ją zdradza i, ku swemu zdumieniu, nie miała mu tego za złe.

– Gdzie jest Kath? – spytał mężczyzna w cywilu. Rozpoznała jego twarz, wskazała mu więc właściwy kierunek i nadal myślała o swoim mężu.

Ben Samuels, komisarz z wydziału śledczego, pogrążony w myślach o swojej córce i jej egzaminach z gry na pianinie, minął przybysza w korytarzu i skinął mu głową, widząc

znajomą twarz. Mężczyzna spytał o drogę posterunkową Susan Greening, która odpowiedziała mu, uśmiechając się szeroko, ponieważ miała wrażenie, że ostatnio flirtowali ze sobą. Tuż przed wejściem do części budynku zajmowanej przez FPTS stało trzech młodych mężczyzn, dyskutując o ostatnim meczu piłkarskim, choć jeden z nich jeszcze go nie widział i tylko udawał. Rozstąpili się, by przepuścić przybysza, powitali go skinieniami głowy i mrucząc coś niewyraźnie, ponieważ nie pamiętali jego nazwiska, a potem ten, który przez cały czas oszukiwał, w ramach kompensacji zapytał go, co sądzi o meczu. Mężczyzna gwizdnął przeciągle i potrząsnął głową, a trzej mężczyźni przytaknęli entuzjastycznie. Wciąż nie mogli sobie przypomnieć jego nazwiska, ale byli pewni, że jest kibicem jednej z drużyn, o których rozmawiali.

Mężczyzna wszedł do biura FPTS. Jediną osobą w pokoju była Collingswood, leniwie, niemal losowo stukająca w klawiaturę. Spojrzała na przybysza, a on skinął jej głową, po czym podszedł do szafki z aktami stojącej w głębi pomieszczenia.

– Cześć, Kath – powiedział. – Potrzebne mi tylko parę teczek. – Otworzył szufladę. Usłyszał, jak Collingswood wstaje z miejsca. Zapadła cisza. Mężczyzna odwrócił się powoli. Policjantka trzymała w ręku pistolet, z którego mierzyła mu prosto w pierś.

– A ty – powiedziała powoli – kim, do kurwy, jesteś?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

– Chcę porozmawiać z kimś, kto rozumie anioły – powiedział Billy, a wtedy pośrednik wykonał parę telefonów, wysłał parę e-maili, a potem zalogował się do chatroomów i zostawił kilka wiadomości. Po jakimś czasie podał Billy’emu adres.

– Teraz już wie, że przyjdiesz. Inaczej mogłoby być kiepsko.

– A kogo mam szukać? – spytał Billy. – Kto mi otworzy?

– Eks-anioł. A któż by inny?

Tak, tego można się było spodziewać. Nie specjalisty, nie zagorzałego fana, ale byłego członka słoiko-plemienia, z którym Billy miał niby-porozmawiać. Ludziom trudno było zrozumieć opiekunów muzeum – ich podstawowym celem była pamięć sama w sobie. Ich mowa nie przypominała żadnego języka. Gdy jednak przestawali być potrzebni, przez kilka lat trwali w swej dotychczasowej postaci, a potem, z czystej samotności, zaczęli coraz bardziej przypominać ludzi.

Budynek Commonwealth Institute, przypominający hełm konkwistadora, wzniesiony na południowym skraju Holland Park, został zamknięty we wczesnych latach zerowych. Absurdalna kolekcja eksponatów symbolizujących poszczególne państwa członkowskie, pokłosie brytyjskiego imperializmu, grzeczne i zdezorientowane jednocześnie, już dawno zniknęło. Budynek nie stał jednak całkiem pusty. Po zapadnięciu zmroku Billy włamał się do środka – przy jego nowo nabytych umiejętnościach było to dość łatwe. Nasłuchiwał własnych kroków.

Warstwa kurzu miała grubość zaledwie kilku milimetrów, ale skradając się w stronę ostatnich ocalałych gablotek, Billy miał wrażenie, że w nim brodzi. W wielu salach powinna panować całkowita ciemność – mężczyzna zastanawiał się, skąd bierze się to słabe światło, dzięki któremu cokolwiek widział. Raz usłyszał kroki strażnika – człowieka – bez zapału robiącego kolejny obchód. Billy wszedł do szafy i stał tam bez ruchu, póki echo nie umilkło.

Kilka eksponatów pozostało w budynku – zapomniane, niewarte przeniesienia albo ukryte – i pozostawione w samotności wyrwały się na wolność. Billy przeszedł przez pozbawioną okien salę, która była nie tylko jasna, ale wręcz jaskrawo oświetlona, rozjaśniona wiązkami światła padającymi z sufitu pod różnymi kątami, krzyżującymi się w różne strony, tak jakby pokój tęsknił za promieniami księżyca, których nigdy nie widział, i stworzył sobie własną ich

wersję. Splecione grube palce nieistniejącego światła – przeszedł pod nimi i przez nie, zmierzając w stronę czekającej istoty.

„O Boże”, pomyślał, podchodząc. „O Boże, pamiętam cię”.

Zdemobilizowany anioł instytutu spojrział na niego.

– Witaj – powiedział Billy. – Dawno się nie widzieliśmy.

Kiedyś, gdy był jeszcze dzieckiem, widział go za dnia, podczas pracy, w charakterze eksponatu.

Mała plastikowa krowa. Spoglądała na niego z ukosa, eksponując szklane boki. W środku widać było cztery żołądki, które zapalały się jeden po drugim – nadal tak było. Żwacz, czepiec, księgi i trawieniec, trawiony pokarm migotał po kolei w każdym, zmierzając do swego mlecznego celu; wierny sojusznik jednego z krajów wspólnoty. „Sala Nowej Zelandii”, pomyślał Billy.

Czuł na sobie uwagę gasnącej istoty. Gdy otworzono instytut, jego mnemophylax przez wiele godzin przemierzał korytarze niczym rozjuszony byk, chroniąc księżycową świątynię pamięci przed siłami gniewnego czasu i wścieklej postkolonialnej magii. Publiczny brak zainteresowania w końcu go pokonał, a anioł pozostał sam w budynku, opuszczony, postmartwy i pełen opowieści.

Słyszałam, że przyjdiesz, powiedziała istota. Jej głos zabrzmiał odległe. Próbowwała opowiedzieć Billy’emu o walkach, jakie stoczyła. Nawiązywała do nieludzkich rzeczy. Usiłowała snuć historie, które nie miały sensu i rozplywały się w nicość, a Billy grzecznie potakiwał przy każdej anegdocie. Potem zakasłał lekko, jakby uczestniczył w eleganckiej herbatce, i powrócił do tematu.

– Mówiono mi, że wiesz, co się tu dzieje – oznajmił. – Jeden z was ciągle za mną chodził. Strzegł mnie. Ten z Muzeum Historii Naturalnej. Mógłbyś mi powiedzieć dlaczego?

Mogłoby, odpowiedział anioł. Aż rwał się do odpowiedzi. *Czekało na ciebie*, odparł.

– Ten słoik? Anioł z Muzeum Historii Naturalnej? Dlaczego?

Powiedziały nam. Inni. My mówiły. Istota może i była martwa, jednak wciąż miała kontakt ze swymi pobratymcami w czynnej służbie. *Zawiodło*, powiedziała istota. Za plecami Billy’ego zerwał się przeciąg, jakby drzwi otwierały się i zamykały, pomagając jej mówić. *Kraken zniknął. Źle zrobiło. Pełne winy*.

– Opuścił muzeum – dodał Billy.

One wszystkie. My wszyscy. Walka przeciw końcowi wciąż trwa. Nie można stać beczynnym. Walcz z zakończeniem. Ale ono wyszło pierwsze. Próbuje cię znaleźć. Strzeże.

– Dlaczego?

Billy cofnął się i wpadł na drzwi, które otwierały się i zamykały na przemian. Odsunął się trochę, by phylax mógł przemówić skrzypieniem zawiasów.

Pamięta cię. Zostałeś wybrany.

– Co? Nic z tych... Jak? Dlaczego ja?

Anioły czekają na swoich Chrystusów.

Anioły czekają na Chrystusów?

A wtedy się zjawileś, zrodzony nie z kobiety, lecz ze szkła.

– Nie rozumiem.

To ono daje ci siłę, jesteś chrystusem jego wspomnień.

– Chodzi ci o te sztuczki z czasem? To jego sprawka? Dane myślał, że to z powodu krakena... Ach! Zaraz, czekaj. Czy ty... – Billy zaczął się śmiać. Z początku powoli, potem coraz gwałtowniej. Usiadł na podłodze, kołysząc się w bezgłośnych drgawkach. Wiedział, że wpadł w histerię, i nie przyniosło mu to żadnej ulgi. Krowa przysunęła się do niego. Jeszcze przed chwilą stała pod przeciwległą ścianą, teraz znalazła się prawie metr bliżej. Patrzyła na niego szklanym okiem. – Wszystko w porządku, wszystko w porządku – zapewniał. – Wiesz, co powiedział Dane? – zwrócił się do znikającego wspomnienia, jakby rozmawiał z kumplem w pubie. – On myśli, że te wszystkie dziwne rzeczy to przez krakena. Uważa, że jestem jakimś Janem Chrzcicielem. Ale wygląda na to, że kombinował w złą stronę. To nie ma nic wspólnego z kałamarnicą. Chodzi o ten pieprzony zbiornik. – A po chwili dodał: – No, nie wygłupiaj się. Nawet ty musisz przyznać, że to zabawne. A wiesz, co jest jeszcze zabawniejsze? Żartowałem. – Billy zawsze wygłaszał swoje rewelacje dotyczące narodzin z in vitro, zachowując całkowitą powagę. Ten głupi, bezsensowny żart wypowiedziany w tym konkretnym miejscu, przy którym, dla zabawy, konsekwentnie obstawał, został podsłuchany przez *genius loci*, ducha muzeum. Może był szczególnie wyczulony na rozmowy o butelkach i ich mocach. Może nie znał pojęcia kłamstwa ani żartu. – To nieprawda – wyznał. Krowi anioł nie odpowiedział. Klik, klik, klik, jego żołądki zapalały się jeden po drugim. Billy nachylił się do niego. – Nie jestem prorokiem krakena, tylko butelkowym mesjaszem. – Znow się zaśmiał. – Ale tak naprawdę nie jestem nawet tym.

Anioł-butelka z każdym dniem stawał się coraz mniejszy, osłabiony przez wędrówki poza swoją domenę, swoją porażkę, wysiłki i rany odniesione podczas walki – rozbite szkło i kości, rozlane konserwanty. Znow go szukał, składając po kawałku nową postać z fragmentów swego pałacu, próbując wywęszyć odprysk siebie, który włożył w Billy'ego. To on dał mu te niezasłużone moce. A teraz, póki jeszcze istniał, próbował go znow odnaleźć, a poprzez niego – architeuthisa, którego stracił.

– Chciałbym, żeby wrócił.

Wróci.

– Tak, ale ja chciałbym teraz. Porwano mojego przyjaciela. Potrzebuję pomocy.

Jesteś Chrystusem pamięci.

– Tak... tyle że nie. – Powoli uniósł wzrok. Potem wstał i uśmiechnął się. – Ale wiesz, co? Biorę to. Wezmę wszystko. – Wyciągnął rękę i zacisnął pięść, a wokół pierzchnął czas. Tak mu się wydawało. – Pójdiesz ze mną? Na zewnątrz? – Krowa nie odpowiedziała. Była

martwa i nie miała siły toczyć wojny, w której walczyli jej pobratymcy. – W porządku – odparł Billy. – W porządku, nie ma sprawy. Zostań tutaj i opiekuj się tym miejscem. Ono cię potrzebuje.

Z innej części budynku dobiegł jakiś dźwięk, który składał się na głos krowy. W ułamku sekundy Billy był już przy drzwiach, z bronią w pogotowiu, nie wiedząc nawet, jak się tam znalazł. Anioł-krowa próbował coś powiedzieć, ale Billy przytrzymał drzwi, a w pobliżu nie było niczego, co mogłoby wydać dźwięk.

– Ćśśś – szepnął. Właśnie wydał aniołowi polecenie. Ten już jednak zniknął, rozmyty echem odległych kroków. Billy przez chwilę zastanawiał się, czy strażnik nie przybiegnie tu zaskoczony. Nie miał pojęcia, że wszyscy strażnicy wiedzieli o dziwnym mieszkańcu budynku – czymś starym melancholijnym, co czasem spacerowało po korytarzach. Starali się nie wchodzić mu w drogę. – Cholera jasna – zaklął i pobiegł za martwym aniołem, trzymając fajer w pogotowiu. Szedł śladem skrzypiących zawiasów i przedmiotów spadających z półek. W końcu znalazł się w pokoju bez okien, gdzie plastikowa krowa krzyczała coś głosem budynku do wysokiego mężczyzny.

Billy uchylił się i strzelił, ale mężczyzna był szybszy i wiązka fazera prześlizgnęła się po krowie i trafiła w ścianę.

– Billy Harrow! – krzyknął strażnik. Miał w rękę broń, ale nie odpowiedział ogniem.

– Billy! – zawołał ktoś za jego plecami. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że drugi, cichszy głos dochodzi z jego własnej kieszeni. To był Wati.

– Nie chcę z tobą walczyć! – dodał mężczyzna.

– Przestań, Billy – powiedział stanowczo Wati. Anioł zadyszał oknami. – On chce pomóc.

– Witaj – oznajmił mężczyzna. – Jestem z Bractwa Potopu. Przyszła do nas Marge.

– Co? Co takiego?! Marge? Jezu Chryste, co ona wyprawia, przecież mówiłem, żeby...

– Nie chodzi o nią. Chcę ci pomóc. Przynoszę wiadomość od morza. Chce z tobą porozmawiać.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Morze jest neutralne. Morze nie miesza się w intrygi, nie zajmuje stanowiska. Nie jest zainteresowane. Kto w ogóle jest w stanie pojąć, jakie pobudki nim kierują? Jaki szalenię rzuciłby mu wyzwanie? Nikt nie był w stanie z nim walczyć. Nie można toczyć wojny z górą, błyskawicą czy wodą. Morze miało własną ambasadę, do której czasem zaglądali petenci, ale zawsze czynili to we własnym interesie, nie zaś jego. Morze nie miało żadnych interesów: od tego należało zacząć.

Podobnie funkcjonowała ambasada ognia – wiecznie dymiąca kawiarenka w dzielnicy Crouch End, ambasada ziemi – zasypana krypta w Greenwich, ambasady szkła i drutu, a także innych, bardziej wyszukanych żywiołów. Tym razem, wyjątkowo, morze miało jednak na jakiś temat własne zdanie. A Bractwo Błogosławionego Potopu okazało się użyteczne.

Stanowili kongregację wiary, która rządziła się własnymi prawami i nie była zarządzana ani też nadzorowana przez morze, ale ono najwyraźniej łaskawie akceptowało ich adorację. Była w tym pewna doza hipokryzji. Obecność bractwa zapewniała możliwość wiarygodnego zaprzeczenia: morze samo w sobie nie zrobiło niczego, to bractwo odszukało Billy'ego Harrowa, a jeśli postanowili przyprowadzić go do ambasady morza, to kto mógł im zabronić?

Podróż była szybka. Padał deszcz, dzięki czemu Billy nabrał trochę otuchy; miał wrażenie, że woda pragnie go chronić.

– Czemu Marge do was przyszła? – spytał.

– Nie wiem – odparł Sellar. – Zostawiła mi wiadomość. Myślała, że zabraliśmy krakena, a ja byłem przekonany, że to ty i Dane. Kiedy powiedziała, że to niemożliwe, poszedłem pomówić z morzem i...

– Wszystko u niej w porządku?

– Nie.

– Jasne – odparł Billy. – Nic nie jest w porządku. – Spojrzał na telefon, ale nie miał żadnych nieodebranych połączeń. „Może Jason jeszcze nie wszedł do środka”, pomyślał Billy, choć sam sobie nie wierzył. „Może niedługo się odezwie”.

Rząd na wpół opuszczonych wiktoriańskich domków w północno-zachodnim Londynie. Pociąg metra wynurzył się z tunelu i, dudniąc, pędził poprzez noc za ceglanym murem. Samochody jeździły powoli, w okolicy było bardzo niewiele przechodniów. Domy miały trzy

piętra i wyglądały na nieco tylko podupadłe – nie było tu rudery ani chatki ze slumsów. Od strony ulicy znajdowały się ogródki i obrzeżone kamykami rabatki. Z ulicy widać było dziecięce pokoje obklejone tapetami w zwierzęta i potwory, kuchnie, salony oświetlone blaskiem telewizora. W jednym z domów rozbrzmiewał śmiech i jakieś głosy, z okien dolatywała muzyka i dym papierosowy. Budynek stojący po sąsiedzku był cichy i nieoświetlony.

Gdy podeszli bliżej, Billy zobaczył, że to nie do końca prawda. Na wszystkich trzech kondygnacjach zaciągnięto zasłony. Miał wrażenie, że w środku znajduje się coś bardzo słabo oświetlonego, ledwo widocznego zza zasłonek, tak jakby ktoś przechadzał się ze świecą po głębiej położonych pokojach.

– Byłeś tu już wcześniej, Wati?

– Nigdy w środku – odparła figurka. – Nie ma tam w co wejść.

Sellar zastukał do drzwi, skomplikowany sygnał staccato. Na progu stało kilka pustych butelek. Potem przycisnął ucho do drewna i gestem przyzwał Billy'ego. Na parterze zawieszono zasłony w ciemnym kolorze byczej krwi, na pierwszym piętrze – w błękitno-zielony turecki wzorek, a na ostatnim – w kreskówkowe rośliny. Wszystkie przyciśnięto do szkła od wewnątrz.

– Chodź – ponaglił brat potopu.

Napisał coś na kawałku papieru, po czym zwinął go i włożył do jednej z butelek. Potem zakręcił ją mocno i wrzucił przez klapkę na listy. Minęło kilka sekund – ale tylko kilka. Billy drgnął zaskoczony, gdy klapka otworzyła się, a butelka wypadła z powrotem i stuknęła się na schodach. Szczekanie psów ani głosy dzieci, pomimo późnej pory wciąż oddających się zabawie, nie umilkły. Billy podniósł kartkę. Wyjął lalkę z kieszeni, by Wati też mógł przeczytać.

*Teuthis to już nie nasze stworzenie. Już nie stworzenie. Nie z oceanu.
Rozmawialiśmy z krakenem w naszych głębinach, by dowiedzieć się dlaczego.
Ani my, ani oni nie są obojętni na to, co może nadejść. W tym zbiorniku nie
ma ani książątka, ani wybranego przez nas komisarza.*

Billy spojrzał na Watiego.

– No i? Rozumiesz coś z tego?

– Chyba... – zaczął z wahaniem Wati. – Chyba powiedziało, że to po prostu kraken.

– „Po prostu”?

– Po prostu nie jest wyjątkowy. Tak mi się wydaje. A poza tym... to znaczy... chyba już nie należy do nich.

– Dane uważał, że ten mógł być wyjątkowy i dlatego go zabrano. Potraktowano jako zakładnika. – Ot, kolejny ruch w odwiecznym zatargu krakenów. Skłócenie wodzowie, bitwy

toczone w tempie dryfu kontynentalnego. Całe stulecia upływające, nim jedno ramię długości całej prowincji zacisnęło się wokół wroga, ukąszenie wyrrywające kawał ciała wielkości miasta, szczęki zaciskające się w czasie długości kilku ludzkich dynastii. Nawet ich majestatyczne potomstwo pierzchające niczym drobny kryl, *Architeuthis*, wyglądało jak drobne mątewki zaplątane w kłótnie dorosłych. – Musi być jakiś powód – stwierdził Billy – Są przecież inne wielkie kałamarnice. Dlaczego ta? O co takie halo? Co wiadomo o jego... pochodzeniu? Skąd on jest?

– Morze powiedziało, że nie chodzi o niego – przypomniał Wati.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

– To co tu robimy? – spytał w końcu Billy. Dlaczego ten krakeni osesek ma sprowadzić koniec świata? – Wpatrywał się lalce prosto w oczy. – Co morze tak naprawdę o tym wie? A krakeny? A co z... Słuchaj, mam pomysł, mógłbyś zapytać krakena osobiście.

Gdyby wynajęli łódź... Powinni wziąć ze sobą też duży posąg, powiedzmy, jakiegoś Buddę odlanego ze stali albo brązu. Gdzieś na głębinie, na przykład nad rowem atlantydzkim, mogliby wyrzucić posąg za burtę, a wtedy Wati wyruszyłby w długą chwiejną podróż w dół, w napierający mrok. W końcu spocząłby na dnie, w błocie, pośród rybich szkieletów, a wtedy mógłby odkaslnąć grzecznie i zaczekać, aż w pobliżu otworzy się jakieś oko, które teoretycznie nie miało prawa urosnąć takie wielkie. „Witaj. Wiesz może, z jakiego powodu twój narybek próbuje aktualnie podpalić świat?”

– A niby jak miałbym dotrzeć z powrotem na górę? – spytał Wati. Na dnie morza leżało wprawdzie dużo posągów, ale jak daleko byłyby oddalone od miejsca tej rozmowy? A co, jeśli Wati nie zdołałby ich osiągnąć i musiałby pozostać w otchłani, pogrążony w mrocznej, przeraźliwej nudzie, trącany przez świecące ryby, aż w końcu ocean zniszczyłby jego naczynie? A zatem należało zrobić tak: umieścić najcięższy posąg na końcu łańcucha przetykanego innymi posążkami, a potem, po zakończeniu rozmowy mógłby wskakiwać w nie po kolei, by w końcu dotrzeć do galionu...

– O czym my w ogóle mówimy? – Billy przerwał własne rozmyślenia. Na progu rozbiła się kolejna butelka. Kolejna wiadomość.

Nie jesteśmy obojętni. Wobec końca w płomieniach. Nie chcemy, by Londyn zniknął. Ty i wygnany krakenita pragniecie tego samego. Nasze jestestwo to efekt sprzężonego rozwoju. Krakenów to nie dotyczy, tu nie chodzi o nie.

Czy kałamarnice olbrzymie albo ich rodzice, gwiazdni bogowie, ich apoteozowani krewni, pomagali sprowadzić tę apokalipsę? Z jakiego powodu – z boskiego rozdrażnienia spowodowanego niewłaściwą interpretacją?

– Czemu akurat ta kałamarnica? – szepnął Billy.

Inni są przeciw nam. Myśleliśmy inaczej. Teraz wiemy. Musisz odnaleźć krakena i ocalić go od ognia.

– Ooo, naprawdę? – mruknął Billy. – Dzięki za radę, nie wiedziałem... – Czytał dalej.

Musisz uwolnić wygnańca.

– To Dane.

A zostanie wam ukazane.

– Dlaczego? Co to znaczy „sprzężony rozwój”? – Zmarszczył brwi, przekrzywił głowę i doczytał do końca:

Zniszcz tę wiadomość. Otrzymasz pomoc.

A Dane?

Dane wisiał głową w dół i ociekał krwią. W duchu powtarzał sobie opowieści swego dziadka, opowieści o jego odwadze.

– Któregoś razu – głos dziadka rozbrzmiewał mu w głowie – zostałem złapany. – Czy na pewno było to wspomnienie czy fantazja Dane’a? Nieważne. – Któregoś razu mieliśmy niezłą rozróbę z kamieniokręgami. Wziąłeś się kiedyś za bary z kamieniokręgiem? Nie wiem już, o co nam wtedy poszło, nie pamiętam, chyba o jakieś kości świętego. Powiedzieliśmy, że pomożemy, żeby później, oni nam pomogli, nie wiem... – Skup się! – nakazał sobie Dane. No, dalej. – W każdym razie załapali mnie i związali w pieprzoną kocią kołyskę, a potem wleźli, cali zadowoleni, ciągle nawijając, ple, ple, ple. A ja? – Dane pociągnął nosem, udając swego dziadka, zrobił to z wyższością. – Pozwoliłem im wszystkim podejść. Dobrze ich sobie obejrzałem. A oni aż piali z zachwytem: „Nigdy ci się to, my zawsze tamto”. Ale kiedy podeszli już blisko, naprawdę blisko, nie powiedziałem nic. Póki nie znaleźli się tam, gdzie chciałem. Wtedy zmówiłem modlitwę i, tak jak myślałem, dokładnie tak jak myślałem, okazało się, że wszystkie te sznury są tym, czym zawsze były, to znaczy ramionami boga, i bóg je rozpostarł i byłem wolny, a potem działo się, oj, działo.

„Hurra”. W pewnym momencie echo w pokoju się zmieniło, weszli jacyś ludzie. Dane przestał mówić do siebie i nasłuchiwał. Po tym, co zrobiono mu z oczami, nie mógł zobaczyć przybyszów. Nie widział, ale nawet poprzez paroksyzmy bólu słyszał ich głosy i wiedział, że to Tatuaz.

– Naprawdę nic? – spytał.

– Tylko krzyki, ale to się nie liczy – odparł jeden z nazistów. – Wszystko w porządku? Wydajesz się trochę zestresowany.

– Bo, kurwa, jestem. Pamiętasz bestiarzy?

– Nie.

Węsenie, parskanie, psie skamlenie. Człekopies był gdzieś poblizu. Jeden mag z bandy nazistów podsznytował własny wygląd, by stać się półowczarkiem niemieckim. Żalсна faszystowska gra słów – Dane pogardzał nim głęboko, nawet wtedy, gdy pysk i zęby maga rozszarpały jego ciało.

– No cóż... Kiedyś pracowali dla Grisamentuma, dawniej, kiedy ja... Dawniej. Jedna z moich fabryk została zaatakowana przez chmurę kurzu z zachowania bardzo przypominającą jakiegoś pieprzonego smoka.

– Nie wiem, co to może znaczyć...

– To znaczy, że lada chwila możemy mieć do czynienia z czymś, czego nie spodziewałem się już oglądać. Ten mały pizduś na pewno coś wie. Musi przynajmniej wiedzieć, gdzie jest ta jebana kałamarnica – w końcu to jego bóg, nie? Zna też Billy’ego Harrowa. Róbcie swoje.

Róbcie swoje. Dane modlił się bez przerwy. Odmawiał modlitwy bezgłośnie, pogrążony w bezruchu. „Wieloramienny boże w ciemności, błagam, daj mi siłę. Siłę, by słuchać i zdobywać wiedzę. Krakeny, w swej rozległej, milczącej, amoniakowej mądrości, zlitujcie się nade mną”. Wiedział, że powinien nadal słuchać i nic nie mówić, nawet jeśli potrafiłby odpowiedzieć na pytania, mimo że przeważnie nie potrafił, nawet gdyby chciał, a nie chciał, bo wiedział, że to się nie skończy. Wiedział, że to już nie potrwa długo: był osłabiony i krwawił ze wszystkich ran, miał zawroty głowy, był zbyt słaby i zmęczony, by choćby krzyżeć – był tylko kawałkiem ciała pełnym palącego bólu i wiedział, że to już koniec męczarni, ich własna granica, że znów, po raz drugi, nadszedł ten moment, gdy wypłynęło z niego już dość życia, by osiągnąć masę krytyczną braku, i od tej chwili nie miał już dokąd iść, oprócz śmierci. Upiorny krzyż słoneczny, którego już nie widział, miał się znów zakręcić. Swastyka, jak upierali się jej antyfaszystowscy zwolennicy, była w końcu symbolem życia, nawet gdy wykorzystywano ją do takich celów. „Kto cię stworzył? Stworzył mnie kraken”. Jako produkt uboczny. Beznamiętnie. Czy właśnie ta świadomość przynosiła mu otuchę, czy też ukryta nadzieja, że być może w skrytości ducha skryty kraken dbał o swoje dzieci? „Wszyscy jesteśmy z gówna kałamarnicy”, pomyślał Dane.

Swastyka chaosu nie potrafiła ożywić tych, którzy nie żyli już od dłuższego czasu, ale była na tyle żywna, by nawet w momencie śmierci zainfekować jeńca żywotnością. Obracała się nieubłaganie, wraz z przywiązany do niej więźniem, nakręcając życie wbrew wszelkim przesłankom, wlewając je w niego z powrotem, aż krew zakrzepła, zmasakrowane wnętrzości zrosły się z powrotem, wyłamane ze stawów kości zaczynały pocierać o siebie, aż w końcu z trzaskiem wpadały we właściwe miejsca, naprawiając więźnia, przywracając go z powrotem do świadomości i bólu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

W dawnych czasach używano luster fenickich, by ukryć obecność dodatkowych gości, ale wstawione w pokoju przesłuchań stanowiło ewidentne kłamstwo i tylko ściągało uwagę. Baron i Vardy stali za nim w tak podobnych pozach, że postronny obserwator mógł to uznać za zabawne. Po drugiej stronie lustra Collingswood przesłuchiwała Jasona.

– Jak to możliwe, że teraz go dostrzegam? – spytał Vardy. – Z tego, co zrozumiałem, powinienem rozpoznać w nim znajomego.

– Collingswood.

– Dobra jest, co?

– Cholernie dobra. To dlatego pierwsza go zauważyła. – Pytania, które zadawała Jasonowi, były odpowiednio dobrane, ukształtowane i wzmocnione przez różne sznyty: od specyficznej formy nieznośnego skamlenia aż po zadawanie нефizycznego bólu. – Gdybyś był tutaj, jak powinienes... Gdzie żeś ty, do cholery, był, profesorze?

– Teraz to „profesorze”, tak?

– No cóż – zwrócił się do niego Baron. – Pamiętaj tylko, że nie robisz mi łaski. Dobrze, że Collingswood tego nie słyszy, bo nie dałaby nam żyć. Wiem, na czym polega twoja praca: masz interpretować boskie wyroki i czy kiedykolwiek ci w tym przeszkadzałem? Pamiętasz, kto ci powiesił tabliczkę „Nie przeszkadzać, objawianie eschatologii w toku” na drzwiach gabinetu? Co? Ale w zamian masz mnie informować na bieżąco i zjawiać się wtedy, kiedy jesteś potrzebny, i okazywać chociaż resztki szacunku, jasne? Miałeś się stawić na to przesłuchanie pieprzone dwie godziny temu. Gdzie ty, kurwa, byłeś?

Vardy skinął głową.

– Przepraszam. Ale mam informacje. – Zrobił gest, jakby chciał uporządkować powietrze. – Nie da się doprowadzić do takiego końca, jeśli ktoś go nie pragnie... to nie jest przypadek. Tatuaz dostaje szału. Wciąż nie mogę zrozumieć, jak ten koniec wpasuje się w cały plan, kimkolwiek jest jego autor.

– Dostaje szału, to prawda – przyznał Baron. Jego ludzie roznosili miasto na strzępy. – Próbowaliśmy pogadać z jego ekipą, ale chyba został doprowadzony do ostateczności...

– Przepytałem trochę osób znajdujących się, że tak powiem, w półcieniu Tatuaza i Grisamentuma – ciągnął Vardy. – Wiemy, że Adler był współpracownikiem tego ostatniego,

ale wciąż nie mamy pojęcia, dlaczego znalazł się w muzeum. Nie wiemy, co planował, zastanawiałem się więc, czy byli może jacyś inni współnicy, którzy zerwali się ze smyczy, gdy umarł Grisamentum... i może to oni.

– I co?

– Posłuchaj mnie. Za tym wszystkim stoi jakaś żywa inteligencja. Ta nadchodząca apokalipsa, która wyciągnęła anioły z muzeów, to nie jest produkt jakiegoś innego spisku... za tym kryje się jakiś zamiar. Nie wiemy tylko jaki.

– Wiem, że...

– Nie. To nie jest przypadek. Posłuchaj. Jesteśmy już blisko. Nie rozumiesz? – spytał Vardy tonem skwaszonego naukowca. – Świat się skończy. Już niedługo. Skończy. A my nadal nie wiemy, dlaczego ani komu na tym zależy.

– To na pewno Gris – powiedział cicho Baron. – To musi być on. Tak naprawdę nie umarł...

– Ale dlaczego? To nie ma sensu. Dlaczego chciałby się teraz spalić? Właśnie o to pytałem.

– I co? I, kurwa, co?

– Czy mówi ci coś nazwisko „Cole”? – spytał Vardy. – A jeśli dodam do tego „fizyk” i „Grisamentum”? Jakies skojarzenia?

– Nie.

– Jedno z nazwisk, które często przewijało się na dworze Grisamentuma, zanim, hm, umarł. Przynajmniej zdaniem onkologów. Cole jest piromantą. Mówią, że współpracuje z dżinami. Pewne plotki dodają, że nawet bardzo blisko. Jako jeden z nielicznych rozmawiał z Grisamentumem podczas jego ostatnich dni, chociaż nie udało się ustalić po co. Najwyraźniej należał też do tych, których usiłowałeś przesłuchać po pogrzebie, ale skrupulatnie unikał pogawędek z władzą.

– Ach, tak. Zawsze zakładałem, że Gris po prostu chciał mieć mocny akcent dramatyczny na wyjściu. Duży, rozjarzony stos. Do czego zmierzasz?

– Dramatyzm dramatyzmowi nierówny.

– Więc czym zajmował się ten Cole?

– Podobno eksperymentalną piromancją: ogień pamięci, te sprawy.

– Podobno?

– Przeświewałem współników Grisamentuma, więc przy okazji popytałem o niego. Mówiłem ci, że mam informacje. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się zbyt wiele. Może trochę owijania w bawełnę, w stylu: „Grisamentum to był prawdziwy dżentelmen, mogliśmy w ogóle nie zamykać drzwi do domu, cieszę się, że miałem szansę go poznać” i tak dalej, dziękuję i spierdalaj. Ale całkiem niespodziewanie dowiedziałem się czegoś więcej. On ma córkę. To znaczy Cole.

– Jest jakaś pani Cole?

– Nie żyje już od lat. Nie chcesz usłyszeć, czego się dowiedziałem? Jego córka zaginęła. Baron zagapił się na niego zaskoczony. W końcu pokiwał głową.

– Coś takiego.

– Tak mówią.

– Najpierw Adler, później Cole. Ktoś namierza dawnych wspólników Grisamentuma.

Eliminuje ich z gry.

– Na przykład wsadzając do butelek.

– Albo porywając dzieci.

– Po co to robi?

– Żebym to ja wiedział. Ale jest pewien wzorzec.

– To chyba wykracza poza twoją działkę? Gdzie tu jest jakaś boskość? – Vardy zamknął oczy i wzruszył ramionami. – No cóż... Jak, twoim zdaniem, powinniśmy to rozegrać? Pogadać z kim trzeba, to jasne, ale poza tym...

– Ty tu jesteś szefem, ale jeśli mogę coś dodać, to sugeruję, żebyś wysłał mnie na zwiady.

– Myślałem, że Cole nie chce gadać z policją.

– Wtedy tak było, ale ja nie jestem policjantem, prawda? Jestem jego kolegą naukowcem.

– A czyż istnieje na świecie bardziej trwale wolnomularstwo, hm? – przyklasnął Baron. – Niech będzie, ale, na litość boską, tym razem informuj mnie o wszystkim. Zobaczmy, czy uda się odnaleźć zaginioną pannę Cole. Słuchaj, to naprawdę jest ważne. A teraz zamknij się i patrz na to, co robią twoi koledzy. Na przykład ona – dodał i wskazał na szybę.

Sieć kanalizacji dociera wszędzie. Grube nitki wody nieustannie wsysające gównianą, zaśmieconą deszczówkę. Wszystkie zbiegają do morza i to przez nie, wbrew pływowi i grawitacji, morze wysłało własne nitki nerwów, własne kanały bodźców pełne słonej wody, pełnące pod miastem, nasłuchując, liżąc cegły. Przez półtora dnia pod Londynem szumiało tajemne morze, dzielące się niczym fraktal na wszystkie tunele. Rury pełne solanki obserwowały mieszkańców budynków, patrzyły, nasłuchiwały i polowały. Można było odwrócić uwagę londyńczyków za pomocą zdradzieckiej dzielnicy czy też odpowiednio silnych zaklęć, ale nic nie mogło się skryć przed ciekawskim morzem.

Billy czekał, ale wokół nie działo się nic, prócz nieustannych odejść i powrotów Watiego, który co chwila wychodził i powracał do lalki, doglądając strajkowego frontu.

– Zrobiłem to, o co prosiło morze – oznajmił późną nocą Sellar i odszedł. Obejrzał się jeszcze, by pomachać, po czym wrócił do swoich snów o mokrej apokalipsie. „To będzie ogień, nie woda”, pomyślał Billy. „Chyba ci się nie spodoba”.

Potem zadzwonił telefon, a on odebrał natychmiast. Nie odezwał się ani słowem – tylko nasłuchiwał. Nastąpiła krótka cisza, po czym ktoś powiedział:

– Billy? – Słyszał, że to nie Jason. Zakończył połączenie i zaklął. Schwytali kameleona. Wszystko poszło nie tak.

Stał w ogródku ambasady morza – wokół było ciemno, jego ubrania wtapiały się w tło, żaden błysk nie lśnił na okularach i wiedział, że może to zrobić niepostrzeżenie. Cisnął telefon najmocniej jak potrafił – co obecnie oznaczało bardzo mocno – w ciemność ponad dachami. Nie usłyszał stukotu. Potem usiadł na progu, nasłuchując szumu wody w rurach, które miał pod stopami. Z klapki wypadła kolejna butelka.

Morze powiedziało mu, gdzie znajdzie nazistów chaosu. Dodało, że na tym kończy się jego rola. Że nie może interweniować, nie może naruszyć neutralności. Zresztą za chwilę miało się zamknąć na dzień. Billy ukląkł na progu i oparł się czołem o drzwi.

– Posłuchaj – powiedział. – To zajmie tylko chwilę. Nie możesz tam wejść, prawda, Wati?

– W tym domu nie ma żadnych figurek.

– Posłuchaj, morze – powtórzył Billy. – Morze, teraz mnie wysłuchaj. – Uśmiechnął się, zmęczony. – Właśnie takie podejście wpakowało nas w te kłopoty i ludzie, którzy chcieli pozostać neutralni. – Poczul, że ktoś go słucha. Miał wrażenie, że to pamięta, jakby był w morzu zaledwie kilka dni temu, a może kilka nocy, wtedy gdy śnił swoje atramentowe sny. Położył rękę na drzwiach. Znał to miejsce. – Czemu tak ci zależy na neutralności? Nie chcesz mieszać się w tę wojnę? To nie jest wojna z Londynem, to nie z nim walczymy. A zatem o kogo chodzi? O nazistów chaosu? Nie wierzę? Tatuaza? Boisz się jednego szefa gangu? – O rany! Czy taka banalna sztuczka psychologiczna naprawdę mogła zadziałać na pieprzony ocean? „Nic do stracenia”, pomyślał Billy. Co jeszcze miał do dyspozycji? Dwie sztuki broni, której nie rozumiał, i związkowca o wielu twarzach. Z ambasady dobiegała tylko cisza. – O co ci zatem chodzi? Protokół? Grzeczność? Dobrze, zrobię to. Będę błagał. – Nie musiał się specjalnie starać, bo już klęczał. – Proszę cię. Co z tego, że naruszysz jakąś równowagę sił? Przecież wiesz, co się stanie. Ogień, który pochłonie wszystko. Założę się, że pali też wodę morską. Ale wiesz co? Dane potrafi temu zaradzić. Jeśli nie chcesz, żeby wszystko spłonęło, żeby spłonął Londyn, żeby spłonęło morze... pomóż mi.

– Wiesz, co się teraz stanie? – spytała Collingswood.

Jason Smyle dyszał ciężko. Kilka kosmetycznych sznytów, parę nienaturalnych zabiegów dermatologicznych, a jego skóra znów wyglądała na nietkniętą, wszystkie ślady zostały starannie ukryte.

– Wiesz, co się stanie? – powtórzyła. – Złamałeś kilka różnych praw, ale, jak pewnie wiesz, były to dość osobliwe prawa. Są jak niepisana konstytucja. Oznacza to, że zostaniesz osądzony przez drugi wymiar sprawiedliwości, co oznacza to, co ja uznam za stosowne. – Policjantka była mniej więcej o połowę młodsza od Jasona. Odchyliła się do tyłu i oparła stopy na biurku. – A zatem wola współpracy z twojej strony będzie mile widziana. W takim razie jeszcze raaaz – zaciągnęła z amerykańska. – Czego żeś tu szukał? Gdzie jest Billy? I

gdzie kałamarnica? – Przeciwczyli to już jednak wcześniej wiele razy i żadne zachęty, groźby i próby perswazji nie dały rezultatu.

– Przysięgam, przysięgam, przysięgam – powtarzał Jason, a ona mu wierzyła. Naprawdę nie wiedział. Znał tylko numer telefonu, który podał mu Billy, i natychmiast go ujawnił. I tyle. Collingswood spojrzała na lustro i potrząsnęła głową. Potem wyszła z pokoju.

– No i? – spytał od razu Baron. – Nie ma co, trafiło nam się jak ślepej kurze ziarno.

– Wierzysz mu – dodał Vardy.

– Tak – odparła Collingswood. – Tak. No i...

– No i wygląda na to – wtrącił Baron – że nasz Billy wcale nie został porwany, tylko współpracuje z członkiem, a w zasadzie byłym członkiem Kościoła Krakena. Okazuje się, że nasza bezradna sierotka wcale nie jest taka bezradna.

– Co to ma być: jakiś pieprzony syndrom sztokholmski? Billy’emu ubzdurało się, że jest jakąś pieprzoną, jak jej tam było, Patty Hearst? – Spojrzała na Vardy’ego.

– To możliwe – odparł. – Jak dla mnie cała ta historia po prostu cuchnie wiarą. Rozumiem, że nie dowiedziałaś się nic z tego numeru, który nam podał?

– Nieee. Wiarą? W co?

– W coś.

– Już dobrze, dzieci, spokój – zmięgował ich Baron. – Do tej pory wydawało nam się, że szukamy zakładnika, a teraz okazuje się, że szukamy zbiega. Vardy, opowiedz Collingswood, co porabia Cole.

– Kto to? – spytała od razu. – Co zrobił? A może to ona? Czy to ona? Mogę się zabawić?

– Piromanta – wyjaśnił Baron. – Były wspólnik Grisa.

– Piro? – Collingswood zmrużyła z namysłem oczy. – Dobrze pamiętam, że wszyscy wróżowie widzą ostatnio tylko ogień? Vardy?

– ...tak. Przepraszam, po prostu... – Przygryzł knykcie palców. Koledzy zamrugali ze zdziwienia, widząc, że się waha. – Piromanta, kałamarnica z muzeum, koniec świata... to... jestem blisko. Muszę tylko zrozumieć tę wiarę.

A co tymczasem porabiała Marge? Jej najlepszy trop zaprowadził donikąd.

Miała teraz nowy cel. Uwierzyła wszystkim tym obcym ludziom powtarzającym, że za bardzo przyciąga uwagę i powinna znaleźć coś do ochrony.

„Wiesz, co to jest ulica-pułapka?“, zapytał wtedy kolekcjoner kultów, a ona nie wiedziała, ale wystarczyło krótkie wyszukiwanie. Fikcyjne ulice umieszczane na mapach, by strzec praw autorskich i udowodnić, że jedna mapa była kopią drugiej. Trudno było znaleźć jakąkolwiek listę tych ulotnych miejsc, ale tu i ówdzie pojawiały się pewne sugestie. Jedną z nich była oczywiście ulica, przy której znajdował się pub Old Queen.

Jak to możliwe. Czy te konkretne tajemnicze uliczki zostały zbudowane, a potem ukryte specjalnie w tym celu? Podawanie ich za pułapki stanowiło wymyślny podwójny blef – nie

mógł się tam zjawić nikt prócz ludzi, którzy wiedzieli, że pułapki istnieją naprawdę? Może te ślepe uliczki stanowiły tylko pozostałości – powołane do nielegalnego życia w chwili, gdy kłamcy zaczęli rysować atlasy.

No cóż. Tak czy inaczej, należało je zbadać. Marge poszukała innych nazw.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Naziści chaosu nie chowali się w żadnym szczególnym miejscu. Był to po prostu pusty budynek. Jego położenie nie zależało od żadnej metaforycznej logiki, nie stanowiło kosmicznej gry słów: po prostu był dostatecznie oddalony od innych domów, dostatecznie pusty i słabo zabezpieczony, a także na tyle łatwy do przebudowania – izolacja akustyczna i tym podobne – że został wybrany spośród innych. Znajdował się głęboko we wschodnim Londynie, w okolicy na tyle podupadłej, że niewiele osób zwracało tu na cokolwiek uwagę. Budynek miał głęboką piwnicę, w której torturowano Dane'a i montowano swastyki. Była blisko garażu.

Naziści byli sami i niestrzeżeni. Stanowili zasób zewnętrzny – w środowisku gangów podwykonawstwo było równie popularne jak na gruzach fordyzmu. Tatuaż zbył ich, mówiąc, by robili dalej swoje, próbując wyciągnąć z Dane'a jakieś informacje na temat Billy'ego i krakena.

Wewnątrz pomieszczenie było udekorowane pamiątkami po Rzeszy, poplamione oryginalną krwią, mózgiem i spermą gauleiterów. Po bokach ciągnęły się alkowy, w których palono świece przed wizerunkami różnych demonów, plakaty nazistowskich zespołów i zdjęcia z obozów koncentracyjnych. Dokładnie to, czego można się było spodziewać.

Naziści chaosu stali w półokręgu – banda wyfiokowanych lalusiów w brokacie, lateksie, skórze i orzełkach. Zerkali na Dane'a przywiązanego do stojaka zmontowanego z okrwawionych narzędzi. Stojak obrócił się lekko, by przywrócić mu trochę życia, tak by miał oczy i zęby – choć nie wszystkie – i mógł oddychać, chociaż nos miał złamany. Ożywili go dopiero przed kilkoma godzinami i nie zabrali się jeszcze na dobre do roboty. Więzień wpatrywał się w swoich oprawców, na zmianę przeklinając i plując albo próbując się zamknąć w sobie.

– Patrzcie – powiedział jeden z nich. – Porusza ustami. Znow modli się do tego ślimaka.

– Głupi żydowski mięczak – powiedział inny.

– Hau! – potwierdził owczarek.

– Gdzie Billy, ty ścierwo?

– Gdzie kałamarnica?

– Twój martwy mięczak nic ci nie pomoże.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ale znajdowali się w pomieszczeniu bez okien, dlatego chwilę się zawahali.

– Głupi żyd – stwierdził ktoś.

Znów się roześmiali.

Człowiek może doświadczać bólu jedynie na kilka sposobów. Możliwość jego zadawania jest prawie nieograniczona, ale sam ból, z początku tak różny w swojej postaci, ostatecznie sprowadza się do jednego – jest po prostu bólem. Dane wcale nie był obojętny wobec idei dalszego odczuwania bólu; drżał, gdy oprawcy z niego szydzili. Ze zdziwieniem odkrył jednak, że dwukrotnie doprowadzili go do śmierci, a on nie powiedział, że wie, gdzie znajduje się kraken, kto go ma i gdzie może być Billy. Tego ostatniego wprawdzie sam nie był pewien, ale mógł im podać pewne tropy, a nie zrobił tego. Byli zupełnie zagubieni.

Mimo to przez cały czas miał ochotę się rozplakać. Nie przerywał modlitwy.

– Przestań skamleć – powiedział jeden z nazistów. – Jesteś sam. Nikt nie wie, gdzie jesteś. Nikt ci nie pomoże. Nic cię nie uratuje.

Czy morze czekało właśnie na tę chwilę? Czy miało jakieś wyczucie dramatyizmu i na chwilę przystanęło w rurach otaczających budynek, nasłuchując, czekając na takie stwierdzenie, by zademonstrować, jak bardzo jest błędne? Nieważne. Gwiazdy znalazły się w odpowiednim położeniu, wszystko zgrało się ze sobą i w tej jednej chwili, jakby udzielając odpowiedzi, solanka trysnęła z każdej rury w budynku i cały dom zaczął krwawić morzem.

Słona woda przerwała ściany. Zalała podłogę. Starannie pozłoczone bibeloty z czasów drugiej wojny pospadały z półek.

Naziści rozbiegli się na wszystkie strony, nie wiedząc, dokąd uciekać. Dane krzyczał bez słów. Była w tym wściekłość, zachwyty, nadzieja i przemoc. Woda połykała napastników, lodowata solanka i błotnista woda Londynu wciągały ich w odmęty z siłą pływów przyniesionych z samego oceanu. Kilku zdążyło dobiec do schodów, zostali jednak strąceni przez zabłąkane fale, brutalnie wciągnięci pod wodę i, ku własnemu zaskoczeniu, zaczęli tonąć.

Woda sięgnęła Dane'owi do brody. Zastanawiał się, czy jego też zabije. Zdał sobie sprawę, że bardzo nie ma na to ochoty. „Krakenie, pozwól mi oddychać”.

Ktoś wybiegł naprzeciw nazistom uciekającym schodami. Fazer Billy'ego przeorał ich na pół. Żadnego ogłuszania. Mężczyzna zszedł po schodach, ani na chwilę nie przerywając ognia. Wiązka z fazera, gorąca niczym rozpalony pogrzebacz, spaliła sierść hitlerowskiego owczarka. Billy wpadł do sali tortur, warcząc jak rozwścieczone zwierzę i miotając wiązki, podczas gdy morze ryczało, rozbijając o ściany nazistowskie barachło i zatapiając je w odmętach.

– Dane! – wykrzyknął Billy. – Dane, Dane, Dane. – Ukląkł w mętnej wodzie. Dane zarzęził i uśmiechnął się z wysiłkiem. Billy chwycił piłę ręczną i zaczął przecinać więzy. – Żyjesz. Zdążyliśmy.

Wtedy Dane roześmiał się naprawdę, a potem rozpostarł ręce, uwalniając się ze swego koncentrycznego więzienia.

– Nie, stary – wyszeptał. – Spóźniliście się. Dwa razy. – Znow się zaśmiał i zabrzmiało to bardzo źle. – Nieważne. Dobrze cię widzieć, chłopie. – Wsparł się na ramieniu przyjaciela, jak człowiek, który odniósł znacznie cięższe rany, niż się z pozoru wydawało.

Billy był zdezorientowany.

– Blokują wyjście – zauważył. Naziści zajmujący pozostałe pomieszczenia zgrupowali się u szczytu schodów i strzelali do nich z broni pamiętającej jeszcze Trzecią Rzeszę. – Masz. – Sięgnął do kieszeni i podał Dane’owi pistolet. Krakenita wyprostował się lekko. – Gotów? – dodał jeszcze Billy. Dane zrobił coś szybko, wycelował i strzelił w stronę tłumu na schodach. Stało ich tam naprawdę dużo.

– Gotów – odparł. Spojrzał na broń. Jego głos zabrzmiał chrapliwie, ale już bardziej normalnie. – Działa dobrze.

– Tamtędy nie wyjdziemy – stwierdził Billy. Jakby w odpowiedzi, na pewno w odpowiedzi, morze zakolysało się gwałtownie i szybko odpłynęło: na tyle szybko, że zdołało wyrwać duży fragment podłogi. Pośrodku piwnicy została wyrwa, śliska, błotnista dziura wielkości małego pokoju, z której sterczały końce rur i kawałki podmurówki. Morze gwałtownie wlało się w nią z powrotem, poszerzając dodatkowo otwór, przepływając z piwnicy do jakiegoś nieużywanego kanału ściekowego albo starego koryta rzeki, otwierając wrota do labiryntu. – Dasz radę? – spytał Billy.

Dane przytaknął. A potem obaj skoczyli, ześlizgując się w dół po błocie i odpływającej wodzie morskiej, aż do podziemnej jaskini.

Spojrzeli w górę, poprzez połamane rury i rozmyty cement, aż do dziury w podłodze. Znad krawędzi spoglądały na nich twarze. Billy i Dane jednocześnie otworzyli ogień, aż wykrzywione rysy zniknęły. W krótkiej ciszy, która nastąpiła później, pobiegli naprzód poprzez muł, a potem, ociekając gliną niczym świeżo ulepione golemi, wkroczyli w ciemne tunele Londynu.

CZEŚĆ PIĄTA

**WZLOT W STRONĘ
UPADKU**

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Było już bardzo późno. Już od dawna nikt nie zadawał Jasonowi żadnych pytań ani nawet nie próbował go bić. Collingswood zaglądała czasem do celi, zadając te same pytania, ale nie widział jej już od wielu godzin.

Jedzenie oraz napoje dostarczano mu przez otwór w drzwiach. Okrzyki więźnia domagającego się telefonu, uwagi albo kanapki z bekonem pozostawały bez odpowiedzi. W kącie celi znajdowała się toaleta chemiczna – już dawno przestał grozić, że powiadomi o tym Amnesty International. Bez pomocy Collingswood lub innego kowala rzeczywistości, który przytłumiłby działanie jego sznytu, strażnicy wciąż mieli wrażenie, że go znają, a biorąc pod uwagę, że nie mógł być ich kolegą – w końcu siedział w celi – dochodzili do wniosku, że musi być recydywistą, i traktowali go coraz gorzej.

A zatem kiedy usłyszał szepty i kroki zmierzające korytarzem, nie spodziewał się, że ktokolwiek zwolni lub zatrzyma się przy jego celi. A jednak ktoś przystanął, a potem otworzył drzwi.

Za drzwiami stał policjant. Sztywno wyprostowany wpatrywał się w przestrzeń. Twarz miał zszarzałą i wydawał się bardzo chory. Ktoś stał za jego plecami. Mężczyzna nie patrzył na Jasona – wpatrywał się w ścianę za jego plecami i wciąż przełykał ślinę. Ktoś stał za nim, rzucając wokół cienie w świetle lamp fluorescencyjnych. Szeptał.

– Czy to... – zaczął Jason i nie wiedział, co powiedzieć.

Zza drzwi wyjrzało dziecko. Jakiś człowiek szeptał policjantowi do ucha, wychylając się zza niego niczym drzewo przygięte wiatrem, by za chwilę wynurzyć się po drugiej stronie, mrugając do Jasona zza pleców raz lewym, raz prawym okiem.

– Christine! – zawołał mężczyzna w znoszonym płaszczu. – Czy to ty?

Jason zrozumiał wtedy, kim jest ten chłopiec i ten mężczyzna, przyłgnął plecami do ściany i zaczął krzyczeć.

– Wiem! – zawołał Goss, wkraczając do celi, w ślad za policjantem. Subby zamknął za nim drzwi z komiczną precyzją małego dziecka. Jason wrzasnął i wspiął się na prycę.

Policjant zamknął oczy i płakał, szepcząc pod nosem:

– Przepraszam, ćśś, przestań już, nie chciałem, proszę, nie, proszę!

– Wiem! – powtórzył Goss. – Przestań – zachichotał po chwili. – To tajemnica. Wszystko zepsujesz. – Wydmuchnął dym.

Popchnął policjanta w stronę Jasona, szepcząc coś do niego. Mężczyzna, nawet nie otwierając oczu, znalazł usta Jasona i zatkał je ręką, szepcząc:

– Ćśśś, przestań, przestań, musisz, musisz. – Jasonowi zabrakło w końcu oddechu, by dalej krzyczeć. Policjant i więzień trzymali się nawzajem.

– Jesteście okropni – stwierdził Goss. – Mówiłeś, że mamy się spotkać na dworcu autobusowym, a potem przyszedł Mike i nie wiedziałem, gdzie was znaleźć! – Usiadł na pryczy i przysunął się do Jasona. – Hej – szepnął chytrze. Szturchnął policjanta w ramię. Mężczyzna zaskamlał. – Subby chce ci coś pokazać. Znalazł takiego żuczka. Idź i rzuć na niego okiem, o tak, dobry chłopiec.

– Ćśś, ćśś – powtarzał mężczyzna, a lzy ciekły mu spod zaciśniętych powiek. Puścił więźnia, ale Jason odkrył, że nie może wydobyć głosu. Subby wziął funkcjonariusza za rękę. Mężczyzna powoli, w dzieciennym tempie, podszedł z nim do kąta i stał tam, zwrócony plecami do Gossa, wpatrując się w betonowy narożnik.

– Gdzie to ja nie byłem! – stwierdził Goss. – Pojechałem na wakacje. Opaliłem się pięknie. Szukałem pamiątek. Widziałeś może kelnera? Tego z domku dla lalek? Miałem dla niego prezent. – Goss przyłożył Jasonowi palec do ust. – Tak. Clarabelle mówiła, że jej się podobasz – dodał, napierając mocniej. Przycisnął więźnia do ściany. – Ja jej na to: co, jak to? A ona mi na to: aha, dasz wiarę? – Przycisnął wargę do zębów. Subby kołysał ręką policjanta, jakby byli na spacerze. – Będzie dzisiaj w parku. Przyjdiesz do nas później? – Warga pękła i krew napłynęła Jasonowi do ust. – Gdzie jest Billy? Gdzie Dane?

– Boże, o Boże, nie wiem, przysięgam, Jezu... – wybełkotał kameleon.

Goss nie cofnął ręki, Jason mówił więc z trudem, opluwając go krwią i śliną. Napastnik nie próbował się wytrzeć. Naciskał coraz mocniej, a więzień jęczał, czując, jak jego warga zostaje zmiażdżona o zęby. Policjant nadal stał tam, gdzie zaprowadził go Subby, posłusznie patrząc w ścianę i trzymając chłopca za rękę, jakby szukał otuchy.

– Pamiętasz, jak chodziła z nami na geografii, a on kradł wszystkie pisaki do rzutnika? – ciągnął Goss. – Już wtedy wiedziałem, że ci się podoba. Wiem, że pracowałeś dla Dane'a, dlatego tu jesteś, prawda? – Nacisnął mocniej, a Jason znów jęknął, a potem wrzasnął, kiedy z gwałtownym trzaskiem, który przypominał odgłos pękającego ołówka, Goss wyłamał mu siekacz.

– Nie wiem, nie wiem – powtarzał Jason. – Billy do mnie zadzwonił, Jezu, proszę, nie wiem...

– Nie wiedziałem, że wciąż jest u nas na roku. Spójrz na mnie. Spójrz na mnie. Wszystko w porządku, Subbcie? Pilnuje pan mojego braciszka? – Goss uśmiechnął się i spojrzał Jasonowi w oczy. Zakrwawione palce wciąż trzymał mu na ustach. – Clarabelle mówiła, że może zadzwonić do Petry, a wtedy we czwórkę pójdziemy sobie na miasto. Twój przyjaciel

ukradł coś, na czym mi bardzo zależy. Gdzie on jest? Inaczej będę musiał odwołać dzisiejsze spotkanie.

– Boże, nie wiem, wiem, słuchaj, dał mi swój numer, to wszystko, mogę ci podać...

– Numer, śmumer, grumer, orka Belinda. Gdzie są nasi chłopcy? Chyba widzę, że masz odpowiedź na końcu języka, mam ją wyjąć? Mam ją wyjąć? Mam wyjąć? Powiedz mi, albo naprawdę tak zrobię. Gdzie on jest? Wycisnę z ciebie wszystko, moja ty gumowa kacuszko!

– Przysięgam, przysięgam!

– Wycisnę! Wycisnę z ciebie wszystko, aż zapiszczysz! – Goss zaczął naciskać. Korzenie zębów zaskrzypiały Jasonowi w głowie i znów wrzasnął. Policjant w kącie odetchnął z drżeniem i nadal się nie rozglądał. Goss położył więźniowi dłoń na brzuchu. – Nacisnę na ciebie, jeśli nie zaczniesz gadać, bo bardzo mi na tym zależy. Pospiesz się, powiedziałem Clarabelle i Petrze, że będziemy tam za godzinę, więc gadaj szybko.

Jason nie miał nic do powiedzenia, a Goss naciskał coraz bardziej. Posterunkowy wciąż zamykał oczy, ścisnął Subby'ego za rękę i próbował nie słuchać powtarzających się pytań Gossa i dźwięków, jakie wydawał Jason: od krzyków przez krótkie warknięcia, które równie dobrze mogły wyrażać szok, jak i ból, dźwięk lejących się płynów, charczące nieludzkie spazmy, aż po ciszę. Po dłuższym czasie przerywanym tylko dyszeniem z wysiłku, kapaniem i odgłosem przesuwania czegoś przez rozlany płyn, rozległ się rytmiczny stukot. Klap, klap. – Co takiego? – spytał Goss. Klap, klap. – Naprawdę nie wiesz? – Klap. – W porządku, skoro tak mówisz. – Przesunął coś po podłodze. – On nic nie wie – szepnął policjantowi na ucho. – Sam mi powiedział. Tobie też może powiedzieć. Niech zastuka zębami. Bardzo dziękuję za pokazanie drogi, dobra robota. Przypominają się czasy, gdy ludzie szanowali mundur policjanta. Dobry Boże, to były czasy. – Funkcjonariusz wciąż zamykał oczy, a teraz wstrzymał nawet oddech. – A teraz oddaj nam Subby'ego. No, wyskakuj, moja ty grzanko, z tosterą!

Subby puścił rękę policjanta. Trzasnęły drzwi.

Posterunkowy stał nieruchomo jeszcze przez ponad trzy minuty. Potem otworzył oczy i szybko je zamknął. Nikt nie próbował go skrzywdzić, otworzył je zatem znowu. Rozejrzał się. W celi nie było nikogo. Goss i Subby zniknęli. Mężczyzna wrzasnął, widząc krew na podłodze i zmasakrowane ciało więźnia tuż obok. W piersi Jasona ziała dziura. Szyja była nienaturalnie gruba, jakby rozdęta od środka, usta szeroko otwarte, a podniebienie pełne wgłębień po wciśniętych palcach. Język przebito kciukiem. Wystarczy go zmęczyć, a będzie gadał, klap, klap.

Wtedy rozwiały się resztki sznytu Jasona, a krzyk policjanta przeszedł z krzyku wywołanego szokiem po śmierci kogoś znajomego w szok wywołany śmiercią zupełnie obcego człowieka, który jednakże był tak samo martwy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

W powietrzu coś się zmieniło: ktoś zbliżał się do Londyńskiego Kamienia, zmierzając konkretnie do niego. W Londynie człowiek zawsze miał wrażenie, że nadchodzi koniec świata, ale teraz było to silniejsze niż kiedykolwiek. Naprawdę – całe miasto rozbrzmiewało pomrukami. Saira wyczuła, że ktoś wtargnął w strefę wokół kamienia, jeszcze zanim Fitch chwycił ją za ramię i powiedział to samo.

– Ktoś – powtarzał ciągle.

Saira rozważyła kilka różnych możliwości i przygotowała się na spotkanie z intruzem. I chociaż miała nadzieję, że znów go zobaczy, była kompletnie zaskoczona, gdy wyszła z zaplecza przez sklep i stanęła twarzą w twarz z bladym, wyczerpanym i wojowniczym Dane'em Parnellem.

Billy stał tuż za nim z fazerem w pogotowiu i Watim w kieszeni. Dane oparł się o framugę.

– Jezu Chryste Londynie! – zawołała. – Dane! Jak, do cholery... udało ci się uciec. Dzięki Bogu, nie wiedzieliśmy, byliśmy już...

– Saira – powiedział Dane. Jego głos zabrzmiał martwo. Spojrzał na nią spokojnie.

– Dane, co ty wyprawiasz, ktoś może cię zobaczyć, musisz się schować...

– Zabierz mnie do krakena. – Saira drgnęła nerwowo i poklepała powietrze, dając mu znak, żeby ściszył głos. Większość jej kolegów o niczym nie wiedziała. – Teraz – dodał Dane.

– Dobrze – odparła kobieta. – Dobrze, dobrze, dobrze. Muszę sprowadzić Fitcha. Co się stało, Dane? Muszę...

– Teraz. Teraz. Teraz. Teraz.

Oczywiście, Billy i Wati, który natychmiast wyczuł, że uciekinierzy wydostali się z obwarowanego terenu nazistów, i pospiesznie wskoczył do lalki, jednocześnie zakrzyczeli Dane'a, nalegając, żeby najpierw odpoczął.

– Musimy uwolnić też Jasona – dodał Billy, a Dane skinął głową.

– Uwolnimy – powiedział. Policja bywała brutalna, ale nie powinna go zabić. Przynajmniej na razie. – Próbował mnie znaleźć?

– Taaa.

– Uwolnimy. Jak tylko... – Nie musiał kończyć.

– Chcesz o tym pogadać? – spytał Billy. – No wiesz, o tym, co się działo...

„Zajebicie głupie pytanie”, pomyślał w ciszy, która zapadła. Nie dodał już nic. Dane też się nie odzywał, szli więc w milczeniu.

– Tatuaz tam był – powiedział w końcu krakenita.

– Widziałeś go?

– Nie nie widziałem. Ale był tam, słyszałem go. Mówił przez jedno z tych swoich urządzeń. Jest zdesperowany. Ktoś go atakuje, podobno bestiarze. Jeśli jeszcze nie wie, że Grisamentum żyje, to teraz, kurwa, już na pewno coś podejrzewa. – Gardło miał nietknięte, ale chrypiał na samo wspomnienie zadanych ran.

– Czego chciał od ciebie?

– Chciał wiedzieć, gdzie jest kraken. I gdzie jesteś ty.

– A ty...

– Nie – odparł Dane z pewnym zadziwieniem. – Nie.

– Myślałem, że...

– Tak, tak, zabili mnie. – A jednak Dane wrócił. Zawdzięczał to interwencji swych oprawców, ale jednak wrócił. Ilu męczenników mogło się pochwalić, że przeżyli własne męczeństwo? – On coś wyczuwa – dodał krakenita. – Tak jak my wszyscy. – Zamknął oczy i rozpostarł ramiona. – Wie, że anioły wyszły na ulice.

– Muszę ci o tym opowiedzieć – stwierdził Billy.

– Zaraz. Nie chodzi już tylko o władzę. On wie, że nadciąga koniec i że ma to coś wspólnego z krakenem, i dostaje szału, bo myśli, że jeśli go znajdzie, to może powstrzyma apokalipsę. Nie powstrzyma. Nie da rady. On to zmieni w... w coś innego. Ale my damy radę.

– Londynmanci jakoś nie dali – mruknął Billy.

– Nie? – Dane odwrócił się do niego; wyglądał jak nowo narodzony. – Może wszechświat czekał właśnie na mnie.

– Tak, może.

Dlatego kiedy doszli do londynmantów, Dane powiedział tylko, żeby zabrała go tam natychmiast.

– Musimy być ostrożni – zaprotestowała Saira.

– Teraz – powtórzył Dane.

– Nie mogą cię z nami zobaczyć – upierała się londynmantka. Billy dotknął ramienia przyjaciela. „Spokojnie”. Po krótkich, gorączkowych przygotowaniach Saira i Fitch odjechali samochodem Fitcha, zostawiając Billy’ego i Dane’a, żeby ukradli sobie drugi. Zostawili im podszytowany GPS, mały samochodowy odbiornik, w który Dane wetknął zwinięty skrawek materiału z kroplą krwi Sairy. Zacięła się w palec na jego oczach, żeby okazać dobrą wolę. – Dlaczego mielibyśmy uciekać? – spytała błagalnie. – Jesteście nam potrzebni.

Billy i Dane pognali ich śladem. Wyglądali tak niepozornie, że nocą byli prawie niedostrzegalni. Billy nie ufał temu kamuflażowi i wciąż trzymał fazy w pogotowiu.

– To tylko kwestia czasu, nim nas znowu znajdą – stwierdził. – Gdzie są Goss i Subby? – Nikt nie wiedział. Byli i nagle zniknęli. Czy to już był koniec? Nikt w to nie wierzył. Ale z pewnością opuścili miasto, to było oczywiste, bo wszystkim oddychało się łatwiej. „Szukamy czegoś w dalekich krajach”, powiedział podobno Goss do jednej ze swoich ofiar, którą, z niewytłumaczalnych powodów, zostawił przy życiu. GPS mrugał diodami, prowadząc ich przez ulice śladem Sairy.

– Spójrz na to – powiedział Billy. – Widzisz? Robi uniki.

Im bardziej zbliżali się do granic miasta, tym dziwniej się czuła.

– Co tu się dzieje? – spytał Wati, wyglądając z kieszeni.

– Morze go nie widziało ani nie słyszało – odparł Billy. Skręcili na obwodnicę londyńską, A406 i skierowali się na wschód. – Oni chyba... Patrz, patrz!

Na poboczu, obok samochodu Sairy, stała ciężarówka. Nie był to jeden z tych przegubowych olbrzymów, które wypełniały ulice niczym strumień cementu, ale i tak była wielka – znacznie większa niż typowy pojazd firmy zajmującej się przeprowadzkami. Po bokach umieszczono jakieś banalne logo. Zaparkowali z tyłu, a w tej samej chwili tylne drzwi pojazdu uchyliły się lekko. Saira przyzwała ich gestem. Zamknęła za nimi klapę, gdy wślizgnęli się do środka, w mrok. Wati nie mógł przejść przez bariery ochronne. Wszeptał jakieś przeprosiny i odszedł, by dalej toczyć swoją wojnę związkową. Ciężarówka znów ruszyła. W środku zapłonęły jarzeniówki.

Pośrodku paki, dobrze umocowany, amortyzowany i otoczony grubymi kablami rozciągniętymi we wszystkie strony, tak że ledwie drżał na stalowym stojaku, znajdował się zbiornik. A w środku, spokojnie, wciąż pogrążony w swej śmiertelnej kąpieli, unosił się kraken.

Ciężarówką rzucało na boki, przez co płyn w zbiorniku falował i uderzał o ścianki. Ciągły ruch sprawiał, że roztwór konserwantów stał się mętny, wciąż widać było jednak splątane ramiona i nieistniejące oczy. *Architeuthis*. Billy prawie się z nim przywitał.

Na pace siedziało kilku londyńczyków należących do tajnej koterii zawiązanej w ramach wystarczająco tajnej sekty. Mikroskopy, skalpele, komputery pełne softu do modelowania biologicznego i wolne łącza UMTS. Wirniki. Krzesła, książki, stojak na broń, fragmenty zaprawy wydartej z londyńskich murów, łóżka wbudowane we wnętrze pojazdu.

Przez chwilę nie poruszało się nic prócz ciężarówki i strzępków skóry w formalinie. Oczywiście kraken podróżował tak, by nie zwracać na siebie uwagi. Głowica boska o takiej masie szybko nabierała znaczenia – jeśli zbyt długo przebywała w jednym miejscu, ludzie zaczynali ją zauważać. A zatem obwożono ją w kółko, niczym podstarzałego króla. Ciągły ruch pomagał ją ukryć, podobnie jak resztki amuletów, ścinki i sprzęty przybite lub przymocowane we wnętrzu ciężarówki.

– Kto prowadzi? – spytał Billy. Potem znów się odwrócił.

Dane padł na kolana i ukląkł przy zbiorniku. Zamknął oczy, poruszając bezgłośnie ustami. Mocno zaciskał ręce. Płakał.

Nawet londynmanci, przyzwyczajeni do religijnych uniesień, cofnęli się wyraźnie. Dane mruczał coś pod nosem. Billy nie słyszał słów, ale przypomniał sobie sformułowanie, na które natknął się w pismach teutyków: „Krakenie, twymi ramionami, którymi dotykasz świata, by go zrozumieć, dotknij teraz i zrozum mnie, twoje nieważne dziecko”.

Pasja trwała tyle, ile musiała, czyli bardzo długo. W końcu Dane otworzył załzawione oczy. Dotknął szkła.

– Dziękuję – powtarzał raz za razem. W końcu wstał. – Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć! – krzyknął nagle. – Dlaczego to zrobiliście, dlaczego chcieliście to przede mną ukryć?! – Potem ramiona mu zwisły, a twarz zastygła w tym samym grymasie, który prawdopodobnie miał, gdy torturowano go na śmierć. – Ale jednak zajęliście się, się, się nim – dodał. – Moim bogiem.

Dane znów osunął się na kolana. Biedny, umęczony człowiek. Billy włożył długie, sięgające ramion gumowe rękawice niczym weterynarz. Londynmanci – ich mała wewnętrzna koteria – patrzyli na niego uważnie.

Sam nie potrafił powiedzieć, czego zamierza szukać. Spojrzał na przyjaciela i odczekał, aż w końcu upewnił się, że Dane go widzi nie zamierza mu przeszkodzić. Uzyskawszy jego pozwolenie, zdjął pokrywę ze zbiornika i włożył rękę w zimną zawieszinę pełną chemikaliów i martwych komórek. Dotknął eksponatu. Był zbity – zimny i śmiertelnie sztywny.

„Znaleźliśmy cię”, pomyślał.

– Co tu się dzieje? – spytała Saira.

Billy zacisnął ręce, ale tym razem czas nie drgnął. Nacisnął ciało kałamarnicy, by zobaczyć, co poczuje. Przesuwał po niej palcami, rozczłonkowywał członki, delikatnie wciskał palce w przyssawki pokrywające kończyny zwierzęcia niczym wypryski. Nie mogły go wessać, ale sam ich kształt sprawiał, że na chwilę przylegały do niego, jakby kałamarnica próbowała go złapać. Usłyszał głos Fitcha, który wydał z siebie krótkie: „Hm!”.

– Muszę... muszę odczytać... – zaczął.

– Nie, chyba nie musisz – odparł Billy, nie odwracając się od zbiornika. „O co tu chodzi?”, myślał, ale żadna wiedza nie wniknęła w niego poprzez palce, jego własne, żalodne macki. Potrząsnął głową, żadnej haptycznej gnozy, żadnego olśnienia. Żadnej wiedzy na temat tego, co miało się stać i dlaczego albo co ma do tego ta pieprzona kałamarnica i dlaczego właśnie ta? Dlaczego to ona miała sprowadzić koniec? Bo koniec wciąż nadchodził. – Nie trzeba być wróżem, by to dostrzec – powiedział. – Rozetnij miasto, a zobaczysz to samo. – Odwrócił się i uniósł ręce, jak chirurg w sterylnej sali; ściekały z nich toksyczne

związki. – Wszyscy wiązaliśmy z tym wielkie nadzieje. Byłoby miło, gdyby coś się w końcu okazało, prawda? – Wskazał głową na Dane'a. – On po to zmartwychwstał, wiecie? Muszą być jakieś zapiski. Nie mówcie mi, że nie ma. My dwaj prawdopodobnie pojawiajemy się w pismach co chwila, jak jakaś pieprzona wysypka, więc można by pomyśleć, że to coś zmieni. – Ściągnął rękawicę. – Ale wiecie co? – Wzruszył ramionami. – To nic nie zmienia.

Może dlatego, że to wszystko było jedno wielkie nieporozumienie. On, Billy, został wybrany przez anioła pamięci z powodu głupiego błędu, źle zrozumianego żartu. Magia eksponatów – nie obcy majestat bentosowej mackowatości.

– To bez znaczenia – stwierdził Dane, tak wyraźnie jakby przemówił na głos. – A jak sądzisz, jak się wybiera mesjaszów?

Dane był prawdziwym wybrańcem: umarł i wrócił do życia. Jego wiara była prawdziwa. Można by pomyśleć, że właśnie tak miał wyglądać koniec – że zjednoczenie wiernego z obiektem jego wiary wystarczy, by powstrzymać płomienie. Że londynmanci – którzy nie zdołali odsunąć apokalipsy własnymi siłami – uwierzyli w końcu, że Billy i Dane nie zamierzają spalić boga z głębin, i przekazali go pod opiekę jego wyznawcy i komuś w rodzaju proroka, co z kolei zapobiegło najgorszemu. A jednak...

– Nic się nie zmieniło – stwierdził Billy. Był pewien, że by to poczuć, nie należało wcale być wybrankiem anioła. Londyn wciąż wyglądał źle. Wszędzie słychać było niekończące się napięcie, ciągłe walki i to walki konkretnego rodzaju, szerzący się wokół strach.

Wszystko nadal miało spłonąć.

Saira usiadła, przybita. Podniosła kawałek cegieł i zaprawy – rana wydartą w boku jakiegoś muru – i zaczęła nerwowo ugniatać. W jej rękach okruchy, krople i odpryski Londynu stawały się plastyczną masą. Naciskała i ciągnęła za cegły, aż w końcu bezgłośnie stopiły się z innymi. Potem zanurzyła w nich palce i zaczęła lepić z masy inne fragmenty Londynu – zgniecione papierki po jedzeniu, kolanka rurek, urwaną ozdobną końcówkę parkanu, tłumik samochodowy.

– Co teraz? – głos należał do Sairy, ale równie dobrze mógł to być ktokolwiek z nich. Wyciągnęła rękę, a Billy pomógł jej wstać. Jej dłoń pokryta była londynmazią.

– Pamiętasz Ala Adlera? – spytał Billy. – Tego maga, którego zabiliście? – Londynmantka była zbyt zmęczona, by się skrzywić. – Wiesz, kto był jego zleceniodawcą? Grisamentum.

– Grisamentum nie żyje – odparła z niedowierzaniem.

– Nie. Nieprawda. Dane... On żyje. – zakończył pospiesznie. Kobieta wciąż gapiała się na niego, oszołomiona. – Nie wiem, jak to się ma do wszystkiego, ale to Adler... zapoczątkował tę sprawę. Przyszedł do was. Wciąż pracował wtedy dla Grisamentuma. Możecie obstawiać zakłady, kto wymyślił ten plan. Wiemy, co się dzieje tu i teraz, i wiemy, że rozpocznie się, kiedy kałamarnica spłonie – ciągnął. – A zatem musimy próbować dalej. Musimy przechować ją w bezpiecznym miejscu. Może, jeśli to się uda, jeśli niespalona przetrwa... tę noc...

wszystko będzie w porządku. Możemy tylko szukać. Tatuaz nie ma żadnych powodów, żeby spalić świat. Al i Grisamentum też nie, niezależnie od tego, jaki był ich pierwotny plan. – Potrząsnął głową. – Chodzi o coś innego. Musimy chronić kałamarnicę.

– Chodźmy. – Wszyscy spojrzeli na Dane'a. Po raz pierwszy od dłuższego czasu powiedział coś, co nie było szeptaną modlitwą do martwego boga. – Strzeżcie go – polecił Sairze. – Nie możemy tu zostać. Za dużo ludzi nas szuka. Zrobimy, jak mówisz – zwrócił się do Billy'ego. – Najpierw wyciągniemy Jasona.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

– Co robimy? – spytał Billy. Włamanie do kryjówki niebezpiecznych psychopatów mogło im ujść na sucho, ale komisariat policji? „To zbyt niebezpieczne”, powiedział Fitch. „Musicie nam pomóc strzec krakena”, powiedziała Saira. „Nie możecie nic zrobić”, powiedzieli oboje.

– Daj mi ten GPS – poprosił Dane. – Nie zostawimy go tak.

– Może się czegoś dowiemy – dodał Billy. – Może Collingswood i Baron wiedzą coś więcej od nas.

Dane spojrział na martwą kałamarnicę i szybko wykonał jakiś gest.

– Znajdziemy was później. Strzeżcie mojego boga. A teraz nas wypuście.

Teraz czekali.

– Musimy wprowadzić Watiego – stwierdził Dane. Mówił bardzo szybko. – Musimy znać rozkład tego policjantowa, zanim tam wpadniemy. Gdzie on jest?

– Wiesz, że mają różne zabezpieczenia – zauważył Billy. – Wati tam nie wejdzie. A poza tym... – Przedstawiciel związkowy, dręczony poczuciem winy wobec strajkujących, krążył teraz po naprędce zorganizowanych wiecach. Chciał pomóc i obiecał, że niedługo wróci, ale... Nie wiecie, że mamy tu jebaną wojnę? Wojna klasowa, gdzie króliki występowały przeciw iluzjonistom, którzy przyzwyczaili się, że do pracy wystarcza im kij i jedna nędzna marchewka; golemy przeciw ich twórcom, którzy sądzili, że wydrapanie „emet” na czole daje im nieograniczoną władzę albo w ogóle jakiekolwiek prawa.

Wszędzie, gdzie tylko można było znaleźć gargulce albo płaskorzeźby, Wati wygłaszał płomienne przemówienia do strajkujących, którzy znajdowali się w pobliżu – homunkulusy przekradające się pomiędzy murem a chodnikiem, sejmiki gawronów. Szумы i świsty, które można było wziąć za podmuchy wiatru były w rzeczywistości skandowaniem wojowniczych żywiołaków powietrza, szepczących głosami tak cichymi jak oddech: „Ole, ole, ole, nie damy się!”.

Oczywiście, zdarzali się zarówno sympatycy, jak i łamistrajki. Wati ciągle słyszał plotki, że ktoś szuka na niego haka, stara śpiewka, i że ludzie po całym świecie – a dosłownie: poza Londynem – szukają jakiejś broni przeciw niemu.

Sytuacja nie przedstawiała się za dobrze. Nieubłagana sytuacja gospodarcza zmusiła niektóre z Chowańców do powrotu – ze spuszczoną głową, jeśli były żywe, ze spuszczoną

duszą, jeśli były nieruchome, lub ze spuszczoną częstotliwością, jeśli stanowiły tylko wibracje eteru. Pędząc szlakiem posągów przez całe miasto, Wati co chwila przybywał na jakieś pobożowisko. Pikiety jedna po drugiej były rozganiane przez widmową policję na podstawie niejasnych, przestarzałych przepisów, które nagle poddano twórczej interpretacji. W każdym wymiarze pojawiali się najemnicy.

– Co się stało? – krzyczał Wati, wpadając w kamienną rzeźbę lwa, skąd widział resztki rozbitej pikiety, której uczestników rozgoniono lub zabito, a dwóch czy trzech zbierało się z ziemi, próbując opatrzyć obrażenia. Były to małe, bezpłciowe homunkulusy zrobione z ciała zwierząt. Z kilku zostały zaledwie poplamione odłamki kości.

– Co się stało? – powtarzał. – Wszystko w porządku?

Nie, zdecydowanie nie. Jego informator, ulepiony z ptasich szczątków i błota, ciągnął za sobą rozmazaną nogę.

– To Tatuaz – wydyszał. – Szefie, pomóż.

– Nie jestem twoim szefem – zaprotestował Wati. – Chodźmy, trzeba cię zabrać... – Dokąd? Nie mógł go zabrać nigdzie, ludzko-zwierzęcy twór umierał. – Co tu się dzieje?

– Pięściarze.

Związkowiec został z nim tak długo, jak tylko mógł. Tatuaz został wynajęty, by zakończyć strajk, i cały czas wznagał wysiłki. W końcu Wati wrócił do lalek, które nieśli w kieszeniach Billy i Dane. Zdenerwowany, przez cały czas przeskakiwał z jednej do drugiej.

– Atakują nas...

– Tatuaz...

– ...i policja...

– ...próbują rozpędzić strajk.

– Myślałem, że próbują już od dawna – zauważył Billy.

– Nie w ten sposób.

– Nie w ten sposób.

– Rozzłościł go – powiedział wolno Dane.

– Nie podoba mu się, że zwiąłeś – dodał Billy.

– Chce mnie zamknąć z powrotem i dopaść ciebie, a na razie odgrywa się na Watim. Słyszałem, co mówił. Jest zdesperowany. Wszystko przyspiesza, a on też to czuje.

– A wiecie, że mamy u nas jednego pięściarza? – zauważył Wati z cieniem uśmiechu. – Zaczął agitować w pracy. Oczywiście wywalili go na pysk.

– Wati... – zaczął Billy, po czym, zerknął na Dane'a. – Musimy się dostać na komisariat.

– Gdzie my w ogóle jesteśmy? – Wati rozejrzał się po eterycznych koleinach i wrócił, nawet nie sprawdzając swojego położenia. – Tak czy inaczej, nie mogę tam wejść, mają barierę.

– Jesteśmy niedaleko – odparł Dane. Stali w zaułku, na zapleczu kawiarni. Wokół było zupełnie ciemno, nie licząc kręgu latarni.

– Jason jest w środku – dodał Billy.

– Chyba mnie nie zrozumieliście... – wycedził kwaśno Wati.

– Zaczekaj – przerwał Billy. – Coś mi się przypomniało... wtedy, kiedy po raz pierwszy spotkałem Gossa i Subby’ego. Musieli tylko sforsować drzwi. Collingswood nie zamknęła całego domu.

– Znacznie łatwiej jest pilnować określonego wycinka – domyślił się Dane.

– A zatem, jeśli minjemy to miejsce... – powiedział Billy.

Wati, przyuczony w najmniejszej z rosyjskich laleczek, którą Billy ukradł z wystawy, siedział w pyszczku biegnącej myszy, wieloletniej działaczki ZMA. W ciągu dwunastu lat ani razu się nie odezwała, ale była lojalna jak skała.

Była duża jak na mysz, ale i tak z trudem mieściła lalkę w pyszczku. Przemykała pod wiązkami reflektorów i pod bramami niczym plamka cienia, wspinając się po nadkruszonych ścianach, przebiegając pod zaparkowanymi samochodami i po dnie jamek.

– W porządku, super – powtarzał Wati. – Damy radę, nie martw się. Damy radę.

W połowie drogi poprzez zewnętrzny mur Wati poczuł granicę – przestrzeń próbowała go zatrzymać.

– O kurczę! – zawołał. – To chyba...

Ale mysz, mała cielesna istota, nie poczuła nic i biegła dalej, ciągnąc za sobą świadomość Watiego, przerywając barierę.

– Auć – jęknął Wati. – Kurwa, ależ to było dziwne.

Charakterystyczny pomruk jarzeniówek. Wati był przyzwyczajony do nagłych zmian skali i perspektywy – zdarzało się, że w jednej chwili spoglądał z olbrzymich posągów, a w następnej z ołowianych miniaterek. W tej chwili korytarz zdawał mu się olbrzymi jak katedra. Poczłł kroki nadchodzącego człowieka. Mysz przyczała się pod kaloryferem. Minęły ich nogi. Kilku policjantów. Jakiś nagły przypadek.

– Możesz pójść za nimi? – spytał cicho. – Tylko ostrożnie.

Mysz podążyła za krokami brzmiącymi jak trzęsienie ziemi, wbiegła na inny dywan, pod inne lampy.

– Jason będzie w celi – mruknął Wati. Agentka trzymała się cieni, przyczała się pod otwartymi drzwiami celi, wokół której zebrali się policjanci. Patrzyli na coś bardzo krwawego.

– A niech mnie zajebią – szepnął Wati.

Mysz wolno obróciła go w pyszczku, by też mógł zobaczyć. Oczy lalki przesunęły się po wielkiej górze martwego ciała leżącego na pryczy. Gdzieś obok stali funkcjonariusze FPTS. Pozostali policjanci ostentacyjnie ich ignorowali. Pośród zgłębku głosów Wati wyłowil dwa słowa „Goss” i „Subby”.

– Tylko nie to! – jęknął. – Nie, nie, nie! Wnośmy się stąd.

Mysz czekała cierpliwie, podczas gdy on wyrzucał z siebie bezsilne przekleństwa.

– Okej – powiedział w końcu. – Okej, skupmy się. Teraz znajdziemy ich biuro. Zobaczmy, czy da się tam coś znaleźć. Goss i Subby pracują dla Tatuaza, a myślałem, że już wycofał tych sukinsynów. Coś się spierdoliło.

Na komisariacie panował chaos, mysz mogła więc bez problemu przemykać z pokoju do pokoju, aż w końcu znalazła ślady obecności FPTS – symbole religijne i książki o tematyce, jaką zwykle nie zajmowała się policja. Na biurku, które akurat zajmowała Collingswood, leżało kilka płyt z muzyką grime.

– Coś tu musi być – stwierdził Wati. – No, dalej – dodał, przekonując raczej siebie niż swoją towarzyszkę.

Mysz przespacerowała się z nim po wszystkich papierach, jakie znaleźli. Wati, gorączkowo przeglądał tekst, w każdej chwili oczekując wykrycia i wcale nie był zdziwiony, gdy usłyszał zbliżające się głosy.

– Idź już! – zawołał. – No, idź!

Ale mysz przebiegła jeszcze ostatni akapit, dlatego gdy funkcjonariusze FPTS stanęli w drzwiach, właśnie zeskakiwała z biurka Vardy’ego.

Collingswood zareagowała błyskawicznie, z nieludzką szybkością. Przykucnęła na piętach i rzuciła się w bok, zmuszając maleńkie zwierzątko, by pobiegło w stronę szczeliny za szafą z aktami. Vardy i Baron wciąż stali bez ruchu. Collingswood wyrzuciła z siebie jakieś słowo, po którym mysz zeszytniała i, niesiona rozpędem, wślizgnęła się po posadzce za szafę i leżała tam jak sparaliżowana. W pyszczku wciąż trzymała Watiego.

– Myszko! Myszko! Wstawaj!

– Pomóżcie mi z tą pierdoloną szafą! – wrzasnęła posterunkowa do swoich niezdarnych kolegów, którzy ruszyli w końcu tyłki i zaczęli odsuwać mebel.

– Myszko, musisz uciekać – powtarzał Wati. Poszukał posągów, do których mógłby wskoczyć przez ten niezablokowany kawałek budynku. Wciąż jednak mruczał ponagląco do myszy, aż w końcu oprzytomniała na tyle, by odczołgać się spoza zasięgu prześladowców.

– Włóż w ścianę – polecił Wati. Mysz z trudem popęzła naprzód, a Collingswood zakłęła wściekle.

Zwierzę z trudem wlokło się przez ściany, aż w końcu wypluło lalkę na ziemię w chłodnym powietrzu.

– Dziękuję – powiedział Wati. – Wszystko w porządku? Dobra robota. Dzięki. Zobacz, tam jest jedzenie. – Na ziemi leżały resztki kebabu. – Zjedz coś. Dzięki. Mam u ciebie dług. Poradzisz sobie?

Mysz przytaknęła, a Wati pobiegł poprzez kilka posągów, aż dotarł do miejsca, gdzie Billy i Dane czekali na wieści o Jasonie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

– Goss i Subby.

– To byli oni.

– Święty jebany krakenie. Goss i Subby.

Goss i Subby – były to zarówno imiona, jak i okrzyk wściekłości skierowany przeciw noszącym je istotom. Było tak, odkąd... a kto to, do cholery, wiedział? Z pewnością już od wielu wieków osieroceni, pobici i torturowani wykrzykiwali te imiona, gdy już było po wszystkim.

Billy i Dane siedzieli w zaniebanej wieżyczce, którą jakiś rozrzutny architekt z Camden postawił wzniesć na terasie. Z upływem czasu skończyły im się kryjówki w fałszywych mieszkaniach, wycofali się zatem do miejsc leżących pod miastem i ponad nim, w górze. Wieżyczka była pusta, jasna i zakurzona. Siedzieli w wiązkach światła pełnych wirujących cząsteczek.

– Na biurku były nazwiska jego dawnych wspólników? – spytał w końcu Dane.

– Aha – odparł Kirk-Wati. – Wszyscy, którzy pracowali dla Grisamentuma, kiedy jeszcze żył.

– Przecież nadal żyje.

– No tak. Wiesz, co mam na myśli. Ludzie, z którymi się wtedy zadawał. Lekarze, nekrosi, pirości.

– Nazwiska?

– Niejaki Barto. Mówi ci to coś? Notatka twierdziła, że to nekromanta. Oczywiście, była też Byrne. Smithsee jakiś tam. Facet nazwiskiem Cole.

– Cole? Zaczekaj – przerwał Dane.

– Co z nim? – spytał Billy.

– To piromanta.

– Nie wiedziałem. W papierach była tylko nazwa uniwersytetu i jakieś bazgroły. Co z nim? Znałeś go?

– Obiło mi się o uszy. Gdy umarł Grisamentum. To piromanta. – Spojrzał na Billy'ego. – Kował ognia.

– Rozumiem, ale dlaczego...

– Grisamentum został skremowany. Podobno. Ale... Cole bawi się ogniem.

To ogień miał wszystko spalić. Ogień rozpalony przez tajemny plan Adlera, drobnego gracza, niewielkiego pionka ocalałego z ruin organizacji Grisamentuma, o nieznanym intencjach. A teraz jeszcze ten drugi.

– Gdzie właściwie jest Grisamentum? – spytał Billy.

– Nie wiem. Wati...

– Chodzi o coś więcej niż tylko „gdzie”, prawda? Mówiłeś, że nie widzisz żadnego powodu?

– Żeby miał spalić świat? Nie, dalej nie widzę. Nie mam pojęcia, jaki miał plan, ale na pewno nie chodziło o to. – Wciąż byli jednak na tyle niepewni, że nie postanowili do niego dołączyć.

– Dowiemy się – stwierdził Billy. – Najpierw sprawdzimy, co porabia ten Cole. – Wstał, przecinając pasiaste powietrze. Spojrzał na samochody. – Co tam się, cholera, dzieje?

Na dole działał się Tatuaz. Jego najemnicy szaleli, naruszając pakt obowiązuje od dziesięcioleci, nie zważając na nic, polując na zdobycz, która wymknęła im się z rąk.

Naziści chaosu byli oczywiście zupełnie nikim. Kto ich się teraz bał – podtopionych, wrzeszczących, koncertowo zrobionych? Wolni strzelcy, etatowi pięściarze i inni z radością zgłaszali swoje kandydatury na stanowisko naczelnego straszaka, a rozbijanie pikiet ZMA było elementem ich portfolio. Wati zniknął z wieżyczki w Camden, krążył po mieście, organizował, latał i naprawiał – wciąż bezskutecznie.

– Tatuazowi odejbało kompletnie – stwierdziła Collingswood. – Co on właściwie robi? Ktoś z nim rozmawiał?

– Nie chce gadać – odparł Baron i wyduł policzki. – Nie możemy go znaleźć.

– Niepotrzebne mu nasze pozwolenie. – We trójkę siedzieli w milczeniu, niczym grupa wsparcia dla przygnębionych.

– No, dalej – zniecierpliwiał się Baron. – Nie zatrudniam was za piękne oczy. Obgadajcie to.

– Tatuaz wypowiedział nam wojnę – stwierdził Vardy – Wysłał tu Gossa i Subby’ego, żeby przesłuchali naszego więźnia.

– A Dane i Billy wysyłają szpiegów do mojego, kurna, własnego biura – dodała Collingswood.

– A zatem to włamanie wyprowadziło cię z równowagi – stwierdził ze złością Baron. – Dowiedziałaś się, że ludzie grzebią ci w długopisach, i dopiero to cię wkurzyło. Kath...

Spojrzała na niego.

– Tak – odparła. – To i jeszcze cała ta sprawa makabrycznego morderstwa.

Znow gapili się w milczeniu.

– Nikogo już nie obchodzimy – stwierdził Baron. – Po prostu stoimy ludziom na drodze. To źle robi na serce.

– Chryste – westchnęła Collingswood. – Rozchmurz się, szefie.

– Prawda jest taka, że gówny osiągnęliśmy – ciągnął Baron. – Billy i Dane radzą sobie lepiej od nas.

– Tak nie może być – stwierdził Vardy. Zamrugał szybko. – Nie możemy tu siedzieć i pozwalać, żeby inni obiegali nas w kółko. Czas odzyskać trochę władzy. Trzeba tu ściągnąć ludzi. Na naszych warunkach.

– Niby jak mamy to zrobić? – spytał Baron. – Nie mamy nawet pojęcia, gdzie są.

– Nie. Trzeba coś z tym zrobić. Z grubsza mamy pojęcie, ile wiedzą tamci. Po pierwsze, wiedzą o nadchodzącym końcu. Po drugie, wiedzą, że to przez tę pieprzoną kałamarnicę. Po trzecie, że ktoś gdzieś tak to zaplanował. A zatem musimy sprawić, żeby to góra przyszła do Mahometa.

Baron gapił się na niego zdezorientowany.

– Co ma do tego Mahomet? – zapytał w końcu. – I gdzie jest ta góra?

– Nigdzie nie będę się, kurwa, wspinać – dodała Collingswood.

– Trzeba ich wyłowić – wyjaśnił Vardy.

– To znaczy co – ta góra ma iść na ryby?

– Jezu Chryste – zamkniesz się wreszcie?! – krzyknął Vardy. Collingswood nie dała po sobie nic poznać, ale zamilkła. – Musimy zadyndać im przed nosem tym, czego chcą, tym, na co czekają. Co ich przyciągnie, pytacie? A co przyciąga wszystkich?

– Ach – powiedziała ostrożnie Collingswood. – Apokalipsa.

– No widzisz – Vardy rozłożył ręce. – Wszyscy czekają na apokalipsę. Dajmy im ją.

W Londynie, tym Herezjopolis, zawsze warto było na to stawiać. Co kilka dni lub nocy przepowiadano nadejście ostatniego dnia lub nocy. Większość z tych przepowiedni spełzała na niczym, przez co wygłaszający je prorocy kulili się ze wstydu o wschodzie słońca. Był to bardzo konkretny rodzaj wstydu – byli wyznawcy unikali nawzajem swoich spojrzeń, usiłując ogarnąć konsekwencje swoich „ostatnich” czynów – zbrodni, wyznań, rozpusty i zaniechania.

Żarliwi wierni nieustannie próbowali namówić wszechświat, by dał ich wersji szansę. Nawet małe, najdziwaczniejsze grupki mogły odegrać rolę w sprowadzeniu końca świata. Vardy nawiązywał jednak do czegoś innego: najbardziej dramatyczne z tych armagedonich – Londyn już dawno przywykł do tak skomplikowanych form liczby mnogiej – stanowiły wydarzenia publiczne. Sporty widowiskowe. Przegapienie takiego eventu byłoby realtheologicznym faux pas.

Istniały sposoby, by ustalić, kto jest obecnie na fali, a które grupy przeżywają regres. Realizacja domniemanych końców świata stanowiła coś pomiędzy pracami polowymi a spotkaniem towarzyskim.

Baron i Collingswood wyglądali na zaskoczonych.

– To się nie uda – powiedziała w końcu kobieta. – Biorąc pod uwagę, co się teraz dzieje, to chyba żaden koniec nie będzie dostatecznie widowiskowy, by wyciągnąć ludzi z domów. Trzeba by zorganizować coś naprawdę zajebiste drastycznego. Ludzie cały czas nasłuchują, będą wiedzieli, że to humbug. Nie przyjdą.

– Oczywiście, że przyjdą, jeśli tylko uwierzą, że to ostateczny koniec – odparł Vardy – Wyobraź sobie, co by było, gdyby ta jedna apokalipsa, którą przegapiłaś, okazała się prawdziwa...

– No tak, ale...

– Nie, masz rację, nie zdołamy tego sfalszować. Musimy podkreślić jedną z tych małych, których nikt dotąd nie zauważył... Hm. Powiedziałem „jedną”? A może by tak... „Coś dużego, gdy jedna apokalipsa to za mało!” – wygłosił z emfazą, po czym wstał z krzesła: – Potrzebna mi lista wszystkich sekt, w których mamy wtyki. – Strzelił palcami. – Chyba wszyscy już słyszeli o krakenie i wiedzą, że to, co nadchodzi, ma z nim coś wspólnego. Tak czy nie? Jasne, że tak.

– Co tam kombinujesz, brachu? – spytała podejrzliwie Collingswood.

– Wszyscy czekają, aż nadejdzie koniec świata. Uprzedźmy ich i sprowadźmy go do nas. Jak mówiłaś, nie damy rady go sfalszować, dlatego potrzebujemy prawdziwego. Musimy dopracować jak najwięcej szczegółów, żeby myśleli... Trzeba rozpuścić odpowiednie pogłoski, im bliższe prawdy, tym lepiej. Pewnie nie uda nam się wykorzystać żadnej ośmiornicy, ale ile z tych grup wyznaje jakiegoś zwierzęcego boga? Kogo zdołamy przekonać, by przyspieszył apokalipsę?

Zaczął wertować teczki. Po chwili Collingswood wstała i dołączyła do niego. Baron spoglądał na nich z krzesła.

– A tak poza tym dobrze się czujecie? Wszyscy w domu? – spytał z narastającym niedowierzaniem. – Chcecie zorganizować imprezę na koniec świata, tylko po to, żeby zebrać wszystkich...

– Może ta grupka? – zaproponowała Collingswood.

Vardy spojrział jej przez ramię.

– Nie zdołamy ich przekonać – stwierdził.

Szukali dalej.

– Oni?

– Nie.

– Oni?

– To w ogóle nie przypomina kałamarnicy.

– Co wy, do cholery, robicie? – wybuchnął Baron.

– Aha, ale jeśli szybko rozpuścimy pogłoski, to będzie bez znaczenia. To duże zwierzę – nalegała Collingswood.

– Może – odparł bez przekonania Vardy. – Ale widzę tu jeden problem. – Wskazał coś na jednym z arkuszy. Baron zmrużył oczy, by dojrzeć, o czym rozmawiają. – Jedna właśnie się zbliża. Sama z siebie jest równie dobra jak każda inna, ale nie ma żadnych zwierzęcych elementów i trudno byłoby namówić ich proroków, żeby trochę zaczekali. A jeśli będą za blisko siebie...

– Urządźmy je tego samego dnia – zaproponowała Collingswood.

– Co wy... – dopytywał się bezskutecznie Baron.

Vardy uciszył go spojrzeniem. Wyglądał, jakby miał ochotę zrównać sugestię Collingswood z ziemią, ale wtedy na jego twarzy rozlał się wyraz zdumionego zachwyty.

– A w zasadzie dlaczego nie? – spytał głośno. – Nawet jeśli dobierzemy właściwe słowa kluczowe, jeden mały armagedon może nikogo nie przyciągnąć. Ale dopóki ludzie będą podejrzewać, że to może być jakiś zwierzęcy bóg. Z całą pewnością zaczną gadać... Dzięki temu nasza mała przynęta może się okazać jeszcze bardziej...

– Nęcąca?

– Dramatyczna. Może. Przyjmij, że będą dwie, co wtedy?

Spojrzeni po sobie z Collingswood, parsknęli śmiechem i pokiwali głowami.

– Oczywiście, to w żaden sposób nie wpłynie na tę prawdziwą – zauważyła kobieta. – Ale nawet nie wiemy kiedy... No, powiedz coś, szefie – zwróciła się do Barona, poklepując go pieszczotliwie po policzku.

– W porządku – stwierdził Vardy. – A zatem musimy skompilować nie jedną, ale dwie przepowiednie. Muszę wykonać parę telefonów.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Do ambasady morza przybyła kipiąca wściekłością delegacja. Nie było możliwości, by tego rodzaju grupa mogła odbyć kłótnię z takim adwersarzem i pozostać niezauważona. Została zatem zauważona, a plotki o tej konfrontacji obieły całe miasto.

W większości przypadków były bardzo niedokładne. W ciągu kilku dni pojawiły się straszliwie podkoloryzowane wersje w rodzaju: „Kurwa, przysięgam na boga, ci goście rzucali granaty i miotali jakieś wariackie sznyty, pełen sajgon”. Rozmach anegdoty dodawał splendoru opowiadającemu.

Naga prawda też jednak zapewniała odpowiedni ładunek dramatyzmu. Ulicą nadjechała kawalkada samochodów. Wysiadło z nich kilkunastu mężczyzn i kilka kobiet w kaskach motocyklowych, którzy obstawili najbliższe przecznice. Ich twarze skrywały przyciemnione szybki. Dopóki tam stali, nikt nie odważył się przejść ulicą.

Ludzie nerwowo wyglądali przez okna, spoglądając na obcych w kaskach i na otaczający mrok. Nie trzeba było specjalnego wtajemniczenia, by w sposób całkowicie niezwerbalizowany zdawać sobie sprawę, że w tym domu na samym końcu dzieją się dziwne rzeczy. Z największego samochodu wysiadły dwie postacie w kaskach, ciągnąc za sobą jakiegoś obdartusa. Mężczyzna z irokezem zdawał się śmiertelnie przerażony, usta miał zakneblowane. Strażnicy doprowadzili go pod same drzwi.

– Odwróć się. – Mężczyzna posłuchał. W jego kurtce wycięto dwa otwory, przez które spoglądały oczy z tuszu. Żadnych awatarów, sprzętów z warsztatu, żadnych głośników, szef zjawił się osobiście.

– Wasza pierdolona eminencjo – oznajmił Tatuaz. Jego głos brzmiał zupełnie wyraźnie poprzez warstwę ubrań. Nosiciel Tatuaza spoglądał na ulicę, nie zwracając uwagi na rozgrywającą się z tyłu kłótnię. Drżał.

– Słyszałem, że odwiedziłeś moich współpracowników. Przechowywali dla mnie coś cennego, póki nie postanowiłeś zainterweniować. A ja straciłem coś, co kosztowało mnie zajebicie dużo pieniędzy i wysiłku. A zatem zamierzam ci zadać dwa pytania. Po pierwsze, czy to prawda? Po drugie, naprawdę chcesz iść tą drogą? Chcesz wypowiedzieć mi wojnę?

Żadnej odpowiedzi. Po upływie kilku długich sekund Tatuaz wyszeptał:

– Odpowiedz mi, wasza oceanowość. Wiem, że mnie słyszysz, gnojku. – Ale przez szparę nie wypadła żadna butelka. – Ty i ten twój żywioł. Myślisz, że się ciebie boję? Powiedz, że zaszło nieporozumienie. Wiesz w ogóle, co się dzieje? Nic już nie jest bezpieczne. Możesz spłonąć razem z nami. Nie boję się ciebie i, niezależnie od tego, co się wydaje, nie umkniesz przed wojną. Wiesz, kim jestem?

Złowieszczy tusz wymówił ostatnie słowa – tę wyświechtaną, kiczowatą pogroźkę – w taki sposób, że znów nabrały mocy. Na sam dźwięk można było zadrzeć ze strachu. Za drzwiami ambasady nic jednak nawet nie drgnęło.

– Myślisz, że nie będę z tobą walczył? – dodał Tatuaz. – Trzymaj się z dala od moich spraw.

Gdyby morze wkroczyło na jego własne terytorium, byłoby to już za wiele i, niezależnie od kosztów, jakie pociągnąłby za sobą taki ruch – a wojna z żywiołem kosztowała słono – Tatuaz gotów byłby ponieść koszty. Bomby ciskane w wodę, które eksplodowały w głębinie, pozostawiając dziury pełne pustki. Trutki na solankę. Mimo że nie miały szans wygrać tej wojny, ingerencja morza i złamanie neutralności mogłyby rozpętać ogólną wojnę.

Nikt normalny nie uznałby jednak ataku na powszechnie pogardzanych nazistów za poważną ingerencję – Tatuaz nie znalazłby w tej walce żadnych sojuszników. Był to słaby punkt korzystania z usług podwykonawców. Właśnie dlatego morze zaryzykowało swoją akcję. Mieszkańcy z całą pewnością wiedzieli, że tam było, choć bardzo skrupulatnie wycofało każdą cząsteczkę słonej wody z jaskini wyżłobionych pod chodnikiem – nowych grot oceanicznych – ale nikt nie przyznał się do tego głośno.

– Powiedz, co masz na swoją obronę – rozkazał Tatuaz. – Kopnij w tył – poleciał ciału, które nosiło go na plecach. Człowiek wierzgnął niezręcznie, ale uderzenie trafiło w pustkę. – Jeśli jeszcze raz wpierdolisz się w moje sprawy, będziesz mieć wojnę – rzucił na odchodnym Tatuaz. – Do wozu – poleciał ciału, a mężczyzna spazmatycznie powlókł się z powrotem. Szef gangu był wściekły, ponieważ morze wyszło z tej konfrontacji zwycięsko. „Nawet Tatuaz nie zdoła wygrać z morzem”, mówili potem ludzie. Nikt nie wygra z morzem. Wieści obiegły całe miasto.

Kolejny gwałtowny spazm historii. Niemożliwy do opisania – był jak zająknięcie, jak krok w bok, jakby oś czasowa walnięta sztachetą wpadła w inną koleinę, która wyglądała, pachniała i dźwięczała tak samo, choć w dotyku nie przypominała tamtej, miała zupełnie inne ciało. W chmurach unosił się ten sam dziwny gniew, jeszcze więcej walk, pamięć przeciw zamknięciu, splecione w jednym niebiańskim klinclu. Tylko najbardziej przenikliwi potrafili coś zrozumieć ze swych małych udarów, ze swego zdezorientowania i apatii – dostrzec, że to wszystko część tej samej wojny.

Marge była teraz na tyle zanurzona w tym świecie, że też to czuła. Co chwila zapominała coś nagle albo przypominała sobie gwałtownie.

Dla niej była to już ostatnia noc. Wściekła i wymęczona wszystkimi niemożliwymi wydarzeniami, ku swemu własnemu zaskoczeniu odpowiedziała na propozycję jednego z przyjaciół. Była to paczka znajomych z galerii, w której robiła kiedyś wystawy – dwóch mężczyzn i dwie kobiety – występująca pod wspólną nazwą „Wyczerpani”, którą nadali sobie, by w ten sposób opisać sumę wspólnych kłopotów. Marge z uwagi na swoje dzieła została przez nich uznana za towarzyszkę podróży, za na wpół wyczerpaną, za Trochę Zmęczoną.

Koledzy z pracy już dawno przestali się odzywać, ale co kilka dni dzwonił do niej ktoś z Wyczerpanych, próbując wyciągnąć ją na drinka, na kolację albo na wystawę konkurencji, którą mogliby obejrzeć z grymasem pełnym wyższości.

– Dobrze cię, kurwa, widzieć – stwierdziła kobieta imieniem Diane. Robiła rzeźby ze stopionych plastikowych długopisów. – Kopę lat.

– Wiem, wiem – odparła Marge. – Wybaczcie, ale kompletnie pochłonęła mnie robota.

– Za to nigdy nie trzeba przeproszać – stwierdził Bryn. Malował portrety w grubych książkach otwieranych w losowym miejscu. Marge uważała jego prace za kompletny chłam.

Podejrzewała, iż będzie musiała udawać, że dobrze się bawi; ale wędrówka od pubu do pubu wciągnęła ją z powrotem w życie, które uważała za bezpowrotnie stracone. Miała tylko nieznaczące wrażenie, że patrzy na siebie z boku, gdy mijali salony tatuażu, księgarnie i tanie knajpy. Syreny policyjne i wozy strażackie mijaly ich w pędzie.

– Słyszałaś, co się stało z Dave’em? – pytali ją o ludzi, których ledwie pamiętała.

– Co to za sprawa z tym dealerem?

– To niewiarygodne, że znów musiałam się wyprowadzić, ten właściciel to dupek.

– A co u ciebie? – spytał w końcu Bryn, bardzo cicho, a Marge potrząsnęła tylko głową i przewróciła oczami w uniwersalnym geście oznaczającym „nie chcesz wiedzieć”, jakby miała napięty grafik, nawał pracy albo straciła poczucie czasu. Mężczyzna nie naciskał. Poszli na film, potem na koncert dubstepu, zostawiając po drodze Bryna, a potem kobietę imieniem Ellen, zjedli późną kolację. Plotkowali i kłócili się twórczo. Londyn otwierał się przed nimi.

Przy Old Compton Street stał się cud: Soho było tej nocy zajebiście urocze. Ludzie niezdarnie tańczyli salsę na ulicy przed księgarnią Blackwell. Tłumy wylewały się z kafejek na ulicę, a jakiś obcy człowiek, najwyraźniej zlekceważony przez potencjalny obiekt podrywu, wzruszając ramionami podał Marge nadprogramowe cappuccino. Kobieta miała ochotę przewrócić oczami, widząc, jak świat się stara, ale potem wypila kawę, smakując każdy łyk. Puste świątynie finansów parzyły na nich spod nieba – złe czasy jeszcze nie nadeszły i budynki mogły z pobłażaniem spoglądać, jak Marge bawi się z przyjaciółmi i po prostu jest w Londynie.

Czas dobiegł do północy, gdzie najwyraźniej się zatrzymał. Piła z resztą Wyczerpanych przez długą, niekończącą się późną noc, pośród zaścielających ulicę śmieci i mijających ją

świateł taksówek, które krążyły po strefie pierwszej, całkiem jakby świat wcale nie miał spłonąć. Marge była umówiona na jeszcze jedno spotkanie.

– W porządku, mój skandaliczny kwiatuśku – stwierdziła Diane, gdy kalendarz w końcu przewrócił kartkę. – Było cudownie. Za długo się nie widziałyśmy, więc przestań wydziwiać.

– Uściskała Marge na pożegnanie, po czym zniknęła na schodach prowadzących na stację Tottenham Court Road. – Trzymaj się – zawołała jeszcze. – Wracaj bezpiecznie do domu!

– Jasne – powiedziała do jej pleców Marge. „Tak właśnie zrobię”. Kiedy ostatnio czuła się w domu jak w domu? Złapała taksówkę. Oczywiście nie pojechała na ulicę duchów ani na ulicę-pułapkę – wiedza fachowa kierowcy, której zawdzięczał swoją pracę, ukryłaby je przed nim. Podała mu nazwę ulicy leżącej najbliższej celu, po czym stamtąd szła już piechotą, aż znalazła się na miejscu – w małej szopce we wschodnim Londynie.

Wyglądała, jakby wzniesiono ją pośpiesznie z porzuconych ścian, drewna, wikliny, gliny i resztek cegieł, przy maleńkiej uliczce pełnej podobnych budowli. W środku siedział człowiek, którego odszukała, podążając skomplikowanym internetowym szlakiem, i czekał specjalnie na nią.

– Spóźniłaś się – powiedział. Okazało się, że pomieszczenia wewnątrz eklektycznej chatki są porządniejsze, suchsze i bardziej mieszkalne, niż Marge z początku sądziła. Pośród zgniłozielonych mebli, obrazów w odcieniach cieni, książek, które pachniały i wyglądały jak kawałki kurzu, stał komputer i konsola do gier. Gospodarz miał około pięćdziesiątki. Ubrany był w bluzę z kapturem, a jego lewe oko przysłaniało coś, co przez chwilę wzięła za jakiś skomplikowany element ubioru w stylu firmy Cyberdog, kombinację kapelusza i monokla, ale po chwili, bez najmniejszego szoku, wyrażonego choćby drgnięciem czy skrzywieniem ust, zdała sobie sprawę, że była to metalowa oprawa dziurki od klucza, przyszyta lub też przylutowana do jego twarzy. Wszystko, na co patrzył, oglądał jakby przez dziurkę od klucza. Wszystko, co widział, stanowiło nielegalnie podpatrzoną tajemnicę. – Spóźniłaś się.

– Ty jesteś Butler, tak? – spytała. – Wiem, ale co miałam zrobić? Te cholerne korki. – Wyjęła z torby pieniądze, zwitek ściągnięty gumką recepturką. „Jeśli świat się jednak nie skończy, pomyślała, to będę całkiem splukana”. Powietrze w pokoju rozmyło się, jakby wzrok jej szwankował. Przedmioty, które powinny pozostać nieruchome, lampy i popielniczki, przesunęły się odrobinę. – A poza tym – dodała – sam jesteś sobie winien. W to miejsce nie dojedzie żadna taksówka.

– Myślisz, że trudno tu trafić? – spytał kpiąco. – W W-5 jest taka ulica, którą można znaleźć tylko w latach sześćdziesiątych. Spróbuj jej kiedyś poszukać. Przyszłaś po ochronę, jeśli dobrze pamiętam? Przed czym?

– Przed tym, co nadchodzi.

– Spokojnie. – Uśmiechnął się krzywo. – Nie jestem magikiem.

– Ha, ha – odparła Marge. – Szukam kogoś. Mówiono mi, że mam się w to nie mieszać, ale i tak będę. Jestem pewna, że wiesz o mnie też różne inne rzeczy, więc po prostu powiedz mi, czego potrzebuję.

Patrzący-przez-dziurkę-od-kłucza skinął głową i wziął pieniądze. Przeliczył.

– To mogą być dziny – stwierdził, przerzucając banknoty. – Nadciąga ogień. Może ktoś je wkurzył.

– Dżiny?

– Aha. – Mężczyzna postukał palcem w dziurkę od klucza. – Tak, właśnie. Ognie. Pamiętasz jakieś rzeczy, których nagle nigdy nie było?

– Co?

– Różne rzeczy teraz płoną i znikają od zawsze. – Marge wciąż patrzyła na niego tępo, więc dodał: – W Finchley był taki jeden magazyn. Pomiędzy sklepem z łazienkami a Pizzą Hut. Wiem, bo często tam chodziłem i widziałem go. – Znów postukał w oprawkę. – Ale „widziałem” nic dziś nie znaczy. Ten magazyn spłonął, a teraz nigdy go tam nie było. Sklep z łazienkami i Pizza Hut przylegają do siebie. Wokół zostało tylko trochę popiołu i spalonego nigdy. Został wypalony wstecz – dodał, po czym wyszedł do drugiego pokoju i podniósł głos tak, by wciąż go słyszała. – Nie mogą wypalić go z głów wszystkim, ale to tylko początek. Będą inne, założę się o tysiąc kawałków. Może to z tym będziesz się mierzyć.

– Może.

– To znaczy, wszyscy będziemy się z tym mierzyć, ale większość z nas nie szuka dodatkowych kłopotów. Poza tym to nie jedyna apokalipsa, jaką mamy na tapecie. Już niedługo będziemy mieć wybór. Pieprzony absurd, gdyby ktoś mnie pytał. – Po chwili wrócił i rzucił Marge iPoda. Był to porysowany, starszy model.

– Już mam jednego – zauważyła.

– Ha, ha, dobre. Włóż słuchawki, ale jeszcze nie włączaj. Zaczekaj, aż wyjdiesz na świat.

– Co to jest? Największe przeboje Queenów?

– Aha, *Fat-Bottomed Girls* i *Bicycle*. Nie wiem, z czym będziesz mieć do czynienia, więc wybrałem ci uniwersalny model. Obchodź się z nim delikatnie. Powinien pomóc troszeczkę – rozstawił lekko kciuk i palec wskazujący – przeciw dżinom i troszeczkę przeciw bestiarzom, broniownikom albo nazistom chaosu albo komukolwiek z tej hołoty, mamy ich tu od groma, czy też innej apokalipsie wielokrotnego wyboru. Ale nie kuś licha.

– Jak to „wielokrotnego wyboru”? – spytała.

– Dwie już są w drodze, przynajmniej tak słyszałem. Jedna z nich może zawierać ogień, albo i nie. Co o tym myślisz? Ma to ręce i nogi? Zwierzęcy ragnarok i jakaś inna krwawa jatka.

– Jak to zwierzęcy? – jęknęła Marge. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Zaraz. Posłuchaj. – Wskazał na odtwarzacz. – To twój mały chwyt obronny. Siedzi w środku. Nurza się w dźwiękach, a jeśli będziesz go słuchać, on będzie cię chronił. Troszeczkę. Lepiej, żeby ci się spodobał. Nie pozwól go słuchać nikomu innemu. Gdy tylko zwietrzysz jakieś kłopoty, włącz go. A zresztą – trzymaj go włączonego cały czas. Nie zapomnij, żeby często ładować to urządzenie. I karm je dobrze.

– A czym ono się żywi?

– Muzyką, na litość bogów. Wgraj tam jakieś playlisty. Dawaj mu to, co lubi.

– A skąd mam wiedzieć, co lubi?

– Nigdy nie miałaś zwierzątka? Domyślisz się.

– Jak silne jest?

– Niespecjalnie. Ale nie masz wyboru, musisz działać na ślepo, jak my wszyscy. Wszystko i tak trzyma się na ślinę i modlitwę, więc nie jęcz mi tutaj, jasne?

– Dzięki – odparła. – W porządku.

– Może dać ci trochę czasu. Myśl o nim jako o sygnale do ucieczki. Bo spójrzmy prawdzie w oczy – wcześniej czy później trzeba będzie uciekać.

– O co chodziło z tym wyborem? – naciskała Marge.

Patrzący wzruszył ramionami.

– Mamy stanowczo za dużo końców świata, żebym spamiętał wszystkie, ale to chyba pierwsza koniunkcja od dłuższego czasu. Tym razem to chyba zwierzęta i purytanie. Ale tyle innych rzeczy się dzieje. Wygląda na to, że...

– Zwierzęta?

– Podobno jakiś zwierzęcy bóg, tak mówią, to tak to widzę. – Znow postukał w dziurkę od klucza. – Już niedługo się dowiemy. Tym razem chyba pójde popatrzeć. Dla jednej apokalipsy zwykle nie chce mi się ruszyć tyłka, ale dwie... I to naraz? Ale ty chyba nie powinnaś. To znaczy oglądać.

– Nie mogę. To wygląda jak... jak coś, na co ludzie czekali. A teraz, skoro już mam... – Potrząsnęła iPodem.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Da ci tylko trochę czasu na ucieczkę.

– Właśnie – podchwyciła Marge. Poruszyła ustami, ale przez chwilę nie wydobył się z nich żaden dźwięk. – Możliwe, że będę musiała uciekać przed... Czy ten twój muzyczny duszek... Mogę wpaść na Gossa i Subby'ego.

Czekała, aż te dwa imiona roztoczą swój złowieszczy urok. Aż rozmówca zatchnie się zaskoczony. Ale Butler tylko spojrział na nią ze smutkiem.

– Wiem – odpowiedział. – Ludzie szybko dowiadują się o każdym, kto trafił na ich czarną listę. Dlatego nie powinnaś się w to mieszać.

– Ale to? – spytała, podnosząc iPoda. – Czy to pomoże jeśli... jeśli oni...

– Przeciwno nim? – spytał tamten beznamiętnie. – To? Nie. Nic ci nie da.

– Dzięki za ostrzeżenie – powiedziała w końcu Marge. – Będę ostrożna. Ale jeśli... jeśli możesz mi opowiedzieć coś o tym zwierzęcym armagedonie... Podejrzewam, że będzie tam ktoś, kogo szukam.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

W kampusie podmiejskiego uniwersytetu świadomie niechlujny wygląd Billy'ego i Dane'a stanowił świetny kamuflaż. Wystarczyła krótka wizyta w kafejce internetowej, by ustalić, który gabinet zajmuje profesor Cole. Znali też godziny jego dyżurów.

Korzystając z okazji, Billy pogrzebał trochę w sieci i sprawdził stronę Marge na MySpace. Zobaczył tam zdjęcie Leona, prośbę o pomoc i numer telefonu, który nie należał do niej – musiała go kupić specjalnie w tym celu. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo go to poruszyło. Wydrukował sobie kilka kopii.

– Jeśli ten facet jest tak potężnym sznyterem, to czemu pracuje na politechnice w Pierdzishire? – spytał Dane'a. – Poza tym czy to rozsądne, tak z nim zadzierać?

– A kto powiedział, że z kimś zadzieramy? – odparł krakenita. – Taki jest plan? Po prostu szukamy informacji.

– Ale tak to się może skończyć. Sam mówiłeś, że wszystko wskazuje na niego. Ogień i tak dalej. Może się zdarzyć, że...

– Może. Wiem.

Wati nie przyszedł z nimi. Strajk umierał, a on uznał, że obowiązki wobec związkowców mają pierwszeństwo.

– Nie możemy na niego czekać – zdecydował Dane. – Musimy dowiedzieć się jak najwięcej, a to nasz pierwszy trop, więc wiesz. – Zapatrzył się w przestrzeń: robił to, od czasu, gdy wyszedł z piwnicy. – Zrobimy to, co należy. Musimy być gotowi.

Każdy z ich obecnych ruchów mógł być potencjalnie ostatnim, ale nie mogli załatwić wszystkiego ani zająć się wszystkim. Starali się, jak mogli, na wypadek, gdyby było jakieś później. Dane zadzwonił do rabby Mo ze skradzionego telefonu. Simon zdrowiał. Stopniowo oczyszczano go ze wszystkich wściekłych eks-ego.

– Jest wyczerpany i bardzo słaby, ale już mu lepiej – powiedział Dane, powtarzając za Mo. – To dobrze. – Zachowywali się tak, jakby w ostatecznym rozrachunku miało to znaczenie.

Billy i Dane czekali w korytarzu, zmuszając się do uśmiechu, gdy sekretarka Cole'a, kobieta w średnim wieku, i troje studentów spojrzało na nich ciekawie. Cole z pewnością miał

jakieś zabezpieczenia, ale byli już zdesperowani. Gdy z gabinetu wyszedł ostatni interesant, Billy poszedł na sam początek kolejki.

– Mogę, prawda? – zwrócił się do stojącego tam studenta. – To bardzo pilne.

– Hej, jest kolejka, co nie? – zajęczał chłopak, ale poza tym nie zareagował. Billy przez chwilę zastanawiał się, czy w jego wieku był równie potulny.

Weszli do gabinetu. Cole podniósł wzrok znad biurka.

– Tak? – Profesor okazał mężczyzną w średnim wieku, ubranym w brzydki garnitur. Zmarszczył brwi. Twarz miał chorobliwie bladą, a oczy niewiarygodnie podkrążone. – Kim panowie... – Nagle otworzył szerzej oczy i wstał, chwytając rzeczy rozrzucone na blacie. Billy dojrzał jakieś papiery, czasopisma i otwarte książki. Zdjęcie młodej dziewczyny w szkolnym mundurku stojącej pomiędzy Cole'em a wielkim ogniskiem.

– Profesorze – oznajmił Dane, wyciągając rękę. – Mamy do pana pytanie.

Twarz Cole wyglądała tak, jakby nie mógł wybrać pomiędzy dwoma różnymi grymasami. Zawahał się lekko, po czym uściśnął dłoń Dane'a. Krakenita okręcił się szybko i rzucił go na podłogę.

– Nigdy nie damy mu rady, jeśli pójdziemy na sznyty – wyjaśnił wcześniej. – Oczywiście, zakładając, że to on jest tym, kogo szukamy. Ale na moje oko, Cole raczej wie, co jest grane, a jeśli to on jest naszym podpalaczem... Nasza jedyna szansa to zadziałać głupio, brutalnie i bardzo prosto.

Dane przygniół Cole'a do ziemi, aż odebrało mu oddech, i unieruchomił szybko. Potem dwa razy uderzył go bronią, którą wyjął z kieszeni. Trzymał go w takiej pozycji, by ofiara nie mogła wydać żadnego dźwięku.

– Billy?

– Taaa. – Billy obejrzał framugę, aż znalazł ślady po wywierconych otworach. Podważył klapkę nożem, osłaniając mały schowek zawierający skrawek ciała, cienkie łańcuszki i drucianą figurkę. Nie znalazł innych śladów magii. – Już.

– Wyjście? – spytał Dane.

Billy podszedł do okna.

– Jesteśmy na pierwszym piętrze, pod oknem jest trawnik.

– Profesorze – oznajmił Dane. – Jest mi naprawdę przykro, ale zrobię to jeszcze raz, gdy tylko zacznę podejrzewać, że pan sznytuje. Musimy zadać panu parę pytań. Co wie pan o krakenie? To pan chciał go spalić, prawda? Dlaczego? – Billy przewertował papiery na biurku jedną ręką, w drugiej wciąż trzymając pistolet. Podeszedł do regału, gdzie stały prace samego Cole'a, *Wstęp do fizyki cząstkowej*, jakieś wycinki i zredagowane przez niego opracowanie dotyczące termodynamiki. Cienki tomik, także autorstwa Cole'a, zatytułowany *Abnaturalne spalania*. Znów spojrzął na zdjęcie Cole'a z córką. – Szybko, szybko – poganiał Dane. Billy zaczął wpychać papiery do torby. – Możliwe, że to wszystko nie ma sensu, ale musieliśmy pana sprawdzić, na wypadek, gdyby jednak miało. – Teraz pójdzie pan z nami. Jeśli okaże się,

że ma pan z tym guzik wspólnego i jesteśmy panu winni przeprosiny, to je pan dostanie. Do czego panu kraken? Dlaczego chce pan wszystko spalić? – Rozległ się jakiś dźwięk. Cole patrzył wprost na Billy’ego, a z czaszki unosił mu się gęsty dym. Dane pociągnął nosem. – Ech, szlag... – Cole nie patrzył na niego. Wciąż gapił się na kustosza, który trzymał w rękach jego papiery i zdjęcie z biurka. – Cholera... – Dym objął ubranie Cole’a. Dane zacisnął zęby. – Billy? Spadamy stąd.

Cole zaczął się żarzyć, a Dane zaklął i odskoczył, machając poparzonymi dłońmi. Cole uniósł się na czworaki i obnażył zęby, a dym owinał się wokół niego niczym szalona fryzura.

– Co jej zrobiliście? – wrzasnął. Z ust buchnęły mu płomienie.

Billy nacisnął spust. Wiązka z fazera ogłuszyła napastnika, a dym zniknął. Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie w nagłej ciszy.

– Musimy stąd wiać – stwierdził Dane.

– Zaczekaj. Przecież widziałeś, co się działo – zaprotestował Billy. – Myślał, że jesteśmy... – W tej samej chwili ktoś zastukał do drzwi.

– Panie profesorze?

– Oknem – zakomenderował Billy.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i kustosz stracił równowagę. Na progu stała sekretarka profesora, wokół jej uniesionych rąk materializowały się cienie. Billy strzelił, ale chybił, a kobieta ze zwierzęcą zręcznością wskoczyła do pokoju. Napiął mięśnie brzucha i czas na chwilę dla niej zwolnił. Wtedy wystrzelił znów, a ona zatoczyła się trafiona.

Dane rozbił szybę i złapał Billy’ego za ramię. Rzucił krótkie zaklęcie, a potem wyciągnął ich za okno. Jego drobny, słaby sznyt o sekundę spowolnił upadek – wylądowali z impetem, który odebrał im dech w piersi, ale nie połamał kości. Po bokach trawnika stali gapie. Uciekinierzy zerwali się do biegu. Kilku odważniejszych i silniejszych mężczyzn bez przekonania próbowało zagrozić im drogę, ale na widok twarzy Dane’a i fazera Billy’ego ustępowali natychmiast.

Za ich plecami rozległ się krzyk. Cole stanął w oknie i splunął w ich kierunku. Doleciał ich mdlący smród palonych włosów. Biegli jednak wciąż naprzód, nie zatrzymując się ani na chwilę, póki nie znaleźli się z powrotem w mieście, odpowiednio daleko.

– Świetnie nam poszło – stwierdził Billy. Dane nie odpowiedział. – Widziałeś to zdjęcie?

– Masz je ze sobą?

– Dlaczego ten człowiek miałby sprowadzać koniec świata? – zastanawiał się Billy. – Nie jest nihilistą. Widziałeś, jak patrzył na tę fotografię?

– To mógł być przypadek. Efekt uboczny.

– Jezu, ależ boli – jęknął Billy. – Efekt uboczny czego? Spalenia krakena? Myślisz, że to on wysłał po nią Ala? Po co miałby to robić? Okej, w porządku, może rzeczywiście tak było. Ale sam słyszałeś, co powiedział. Ktoś porwał mu córkę. Myślał, że to my.

Siedząc w zrujnowanym, zabitym deskami budynku, przejrzeni papiery. Przebiegli wzrokiem po pracach z fizyki głównonurtowej – wciągnęły ich dopiero arkana.

– Spójrz na to – mruknął Billy, przeglądając *Abnaturalne spalenia*. Oczywiście nie rozumiał wszystkiego, ale streszczenia esejów, eksperymentów i zaklęć dawały pewne wyobrażenie o treści. – „Odwracalne popioły” – dodał. – Jezu. „Lodowaty pożar”. – Był to podręcznik na temat ogni alternatywnych.

– Co to są „odwracalne popioły”?

– Jeśli dobrze rozumiem, otrzymuje się je przez spalenie czegoś za pomocą „ognia pamięci”. Dopóki je podgrzewasz, będą popiołami, a gdy ostygną, stają się tym, czym wcześniej.

Były też niekończące się ognie, płonące bez pomocy paliwa – bardzo niebezpieczne. Antyognie, które płonęły coraz zimniejszym płomieniem, osiągając w końcu antytemperaturę, poniżej zera absolutnego.

Pomiędzy strony wcisnięto jakieś kartki, jakby miały służyć za zakładki. Billy zaczął je przeglądać.

– „Zachowuj się rozsądnie, a nie zrobię jej krzywdy” – przeczytał. – „Przygotuj trzy ładunki – zaczekaj – katachronoflogistonu. Odbiór: do ustalenia”. – Popatrzyli na siebie z Dane’em. – To wygląda jak list z żądaniem okupu. Robił na niej notatki. Pod tekstem widniały bazgroły wykonane ołówkiem i długopisem.

– Taka podkładka na pewno zapewnia motywację.

– Wiesz, co jest w tym zdjęciu najdziwniejsze? – spytał Billy. – Zobacz. – Wyciągnął fotografię z torby. – Patrz. Przyjrzyj się. Dziewczynka stoi pośrodku, a Cole z boku. – Oboje byli uśmiechnięci.

– No i co? Zrobili sobie ognisko.

– Nie, nie o to chodzi. Popatrz uważnie. – Córka profesora stała bardzo blisko ognia, który rzucał na nią dziwny blask. – On po jednej stronie, a ogień po drugiej. – Billy potrząsnął zdjęciem. – To nie jest pamiątka z pikniku. To zdjęcie rodzinne.

Obaj wpatrzyli się w fotografię zmrużonymi oczami. Dane przytaknął wolno.

– Ludzie mówią, że dziny szaleją. Może ma to coś z tym wspólnego. Mieszane małżeństwo.

– A teraz ktoś porwał ich córkę. Cole myślał, że to my.

– On tylko wykonuje rozkazy. Nawet jeśli przyłożył się do tego spalania, to nie wymyślił tego sam.

– Jego córka. Próbował znaleźć porywacza...

– I teraz myśli, że to my.

Czy to oznaczało, że mieli na głowie kolejnego prześladowcę? Cóż – i tak już od dawna nie zaznali chwili spokoju. Dlatego bardzo się pilnowali, by nie zbliżyć się do okrężnego szlaku krakena. Niezależnie od tego, jak skutecznie maskowali się londynmanci, skryci przed

wzrokiem w żywej materii miasta – sami wszak stanowili jego funkcje – Billy i Dane stali się celem największego polowania w historii i nie mogli bez potrzeby narażać zakonserwowanego boga. Dane modlił się prawie bez przerwy – cicho, ale otwarcie, zupełnie niezrażony. Widać było, że bardzo pragnie się znaleźć w obecności swego bóstwa, ale nie zamierza narażać go bardziej, niż już był narażony – w końcu nadchodził koniec świata.

Nieuchronne nadejście najgorszego możliwego horyzontu wydarzeń wcale nie oznaczało, że mogli zapomnieć o bardziej przyziemnych łowcach i sznyterach na żoździe Tatuaza. Ten prosty i oczywisty fakt uświadomili sobie tej nocy, w chwili gdy po przejrzaniu papierów Cole'a zaczęli porównywać swoje teorie dotyczące porwania. Szli właśnie do jakiejś kafejki, gdzie mogliby skorzystać z Internetu, gdy nagle w pobliżu wybuchł zgiełk.

– Co jest?

– To... – Szum pomiędzy cegłami. Brzmiał niczym atak roju łowców, jakby jakaś agresywna istota o świadomości zbiorowej zjawiała się, by wyrzucić na nich zemstę z pomocą stada swych złośliwych pszczołopodobnych pobratymców. Billy i Dane przygotowali się do odparcia napaści. Sprawdzili broń, oparli plecami o mur, gotowi walczyć lub uciekać, a tymczasem zawroźdzenie zbliżało się zza rogu, rozbrzmiewając coraz wyraźniej w szumie samochodów i ciężarówek.

– Wyjdźmy na główną ulicę – zaproponował Billy. – Myślisz, że tam nas dopadną?

– A może w dół? – Dane wskazał na studzienkę.

Billy rozważył obie możliwości, ale potem znów się zawahał, ponieważ usłyszał kolejny odgłos. Postukiwanie szkła i kości, zgrzyt słoja przesuwanego po chodniku.

– Jezu – szepnął Billy. – Idzie tutaj. Wrócił. – W głowie rozbrzmiało mu szybkie ostrzeżenie, fala wyraźnego bólu. – Znów mnie znalazł.

Wtedy ich oczom ukazała się brzęcząca pszczoła masa. Ukształtowana niczym chitynowy mur zagradzała wyjście, ale przez owady widać było jakąś postać, posuwającą się naprzód chwiejnym krokiem. W roju pszczełich najemników powstał wir, a potem nagle powietrze zostało wessane ze świstem, gdy pękło wieko słoja. Brzęczenie zamilkło. Obłok insektów zniknął, jak na filmie przesuwany w tył, jak para wessana z powrotem do czajnika i nagle przed Billym i Dane'em nie było już nic prócz anioła pamięci.

Znów uratował Billy'ego i przyszedł do niego po pochwałę. Źródło jego szklano-czasowych mocy i on, jego fałszywy prorok z próbówki. Czy istota wyczuwała jego żal, poczucie winy, że nie okazał się jej wybranym? Ciało anioła znów składało się z butli napelnionej formaliną, w której pływały teraz setki małych punkcików, znikające ciałka napastników. Ręce anioła znów składały się z kości, a na wieku spoczywała czaszka.

Był teraz jednak znacznie mniejszy. Podczas wyczerpujących wędrówek śladem Billy'ego został zniszczony prawdopodobnie więcej niż raz. Rozsypywał się i znów odbudowywał. Tym razem wykorzystał jakiś słój, dwukrotnie mniejszy od Billy'ego. Czaszka na wieku należała do orangutana lub dziecka.

Szczękał zębami w mroku, jakby przywołując Billy'ego. Mężczyzna uniósł rękę na powitanie. Istota była straszliwie wyczerpana – Billy poczuł echo tego uczucia – i zadrżał. Szklano-kościanna rzeźba zastygła sztywno i zupełnie nieruchomo; bezcielesne ramiona odpadły, zamieniając się w zwykłe śmieci, czaszka przechyliła się i spadła z przekrzywionego wieka, po czym roztrzaskała się na chodniku. Tylko zuchwa została, zaczepiona o szklaną wypustkę na wieku. W mętym płynie kołysały się martwe pszczoły.

Może strażnik pamięci, skryty w swym gnieździe w podziemiach muzeum, kleił się już z powrotem, z jeszcze mniejszej butelki, z jeszcze mniejszą czaszką na szczycie, i już niedługo miał znów wyruszyć na szlak, śladem mocy, którą ofiarował Billy'emu, śladem swej własnej cząstki. Znaleźć albo rozpaść się po drodze i próbować od początku.

Dane i Billy znaleźli kolejną kryjówkę. Ucieszyli się, gdy spadł deszcz – zmywał zapach spalenizny, który nie opuszczał ich od spotkania z Cole'em. Billy czuł go nawet przez sen. Wyczuwał go w wodzie, która otaczała go w snach. Najpierw ciepła, potem chłodniejsza, gdy zapadał mrok, potem znów ciepła. Poprzez ciemność widział senny blask pływających świateł. Tonął w mieście, w zatopionym Londynie. Ulice były jasne, wciąż oświetlone latarniami, a każdą z nich otaczał wianuszek ryb. Kraby wielkości pojazdów z łatwością odpychały na bok wraki, spacerując po ulicach zmienionych w ziejące koleiny.

Z wieżowców powiewały flagi wodorostów. Budynki porastał koral. Billy tonął. Wszędzie widział ludzi – zanurzonych przechodniów, idących powoli, leniwie, oglądając wystawy zatopionych, dawno nieczynnych sklepów. Spacerujące postacie w kombinezonach podwodnych, pełnych pokręteł z brązu. Ze szczytu każdego hełmu wystawały przewody do oddychania i znikwały w mroku.

„Żadnych głowonogów”, pomyślał Billy. „To czyjś inny sen o apokalipsie”.

Ale w tej samej chwili nadeszło wtrącenie jego własnego myślenia o tym, po co tu był. Z centrum zatopionego Londynu nadeszła fala gorąca i woda zaczęła wrzeć. Ściany, cegły, okna i oślizgłe, gnijące drzewa zapłonęły. Ryby rozpięchły się, opuszczając zatopione przedmieścia, rdzewiejące samochody i olbrzymie kraby padły na boki, przewrócone przez nadciągającą siłę. A ona nadeszła, runęła w dół niczym przewrócony autobus długości całej ulicy, tej podwodnej Edgware Road. Zbiornik krakena.

Roztrzaskał się na ulicy. Martwy *Architeuthis* wypadł na ziemię, falując mackami, jego ciężki gumowaty płaszcz poruszał się wraz z prądem, nie jak drapieżny głowonóg, lecz jak dryfujący martwy bóg. Kraken i odłamki szkła zazgrzytały, pękły i znikły, gdy zalała je wrząca woda, a podążający za nią podwodny ogień wypalił wszystko na swej drodze.

Kolejny proroczy sen? Naprawdę? Billy obudził się, słysząc głos Watiego. Był spocony po kąpieli w gorącym oceanie. Wciąż otaczał go zapach spalenizny. Wati wrócił, mówił coś do niego z kapitana Kirka. Billy sięgnął po okulary.

– Tu jesteś – stwierdziła plastikowym głosem figurka. – Coś się dzieje.

– Nie, naprawdę? – spytał Dane zgryźliwie, – Wczoraj nasz najlepszy trop mało nie spalił nas żywcem i nadal nie wiemy, co jest grane.

– Może teraz się dowiemy – odparł Wati. – Może to już to. Nadchodzi apokalipsa.

– Wiemy – odparł Billy. – Przecież po to tu jesteśmy.

– Nie, nie – poprawił się Wati. – Nie o to mi chodziło. Teraz są już dwie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Mag, który sprzedał jej talizman ochronny, był na swój opryskliwy sposób zbyt życzliwy, by powiedzieć jej, dokąd iść, nawet gdyby to wiedział. Teraz jednak, mając do dyspozycji swą sieć linków i kontaktów, Marge z łatwością dowiedziała się, kiedy, a nawet gdzie mają się odbyć te konkurencyjne symultaniczne apokalipsy. Internetowe dyskusje pełne były sugestii, jak należy spędzić ten wieczór.

*z butlką whisky i głową pod kołdrą
to musi być ta kałamarnica to już ot
dozoba w P*

– Jezu, naprawdę? – przeczytała Marge z niedowierzaniem.

muszę być cały świat będzie

Marge zdecydowanie nie było obojętne, czy zginie, czy przeżyje – wręcz przeciwnie, bardzo ją to obchodziło. Jednak wyglądało na to, że nie jest w stanie postępować ostrożnie – kto mógł to przewidzieć? Na sekretarce znalazła kolejne wiadomości od przyjaciół. Tym razem miała wrażenie, że nie odpowiadając na ich zaproszenie, robi to dla ich dobra.

„Leonie – pomyślała – dzisiaj zejdziemy w głąb”. Teraz miała własnego elektronicznego strażnika. Musiała się dowiedzieć, co jest grane. Jeśli każdy, kto był kimś w tym heretyckim mieście, miał się dzisiaj zjawić, to prawdopodobnie mogła się tam mnóstwo dowiedzieć. A jeśli rzeczywiście – jak głosiły pogłoski – to kałamarnica była tym zwierzęcym bogiem, który spowodował całe zamieszanie, to być może natknie się tam na Billy’ego.

Ktoś się pisze? – spytała. – Może pójdziemy większą ekipę?

*no nie wiem
nie
nie*

no co ty zwariowała?

„Chrzanić ich” – pomyślała. „To i tak bez znaczenia”. Może znajdzie tam Billy’ego. Wiedziała już, że Leona nie znajdzie.

Załadowała playlisty na iPod. Wrzucała utwory niemal losowo, tworząc jedną wielką składankę zajmującą całą dostępną pamięć. Teraz, ilekroć wychodziła z domu, miała wrażenie, że cały świat na nią spogląda, i nieustannie czuła się zagrożona. Wyszła, gdy zapadał zmrok, po czym włożyła słuchawki. Wybrała losowe odtwarzanie.

Latarnie rzucały blask poprzez gałęzie, tworząc drewniane aureole. Minęła wesoły rząd kebabów, sklepów spożywczych i aptek. W uszach zabrzmiał jej jakiś dźwięk, fałszujący, radosny głosik śpiewający: „Daj, dawaj, daj, dobrze, dobrze tak, dawaj, tak”, podczas gdy w tle rozlegał się dźwięk włączania i wyłączania odtwarzacza płyt, a także uderzenia o coś kijem.

Marge była zaskoczona, ale w tej samej chwili poczuła się bezpieczna, owinięta tym fałszującym głosem. Ekran iPod twierdził, że słucha właśnie piosenki *Push It* Salt’N’Peppa. Przeskoczyła do *Rehab* Amy Winehouse, ale w słuchawkach nie rozległa się znajoma aranżacja i ten majestatyczny, jedyny w swojej epoce chrapliwy głos, lecz cichy kaszel i ten sam cienki, zręczliwy, aseksualny głos z wysiłkiem wyrzucający z siebie słowa piosenki: „Chcą posłać mnie na odwyk, a ja im: nie, nie, nie, nie, nie”. W tle rozbrzmiewało brzdąkanie jednej i tej samej struny.

Wykonawca nie był już tak radosny, a kokon ochronny wokół Marge ochłódł gwałtownie, jakby do środka dostał się przeciąg. Przeskoczyła do *Gold Digger* Kanye’a Westa: „Daj mi kasę, daj mi kasę, kasę”. Mały śpiewak znów był zadowolony, a Marge – bezpieczniejsza.

Podobało mu się Run-DMC. Marge cierpliwie wysłuchiwała jego amatorskich wykonania klasyki hip-hopu. Podobało mu się parę kawałków *Specials* – „To miejsce, aaach, ach. To miasto duchów” – z klaskaniem w różnym tempie. Nie podobał mu się Morrissey. Ku przerażeniu Marge, zareagował entuzjastycznie na *Building a Mystery* – zabłąkaną piosenkę Sarah McLachlan. Marge nie pamiętała, skąd ją w ogóle ma.

– Jezu – powiedziała do swojego iPod. – Jeśli okaże się, że lubisz folk-pop, to chyba wolę Gossa i Subby’ego.

Głos trochę się dąsał, gdy zmieniła ścieżkę w połowie utworu, ale udobruchała go, puszczając zapętloną w kółko *Hippychick* Soho, z początkowym samplem gitarowym, które głos naśladował trylującym „badadadada”. Piosenka rozbrzmiewała jej w głowie, odkąd usłyszała ją w ukrytym pubie. Zresztą istniały przecież gorsze dźwięki.

Potem wkroczyła w najbardziej nieprzyjazne osiedle, jakie знаła w okolicy. Przez kilka minut stała w cieniu pomiędzy wysokimi blokami, słuchając swego opiekuńczego towarzysza i zastanawiając się, co zrobi, gdy coś się stanie. Nikt jej jednak nie zaczepił. Raz tylko dwóch chłopców minęło ją na rowerach, krzycząc coś obraźliwego, jakąś niesprecyzowaną zaczepkę.

Potem odjechali pędem, rechocząc z własnego dowcipu, ale to było wszystko. Marge poczuła się głupio, niemal zawstydzona swoim brawurowym planem.

„Trzeba poczekać, aż wyjdzie w praniu”, pomyślała. Gdy wracała do siebie, duszek w iPodzie szczebiotał „Walczyć, walczyć, walcz z władzą co sił”, wykonując swój własny cover piosenki Public Enemy.

Kolejnej nocy poszła – sama, nie było innej opcji – w stronę nieforemnej helisy ulic, która, jak udało jej się bez trudu ustalić, miała stanowić epicentrum nadchodzących wydarzeń. Zjawiała się tam wcześniej i czekała.

– Posłuchajcie, jeden z tych bogów to jakieś zwierzę – wyjaśnił Wati. To ich zainteresowało. – Z jednej strony to, z drugiej wszystkie te plotki o dżinach i ogniach, i tak się zastanawiam, że może to jednak to.

– Tajemny kościół zwierzęcy? – upewnił się Billy. – Co o tym myślisz?

– To nie moi ludzie – odparł wolno krakenita. – Znam pismo.

– Cóż, to nie byłby pierwszy rozłam w historii, prawda? – zauważył Wati. – Jakaś nowa interpretacja?

– Czy to możliwe, że istnieje jakiś inny kościół kałamarnicy? – Billy zawahał się chwilę, ale Dane nie wyglądał na urażonego. – Jakaś inna apokalipsa krakena?

– Ukryta komórka? – zastanawiał się Dane. – W naszej kongregacji? Dogadali się z dżinami za plecami wszystkich? Ale przecież nie mają krakena. Wiemy, że...

– Nie mają go teraz – stwierdził Wati. – Nie wiemy, jakie plany mieli wcześniej. Albo nawet teraz. Na pewno ma to coś wspólnego z kałamarnicą i paleniem.

– A co, jeśli to rzeczywiście koniec? – spytał Dane, wpatrując się pustkę. – Co zrobimy?

– Chryste Panie – westchnął Billy. – Pójdziemy tam i staniemy im na drodze. Przecież nie spędzimy końca świata, siedząc na tyłkach. A jeśli okaże się, że to fałszywy alarm, to będziemy szukać dalej.

Dane nie spojrzał mu w oczy.

– Nie mam nic przeciwko końcowi świata – powiedział cicho.

– Ale nie tak – odpowiedział Billy po dłuższym milczeniu. – Nie w ten sposób. To nie twoje.

– Przekazałem wiadomość londyńczykom – dodał Wati. – Będą trzymać krakena jak najdalej od tego miejsca.

Jeśli to wydarzenie rzeczywiście było... jeśli zamierzało być końcem – na tyle, na ile wydarzenia mogą coś zamierzać – to kraken powinien się znaleźć jak najdalej od niego, by przypadkiem nie spłonąć. Ponieważ właśnie to mogło wysłać jego śladem cały wszechświat.

– Dobrze – odparł Billy. – Nie wiemy, do czego zdolni są ci ludzie.

– To już dzisiaj? – spytał nagle Dane. – Skąd to się w ogóle wzięło? Plotki powinny się roznieść już dawno temu. Wygląda poważnie, a takie rzeczy nie biorą się znikąd. Powinny

być różne tekel-fares i takie tam gówna. Teraz wszyscy się zleca, żeby zobaczyć, co jest grane. Kościół pewnie przyśle delegację.

– Myślę, że wszyscy przyjdą.

– Koniunkcja – mruknął Dane. – Dawno jej nie było.

Od czasu do czasu zdarzało się, że dwie apokalipsy zderzały się ze sobą, ale niepisany zwyczaj zakładał, że wszyscy powinni wiedzieli o tym wcześniej. W przeciwnej sytuacji strażnicy ciągłości – zadeklarowani zbawcy, specjalnie opłacana policja i zaprzysięgli wrogowie frakcji ogłaszających koniec – nie tylko kończyli oba końce, ale także wkraczali pomiędzy rywalizujących kapłanów, z których każdy przysięgał wykorzenić wulgarną konkurencyjną demolkę, potencjalnie zagradzającą drogę ich własnej szlachetnej destrukcji.

Dane i Billy traktowali płoty jak każdy inny rodzaj otwartej drogi, ściany jako schody, a dachy jako nierówne podłogi. Billy zastanawiał się, czy jego anioł pamięci też zjawi się na miejscu, a jeśli tak, to jak zdoła pokonać tę trasę.

W pobliżu podświetlonych ulic jak w okopach rozstawiła się policja. Im bardziej zbliżali się do miejsca, gdzie według plotek miało się odbyć całe zdarzenie – lub zdarzenia – tym częściej Billy dostrzegał innych gości z tajemnego Londynu, jego... jak mógł ich nazwać „niemieszkańców”? Pogłoski o położeniu tego miejsca geometrycznego rozniosły się pośród wtajemniczonych błyskawicznie, przekazywane za pomocą szeptów, SMS-ów i ulotek, tak jakby końce świata stanowiły nielegalne imprezy.

Plac wciśnięty pomiędzy betonowe wstęgi estakad. Świat miał się skończyć na przemysłowym pustkowiu. Usypisko odpadów. Warsztaty wypisujące we rdzy epitafia dla starych samochodów; magazyny, w ciągu dnia pełne zmęczonych nastolatków, markety i samoobsługowe składy krzyczące jaskrawymi kolorami i kreskówkową czcionką pośród śmieci. Londyn stanowił efekt nieustannej walki pomiędzy pustką a kątami prostymi. Tutaj wszędzie wokół ciągnęła się arena porośnięta niskimi chaszczami, od góry osłonięta drogami zawieszonymi w powietrzu.

– Nie możemy rzucać się w oczy – szepnął Dane.

– Rozejrzyjmy się i zobaczmy, kto to taki – mruknął Wati, który na zmianę wskakiwał i wyskakiwał im z kieszeni.

Na dachach siedzieli wróżowie. Billy widział ich sylwetki rysujące się na tle kominów. Dostrzegał zmətniałe powietrze w miejscach, gdzie niektórzy z nich próbowali zamaskować swoją obecność. Stali z Dane'em na drabinkach pod pomostami. Przejeżdżające dołem samochody i ciężarówki oświetlały otaczające pustkowie.

– Bądź gotów – mruknął Dane.

– Słuchaj, Collingswood, nie każę ci literować przez alfa, lima, fokstrot, ale jeśli pytam, czy mnie słyszysz, to oczekuję odpowiedzi, do diabła! Słyszę, jak oddychasz.

Kobieta pokręciła dłonią, wykonując pogardliwy gest „ple, ple” w kierunku towarzyszącego jej nieszczęśliwego policjanta.

– Jasne, Baronie – odparła. Założyła słuchawkę bezprzewodową. Żadnych odbiorników w klapie. Tego wieczoru, podobnie jak pozostali funkcjonariusze FPTS, przybyła w cywilu. Siedziała rozłożona swobodnie w starym, poobijanym samochodzie zaparkowanym nieopodal miejsca zbiórki. – Tak, słyszę, masyw metropolitalny daje radę. A co u ciebie?

– Widzimy paru spodziewanych gości – odparł z trzaskiem Baron. – Ani śladu naszych zaginionych chłopców. Też nie masz kontaktu z Vardym?

Collingswood wzdrygnęła się, jakby jego błagalny głos przywodził na myśl brzęczenie komara.

– Nieee. Powiedział, że musi zajrzeć do profesora. Powiedziałam, że przecież ma jednego pod ręką, ale to mu najwyraźniej nie wystarcza. – Rozejrzała się po otaczającym ją krajobrazie klasycznego zadupia, głowa pulsowała jej dziwnym rytmem jak zepsuty radioodbiornik, a ilekroć mijali ją przechodnie, natychmiast zyskiwała mocne, graniczące z pewnością wrażenie, czy wiedzą o tym, co będzie się tu później działo. Widzowie żądni krwi. Ptasiarze, zamiast ptaków podglądający apokalipsy. Jej towarzysz patrzył na nią zdziwiony, a ona zaśmiała się i szturchnęła go, zupełnie jakby powiedziała to głośno.

– Gdzie ten palant? W końcu to jego pomysł – skarżył się ciągle Baron.

Collingswood musiała przyznać, że organizacja całej imprezy nawet jej się podobała. W większości to Vardy decydował, do kogo się zwrócić, kiedy i w jaki sposób, jakie plotki rozpuścić na jakich forach, jakie implikacje pozostawić niedopowiedziane. Pozwoliła mu na to bez protestu. Lubiła kombinować, ale wołała, by ogólną strategię układał kto inny.

Jej własne śledztwo, zwykle prowadzone w miejscach mniej apokaliptycznych niż te, w których Vardy oddawał się rozmyśleniom, bliższe zwykłej, codziennej granicy pomiędzy religią a morderstwem, postępowało wolno. Próbowwała wytropić broniowników. Nieważne, jak surową mieli regułę – ostatecznie przecież płacono im za zabijanie ludzi, a zatem musieli – choćby w najbardziej abstrakcyjnej i magicznej formie – wystawiać za to jakieś faktury. A w miejscu, gdzie odbywały się takie rzeczy, zawsze zostawał ślad, którego resztki, jakkolwiek powoli, w końcu docierały do jej uszu.

Collingswood jedynie bardzo pobieżnie śledziła to, kogo Vardy próbował zmanipulować, ponieważ specjalnie jej to nie obchodziło. Czasami myślała, że to nierozsądne, że powinna się nauczyć tej gry, ale zawsze z radością pozwalała sobie na podzlecenie planowania różnym machiavellim tego miasta. Najbardziej lubiła robić to, w czym była po prostu dobra. A plotki dotyczące tajemniczych apokalips, które organizowali wspólnie z Vardym, okazały się dostatecznie przekonujące. Pomyślała, że może uda jej się kogoś dzisiaj aresztować.

Nie odpowiedziała Baronowi. Słyszała, że połączenie wciąż jest otwarte, jakby wierzył, że jednak się odezwie.

Marge trącała palcem krucyfiks, ignorując nucenie dobiegające z iPoda, przypominające śpiew bardzo małego dziecka. Co jakiś czas mijali ją jacyś ludzie albo ona posuwała się naprzód i mijala przechodniów idących szybkim krokiem, mówiących coś do słuchawek i nie zwracających uwagi na zarośnięty, zaniedbany plac, gdzie wszystko miało się zakończyć. Marge obserwowała otoczenie, stojąc... powiedziałaaby „całkiem sama”, gdy nagle za jej plecami zjawiała się jakaś kobieta – wynurzyła się zza latarni, zbyt wąskiej, by ją ukryć. „Hej”, powiedziały jej usta, ale Marge nic nie słyszała. Jej rozmówczyni była w średnim wieku, ubrana w stylowy, czarny płaszcz. Miała ostre rysy twarzy, włosy długie i ufryzowane, okrywała ją jakaś aura niesamowitości. „Też przyszłaś popatrzeć”, dodała i nagle znalazła się znacznie bliżej, niż mogłaby dotrzeć w tych kilku krokach.

Marge nerwowo podkręciła muzykę. Fałszywy śpiew ogarnął ją całą. „Zaczekaj”, zawołała kobieta, ale iPod właśnie zaczął wykrzykiwać *Eye of the Tiger* i zabrał Marge ze sobą – londyński ruch w przyspieszonym tempie. Marge nie miała pojęcia, jak to się stało, ale za chwilę była już w innym miejscu, a kobieta zniknęła. Poglądziła iPoda z wdzięcznością. Rozejrzała się i znów zajęła pozycję.

Czy to takie dziwne, że dwie religie mogą dzielić ze sobą nie tylko swój ostatni dzień, ale też miejsce końca? Co jakiś czas wypływały nowe propozycje, konkurencyjne deklaracje, „dokładniejsze analizy” przepowiedni. Oba wydarzenia coraz bardziej zbliżały się do siebie, aż w końcu stanęły twarzą w twarz.

Oprócz nich zjawili się przedstawiciele wielu innych odłamów. Kolekcjonerzy kultów obstawiali zakłady, wędrowni magowie zjawili się tłumnie, by pozbierać luźne strzępki mocy i energii – wielu z nich towarzyszyły chowańce – zwyciężone i przybite, ponieważ strajk dogorywał.

– O, nie – wykrzyknął Wati z kieszeni Billy’ego, widząc swych zrozpaczonych związkowców. – Muszę... muszę zrobić parę rundek.

Był to przygnębiający widok. Wati skakał z posągu do posągu, szepcząc, pocieszając, prosząc i szantażując, błagając swych kolegów, by odeszli. Podmuchy eteru wpychały go w niewłaściwe ciała. Szybko okrążył arenę. Oczami porzuconego robota-nasadki na ołówek zobaczył, jak młoda kobieta używa eskapistycznego sznytu, by uciec przed kolekcjonerką. Było w niej coś intrygującego – miał ochotę podejść bliżej albo wskoczyć w figurkę, którą miała na szyi, ale nagle coś się stało.

– Kurważ mać – zakląła Collingswood. Jakaś kobieta krążyła po okolicy. Posterunkowa wykonała krótki gest, jakby rozsuwała zasłonki. Korytarz nocy pomiędzy nią a nadchodzącą kobietą stał się nagle jaśniejszy i wtedy zobaczyła ją wyraźniej. Collingswood spojrzała uważnie, westchnęła, po czym rozluźniła palce, a wtedy ciemność powróciła.

Siedzący obok mężczyzna wytrzeszczył oczy. Nie zwróciła na niego uwagi.

– Szefie – powiedziała, jakby zwracając się do powietrza. – Nie, ani śladu, ale chyba wiem, kogo przed chwilą widziałam. Pamiętasz kochanicę Leona? Pokazała się... A skąd mam, kurwa, wiedzieć? No to będzie jej wina, nie? – Ale jeszcze nim skończyła ostatnie zdanie, westchnęła w duchu. Otulając się cywilną kurtką, otworzyła drzwi. Potem skinęła na swego tymczasowego partnera. – Zostań – oznajmiła. – O, tak, dobry piesek. – Potem odeszła, stawiając kołnierz kurtki na sztorc, a młody policjant słyszał jeszcze, jak mamrocze pod nosem, zbliżając się do zdenerwowanej kobiety.

Wati też pewnie podszedłby bliżej, gdyby nagle ktoś inny nie przykuł jego uwagi. Krocząc śmiało poprzez zarośnięty plac, niosąc sprzęt i rozglądając się wojowniczo wokół, przez tłum przedarła się grupa ogolonych na łyso mężczyzn w żółtych kombinezonach.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Marge nie słyszała, co mówi do niej ta nowa postać – świergoczący fałszywy śpiew zagłuszał wszystko. Zobaczyła, że młoda kobieta wykrzykuje coś gorączkowo, zmierzając w jej stronę z tak władczą pewnością siebie, że serce Marge zabiło z przerażenia. Podkreśliła iPod. Przestrzeń prześlizgnęła się obok i zakołysała gwałtownie. Piskliwy głosik wykrzykiwał partie chórków w piosence Belindy Carlisle, a cegły wokół Marge miały ją niczym fala przyływu. Unosiła się jak tratwa na spienionej wodzie, śmiejąc się z samej siebie i swojej gwałtownej reakcji. „I ty chciałaś zobaczyć coś naprawdę złego?”. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest spięta i w jaką nerwicę wpędza ją to obiecane zakończenie.

Dopiero gdy się w końcu zatrzymała – było to niezbyt dobre określenie, biorąc pod uwagę, że nawet nie drgnęła, zmieniły się tylko ściany i chodnik, a stopa, którą uniosła w innym miejscu, jeszcze nie dotknęła ziemi – w końcu przypomniała sobie, kim była ta kobieta. Ta niesympatyczna młoda posterunkowa...

...która w tej samej chwili wykrzykiwała przekleństwa, widząc, jak resztki obecności Marge rozplywają się w powietrzu niczym stopione masło. Potem ktoś jej przerwał, odwróciła się więc, by popatrzeć na fałszywą apokalipsę, którą sama pomogła sprowadzić.

– Co to ma być? – spytał Billy. Przybysze nosili wojskowe buty i poruszali się jak żołnierze. Ulice nieopodal placu były na wpół zablokowane przez rusztowania – przypadkowi kierowcy mogli wziąć to za nocny remont drogi.

– Buddyści jeżusowi – odparł Dane. – Nieprzyjemne typy.

Suprematyści dharmy, czciciele Chrystusa Siddarthy, stanowiącego połączenie Jezusa i Buddy w jednego zbawiciela, kładący nacisk na brutalny identytarianizm, wojujący synkretyzm. Billy słyszał odległy rytm, jakby echo śpiewu.

– Co oni mówią?

– „Tylko półtora” – wyjaśnił Dane. – Tylko półtora. Tylko półtora. Tylu ludzi zamierzają zabić. Niezależnie od tego, ilu rzeczywiście zabiją.

– Jak to?

Cytowali z *Mahawamsy* słynną odpowiedź króla Dutthagamani, który wymordował tysiące niewiernych: „Zginęło tu tylko półtora człowieka. Resztę stanowili niewierni i ludzie niegodziwi, niewarci tego, by uważać ich za coś więcej niż zwierzęta”. Po każdej masakrze buddyści jezusowi zawsze potrafili się doliczyć tylko półtora zmarłego.

– Przygotuj się. – Dane nadstawił pistolet. – Nie wiemy, co tu się jeszcze zjawi.

Czy ktoś miał powstrzymać siddarthian? Na razie wyglądało na to, że ich apokalipsa wygra walkowerem, ale co potem? Widzowie przyszli tu zobaczyć walkę bogów. W powietrzu krążyły jakieś stwory, zbyt wielkie na ptaki i zbyt zwierzęce, by były z plastiku. Apokalipsy zawsze miały swoich padlinożerców, pojawiających się jak robaki w gnijącym ciele.

– Och – szepnął Dane. – Spójrz tam. – W cieniu wielkiej pozbawionej okien ściany stała grupa ludzi w kaskach motocyklowych. Otaczali kogoś ciasnym kordonem. Billy poczuł przypływ adrenaliny. Tatuaz. – Przyszedł tu, tak samo jak my – szepnął Dane. – Popatrzeć.

W zaułku położonym naprzeciwko pola walki stał punk w podziurawionej skórzanej kurtce. Dwóch pięściarzy w kaskach trzymało go za ramiona. Mężczyzna patrzył w drugą stronę, w głąb ciemnej uliczki, podczas gdy Tatuaz obserwował widowisko.

– Jezu – wyrwało się Billy’emu. – A gdzie Goss i Subby?

– Jeśli gdzieś tu są... – zaczął Dane, po czym urwał. Siddarthianie ustawiali prowizoryczny ołtarz. – Wati, jesteś tu? – Ale przedstawiciel związku znów wyruszył w tłum. – Jeśli ten „zwierzęcy kościół” nie zjawi się za chwilę, to znikamy. – Za nocnymi chmurami pojawił się jakiś błysk, podświetlając kontury obłoków. Powietrze zdawało się ciężkie, a samochody zawyły. Ołtarz zalsnił nieprzyjemnie. – Zaraz się zacnie – stwierdził.

Chmura poruszała się szybko. Nabierała kształtów. Ogromne fragmenty, wielkości kościołów podświetlały się po kolei, pozostawiając na niebie – nie było żadnych wątpliwości – ludzki kształt, sylwetkę prymitywną niczym korzeń mandragory, wielka ukrzyżowana figura wysoko ponad miastem.

Billy wstrzymał oddech.

– Jeśli to jest apokalipsa – stwierdził w końcu. – To nie ma nic wspólnego z ogniem. Co robimy?

– To nie nasza sprawa – stwierdził Dane. – Na pewno znajdą się chętni, żeby to rozpirzyć. To jakiś niedorobiony armagedon. Nie ma się czym przejmować. – A potem ziemia pokrywająca martwy plac, brzydkie przykurzone zarośla i śmieci uniosły się w górę. Mężczyźni i kobiety zrzucili swój kamuflaż i ruszyli naprzód. – Byli tu od początku – mruknął. – Nieźle rozegrane. Ciekawe, kto to jest?

Ludzie, którzy wypełzli z ziemi, ubrani byli w skóry, na piersiach mieli bandolier. Otoczyli buddystów jezusowych. Człowiek-chmura górował nad nimi posepnie.

– Ech, cholera – zaklął Dane i odwrócił się Billy’ego. – Strata czasu – dodał beznamiętnie. – To tylko Miot. Nie ma nic wspólnego z krakenem. Inne zwierzę.

– Co? Poważnie?

– Nie mamy tu nic do roboty.

– No cóż... wiedzieliśmy, że to strzał w ciemno.

Miot, z siedzibą w Neasden, poświęcony był kultowi wojowniczej tchórzofretki. Jego bezkompromisowa ontologia głosiła, że bóstwo to stanowiło wcielenie jednego z licznych bóstw hinduizmu, od którego Miot wzięł swój początek, choć z upływem czasu ewoluował do postaci religii monoteistycznej. Ich duchowe pokrewieństwo z religią południowych Indii i zamiłowanie do sztuk walki rodem z Kerali zapewniły jezuso-siddarthianom idealny cel dla ich religijnych uprzedzeń.

– Tamilowie! – wrzasnęli w stronę nadchodzącego Miotu, jakby było to najgorsze przekleństwo. Potem sięgnęli po pistolety.

– Pieprzyć to – szepnął Dane. – Fretki przeciw rasistom to z pewnością nie koniec świata.

Czy naprawdę można było poczuć rękę przeznaczenia, celując z glocka? Siddarthianie nie pozwolili, by rycerskość stanęła na przeszkodzie buddyjskiemu szałowi. Otworzyli ogień. Część Miotu padła, ale pozostali uniknęli kul i sięgnęli po swe metalowe pasy. Były tu miecze urumi, giętkie jak bicze, długie na metr i cienkie niczym wstążki. Atakowali skuleni niczym wojownicy walczący stylem kalaripajat, rozcinając szafranowo żółte szaty przeciwników, zostawiając poszarpane szramy i czerwone linie, tak szybko, że ofiary krzyczały z bólu dopiero po dłuższej chwili.

Jakaś szybka łasicowata istota zwijała się i rozwijała w kurzu pokrywającym pustkowie.

– Czerwone myśli, białe zęby! – skandowali członkowie Miotu. – Czerwone myśli, białe zęby! – Długo oczekiwana fretkowa eschatologia była bardzo niejasna, póki odpowiednio podszytowane sugestie ze strony FPTS nie pomogły dopracować ich małego ragnaroku.

– Jezu – mruknął Billy. Ulicą przejeżdżały samochody. Co widzieli ci ludzie? Walkę gangów? Grupę nastolatków? Nic? Policja już chyba była w drodze?

– Ruszamy stąd – powiedział Dane. Dwa apokaliptyczne bóstwa starły się pośrodku placu, podczas gdy ich wyznawcy oddali się morderczej kłótni. Dwie boskie funkcje zmagaly się ze sobą. Była to niecodzienna burza. – Spóźnili się – stwierdził, cofając się pomostem aż do drabinki.

– Kto?

– Ten, kto zamierzał temu zapobiec – wyjaśnił i cmoknął z dezaprobatą.

– Zaczekaj – burknął Billy. – Chcę zobaczyć, jak walczą te apokalipsy. – Ale Dane fuknął na niego, że mają natychmiast odejść, więc, niezadowolony, odwrócił się plecami do niebiańskiej bitwy i ruszył za nim. Na skraju placu pojawiły się inne postacie. – Kto to?

– Siły zbrojne jakiegoś wybrańca – odparł Dane, nawet nie odwracając głowy. – Najwyższy, kurwa, czas.

Billy wyobrażał sobie, że gdzieś w pobliżu uwijają się Baron, Collingswood i reszta jego niedoszłych kolegów, odwożąc rannych do tajemnych szpitali. Ten, kto ocali miasto, z pewnością zakończy te małe Götterdämungen.

– Słyszałeś coś? – spytał.

Kolejne podmuchy i te istoty przypominające plastiki? Tak, ale nie tylko one. Poniżej rozległo się zwierzęce wycie, skamlenie i szczekanie lisów.

– Wyczuły nas! – mruknął gorączkowo Dane. Z zaułka coś się zerwało. Wielki kompozytowy twór. Gołębie, szare ptaki o zdeformowanych nóżkach, nadciągały wielkim stadem, jakby przejrzały sznycowaną zasłonę Dane'a, pogruchując w panicznej agresji. Zbombardowały ich brudną, pierzastą, pełną pazurków chmarą.

– Tam – usłyszał Billy.

– Kurwa mać, to przez tę spaleniznę Cole'a. Szybko!

Coś zmierzało ku nim z dołu. Beton zadrżał i zaczął pękać. Śruby mocujące ich pomost zaczęły się odkręcać.

– Jezu! – wrzasnął Billy. – Chce nas zrzucić!

Spadli przy pierwszej drabinie, ledwie kontrolując upadek. Nadciągała czyjaś moc. Pobiegli po obrzeżu placu bitwy, mijając zaskoczonych magów i niedoświadczonych proroków. Ptaki wciąż ich ściagały, przybierając rozedrgany jaszczurzy kształt.

Zdecydowanie nie poszło zgodnie z planem. Collingswood zawsze wiedziała, że plan jest dość dalekosiężny, ale zgodziła się na niego w dobrej wierze. Nie wydawał się aż tak głupi – uznała, że gra jest warta świeczki, nie spodziewała się jednak, że ich małe apokalipsy wyrwą się spod kontroli, w dodatku wciąż miała ochotę tupać nogami na wspomnienie niewiarygodnie profesjonalnej ucieczki Marge. „Z czyich zdolności korzystasz, koleżanko?”.

Wrzasnęła na swojego partnera, by ruszył tyłek, wrzasnęła do mikrofonu, czekając na rozkazy Barona, ale – nie wiedziała, czy to kwestia kłopotów z transmisją, magii czy zwykłych nerwów – usłyszała tylko ciszę. Nie miała pojęcia, gdzie go znaleźć. Świadomość, że kilka innych patroli obserwuje tę scenę, nie przyniosła jej ulgi. A jeśli nawet, ona miała dość...

– Rusz, kurwa, dupę!

Towarzyszący jej policjant próbował usłuchać rozkazu. Nie był z C019 i nie miał przy sobie broni. Co miał właściwie robić, nosić za nią torebkę? W tej chwili tylko gapił się w niebo.

– Tatuaż wkra... nie wiem, co... cholera – powiedział urywanym głosem Baron, a raczej powtarzająca po nim istota żyjąca w częstotliwościach radiowych.

Collingswood miała już z nimi do czynienia wcześniej.

– Szefie, gdzie jesteś? – krzyknęła. Nigdy nie przyznałaby się do tego głośno, ale jednak zgadzała się z Baronem: byłaby znacznie szczęśliwsza, gdyby Vardy nie postanowił zniknąć, do tego w tę cholerną noc.

– ...aż tu jest... – powiedziała słuchawka. – Tatuż tu jest.

Dane zmierzał w głąb londyńskiego labiryntu. Wraz z Billym biegli jak po sznurku, prowadzeni przez gołębie, którym próbowali uciec. Na małym placu, otoczonym przez nieoświetlone domy, strzeżonym przez bezlistne drzewa czekali mężczyźni i kobiety w strojach pracowników służb miejskich – na ich widok jednocześnie wynurzyli się z cienia. Na plecach nieśli dmuchawy do liści, w rękach trzymali rury, z których celowali niczym z absurdalnych pistoletów. W stronę Billy’ego i Dane poleciała chmura wirujących liści.

– Co jest, do cholery? – krzyknął Billy. Liście uderzały go ze wszystkich stron. Ludzie z dmuchawami zbliżali się zwartym szykiem, a liściasta masa nabierała kształtu wielkiego wiru, niczym przynęta otoczona przez rekiny. Mężczyźni i kobiety z dmuchawami biegali wokół niczym doskonale zgrana trupa kukiełek. Liście wyrzeźbione podmuchem maszyn nabrały kształtu człowieka – trzymetrowa sylwetka wniesiona z resztek drzew.

– Bestiarze – odparł Dane. Strumień powietrza skierował się w górę i nagle głowa olbrzyma zmieniła się w głowę byka. Rogi uformowano ze zwiniętych liści. – Pryskamy stąd, już! – Bestiarze kazali postaci wyciągnąć rękę. Niemal zamknęła się na Danie, ale mężczyzna zdołał umknąć. Liściasty minotaur zamachnął się wirującą pięścią. W miejscu, gdzie uderzył, pękły płyty chodnikowe. Tym razem żaden mnemophylax nie przybył im na ratunek. Billy strzelił, ale wiązka fazera tylko strąciła parę liści. – Byrne – stwierdził Dane.

Wezyrka Grisamentuma spoglądała na nich z góry, przyczajona na ścianie niczym pajak. Jej twarz wykrzywiały wściekły grymas. Skoczyła w ich kierunku, przelatując poprzez minotaura, który szybko załatał powstałą dziurę.

Dane pobiegł z powrotem w stronę pomostów, gapie rozbiegali się na boki, widząc pędzącego za nimi olbrzyma z liści.

– Czeka! – zawołał nagle Billy. Rozejrzał się, po czym skręcił w boczną uliczkę.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnął za nim Dane, ale też tam pobiegł. Bestia z liści, Byrne i bestiarze rzucili się w pogoń.

W bocznym zaułku Billy znalazł wreszcie to, czego szukał. Na końcu uliczki, z obrzeży zaśmieconego placu nieodgadnionym wzrokiem spoglądał na nich mężczyzna z irokezem.

Tatuż, jego świat i strażnicy przytrzymujący nosiciela wciąż spoglądali w drugą stronę, patrząc na dogorywający spektakl. Mężczyzna otworzył usta i zagapił się na przybyszów, ale nie odezwał się ani słowem.

Potem pojawiła się chmura liści, a za nimi rozległ się krzyk wezyrki i nagle Billy i Dane znaleźli się dokładnie między Tatużem a Byrne, przedstawicielką Grisamentuma, jego największego wroga.

Tatuaż usłyszał zdumione westchnienie swego nosiciela i krzyknął za strażników, by go odwrócili. Obie grupy przez chwilę patrzyły na Billy'ego i Dane'a, a potem na siebie nawzajem. Billy zastanawiał się, czy to tylko złudzenie, czy w jednej z pobliskich – ale nie dość bliskich – uliczek słychać dźwięk syreny policyjnej. Czyżby funkcjonariusze byli już w drodze? Nieistotne. Bestiarze kazali liścianemu minotaurowi wstać i grzebnąć nogą po ziemi. Billy poczuł, jak pomiędzy Byrne a Tatuażem, niczym pędzące zwierzę, przelatuje niewypowiedziane pytanie – może jednak powinniśmy się zająć tą dwójką? – ale cały współczesny Londyn zawdzięczał swój obecny kształt ich wieloletniej animozji. Był to zbyt silny impuls, by go zwalczyć – przynajmniej Billy miał taką nadzieję. I rzeczywiście – po chwili wahania, wojownicy Tatuaża i bestiarze Byrne rzucili się na siebie.

Rdzawobrzędy olbrzym, prowadzony wprawnymi ruchami pasterzy, rozdzielił się na kilka mniejszych wersji bykoczołowika i niesiony podmuchami wiatru, rzucił się w wir walki. Pięściarze bezskutecznie cięli liście nożami, a one tymczasem chwyciły ich w swe szpony, które na czas walki stały się twarde jak skała. Dane rozwalił komuś kask strzałem z pistoletu. Mężczyzna upadł, a za strzaskanym szkłem ukazała się wielka zaciśnięta pięść. Dane uchylił się przed ciosem liścianej ręki i pociągnął za sobą Billy'ego. Skulili się za pobliską stertą śmieci.

– Patrz – powiedział Billy, wskazując przed siebie. Wytatuowany mężczyzna drżał, otulając się zbyt dużą kurtką. Na chwilę zostawiono go samego – strażnicy zwrócili się przeciw nacierającym liściom, całkiem pochłonięci walką. Billy i Dane porozumieli się wzrokiem.

To Billy podjął decyzję. Rzucił się naprzód, napinając mięśnie – tym razem czas się zatrzymał i szkło popękało. Wiązka z fazera odrzuciła jednego ze strażników na bok. Dane pobiegł za nim i chwycił wytatuowanego mężczyznę, który patrzył na niego z szokującym przerażeniem.

– Idziemy! – Dane i Billy pociągnęli go za sobą, jednocześnie ratując więźnia i biorąc zakładnika, i rzucili się biegiem w stronę pustkowi pokrytego martwymi ciałami. Teraz uwijali się po nim policjanci, wykrzykując absurdałne groźby aresztowania w mrok, może rzucali także zaklęcia, które tej nocy rozbłyskiwały tylko blado jak kiepskie fajerwerki. Mężczyzna w skórzanej kurtce kołysał się w uścisku porywaczy prawie jak dziecko. Szeptał coś do siebie, ale prócz jego głosu słychać było coś jeszcze – wściekłe przekleństwa, ryk i pogrożki Tatuaża dobiegające spod kurtki.

CZEŚĆ SZÓSTA

PODEJRZENIA

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

„Czy to właśnie była... czy to właśnie były apokalipsy?”, poprawiła się w duchu Marge. W końcu pojawiły się aż dwie, prawda?

Widowisko było imponujące, bardzo dziwne i jeszcze kilka tygodni wcześniej prawdopodobnie powaliłoby ją na ziemię. Tyle że spodziewała się objawienia, a tego zdecydowanie zabrakło.

A zatem co widziała? Nie była pewna. Po ucieczce przed Collingswood znalazła się dość daleko od epicentrum wydarzeń. Część z tych rzeczy była zdecydowanie – Marge przez chwilę szukała innego słowa, którego mogłaby użyć zamiast „magia” – dziwna, zbyt szybkie ruchy zakurzonych ludzi w zaroślach, dziwne, ptakopodobne istoty krążące nad pomostami, których nie zdołała dojrzeć wyraźnie, jej własne ezoteryczne ucieczki, kryjące ją przed wzrokiem innych apokaliptycznych turystów. Pamiętała, że niebo przybierało różne barwy, które naprawdę mogły być spowodowane przez krótkie, przelotne burze.

Nie miało to nic wspólnego z kałamarnicą, a jeśli stały za tym jakieś mechanizmy mikropolityki, to były dla niej zupełnie niejasne. Nie była ani trochę mądrzejsza, za to przestała się już czemukolwiek dziwić.

I co teraz?

– Jak się nazywasz?

Po długiej ciszy mężczyzna odpowiedział w końcu:

– Paul.

Po oczyszczeniu z błota i krwi okazało się, że Paul jest chudym mężczyzną około czterdziestki lub pięćdziesiątki. Gdy odzyskiwał świadomość, stawał się kompletnie zastraszony.

– Óóóó, óóóó, czekaj – uspokajali go na zmianę Billy i Dane, podczas gdy więzień trząsał się w ich uścisku.

– Znajdą mnie – powtarzał gorączkowo.

Uspokajającym szeptem nieustannie towarzyszył głos Tatuaza. Krzyczał bez przerwy: grożąc, rozkazując i obrzucając ich wyzwiskami.

– Jak myślicie, co się teraz stanie? – wrzeszczał. – Puszczajcie, wy mali zdrańcy, albo pozabijam was na miejscu! – Nie byli w stanie nawet myśleć w tym ciągłym zalewie żółci. Dane przytrzymał Paula i ściągnął mu kurtkę. Z pleców mężczyzny spojrzała na niego twarz wykrzywiona grymasem, rozedrgane linie tuszu przypominające film animowany. Tatuaż wykrzywił się pogardliwie. Wodził wzrokiem od Dane’a do Billy’ego. – Pierdolone pajace – warknął. Zaciśnął usta i udawał, że pluje, ale z czarnej plamy przedstawiającej usta nie wydobyła się ślina, tylko odgłos obrzydzenia. – Wydaje wam się, że to już koniec? Myślicie, że Goss nie potrafi wysmakować, gdzie byłem? Spójrzcie na nogi tej cipy. – Stopy Paula były obryzane krwią. Tatuaż zaczął się śmiać.

– Gossa już nie ma – odparł Billy.

– Och, nie martw się, wkrótce wrócą. Gdzie się podział wasz kumpel komuch? – Nie odpowiedzieli. – Cały jego plan chuj strzelił i was też, jak tylko wrócą. Wszyscy zginiecie.

– Zamknij się – zaproponował Dane. Ukląkł na chodniku, wpatrując się w nakreślone czarną kreską rysy. – Po co ci kraken? Co knujesz?

– Ty mały, zasnany wyznawco ślimaka, jesteś taką pierdoloną oferumą, że wykopali cię nawet z własnego Kościoła.

– Co wiesz o pracy Cole’a?

– Nie będę obrażał waszej inteligencji, nie powiem, że jeśli mnie teraz puścicie, pozwolę wam żyć, bo wam nie pozwolę.

– Mogę ci sprawić ból.

– Nie mnie. Jemu.

To ich zastanowiło. Billy i Dane spojrzeli po sobie. Potem popatrzyli na skórę Paula.

– Cholera – wyszeptał Billy.

– Hej, Paul! – zawołał Tatuaż. – Jak już się stąd wydostaniemy, każę moim chłopakom odpiłować ci nogi. Słyszysz? Trzymaj gębę na kłódkę, jeśli chcesz zachować zęby albo język, albo wargi, albo swoją pierdoloną szczękę.

Owinęli Paula taśmą klejącą. Mężczyzna stał bez ruchu, żeby ułatwić im zadanie. Tatuaż pluł bez śliny i miotał przekleństwa, ale ostatecznie składał się tylko z tuszu pod skórą. Paul siedział cierpliwie, obsługiwany jak król. Billy uciszył Tatuaża, zaklejając mu także oczy, którymi wciąż próbował miotać błyskawice. Paul miał też inne tatuaże, ale zachowywały się spokojnie – nie poruszały się, chyba że napinał mięśnie.

– Przepraszam – powiedział Billy. – Masz włosy na klatce, powinniśmy byli cię najpierw ogolić. Będzie bolało przy odklejaniu. – Spod taśmy przez dłuższy czas wydobywało się stłumione „mmm-mmm”.

I właśnie tak przywiedli go przed oblicze boga.

– Po co żeście go tu przyprowadzili? – spytała z niedowierzaniem Saira.

Kraken spoglądał na nich martwo ze swojego zbiornika. Wokół otaczali go londynmanci. Wcześniej było ich więcej. Tajna koteria rozrosła się szybko – tego rodzaju sekrety ciężko

zachować w tajemnicy. Teraz poszli, by „utrzymać placówkę”. Rzekoma większość ich starożytnego plemienia teraz stanowiła zdziesiątkowaną i otumanioną mniejszość. Pasażerowie ciężarówki patrzyli z przerażeniem na swego niechcianego jeńca. Dane i Billy wytropili ich, odgadli trasę pojazdu za pomocą małego GPS-a i wyszli im naprzeciw. Podróż była trudna i nerwowa – z każdym kolejnym krokiem spodziewali się, że zostaną wykryci i doścignięci przez tę czy inną potęgę w szalejącej wojnie.

Londynmanci nie zgadzali się zdjąć zakłębionych, które nie pozwalały Watiemu wejść do ciężarówki. Billy oburzył się w jego imieniu, ale duch związkowy znów stawał się nerwowy, tłumacząc, że i tak musi krażyć, by zażegnać kolejny kryzys.

– Po prostu posadźcie lalkę albo coś takiego na dachu – zaproponował. – Cokolwiek.

– Musimy odnaleźć Grisamentuma – powiedział Billy. – Musi być...

– Zrobię, co mogę, Billy. Obiecuję. Ale najpierw muszę załatwić parę...

Gdzie właściwie znajdował się teraz Grisamentum? Większość miasta wciąż nie dopuszczała do siebie myśli, że jest teraz gdziekolwiek poza niebem i piekłem, ale nie było możliwości, by ten dziwny udział bestiarzy i Byrne, ta straszna młócka gangów, przeszły niezauważone. Londyn wiedział, kto powrócił. Nie wiedział tylko, gdzie, dlaczego i jak, a żadne zachęty, żadne przekonywania, nawet stosowane wobec najbardziej zdradzieckich ulic, szulerów i ryzykantów nie ujawniały niczego.

– A co mieliśmy zrobić? – spytał Dane.

– Nie mamy czasu! – odparł gorączkowo Billy.

– Nadchodzi – ostrzegł Fitch. – Teraz jest znacznie bliżej. Znacznie pewniejsze. Stało się coś... co przybliżyło koniec.

– Mamy Tatuaża! – wybuchnął Billy. – Nie rozumiecie, co to znaczy?

– Trzeba zabrać tego biedaka z ulicy, jak najszybciej – ponaglił Dane.

Paul siedział bez ruchu. Patrzył na krakena pogrążonego w cuchnącym płynie za szkłem.

– Nie dajcie mu tego zobaczyć – szepnął.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Mężczyzna poruszył ramionami, żeby pokazać, kogo ma na myśli.

– Nie damy – odparł ostrożnie Billy. – Obiecuję.

– Przerwaliśmy mu – mruknął Dane do Sairy i Fitcha. – Może uda nam się dowiedzieć, co planował.

– Co takiego?

– Próbowaliśmy odnaleźć krakena – wyjaśnił Billy, lekko postukując Paula w plecy.

– Tak – odparła z wahaniem Saira – ale... spójrzcie. Nie wiemy, co to jest... ale już się zaczęło. – Otarła czoło swoim drogim szalem. – Pożar już wybuchł. – W ciągu ostatnich dwóch dni zniknęły dwa małe gospodarstwa. Spalone. Samounicestwione. Wspomnienia tych miejsc zniknęły niemal tak doszczętnie jak same budynki. Jeden z nich należał do imperium Tatuaża, była to kebabownia w Balham, jednocześnie służąca za lukratywne źródło

przychodów narkotykowych ze sprzedaży destylatu trzeciego oka, zdobywanego od desperatów. Drugim był średniej wielkości sklep jubilerski w Bloomsbury, który miał jakieś powiązania z Grisamentumem. Oba zniknęły i, jeśli wierzyć wspomnieniom, nigdy nie istniały. – Pamiętasz je, Dane?

– Nie.

– No widzisz. – Kobieta skrzyżowała ramiona. – Nie pamiętasz. – Ciężarówka zakołysała się gwałtownie, a Saira lekko poprawiła pozycję, podczas gdy Fitch zatoczył się na bok. Jego broda i włosy sterczały dziko.

– A zatem skąd wiesz, że coś tam w ogóle było? – spytał Billy.

Kobieta spojrzała na niego pobłażliwie.

– Witaj – powiedziała. – Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Nazywam się Saira Mukhopadhyay i jestem londynmantką. To moja praca.

– Pamiętasz je?

– Ja nie, ale miasto pamięta. Odrobinę. Wie, że coś tam było. Spalanie zostawia ślady. Skóra jest jakby... pomarszczona. Pamiętam, że pamiętałam jedno z tych miejsc. Ale tak naprawdę nigdy ich nie było. Sprawdziliśmy w rejestrach. Nigdy nie istniały. Tamtego dnia, gdy spłonął Grisamentum, po okolicy jeździł wóz strażacki. Nie wiadomo po co. Strażacy nie mieli pojęcia, co tam w ogóle robią.

– To robota Cole'a, głowę daję – powiedział wolno Dane. – Kto go namówił, żeby... Gdzie ten papierek? Ten z książki. – Billy podał mu kartkę. – Tutaj. „Katachronoflogiston”. Spójrz.

– Wypalanie rzeczy z czasoprzestrzeni – przytaknął Billy. – Aha, tak. Ale kto to robi i dlaczego?

– On może wiedzieć – stwierdziła Saira. – W końcu ma lepsze informacje od nas. – Spojrzała na Paula, wskazała na jego plecy. Nastąpiła długa, niezręczna cisza. – Może wie coś na temat Cole'a. Może nawet o tym, co teraz robi. – Zawahali się. Próbowali sobie przypomnieć jakieś techniki przesłuchań.

– Nie trzeba – odezwał się niespodziewanie Paul. – On nie... Ja wam powiem. – Mówił bardzo cicho i z początku wydawało im się, że się przesłyszeli, ale on powtórzył – Powiem wam. Dlaczego go szuka. Do czego go potrzebuje. Opowiem wam wszystko.

– Poszedłem do tatuażysty w Brixton – zaczął. – Chciałem sobie zrobić duży, no wiecie, krzyż celtycki na plecach. Nie czarno-biały, tylko porządny, miała być też zieleń i inne kolory, no nie, i wiedziałem, że to potrwa parę godzin. Zawsze robiłem całą dziarę za jednym zamachem. Nigdy nie miałem głowy do pilnowania tych wszystkich terminów, wiecie? Wszystko albo nic, zawsze tak robiłem.

Nikt nie przerywał. Ktoś przyniósł Paulowi jakiś napój, a on wypił go duszkiem, wciąż gapiąc się w pustkę.

– Wiedziałem, że będzie bolało, więc się upiłem, chociaż wiem, że nie wolno. Znałem tego tatuażystę. Pogadaliśmy, więc wiedział trochę o mnie. O tym, kogo znam, czym się zajmuję, takie rzeczy, no nie? Teraz myślę, że on po prostu mówił to, co mu kazali, bo, akurat, no wiecie, szukał kandydatów. Zapytał, czy mam coś przeciwko, że będzie przy tym taki jeden facet. Mówił, że to inny tatuażysta i że będą porównywać wzory, a ja powiedziałem, że spoko, wszystko mi jedno. Pomyślałem tylko, że ten gość jakoś nie wygląda na tatuażystę. Sam nie wiem, co miałem na myśli, byłem zbyt pijany. Ten facet stał obok i patrzył, jak tatuażysta robi mi dziarę i dawał mu jakiś rady. Co chwila wychodził do drugiego pokoju. Chyba nie muszę wam mówić, co tam było? A raczej kto?

Zaśmiał się ponuro, okropnie. To nie była historia, na którą wszyscy czekali, ale kto mógłby mu teraz przerwać?

– Co jakiś czas pokazywali mi moje plecy w lustrze. Tatuażysta chichotał wtedy za każdym razem, ale ten drugi facet był śmiertelnie poważny. Pewnie zrobili coś z tym lustrem, bo widziałem w nim krzyż. Wszystko było w porządku. Nie mam pojęcia, jak to zrobili. Drugiego dnia odwinąłem bandaż, żeby pokazać się przyjaciółce, a ona na to: „Przecież miałaś sobie zrobić krzyż?”. Nie zrozumiałem, o co chodzi, myślałem, że jej zdaniem jest zbyt fikuśny. Nawet na niego nie spojrzałem. Dopiero po jakimś czasie, kiedy zeszły strupy, on się obudził.

To Grisamentum nadzorował pracę. I to właśnie tam, w pokoju na zapleczu, uwięziony i spętany zakłęciami, siedział człowiek, który później stał się Tatuazem. Co za wymyślna zemsta. Nie morderstwo – ci ludzie byli na to zbyt barokowo okrutni – lecz wygnanie, uwięzienie. Może tusz, którym wykonano rysunek, został zmieszany z krwią. Z całą pewnością zawierał jakąś esencję – pewnie można by ją nazwać duszą – wyssaną z człowieka, pozostawiając pustą człekokształtną górę mięsa.

Paul obudził się, słysząc jakieś pomrukiwania na swojej skórze. W łóżku nie leżał nikt oprócz niego. Głos był stłumiony.

– Co oni zrobili? Co oni zrobili? – Tak brzmiały jego pierwsze słowa. – Co te chuje mi zrobili?

Gdy w końcu odwinął bandaż, iluzja zniknęła i zobaczył prawdziwy wzór. Przeżył jeden szok po drugim: pierwszy, gdy zobaczył się, że ma na sobie czyjąś twarz, a drugi, znacznie gorszy – gdy zobaczył, że twarz się porusza.

Tatuaz także był zszokowany. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, co się z nim stało. Próbował sterroryzować Paula. Zaczął mu rozkazywać.

Mężczyzna przez długi czas nic nie jadł.

– Musisz być zdrowy – nalegał Tatuaz. – Jedz, jedz, jedz – powtarzał, aż w końcu Paul coś zjadł. Kazał mu wypróbować swoją siłę. Oceniał go, niczym trener. Mężczyzna kazał mu odejść, zostawić go w spokoju, powtarzał Tatuazowi, że nie istnieje. Poszedł do lekarza, by

dowiedzieć się, jak można go usunąć. Podczas badania Tatuaz pozostawał zupełnie nieruchomo, lekarz uznał więc, że ma czynienia z niezrównoważonym alkoholikiem, który nagle nabrał obrzydzenia do swej paskudnej ozdoby. Powiedział mu, że lista oczekujących jest bardzo długa. Zabieg kosmetyczny.

Paul zaczął chwytać się domowych metod i próbował zedrzyć Tatuaza papierem ściernym, ale za każdym razem aż krzyczał z bólu i szybko przestawał. Tatuaz zresztą krzyczał razem z nim. Wrócił też do salonu, gdzie zrobiono mu ten wzór, ale tatuażysta już dawno zniknął.

Próbował go zakrywać, ale to nigdy nie trwało długo. Gdy tylko kneble opadły, Tatuaz natychmiast zaczynał wrzeszczeć, wyzywał go i obrzucał bluzgami na ulicy. Wykrzykiwał najobrzydliwsze epitety, przekleństwa i rasistowskie wyzwiska, próbując sprowokować bójkę i kilka razy mu się udało.

– Cicho, cicho – szeptał potem. – Po prostu rób, co ci mówię, i to się nie powtórzy.

Wysyłał go do spelunek magów, kazał nawiązywać kontakty, przekazywał tajne hasła potrzebne do wejścia, kazał mu opisywać szeptem klientelę albo obrócić się tak, by sam mógł zobaczyć. Potem zmuszał go, by podszedł do wybranych osób.

– Borch – mówił, gdy Paul usiadł już tyłem do zaskoczonych agentów. – Ken. Daria. Goss. To ja. Spójrście, to ja.

Grisamentum zamierzał umieścić go w ruchomym więzieniu, gdzie byłby bezradny, uwiązany do człowieka, który go szczerze nienawidził, dręczony bezcielesnością aż do śmierci nosiciela. Tatuaz wysłał jednak Paula na poszukiwanie swych starych wspólników. Wciągnął ich z powrotem na swą orbitę. Wysyłał Paula do schowków, gdzie trzymał pieniądze, za które kupował usługi magików i innych ekspertów podziemia. Miał do dyspozycji tylko swój umysł i głos, ale to mu wystarczyło, by odbudować swoje imperium.

Jednym z pierwszym zadań, którym obarczył Paula, było odnalezienie i zabicie tatuażysty, który go uwięził. Mężczyzna tego nie widział – stał zwrócony tyłem do całej jatki – ale nie było to ani szybkie, ani ciche. Drżał, czując, że krew ochlapuje mu łydki, przytrzymywany w miejscu przez pierwszych ochroniarzy Tatuaza przerobionych na pięściarzy.

Szef gangu przez większość czasu starał się ignorować swego nosiciela. Pozwalał mu jeść, kiedy chciał, czytać i oglądać DVD ze słuchawkami, gdy załatwiał swoje sprawy. Od czasu do czasu Paul dostawał wychodne na kino czy seks, ale po pierwszej próbie ucieczki ich relacje stały się bardziej napięte. Po drugiej Tatuaz ostrzegł go, że kolejna zakończy się amputacją nóg, a użycie anestetyków będzie opcjonalne.

Tatuaz planował zemstę. Gdy jednak przesłuchiwał potencjalnych zabójców, doszły go plotki: Grisamentum i tak umierał.

– Po co Tatuazowi kraken? – dopytywał się Fitch.

Paul zapatrzył się na zabutelkowanego boga.

– On sam nie wie – powiedział w końcu. – Po prostu dowiedział się, że ktoś inny go szuka, więc postanowił go znaleźć pierwszy – Wzruszył ramionami. – To wszystko. Cały jego plan. „Nie pozwolić go dostać nikomu innemu”. Równie dobrze mógłby go spalić... – Nie zwrócił uwagi na spojrzenia, które wywołała ta niedbala uwaga. – Wiem, kim jesteście – zwrócił się do Billy’ego i Dane. – Słyszałem, co mówił.

– Posłuchaj – oznajmił Billy, zwracając się do Fitcha. – Wszystko w porządku. Panujemy nad sytuacją. Nie pozwolimy go spalić i wywołać tego, co miało przyjść później. Teraz mamy jednego z najważniejszych graczy. Całe to... spalanie powinno być teraz o wiele mniej prawdopodobne, prawda?

Londynmanci gorączkowo spoglądali w przyszłość. Podczas każdego postoju Fitch rozcinał chodniki, ailuromanci obserwowali przemykające koty, a inni odbywali gorączkowe ambulomantyczne spacery po chodniku, by zobaczyć, w jakim kierunku popycha ich miasto, albo próbowali czytać z kurzu i przypadkowych przedmiotów.

– To chyba pomogło, prawda?

– Nie – odparł Fitch. Otworzył i zamknął usta, po czym dodał: – Jest bliżej niż kiedykolwiek. Już niedługo. Nie wiem, jakim cudem, ale nie osiągnęliśmy niczego.

Żadnego odkupienia, żadnej reemisji, żadnego powrotu do stanu pierwotnego. Wciąż tylko nadchodząca przyszłość.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Cole pracował do późna. Ślady po walce zostały już uprzątnięte. Mężczyzna potrząsał głową i wertował papiery leżące na biurku, zapisując, co tam znalazł, żeby móc ustalić, co zostało zabrane. Zignorował pukanie do drzwi, ale przybysz mimo to wszedł.

– Puk, puk? – oznajmił. – Profesorze?

– Kim pan jest?

Mężczyzna zamknął drzwi.

– Jestem Vardy. A nawet profesor Vardy. – Uśmiechnął się, ale nie wyszło mu to za dobrze. – Pracuję dla policji.

Cole przetarł oczy.

– Proszę posłuchać, panie Vardy, profesorze, doktorze, nieważne. Mówiłem już, że... – Spojrzał na przybysza przez palce i przerwał. – Policja? Byli u mnie już dwa razy i wszystko im wyjaśniłem. To był tylko głupi żart, nic więcej. Dla kogo konkretnie pan pracuje?

– Pyta pan, czy jestem członkiem zwykłej jednostki śledczej, który przyszedł posypać jeszcze trochę talku, czy też pracuję dla, jak to nazywają moi koledzy, jednostki specjalnej i czy wiem o pana niekonwencjonalnych zainteresowaniach, tak? Z ciekawości spytam: „Naprawdę kupili tę bajeczkę? O tym «głupim żarcie»?”. Dwóch mężczyzn, za starych na studentów, włamuje się do pańskiego gabinetu i spuszcza panu łomot?

– Nikt nie kwestionował moich zeznań – odparł stanowczo Cole.

– Oczywiście, że nie. Mają mnóstwo powodów, by się w to nie mieszać. Biorąc pod uwagę, co się teraz dzieje. Niebo, miasto... Czuje to pan, prawda?

Cole wzruszył ramionami.

– To żadna różnica.

– Dziwne stanowisko.

– Proszę posłu...

– Profesorze, niech pan posłucha. Wiem, że był pan jednym ze współników Grisamentuma.

– Tylko dlatego, że zrobiłem kiedyś coś dla niego...

– Proszę darować sobie te wykręty. Każdy sznyter w Londynie przynajmniej raz w życiu zrobił coś dla niego. To pan stał za jego spektakularnym odejściem. Wielki ogień. Kremacja.

– Cole patrzył na niego z rosnącym niepokojem. – Chyba widać, że nie ma pan do czynienia z idiotą. Plotki i tak się rozchodzą. Słyszał pan o tym starciu wczoraj wieczorem? Wszyscy twierdzą, że to sprawka Grisamentuma. Nie tylko ja wiem, że nasz drogi zmarły nigdy stąd nie odszedł.

– Przysięgam panu – zaczął Cole – nie mam z nim żadnego kontaktu. Nie wiem, gdzie jest, co robi, jakie ma plany i nie mam z nim nic wspólnego.

– Profesorze Cole, jest pan prawdopodobnie jednym z niewielu ludzi, którzy zdają sobie sprawę, że rzeczy zaczynają płonąć i znikać i może nawet potrafi pan wyjaśnić to zjawisko.

– To mnie przerasta! Zasada jest podobna jak w przypadku niektórych moich prac, ale to zupełnie nieporównywalna skala.

– Ależ wiem.

– Czyżby?

– Moja praca polega na tym, by z odpowiednio dużą dokładnością oceniać, co jest możliwe, a co nie. A zatem wiem, że nie mógłby pan wypalić tych wszystkich rzeczy z czasoprzestrzeni. Ale wiem także, że miał pan z tym coś wspólnego. Dostarczał pan informacje i wykonywał zlecenia, prawda? Zgodnie z przedstawionymi zadaniami?

– Ja...

– Nie, nie podejrzewam, żeby działał pan w zмовie z Grisamentumem. Wiem nawet, dlaczego pan to robi. Rodzina. Pańska córka zniknęła, prawda?

Przez twarz Cole'a przebiegł skurcz. Rozpacz, ulga i znowu rozpacz.

– O Boże...

– Wiem, że pańskiej żony już z nami nie ma – ciągnął Vardy. – Z tego, co wiem, dziewczynka, która chodzi do anglikańskiej szkoły, wdała się raczej w pana niż w swoją matkę. Mimo wszystko jest jednak mieszanej rasy i dzięki temu nabyła pewnych zdolności. Jeśli połączyć to z tym, nad czym pracuje pan od jakiegoś czasu, i we właściwych rękach...

– Myśli pan, że ktoś ją wykorzystuje? Że zmuszają ją do tego?

– To możliwe. Ale jeśli tak, to cóż. Możemy odpowiedzieć na ogień ogniem. Możemy skorzystać z pańskich umiejętności, by wytropić sprawcę. Proszę mi pomóc, profesorze. Proszę mi zaufać.

„Grisamentum pewnie jest szczęśliwy jak prosię w błocie”, pomyślał Billy. Jego najgorszy wróg został wzięty do niewoli. Bez swojego hipnotyzera goryle w rodzaju pięściarzy musieli zdać się na siatkę kontaktów i na wpół zaufanych doradców, próbując ustalić, co robić dalej. Goss i Subby cieszyli się wśród nich największym poważaniem, ale można było o nich powiedzieć wszystko – łącznie z tym, że najwyraźniej wrócili z powrotem – choć nie to, że mieli zdolności przywódcze.

– Goss i Subby postanowili czegoś poszukać – powiedział Paul. – Nie wiem o tym nic więcej.

„Baron i jego ekipa muszą mieć pełne ręce roboty”, pomyślał Billy, patrząc, jak miejscowe oddziały policji z trudem zmagają się z kolejnymi aktami przemocy przerywającymi ich codzienny patrol. W ciągu ostatnich kilku dni problemem stały się nie tyle znajdowane wszędzie zwłoki dealerów czy rozbite wystawy sklepowe, ale dziwne ciała, pełne krwi, która nie płynęła tak, jak powinna. Przerażeni dealerzy handlujący pyłem z placów budowy. Tatuaż zniknął, Grisamentum powrócił, równowaga sił została rozpieprzona, a dzielnice Londynu zmieniły się w Peloponez – u progu końca świata rozpoczęły własną, wielowątkową wojnę.

– Muszę... – zaczął Billy, ale potem urwał. Co właściwie musiał? Spojrzeli po sobie z Dane'em.

Wolni strzelcy szaleli po mieście. Drobni bandyci, nadęci poczuciem ważności, uzbrojeni w kiego wyuczone sznyty, świadomości narodzone w kadzi, uciekinierzy z laboratoriów, zastępcy szefów najróżniejszych drobnych gangów w jednej chwili uznali: teraz albo nigdy! Miasto pełne było najemników wywierających spóźnione wendetty, a tymczasem strajk upadał i chowańce, jedne po drugich, wracały do pracy na ostrych, bezlitosnych warunkach.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

– Absolutnie nic – tyle udało im się osiągnąć. Spieprzyli to koncertowo. A jednak stało się coś ważnego. Jeszcze nie wiedziała, co jest – znalazła się na obrzeżach jakiejś rozróby, smakując powietrze i poczuła znajomych ludzi, w tym Billy’ego i Dane’a, których mieli nadzieję schwytać. Sznyty, które rzuciła, szybko zamarły w gęstym powietrzu jak pomrowy w soli. Nastąpiła wyraźna zmiana. Coś się przesunęło, a ona niemal dostawała szału, próbując dojść, co to mogło być. Baron i Vardy w niczym jej nie pomogli.

„Dość tego, kurwa”. Collingswood pociągnęła za wszystkie sznurki, jakimi tylko dysponowała. Obdzwoiła wszystkich znajomych, poprosiła o zwrot przysług, wysłała Perky’ego na przeszpiegi, zestresowana do nieprzytomności przez pośpiech i nadchodzącą niewiadomą. Nie chciała się do tego przyznać, nawet przed sobą samą, ale de facto przejęła śledztwo. Wyglądało na to, że osobnicy, z którymi nie spodziewała się już mieć do czynienia – nie spotkała ich osobiście, choć w środowisku policyjnym cieszyli się zasłużoną sławą – wrócili albo znów wrócili, albo nigdy nie umarli, albo sprowadzali koniec świata, albo polowali na jej skórę.

Tym razem to ona zaczęła ignorować telefony Barona. Pracowała w domu albo w pobliżu miejsc mocy – siedząc z laptopem w kafejkach. Czasem odwiedzała swoich informatorów.

– Co ostatnio słyszałeś? Co to znaczy, że „nikt nie wie”, nie wciskaj mi tych pierdół, nie ma czegoś takiego, o czym ktoś nie wiedziałby czegoś.

Jedna wersja wydarzeń pojawiała się regularnie: jedyny trop, który sprawiał, że wciąż miała nadzieję, dotyczył broniowników. Oficjalnie zaktualizowała ich status z pogłoski na istniejące zjawisko. I – jak przypominała sobie później, gorączkowo poszukując resztek dumy w tej najczarniejszej godzinie – zrobiła to wcześniej, jeszcze zanim wszystkie te strzępy informacji osiągnęły w jej intuicji masę krytyczną i nagle wiedziała nie tylko, że broniownicy zamierzają zaatakować, ale nawet kogo i gdzie.

Kurwa mać. Ale jak? Ale dlaczego? To musiało poczekać. Collingswood nie mogła się jednak opędzić od tej myśli. Jeśli ktoś ich atakuje, to znaczy, że to oni go zabrali. A to z kolei oznaczało, że sekcja FPTS wiedziała jeszcze mniej, niż im się wydawało.

– Szefie? Szefie, zamknij się i słuchaj.

– Gdzie jesteś, Collingswood? Gdzieś ty była? Musimy porozmawiać o...

– Szefie, zamknij się. To ty musisz się ze mną spotkać.

Potrząsnęła głową. Niezwykła ostrość przychwyconego zamiaru była wręcz przytłaczająca. Wiedziała, że jest dobra, ale żeby aż tak? „Już się nie chowają, jest im wszystko jedno”.

– Spotkać się z tobą? Czemu?

– Bo zaraz odbędzie się kurewsko wielki napad, więc sprowadź posiłki. I weźcie broń.

Czy ukryty Londyn mógłby przegapić fakt, że tej samej nocy, gdy nastąpiła kumulacja dwóch konkurencyjnych apokalips, która okazała się klinem torującym drogę prawdziwemu finałowi, Fitcha i jego ekipy londynmantów nie było w pobliżu Londyńskiego Kamienia? Czy mogło to ująć jego uwagi?

– Działamy w pożyczonym czasie – stwierdziła Saira. Chwilowy spokój był bardzo nietrwały. Londynmanci obsesyjnie zaglądali w przyszłość – czy też, jak lubili przypominać, w potencjalne przyszłości – teraz robili to tylko z bezpiecznej kryjówki wewnątrz pojazdu. Ich praca stała się prosta, sprowadzona do jednej podstawowej rzeczy: utrzymać krakena z dala od wszelkich kłopotów, aż do ostatecznego dnia i w ten sposób nie pozwolić, by stał się ostatecznym. Tylko tyle mogli zrobić. Ich nowy, święty obowiązek.

– Był tu jeszcze jeden.

– Jeszcze dwa.

Londynmanci, przeprowadzając wyczerpujące analizy snów i wspomnień, interpretowali historię miasta i przypominające poparzenia bąble, które pojawiały się na osi czasowej, wyszukiwali wszystkich tych architektonicznych outsiderów, ofiary pożaru czasowego.

– Pamiętasz ten garaż przy gazowni? Taki fajny, w starym stylu?

– Nie.

– No właśnie, już nigdy go tam nie było. Ale patrz. – Londynmanta wskazywał na zachowaną pocztówkę przedstawiającą budynek, osmalony sadzą i niestabilny, jakby wciąż starał się istnieć, nie dając się wciągnąć w spaloną oś czasu.

Wati zniknął na wiele godzin, a potem na cały dzień. Nie odpowiadał na szeptki skierowane do figurek wystawianych za okno samochodu. Czyżby przeprowadzał odwrót, omawiał warunki kapitulacji?

Wszyscy pilnowali, żeby Paulowi było wygodnie. Jedzenie nie stanowiło problemu. Wystarczyło, że zatrzymali się na chwilę, a wtedy Saira zanurzała ręce w ceglany murze w jakimś zaułku i ugniatała go jak glinę, aż zmienił się w kawałek rusztowania, potem w kółko do kluczy, a w końcu w torbę z jedzeniem na wynos.

Dwa razy odkleili taśmę z ust Tatuaza, kierowani nieuzasadnioną nadzieją, że powie im coś oskarżycielskiego, ważnego albo pomocnego. W obecności tak ważnego gracza wszystkie fragmenty układanki powinny teraz same wędrować na miejsca, a jednak tak się nie stało.

Tatuaż milczał, co było do niego zupełnie niepodobne. Gdyby nie specyficzny układ linii tuszu, można by powiedzieć, że czar przysł.

– Wciąż ma tam swoich ludzi – przypomniał Paul. Desperackie akcje oddolne. Pięściarze uwikłani w na wpół ofensywne, na wpół obronne starcia z tradycyjnymi wrogami, zmuszeni zostali do przejścia inicjatywy – tej jednej rzeczy, której tak bardzo pragnęli uniknąć. Ludzie bezmyślnie ujawniali swoje sekrety, a pięściarze usiłowali o nie walczyć, zdobywając część z nich albo ginąc, padając z strzaskanymi kaskami, rozdartą skórzaną zbroją, odsłaniając maleńką rączkę wystającą z krocza zamiast członka, lustrzane odbicie ich głowo-ręki. – Może Goss i Subby już wrócili.

Fitch wrzasnął i w tej samej chwili ciężarówką zarzuciło w bok. Nie z powodu krzyku – kierowca nie mógł go słyszeć – lecz dlatego, że wyczuł to samo dokładnie w tej samej chwili.

– Musimy wrócić – powtarzał haruspik. Wszyscy zerwali się na nogi, nawet Paul. – Z powrotem, z powrotem do serca. Słyszałem... – W szumie powietrza, w krzyku miasta. – Ktoś ich napadł.

Musieli zjechać z wytyczonego szlaku, podążając uliczkami, w które pojazd ledwie był w stanie wjechać; widać było, że kierowca sznytuje, by nie rozbić się po drodze. Radiowozy i karetki jeździły bez celu, wozy strażackie krążyły po okolicy. Płonące budynki i telefony alarmowe zniknęły, wypalone z pamięci, a zatem w połowie drogi strażacy nie mogli sobie nawet przypomnieć, po co wyjechali. Ciężarówka podjechała jak najbliżej do sklepu sportowego, przy którym znajdował się Londyński Kamień. Znowu usłyszeli krzyk i policyjne syreny. Na ulicy było kilku przechodniów, ale wciąż za mało jak na tak wczesną porę. Poruszali się tak, jak powinni, jak ludzie w strefie wojny. Budynek otoczono policyjną taśmą. Uzbrojeni funkcjonariusze kazali im się cofnąć.

– Tędy nie przejdziemy – stwierdził Billy. Ale przecież przyszedł tu w towarzystwie londynmantów. Uliczki, w które się zapuścili, nie miały prawa im odmówić, na rozkaz zawracały i skręcały posłusznie, zwłaszcza że Fitch, Saira i ich towarzysze nie próbowali się już ukrywać i nie obchodziło ich, czy miasto coś zobaczy. A zatem poprowadzili Billy'ego i Dane'a, biegnąc zaułkami jak rozrabiające dzieci, poprzez ceglany ślepy zaułek, który powitał ich, nieoczekiwanie otwierając się w korytarz prowadzący do miejsca nieopodal Londyńskiego Kamienia, gdzie wciąż szalała walka.

Policja nie wkraczała w strefę ognia. Z siedziby londynmantów, w wąskim pasażu handlowym, wybiegło dwóch ubranych na ciemno mężczyzn. Trzymali w dłoniach pistolety, strzelając za siebie. Dane kopniakiem wyważył drzwi do pustego sklepu, a Billy pociągnął za sobą Sairę i pozostałych. Fitch usiadł ciężko, rżąc z wysiłkiem.

– Złaź – powiedziała Saira. Próbowała przerobić masę Londynu na coś zabójczego, nacisnęła palcami na fragment ściany i zmieniła go w inny fragment Londynu, w pistolet.

Drżała wyraźnie, była dzielna i przerażona. Napastnicy znów otworzyli ogień i dwóch londynmantów, wciąż jeszcze stojących w drzwiach, padło na podłogę.

Mężczyźni ubrani byli w ciemne garnitury, kapelusze i długie płaszcze – strój zabójców. Billy wystrzelił i chybił, a wiązka z fazera zatrzeszczała niepewnie. Broń zaczynała się rozładowywać. Dane postrzelił jednego, ale rana nie była śmiertelna.

Z magazynu wytoczyły się jakieś klekoczące sylwetki. Były to kompozytowe istoty, zrobione z miasta. Papier, cegły, łupki, smoła, znaki drogowe i zapachy. Jedna z nich poruszała się niemal ludzkim ruchem, druga podskakiwała ptasio, ale żadna z postaci nie przypominała niczego. Nogi z belek rusztowania lub dźwigarów, ramiona z potrzaskanego drewna. Jedna miała płytę grzbietową z kawałka rozbitego szkła zanurzonego w cemencie i przypominała kozioł hiszpański. Billy krzyknął zaskoczony, widząc te pokraczne miejskie kundle. Jeden z tych twórców chwycił napastnika palcami zrobionymi ze zgrabionych liści i ugryzł go, zupełnie jak dach domu. Zabójca wrzasnął, ale twór przyssał się do niego, uwięziony wierzgał zatem i kopał, póki nie został opróżniony. Jego współnik gdzieś zniknął.

Obaj londynmanci nie żyli. Saira zacisnęła zęby. Drapieżne kawałki miasta zaczęły się zbliżać.

– Szybko! – zawołał Billy, ale ona tylko strzeliła palcami, jakby przywoływała psy.

– Wszystko w porządku – wyjaśniła. – To tylko przeciwciała Londynu. Znają mnie.

System immunologiczny miasta świergotał i grzechotał. Jeden z londynmantów podszedł do Sairy, ale kobieta nie podniosła wzroku. Gdy Billy i Dane podeszli bliżej, przeciwciała zerwały się, prezentując miejskie uzbrojenie. Saira cmoknęła językiem, a wtedy się uspokoiły.

W sklepie sportowym znaleźli stertę gruzów – rozsypanego tynku i ciał. Kilku londynmantów jeszcze żyło, choć większość leżała już nieruchomo z ranami postrzałowymi na piersiach i w głowach. Saira chodziła od jednego do drugiego.

– Ben! – zawołała. – Co się stało?

– Ludzie – odparł ranny. Szczękał zębami, wpatrując się w przesiąkniętą krwią nogawkę.

Mężczyźni w ciemnych garniturach wkroczyli do środka, strzelając na wszystkie strony ze swej niezwyklej, żarłocznej broni. Potem usiłowali przesłuchać tych, którzy przeżyli, powtarzając: „Gdzie jest kraken?”.

Usłyszeli syreny policyjne. Policja jednak, przestrzegając zasady zabraniającej im wkraczania na ten teren, po prostu odgrodziła atakujących i atakowanych od reszty miasta.

– Musimy się pospieszyć – powiedział Billy. Czekał cierpliwie, dał Sairze jak najwięcej czasu, ale w końcu musiał ją ponaglić. Spojrzała na niego wzrokiem bez wyrazu.

Napastnicy znali tajemnicę skrywaną przez Fitcha, Sairę i resztę ich zdradzieckich kompanów. Reszta londynmantów, bezlitośnie zmasakrowanych przez broniowników, nie wiedziała jednak o niczym. Zostali wyrzuceni poza nawias, stanowili niczego nieświadomy kamuflaż pozostawiony tu, by udawać, że wszystko jest po staremu. Niektórzy zdawali sobie sprawę, że są oszukiwani, choć nie mieli pojęcia, o jaki sekret może chodzić. Nie rozumieli

pytania napastników, co prawdopodobnie ich sprowokowało. Spanikowani wróże zdołali przywołać na pomoc przeciwciała, niestety za późno.

– Próbowaliśmy ich chronić – powiedziała w końcu Saira. – To dlatego nic im nie powiedzieliśmy.

Gdzieś obok rozległ się grzechot kawałków drewna i odrzucanego na bok gipsu i na progu stanął Fitch. Zajrzał do środka i nie powiedział nic, po prostu zawył. Uczepił się framugi.

– Musimy iść – nalegał Billy. – Tak mi przykro, Saira. Ale lada chwila będzie tu policja, a ci gnoje, którzy to zrobili, wiedzą, że mamy krakena.

Dane ujął rękę Billy'ego i przytknął ją do rany na ciele zmarłej kobiety. W jej stygnącym ciele kryło się dziwne ciepło.

– Inkubacja – stwierdził Dane. Tkwiące w martwym ciele pociski były jajeczkami. Pistolety miały teraz urosnąć i wykluć się ze skorupki, a jeden czy dwa mogły nawet zebrać dość sił, by wyjść na zewnątrz i przywołać rodziców.

– Nie możemy ich zabrać – szepnął Billy.

– Nie możemy ich zabrać – powiedziała głucho Saira, widząc, co robi Dane.

Ostatni z londynmantów i przeciwciała Londynu odeszli wraz ze swym przywódcą – jeśli Fitch wciąż mógł za niego uchodzić – przez przyciągające uwagę kręte zaułki, z powrotem do ciężarówki.

– Jesteśmy londynmantami – powtarzał Fitch, po czym jęczał: – Kto mógł to zrobić?

„To wy pierwsi naruszyliście neutralność”, pomyślał Billy, ale nic nie powiedział.

– Nowe zasady – Dane wzruszył ramionami. – Wszystkie chwytaki dozwolone. To wariactwo. – W ogóle się nie przejmowali, że ich zobaczą. Zachowywali się tak, jakby tego chcieli. Tak właśnie działa terror. Spojrzeli na Paula.

– Ale nie w tym przypadku – odparł. – Naziści, pięściarze i Boby Fetta tak, ale nie broniownicy.

Krew rozlewała się w kałuże. Ocaleli londynmanci wpatrywali się w krakena i płyn przelewający się w zbiorniku.

– Ale dlaczego? – pytali. – Co on tu robi? Co tu się dzieje? – Fitch nie odpowiedział. Saira odwróciła wzrok. Paul wpatrywał się w nich wszystkich. Billy czuł się, jakby kraken gapił się na niego nieistniejącymi oczami.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY SZÓSTY

– Marge nie ma w domu. Nie odbiera też wiadomości. I nie mam bladego pojęcia, co robiła na tych zawodach drużynowych. Co mam teraz robić? – Collingswood aż zatoczyła się pod naporem fali wrogości, którą kiedyś nazywała Pandą. Podczas gorszych dni to pseudo nie wydawało jej się już takie zabawne. – Trochę żeśmy dali dupy, co, szefie? Co teraz?

W taką noc, gdy wokół toczyło się tyle małych wojenek, najlepsze, na co mogli liczyć, to utrzymanie kontroli nad sytuacją. Mogli interweniować, gdzie tylko się dało, stanąć na drodze kilku masakrom albo połatać to, co po nich zostało. To szaleństwo – czym wywołane, bólem jakiegoś krakena? – powoli infekowało wszystko. Miasto masakrowało się samo.

Collingswood nie zadała tego pytania po to, by otrzymać wyjaśnienia – gdy wkroczyła w ruiny otaczające Londyński Kamień, gdzie ewidentnie dokonano morderstwa, mogli tylko spisać to w raporcie i iść dalej – ale by podkreślić, że Baron nie ma na to żadnej odpowiedzi. Stał na progu, potrząsając głową z wystudiowaną łagodnością, którą Collingswood oglądała już wielokrotnie. Po całym pomieszczeniu kręcili się funkcjonariusze, dotykając różnych rzeczy i udając, że szukają śladów – konwencjonalne procedury były coraz bardziej absurdalne. Zerkali na Barona, jakby spodziewali się, że powie im, co mają robić dalej.

– Jasna cholera – powiedział w końcu i uniósł brwi. – Tego chyba już za wiele.

„Kurwa, tylko nie to”, pomyślała Collingswood. Skrzyżowała ręce na piersi i czekała, co jeszcze powie. Tylko nie teraz. Była przyzwyczajona odczytywać jego nonszalanckie pozy, dygresje i chwile cierpliwego oczekiwania na sugestie – jakby dawał jej się wykazać – jako dowód, że tego człowieka nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi, jako oznakę całkowitej kontroli nad sytuacją. Poczula nie tylko zaskoczenie, ale i wściekłość, gdy w końcu zrozumiała, że on też nie ma pojęcia, co robić.

„Kiedy ostatnio na coś wpadłeś?”, pomyślała ze złością. „Kiedy ostatnio powiedziałeś nam, co robić?”. Zmusiła go, by spojrzał jej w oczy i zobaczyła, że z głębi, niczym światło odległej latarni, wygląda strach.

kollywood? odepchnęła od siebie cichutki głosik, udając, że odgarnia włosy z twarzy. Baron nie musiał wiedzieć, że przyprowadziła tu Perky’ego.

– A więc tak – powiedział w końcu. Gdyby nie знаła go od dawna, mogłaby to kupić. Może uwierzyłaby, że wciąż jest spokojny. – Wciąż ani słowa od Vardy’ego?

– Już raz o to spytałeś. Mówiłam, że nie. – Vardy poszedł przepytac Cole'a i od tego czasu nikt go nie widział. Nie mogli go nigdzie znaleźć, Cole'a zresztą też nie. Baron przytaknął. Odwrócił wzrok, a potem znów na nią spojrzął. – To był jego pieprzony pomysł, ten fałszywy koniec świata, to on przesunął daty.

– Tak, kurwa, on przesunął. Myślisz, że to nasz profesor spędził cały dzień w przestrzeni astralnej, przekonując konstelacje, żeby popieprzały trochę szybciej? – warknęła Collingswood. – A w życiu. Wysłał mnie.

– Okej, okej. Myślałem, że cały plan polegał na tym, żeby wszystkich wywabić, i rzeczywiście się udało.

– Ja już naprawdę nie wiem, na czym polegał ten jego cholerny plan.

– Może jednak postanowi do nas dołączyć.

– Idę stad.

– Gdzie?

– Teraz już nie pomogę tym londyn-durniom. Idę stąd. Wychodzę. – Wskazała w dowolnym kierunku. Na zewnątrz słychać było nocne hałasy – Myślałam nad tym ostatnio. Wiem, w czym jestem dobra i co mogę osiągnąć. Ta informacja? To nie to. Ściągnęli mnie tu za wcześnie. Miałam o tym dopiero usłyszeć. Pieprzony, kurwa, fałszywy alarm. – Parsknęła ze złością. – Jestem policjantką – oznajmiła. – I idę policjancić. Hej, wy! – Trzema ruchami wskazała trzech funkcjonariuszy. Wszyscy posłuchali jej bez cienia sprzeciwu. Baron otworzył usta, jakby chciał ją zatrzymać, po czym nagle zmienił zdanie.

– Chyba pójdę z to...

– Nie – odparła i wymaszerowała wraz ze swą małą eskortą.

Przez rozwalone wejście wyszła na pogrążoną w mroku ulicę.

– Dokąd, szefowo? – spytał jeden z posterunkowych.

dzie dziemy kollywood? zawtórował Perky.

Collingswood dysponowała wieloma metodami zdobywania przyjaciół, gdyby tylko chciała, mogłaby być teraz całkowicie otoczona przyjaznymi istotami. Tej nocy trudno było jednak przyciągnąć ich uwagę. Im bardziej czas zmierzał w kierunku swego końca, umysły, wole, duchy, pseudoduchy i zwierzęce instynkty, którymi otaczała się w lepszych czasach, były nerwowe i zbyt niespokojne, by jej w czymkolwiek pomóc. Miała Perky'ego, który niezmordowanie okazywał jej swą niecodzienną, świńską sympatię, i kilka rozproszonych policyjnych funkcji, zbyt niejasnych, by robić cokolwiek poza wyrzucaniem z siebie słów, cedzonych tak powoli, że wyłapując je swym ukrytym słuchem Collingswood nie była w stanie powiedzieć, czy to rzeczywiście słowa, czy też imitacja syreny policyjnej, nieustannie szeptane *tu-i-tam* albo *nii-to-nii-to*. Tylko ona, trzech mężczyzn, niespokojne prosię i praworzędne intencje.

– Perky – powiedziała głośno. Trzej policjanci spojrzeli na nią ze zdziwieniem, ale podczas wspólnych akcji z członkami FPTS nauczyli się nie zadawać pytań w rodzaju: „Z

kim rozmawiasz?” albo „Co to, kurwa, jest?” – Perky, oddał się trochę i powiedz mi, gdzie się biją. Zobaczmy, co da się zrobić.

Pomyślała o Vardym i ogarnęło ją dziwne uczucie, skrzyżowanie rozdrażnienia i troski. „Lepiej, żeby nic ci się nie stało”, pomyślała. „A jeśli wszystko w porządku, to jestem na ciebie kurewsko wściekła. Gdzie ty się, kurwa, włóczysz? Muszę wiedzieć, co tu się dzieje”.

Chociaż – czy rzeczywiście? Nie do końca. To i tak nie miało znaczenia.

Wcześniej przez kilka godzin oglądała nagrania z kamery przemysłowej. Podobnie jak radiografowie, funkcjonariusze FPTS wiedzieli, na co patrzeć, by zrozumieć, co oznacza dany cień, jakich filtrów użyć, by wyostrzyć jakąś rzecz. Co było zwykłym zniekształceniem obrazu, a co sprawką więdźmy naprawdę dewastującej rzeczywistość.

Pogłoski i kiepskiej jakości filmy wydoobyły dwie postacie, które nawet nie starały się ukrywać. Goss i Subby. Goss, kompletnie niezrażony otworzonym przeciw niemu ogniem, niewzruszony ogromem zniszczeń, zabijał prawie od niechcenia. Według zeznań tych nielicznych, których zostawił przy życiu, za każdym razem dopytywał się swoich ofiar:

– Gdzie jest mój szef? Stałem przy ścianie i policzyłem do stu, a teraz czas iść na kolację, a on ciągle jest gdzieś w ogrodzie. Ciocia już się denerwuje. – Po krótkiej nieobecności, powitanej z przedwczesną ulgą, zaczął pojawiać się dosłownie wszędzie.

Czy mniej wyspecjalizowani koledzy Collingswood sądzili, że to wszystko zwykłe przypadki: włamania, napady i niebezpieczna jazda? Może pozwolili sobie myśleć o tym w kategoriach „tu i teraz”, używając określenia „wojna gangów”, mrużąc pod nosem coś o yardiesach i Kosowianach. Napływające raporty opisywały uciekinierów z warsztatu Tatuaza – kobiety i mężczyźni włóczących się nago po ulicach, obnażając swoje przeróbki: żarówki, diody, głośniki i ekrany oscyloskopowe – a przypadkowi przechodnie tylko przez pewien czas mogli wmawiać sobie, że oglądają uliczny happening.

Collingswood oparła się o ścianę i zapaliła papierosa, podczas gdy jej towarzysz śmigał po mieście, szukając kłopotów jak świnia trufli, żeby miała w końcu coś, czym mogłaby się zająć. „To lepsze niż nic”, pomyślała. „Naprawdę?”, spytała się w duchu za chwilę i sama sobie odpowiedziała: „Uhm, naprawdę”.

Świat znowu drgnął. Zatoczył się – nie jak tancerz, lecz jak ktoś uderzony pięścią. Marge poczuła to wyraźnie. Nie wróciła do domu od czasu niedorobionych armagedonów. Wokół pełno było miejsc, w których można się było przespać, jeśli ktoś nie miał dużych wymagań. Nie wiedziała, czy jeszcze ma dom i zakładała, że nie jest już bezpieczna, skoro umierające miasto zwróciło na nią uwagę.

„Najlepiej mów, hm, najlepiej nie mówiąc nic”. Boyzone nie był ulubionym zespołem jej iPodowego diabełka, ale głosik i tak mrucał tekst piosenki bez protestów. To właśnie ten utwór uratował ją w tej krótkiej chwili, gdy poczuła na sobie uwagę jakiejś wygłodzonej, ssaczej świadomości jednego z bogów.

Szła właśnie przez zgentryfikowany kawałek Battersea, gdzie bary czynne były do późna, dumnie obwieszane plakatami filmów klasy B, czuła dudnienie basów przez drzwi, przez chodnik i własne stopy. W oknach biurowców paliły się światła – ludzie pracowali do późna, jakby wierzyli, że za miesiąc wciąż jeszcze będą mieli pracę, a świat ciągle będzie się obracał. Koło kafejek i barów z fast foodem kłębili się ludzie, jakby jeszcze nie minęła północ, przechodzili tuż obok uliczek prowadzących do innego miasta, którego odgłosy Marge wciąż słyszała, nawet teraz, przez nieudolne paranormalne wykonanie piosenki Ronana Keatinga.

Mniejsze uliczki, równie jasno oświetlone jak duże, były bardziej ulotne. Krajobraz zdegenerowanych sznytów, przemocy i terroru eschatologicznego. Marge mogłaby przysiąc, że słyszała strzały padające zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie popijali sobie roześmiani hipsterzy.

Już się nie bała – była ponad to. Po prostu szła, płynęła naprzód, unosząc się na fali nocy, która wydawała jej się ostatnią.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

W niektórych szpitalach personel był bardzo życzliwy i nie zadawał pytań o dziwne obrażenia i choroby. Były tam ciche, dyskretne oddziały, gdzie można było wyleczyć lukundu albo chorobę układu, gdzie nikt by się nie zdziwił, jeśli pacjent dostałby nagłego przesunięcia w fazie w stosunku do reszty świata. Najciężej ranni londynmanci zostali przewiezieni do szpitala, z cichym ostrzeżeniem, że tkwiąc w nich naboje mogą się wykluć.

Dane nie schodził z miejsca na dachu ciężarówka, siedział tam niczym jakiś samotny Odyseusz. W rękę trzymał figurkę Kirka i wymachiwał nią, wzywając Watiego. Zrobił z niej antenę. Upłynęło dużo czasu, nim ktoś ją odnalazł.

– O Boże, Dane – powiedziała nagle figurka.

– Wati, gdzieś ty był? – Dane załomotał w klapę, przez którą za chwilę wyjrzał Billy. Zamrugał oczami, łzawiącymi od wiatru. Obok przesuwało się miasto, zataczające się niczym grube stworzenie na skraju zawału serca. Figurka zakasłała, jakby coś wpadło jej do nieistniejącego gardła, podrażniło nieistniejące płuca. – Słyszałeś, co się stało z londynmantami?

– O, stary – wydyszał Wati. – Byłem... O Boże. Pokonali nas, Dane. Przyprawdzili łamistrąjków. Goss i Subby wrócili.

– Walczą z wami? – zdziwił się Billy. – Mimo że Tatuaz zniknął?

– Większość jego ludzi faktycznie jest w dupie – przyznał Wati. – Ale jeśli Goss i Subby nadal się tu kręcą...

– Gris zatrudnił broniowników.

– To on – dodał Dane. – To on rozpętał tę wojnę. Grisamentum... Dlaczego londynmanci?

– Zaczekaj – odparł Wati. – Zaczekaj. – Znow zakaszłał. – Nie mogę się poruszać tak jak przedtem. Dlatego tak długo was szukałem.

– Ostrożnie, nie forsuj się – uspokoił go Dane.

– Nie, posłuchaj! – wykrzyknął aktywista gorączkowo. – Boże, Dane, nikt ci nie powiedział, co? Już nie chodzi tylko o strajk albo o Londyński Kamień. Teraz już nie ma neutralnych.

– O czym ty mówisz?

– Nie tylko londynmanci zostali zaatakowani. Twoi ludzie też.

– Co?! – wykrzyknął Dane.

– Co? – wykrzyknął Billy. Ten ostentacyjny atak na współpracowników Fitcha, jakby chcieli przyciągnąć uwagę... – Kto? Goss i Subby? Kogo tym razem...

– Nie. Broniownicy przyszedli po krakenitów. Napadli na twój kościół.

Dane ukradł samochód. Nie chciał wziąć ze sobą nikogo oprócz Billy'ego.

– Nie wysłali nikogo! – powtarzał Dane, waląc rękami o deskę rozdzielczą. – Trzymali się z boku. Jak można było... Dlaczego?

– Nie wiem.

– To ja się wychylałem, ale ja nawet nie jestem...

– Nie wiem.

Przed kościołem zebrał się tłumek gapiów. Kręcili głowami, patrząc na dymiące okna, potłuczone szkło i obsceniczne graffiti.

– Co za chuligani.

– Coś okropnego.

Dane przepchnął się poprzez tłum i wszedł do środka. Cała sala została zdewastowana. Wyglądało to na robotę bezmyślnych wandalów. Dane przeszedł przez graciarnię i otworzył klapę w podłodze. Billy słyszał, jak ciężko oddycha. Korytarze były zalane krwią.

Tam, w tym podziemnym labiryncie, znajdowały się ślady prawdziwego ataku. Wyraźnie różne od chaotycznej atrypy urządzonej na górze.

W całym korytarzu leżały ciała – zakrwawione, podziurawione kulami. Nosiciele małych, żarłocznych pocisków. Niektórych zabito inaczej: uderzając czymś ciężkim, dusząc, topiąc i sznytując. Billy szedł jak w zwolnionym filmie. Ciała dawnych towarzyszy Dane'a zaścielały podłogę niczym śmieci.

Krakenita zatrzymał się kilka razy, by zbadać komuś puls, ale robił to powoli, niespiesznie. Sytuacja była jasna. Wokół nie rozbrzmiewał żaden dźwięk prócz ich kroków.

Przetrząśnięto biurka. W kilku miejscach na podłodze widniały zdeptane papierowe samolociki, przypominające ten, który przyniósł Dane'owi wiadomość od Grisamentuma. Billy podniósł dwa czy trzy najczystsze. Na każdym z nich widniał ten sam rysunek – albo jego część – wykonany szarym atramentem. Losowe słowo i symbol – dwoje oczu nakreślonych prostą kreską.

– Grisamentum – powiedział. – To on ich wysłał. – Dane spojrzał na niego beznamiętnie.

W kaplicy, tuż przed ołtarzem, leżały rozstrzelane zwłoki teuthexa. Dane nie wydał żadnego dźwięku. Starzec leżał za ołtarzem, sięgając ku niemu prawą ręką. Dane objął go delikatnie. Billy zostawił go samego.

Rozrzucone samolociki, niczym strzałki na podłodze, prowadziły z grubsza w stronę biblioteki. Billy poszedł za nimi. Gdy otworzył drzwi, zatrzymał się w progu, u szczytu półek i gapił się wokół zszokowany.

Wrócił do kaplicy, gdzie wciąż siedział Dane, pogrążony w żalobie. Billy odczekał tak długo, jak tylko mógł.

– Dane – powiedział w końcu. – Musisz to zobaczyć.

Biblioteka była pusta. Nie zostawiono ani jednej książki.

– Po to właśnie przyszli – stwierdził Dane, wpatrując się w pusty szyb. – Ukraść bibliotekę.

– On... Grisamentum szuka informacji na temat krakena – dodał Billy.

Dane skinął głową.

– To dlatego... Pamiętasz, jak chciał, żebyśmy się do niego przyłączyli? Właśnie dlatego. Zależało mu na tym, co wiem. Ty też, nawet jeśli nie zdajesz sobie sprawy.

– Wszystko zabrał. – Całe stulecia tajemnej głowonożnej wiedzy.

– Grisamentum – szepnął Dane.

– To on. Nie wiemy jeszcze, do czego dąży, ale to część jego planu. Chce odnaleźć krakena i chce wiedzieć o nim jak najwięcej.

– Ale jeszcze go nie ma – zauważył Dane. – Co on z tym teraz zrobi?

Billy zszedł po drabinie. Okulary miał zbryzgane krwią. Potrząsnął głową.

– Nie zdołałby przeczytać nawet ułamka tych rzeczy. To trwałoby całe wieki.

– Nawet nie wiem, gdzie on jest. – Dane uniósł zaciśnięte pięści, po czym znów je opuścił. – Ostatnim razem widziałem go... – krakenita nawet się nie uśmiechnął – tuż przed pogrzebem.

– To dlatego nikt go nie widuje? – spytał Billy. – Tylko Byrne?

– Ukrywa się.

– Tak, ale nawet wtedy... kiedy walczyli z Tatuazem. Można by pomyśleć, że przy takiej okazji Grisamentum stawia się osobiście. Wiemy, że jest zdesperowany – chce dopaść krakena za wszelką cenę.

– Nie wiem. – Dane przesunął ręką po regałach. Billy wczytywał się w dziwne słowa, przypatrując się symbolom nakreślonym na papierowych samolocikach. Dane schodził w dół, zbierając kurz palcami. Odwrócił się i spojrzał na Billy'ego, który wciąż gapił się na samolociki.

– Pamiętasz, co mi opowiedziałeś o pogrzebie Grisamentuma? O tym stosie?

– Nie.

– Po prostu... – Billy wpatrywał się w kleks z atramentu. Poruszył kartką papieru, nie spuszczając palców z oczu. – Dlaczego ten atrament jest szary? – Spojrzał Dane'owi w oczy.

– Właśnie po to wynajął Cole'a – powiedział w końcu Dane.

– Tak – zgodził się Billy. – Pamiętasz, czym się zajmuje? Wszystkie te ognie pamięci? – Obaj wpatrywali się w kartkę, która drżała, jakby poruszana leciutkim wiatrem. W piwnicy nie było wiatru.

- Krakenie – wyrwało się Dane'owi.
- Chryste panie – szepnął w tym samym momencie Billy.

Gdy Grisamentum odkrył, że umiera, poczuł się bardzo urażony. Nie istniały żadne sztuczki, które mogłyby uchronić go przed jego własną wadliwą krwią. Posiadanie spadkobiercy zupełnie go nie interesowało: chciał sam rządzić, nie zakładać dynastii.

Historia знаła wiele przypadków kobiet i mężczyzn, którzy siłą woli wydarli z zaświatów własne duchy, by dalej prowadzić swoje sprawy, przechodząc z jednego nosiciela w drugiego i z czystego uporu odmawiając umierania. Byrne była dobra, jej wiedza okazała się nieoceniona, a zaangażowanie w cały plan było bardzo osobiste, ale nie potrafiła zwyciężyć samej śmierci. Co najwyżej trochę ją ozdobić.

- Chryste. Musiał zawrzeć jakąś... inną umowę – szepnął Billy.

Zaplanował swój pogrzeb, przemowę, zdecydował, kogo zaprosić, a kogo pominąć, ale sama śmierć stanowiła zaledwie plan B. „Co z tym zrobimy?“, zwrócił się do swoich specjalistów. „Jak można by uniknąć tej nieprzyjemności?“

Czy to właśnie wtedy, gdy organizował spektakularną kremację, przyszedł mu do głowy ten pomysł? Może wypisywał wtedy harmonogram ceremonii. Może gdy pisał instrukcje dla Byrne, nagle zapatrzył się na pióro, papier i czarny atrament.

- Rozmawiał z piromantami – przypomniał Billy. – I nekromantami. A co jeśli Byrne wcale nie rozmawiała z nim zdalnie? Pamiętasz, jak pisała. – Rozprostował papier, odsłaniając małe oczka. – Co tu robią te papierowe samolociki? Pamiętasz, jak nas znalazła? Dlaczego ten atrament jest szary?

Grisamentum spłonął żywcem, w czasowo i psychicznie podszytowanym ogniu pamięci, skundlonym produkcie kilku dziedzin, wspólnym dziele Byrne i piromantów. Ale wcale nie zginął. Nigdy nie zginął. O to właśnie chodziło.

Po kilku godzinach, gdy żałobnicy odeszli, zgarnięto pozostałości stosu. Grisamentum spłonął na popiół, ale nie zginął. W tej postaci nie groziła mu już choroba: nie miał żył, w których mogłyby płynąć wadliwa krew, ani organów, które mogłyby przestać działać. Byrne zgarnęła go, spopielonego, do urny, zmiażdżyła szczątki zwęglonych kości na proszek. Potem połączyła go z bazą, którą wcześniej przygotowała: guma, spirytus, woda i potężny sznyt.

W końcu zanurzyła w nim pióro, zamknęła oczy i przeciągnęła stalówką po papierze i po chwili zobaczyła, jak cienka linia układa się w koślawe litery – substancja uczyła się samej siebie – i aż westchnęła w wiernopoddańczym zachwycie, gdy atrament napisał: „Witaj znów“.

- Dlaczego to zrobił? – spytał z niedowierzaniem Dane. Gapił się na papier, a atrament odwzajemniał spojrzenie. – Dlaczego chce podpalić świat? Dlatego, że sam spłonął? Z zemsty?

– Nie wiem. – Billy chodził wokół, zbierając papierowe samolociki. Na jednym z nich napisano „Topola”. Na drugim „Oprawa”. Na jeszcze innym „Telefon”. Linie pisma były cienkie jak włos. Na wszystkich nakreślono dwoje oczu. Był to jedyny honorowy akcent, znak nostalgii za złudnymi, legendarnymi czasami.

„Czy zawsze tak było?”, zastanawiał się Billy. „Czy ten bezlitosny zabójca, który za nic miał wszelką neutralność, zawsze był tak okrutny? Co mogło go do tego skłonić?”. Nie mógł ogarnąć potworności tego morderstwa.

Dane chodził z pokoju do pokoju, zbierając różne artefakty krakenitów, a od czasu do czasu także broń. Prawdopodobnie część kongregacji wciąż przebywała na zewnątrz, załatwiając różne sprawy albo żyjąc własnym życiem. Dopiero po jakimś czasie mieli się dowiedzieć, że ich religię zmieciono z powierzchni ziemi, a papieża zamordowano przy samym ołtarzu. Podobnie jak londynmanci stali się wygnańcami. W tej chwili, w głębi piwnicy, brnąc poprzez zwłoki i zgliszcza, Dane mógł być ostatnim człowiekiem na świecie.

Skąd się brało to światło? Kilka żarówek uniknęło zniszczenia, ale szarówka w korytarzach zdawała się przyćmiewać ten wątły blask barwy sepii. Plamy krwi były prawie czarne. Billy słyszał, że tak właśnie wygląda krew oglądana w świetle księżyca. Spojrzał w oczy nakreślone na samolociku. Rysunek odwzajemnił spojrzenie. Papier znów zatrzepotał bez wiatru.

– Próbuje uciec – stwierdził Billy. – Dlaczego mieliby... dlaczego miałby tu przychodzić, zamiast po prostu wydać rozkazy? Obserwuje. Widzisz, jak cienkie są te linie? Pamiętasz, jaka Byrne była ostrożna? Jak zmieniała pióra, żeby później zeszkrobać atrament? W końcu ma do dyspozycji tylko ograniczoną ilość.

– Ale dlaczego to zrobił? – wrzasnął Dane.

Billy wciąż spoglądał w atramentowe oczy.

– Nie mam pojęcia. Trzeba się dowiedzieć. Pierwsze pytanie brzmi: „Jak się przesłuchuje atrament?”.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Siedzieli w ciężarówce – czuli się tam bezpieczniej niż w piwnicy, pod ich nieobecność zamienionej w kryptę. Billy pozbierał wszystkie samolociki, jakie zdołał znaleźć, i oczyścił z krwi i błota, pozostawiając tylko atrament.

Z góry spoglądał na nich kraken. Dane modlił się bezgłośnie. Londynmanci pomrukiwali coś, spoglądając na krakenitę, który nagle stał się rozbitkiem, tak samo jak oni. Billy tymczasem namoczył papier w wodzie destylowanej, ugniótł rękami i wycisnął mocno. Paul obserwował go, siedząc tatuażem do ściany. Kustosz zlał do naczynia płyn barwy słabej herbaty i odparował nadmiar. Ciecz odsunęła się od niego nienaturalnie.

– Ostrożnie – przestrzegła Saira. Jeśli atrament stanowił esencję Grisamentuma, to może każda kropelka była nim? Możliwe, że każda z nich władała wszystkimi jego zmysłami, zawierała jego myśli i odrobinę jego mocy.

– Zeskrobywała go za każdym razem i mieszała z powrotem – odparł Billy. Każdą kropelkę dolewała do zabutelkowanej świadomości swojego pana. Po co były te oczy? Atrament wie tyle, ile poszczególne krople. – Pewnie muszą się nim jakoś opiekować. – Ilość Grisamentuma była ograniczona. Każdy rozkaz, który wypisał, każde zakłęcie składało się z niego i powodowało nieustanny ubytek. Gdyby wypisać go całego, w efekcie otrzymałoby się dziesiątki tysięcy Grisamentumów na skrawkach papieru, z których każdy miał na tyle mocy, by służyć za magiczną pocztówkę.

Gdy Billy skończył, w naczyniu pozostał zaledwie naporstek płynu – więcej niż kropla, ale niewiele więcej. Zanurzył w nim igłę. Dane wstał, nakreślił jakiś pobożny gest i dołączył do pozostałych. Zerknął w górę. Wati, wyczerpany porażką strajku, drzemał w lalce przypiętej na dachu kabiny. Billy przegrzebał papiery, wyrzucił z torby wszystkie świstki, najróżniejsze bazgroły.

– I to zadziała? – spytała z niedowierzaniem Saira.

– Byrne jakoś się udało. Zresztą zaraz się przekonamy.

– Myślisz, że naprawdę się dowiemy, co on planuje?

Nie spuszczając oczu z Dane'a, Billy przyłożył igłę do papieru i przesunął po niej, nie patrząc. Narysował cienką kreskę. Tylko jedną.

– Hej tam! – zawołał. – Grisamentum! Uważaj.

Nakreślił drugą i trzecią i za ostatnim razem linia w końcu drgnęła, niczym kardiogram, i zmieniła się w tekst głoszący: *POCALUJ MNIE W DUPE*. Drobne, ostre pismo. Billy znów zanurzył igłę w płynie.

– Teraz ja – szepnął Dane.

Billy machnął ręką, by się odsunął.

– Nie rozumiesz zbyt jasno – szepnął do kropli na dnie naczynia. – Pewnie jesteś trochę zdezorientowany. Trochę rozcieńczony, trochę otępiały. Twój umysł musi być... trochę mały.

– Uniósł pipetę nad atramentem. – Możemy cię rozcieńczyć jeszcze bardziej. Czy alkohol cię szczypie? Mamy też sok z cytryny. Mamy kwas. – Billy mógłby przysiąc, że przy ostatnim słowie kropla drgnęła. Pigment zawierający Grisamentuma zawirował w buteleczce.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał atramentu.

– Moi ludzie... – zaczął Dane.

Billy zanurzył igłę, przyłożył do papieru i napisał: *PIERDOL SIĘ*.

– Mhm – odparł Billy. Zanurzył igłę w wybielaczu, a potem w atramencie. Była to minimalna dawka – to zadanie wymagało subtelności. Kolor atramentu zadrżał i wyblakł lekko. Billy zamieszał płyn i znów przeciągnął igłą po kartce.

GNOJKI, napisał Grisamentum.

– Co ty wyprawiasz?

PIERDOL SIĘ.

– Gdzie jest reszta ciebie?

PIERDOL SIĘ.

Billy wpuścił więcej wybielacza, a atrament zafalował.

– Nie wylejemy cię do zlewu. Nie rozplyniesz się spokojnie pośród gówien i szczurów. – Uniósł pipetę ponad szklanką. – Naszczam do ciebie, a potem zaleję wybielaczem. Gdzie jest reszta?

Znów napisał. Pismo było nerwowe, poszarpane.

SKURWYSYNY.

– W porządku – zarządził Dane. – Wybielić tego morderczego gnoja.

CZEKAJ, napisał Billy. *FABRYKA ATRAMENT. ZAMKNIĘTA*.

Billy spojrzął na Sairę. Dane szepnął coś do zabawki, którą nosił przy sobie, chociaż Wati wciąż był na zewnątrz.

– Dlaczego zabraliście książki? – Billy znów nabrał wybielacza.

BADANIA.

– Jakim cudem chciał je wszystkie przeczytać? – wybuchnął Dane. – Badania? Co go to w ogóle obchodzi? O co, mu chodzi, na boga?

To plan Grisamentuma rozpoczął wielkie odliczanie do nadchodzącego pożaru. To on wszystko rozpętał. Tylko dzięki przesądności Adlera, jednego z nielicznych, którzy wiedzieli, że ich szef – w swej pośredniej, spopielonej postaci – wciąż istnieje, londynmanci dowiedzieli

się o całym planie. Słyszając o planowanej kradzieży, postanowili interweniować, wbrew własnym przysięgom, częściowo dlatego, że nie mogli dopuścić do tego pożaru.

– Dlaczego? – szepnął Billy. – Czemu chcesz go spalić?

NIE WYGLUPIAJ CZEMU?

– Więc o co chodzi?

– Co on robi? – zawtórował Fitch. – Po co mu kraken?

NIE WIESZ?

Atrament z własnej woli przycisnął igłę do papieru i odpisał ręką Billy'ego. Mężczyzna znów umoczył ją w tuszu.

MAGIA.

TYLKO JA MOGĘ BYĆ.

– Okej – powiedział kustosz po chwili. – Czy ktoś z was to rozumie?

– Dlaczego to pisze? – spytał Dane. – Nawet nie zagroziłeś mu wybielaniem.

– Chwali się – powiedział nagle Paul. Billy przytaknął.

– Wybielić skurwysyna – stwierdził Dane. – Choćby dla zasady. – Billy zanurzył zwilżoną igłę w buteleczce.

NIE NIE TO MAGIA TLKO JA MGE STAC. NIKT INY.

– Oszalał – stwierdziła Saira.

– Atrament – powiedział Billy.

Spojrzeli na niego osłupiali.

– O to mu chodziło. Nikt inny nie może stać się atramentem. Atramentem krakena. Ktoś inny mógłby go wykorzystać, ale Grisamentum może się nim stać.

I jakaż byłaby to magiczna istota. Obcy bóg-łowca w całej swojej mackowatości. Otoczony szkłem. Wiedział, jak działa wszechświat. Miał największe oczy, więc był wszechwidzący. Nieślubne dziecko mitologii i nauki, magia eksponatów. I jakaż inna istota, posiadająca te same cechy, miała możliwość, by to wszystko zapisać?

– Jezu – szepnął Billy. – Od początku chodziło o pismo. Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał atramentu. – Jak to działa?

MOGĘ STAC MGE BDE ATRMNNNT

Niewielka kropla Grisamentuma była zbyt rozcieńczona i ograniczona, by odpowiedzieć na to pytanie. W porządku. Analogie, metafory, perswazja – Billy wiedział, że tak działa Londyn. Pamiętał, jak Vardy odkrywał całe pokłady gnozy jedynie siłą woli, oczyścił więc umysł i spróbował go naśladować.

A zatem.

Wraz z pismem nadszedłby nowy rodzaj pamięci, nowe zapiski i grymuary. W ten sposób można było stworzyć nowe tradycje, trudniejsze do obalenia kłamstwa. Raz spisana historia przyspieszała, poruszała się z prędkością atramentu. W minionych uciążliwych stuleciach

pigment przechowywano w głowonożnych naczyniach – ruchome kałamarze, które łowiliśmy, jedliśmy, a atrament spływał nam po brodach.

„A zatem to kamuflaż?”, myślał. Bez żartów. *Architeuthis* żyje w strefie afotycznej: co dałby im obłok barwy sepia w świecie pozbawionym światła? Musiał się tam znaleźć z innych powodów. Po prostu nie zdołaliśmy tego odkryć, przez całe tysiąclecia. Nie wynaleźliśmy atramentu: czekał na nas, całe eony przed wynalezieniem pisma. W ciałach podwodnych bogów.

– Co mógłby zrobić z atramentem krakena? – spytał Dane. Bez cienia szyderstwa, bez tchu.

– Czym mógłby się stać? – poprawił Billy.

Choćby i samym „mene tekel fares”. Dziennikiem pokładowym, zestawem instrukcji, według których działa cały świat. Dekalogiem.

– Ale on nie żyje – zdziwił się Billy.

– Daj spokój, spójrz na Byrne. Grisamentum pracował już wcześniej z tanatechami – odparł Dane. – Musi tylko obudzić ciało, tylko na chwilę, a potem wyciągnąć trochę atramentu. Musi go tylko wydoić.

Niewiele potrzeba, by przywieść zakonserwowaną kałamarznicę nieco bliżej życia. Dzięki Billy’emu i jego kolegom ciało się nie rozłożyło, nie było żadnych śladów rozkładu, które ciążyłyby w stronę śmierci i zawsze stanowiły największą przeszkodę dla nekrokwali. Zatrzymanie się na progu życia w zupełności wystarczyłoby do stymulacji woreczków czernidłowych.

– Ale dlaczego miałby go palić? – nalegała Saira. – Skąd ten pożar?

– Jego plan zapoczątkował ten proces – powiedział w końcu Fitch. – Tylko tyle wiemy.

– Może ma to coś wspólnego z jego ekipą – rozważał Billy. – Może to on przetrzymuje córkę Cole’a. Może sytuacja wyrwała mu się spod kontroli. Gdzie dziewczyna? – Zwrócił się do kleksa atramentu. – Dlaczego porwałś córkę Cole’a? – Szturchnął kropkę, by ją obudzić.

CO? ŻADNĄ CÓRKĘ ATRAMENTU

– Wybielić go – zarządziła mściwie Saira. Billy nakreślił spanikowaną pofalowaną linię, a potem słowa: *TATUAŻ TO TY?* I strzałkę, wskazującą wprost na Paula. Mężczyzna wstał.

– Hej – upomniał go Billy. – Dlaczego przetrzymujesz tę dziewczynkę? Znow wypisał drobnym pismem: *NIE TY TATU I TAK ZLAPIE. WITAJ*

– Dostyc tego! – przerwał Billy. Kilka bezsensownych bazgrołów, po czym znow pojawiły się słowa, tym razem szybciej.

CO CI ZROBIĄ?

– Co? Co zrobią? – Billy pisał, nie patrząc na papier. – O czym on mówi?

– Czeka, czeka! – zawołał Fitch.

Billy uniósł igłę i przeczytał, co napisał.

MAJĄ CIE I TATA. NIE POZWLĄ ŻYĆ OBRNIE SZYBKO

– Co?

– Zaczekaj...

– Czy to...

„Mają ciebie”. Paul stał obok. „I Tatużka”. Dane stał koło niego. „Nie pozwolą ci żyć”.

Bill zapatrzył się na Fitcha i Sairę. „Obronię cię”, mówił Grisamentum. „Szybko”.

– Zaraz, bez nerwów – zaczął starszy mężczyzna.

– Co takiego? – wykrzyknął Billy.

– Zaczekaj – powiedział Dane. – On chce namącić i tyle. – Spojrzał na Fitcha.

Paul zareagował szybciej, niż Billy by go kiedykolwiek podejrzewał. Chwycił szklany pojemnik i stos papierów zapisanych Grisamentumem, złapał ze stołu nożyczki i cofnął się aż do tylnych drzwi.

Billy spojrział Fitchowi w twarz i nie próbował zatrzymać Paula.

– Posłuchaj! – nalegał Fitch. – Widzisz? Chce nas skłócić!

– W porządku – powiedział Dane, stając pomiędzy Paulem i londynmantami. – Uspokójmy się wszyscy, dobrze?

Billy opuścił igłę i napisał coś resztką atramentu.

– Nie! – zaprotestował Fitch, ale Billy zignorował go i przeczytał na głos:

– Dlaczego miałiby cię oszczędzić?

Spojrzął na Dane’a, porozumieli się wzrokiem. W milczeniu zgodzili się, że maleńka, zamroczona kropelka Grisamentuma rzeczywiście wiedziała, co mówi.

Billy wycelował z fazera w londynmantów. Nie wiedzieli, że broń jest pusta albo na wykończeniu. Wątpił, by w ogóle wystrzeliła.

– Posłuchaj... – zaczęła Saira. Uniosła ręce jak bokser, ale wciąż spoglądała na Fitcha. – To kompletna bzdura.

– Nie bądźcie głupi... – zająknął się Fitch. – Nikt z nas nie zamierza, nikt nie ma... dlaczego miałibyśmy...

– Ty... – wyszeptał Paul. – On ma rację. – Zaczął się cofać, aż oparł się plecami o drzwi.

– Zaczekaj! – krzyknął Fitch, ale gdy ostatni z londynmantów postąpili naprzód, Dane wyszedł im naprzeciw.

– Cofnijcie się – rozkazał Billy, stając u jego boku. Chroniąc Paula. – Co wy, do cholery, knujecie?

Ciężarówka zatrzymała się na chwilę na czerwonym świetle, na zakazie stopu, a może kierowca zobaczył coś na jezdni, ale Paul nie wahał się ani chwili. Otworzył drzwi, aż oświetlił go blask reflektorów nadjeżdżającego pojazdu. Miotły się z boku na bok, jakby zaskoczony kierowca ujrzał na chwilę krakena w całej okazałości. Paul skoczył, zbyt szybko, by ktoś zdołał go zatrzymać, unosząc atrament i papiery, po czym zatrzęsął drzwiami.

– Kurwa! – zaklął Dane. Zaczął mocować się z drzwiami, ale kierowca ciężarówki, nie wiedząc, co się dzieje, zaczął przyspieszać. Gdy drzwi się w końcu otwały, pojazd znajdował się już kawałek dalej, a Paul zniknął.

– Musimy go znaleźć – oznajmił Billy. – Musimy...

Przyprowadzić go do londyńczyków, do Fitcha, który wcale nie zaprzeczył oskarżeniom atramentu. Billy zawahał się lekko. Dane naprawdę nie spieszył się z otwieraniem tych drzwi.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

– Daliście mu uciec! – wykrzyknął Fitch. – Mielśmy w garści Tatuaza, a wy daliście mu uciec.

– Nie pierdol, człowieku – odciął się Billy. – Zamknij się. Paul to nie Tatuaz.

– Nie damy ci go zabić – dodał Dane.

– Nie chcieliśmy go zabić.

– Jasne, widziałem – zadrwił Billy. – Nawet nie spojrzalesz mu w oczy. Nie udawaj niewiniątka, wszyscy wiemy, co zrobiłeś z Adlerem.

– Teraz każdy może go złapać, a wtedy wszyscy mamy kłopoty – stwierdził z godnością Fitch. – Nie zamierzałem go skrzywdzić, ale nie będę przepraszał za to, że rozważałem wszystkie scenariusze.

– Wszystkie scenariusze?! – wrzasnął Billy.

– Co? – spytała z osłupieniem Saira.

– Mielśmy tu jednego z dwóch władców Londynu – Fitch drżał. – Odpowiedzialnego za Bóg wie ile zbrodni. Musieliśmy zabezpieczyć sytuację. Co mogliśmy zrobić?

– Nie mogę w to uwierzyć! – wybuchnęła Saira. – Nie jesteśmy mordercami.

– Nie rób scen. – Fitch próbował przybrać niewzruszony wyraz twarzy.

– Nie zamierzałeś go wypuścić – stwierdził Billy. – Nie sądzisz, że już przeżył dość czasu jako cudza własność?

– Zamierzałem urządzić głosowanie.

– Och, wyobrażam to sobie – wycedził Billy. – Myślę, że Paul stanowczo sprzeciwiłby się wnioskowi proponującemu jego uwięzienie albo egzekucję. Założę się, że poparłby te, które dopuszczałyby inne możliwości.

– Posłuchacie mnie czy nie? – uciął Fitch. – Paul wie, gdzie jesteśmy.

– O czym ty mówisz? – Billy wskazał gestem okolicę. – Nawet ja nie wiem, gdzie jesteśmy, a przecież jestem w środku.

– Wie, jaką drogą podróżujemy, widział też samochód. Jeśli Tatuaz znów go sterroryzuje, a wcześniej już mu się to udało, to zbierze swoich ludzi, a wtedy mamy poważne kłopoty. Musimy uznać, że kryjówka jest spalona.

Wydawało się, że noc przeszła w kolejną noc, zupełnie pomijając dzień – tak długo było ciemno. Paul nie miał nic przeciwko. Ciemność mu sprzyjała. Trzymał się z daleka od wszelkich dźwięków, oddychał głęboko i podążał za każdą ciszą, jaką tylko był w stanie znaleźć. Był spanikowany, ale i zachwycony. Po raz pierwszy od wielu lat znalazł się sam, bez straży i sam mógł zdecydować, dokąd pójdzie.

A zatem dokąd szedł? Przez dłuższy czas po prostu biegł przed siebie. Okazało się, że tej nocy bardzo wielu ludzi dokądś biegło. Widział ich na skrzyżowaniach, na rondach, patrzył, jak próbują umknąć przed ścigającymi ich katastrofami.

Przez wiele lat próbował wprawdzie odciąć się od wszystkich tych rzeczy, które działy się na polecenie rysunku na jego skórze – wspomnienia morderstw dokonanych za jego plecami, krzyki ludzi, których nawet nie widział – zdołał jednak nauczyć się kilku przestępczych sztuczek. Wiedział na przykład, że większość uciekinierów zostaje złapana, ponieważ nie zdają sobie sprawy, jak daleko powinni odejść, zanim przystaną, dlatego po prostu biegł jak najdalej.

Zaciskał w dłoni naczynie z atramentem. Poczuł, że płyn piecze go w kciuk, którym zatkał butelkę. Był zbyt słaby, by zrobić cokolwiek innego. Paul wiedział, że będą go poszukiwać nie tylko londynmanci, ale też dawni współpracownicy Tatuaza, stęsknieni za swoim szefem. Wiedział, że go znajdą.

Goss i Subby wyruszą na polowanie. Raz kupieni, pozostawali absolutnie lojalni. Prawdopodobnie aż szaleli z niecierpliwości, by wrócić do pracy w służbie ilustracji na plecach Paula.

Tym razem okaleczą go na stałe. Oślepią go, amputują kończyny i zaczną odżywiać witaminizowaną papką, którą będzie musiał połykać bez pomocy języka.

W końcu zwolnił. Nie czuł zmęczenia. Rozejrzał się wokół.

– Pewnie doprowadza cię to do szału, co? – szepnął tak cicho, że tylko jego własna skóra była w stanie to usłyszeć. – Nie wiesz, co się dzieje? Ślepy i niemy. Pewnie czujesz tylko, że biegnę.

Usłyszał odgłos tłuczonego szkła. Poczuł odbicie sznytów, które w telewizji zapewne opiszą jako koktajle Mołotowa. Przeskoczył przez żelazną balustradę w zarośnięty fragment pomiędzy ulicami, zbyt mały, by uznano go za park. Skulony jak ścigane zwierzę, z dala od ludzkich domostw. Leżał w żywopłocie i myślał.

Tatuaż siedział cicho. Paul w końcu wstał. Wyciągnął przed siebie buteleczkę z Grisamentumem. Przez chwilę wpatrywał się w nią, tak jakby zastanawiał się, czy jednak nie sprzymierzyć się z wrogiem jego własnej zniechęconej skóry, jakby rozważał, czy ostatecznie nie podjąć z nim współpracy. Patrzył, jak atrament spogląda na niego.

– Dzięki za ofertę – szepnął. – Dzięki za... no wiesz. Za ostrzeżenie. I za to, że obiecałeś mnie chronić. Dzięki. Naprawdę myślisz, że pozwolę znowu sobą rządzić?

Wstał, rozpiął rozporek i nasikał do małego naczynia, rozcieńczając i rozchlapując małą kroplę spopielonego króla Londynu.

– Pieprzyć cię – szepnął. – Pieprzyć ciebie też. Pieprzyć cię, tak samo jak jego.

Gdy skończył, w butelce był tylko mocz. Potem wyjął kartki, na których Billy pozwolił Grisamentumowi wypisać odpowiedzi. Pomocny wiatr rozwiał ostatnie suche liście, dzięki czemu światło latarni padało wprost na papier. Paul przejrzał wszystkie. Przeczytał inne zapiski i złożył sobie z nich całą historię. Patchworkowy detektyw. Próbował poskładać to do kupy.

Zachował sobie jedną kartkę. Usiadł, oparty plecami o balustradę i przeczytał ją wielokrotnie. Potem złożył ją, przycisnął do czoła i długo myślał.

W końcu wstał i przemierzając ulice w swych znoszonych tenisówkach, znalazł budkę telefoniczną. Przejrzał firmy oferujące połączenia na koszt abonenta i pobierających procent – działały nawet dziś, tej nocy – po czym wykręcił numer podany na kartce. Połączył się z pocztą głosową.

– Mam twoją ulotkę – zaczął. Odkaslnął, po czym spytał: – Czy dodzwoniłem się do Marge? Znalazłem twoją ulotkę. Wiem, gdzie jest Billy. Chcesz się ze mną spotkać? Wiem, że dzisiaj dzieją się różne dziwne rzeczy, ale teraz albo nigdy. Zaczekam tutaj. To jest mój numer. Oddzwoń, jak tylko będziesz mogła. – Podał numer telefonu z budki. – Musisz po mnie przyjechać i to jak najszybciej. Potem ci wszystko opowiem.

Nagle Tatuaz drgnął z wahaniem. Telefon, być może przypadkiem, zgrał się ze straszliwym przesunięciem w historii. Wszyscy to poczuli. Wybuch ognia, żar, a potem pustka. Historia płonęła.

– Czujesz to? – spytał Fitch.

Jeśli Paul podda się swojemu pasożytowi, a Tatuaz zdąży się przegrupować i wrócić w większej sile, będzie już po nich. Londynmanci byli w tej sprawie jednomyślni. Możliwe też, że Paul zgodziłby się współpracować z Grisamentumem, a w każdym razie z jego małą kroplą, i zanieść ją do miejsca, gdzie przechowywano resztę płynnego szefa gangu. W takim przypadku też było po nich.

– Ciekawe, co to będzie za współpraca? – zastanawiał się głośno Billy.

Wokół panował taki harmider, że nikt go nie usłyszał. Fitch wrzeszczał na Billy'ego i Dane'a za to, że pozwolili Paulowi uciec, a potem nagle wycofał się i zaczął mruzczyć coś do siebie. Dane warczał groźnie w odpowiedzi, a potem nagle poddawał się i wyglądał przez okno albo przez klapę w dachu i szeptał coś do Watiego. Jeśli związkowiec był przytomny, to nie powiedział nic, co byłoby słyhać. Londynmanci wrzeszczeli na Fitcha, nie zważając na jego status, wciąż nie mogąc uwierzyć w jego plan. Saira nie odezwała się ani słowem.

– To zbyt niebezpieczne – powtarzał Fitch. – Ten człowiek jest nie zrównoważony. Tatuż się wymknął. Przy pierwszej sposobności popędzi do Gossa i Subby’ego. Rozumiecie? Potem przyjdą po nas... a wtedy zginiemy nie tylko my.

Nie mogli na to pozwolić. Musieli trzymać krakena z dala od nadciągającego pożaru.

– Co myśmy właściwie przy nim mówili? – zastanawiał się ktoś.

– Nie wiem – odparł ze znużeniem Fitch. – Musimy przewieźć krakena w bezpieczne miejsce.

– A co, kurwa, proponujesz? – warknął Dane. – Już się zaczęło.

– Nie rozumiecie? – odezwała się Saira. – Byliśmy w stanie zabezpieczyć tę operację tylko wtedy, gdy nikt nie wiedział, że to my, i nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy. Cóż, teraz wie o tym dwóch najgorszych ludzi na świecie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Paul i marginalia siedzieli naprzeciw siebie. Od czego można zacząć taką rozmowę?

Marge nie ryzykowała już odbierania telefonów, ale sprawdzała wiadomości i kilka godzin później zjawiała się w umówionym miejscu. Zakradła się z powrotem do mieszkania i wyjechała na spotkanie z Paulem. Mężczyzna patrzył, jak samochód nadjeżdża, powoli niczym podwodny pojazd sunący przez zatopione ulice. W tym zakątku Londynu było bardzo spokojnie. Zaparkowała kilka metrów od niego, pod inną latarnią. Czekala przez dłuższy czas i dopiero, gdy przekonała się, że Paul nie zamierza się na nią rzucić ani zrobić nic innego, po prostu stoi i czeka, dopiero wtedy pokazała gestem, by podszedł. Przez cały czas nosiła słuchawki, z których dobiegał cienki, trajkoczący głosik, ale najwyraźniej słyszała, co się do niej mówi.

– Jedź – powiedział Paul. – Powiem ci, którą jechać, żeby nie zwracać uwagi.

Przez jakiś czas jechali przez noc, Marge kierowała się wskazówkami swojego pasażera. Paul na tyle długo przeżył ze swym wytatuowanym pasożytem, że wiedział, jak nakreślić pieczęć.

– Tutaj skręć.

– Dokąd jedziemy?

– Gdzieś, gdzie nas nie znajdą. – Poprowadził ją przez Londyn, trzymając się bocznych uliczek, krążąc. – Gdzie to jest? – mruczał do siebie, przywołując wspomnienia.

W końcu trafili na parking podziemny przy wejściu do jakichś drogich mieszkań. Marge zaparkowała pomiędzy filarami, a wtedy spojrzeli na siebie w ciemności. Paul zmierzył wzrokiem kobietę, a ona wpatrywała się w zniszczonego życiem mężczyznę. Był niespokojny, ale uznała, że chyba ma jakiś plan.

– Gdzie jesteśmy?

– W Hoxton.

– Nawet nie wiem, o co mam cię spytać... – zaczęła. – Nie wiem, co...

– Ja też.

– Kim jesteś? Skąd się tu wzięłeś?

– Uciekłem.

Cisza. Marge wciąż ścisnęła taser, który gdzieś zdobyła. W tym mieście można było zdobyć wszystko. Paul spojrzął na niego.

– Czemu chciałeś ze mną rozmawiać? – spytała w końcu. – Co ty w tym wszystkim robisz?

– Chyba spotkałem jednego z twoich przyjaciół...

– Leona? – Nadzieja w jej głosie zamarła, jeszcze zanim wypowiedziała do słowo. – Nie Leona.

– Nie wiem kogo – powiedział łagodnie.

– Billy’ego?

– Billy’ego. Jest z londynmantami. Z kałamarnicą.

– On cię przysłał?

– Nie do końca. To skomplikowane... – mówił tak, jakby od dawna nie miał okazji tego robić.

– Opowiedz mi wszystko.

– Najpierw ty.

W ciągu kilku godzin Marge opowiedziała mu o tym, co widziała. Gdy opisała spotkanie z Gossem i Subbym, mężczyzna skrzywił się i pokiwał głową. Obiecał, że opowie jej swoją historię i chyba naprawdę uważał, że tak robi, ale wypluwał z siebie tylko strumień imion, obrazów i innych szczegółów, które nie miały żadnego sensu. Marge słuchała, chociaż nie wyjęła słuchawek, i nie usłyszała tam niczego, co mogłoby się jej przydać. Pod koniec wiedziała tylko tyle, że Billy siedzi w czymś po uszy, a to uczucie naciągającego końca nie jest tylko wytworem jej własnej paranoi.

– Po co mnie szukałeś? – spytała.

– Myślę, że moglibyśmy pomóc sobie nawzajem. Widzisz, chcę przesłać wiadomość londynmantom, ale podejrzewam, że nie będą grać zbyt czysto. W każdym razie nie ze mną. Co do Dane’a i Billy’ego, to sam nie wiem. Ale muszą mnie wysłuchać, bo mam plan. Kiedy zobaczyłem twoją ulotkę, pomyślałem sobie: „Aha, ona zna Billy’ego”. Przypomniałem sobie, że kiedyś o tobie wspomniał. „Z nią na pewno będzie szczerzy”, pomyślałem.

– Chcesz, żebym była twoim pośrednikiem?

– Tak. Mam dostęp do... Trudno to wyjaśnić, ale mam dostęp do pewnych mocy, których oni szukają. Ale potrzebuję ochrony... przed nimi. Mogę zawrzeć umowę, ale oni uważają, że nie mogą mi ufać. Ostatnio nie byłem sobą. Ścigają mnie.

– To przecież ty wiesz, gdzie oni są, ja nie mam bladego pojęcia. Mówiłam ci, że nie próbował się ze mną skontaktować, chociaż ma mój numer...

– Próbował cię ochronić. Nie miej mu tego za złe. Ale i tak możesz przesłać mu wiadomość. Jak mówiłem, tobie zaufa. – Paul spojrzął jej w oczy, a potem rozejrzał się wokół.

– Jak? Masz jego numer?

– Oczywiście, że nie. Prześlę ją przez miasto. Londynmanci to odbiorą.

– Ja też dostałam kiedyś wiadomość przez miasto – powiedziała w zamyśleniu. Paul spojrzął na nią uważnie. – Od Billy’ego.

– Tak? – spytał cicho. – Jak? Dźwiękiem? Światłem? Ceglanym brajlem?

– Światłem – powiedziała, a on uśmiechnął się krótko i naprawdę pięknie.

– Światłem, tak? Doskonale... W takim razie światło. – Wysiadł z samochodu, a Marge poszła jego śladem. – W takim razie już istnieje między wami połączenie. Będzie łatwiej. – Spojrzął w ciemność, w stronę kubłów na śmieci, po czym wskazał na coś – Popatrz. – W betonowym stropie osadzono migoczącą żarówkę. Było ich tu kilka, ale tylko ta wyglądała, jakby lada chwila miała zgasnąć.

– Ach – Marge zniżyła głos prawie do szeptu. – A zatem to tak działa.

Mężczyzna uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

– Nie musimy wiedzieć, gdzie jest Billy. W tej chwili kompletnie już nie wiem. Ale londynmanci zawsze nasłuchują. Miasto przekaże im wiadomość. Znam alfabet Morse’a. Tak, w ciągu ostatnich paru lat nauczyłem się najróżniejszych rzeczy. Niektóre nawet pożyteczne. Ufasz mi? – Stał naprzeciwko niej i odwrócił dłonie, żeby pokazać, że nie trzyma nic w rękach. – Możemy zawrzeć umowę. Pomóc sobie nawzajem. Billy naprawdę chce cię zobaczyć. Możesz go poprosić, żeby tu przyszedł.

Napisała: „Billy, to ja, Marge. Spotkajmy się”.

– Pomyśli, że to pułapka – stwierdziła z powątpiewaniem.

– Może. A może poszwenda się w pobliżu, żeby zobaczyć, czy to rzeczywiście ty – dodał z cieniem uśmiechu. – A może po prostu przyjdzie. Martwi się o ciebie.

„Czyżby?”, pomyślała Marge.

– Powiedz coś, o czym wiecie tylko wy dwoje. Niech się upewni, że to ty.

Marge napisała drugie imię Leona. Wypisała też adres parkingu, na którym byli, a Paul przetłumaczył tę wiadomość na alfabet Morse’a, dopisując kreski i kropki pod literami. To ona musiała wysłać wiadomość, podkreślił. Jej wiadomość do jej przyjaciela wysłana jej metodą.

Marge pomyślała, że jeśli Paul chciał ją zabić, to wybrał chyba najwolniejszy możliwy sposób. Stała na dachu samochodu, podczas gdy jej towarzysz gruchał: „niepotrzebny ci szmal, la, la, by być ze mną”. Odkręciła żarówkę na tyle, by przerwać obwód.

– Kreska, kropka, kropka, kropka – powiedział Paul i zaczął dyktować. Odkręcając i przykręcając żarówkę, odmierzała odcinki światła i ciemności, niezbyt profesjonalnie, ale miała nadzieję, że czytelnie, kodowała wiadomość, którą miasto miało następnie przekazać, powierzyła mu swą wiadomość, jakby było wielkim betonowo-ceglanym telegrafem.

„Nigdy nie wiadomo”, pomyślała. W końcu wcześniej się udało.

Dane nie pozwolił nikomu z londyńczyków wejść do zrujnowanego kościoła krakenitów. Nikt nie był już pewny, jak wyglądają ich wzajemne relacje – czy nadal można było ich uważać za sprzymierzeńców? Wati, pobity i prawie nieprzytomny, wciąż nie był w stanie przedostać się przez bariery. Billy poszedł sam z Dane'em. Gdy jednak zeszli na dół, czekali tam inni. Ostatni, rozproszeni krakenicy, przybyli do domu, pogrążeni w żałobie.

Było ich mniej więcej tyle samo co wtedy podczas nabożeństwa, ale tam to był zaledwie regularny sabat, zwykłe kazanie, a to było ostatnie zgromadzenie na świecie. Odstępcy, ludzie zbyt zajęci, zbyt skażeni świeckością i trudami codziennego życia, by uczestniczyć w nabożeństwach tak często, jak wymagała tego wiara, zjawili się wszyscy.

Było wśród nich paru muskularnych młodych mężczyzn – choć większość ich kolegów służyła w straży i już nie żyła. Resztę stanowili zupełnie niepozorni ludzie najróżniejszych rodzajów. Koniec wspólnoty.

Nie gapili się na Billy'ego – było im już wszystko jedno, czy naprawdę mają tu dzikiego proroka, jakiegoś miejskiego świętego Antoniego. Nie interesowało ich nic prócz żałoby. Traktowali Dane'a, jakby był samym teuthexem. Jego rola zawsze wymagała, by zachował status licencjonowanego outsidera, niemal renegata, lecz teraz był dla nich najbliższym odpowiednikiem zwierzchnika. Nikt z obecnych nie próbował go oskarżyć, nikt nie nazwał go apostatą. Wszyscy niemal lśnili wewnętrzną pobożnością.

– Grisamentum tu przyjdzie – zauważył Billy.

– Tak.

– Będzie szukał krakena.

– Tak.

– I znajdzie.

– Tak.

Usiedli. Nadszedł czas pożegnań.

– Dane, wiem, że też to czujesz. Koniec jest tuż-tuż, przyjdzie dziś albo jutro, albo może za dwie noce. Musimy tylko przechować krakena w bezpiecznym miejscu i zwyciężymy przepowiednię.

– Nic mnie to nie obchodzi. A ty i tak w to nie wierzysz.

– A ty sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– W co?

– W obie te rzeczy – odparł Billy. – W żadną.

– Nieprawda. Wierzę w obie. – Dane sięgnął po telefon leżący na biurku, który jakimś cudem ocalał z ataku, i wybrał numer. Podał słuchawkę Billy'emu. – To poczta głosowa – wyjaśnił. – Moja.

– Masz siedemnaście wiadomości – usłyszał Billy. – Pierwsza. – W słuchawce rozległ się głos teuthexa. – W porządku. A teraz chciałbym się dowiedzieć, co ty, kurwa, wyprawiasz?

Czytałem twoją wiadomość. Dostałeś trochę swobody, ale porywać naszego proroka to już przesada.

Billy spojrział na Dane'a. Mężczyzna odebrał mu słuchawkę, wcisnął jakiś klawisz, przebiegł wiele dni naprzód. Aż do niedawna.

– Aha – oznajmiła słuchawka. – Wiesz, że to, co teraz robisz... – Billy znów usłyszał głos teuthexa, kwaśny i niezadowolony – ...to bluźnierstwo? Dałem ci wyraźny rozkaz. To nie czas na kryzys wiary. Możemy zakończyć tę cholerną abominację.

– Co to ma być? – spytał kustosz, unosząc słuchawkę.

– Jestem agentem – odparł Dane.

– Zostałeś ekskomunikowany...

– Proszę cię. Nie wygłupiaj się.

Sprawa krakena była delikatna – kto normalny dopuściłby do niej przedstawiciela głowonożnych fundamentalistów? Z drugiej strony, renegat... Któż może być bardziej godny zaufania?

Billy potrząsnął głową.

– Jezu Chryste – szepnął. – To wszystko był kamuflaż. Od początku działałeś z rozkazu teuthexa.

– Wykonywałem misję – odparł Dane. – Ludzie chętniej ci pomagają, jeśli jesteś wygnańcem.

– Kto jeszcze o tym wiedział?

– Tylko teuthex.

– A zatem reszta wiernych naprawdę myślała, że... – zaczął Billy i urwał. Jeśli cała kongregacja uważa cię za wyrzutka, to czy nie stajesz się nim naprawdę?

– Teraz już im wszystko jedno.

– Ale dlaczego zabrałeś mnie ze sobą? To był... to nie był rozkaz?

– Potrzebowałem wszystkiego, co dałoby mi choć trochę przewagi. Wiedziałeś różne rzeczy. Nadal wiesz. Zakonserwowałeś go. Wiem, że nigdy w to nie wierzyłeś, ale naprawdę jesteś prorokiem. Przykro mi, stary. Wtedy, kiedy teuthex powiedział wszystkim, że nie zamierza szukać krakena... – Jego stoicki, bentosowy spokój był kłamstwem, a Kościół, bezwarunkowo lojalny wobec swego papieża, dał się przekonać. Tylko teuthex i jego fałszywy wygnaniec znali prawdę.

– Ale... – zająknął się Billy. – Sprzeciwiłeś się rozkazom.

– Aha. Wziąłem cię ze sobą i nie przyprowadziłem z powrotem. A kiedy znaleźliśmy krakena, nie chciałem im go zwrócić.

– Dlaczego?

– Bo zamierzali go zniszczyć. Mieli rację, ale wiesz, jak chcieli to zrobić? Wszyscy to powtarzają. To prawda. Spaliliby go. To święta metoda. Wystawianie krakena na pokaz, w tym zbiorniku... to było bluźnierstwo. Teuthex zamierzał go spalić.

– A potem poznałeś przepowiednię?

– Teuthex zamierzał spalić kałamarnicę. Mówią, że od tego się wszystko zaczęło. Cały ten szajs. A co, jeśli to przez nas? – Dane nagle wydał się strasznie zmęczony. – Przez mój Kościół? Podjęli właściwą decyzję, uwalniając boga, ale jednocześnie sprowadzili to... to, co nadchodzi?

To nie był ich zaplanowany koniec: świat ogarnięty mackami w błysku wielkiego oka, gdy najstarsze krakeny wynurzyłyby się z rykiem na powierzchnię, wielkie niczym wojownicze kontynenty i tam skonały, wypluwając z siebie nowy czas jak strumień atramentu. To nie był koniec wart głośnego alleluja, lecz antyapokalipsa, zupełnie niewzbudzające szacunku objawienie, czasozżerny ogień. Zwykły przypadek.

Co za straszliwy lęk. Dane podejrzewał, że jego Kościół odegrał kluczową rolę w tym odpowiedniku kosmicznego poślizgu na skórce od banana. To w sumie niczyja wina, ale przypadkiem podpaliliśmy przyszłość. Boże, ależ nam głupio.

– Ale posłuchaj – powiedział nagle Dane i potoczył ręką wokół. – Teraz już nie ma jej komu spalić, a ten koniec jeszcze nie zniknął. Wygląda na to, że to nie nasza wina. Może gdybym zrobił to, co mi kazano, zdołalibyśmy wszystko ocalić.

– To nie twoja wina.

– Myślisz? – upewnił się Dane, a Billy nie miał pojęcia. Gdybyś tylko zrobił, był, mógł. Siedzieli w gabinecie martwego teuthexa i oglądali obrazki.

– Co teraz robią londynmanci?

– Panikują – odparł Billy. – Grisamentum nadchodzi i pewnie już niedługo ich znajdzie. Uważają, że wystarczy tylko pilnować krakena, póki noc się nie skończy. Taki jest ich plan.

– Do dupy ten plan.

– Wiem.

– Oczywiście, że tak! – nakręcał się Dane. – Ile razy jeszcze będą sobie wmawiać, że to ta ostatnia noc? Nawet jeśli Paul jeszcze nie poddał się Tatuazowi, to pewnie nie wytrzyma już długo. Albo wcześniej znajdą go Goss i Subby. Albo Gris spali świat. – W głębi piwnicy coś kapało. Dane mówił do rytmu.

– A zatem? – spytał Billy.

– A zatem sprawimy, że to będzie ostatnia noc – stwierdził krakenita. – Nie będziemy uciekać. Pójdziemy prosto do Grisamentuma. Z jakiegoś powodu to jego plan podpałił wszystko, niezależnie od tego, czy miał taki zamiar. Dlatego musimy się go pozbyć, a kiedy zniknie... – Otrzepał ręce, jakby strzepując z nich niewidzialny pył. – Problem z głowy.

Billy uśmiechnął się wbrew sobie.

– Nie wiemy nawet, gdzie go szukać. Ma na usługach broniowników i bestiarzy, a do tego nie wiadomo jaką papierowo-atramentową magię, a my... co my mamy? – spytał z powątpiewaniem Billy. Nie zwracał już uwagi na to, jak absurdalnie brzmią w jego ustach takie słowa. – Nie zrozum mnie źle, dałbym wszystko, żeby...

– Pamiętasz, gdzie znaleźliśmy teuthexa? – spytał Dane. – Jak myślisz, dlaczego sięgał do ołtarza?

W kościele zebrało się około dwudziestu krakenitów. Starsi mężczyźni i kobiety, ale także młodszy, poubierani na różne sposoby. Kawalek Londynu, osłabiony z rozpaczy. Nowi, niechętni rekruci bohaterskiej załogi, która przeżyła swą własną religię.

– Bracia i siostry – mruknął Dane. – Ostatnia brygada krakenitów – zwrócił się do Billy'ego. – Jeśli gdzieś tam na zewnątrz są jacyś inni, to już nie wrócą.

Ołtarz wyrzeźbiono w kształcie splecionych ramion i sterczących przysawek. Dane nacisnęła kilka płytek w określonej kolejności.

– Właśnie to próbował wydobyć teuthex – wyjaśnił.

A zatem nie był to pusty pożegnalny gest, żadne „bliżej ciebie, mój boże”. Z wnętrza wysunęła się ukryta część. Dane powoli opuścił metalowy przód ołtarza.

Za nim widać było szybę. A za nią – zakonserwowane eksponaty. Relikty krakena. Billy aż westchnął, gdy w końcu zrozumiał, na co patrzy. Ołtarz sięgał mu do piersi. A w środku prawie w całości wypełniał go olbrzymi dziób.

Widział już ten kształt wielokrotnie. Przypominał papuzi dziób, okrutny i drapieżnie zakrzywiony. Największy, jaki w życiu widział, mieścił się jednak w jego dłoni i należał do dziesięciometrowego architeuthisa. Ten sięgał od podłogi do jego mostka. Chitynowe szczęki mogłyby miażdżyć drzewa.

– Ukąsi mnie – oznajmił Dane. Mówił wolno, z rozmarzeniem. – Tylko odrobinę. Tyle, żeby pociekła krew.

– Co? Co takiego? Dlaczego?

– Tylko my zostaliśmy. Jesteśmy ostatnią ekipą.

– Ale dlaczego?

– Żeby zaatakować.

– Co?! – wykrzyknął Billy.

Dane mu wyjaśnił.

Ostatnia linia oporu nie była wynalazkiem nowym. Od najdawniejszych czasów istnieli jacyś rycerze uśpieni w jaskiniach. Praski golem – chociaż to akurat był zły przykład, stwór przegapił wezwanie, przespał sygnał do ataku. Każdy londyński kult pokładał nadzieje we własnych konstrukcjach, własnych tajemnych duchach, uśpionych paladynach, którzy wkroczą do akcji, gdy wybije ostatnia godzina. Krakenicy także mieli swoich berserków. Ale wojownicy, którzy zgłosili się do tej świętej ostatecznej misji, wszyscy zginęli, nim teuthex zdołał ich namaścić. A zatem ostatni korpus krakena trzeba było zrekrutować spośród urzędników, szeregowych funkcjonariuszy, sprzątaczy i zwykłych wiernych.

Czymże była mackowość, jeśli nie innością, niezrozumiałością? Dlaczego takie bóstwo miało rozumieć wyznawców czczących jego chwałę? Dlaczego miało im cokolwiek dać?

Według wiernych krakena, to właśnie ten brak żądań najbardziej odróżniał ich od chciwej abrahamowej trójcy i jej odpowiedników. Wezmę cię do nieba, jeśli będziesz mnie czcić. Nawet kraken był jednak gotów ofiarować im tę przemianę, ten plan awaryjny złożony z czci, toksyny i wiary.

– Dwudziestu ukąszonych krakenitów to poważna siła. Teraz wszystko zależy od nas. Musimy sprowadzić tę noc – zarządził Dane. – Sprowadzić i pokonać. Poza tym nie jesteśmy sami, prawda? Są jeszcze londynmanci i przeciwnicy. Będą jęczeć i narzekać, ale niech tam. My i tak wchodzimy, będą więc mieli dwa wyjścia do wyboru – dołączyć do nas albo zniknąć. Powodzenia. Jebać Fitcha, trzeba pogadać z Sairą. Ona się zgodzi.

– Dlaczego uważasz, że... – zaczął Billy, po czym przerwał. – Naprawdę uważasz, że możecie zaatakować Grisamentuma?

– Zrobmy sobie ostatnią, małą krucjatę, co?

– Myślisz, że dzięki temu wygramy? Że uda się go pokonać?

– No, przestań.

Billy zdążył się już nauczyć co nieco o zasadach rządzącym tym światem. Zawahał się, ale przed tą świadomością nie było ucieczki.

– To... to cię zabije, prawda? – spytał cicho. Wskazał na olbrzymi dziób.

Dane wzruszył ramionami. Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał.

– To nas zmieni – powiedział w końcu Dane. – Nie wiem, w jaki sposób. Nigdy nie mieliśmy służyć za naczynia dla takiej mocy. To chwalebna śmierć, ale...

Billy próbował znaleźć jakieś słowa.

– Dane – wykrztusił w końcu. Spojrzał na niemożliwie wielkie szczęki. – Błagam cię, nie rób tego.

– Billy.

– Mówię poważnie, nie możesz tego... Musisz... – W Danie nie było ani śladu religijnego szału. Nie licząc może tego, co zrobił i dlaczego, jego zachowanie można by uznać za zupełnie normalne. Bardzo angielska wiara. Najbardziej szokujący był fakt, że zarówno on, jak i grzeczna, spokojnie ubrana kongregacja, do złudzenia przypominająca grupkę wiernych z dowolnego wiejskiego kościoła, byli gotowi umrzeć za swoją wiarę.

– Zaczekaj – mówił gorączkowo Billy. – A co, jeśli zginiesz? Jeśli cię zabraknie, padnie nasza ostatnia obrona.

– Billy, Billy, Billy. – Dane'a zupełnie nie obchodziło, czy świat to przetrwa. – Jutro w nocy – dodał. – Wiem, gdzie znaleźć Grisamentuma.

– Skąd?

– W mieście nie ma aż tylu zamkniętych fabryk atramentu, stary. Wysłałem Watiego na zwiady, gdy się ostatnio obudził. W większości z nich można znaleźć jakieś posągi.

– Chyba nie byli aż tak głupi, żeby je zostawić?

– Jasne, że nie, ale one są praktycznie wszędzie, więc jeśli w którymś budynku nagle nie ma niczego, żadnego przejścia dla Watiego, to samo w sobie już coś sugeruje. Ktoś bardzo się stara, żeby nie wpuścić go do środka. Wiem, gdzie jest Grisamentum, i wiem, że nie spodziewa się niczego. Jutro, Billy.

Gdy wyszli, na zewnątrz czekała na nich Saira.

– W końcu – westchnęła. Była niespokojna, bez przerwy rozglądała się wokół i przełykała ślinę. Towarzyszył jej młody londynmanta. Niedługo miała tu przybyć policja, choć w tej chwili działo się wiele różnych rzeczy i zdewastowany kościół nie znajdował się wysoko na liście priorytetów. – Billy, dostałeś wiadomość.

– Słucham?

– Przyszła poprzez miasto. Bax ją odebrał. Od twojej przyjaciółki Marge.

– Marge? O czym ty mówisz? Marge?

– Znalazła nas – odparła Saira. – I odpowiedziała. Tak samo jak ty wysłałeś wiadomość do niej. Poprzez miasto.

Billy przypomniał sobie pierwsze spotkanie z londynmantami i wiadomość, którą wyszeptał w głąb skrzynki pocztowej. Od tego czasu prawie o tym nie myślał i teraz nagle zawstydził się, że potraktował to jako zabieg terapeutyczny, który miał pomóc przede wszystkim jemu. Może i pomógł, ale jakim cudem mógł potraktować tę czynność tak banalnie i niedosłownie, by zwątpić, że była właśnie tym – przekazaniem wiadomości? A jeśli Marge rzeczywiście ją dostała, to dlaczego sądził, że rzeczywiście posłucha i nie będzie się w nic mieszać?

Aż zakręciło mu się w głowie, gdy pomyślał, co musiała przejść, ile miejsc odwiedzić, co zobaczyć, by trafić aż do tego miejsca, skąd wysłała mu wiadomość tym samym sposobem. Bez Dane'a, który poprowadziłby ją za rękę. A jej partner nie żył. Prawdopodobnie rozpoczęła śledztwo, które zaprowadziło ją aż tutaj. Wiadomość otrzymana z miasta była początkiem całej podróży. Billy zamknął oczy.

– Próbowałem ją chronić – powiedział w końcu. Było to jego ostatnie kłamstwo. Przeprosił ją za to w duchu. Marge przebyła długą drogę, zuch dziewczyna. – Chryste, co się stało? Co ona powiedziała?

– Poprosiła, żebyś się z nią spotkał. Jest na parkingu w Hoxton. Z Tatuazem.

– Co?! – wrzasnął Billy. Dane zaczął coś mówić, po czym zaciął się na dobre.

– Nie, tak naprawdę mówiła co innego – poprawiła Saira. – Powiedziała, że jest z Paulem. I że ma dla nas propozycję.

Billy i Dane spojrzeli po sobie.

– Co ona tam robi, do cholery? – wybuchnął Billy. – Jakim cudem go znalazła?

– Jesteś pewien, że ta twoja kumpela nie jest po prostu wiedźmą? – spytał Dane.

– Teraz już niczego nie jestem pewien. Ale nie wiem... jakim cudem... nie wydaje mi się, żeby...

– A zatem zginie – stwierdził Dane.

– Ona... Kurwa mać.

– Jeśli to rzeczywiście ona.

– Poprosiła, żeby przekazać ci jedno słowo: „Gideon” – dodała Saira.

– To ona – jęknął Billy. Potrząsnął głową i zamknął oczy. – Ale co ona z nim robi? Gdzie jest Wati?

– Tutaj, Billy – dobiegł go zmęczony głos. Wati siedział w małej figurce rybaka zrobionej przez dzieci wiernych. Ludzik z rolek papieru toaletowego i waty spoglądał na Billy’ego oczkami z jednopensówek.

– Słyszałeś, Wati? – ponaglił go Billy. Starał się mówić łagodnie, ale sprawa była pilna. – Musimy się przekonać, czy to prawda. Czy to naprawdę ona. Możliwe, że nie ma pojęcia, w co się wpakowała. To imię przesądza sprawę: albo dostaliśmy wiadomość od niej, albo od kogoś, komu ją przekazała.

– Co on wyprawia? – spytał Dane, zdezorientowany. – Dlaczego Paul, albo Tatuaz, ściąga na siebie uwagę? Chyba wie, że wszyscy w Londynie, od Gossa po Grisa, siedzą mu na ogonie?

– Pewnie czegoś od nas chce. Marge tak mówiła. Może się okazać, że gdy tylko nadejdziemy, przystawi jej nóż do gardła – stwierdził Billy. – Nie zamierza negocjować z pustymi rękami. Może wziął ją jako zakładniczkę, a ona nawet o tym nie wie. – Spojrzeli po sobie z Dane’em.

– Gdy stąd uciekł, nie był w zbyt dobrym stanie – zauważyła Saira.

– Mógłbyś jej poszukać, Wati? – spytał Billy.

– Nie wiem, czy są tam jakieś ciała dla mnie.

– W samochodzie jest laleczka. Marge nosi też krzyżyk na szyi – powiedział Billy. Zapadła cisza.

– Wati... – zaczął Dane. – Jesteś ledwie żywy.

– Już idę – odparł związkowiec. A potem odszedł, utykając, od figurki do figurki, przez Londyn.

Fitch powiedział, że powinni się ukryć. Jeden z londynmantów, niemal pijany własną herezją, zasugerował, by opuścić miasto.

– Pojedźmy przed siebie! – zaproponował – Na północ. Do Szkocji albo gdzieś! – Nikt nie był jednak pewien, czy Fitch, który w tej postaci sam był już jedną z funkcji miasta, zdołałby przeżyć poza jego granicami. Billy wyobraził sobie siebie na autostradzie, jak coraz lepiej panuje nad kołysaniem ciężarówki, prowadząc ją przez mokrą angielską wieś, daleko, między szkockie wzgórza.

– Gris znalazłby nas w dziesięć sekund. – Wszyscy wiedzieli, że tak właśnie by było. Pośród asfaltu i londyńskich zaułków byli bezpieczni, nawet jeśli to też była pewna forma

pułapki. Miasto potrafiło nagiąć się na tyle, by utrzymać londynmantów z dala od wścibskich oczu. Odruch bezwarunkowy.

Gdyby je opuścili, byliby zupełnie odsłonięci. Kałamarnica olbrzymia jadąca na północ między żywopłotami. Na litość – wszystkie co wrażliwsze rzeczy w promieniu dziesięciu kilometrów zaczęłyby krwawić.

– Zrobimy tak, jak chce Dane – zarządził Billy. Nie spojrzął na krakenitę. – On nie zmieni zdania, a dzięki temu przynajmniej przestaniemy się zadręczać rozmyślaniami, czy to naprawdę ostatnia noc, bo sami uczynimy ją ostatnią. A Dane zrobi to, co zamierzał, niezależnie od tego, co zadecyduje reszta.

Saira go poparła. Billy widział, że jest przerażona, ale zagłosowała za walką. Kryzys zmusił londynmantów do uznania zasad demokracji. Billy uśmiechnął się do Sairy, a ona przełknęła ślinę i odpowiedziała uśmiechem.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Marge i Paul siedzieli w samochodzie, otoczeni pustymi papierowymi opakowaniami. Spędzili tak wiele godzin. Marge naładowała iPod'a i starała się nie przejmować, że głos jej ochroniarza zdawał się coraz bardziej rzeźić.

– Czego słuchasz? – spytał w końcu Paul. Nie spodziewała się, że potrwa to tak długo, i zignorowała pytanie. Jedli jakieś wysokokaloryczne śmieci i kulili się na fotelach, poniżej krawędzi okna, gdy słyszeli czyjeś kroki. Paul ocierał się plecami o oparcie, jakby gryzły go jakieś owady.

– A jaka jest twoja historia? – spytała. Uznała, że może gdy się uspokoi, powie coś bardziej klarownego.

– Parę lat temu wpłatałem się w taką jedną sprawę. – Nie chciał powiedzieć nic więcej.

Godziny płynęły. Marge miała wrażenie, że spędziła na tym parkingu całe życie. Zaskoczenie i inne uczucia nie miały tam dostępu, mogła więc tylko siedzieć.

Jednak nie było tu zupełnie cicho. Wszystkie budynki coś szepczą. Ten mruczał kapaniem wody, szelestem śmieci pełznących w podmuchach wiatru, oddechem betonu. Po dłuższym czasie usłyszała jeszcze oddech, cichy, ledwie dosłyszalny. Dobiegał z laleczki-bobasa zawieszanej nad deską rozdzielczą. Marge przyciszyła iPod'a.

– Paul? – upewniła się figurka męskim głosem. – A ty pewnie jesteś Marge.

– Cześć, Wati – odparł Paul. – Marge, to jest Wati. – Mówił wolno i ostrożnie. Już od dawna się nie odzywał. Marge nie odpowiedziała, spoglądała na lalkę w oczekiwaniu. – Gdzie są pozostali? – spytał Paul.

– A co proponujesz? – spytała lalka. – Co tu się dzieje? Zamierzasz wrócić?

– Wati... – powiedziała w końcu Marge. – Czy ty... czy jesteś z Billym? Gdzie on jest?

– Billy nie może przyjść – odparł Wati. – Mamy tu mały kłopot. – Zaśmiał się smutno. – Prosił, żeby cię pozdrowić. Bardzo się o ciebie martwi. Nie spodziewał się żadnej wiadomości. Mówił, że trochę go niepokoi... obecność twojego kolegi. Nie jestem przekonany, czy powiedział ci o sobie najważniejsze. Co chciałeś nam przekazać, Paul?

– Och, wiesz co, wiesz co, Wati, teraz, gdy już jesteś, sam nie wiem, co powiedzieć – odparł Paul. – Mam tyle do powiedzenia, że nawet nie wiem... Widzisz, mam taki plan. – Mówił szybko, wpadając w słowotok. Marge spojrzała na niego zaniepokojona. Wcześniej

zachowywał się zupełnie inaczej. – Czego chcę? Wati, chciałbym, żebyś wrócił i przyprowadził Billy'ego. Chcę, żebyś... – przerwał. – Wiesz, co się stało, prawda? Co planowali londynmanci? Byli gotowi mnie zabić. Słyszałeś? Myślisz, że to w porządku?

– Nie mamy pewności, że planowali cokolwiek. Ale co teraz? Co chcesz zrobić?

– Oni chcieli...

– Gdzie ta kropla Grisamentuma? – naciskał Wati. – Była w butelce, prawda? – Paul skrzywił się i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Nigdzie, to nieważne”. – Dokąd teraz pójdziemy?

– Ja nigdzie nie idę, Wati, ale ty powinienes się zbierać – powiedział gorączkowo Paul. – Idź już. Przyprowadź Billy'ego, i Dane'a, i londynmantów.

– Przyszedłem, żeby cię wysłuchać.

Dopiero wtedy, słuchając tej dziwnej dyskusji poprzez fałszywe mamrotanie w słuchawkach, Marge poczuła, że pierś ściska jej lodowaty strach, tak jakby dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, czy nie słucha przypadkiem negocjacji o własne życie.

– Idź już, Wati – ponaglił go Paul. – No, idź.

– Nie, nie idź – powiedział nagle inny głos. – Nie teraz. Zostań. – Marge знаła ten głos. Do samochodu zbliżało się dwoje ludzi, na zmianę znikając i wyłaniając się w kręgach światła otaczających inne pojazdy. Mężczyzna i chłopiec. – Teraz, gdy już jesteśmy razem, czas zamknąć wszystkie luźne wątki. Przyjęcie odbędzie się dzisiaj i wszyscy jesteście zaproszeni.

Goss i Subby.

„Dobry, słodki Boże”.

Szyderczo wykrzywiony mężczyzna i chłopiec o pustej twarzy. Wynurzyli się z mroku. Prochowce poplamione krwią i brudem, kołyszące się w mroku. Co kilka oddechów Goss wydmuchiwał bezpapierosowy dym.

Marge miauknęła rozpaczliwie. Sięgnęła po kluczyki, ale gdzieś zniknęły. Jęknęła w panice. Nie mogła oddychać. Zgłośniła iPod'a tak gwałtownie, że uszy wypełnił jej idiotyczny cover TLC *No Scrubs*, tak głośno, że aż poczuła ból. Jedna słuchawka wypadła. Schyliła się, gorączkowo szukając kluczyków.

– Uciekaj – szepnął Wati z maleńkiej figurki. – Sprowadzę pomoc. – Potem zniknął. Marge poczuła, jak odchodzi.

Wati mówił bardzo cicho, ale Goss, zbliżający się do swej ofiary, sztywnym, drżącym krokiem, odpowiedział mu szyderczo:

– Doprawdy, mój ty najlepszy druhu? Doprawdy?

Zobaczyła, że trzyma w ręku jakiś przedmiot przypominający kamienny uchwyt, zniszczony przez upływ czasu.

– Cześć, szoferze szefa – zwrócił się do Paula. – Masz przy sobie coś, co należy do mnie. A raczej masz przy sobie coś, do czego należę ja. Szukasz pomocy, co? Teraz mi zablefujesz, że czekasz na odsiecz? No, biegnij, Subisiu.

Marge cofnęła się w panice, ale Subby stanął tuż przy drzwiach, gapiąc się prosto na nią. W jednym uchu słyszała zawrozczenie: „*I don't want no scrubs*”. Goss obszedł samochód, stając z drugiej strony.

– Cześć, szefie! – zawołał. Pochylił się ponad Paulem i wyrwał Marge iPoda z ręki; kobieta jęknęła, zaciskając bezskutecznie dłoń, ale to nic nie pomogło, ucieczka nie nadeszła, otoczenie nie odpłynęło, a drżący głosik wciąż zawodził, gdy Goss cisnął urządzenie od siebie, a ono poleciało poprzez betonową pieczarę, zbyt szybko i zbyt daleko, aż w końcu roztrzaskało się w mroku.

– Jak sobie radzisz, szefie? – krzyknął do Paula. – Jak myślisz? Czy nasz stary kumpel Wati miał już swoje pięć minut? – Spojrzał na nadgarstek, jakby miał tam zegarek, a potem wyciągnął rękę, w której trzymał zniszczoną figurkę.

Wati przeskakiwał gorączkowo, jego istota była bezcieleśnie okulawiona, poruszał się jak szybko biegnący pies z przetrąconą łapą. Szybko, szybko! Ceramiczne popiersie, generał na koniu, plastikowy pilot w witrynie biura podróży, lalka, lalka, gargulec, pacynka, wiele kilometrów aż do miejsca, gdzie czekali pozostali krakenicy i londynmanci, z wysiłkiem dowlókl się aż do lalki, którą nosił jeden z nich, i krzyknął bez tchu:

– Goss i Subby! Są tutaj, napadli Paula i Marge, chcą... – A potem, gdy wszyscy spojrzeli na plastikową lalkę ze zgrozą, Wati nagle ich opuścił, pociągnięty z całej siły, gdy Goss szarpnął tajemniczy przedmiot, jakby podcinał rybę, odpalał silnik albo przepychał rurę. Rozległ się świst, szybki zdumiony oddech, plaśnięcie duszy uderzającej o kamień i Wati wrócił do figurki trzymanej przez Gossa.

– A niech mnie! Mało brakowało, a przywłóklbyś ze sobą laleczkę! – wykrzyknął Goss. – Pamiętasz tę starość? – Pomachał figurką. Kształt był zatarty, dało się jednak wypatrzeć ramiona i wyrostek przypominający głowę. Gliniane wspomnienie ust, którymi Wati krzyczał bez słów. – Pamiętasz to, Wati, mój chłopcze? Czy ty wiesz, czy ty, kurna, wiesz, ile czasu to trwało, zanim namierzyliśmy tę ozdóbkę w piasku? Jak ci się podoba moja nowa opalenizna?

Uszebti. Oczywiście. Pierwsze ciało, z którego narodził się Wati. Skradzione z muzeum albo z miejsca pochówku. Wati krzyczał i szarpał się, by zerwać więzy, krępujące jego duszę w tym niewolniczym ciele. Może po dłuższej chwili, gdy już zorientowałby się w sytuacji, skoncentrował się i zmienił swą wściekłość klasową w buntowniczą magię, zdołałby się uwolnić.

– Czas nas wyprzedził, przyjacielu – stwierdził Goss, słuchając, jak Wati ryczy bezsilnie swym cienkim głosikiem. Goss trzymał go głową w dół. – Byłeś niegrzecznym urwisem. A teraz do łóżka. Czas spać. – Opadł na kolana. Wati krzyknął. Goss uniósł figurkę uszebti, po czym roztrzaskał ją na betonie.

Głos Watiego umilkł.

W pieczarze było teraz o jedną świadomość mniej. W całym Londynie członkowie pokonanego Związku Magicznych Asystentów przerwali pracę, wydali stłumiony odgłos przerażenia, spojrzeli w górę i zawyli.

Goss rozrzucił nogą resztki uszebti. Mrugnął do Subby'ego.

– Widzisz, Paul – zaczął, opierając się o okno pasażera. – Cześć, moja śliczna! Dawnośmy się nie widzieli. Czekaliśmy od dawna, żeby zobaczyć, kogo przyprowadziłaś. Ponieważ. Jest tak. Myślisz, że nie umiemy podsłuchać wiadomości, które idą przez Londyn? Myślisz, że możesz sobie pogadać z kolegami i nikt się nie dowie? Gadu, gadu, gadu przez światelka. – Potrząsnął głową. – A teraz, młody paniczku, osobliwie chciałbym zrobić jedną rzecz, a mianowicie uciąć sobie przyjacielską pogawędkę z moim szefem. A zatem. Wsiądź z samochodu. Zdejmij kurtkę i koszulę. Odwiń te szmaty, którymi kneblujesz jego dostojność. I pozwól nam zamienić słówko. Dobrze? Bo wiesz, trochę nam się wszystko pokomplikowało.

Marge zacisnęła zęby, by stłumić pojękiwanie, i próbowała wysiąść, odpychając Subby'ego, ale przytrzymał ją w miejscu – był znacznie silniejszy, niż jej się wydawało. Paul otworzył drzwi i wysiadł. Marge próbowała krzyczeć, żeby tego nie robił. Próbowała zamknąć drzwi.

– Odsuń się, Goss – oznajmił Paul. Jego głos zabrzmiał zupełnie spokojnie. Goss usłuchał. Paul ściągnął kurtkę. – Pozwól, że cię o coś spytam. Pilnuj jej, Subby! – zawołał do chłopca. – Nie pozwól jej wysiąść. – Zaczął ściągać koszulkę. – Zastanów się. Uważasz, że spędziłem z twoim szefem tyle lat i nadal nie wiem, w których miejscach można podsłuchiwać? Że wiadomość wysłana z Southwark dotrze do odbiorcy, ale Hoxton zawsze było zdradzieckie? Jak sądzisz: dlaczego wysłałem ją właśnie stąd? Wiedziałem, że to usłyszysz.

Staął półnagi na zimnie, ciało miał pokryte gęsią skórką. Na brzuchu, niczym sraczkowatej barwy gorset, otaczała go warstwa taśmy klejącej. Zza jego pleców dobiegł jakiś dźwięk. Paul wyjął z kieszeni kluczyki Marge i rzucił je w mrok. Spojrzał na Gossa, potem na Subby'ego.

– Chciałem, żebyście to przechwycili. Chciałem ją wam wydać.

Marge poczuła w środku straszliwą pustkę. Odsunęła się od Paula.

– Miałem nadzieję, że zdołam sprowadzić też pozostałych – ciągnął. – Możliwe, że tu przyjdą, zwłaszcza jeśli Wati zdołał ich ostrzec, zanim... – Zakołysał się. – A wtedy róbcie z nimi, co chcecie.

Marge przeczołgała się ponad skrzynią biegów, przez otwarte drzwi pasażera. Dwaj mężczyźni patrzyli na nią z lekkim zainteresowaniem. Wypadła z samochodu i zaczęła odpelzać na kolanach.

– O co ci chodzi, Paul? – spytał Goss. Wydawał się naprawdę zainteresowany. – Kiedy będę mógł pogadać z szefem? Odwińmy cię.

– Aha. Zaraz. Najpierw chcę ci coś powiedzieć. Jemu też. Słuchasz? – krzyknął do własnej skóry. – Proponuję wam umowę. Nie jestem idiotą, wiedziałem, że wcześniej czy później mnie znajdziecie. A zatem zrobimy tak. Nie będziecie mnie zamykać jak zwierzęcia w klatce. Odtąd pracujemy razem. Taki jest układ. A to na dobry początek współpracy. – Wskazał na Marge. – Chcecie dorwać Billy’ego? Tu macie przynętę. – Marge pełzła po betonie, czując, że powietrze staje jej w gardle. – Przykro mi – powiedział do niej. – Ale nie masz pojęcia, co przeżyłem. Nie miałem żadnych szans. – Wyjął z kieszeni nożyczki i uwolnił się ze swego kleistego pancerza. Skóra była zaczerwieniona. – Zrozumiałeś? Wciąż jeszcze masz szansę, by opanować sytuację. Grisamentum wyruszył na wojnę – ma jakiś szalony plan, ale mogę ci powiedzieć, gdzie jest kałamarnica. Umowa stoi?

Paul odwrócił się, stając tyłem do Marge. Goss i Subby patrzyli na niego, a we wzroku Gossa widać było podziw. Marge wciąż czołgała się czworakach, brnąc przez pył pozostały z Watiego, poruszając się tak szybko, jak tylko zdołała, z zaciśniętym gardłem i roztelepanym sercem.

– Hej, odwróć się! Chcę to zobaczyć! – zawołał głos Tatuaza.

– Nie mów tak do mnie – odparł Paul. – Teraz jesteśmy współnikami. Spójrz. – Odczekał jeszcze chwilę. – Nasza podopieczna próbuje uciec. – Wskazał ręką i zerknął na Gossa, który cmoknął językiem i obszedł samochód w ślad za Marge.

– Dokąd się wybierasz, mała zawadiako? – Zachichotał. Marge zdołała wstać i zerwać się do biegu, ale dogonił ją po kilku krokach i chwycił za włosy. Wydała z siebie dźwięk, jakiego w życiu nawet sobie nie wyobrażała. Pociągnął ją za sobą.

Paul i Subby patrzyli na niego z drugiej strony samochodu.

– Co tam się dzieje? Odwróć się! – wrzeszczał z tyłu jakiś głos.

– Wiesz co, Goss? Podczas naszego wspólnego życia dowiedziałem się jeszcze jednej rzeczy – zawołał Paul, unosząc nożyczki. – Domyśliłem się, do czego to służy. – Poklepał Subby’ego. – Wiem, gdzie trzymasz serce.

Czas pękł i zamarł. Marge zobaczyła, że Goss zrywa się do biegu, jeszcze nim poczuła, że ją puścił. Pędził przed siebie. Jego twarz wykrzywił grymas tak strasznego przerażenia, że prawie drgnęła z szoku, mogłaby się rozplakać, gdyby nie zastygła w czasie. Nieważne jednak jak szybko Goss zareagował: był za daleko i nawet w tej krótkiej chwili, którą Paul zużył na drwiny, nie mógł stanąć pomiędzy Subbym i nożyczkami.

Paul wbił dwuostrzowy sztylet w szyję chłopca. Szybkie, krótkie ciosy. Krew trysnęła, bezmyślna twarz dziecka nie zmieniła wyrazu, może tylko oczy otworzyły się nieco szerzej. Paul uderzał z całej siły. Krew, która go zalała, była bardzo ciemna.

Subby opadł na kolana z pytającym wyrazem twarzy.

– Co? Co? Co się dzieje? – dopytywał się bezskutecznie Tatuaz, niczym niecierpliwe dziecko.

Goss wrzeszczał, charczał i wył. Runął na ziemię wpół skoku. Nożyczki drżały, wciąż wbite w szyję Subby’ego. Paul zadrżał. Goss leżał na masce samochodu, wymiotując własną, znacznie jaśniejszą krwią.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie – jęczał, wierzgając piętami i wpatrując się z wściekłością w umierającego chłopca.

– Naprawdę myślałeś – spytał Paul, przekrzykując tatuazowe „Co? Co tam się dzieje? No co?” – że zgodzę się z tobą pracować? – Paul wyciągnął nożyczki z szyi Subby’ego, a potem wepchnął je znowu. Chłopiec rozejrzał się na boki, po czym zamknął oczy. Goss krzyczał, bulgotał, kopał i ślinił się dymem, nie mógł wstać. Wrzeszczał. – Myślałeś, że pozwolę ci się do mnie zbliżyć? – ciągnął Paul. – Że naprawdę zaproponuję ci umowę? Że pozwolę ci znów zostać pacholetem tego jebanego złośliwego skurwiela, którego mam na plecach? Myślałeś, że cię nie zabiję? – Paul splunął na umierającego Gossa, na posadzkę tuż koło niego. – Zrobiłeś sobie to pudło z ciała, żeby schować w nim to, co cię nakręca, i myślałeś, że to wystarczy? Przestań się pluć. Czas już, żebyś poszedł do diabła i zabrał ze sobą ten swój mały pierdolony pokrowiec na życie.

Subby był zupełnie unieruchomiony, krew wypływała teraz wolniej. Goss rzeził i bulgotał, jakby próbował wykrztusić jakieś pożegnalne przekleństwo, ale gdy Subby zamknął oczy, on także umarł. Ostatni dech oddał bez dymu.

I nagle wszędzie, nieważne, co się akurat działo...
we wszystkich, niezliczonych czasach i miejscach...
to odejście...
ta ostateczność...
zafalowała...
i została wyczuta...

i wszystkie udręczone, przerażone istoty w Londynie, przez jedną metachwilę, od roku 1065 do 2006, we wszystkich rozpaczliwych sytuacjach, w każdym małym pomieszczeniu, gdzie je dręczono, podtapiano, wsadzano w imadła, oczerniano, poniżano, obrzucano wyzwiskami, uderzano, wyśmiewano, przez krótką chwilę, jedno mgnienie oka, które mogło ich nie uratować, ale przynajmniej przynosiło ulgę, poczuły się lepiej...

poczuły radość.

Paul patrzył na umierającego Gossa.

– Co się dzieje? Co się dzieje? Co? Co? – powtarzał Tatuaz. Paul nie zwracał na niego uwagi. Marge też.

Patrzyła bez ruchu, przyciskając rękę do głowy, w miejscu gdzie złapał ją Goss. Gdy Subby umarł – pomyślała o nim tak, jakby rzeczywiście był czymś więcej niż tylko pudełkiem z ludzką twarzą – rozsypał się w proch. Najpierw rozpadł się na obrzydliwą papkę, a potem to także się rozpadło, w pustkę, w nicość, pozostawiając tylko serce, nieruchome ludzkie serce, zbyt duże dla piersi dziecka.

Goss się nie rozpadł. Leżał jak trup, którym w końcu się stał.

– Przepraszam – powiedział wreszcie Paul. – Musiałem go uspokoić, sprawić, by mi zaufał – dodał. – Inaczej nigdy nie zostawiłby mnie samego z Subbym. – Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Tatuaż wrzeszczał, zmuszony spoglądać na ciemny parking, gdzie nic się nie działo.

– Coś ty zrobił? – krzyczał.

– Wiedziałem, że mnie znajdą – wyjaśnił Paul. – Nigdy nie zdołałbym go pokonać w otwartej walce. Tylko tyle zdołałem wymyślić. Wiedziałem, że przechwycą naszą wiadomość, jeśli prześlemy ją stąd – chciałem, żeby usłyszeli ją i przyszli. Pomożesz mi go zakryć? Jego. – Uniósł ręce. – Tatuaza. Nie chciałem, żeby skrzywdzili Watiego. Przykro mi. Myślałem, że dotrą tu pierwsi. Nie sądziłem, że postanowią się schować i czekać. Próbowałem go przekonać, żeby uciekał.

– Nie rozumiem – powiedziała w końcu Marge. – Nic nie rozumiem.

– Jasne. Przepraszam. Opowiem ci, ile tylko mogę.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Obydwoje mieli świadomość – Paul widział to na pewno, a Marge przeczuwała – że dla Londynu to jeszcze nie koniec. Dla nich była to jednak epokowa egzekucja. Usiedli tam, gdzie padli, trochę rozmawiali, ale przez większość czasu po prostu odpoczywali, oddychając bezgossowym i bezsubbiowym powietrzem. Paul odkopnął serce po betonie na bok.

Gdy Goss zginął, światła w garażu przygasły dwa razy i znów zapłonęły, jakby sygnalizując: hip-hip-hurra. Barwa świateł zmieniała się co chwila, w miarę jak emisariusze różnych elfich dworów – błogosławionych, parabłogosławionych, abbłogosławionych i złowieszczych – przybywali, by zweryfikować krążące pogłoski. Zjawiło się też kilka duchów, których Marge nie widziała, lecz wyczuła ich obecność jako muśnięcie ciepłego smutku. Raz nawet z radosnym kwikiem minęło ją coś świniopodobnego. Niedługo potem usłyszeli nadjeżdżający samochód.

Bez syreny, za to z włączonym kogutem, nadjechał radiowóz. Wsiadło z niego trzech funkcjonariuszy uzbrojonych w pałki, broń gazową i tasery. Mieli więcej sztuk broni niż rąk i najwyraźniej się bali. Po dłuższej chwili ze środka, jednym eleganckim ruchem, z ubraniem w nieładzie, z rozrzuconymi włosami, wypuszczając dym kącikiem ust, w drugim zaś trzymając papierosa, mrużąc oczy i rozglądając się wokół, majestatyczna jak Boudika, wysiadła Collingswood.

Spojrzała na Paula i sięgnęła do paska po taser. Potem spojrzała na Marge i skinęła głową, jakby ją rozpoznała. Klasnęła językiem i zagwizdała, po czym pogładziła powietrze, jakby było tam jakieś zwierzę.

Potem cmoknęła z uznaniem.

– Kurwa, kurwa, ja pierdolę – szepnęła. – To prawda. Naprawdę zdołaliście... W końcu. O mój... jeżu. Tak, zdecydowanie przydadzą nam się dzisiaj jakieś dobre wiadomości.

– Mówiłam, że dzieje się coś podejrzanego – przypomniała Marge.

– I proszę! Nie doceniłam cię, możesz dać mi po łapach. A ty – odwróciła się do Paula. – To rzeczywiście ty. To znaczy, nie ty, ale ty. Niech mnie zajebią, jeśli wiem, co się dzisiaj dzieje, ale trzeba brać, co dają, prawda? Chodźcie. – Gestem pokazała, by wstali.

– Co to ma być? – spytała Marge. Jej głos zabrzmiał łagodnie, nie była oburzona, raczej zaciekawiona.

– Dajcie mi chwilę, a zaraz wymyślę parę rzeczy, o które mogłabym was oskarżyć – odparła Collingswood. – Generalnie chodzi o to, że macie pójść ze mną. Tak, ty też. – Spojrzała na Paula, który stał obok, dość potulnie. Rozglądał się na boki, jakby otaczało go coś niewidzialnego. – Nie chcę tu żadnych kłopotów, ani z twojej strony, ani twojego... no wiesz, pasażera. Kurwa żeż mać, nie chcecie, żeby to się już wszystko skończyło?

„Tak”, pomyślała Marge. „Bardzo”. Collingswood skinęła na nią głową. Jej podwładni nie potrzebowali dodatkowych zmysłów, by zrozumieć tę odpowiedź.

– No to chodź – oznajmiła. – Moja ty cholerna gwiazdo, ty.

Paul zgarbił się i niechętnie skierował się w stronę samochodu, ale w ostatniej chwili minął Collingswood i jej zdezorientowanych towarzyszy i rzucił się pędem w stronę wyjścia. Potrącił ją w biegu, aż zatoczyła się i upuściła papierosa.

– Nieładnie, nieładnie! – zawołała za nim. – Taserem gnojka! – Jeden z policjantów chybił, ale drugi trafił Paula w plecy. Mężczyzna wrzasnął i upadł, wstrząsany skurczem.

– Przestańcie! – krzyknęła Marge. – Nie wiecie, kim on jest, nie wiecie, co on... Nie zniesie, jeśli go znowu zamkną, dlatego...

– A wyglądam, jakby mnie to obchodziło? – spytała bezceremonialnie Collingswood. Stała nad Paulem, który próbował złapać oddech i, prawdę mówiąc, wyglądała, jakby ją jednak obchodziło. Jej twarz miała dziwny wyraz: nie było to poczucie winy, raczej zakłopotanej irytacji, jakby w drukarce skończył się papier. – Nikt tu nie próbuje cię wyruchać – powiedziała do niego. – Uspokój się. – Obok, w jakimś wymiarze równoległym, na tyle bliskim Marge, że zdołał go usłyszeć, rozbrzmiał świński wrzask i wolno ucichł. – Widzisz? Przestraszyłeś Perky’ego – stwierdziła. – Zabrać go do wozu! – zawołała do policjantów. – Jeśli rano jeszcze będzie tu Londyn, to zobaczymy, co da się zrobić.

Posterunkowi, nieefektywni jak zworniki, powlekli jęczącego Paula w stronę radiowozu. Marge pomyślała, że teraz mogłaby uciec, ale wiedziała, że tego nie zrobi. Poszła za nimi, tak jak jej kazano.

Perspektywa aresztowania wyglądała zachęcająco. Po tym, jak odwaliła całą tę robotę, po wszystkim, co widziała, wyobraziła sobie, że siada na komisariacie, dostaje herbatę i ktoś inny zajmuje się wszystkim. „Cholera – pomyślała, siadając z tyłu i podsuwając ramię Paulowi, żeby oparł się jak na poduszce – ależ jestem zmęczona”.

– Wy dwaj będziecie wracać na piechotę – oznajmiła Collingswood swoim podwładnym. – Zostało miejsce jeszcze dla jednego, nie przewidywałam aresztowań. A biorąc pod uwagę, że to Baz trafił, to on dostaje miejsce. – Pozostała dwójka burknęła z niezadowoleniem. – Kurwa, ależ z was skwaszeńcy. Spójrzcie na to optymistycznie: do rana i tak wypalą was z historii, więc to i tak bez różnicy, co nie? – Wsiadła do środka. – Baz, na komisariat. Zdeponujmy naszych podopiecznych w areszcie, a potem zobaczymy, co się dzieje na mieście.

„Naprawdę”, pomyślała Marge. „Naprawdę jestem koszmarnie zmęczona”. Paul uniósł głowę i otworzył usta, ale Collingswood pokazała na niego palcem w lusterku i nie powiedział nic. Marge żałowała, że nie zdołał uciec.

– Gdzie jest Wati? – wrzasnął Dane. – Co się z nim stało?

– Marge została... – zaczął Billy. – Słyszałeś, co powiedział Wati, zanim... – słowa zamaryły mu w gardle, potrząsnął więc tylko głową i zasłonił oczy. W najlepszym przypadku zginęła albo została zakładniczką.

– Wati! – krzyczał Dane w bezsilnej rozpacz. – Znowu! Następny! Krakenie!

Z łatwością, niemal z pogardą minęli policyjną taśmę, nie zwalniając kroku i weszli do kościoła krakena. Ostatni krakenicy czekali cierpliwie, niczym posłuszne dzieci, ustawieni w kolejce do wielkiego dzioba.

Londynmanci krążyli w swojej ciężarówce po okolicznych zaułkach. Fitch i jego ostatni zwolennicy znaleźli się w dziwnej sytuacji. Mimo iż nie popierali tej wojny, i tak byli w nią uwikłani i zależni od jej dalszych losów. A zatem, po przegranym sporze, mogli jedynie wspomóc zwycięzców. Ekstremalny przypadek odpowiedzialności zbiorowej. Mieli dostarczyć swoich kolegów na pole bitwy.

Krakenicy kierowali się wyłącznie legendami – sami nie byli pewni, co się stanie, gdy wkroczą do bitwy, złożeni w ofierze na ołtarzu i zaciągnięci do nowej armii. Resztkowy regiment. Na zewnątrz zaparkowano samochody, gotowe dla błogosławionych ofiar. Krakenicy żegnali się po raz ostatni. Co zamierzali zrobić po tych ostatnich uściskach? Jechać przez całą drogę w milczeniu? Słuchać radia?

Najsilniejsi kultyści trzymali części dzioba z obu stron. Modlili się na głos.

– To już wszyscy? – spytał Billy.

Dane skinął głową. Ostatnich wiernych nie trzeba było długo przekonywać. Billy spojrzął na przyjaciela.

– Ty też pójdziesz – stwierdził.

– Tak.

– Dane... – Billy potrząsnął głową i zamknął oczy. – Proszę? Czy mogę ci to jakoś wyperswadować?

– Nie. Wszystko gotowe? – spytał Dane. Teraz był już tylko wyznawcą. – Zaczynamy.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Billy przyglądał się tej ostatniej krakenowej mszy. Siedział z tyłu kaplicy. Patrzył na łązy wiernych i słuchał błogosławieństw. Dane, choć głos łamał mu się ze wzruszenia, pieczołowicie powtarzał liturgię, w której nie uczestniczył już od dawna. Stado pozbawione pasterza pasło się samo. Billy wiercił się na krześle, bawiąc się fazerem w kieszeni.

Kongregacja śpiewała hymny na cześć torpedokształtnych, wieloramiennych bogów. W końcu Dane oznajmił:

– Do dzieła.

Kilku ochotników próbowało się uśmiechnąć, stając w szeregu. Jeden po drugim kładli rękę na czubku krakenowego dzioba. Ministranci bardzo ostrożnie zaciskali go na skórze, jakby trzymali wielkie nożyce. Dwukrotnie dziób zadał gorsze rany, niż zamierzano, i wierni aż krzyknęli z bólu. Większość nacięć była bardzo precyzyjna – tyle, by przeciąć skórę i utoczyć trochę krwi.

Billy czekał, aż rozpocznie się dramat. Ukąszeni ludzie zdawali się wielcy i niezręczni, tłoczyli się z trudem w kaplicy. Obejmowali się, ujmując się za krwawiące ręce. Dane podszedł jako ostatni. Położył dłoń na dziobie i kazał współtowarzyszom ją zranić. Billy nie zareagował.

Plan był bardzo prosty lub głupi. Nie mieli czasu, ludzi ani wiedzy, by porywać się na coś skomplikowanego. Mieli tylko jedną przewagę: Grisamentum nie wiedział, że znają jego kryjówkę ani że nadchodzą. Mieli do dyspozycji tylko ten element zaskoczenia. A właściwie dwa: atak pozorowany i prawdziwy. Zaatakowanym wystarczyłaby chwila namysłu, by odgadnąć, że pierwszy manewr stanowi zwykłą dywersję. A zatem nie zamierzali im dawać tej chwili.

Mieli do dyspozycji kilka pistoletów, podszytowanych drobiazgów w różnych modelach. Nie wiedzieli, w jakiej postaci jest teraz Grisamentum: wypisany na papierze, atrament stojący w kałamarzu? Raz już udało mu się uniknąć śmierci. Ogień mógłby go wysuszyć, ale nadal pozostawiłby pigment. A zatem wybielacz. Kropla, którą zdobyli, zdawała się go bać. Przygotowali zapas butelek – ich najważniejszą bronią miał być domowy środek czystości. Niektórzy przytroczyli do paska opryskiwacze do roślin, niczym ciężkie niezgrabne pistolety.

– Idziemy – oznajmił w końcu Billy. Powiódł Dane’a do samochodu. Tym razem on prowadził. Nie potrzebował nawet wskazówek, jechał jak człowiek, który wie, co robi. Patrzył przez okno, nawet nie spoglądając w stronę Dane’a. Nie chciał widzieć żadnych zmian. Zerkał w ciemne uliczki, które mijali, mając nadzieję, że anioł pamięci w końcu się tu zjawi; ale pod rozkołysanymi bezlistnymi drzewami nie dostrzegł żadnej czaszki na słoju, brnącej poprzez wieczorny tłum. Na ulicy wszędzie biegali ludzie, gdzieniegdzie płonęły ognie. – Chryste Panie – szepnęła. Bardzo chciałby, żeby Wati wybiegł naprzód, a potem, wrócił do tancerki hula zawieszanej na lusterku.

Zaparkował nieopodal fabryki, którą Dane pokazał mu na mapie, obok metalowej kraty, poczerńiałej od rdzy. Pozostali zaparkowali dalej, w na pozór losowych miejscach, po czym wolno zajęli pozycje. Billy przyłożył palec do ust i spojrzał na Dane’a ostrzegawczo. Nieopodal słychać było odgłos syren, choć o wiele mniej, niż wymagałaby liczba pożarów i odgłosów bójki. Tej nocy wszyscy rodzice w Londynie kazali dzieciom zostać w domu, kłamliwie zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

– Jak myślisz, gdzie są teraz najwierniejsi żołnierze Tatuaza? – spytał Dane. – Pięściogłowi i ludzie z warsztatów? – Był spocony, oczy miał szeroko otwarte.

– Walczą – odparł Billy.

Razem wyszli w dziwną, ciepłą noc. Kilku silniejszych londynmantów – oddział bojowy Sairy – poszło ich śladem. Niepostrzeżenie wspięli się na mur i przemknęli pod ścianami. Przyglądali się budynkom z niepokojem, tak jakby spodziewali się, że coś zrobią.

Za murem mieściło się podwórze, na którym wrak samochodu królował pomiędzy chwastami. Fabrykę otaczała pustka. Nic się nie poruszało. Możliwe, że w jednym z okien niewychodzących na nic konkretnego ciemność była mniej nieprzenikniona. Mury, na które się wspięli, prowadziły niczym kręgosłup do samego budynku: nie musieli nawet schodzić na ziemię. Billy dał znak kilku wojownikom, pokazał, gdzie mają pójść.

Nawet gdyby był z nimi Wati, to i tak nie mógłby pomóc – Billy zobaczył, że gliniane figurki na dachu zostały strzaskane. Dwór Grisamentuma oślepił budynki. Billy wyjął z kieszeni małego Kirka. Uniósł go w górę, jak robił to już wielokrotnie, odkąd Watiego ściągnęło z powrotem, i wyszeptał jego imię. Znów bez odpowiedzi.

Potem wskazał przed siebie. Dane spojrzał za jego gestem wzdłuż strzelby, którą wziął ze zbrojowni krakenitów. Na dachu budynku dostrzegli lekki ruch. Jakiś człowiek opierał się o poręcz i wychylał w ich kierunku.

– Widział nas – stwierdził ponuro Billy.

– Jeszcze nie jest pewien – szepnęła Dane. Broń kopnęła. Człowiek upadł bezgłośnie.

– Łał – wyrwało się Billy’emu.

– Kurwa – mruknęła Dane. Drżał cały.

– Nie zostało nam dużo czasu.

Ukąszeni krakenicy wysiadali z samochodów, poruszając się dziwnie niezgrabnie. Gdy zbliżyli się do budynku, nadciągnął oddział dywersyjny.

Atak londynmantów, tak jak uzgodniono, był pełen efektów dramatycznych. Armia murów. Ci nieliczni, których sznyt pozwalał mobilizować na obrońców miasta, zrobili, co tylko mogli. Ogłosili parachemiczny alarm, wysłali fale zaniepokojonych patogenów. Stymulowali odpowiedź immunologiczną, która już za chwilę nadeszła: zrodziła się z ceglanych narożników, wynurzyła z kotlinek pośród chwastów, wypełzła z wraku samochodu. Leukocyty Londynu ruszyły do ataku.

Jeden z nich wyglądał jak ożywiony budynek, inny przypominał kukielkę ze śmieci, jeszcze inny – okno wychodzące na inną część miasta, monstrualną dziurę. Przemykały przez materię miasta, wielkie i małe, wypełniając napotkane nisze. Ich kroki brzmiały jak szczekanie psów i pisk opon. Jeden z nich cisnął własnym odpowiednikiem głowy i wydał okrzyk wojenny brzmiący jak dźwięk krztuszącego się silnika autobusu.

Otworzył drzwi i najodważniejsi londynmanci wbiegli do środka, unosząc broń lub artefakty, które pomagały im kierować przeciwciałami. Za oknami rozpoczęło się poruszenie.

Z bocznych drzwi i zza kublów na śmieci wynurzyli się broniownicy, przy każdym strzale mamrocząc modlitwy o płodność. Z okna zeskoczył psokształtny kawałek papieru. Billy przez chwilę sądził, że kierują nim bestiarze, ale nie zauważył nikogo, kto mógłby dmuchać. Wszystkie te wilcze strzępki były poplamione atramentem.

– Jezu! – szepnął Billy. – Dane, zobacz. To on. Są nim całkiem umazani. – Na każdym papierze było dość atramentu Grisamentuma, by sznytować jego ruchy. Był teraz bardziej rozrzutny, u progu swej dawno zaplanowanej apoteozy, stał się niecierpliwy. Atramentowo-papierowy wilk rzucił się na krzyczącą londynmantkę, a papierowe zęby rozdarły jej szyję, jakby były z kości.

– Chryste! Czas ruszać. – Billy wycelował fazer i popętnął naprzód.

Poniżej, na murze widać było plamę obtłuczonych cegieł, która nagle zaczęła zmieniać kształt, przekształcając się w stare drzwi z wyłamanym zamkiem. Saira przygryzła wargę i wystąpiła naprzód, prowadząc ukąszonych. Billy z łatwością mógł wskazać ludzi naznaczonych przez krakena.

Byli znacznie silniejsi niż przedtem. Podnosili kawałki murów i ciskali w napastników. Ciągłe się zmieniali. Ich ciała falowały, jakby poruszane falami pływów, mięśnie trzepotały, poruszając się w nieprzewidzianych kierunkach.

– Chryste – szepnął Billy. Dla odwrócenia uwagi wystrzelił słabą wiązkę w ścianę budynku, choć nie mógł oderwać wzroku od nacierających krakenitów.

Jednemu z mężczyzn wyrosły oczy architeuthisa – dzikie, czarne kręgi, otaczające jego twarz z obu stron, wciskając rysy twarzy pomiędzy siebie. Jakaś kobieta napęczniała, a jej ciało zmieniło się w muskularny walec, z którego wystawały członki – wyglądała absurdalnie,

ale była niewiarygodnie silna. W oddali przemknęła inna kobieta, poruszając się ruchem odrzutowym, zasysając powietrze przez syfon, jakby to była woda; jej włosy falowały w prądach morskich odległych o wiele kilometrów. Jakiś mężczyzna uniósł ręce, ukazując pęcherze, które pękały, zmieniając się w przyssawki, jego towarzysz miał na twarzy ostry dziób, w miejscu, gdzie poprzednio były usta.

Wdarli się pomiędzy broniowników i wirujące papiery. Trafiano ich kulami, a oni rycieli, gryźli i rąbali na wszystkie strony. Mężczyzna z przyssawkami spojrzał z nadzieją na własne ręce. Przyssawki otwierały się w próżnię, lecz ramiona nie zmieniały kształtu. Wyglądało to niesamowicie, ale...

Czyż nie był to okrutny boski żart, że żaden z ukąszonych krakenitów nie miał macek?

Dane nie nabrał nowych kształtów. Spojrzał jednak na Billy'ego, a oczy miał całkiem pokryte źrenicami, idealnie czarne. Nie wyrosły mu wydłużone ramiona.

– Billy... – z plastikowego ludzika dobiegł cichy głos.

– Wati! – Billy aż drgnął. Pomachał figurką, by przyciągnąć uwagę Dane'a. – Wati, to ty!

– ...znalazłem was – wychrypiał głos i znów zakaszłał. Potem zamilkł.

– Wati...

– Pierwsze, czego się w życiu nauczyłem z własnej woli, to zniebyć z tamtego starego ciała. Zrobiłem to znowu. Po prostu nie byłem przygotowany. Musiałem... – Gwałtowne zakotwiczenie w tej wyeksploatowanej lalce straszliwie go osłabiło. – To jedyne miejsce, jakie zdołałem znaleźć. Tyle czasu tu spędziłem. – Wati był na wpół przytomny, ledwie zdołał wypełznąć z bezdusznej przestrzeni pomiędzy posągami, gdzie leżał pogrążony w śpiączce. Znowu zamilkł.

– Cholera! – szepnął Billy. – Wati! – Odpowiedziało mu milczenie, a czas już prawie upłynął. Billy dał znak Dane'owi i razem przycupnęli na balkonie pod wysokim oknem, przyglądając się ostatnim zabiegom Grisamentuma.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

W sali wirowały strzępy papieru. Samolociki, ścinki i strzępki, wszystkie krzątały się, jakby miały jakiś cel, wszystkie pomazane były atramentem. Rozciągającą się w dole salę zastawiono starymi maszynami, resztkami pras drukarskich i frezerek. Wzdłuż ścian biegło kilka pomostów na różnych poziomach. Billy dostrzegł grupę broniowników.

Pośrodku uwijała się Byrne, zapisując notatki, spoglądając na nie i dyskutując z Grisamentumem, odpisując mu z pomocą jego samego. Obok leżał wielki stos książek z oddartymi okładkami, kilku techników przestawiało dźwignie, nie zważając na otaczający ich chaos. Właczali namoczoną pulpę papierową w prasę hydrauliczną i skrupulatnie zbierali wytłoczony płyn barwy ziemi.

– To biblioteka – domyślił się Billy. Namoczona, pocięta biblioteka krakena sprowadzona do postaci atramentu. Wskazał na szybę.

Cała ta starożytna wiedza zalana rozpuszczalnikiem, plamy atramentu spływające ze stron, na których układały się w słowa. Część pigmentu musiała pochodzić z kawy, nalotu osadzonego w ciągu wielu lat, z chityny zmiażdżonych owadów. A jednak wyciśnięty sok stanowił esencję wiedzy krakenitów. Billy spojrział w głąb i w końcu dostrzegł go – na podwyższeniu, w wielkim, prostym wiadrze, królując nad pozostałymi, spoczywał Grisamentum. Jego chlupoczące płynne ciało.

Dane naparł na szkło, wydając jakiś wściekły odgłos. Promieniował zimnem.

– Zamierza dodać to do siebie – powiedział Billy. – Albo siebie do tego.

Ten ciekły druk krył niezwykle bogactwa. Płynny mrok skrywający wszystkie tajemnice architeuthisa, homeopatyczną pamięć kształtów, które kiedyś przybierał, pisma, sekretów, które opisywał. Po zmetabolizowaniu tej wiedzy Grisamentum wiedziałby o krakenie więcej niż jakikolwiek teuthex.

– Pospieszcie się! – doleciał ich przez szybę głos Byrne, jakby szkło pocieniało, by im pomóc. – Możemy wytropić to zwierzę, ale najpierw trzeba wycisnąć resztę wiedzy. Szybko!
– Papiery zawirowały, jakby w pokoju rozpętało się tornado.

Jeden ze strzępków lecących pod samym sufitem, u szczytu szeleszczącego słupa, rozplaszczyl się na szybie naprzeciw Billy'ego i Dane'a. Atrament spojrział na nich uważnie.

Na sekundę zamarł. A potem zanurkował z powrotem w papierowy wir. Reszta poleciała jego śladem i wir zaczął zapadać się sam w siebie.

– Chodźmy! – wrzasnął Billy. Kopnął szybę, aż wleciała do środka; wycelował w środek papierowej burzy, ale z fazera nie wydobyła się wiązka. Rzucił bezużyteczną broń w każdą pełną Grisamentuma.

Padł strzał, potem drugi i dwóch krakenitów, którzy zdołali wdrzeć się do środka, padło na podłogę. Dane nawet się nie poruszył. Billy usłyszał pukanie i wilgotny chlupot. W jego boku otworzyła się rana i zaczęła spływać czarną krwią. Krakenita popatrzył na Billy'ego przepastnymi oczami. Potem trochę urósł.

Billy wyrwał Dane'owi pistolet za paska, a papiery rzuciły się na niego całą chmarą. Niektóre przybrały kształt zębatej czaszki. Billy zamachnął się butelką wybielacza i zatoczył łuk, jakby trzymał w ręku wysuwające się ostrze. Wszędzie, gdzie upadła kropla płynu, w pigmentcie zostawały plamy. Czuć było zapach prochu i amoniaku przypominającego zalewę architeuthisa.

Krzyki. Krakenici pożarci żywcem przez stado plam Grisamentuma, dla zabawy uformowanych w kształt papierowego tygrysa. Billy złapał wzrok Dane'a. Przez chwilę spoglądali na siebie, po czym Dane przesadził barierkę jednym susem. Rana w ogóle mu nie przeszkadzała. Spadał szybko, ale nie poddawał się bezmyślnej władzy grawitacji. Papiery próbowały go zatrzymać, ale zrobił unik w locie. Wystrzelił i zabił jednego z techników. Spadając, rozlewał wokół wybielacz, chlapiąc nim w strzępki kartek, które odsuwały się instynktownie, i celując w Grisamentuma.

Zaatakował z idealną precyzją, niczym doświadczony drapieżnik. W ostatniej chwili Byrne zastąpiła mu jednak drogę. Płyn zalał jej pierś, wysysając kolor, niczym obraz Pollocka w negatywie. Ubranie zbieleło pod rozbryzgiem. Potem wyciągnęła przed siebie staromodny rozpylacz perfum i nacisnęła gruszkę.

Billy napiął mięśnie. Zacisnął pięści, usztywnił brzuch, napiął wszystko, co tylko mógł. Nic się nie stało. Czas się nie zatrzymał. Byrne prysnęła Dane'owi w twarz ciemnym płynem.

Mężczyzna zatoczył się w tył, twarz miał wilgotną od szarego atramentu. Chmura cząsteczek Grisamentuma. Wciągnął je do płuc wraz z powietrzem.

Zakrztusił się, próbował zwymiotować. Billy wycelował w Byrne pistolet Dane'a, choć nie miał pojęcia, jak go używać. Kobieta zanurzyła palce w Grisamentumie i otrząsnęła przed sobą. Powietrze wokół niej zamknęło się nagle, a gdy Billy w końcu wystrzelił, pocisk odbił się od niczego.

Dane leżał na ziemi. Jego ciało falowało jak woda w strumieniu. Grisamentum zaczął go wypełniać, zmieniać kształt komórek. Wypisywał złe zaklęcia na płucach. Billy patrzył, jak Dane umiera.

Papiery otoczyły Byrne nerwowym, stadem, niczym głodne ptaki.

– Na pewno? – spytała jeszcze kobieta.

Podniosła wiadro ciemnego płynu wyciśniętego z biblioteki i wlała do kadzi Grisamentuma. Jej szef zawirował. Szybkie tempo musiało przyprawiać go o psychiczną niestrawność, ale naprawdę potrzebował wiedzy teutyków. Chciał zrozumieć swoją ofiarę. Byrne zamieszała w nim i otrząsnęła mieszadło. Papiery cofały się szybko, gdy tylko padły na nie krople pigmentu. Stare, wyschnięte kleksy Grisamentuma zostały zastąpione nowymi i mądrzejszymi.

– Musi być gdzieś blisko! – zawołała Byrne. – Znajdźcie go i przyslijcie kogoś z powrotem. Ja przyprowadzę resztę. Do roboty!

Dane na szczęście przestał się poruszać. Billy chciał zebrać resztę ukąszonych krakenitów, zniszczyć broniowników i papierowe potwory. Gdy się jednak rozejrzał, wszędzie dostrzegł tylko chaos, w którym jego strona została rozbita w puch. Wyszedł przez okno.

Na zewnątrz londynmanci zmagali się z broniownikami i demonem ulepionym z poplamionego papieru. Wszędzie leżały ciała i fragmenty otoczenia o zaburzonej perspektywie – martwe funkcje Londynu. Krakenicy rżęzili jak ryby wyjęte z wody albo leżeli bez ruchu, ociekając słoną wodą. Billy zobaczył, że jeden z nich wciąż walczy, wymachując lewą ręką, którą teraz zastąpiła sześciometrowa kończyzna chwytana, którą miotał na boki.

– Saira!

Kobieta uśmiechnęła się na jego widok, choć sama drżała z nerwów. Nabrała garść Londynu i ulepiła z niego policyjną tarczę, po czym schowana za nią przebiegła przez pole walki.

– Billy! – wykrzyknęła i nawet go uściskała. – Co się stało? – Potrząsnął głową. – Dane? – Powtórzył gest. Oczy londynmanki rozszerzyły się gwałtownie. Billy poczuł, że telepią nim drgawki.

– Katastrofa – powiedział w końcu. – Nie zdołaliśmy nawet podejść. On właśnie... właśnie wyciska resztki wiedzy. Gdzie się podział mój anioł stróż, co? – Próbował znów porozmawiać ze swym bólem głowy, który pojawiał się zawsze w obecności anioła, ale tym razem był to tylko zwykły ból.

– Billy... – z kieszeni rozległ się słaby głos. Wati powoli odzyskiwał przytomność. Billy zawołał go po imieniu.

– On żyje? – zdziwiła się Saira. Od strony fabryki dobiegł ogłuszający dźwięk. Z dachu budynku zerwało się stado poplamionych czernią papierów, przypominających nietoperze. Rozpierzchły się po niebie.

– Odszedł – zaczął Wati. – On chce...

– Są nim całe umazane, ale może ich wysznytować więcej – odparł Billy. – Już nie ma żadnych hamulców. Postawiliśmy go pod ścianą. Idzie na całość. Szuka krakena, a gdy już

znajdzie, Byrne go wydoi i... – Spojrzeli po sobie. – Dasz radę ich znaleźć? Przesłać wiadomość do tych w ciężarówce?

– To londynmanci – Saira przytaknęła z godnością. – I ja też.

– Powiedz, że mają się stamtąd wynosić. Powiedz, żeby jechali... Czekaj. – Billy spojrział na figurkę Kirka, w małe plastikowe oczka. Myślał na pełnych obrotach, jak tylko mógł najszybciej. – Wati?

– Tak?

– Mamy do dyspozycji tyle czasu, ile potrzeba Grisamentumowi, by znaleźć ciężarówkę. Widziałeś, ile go tu jest. Posłuchaj, wiem, że mocno oberwałeś, ale obudź się. Słyszysz mnie?

– Cisza. – Jeśli on się nie obudzi – zwrócił się do Sairy – będziemy musieli pójść sami, ale...

– Gdzie? – spytał Wati. – Pójść gdzie?

– Jak się czujesz?

– Boli.

– Możesz... możesz chodzić?

– Nie wiem.

– Tutaj jakoś doszedłeś.

– Ta lalka... używałem jej tyle czasu, że wygląda jak krzesło z odciskiem mojego tyłka.

– Wati, co się stało?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Myślałem, że już nie żyję. Myślałem, że twoja przyjaciółka Marge... Przyszli po nią Goss i Subby. – Billy czekał w cierpliwie. – Ale nadal ją wyczuwam. Nawet teraz. Ma na rękach pył z mojego starego ciała.

– Była w Hoxton.

– Chyba... Chyba uciekła Gossowi i Subby'emu – w słabym głosie Watiego zabrzmiał podziw.

– Możesz z nią porozmawiać?

– Tamto ciało już nie istnieje.

– Nosi jedno na szyi. – Billy chwycił się za koszulkę w miejscu, gdzie wisiałby naszyjnik.

– Mógłbyś wykorzystać ten pył, by ją odszukać? Możesz chociaż spróbować?

– Gdzie jest Dane?

Walka trwała dalej, wszędzie słychać było odgłosy tajemnego mordy.

– Nie żyje – powiedział Billy.

Wati nie odzywał się przez dłuższy czas.

– Co mam jej przekazać? – spytał w końcu.

Saira szeptała coś Londynowi do uszu, przymilała się i błagała, by jej wysłuchał, choć był zszokowany i przerażony, i dostarczył wiadomość jej dawnemu nauczycielowi.

– Musimy działać szybko, to cała nasza nadzieja – powiedział Billy i przekazał jej, gdzie ma skierować ciężarówkę.

Saira ugniotła mur i zmieniła część w żywopłot, przez który przepchnęła się na ulicę.

Billy na chwilę został sam – nie licząc cichnącej walki i trzepotu papierów. Patrzył na budynek, w którym zginął jego przyjaciel. Żałował, że nie zna żadnego gestu, który można by wykonać nad grobem poległego żołnierza krakena. Zacisnął powieki i przełknął ślinę, po czym wymówił imię Dane'a, nie otwierając oczu. Sam wymyślił tę ceremonię.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Czy da się ukryć przed niebem coś wielkości ciężarówka? Przez pewien czas chroniło ich niezdecydowanie Fitcha: nie mogąc ani poprzeć swych walczących towarzyszy, ani ich opuścić, zatrzymał się kilometr od opuszczonej fabryki i kazał zaparkować ciężarówkę w tunelu. Tam, w pomarańczowym świetle lamp sodowych, skryci pod chodnikiem, zapalili światła awaryjne. Czekali tam, patrząc, jak mijają ich pojazdy uchodźców uciekających przed nadciągającą nocą. Gdy Saira wysłała swą wiadomość, Londyn nie musiał przesyłać jej daleko.

Billy i Saira biegli w stronę kryjówki, mijając plamy z ptasiego guana i plakaty reklamujące płyty lub wystawy, a ponad ich głowami przemykali atramentowi zwiadowcy Grisamentuma. „Wyjedźcie nam na spotkanie”, powiedział Saira. „Potrzebujemy pomocy”. Fitch, zawstydzony, kazał odpalić silnik i ciężarówka wytoczyła się z nory na odsłonięte ulice.

Papierowa helisa spadła na nich prosto z nocnego nieba i otoczyła samochód. Pojazd przebijał się przez nie. Papiery były rozumne, ale zachowywały się niczym wygłodniałe stado drapieżników, rozplaszczając się na szybach jak ćmy. Gdy w końcu dotarli do miejsca, gdzie czekała Saira, Billy, kilku londynmantów i ci spośród krakenitów, którzy byli jeszcze w stanie uciekać, samochód był oblepiony kilkoma warstwami rozgorączkowanego papieru.

„Dobry Boże”, jęknął w duchu Billy, na samą myśl o tym, co zszokowani mieszkańcy oglądają teraz zza firanek. Obok niego stali dwaj londynmanci i dwaj ukąszeni krakenici, wciąż morfujący w pośrednie formy teutyczne. Machali wydłużonymi członkami, rozlewając resztki wybielacza. Fitch otworzył tył i zawołał, by wsiadali. W tej samej chwili skrawki papieru zerwały się do lotu, jednomyślnie niczym stado ryb, i popędziły w stronę fabryki.

– Grisamentum sprowadzi Byrne i resztę siebie – stwierdził Billy. – Teraz już wiedzą, gdzie jesteśmy. Musimy jechać.

– Ale gdzie? – spytał Fitch.

– Ruszaj – rozkazał Billy. – Jedziemy się z kimś spotkać.

– I co o tym myślisz? – zwróciła się do swojego asystenta Collingswood.

– O czym? – odparł pytaniem. Byli równi stopniem, dlatego nie mówił do niej „szefie”. Szedł jednak tam, gdzie mu kazała, i wykonywał jej polecenia.

– Co teraz robimy? Zgłoszono jakieś włamanie? – Roześmiała się z własnego dowcipu. Jechali poprzez deszcz, sunąc przez ciemne i oświetlone ulice, gdzie ludzie wciąż kręcili się przy całodobowych sklepach, gdy tymczasem inni uciekali z przerażeniem przed bluźnierczymi walkami.

– Nie wiem – odparł.

– Wracamy na komisariat.

Marge nareszcie czuła się bezpieczna. Patrzyła na Paula: mężczyzna zdawał się udręczony, ale jednocześnie zrezygnowany. Milczał, ale za to jego Tatuaz nie ucichł ani na chwilę. Spod koszulki dobiegały okrzyki wściekłości, przerażenia i nieartykułowane warczenie.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła idiotycznie.

Potem znów usłyszała ciche mruczenie. Rozejrzała się wokół. Głos dobiegał z jej szyi.

Zamrugła i spojrzała podejrzliwie na Collingswood, ale ona wciąż przekomarzała się ze swoim kolegą. Marge dotknęła krucyfiks. Gdy ujęła go w brudne palce, głos zabrzmiał nieco głośniejsze.

– Hej – powiedział.

Srebrny Jezus przemówił. Marge odwróciła się do okna, spoglądając na nocne ulice, wypatrując nadchodzącego końca świata. I właśnie w takiej sytuacji zastał ją posłaniec.

– Hej – szepnęła i uniosła krzyżyk. Paul obserwował ją. Wpatrywała się w maleńką brodatą twarz.

– Hej – powtórzyła figurka.

– Co mówi słowo boże?

– Co ta...? – zdziwił się metalowy Chrystus. – Aha, jasne. Bardzo zabawne. – Zakaształ gwałtownie. – Przyłóż mnie do ucha – polecił. – Nie mogę mówić za głośno.

– Kim jesteś? – spytała.

Collingswood obserwowała ją teraz w lusterku.

– To ja, Wati. Mam dla ciebie wiadomość, więc słuchaj.

– Myślałam, że nie żyjesz.

– Też tak myślałem. Nie myj rąk. Billy prosi, żebyś coś dla niego zrobiła.

– Co tam się dzieje? – spytała Collingswood. – Do kogo mówisz?

Marge uniosła palec tak stanowczo, że policjantka umilkła zaskoczona. Maleńki mesjasz na łańcuszku przez dłuższą chwilę szeptał jej coś do ucha. Marge kiwała głową, przelykała ślinę i powtarzała „aha”, jakby rozmawiała przez telefon.

– Aha, tak mu powiedz – oznajmiła i w końcu puściła łańcuszek. Westchnęła, na chwilę zamknęła oczy, potem zwróciła się do Collingswood.

– Trzeba pojechać w jedno miejsce. Musimy kogoś zabrać. – Paul aż się wyprostował. Drugi policjant obrzucił ją nerwowym spojrzeniem.

– Hm... – mruknęła w zamyśleniu Collingswood. – Chyba nie czaisz jeszcze, na czym polega całe to „zatrzymanie przez policję”?

– Posłuchaj – odpowiedziała wolno Marge. – Chcesz nas zatrzymać? To zatrzymuj. Ale najpierw rozejrzyj się wokół i posłuchaj. – Z pobliskiej ulicy dobiegł bardzo pomocny krzyk i odgłosy bójki. Marge zrobiła pauzę dla efektu. – Właśnie otrzymałam zadanie. Od Billy’ego. Znasz go, prawda? I od tego małego gościa w moim naszymyjniu, który dziś wieczorem został zabity na moich oczach przez najstraszniejszego i najbardziej sadystycznego skurwiela na świecie, który przyszedł po mnie. Dostałam to zadanie z prostej przyczyny, że ta jedna rzecz może zatrzymać koniec świata. Nie sądzisz, że twój raport może zaczekać jeszcze parę godzin? Co właściwie planujesz osiągnąć?

Collingswood nie spuszczała z niej wzroku.

– Goss i Subby – powiedziała w końcu.

– A zatem słyszałaś o nich.

– Coś niecoś.

– W takim razie wiesz, o co mi chodzi.

– Wati też miał z nimi na pieńku?

– Powiedział mi, dokąd iść i co zrobić.

– Może opowiesz mi o tym, a wtedy podejmę decyzję?

– A może się odpięprzysz? – zaproponowała Marge bez złości. W jej głosie zabrzmiało całe zmęczenie, jakie teraz odczuwała. – Rozejrzyj się i powiedz, czy twoim zdaniem mamy dużo czasu do stracenia. A może... to tylko taka luźna propozycja. Może najpierw uratujemy świat, a potem nas zaaresztujesz?

W radiowozie zapadła cisza, nie licząc rozgorączkowanego wycia syreny.

– Wiesz co, szefie? – odezwał się niespodziewanie młody posterunkowy. – Podoba mi się ten plan. Jestem za.

Collingswood zaśmiała się głośno. Spojrzała przez szybę na niebo, gdzie kłębiły się chmury.

– Aha – stwierdziła. – Fajnie by było, gdyby nadeszło jakieś jutro. Ale potem – pogroziła palcem Paulowi i Marge – zwijamy was bez żadnych ale. No to jaki jest ten wasz plan?

– Kim ty, do cholery, jesteś? – wrzasnęła Mo, stając w progu. Ścisnęła w rękę miotłę, jakby to była broń. Drzewa kołysały się smagane wiatrem. Marge pokazała jej krucyfiks.

– Nie jestem wampirem! – obruszyła się kobieta.

– Dżizas kurna – powiedziała pojednawczo Collingswood. – Naprawdę mam użyć brutalności policji? Wpuść nas i posłuchaj.

– Przyszliśmy do Simona – wyjaśniła Marge, gdy znaleźli się w sieni.

– To zły pomysł. Wciąż jest nawiedzony.

– Trudno – odparła Collingswood.

– Został nam jeszcze tylko jeden. – Jedno uparte martwe alter ego. Mo zawarła się chwilę. – Simon źle się czuje. Potrzebny mu spokój.

– Aha – przytaknęła Marge. – A mnie potrzebne są wakacje na Malediwach. Ale nikogo nie obchodzą nasze potrzeby.

– Niegłupio gada – stwierdziła Collingswood. – W tym przypadku popieram zatrzymaną.

Simon spojrział na nich, gdy weszli. Ubrany był w pizamę i szlafrok. Na kolanach trzymał kulkę popiskującego futra.

– Przyszli nas Billy i Dane – powiedziała Marge.

Simon przytaknął. Z powietrza ponad nim dobiegło słabe upiorne zawodzenie. Mężczyzna potrząsnął głową.

– Wybaczcie.

– Mam dla ciebie wiadomość – ciągnęła Marge. – Musisz coś przenieść. Dla Billy’ego. Nie patrz tak na mnie...

– Kiedy ja... nie mogę. Właśnie dlatego tu jestem. To... rodzaj uzależnienia – wybełkotał Simon. – Ten sznyt jest jak narkotyk. Nie mogę znów w to wejść, nie mo...

– Gówna prawda – powiedział Wati, cicho, ale dosłyszalnie.

– Może ja ci to wyłożę – odezwał się nagle Paul, po raz pierwszy od dawna. Zakaszłał. Zza jego pleców rozległ się jęk, a duch Simona odpowiedział zawodzeniem. Paul potarł plecami o framugę, aż głos ucichł. – Właśnie wykończyłem najgorszego skurwysyna, jakiego możesz sobie wyobrazić, najohydniejszą metodą, z jakiej w życiu skorzystałem – podjął po chwili. – Wati mówił, że dałeś się w to zrobić, bo ktoś ci zapłacił i wmówił, że w ten sposób uratujesz świat. Gdyby Gris zdobył wcześniej to, na czym mu tak zależało... A zatem jesteśmy ci winni podziękowania. Za to jedno. Ale teraz weźmiesz tyłek w troki i zrobisz, co ci powiemy. Sznytowanie to nie żaden narkotyk. Zaszkoziło ci to, że zginąłeś i nawet tego nie zauważyłeś, a potem ginąłeś jeszcze wiele razy. Jutro możesz sobie robić, na co tylko masz ochotę. Ale teraz wykonujesz rozkazy Londynu. Rozumiesz? Trzeba przenieść jeszcze jedną rzecz. Nie musisz się nawet teleportować, więc nie wyciągniesz kopyt. A teraz zrobisz, co ci każe. Nie powiem nawet „proszę”.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Ciężarówka pędziła z rykiem, zupełnie odsłonięta, prześladowana przez stadko poplamionych papierów lecących w strumieniu powietrza, podążając za nią na złamanie karku.

– Nie uda nam się ich zgubić – stwierdziła Saira zza kierownicy. – Musimy dojechać tam jak najszybciej i uwinąć się z tym planem. Te śmieci nie dadzą nam rady, jest ich za mało. Kłopoty zaczną się, jak dołączy do nich reszta Grisamentuma.

W końcu znaleźli się w uliczce, którą Billy zapamiętał z poprzedniej wizyty. Wciąż było tu bardzo cicho, jakby w mieście nie szalała wojna. Ludzie spoglądali na nich z okien, a potem odwracali wzrok. Saira zaparkowała przy ostatnim domu.

– Jesteśmy na miejscu? – spytał Fitch. Ciężarówka była zatłoczona i śmierdząca. Ostatni z londynmantów stali przy martwym krakenie. – Po co tu przyjechaliśmy? Co morze na to poradzi?

Papiery zbiły się w posępne stado, krążąc w górze. „Pierdolcie się”, powiedział bezgłośnie Billy, patrząc, jak skrawki przelatują nad dachami i oddalają się pospiesznie.

– Poleciały sprowadzić resztę – stwierdził. – No dalej, dalej.

Zamarł, widząc zbliżające się ku niemu niebieskie światła. Wprost na nich mknął radiowóz na sygnale, a w końcu zahamował z piskiem opon. Ze środka wysiadła Collingswood. Billy już otwierał usta, by ostrzec Sairę, ale wtedy usłyszał głos Marge.

– Billy! – zawołała, prawie krzycząc. Wysiadła i zagapiła się na niego z niedowierzaniem. Mężczyzna podbiegł do niej i objęli się mocno. Stali tak przez dłuższą chwilę.

– Patrzcie – powiedziała Collingswood. – Jakie to piękne.

– Tak mi przykro – szepnął Billy. – Leon...

– Wiem – odparła. – Wiem, dostałam twoją wiadomość. I drugą też. Zobacz, przyprowadziłam go.

W samochodzie obok Paula siedział Simon Shaw.

Gdy Fitch ujrzał Paula, aż otworzył usta ze zdziwienia, ale najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. Londynmanci niepewnie wodzili wzrokiem od jednego do drugiego, Londynmanta próbował coś powiedzieć, ale Paul tylko pogroził mu palcem.

– Nie mamy o czym rozmawiać – uciął. – On już nadchodzi. – Wskazał ręką. W górze, niczym zbrazowiały liść, krążył strzępek Grisamentuma. – Już tu idzie. Trzeba się pospieszyć.

Przedtem wszyscy zakładali, że wcześniej czy później dojdzie do pojedynku między Grisamentumem a Tatuazem, ale Billy pomyślał, że teraz będzie to raczej starcie między Grisamentumem a Paulem. Nie miał pojęcia, co dokładnie planował Fitch, ale teraz wiedział jedno: Paul już się go nie bał.

– Billy – wycodziła Collingswood. – Chłopie. Cóżes ty, kurwa, narobił? – Mrugnęła do niego porozumiewawczo. – Jeśli nie chciałeś tej roboty, to wystarczyło, kurwa, powiedzieć.

– Witam, posterunkowa Collingswood – odparł i wbrew sobie uśmiechnął się szeroko.

Kobieta zacisnęła usta.

– Jaki masz plan, gościu?

– Idziemy – zakomenderował Billy. – Gotów? – Simon wyglądał na wystraszonego, ale skinął głową. Otworzyli ciężarówkę, by zobaczyć zbiornik krakena i zmetabolizował jego położenie w głowie. – Dobra jest – podsumował Billy. – Wiesz, co się teraz stanie?

Billy wyłożył całą sprawę na piśmie. Była to długa, szczegółowa wiadomość, którą zwinął w rulon i zakorkował w szklanej butelce.

– Idziemy? – zwrócił się do Sairy i Simona. – Musimy uzyskać pozwolenie.

– I współrzędne – dodał Simon. – Mówiłem już, że nie zdołam tego zrobić bez dokładnych współrzędnych.

Billy postukał butelkę.

– Nie zapomniałem. Wszystko tu jest. Bez paniki.

Wiadomość w butelce była błaganiem.

Mówisz, że kraken nie należy już do ciebie. Błagamy cię – pomóż nam. Nawet jeśli nie jest już twój, to dla dobra miasta, miasta, które było też twoim domem, prosimy cię: wykorzystaj swoją neutralność i swoją moc, jak wtedy, w walce przeciw nazistom. Potrzebne nam bezpieczne miejsce. Wszyscy słyszeliśmy, że nawet Tatuaz bał się z tobą zadrzeć – bardzo potrzebujemy takiego sojusznika.

Stawiamy wszystko na jedną kartę – napisał Billy. – Musimy tylko przetrwać tę noc. Musimy ocalić krakena. Jesteśmy zdesperowani.

Potem wepchnął tę wiadomość w otwór na listy.

Stali w mroku, w zupełnej ciszy. Jakiś człowiek minął ich na rowerze, skrzypiąc pedałami. Fitch i londynmanci czekali. Ostatni spośród ukąszonych krakenitów kryli swe teutyczne narośle we wnętrzu ciężarówki. Przez dłuższy czas morze nie odpowiadało.

– Co się dzieje? – szepnął Simon.

– Nie możemy tu czekać wiecznie – dodała Saira. Billy uniósł dłoń, by zastukać w okno, z uczuciem, że popełnia świętokradztwo. W tej samej chwili coś zapukało od wewnątrz. Powolny stukot dochodzący zza zasłonek. Dolny róg tkaniny odsunął się wolno.

– Pokażcie nam – szepnął Billy. – Bierz współrzędne, Simon. Rób, co masz robić.

– Jasna cholera – powiedziała wolno Saira. – Chyba należy to odczytać jako pozwolenie.

Zasłonka odkryła kawałek mroku. Za szybą nie było widać nic, póki w głębi tego mroku nie pojawił się jakiś ruch. W mdłym świetle latarni ukazały się maleńkie przezroczyste rybki.

Ich płetwy brzuszne trzepotały rytmicznie. Zwierzęta spoglądały na Billy'ego przezroczystymi oczami. Nagle w to stadko wbił się jakiś smukły kształt z rozwartą paszczą pełną ostrych zębów i ryby zniknęły. Zasłony powoli rozsunały się na boki.

W ciemnym pokoju pojawiły się ruchome światła, a wtedy ujrzeli podmorską grootę. Pokój pełen morza. Salon, kanapa, krzesła, obrazki na ścianach, lampy i stoły zatopione w głębokiej zielonej wodzie pełnej ryb i wodorostów. Światła miały perłowy blask bioluminescencji.

Salon pełen mebli, porośnięty krzewami koralu, wśród których uwijały się strzykwy. Frędzle przy abażurze falowały, poruszane prądem, a anemony wyciągały swe pierzaste trujące igły w rytm podmorskiego echa. Pomiedzy nimi krążyły ryby, podświetlone własnym blaskiem, jak duchy. Maleńkie stworzenia wielkości paznokci i węgorze grubości przedramienia. Obok zatopionego sprzętu audio obrośniętego pąklami unosiło się światelko wielkości pięści, poruszając się niczym metronom. Rytmiczne pulsowanie wyglądało niemal hipnotyzująco.

– Masz już? – Billy z wysiłkiem oderwał wzrok. – Gotów? – zwrócił się do Simona.

– Muszę najpierw odsunąć kawałek wody o identycznym kształcie – mruknął przenosiciel. Zapatrzył się na pokój, obliczając coś w głowie. – Już – oznajmił po chwili. Z mroku wynurzyła się murena i owinęła się wokół nogi kanapy. Przesunęła ją w bok, przygotowując miejsce na nowy przedmiot. – Okej – powiedział Simon. Zamknął oczy, a w powietrzu rozległo się nienawistne mruczenie jego ostatniego, ogłupiałego ducha.

– On wie, co robię – wyjaśnił Simon. – Myśli, że chcę tam pójść sam. Próbuje mnie przekonać, żebym się nie mordował – mówiąc to, nawet się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

W pobliżu rozległ się szelest papieru.

– Nadchodzą! – zawołał Fitch. Całą ulicę wypełniły papiery. Obejrzały ogródki. Rzuciły się na ciężarówkę, wpatrzone w nią kleksami.

– Cokolwiek chcesz zrobić, rób to, kurwa, szybko! – dodała Collingswood.

Simon podszedł do zbiornika krakena i położył na nim dłonie. Zamknął oczy. Światło reflektorów przesunęło się po fasadach domów. Otoczył go znajomy drżący odgłos i cekinowe migotanie. Gdy przygasło, zbiornika już nie było.

Od strony domu dobiegło dudnienie. Z otworu na listy chlusnęła woda. Simon, który nie miał się już o co oprzeć, padł na kolana.

– Duży był – mruknął. Spojrzał w górę i uśmiechnął się. Jego duch zawył.

Kraken znalazł się w ambasadzie morza. Billy, Simon i Saira spojrzeli po sobie.

– Czyżbyśmy... – zaczęła Saira.

– Już po wszystkim – odparł Billy.

– Graty-kurwa-lacje – ucięła Collingswood. – A teraz może pofatygujecie się do pierdła?

– Jest bezpieczny – stwierdził z niedowierzaniem Billy. Papiery szalały wokół nich. Samochody podjeżdżały i zatrzymywały się przy chodniku, kartki zaczęły bombardować ich gniewnie, zmieniając się w pociski. Paul wypiął pierś, jakby to on sam był wrogiem atramentu, nie wzór na jego skórze. Billy usłyszał znajomy głos.

– Niech to szlag! – krzyknęła Byrne na widok pustej ciężarówki.

– Czas iść – stwierdził.

Collingswood zmierzyła wzrokiem eskortę Grisamentuma i przez chwilę rozważała różne możliwości. Jej towarzysz rzucił się do ucieczki.

– Ty mały skurwielu! – wrzasnęła za nim posterunkowa. Dźgnęła ręką powietrze, celując w plecy i za chwilę mężczyzna potknął się o własne nogi i padł tak ciężko, że prawdopodobnie złamał sobie nos. Potem odwróciła się do niego plecami. Pozwoliła mu uciec.

– Możesz próbować zaarrestować Grisa, Collingswood – zaproponował Billy. – Masz ochotę?

– Bardzo, kurna, wielką. – Policjantka nie ruszyła się z miejsca.

Saira pomogła Fitchowi wsiąść do ciężarówki, teraz zawahała się chwilę.

– Wynośmy się stąd – stwierdził Billy. Marge także wskoczyła do środka. Paul wdrapał się za nią, oganiając się od stadka papierów, które nękało go z wyuczonyj wrogości, najwyraźniej nie widząc różnicy między nim a jego ozdobą. Billy, Saira, a nawet Collingswood milcząco skierowali się w stronę pojazdu, ale ruszyli za późno. Byrne była już blisko i prowadziła ze sobą dwa samochody pełne broniowników.

– Kurwa! – zakląła Saira, oceniając odległość. Na ułamek sekundy złapała spojrzenie Billy’ego. Mężczyzna skinął głową, a wtedy gestem nakazała kierowcy ruszać. Klapa podskakiwała niezamknięta, a Marge i jakiś zdziwiony londynmanta wciąż wychylali się z tyłu pojazdu. Kobieta krzyczała coś wściekle, jakby protestowała, ciężarówka szybko jednak zniknęła za zakrętem. Simon jęknął i wyciągnął ręce jak dziecko. Billy chwycił go i pociągnął za sobą.

Saira ugniotła mur i zrobiła z niego obrośniętą mchem furtkę. Ukryci przed wzrokiem prześladowców, skulili się przy ścianie domu, obserwując Byrne i ekipę Grisamentuma. Gotowi byli w każdej chwili uciekać, gdy wokół nich zawirowały wściekle papiery.

– Chyba wpadli w szal – stwierdził Billy.

– Fajnych masz kolegów – dogryzła mu Collingswood.

– Odjechali bez nas – poskarżył się Simon, tak głośno, że Billy zatkał mu usta ręką.

– Nie mieli wyboru – odparł Saira. – To ja kazałam im jechać. Znajdę ich potem...

Nieopodał rozległo się głośne uderzenie. Ściana zadrżała lekko.

– Co, do cholery? – Saira i Billy popatrzyli na siebie. – O Boże... – szepnęła. – Chyba nie są tacy głupi? Morze?

A może jednak? Podkradli się do narożnika i wyjrzeli.

Król Kanut Wielki zademonstrował kiedyś swym nadwornym pochlebcom, że człowiek nie jest w stanie zwyciężyć morza. Nawet Tatuaz, nie licząc oczywistego blefu, wołał uniknąć tej konfrontacji. Była to uniwersalna reguła.

Grisamentum pragnął jednak napisać reguły na nowo.

Zetrzeć napisy na ścianie, przepisać reguły, poprawić schematy, wykorzystując atrament pochodzący z samego oceanu. Cóż mogło go powstrzymać? Potrzebował tylko tej jednej nocy.

Dlatego, gdy Billy wyjrzał zza węgła, zobaczył tam papiery wirujące w niecierpliwym korkociągu, Byrne ostrożnie niosącą wielką butlę swego szefa, a także broniowników stojących na straży oraz ich kolegów dobijających się do frontowych drzwi.

Londyńska twierdza morza była chroniona oceanicznymi sznytami, ale najważniejszym elementem jego zabezpieczeń była absolutna pewność, że te osłony nigdy nie okażą się potrzebne, a teraz atak miał za sobą nieustępliwą, skupioną moc Grisamentuma. Byrne nabrała go w strzykawkę i wstrzyknęła do zamka, pokropiła zawiasy. Tak bliski zwycięstwa,

u progu przemiany, stał się arogancki, działał brawurowo. Wypisał osłabiające zaklęcia na wnętrzu zamka. Teraz wystarczył jeden porządny kopniak.

– Nie, nie, nie – powtarzał Billy, gorączkowo próbując ułożyć jakiś plan, ale jeden z broniowników podszedł do drzwi, walnął w nie butem, a one otworzyły się gwałtownie. Otworzyły się na zewnątrz i odrzuciły go na bok, a zza nich runął wzburzony strumień – ogromna pięść solanki.

Słona woda buchnęła do ogrodu, zwalając z nóg napastników. Okna pękły, z góry aż do dołu. Morze wylało się na ulicę, porywając za sobą swoich mieszkańców. Na chodniku spiętrzyły się stopy wodorostów. Morska fauna, wywleczona z swego zbiornika, umierała na bruku. Meduzy, śluzice, grube głębinowe stworzenia, drgające żałośnie pośród nagich drzew. Rekin ślepy wielkości człowieka rozwierał blade szczęki, bezskutecznie gryząc samochód. Z sąsiednich domów rozległy się przerażone krzyki.

Broniownicy podnieśli się z ziemi. Otrząsnęli się z ryb, zebrali z przemoczonych garniturów wodorosty. Byrne i atrament wkroczyli do środka.

– Co zrobimy? Co zrobimy? – powtarzał Simon. Padł na kolana.

– Wyciągnij go – rozkazał Billy. – Wyślij go gdziekolwiek. – Simon zamknął oczy.

– Nie mogę... Poruszył się. Współrzędne się zmieniły. Nie mogę go uchwycić.

– Twoi ludzie są już w drodze? – spytała Saira.

– A co, do kurwy, miałby tu zrobić? – odparła nerwowo Collingswood.

– W takim razie, co zrobimy?

Dzięki wchłoniętej bibliotece Grisamentum poznał fizjologię architeuthisa. Byrne mogła odśmiercić krakena na tyle, by pobudzić ciało do fizjologicznej reakcji na strach, uzyskać chmurę sepii. „To mu wystarczy”, pomyślał Billy.

– Saira – powiedział spokojnie. – Chodź ze mną.

– Baron – zawołała Collingswood do słuchawki. – Baron, weź wszystkich. – Zrobiła wściekły gest, jakby chciała powiedzieć „Czekajcie chwilę!”, choć nie próbowała powstrzymać Billy’ego, gdy wspinał się na tyły domu, a potem podał rękę Sairze. Spojrzał na ogródek zarzucony gruzem i śmieciami.

– Zrób nam wejście – poprosił.

Saira nacisnęła tylną ścianę, ugniatając cegły, wygładzając je, aż przybrały formę szyby. Poprzez szkło pokryte podmorskim śluzem widać było małą łazienkę. Saira otworzyła zaimprovizowane okno. Drżała, i to nie tylko z zimna, trzęsła się na całym ciele. Zrobiła ruch, jakby chciała się wczłochać do środka, ale potem przystanęła z wahaniem.

– Na litość, kurwa – prychnęła Collingswood i zamknęła telefon. Potrząsnęła głową, jakby usłyszała kiepski żart. Rozłożyła ręce i uniosła się w górę, nie gwałtownym susem, ale szybkim, ostrożnym ruchem. W ten nieprawdopodobny sposób pokonała prawie cztery metry dzielące ją od okna i wylądowała na parapecie.

– Ej, ty – zwróciła się do Sairy. – Złóż na dół i idź potrzymać mięczaka za rączkę. A ty – zwróciła się do Billy’ego – włącz do środka i powiedz mi, co jest co.

W środku było lodowato. Wokół przeraźliwie cuchnęło rybami i rozkładem.

Znaleźli się w typowej londyńskiej łazience: przysadzista wanna z prysznicem, umywalka, sedes i mała szafeczka. Ściany wyłożono białymi kafelkami, które teraz pokrywała szara maź i zielony nalot. Gąbki i anemony oklapły na powietrzu, aż wyglądały jak miękkie grudki. Na podłodze pozostała cienka warstwa wody pełna jakichś stworzeń, niektóre jeszcze żyły. Przy drzwiach leżał młody samogłów – wielki, absurdalny stwór – martwy i smutny. W wannie kłębiły się spanikowane ryby. Coś kotłowało się w sedesie. Billy i Saira przyciskali dłonie do twarzy.

Gdzieś obok słyhać było krzyki. Billy ruszył naprzód, mijając miotające się w resztkach wody stworzenia. Odzyskał równowagę, opierając się o poręcz owiniętą brunatnicami.

W kuchni zobaczyli drzwi prowadzące do salonu, rozmiękczone morską wodą. Na podłodze wały się rozbite naczynia. W zlewie trzepotała się ośmiornica. Billy patrzył na nią, ale nie czuł żadnej więzi. Z pokoju obok dobiegały stłumione hałasy.

– Cholernie ich dużo – stwierdziła Collingswood.

– Musimy tam wejść – odparł Billy. Przez chwilę patrzyli na siebie. – Musimy.

Collingswood cmoknęła przez zęby.

– Daj mi chwilę, co? – poprosiła. – W porządku?

– Co zamie...? – chciał zapytać.

Policjantka uniosła lekko brwi. Billy skinął głową i odbezpieczył pistolet Dane’a.

– Jeśli mi się uda... rozlej go. Jasne, Billy? Nie bądź oferumą przez całe życie. – Zacisnęła usta, a potem wykonała jakiś gest palcami, przypominający taniec z teledysku. – Od wschodu – dodała.

Znów cofnęła się do korytarza w stronę głównych drzwi do salonu. Billy usłyszał coś jeszcze, jakiś sznyt, hałas, nienaturalny stukot.

– Nie wpuszczajcie ich! – zawołał głos Byrne, w salonie załomotały kroki, oddalające się w stronę korytarza. Billy kopnął gnijące drzwi i uniósł broń.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Podwodna grota, salonik morza. Billy był całkowicie spokojny.

Wkroczył do środka z trzaskiem wyłamanych drzwi. Wszędzie widział koralowe krzewy, plamy z solanki, wielkie, nieruchome ryby. W kącie osunęło się wielkie, zwiotczone ciało, którego nie potrafił zidentyfikować. Broniownicy poszli polować na Sairę.

Stał tu zbiornik z krakenem, w którym została już tylko cienka warstewka konserwantów. Obok stała Byrne, trzymając pod pachą jakąś magiczną księgę i butelkę Grisamentuma w drugiej ręce. Z ciała krakena sterczała ogromna strzykawka. Byrne łaskotała martwe zwierzę, stymulując je w jakiś obsceniczny sposób.

Kraken zaczął się poruszać.

Puste oczodoły drgnęły. Resztki formaliny zmieszanej z solanką zawirowały, gdy zwierzę obróciło się na bok. Kończyny wyciągnęły się i splątały, wciąż za słabe, by się miotać, skóra nadal wyglądała na złuszczającą się i pomarszczoną, ale kraken był teraz żywy, a przynajmniej nie był martwy. Nieumarły.

Spanikowane zwierzę, przerażone nagłym końcem swojej śmierci, wypuszczało szarobrazowy atrament. Płyn rozbryzgiwał się na ściankach zbiornika i ściekał do kałuży, w której leżała kałamarnica.

Billy zobaczył, że Byrne sięga po strzykawkę. Wystrzelił. Pojemnik z Grisamentumem eksplodował.

Byrne wrzasnęła, gdy szkło, atrament i krew z rozciętej dłoni prysnęły jej na pierś, przeleciały przez palce. Atrament bryzgnął na podłogę, rozplątał się w strumykach wpływających z opustoszałego domu. Do pokoju wkroczył broniownik i zagapił się na Byrne oblaną atramentem. Billy wyrzucił z siebie triumfalne: „Haaa!” i wycofał się do kuchni.

– Collingswood! – zawołał.

– Co? – odpowiedziała policjantka. Billy spojrzał przez drzwi i zobaczył, że kraken znów się porusza. – Trafieś?

– Tak! – Billy aż zachłysnął się z radości. – Rozlałem go i...

Byrne szeptała coś do zbiornika. Wyciskała atrament z bluzki wprost do kałuży atramentu.

– Szlag! – zaklął Billy. – Ile potrzeba...

Świat mu odpowiedział.

Ile atramentu Grisamentuma trzeba, żeby połączyć się z atramentem krakena? Żeby go pochłonać? Świat odpowiedział: nie tak dużo.

Duża część Grisamentuma szalała bez słów po podłodze, znikając, rozmazana butami. Ale wezyrka zdołała wycisnąć z ubrania małą szklanekę, pełną wiedzy krakenitów i wstrzyknęła ją do zbiornika. Atrament wirował i mieszał się z drugim, dwa atramenty tworzyły jeden nowy, zupełnie inny.

Płyn w zbiorniku zabulgotał. Kałamarnica-zombie dygotała i obijała się o szkło akrylowe. Atrament zaczął musować.

Billy nerwowo wycelował w zbiornik. Zdołał go przebić, wbijając pociski w masywne cielsko kałamarnicy. Płyn nie wyciekł przez otwory – utrzymywał swój kształt wbrew sile grawitacji. Jakaś obecność wykwitła z obu połączonych atramentów, spalonego człowieka i pism krakena. Jej śmiech zabrzmiał bulgotaniem.

Ciemny płyn urósł. Utworzył kolumnę w kształcie ludzkiej sylwetki, która śmiała się i wskazywała coś ręką. Potem Grisamentum uniósł ramiona.

I zaczął pisać reguły na nowo.

Ściana osłaniająca Billy'ego zniknęła. Nie zwała się, nie wyparowała, nie runęła w gruzy, po prostu nigdy tam nie była, została zniebyta. Kuchnia stanowiła teraz część salonu, pozbawiona zlewu i naczyń, pełna kanap i półek z książkami, mokra od resztek morza.

Pistolet Dane'a zniknął, ponieważ zostało napisane, że w tym pokoju nie ma żadnej broni.

– Jezu – wyrwało się Billy'emu, a wtedy atrament Grisamentuma wypisał na jego świadomości: nie. Nie był nawet bogiem, lecz wypisanymi przez niego zasadami. Bronionicy potykali się w biegu. Byrne śmiała się, zawieszona w powietrzu, otoczona przez swego ukochanego szefa.

Billy poczuł, że nastąpiło coś bardzo niebezpiecznego i rozpaczliwego, że zamknęło się coś otwartego na wszystko, historia zaczęła się naginać do woli kogoś innego. Zrozumiał, że coś jest gotowe wypisać niebo na nowo.

Atrament zebrał się w kulę, zawieszoną w górze ponad zbiornikiem. Wypełzały z niego wąskie nitki, nabierając kształtu słów i zmieniając wszystko. Pisma w powietrzu.

Kraken spojrział na Billy'ego nieistniejącymi oczami. Poruszył się w spazmach. Billy widział, że wielki głowonóg nie odczuwa strachu ani bólu. Gdzie się podział anioł? Gdzie jego bohater = butelka?

„To fiasko”, pomyślał i prawie się roześmiał. Była to tragedia, katastrofa, ale to jedno słowo tkwiło uparcie w jego myślach: fiasko.

Otworzył oczy. To słowo oznaczało butelkę.

„To wszystko metafora”, przypomniał sobie Billy. „Kwestia perswazji”.

– To nie kraken – powiedział. Atramentowy bóg nie usłyszał go, póki nie powtórzył tego po raz drugi, a wtedy oczy całego rozbawionego świata skupiły się na nim. – To nie kraken i nie kałamarnica – dodał.

Bezoki stwór w zbiorniku nie spuszczał z niego wzroku.

– Kraken to kraken – ciągnął Billy. – Nie ma z nami nic wspólnego. Ale to? To preparat. Wiem o tym, bo to ja go zrobiłem. Jest nasz.

Przez twarz Byrne obracającej się wokół własnej osi przemknął zaniepokojony wyraz. „Butelkowa magia”, pomyślał Billy. Atrament zadrżał.

– Rzecz jest w tym... – zawołał kustosz, czując gwałtowny przyływ adrenaliny. – Krakenicy uznali mnie za proroka z powodu tego, co zrobiłem, ale to nieprawda. Nie jestem żadnym prorokiem. Jestem... – Nawet jeśli był to przypadek, pomyłka, nieporozumienie, źle odebrany żart, to jakżeż inaczej wybiera się mesjaszy? – Jestem butelkowym prorokiem. – Przypadkowa moc szkła i pamięci. – I wiem, co jest co.

Koło Billy’ego znów pojawił się zlew, ściana także wracała, było jej już na kilka centymetrów. Kraken oddychał rżężąc przez syfon. Ściana odrastała.

– To nie żadne zwierzę ani żaden bóg – powiedział Billy. – Nie istniał, póki go nie spreparowałem. To mój preparat.

Nowe reguły zostały wykreślone. Billy czuł toczącą się walkę. Widział, jak ściana na przemian kurczy się i rośnie, przybywa i zniebywa, czuł, że może i nie może ustać na nogach, że całe pieprzone niebo przekształca się i kształtuje na nowo według reguł, które na zmianę wypisywano i wymazywano podczas pisarskiego pojedynku pomiędzy Grisamentumem – pełnym krakenowej mocy, atramentowej magii – a mackowatą istotą, która wcale nie była krakenem.

Preparat przycisnął ramiona do ścianki. Przysawki wypełnione pustką przylgnęły do szyby, ciągnąc wielkie cielsko w górę, aż stanęło prosto. Kałamarnica nie próbowała uciec – tu było jej miejsce.

Billy stanął prosto.

To dzięki niemu narodziła się w ludzkiej świadomości. To był *Architeuthis dux*. Okaz błagający o zakonserwowanie. Paradoks w kształcie kałamarnicy, nie morskie stworzenie. Billy po raz pierwszy zrozumiał, że *Architeuthis* nie był tą nieokreśloną istotą z podmorskich głębi – ona zawsze była tylko sobą. „Architeuthis” to ludzki termin.

– Jest nasz – potwierdził.

Jego atrament miał potężną moc – tu Grisamentum się nie mylił. Ale wszechświat usłyszał Billy’ego. Był bardzo przekonujący.

Może gdyby Grisamentum pobrał atrament bezpośrednio od mieszkańców oceanicznych rowów, nie zaś od istoty zmęczonej, spreparowanej i zakonserwowanej, może wtedy jego

moc byłaby bardziej wszechstronna. Wykorzystał jednak atrament z architeuthisa, który nie poddawał się jego kaprysom.

– To okaz. Można znaleźć go w książkach – zakończył Billy. – Opisaliśmy go dokładnie.

Zmieszane atramenty walczyły. Wszechświat naciągał się i falował, gdy zmagaly się ze sobą. W tej samej chwili, gdy Grisamentum zmieszał się z atramentem, atrament zmieszał się z nim; przejął jego moce, ale była to broń obosieczna. Do tego większość Grisamentuma została rozlana i atramentu architeuthisa było w tej mieszance znacznie więcej. Atrament z muzealnego eksponatu wypreparowanego przez mieszkańca Londynu, Billy’ego Harrowa, kawałek po kawałku zmetabolizował atramentową postać. Ściana znów się pojawiła, a Byrne runęła na ziemię.

Rozpacz Grisamentuma zatrzęsa całym domem. Gwałtownie tracił tożsamość, podobnie jak cała jego reszta, zalany naciągającą falą. Został zapisany, wymazany przez atrament, który z mgnieniem satysfakcji wrócił do swej bezrozumnej postaci i spadł w dół niczym deszcz.

Ściana wróciła. Kuchnia wróciła. Mokry dom znów był pełen ryb.

– Coś ty zrobił? – wrzasnęła Byrne. – Coś ty zrobił?

Uzucie obecności Grisamentuma zniknęło bezpowrotnie. Pozostał tylko nieumarły *Architeuthis*, wciąż miotający się słabo, śmierdzący, zalany chemikaliami, z łuszczącą się skórą, drżącymi kończynami, przesiąknięty atramentem, który teraz był jedynie zwykłym szarobrazowym płynem.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Broniownicy uciekli. Dlaczego mieliby zostać? Byrne została. Dlaczego, gdzie i dokąd miałyby odejść? Pozwoliła się rozbroić Billy'emu. Zanurzała palce w rozlanej wodzie.

– Nieźle, łobuzie – stwierdziła Collingswood.

Billy usiadł, zwrócony plecami do zalanych ścian. „Londyn jest już bezpieczny – powtarzał sobie w myślach – uratowany przed kosmicznym totalitaryzmem pisma”. Usłyszał kroki Sairy i Simona, którzy wkroczyli do środka, widząc uciekających wrogów. Collingswood odwróciła się, gdy tylko weszli.

– No, dobra. A teraz nie ruszać się, kurwa! Policja! – Wszyscy spojrzeli na nią z niedowierzaniem. – Nieee, jaja sobie robię. Co się stało, Billy? Jezu, spójrz tylko na to! To się, kurwa, rusza! – *Architeuthis* wił się niemrawo.

Collingswood na wpół ujęła Byrne, która osunęła się na podłogę, nie próbując walczyć.

– Gdzie twój duch? – Billy zwrócił się do Simona.

– Chyba zniknął. – W tej samej chwili usłyszeli odgłos syren i opon mknących po mokrym asfalcie. Za chwilę zjawiała się policja.

– Cześć, Baron – oznajmił Billy, gdy nadkomisarz wkroczył do budynku, wyciągając przed siebie pistolet i aż zamrugał, widząc ogrom zniszczeń. Policjanci w osłupieniu patrzyli na drgającą kałamarnicę.

– Billy! – wykrzyknął Baron. – Billy Harrow, a niech mnie powiesz!...

– Cześć, szefie. Widzę, że dotarłeś. – Collingswood odwróciła się do niego i zapaliła papierosa.

– Co wy tu, u diabła, wyprawiacie?

– W telegraficznym skrócie?

– Nie ma Vardy'ego? – zdziwił się Billy.

Baron wzruszył ramionami.

– Idziesz ze mną, Billy.

– Brawo, szefie! – zadrwiła Collingswood. – To ich nauczy.

– Dość tego, Kath!

– Pójdę – zgodził się Billy. – Pod warunkiem, że dacie mi spać.

– Co psy z tym zrobią, to naprawdę nie mam pojęcia.

– Collingswood przygotuje ci raport – podsunął Billy.

– Wątpię – odparła kobieta. Rozglądała się po pokoju, mrużąc oczy, węsząc i sznutyjąc. – Czekaście.

Billy podszedł do architeuthisa, szepcząc, jakby zbliżał się do nerwowego psa.

– Hej – szepnął do zakonserwowanego ośmiometrowego wieloramiennego nowo narodzonego stwora, taplającego się w resztkach konserwantu, miotając chwytynymi ramionami, rozpaczliwie szukając reszty rozlanego płynu.

– To nie koniec – powiedziała martwym głosem Collingswood.

– Posłuchaj – ciągnął Billy, patrząc na architeuthisa wywijającego ramionami grubości ludzkich nadgarstków. – Udało ci się. Uratowałeś nas.

Odpowiedział mu chłopot. Collingswood oddychała głęboko, patrząc na niego z wyrazem dziwnego wyczerpania na twarzy. Saira zmarszczyła brwi. Billy znów usłyszał ten mokry odgłos.

Był to największy stos rybiego mięsa, jaki dotąd widział. Konające stworzenie patrzyło na niego złym wzrokiem. Była to ryba z rodziny matronicowatych, olbrzymia żabnica zapadająca się pod własnym ciężarem. Z trudem otwierała zębatą paszczę. Patrzyła na Billy’ego i znów zamachała wicią-wabikiem, wciąż wyposażonym w małe światełko na końcu promienia płetwy grzbietowej. Machała nim z boku na bok. Czyżby próbowała go zwabić do paszczy, nawet teraz, gdy tonęła w powietrzu?

Nie. Ruch wabika nie przypominał konwulsyjnych ruchów małych rybek, które naśladowałyby podczas polowania. Rytmiczne przesuwanie wabika nie przypominało zachowania ryb, lecz ludzi. Zwierzę przemówiło jego językiem. Kołysanie wabika naśladowało przeczący ruch palca. Billy powiedział do architeuthisa „Uratowałeś nas”, a morze odpowiedziało: „Nie, nie, nie, nie”.

– Co, u diabła? – szepnął Billy.

– O co mu chodzi? – dołączyła się Saira. – Co się dzieje?

– To jeszcze nie koniec – powtórzyła Collingswood. – Kurwa mać! – Znów zaczęła krwawić: z oczu, z nosa, z ust. Wypluła krew razem z papierosem. – I właśnie, kurwa, zrobiło krok naprzód.

Billy zamknął oczy. Cały drżał, jakby dostał przedwczesnej alergii na to, co miało się stać.

– Ale jednak... – zaczął, po czym ze zdziwieniem poczuł, że ktoś wykręca mu rękę. Baron zakuł go w kajdanki. – Oszalałeś, człowieku? Zaraz wszystko spłonie!

– Zamknij japę – odparł Baron. Gestem polecił jednemu z ludzi, żeby skuł także Sairę.

– Coś tu jest popierdolone – stwierdziła Collingswood. – Szefie, nie bądź złamasem. – Wrażliwcy w całym tym Herezjopolis prawdopodobnie modlili się teraz, by to była pomyłka, by ich sensacje jednak okazały się wynikiem czegoś innego niż zapowiedzią nadchodzącej spalonej pustki.

– Puśćcie mnie! – zażądał Billy.

– Baron, zaczekaj – nalegała Collingswood.

– To od początku nie miało żadnego sensu – stwierdziła z olśnieniem Saira. Spojrzeli na siebie z Billym. – Nieważne, jak potężny jest atrament krakena, to i tak nie powinien pozwolić mu... zakończyć wszystkiego. Spalić. Nawet gdyby tego chciał, a dlaczego miałby...

– Szefie – powtórzyła Collingswood. – Daj im chwilę.

– Co potrafi zatrzymać wszystko? – myślała głośno Saira. – Ogień, kałamarnica...

Billy zagapił się na nią osłupiały, a potem coś sobie przypomniał. Coś, co widział i słyszał wiele tygodni temu.

– Kończy się po to, by zacząć od nowa – powiedział wolno. – Od początku. Wypalasz wstecz. To nie jest koniec. To restart.

– Wychodź – zarządził Baron. – Ruszaj się, Harrow.

– Jak? – spytała Saira.

– Wypalając wszystko, co pchnęło nas w niewłaściwym kierunku. Uruchamiasz inny program. O Boże, ten biedny kraken nie miał z tym nic wspólnego, był tylko... przypadkowym widzem. To my zaczęliśmy. A właściwie wy. Fitch powtarzał, że koniec zbliżał się tym szybciej, im bardziej próbowaliście go chronić. Zwróciliście na niego uwagę. – Ponad nimi rozległ się rozdzierający dźwięk. Wszyscy spojrzeli w górę. Niebo rozciągało się nad ich głowami, gotowe buchnąć płomieniem.

– Jak daleko jest stąd do Centrum Darwina? – spytał Billy. – Do muzeum?

– Sześć – osiem kilometrów – odparła Collingswood.

– Wychodź – powtarzał bezskutecznie Baron.

– Za daleko... Baron, mógłbyś przesłać wiadomość do... Musimy powiedzieć komuś...

– Zamknij się, albo dostaniesz gazem łzawiącym! – przerwał Baron. – Mam tego dosyć.

– Szefie, ty się zamknij – oznajmiła Collingswood i potrząsnęła głową. Baron zamrugał wściekle, nie mogąc wydobyć słowa. – Coś mówiłeś, Harrow?

Tamtego dnia, gdy londynmanci dowiedzieli się o planie Grisamentuma, gdy Al Adler postanowił uszanować stare tradycje i poszedł po – rzekomo – bezużyteczną wróżbę, narodziło się coś nowego. Nowa istota urosła w siłę, gdy skradziono krakena i alternatywne możliwości zostały gwałtownie ograniczone. Anioły pamięci dopiero po jakimś czasie wyruszyły z nią na wojnę – co znaczyło, że dopiero wówczas jej świadomość i metatożsamość stały się dostatecznie silne.

– Dlaczego nie ma tu anioła pamięci? – zastanawiał się Billy. – Podobno jest moim aniołem stróżem, tak? A zatem, dlaczego go tu nie ma? Co ma teraz ważniejszego do roboty?

Billy wiedział dokładnie, gdzie się znajdował, gdy rozpoczęła się ostatnia faza, co pokazywał i komu. Wiedział już, na czym polegał sprzężony rozwój, który sprawił, że morze, ta zupa pełna życia, stało się tym, czym było, i dlaczego tak szybko zrozumiało, że jest

zagrożone. Wiedział, co się dzieje i dlaczego, co im grozi i z czyjej ręki i nie mógł sprawić, by ktoś dotarł tam na czas i nie miał nawet czasu, by to wszystko wytłumaczyć.

Musiał dotrzeć do Centrum Darwina, natychmiast.

– O Boże – jęknął i zgarbił się zrozpaczony, a potem znów wyprostował. Żabnica przestała się poruszać. Billy milcząco pożegnał się ze wszystkimi.

– Simon – rozkazał. – Posłuchaj. Znasz współrzędne Centrum Darwina. Przenieś mnie tam. W sam środek. Teraz.

Simon zawahał się wyraźnie. Baron z wysiłkiem otworzył usta, ale znów nic nie powiedział.

– Wiesz, co to oznacza. To przez takie...

– Przenieś. Mnie. Natychmiast.

Simon nie mógł sprzeciwić się człowiekowi mówiącemu takim tonem. Billy próbował szybko spojrzeć w oczy wszystkim wokół. Saira, na wpół wyrozumiała, na wpół załamana. Simon, zrozpaczony, że znów musi popełnić morderstwo. Baron, który jako jedyny krzyczał, lecz nikt go nie słyszał. Collingswood skinęła mu głową, jak żołnierz żegnający towarzysza.

Znów rozległ się trzeszczący odgłos statyki i stłumiony okrzyk Billy'ego, ostatni dźwięk, jaki wydał w życiu, a potem światło pochłonęło go od środka, a on rozplynał się i zniknął. Baron trzymał pustkę.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY

Zapach morza odpłynął powoli – przynajmniej tak mu się zdawało – i nagle zastąpiła go woń chemikaliów. Przed oczami Billy’ego rozbłysły światła, zupełnie inne niż te, na które przed chwilą (nie) patrzył. Wiedział, że niczego nie pamięta, że urodził się z tymi wspomnieniami. Na razie wołał jednak o tym nie myśleć.

Znajdował się w sali ze zbiornikiem, w Centrum Darwina. Naprzeciwko niego, pomiędzy dwoma rzędami stalowych zbiorników, stał Vardy. I właśnie się odwrócił.

Billy dostrzegł, że blat, przy którym stoi profesor, jest zastawiony próbkami, rurkami i zlewkami, bulgoczącymi płynami i bateriami. Zdażył jeszcze zobaczyć, że Vardy celuje do niego z pistoletu, i padł na ziemię. Pocisk przeleciał mu nad głową, przebijając wielką butlę pełną zakonserwowanych małpek. Zwierzęta oklapły, w miarę jak w pojemniku ubywało cuchnącego płynu. Billy szarpał rękami, próbując uwolnić się z kajdanek, które wciąż miał na sobie. Pilnując, by nie wychylać się ponad blat, przeczołgał się po podłodze. Padł kolejny strzał. Na podłogę przed nim spadły krople formaliny i odłamki szkła, a pośród nich podskakiwał mały wypatroszony delfin.

– Billy – powiedział ponuro Vardy, a jego głos zabrzmiał tak cierpko jak zawsze. Równie dobrze mogło to być powitanie, stwierdzenie faktu albo wyzwisko. Gdy Billy próbował podczołgać się bliżej, kolejny pocisk zniszczył następny eksponat. – Zabiję cię – stwierdził Vardy – Anioł pamięci nie zdołał mi przeszkodzić, więc tobie też się nie uda.

Gdzieś z boku dobiegł go jakiś piskliwy, trajkoczący odgłos. Billy dostrzegł szalejącą w pobliżu maleńką figurkę. Był to mnemophylax – miał szklaną rurkę w miejscu torsu, kościane ramiona i szpony oraz głowę z czaszki, kłapiącej zębami jak rozzłoszczony pies. Był uwięziony pod dużym słojem. Vardy nie zadał sobie nawet trudu, by go zabić. Anioł przychodził tu i odchodził tyle razy, rozpadał się i znów odbudowywał tyle razy, że w końcu stał się maleńki. Szklaną rurkę prawdopodobnie wykorzystywano do przechowywania owadów, a kończyny... czyje mogły być, może mysie? Czaszka wieńcząca naczynie prawdopodobnie należała do małej małpy szerokonosej. Wyglądał żałośnie – mała, ożywiona porażka, niczym z kreskówki.

– Co zrobiłeś temu piromancie? – zawołał Billy.

– Cole jest zdrow jak ryba – odparł Vardy – Zrobił dokładnie to, o co prosiłem. Zachowywał się bardzo rozsądnie, odkąd mu wyjaśniłem, że jego córka znajduje się pod moją troskliwą opieką.

– A zatem dostałeś to, czego chciałeś. Czasoogień.

– Dzięki wydatnej współpracy ich obojga, tak. – Vardy znów strzelił, niszcząc osiemdziesięcioletniego krokodyla karłowatego. – Testowałem różne wersje i chyba jest w porządku. Nie ruszaj się, Billy. Słyszę każdy twój ruch.

– Kata...

– Katachronoflogiston. Zamknij się, Billy. Niedługo będzie po wszystkim.

Billy skulił się na podłodze. To on podsunął Vardy'emu ten pomysł. Przepowiednia zrodziła sama siebie. On i Dane, i pozostali, uwikłali się w nią, bo przykładali do niej zbyt wiele wagi, jakby była jakąś chorobą, patologiczną maszyną. Zaklął bezgłośnie. Właśnie z tym zmagał się anioł pamięci – z tą niczym nieuzasadnioną pewnością, walcząc o same fakty. Losu nie obchodziło to, jak ostatecznie wyglądał. W pobliżu rozległ się brzęk – phylax zaczął podskakiwać i walić małą czaszką o denko słoika.

Potem znów usłyszał dźwięk przenoszenia. Cienie i refleksy zmieniły się wyraźnie, a potem *Architeuthis*, wciąż uwięziony w swym zbiorniku, wrócił tam, skąd go skradziono. Billy zagapił się na niego. Bezoki stwór znów zdawał się odwzajemniać spojrzenie. Wywijął krętymi mackami niczym zombie. „Co to, kurwa, jest?”, pomyślał Billy.

– Ożywiłeś go? – spytał ze zdziwieniem Vardy. – W jakim celu?

– Vardy, proszę cię, nie rób tego. – Billy zignorował pytanie. – To się nie uda, to się nigdy nie uda. Już po wszystkim. Twój stary bóg przegrał.

– Może nie – odparł Vardy. Rozległ się odgłos zapłonu. – Może się nie uda. Ale może tak. Masz rację – mój bóg przegrał i nie mogę skurwielowi wybaczyć. Jak spadać, to z wysokiego konia.

– Naprawdę myślisz, że mają taką moc? Że są aż tak potężnym symbolem?

– Wszystko jest kwestią perswazji, jak już się pewnie przekonałeś. Wszystko zależy od doboru argumentów. To dlatego nie przejmowałem się Grisem. To nim się zajmowałeś, prawda? Popęlić taki błąd kategoryzacyjny... – Potrząsnął głową. Billy zastanawiał się, jak dawno Vardy zdołał odczytać zamiary Grisamentuma i w jaki sposób to zrobił. – Ale od tego się wszystko zaczęło. To na nich zbudowałem swój argument.

Korzystając z jego nieuwagi, Billy podkraść się do prawdziwego celu czasooognia. Nigdy, ani przez chwilę nie był on wymierzony w kałamarnicę, która stanowiła jedynie przypadkową ofiarę, znajdującą się w pobliżu innych mieszkańców sali, stojących w oszklonej szafie, wzorcowych i paradygmatycznych. Małych, zakonserwowanych pamiątek z podróży Darwina na statku Beagle.

To miał być ognisty restart. Załadowanie nowego światoprogramowania.

Przypomniął sobie melancholię Vardy'ego, jego pozornie niczym nieuzasadnioną wściekłość i słowa Collingswood. Miała rację. Tragedia profesora polegała na tym, że jego wiara została pokonana przez dowody, ale on nie przestawał za nią tęsknić. Od dawna – od wielu lat – nie był już kreacjonistą i nie mógł tego znieść. Przez cały ten czas marzył, by jego dawny błąd jednak okazał się prawdą.

Vardy nie chciał wymazać koncepcji ewolucji: chciał odwrócić sam ten fakt. A wraz z ewolucją, kluczem i źródłem wszystkich kłopotów, zniknąłby także inny problem: bezbarwna, wulgarna i przypadkowa bezbożność, która nie miała niczego na swoją obronę, może poza – to było najgorsze – swoją prawdziwością.

I sam w to uwierzył, a potem starał się przekonać miasto i historię, że to dzięki tym preparatom, tym rozpadającym się zwierzątkom zanurzonym w starożytnym konserwancie, zrodziła się ewolucja. Czym byłaby ewolucja, gdyby ludzie jej nie dostrzegli? Niczym. Darwin ją dostrzegł i tym samym spowodował, że istniała od zawsze. Zwierzątka z „Beagle’a” były spęczniałe od mocy.

Vardy zamierzał je wypalić, skazać na odwieczne zniebycie, spruć wążek zaczęty przez Darwina, wymazać fakty. Była to jego własna strategia, która miała pomóc jego własnemu nienarodzonemu bogu, surowemu, miłosiernemu dosłownemu bogu, którego widział w swoich pismach. Nie mógł sprawić, by ten bóg wygrał obecnie – ta bitwa była już przegrana – ale mógł sprawić, by wygrał wcześniej. Wypalić ewolucję, aż zniknęłaby całkiem, i zrestartować wszechświat, tak by żyjący w nim ludzie zostali od razu stworzeni – właśnie tak, jak powinno być.

Stało się to tej nocy, ponieważ Billy i jego towarzysze wybrali właśnie ją, wywołując końcową wojnę. Dzięki temu Vardy wiedział, kiedy wkroczyć do akcji.

– To się nie uda – powtórzył Billy, ale sam czuł napięcie w niebie i czasie i miał wrażenie, że tak, jednak się uda. Cały ten cholerny wszechświat był z plastiku, a Vardy trzymał w ręku koktajl Mołotowa.

– Zobacz – powiedział. – Butelkowa magia.

Naczynie pełne było flogistonu, który kazał przyrządzić Cole'owi, z pomocą jego niedoświadczonej córki. Tachionowy płomień. Rozpalił się ze świstem, oświetlając twarz Vardy'ego.

Podszedł bliżej, aż błysk ognia padł na zapeklowane żaby w słoju. Stworzenia drgnęły, kurcząc się w żarze wypalanego czasu, ich kończyny zwinęły się do środka. Stały się bardziej wydłużone, przypominając długoogonowe, beznogie kijanki. Vardy przybliżył płomień, aż zaczął lizać szkło słoika, który po chwili rozpadł się w piach, a wokół posypały się kijanki. Stworzenia cofnęły się w czasie, aż w końcu zniebyły, kurcząc się w locie, tak że nic nie spadło na podłogę.

Vardy odwrócił się do gablotki z preparatami Darwina i uniósł rękę.

Billy próbował wstać. W głowie miał tylko jedną myśl: „Nie w ten sposób”. Spróbuje rozlać ogień. Może odwróci to cykl życia podłogi, guma rozpadnie się na poszczególne substraty, chemikalia wrócą do swych pierwotnych postaci. Ręce miał jednak skute za plecami i stał za daleko.

– Nie! – zdążył tylko wychrypieć.

Cienie rzucane przez ogień zatańczyły na etykietach wypisanych ręką Karola Darwina. Billy padł płasko, niczym flądra. Z okrzykiem religijnego uniesienia Vardy rzucił płonący pocisk.

Butelka obracała się w locie. Billy miał związane ręce. W tej sali było jednak aż nadto innych ramion.

Nieumarły okaz architeuthisa wyrzucił naprzód jedno ze swych chwytnych ramion, sięgając przez całą salę. Ostatnie polowanie. Złapał butelkę w powietrzu.

Vardy spojrział na niego w osłupieniu. A potem wrzasnął z wściekłości.

Czasoogień dotykał skóry architeuthisa, a on zapłonął. Kałamarnica-zombie wyrzuciła naprzód drugie ramię, ociekające ciężko formaliną i z traskiem owinęła Vardy’ego w pasie. Przyciągnęła go do siebie. Uniosła butelkę do pyska. Vardy zawył, gdy dosięgły go krótsze ramiona.

Mężczyzna wciąż krzyczał, czasooogień trzeszczał i rozlewał się na boki. Kałamarnica zaczęła się kurczyć. Ręce i nogi Vardy’ego były coraz krótsze.

Architeuthis spojrział na Billy’ego. Kustosz nie potrafił wyrazić słowami, co zobaczył w tym spojrzeniu, co zabutelkowany okaz próbował mu przekazać, ale było w tym braterstwo. Nie poddaństwo – kraken nie wykonywał rozkazów. Uczynił to, co uczynił, świadomie – zrobił to dla Billy’ego, a teraz machał mu na pożegnanie.

Czasooogień kurczył go w oczach, oczyszczał jego skórę ze strupów, aż stała się gładka. Ofiarna samolubność. Bez ewolucji – czym byliby jego bracia i siostry? Bogowie z głębin nie byli jego rodzeństwem: pozwolił się złowić nie przez wzgląd na krakena, lecz na *exemplae* – wszystkie te eksponaty wokół niego, zabutelkowanych bogów nauki.

Zbiornik buzował ogniem, ciała płonęły, stając się coraz młodsze. Widać było ostatnie ślady walki. Billy dostrzegł podświetloną sylwetkę niemowlęcia krzyczącego z furią dorosłego, nadal mocując się z kałamarnicą długości ramienia, która wciąż oplatała go w uścisku. Obaj płonęli. A potem obaj, wciąż spleceni, stali się rozżarzonymi embrionami, które, zastygłe w groteskowym akcie rozejmu, wypaliły się w nicość.

Ściany zbiornika zawałyły się do środka, rozpadając się na kryształowe minerały i cząsteczki chemiczne, a potem na atomy, jeszcze nim zdołały się roztrzaskać.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Pożar czasu wypalił się powoli. Światło ognia zgasło, salę oświetlały jedynie fluorescencyjne żarówki.

Coś pomarszczonego
zadymiło i stopniało,
a potem...

Naszedł gwałtowny powiew odnowy. Rana nie została idealnie zaleczona, ale jednak się zrosła. Wielka, epokowa blizna. Londyn pokrył się nową skórą. Ogień osmałił go i zgasł.

Billy stał oszołomiony, w nowej skórze, w nowym czasie. Był jakiś Billy. Wciąż miał gdzie oddychać, odetchnął więc, a potem zadrzał z ulgi. Był w sali.

Preparaty Darwina były bezpieczne. Billy dotykał ich jednego po drugim, wyciągając skute ręce za plecami. Przesunął palcami po stalowej powierzchni, gdzie nigdy nie było architeuthisa. Maleńki mnemophylax patrzył na niego spod szkła, obracając kościaną główkę.

„Nic nie zginęło”. Właśnie tak pomyślał Billy.

Miał dziwną pewność, że we wszystkich jego niedawnych przygodach – których szczegóły wciąż były trochę niejasne – nie pojawiła się żadna wielka kryptyda. Anioł pamięci obracał się na swej szklanej podstawie, potrząsając czaszką. Billy roześmiał się, choć sam nie wiedział dlaczego. Wiedział, że gdzieś żyje jakiś piromanta, który czeka na swoją córkę, ponieważ nigdy nie było nikogo, kto mógłby ją porwać. Czas był trochę obolały. Niebezpieczeństwo, które pokonał w tej sali, nigdy nie zagroziło nikomu ani nie istniało. Znów się zaśmiał.

Niebo wyglądało inaczej. Billy wyczuwał je poprzez dach. Było teraz inne, niż nie było wcześniej. Napięcie zniknęło. Koniec świata, prawdziwy finał stanowił tylko jedną, mało prawdopodobną możliwość spośród wielu innych.

Brakowało różnych szczegółów, ale był już na tyle wyrobiony, by wiedzieć, co to oznacza. W historii wypalono bliznę. Billy wciąż pochodził od małp i morskich ryb.

Spojrzał przez salę na mnemophylaxa, oko w oczodół. Istota nie miała twarzy ani żadnej mimiki, ale przysięgłby, że się uśmiechnęła. Wiła się i pisała maleńkimi pazurkami po szkle słoja – Billy nie miał pojęcia co. Rozwierzała i zamykała szczęki. Była wspomnieniem.

Potrząsnęła głową. Przyłożyła kościsty palec, cieniutki jak włos, do nieistniejących ust. Potem jej małe kostki rozsypały się na boki, czaszka stała się niczym, a ciało – szklaną rurką i resztkami preparatów.

Billy usiadł na stalowym postumencie, gdzie nigdy nie było wielkiego mięczaka. Siedział, jakby sam był eksponatem. Zastanawiał się, jakiej katastrofie nie zapobiegł. Czekał, by zobaczyć, co się stanie i kto go znajdzie.

Po dłuższym czasie nadeszli Baron i Collingswood. Billy ostrożnie pomyślał, że nie brakuje im żadnego kolegi. Nigdy nie towarzyszył im nikt inny, choć często stawali trochę za blisko siebie, zbyt blisko ściany, jakby robili komuś miejsce. Pamiętali na tyle dużo, by wiedzieć, że coś się stało, coś się skończyło.

Billy wstał i zamachał skutymi rękami. Policjanci przeszli przez odłamki szkła, kałuże konserwantów i resztki eksponatów nierozrzucone przez nikogo.

– Billy. Wszystko w porządku? – spytał Baron.

– Chyba już tak – odparł kustosz. Przez chwilę patrzyli na siebie. – Gdzie Simon?

– Poszedł sobie – stwierdziła Collingswood.

Przez chwilę mamrotali coś z Baronem.

– Pieprzyć to – stwierdziła w końcu policjantka i rozkuła Billy’ego.

– Coś ty przeszkobał? – spytał Baron. – O ile dobrze pamiętam, o mało nie zacząłeś dla nas pracować. Jakie zwierzę? – ciągnął. – Przecież niczego tu nie było. – Wskazał kciukiem na drzwi. – Spadaj – powiedział przyjaźnie.

Billy uśmiechnął się powoli.

– Nie byłbym był... – zaczął, ale Collingswood wpadła mu w słowo:

– Daruj sobie, okej? Po prostu zmiataj stąd. Dostałeś propozycję i powiedziałeś „nie”.

– Niezależnie od okoliczności – dodał Baron.

– Może i brakuje nam jednego człowieka – ciągnęła Collingswood – ale nam zawsze brakuje jednego. – Pociągnęła nosem i spojrzała na Billy’ego w zamyśleniu. – Oparzenia źle się goją. Zawsze zostaje brzydka blizna. Nic na to nie poradzisz.

Billy wyciągnął rękę. Baron uniósł brwi, a potem ją uściśnął. Kustosz odwrócił się do Collingswood stojącej w kącie sali. Pomachała mu ręką.

– Oj, Billy, Billy, Billy – powiedziała. Uśmiechnęła się i puściła mu oko. – Ty i ja, hm? Gdzieśmy to nie byli, co? – Przesłała mu całusa. – Do zobaczenia. Do następnej apokalipsy. Teraz już wiem, co cię kręci. Do zobaczenia. – Skinęła głową na pożegnanie. Billy usłuchał.

Billy szedł korytarzami muzeum, trasą, którą znał na pamięć, choć nie przemierzał jej już od wielu tygodni. Rozmyślał. Wyszedł z Centrum Darwina i wkroczył w noc, wciąż pełną szalejących walk, kradzieży i heretyckich przepowiedni, czuł się jednak coraz bardziej zmieszany, niepewny własnych lęków, nie wiedząc, dlaczego miał wrażenie, że to będzie ostatnia noc, skoro przecież nie była i nigdy nie miała być.

W sali ze zbiornikiem Baron notował coś pośpiesznie.

– W porządku – stwierdził. – Na rany koguta, naprawdę nie mam pojęcia, jak to opiszemy w raporcie. Idziemy, Collingswood? – spytał szorstko, nie patrząc jej w oczy.

Policjantka milczała przez chwilę, zanim odpowiedziała:

– Składam wniosek o przeniesienie – powiedziała i spojrzała mu w oczy. – Czas, żeby powstała nowa komórka FPTS, „szefie”. – Zaznaczyła cudzysłowy w powietrzu i uśmiechnęła się szeroko. – Należy mi się awans.

CZEŚĆ SIÓDMA

BOHATER =
BUTELKA

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

W cichym, spokojnym miejscu nieopodal przecinających miasto torów kolejowych walały się porzucone posągi. W geście długoterminowego miejskiego sentymentalizmu utworzono tu przedsiónek emerytury dla niepotrzebnych lub niechcianych monumentów. W jednym z nich spał Wati. Wiedzieli o tym tylko jego przyjaciele.

Przekradł się tam z krzyżyka Marge po zakończeniu niepewnej katastrofy, która nie nadeszła. Spał jak zabity. Londyn został uratowany przed zagrożeniem, które pomógłby zażegnać, gdyby zaistniało, ale związek przegrał walkę, a nowe kontrakty były bezlitosne, niemal feudalne. Billy cieszył się, że Wati może przynajmniej przespać najgorszy okres, choć wiedział, że po przebudzeniu nie zostawi na sobie suchej nitki i natychmiast ruszy odbudowywać związek.

– Nie jest ci smutno? – spytała Saira.

Siedziała naprzeciwko Billy'ego w jego mieszkaniu. Po tamtej nocy, po tym wszystkim, co się stało, musiał ją odszukać. Chciał być z kimś, kto widział to samo.

Najpierw zadzwonił do Collingswood.

– Spierdalaj, Harrow – powiedziała przyjaźnie. Usłyszał jeszcze trzeszczący pisk, jakby głos podekscytowanej świnki, nim przerwała połączenie. Gdy spróbował znów zadzwonić, jego telefon zamienił się w toster.

– Dobrze, już dobrze – stwierdził pojednawczo. Kupił sobie nowy telefon i nie próbował dzwonić do niej więcej; odnalazł za to Sairę. Nie było to trudne. Nie była już londynmantką, choć zachowała swoje umiejętności. Za ich pomocą toczyła w palcach ruloniki z kawałków Londynu, póki nie zmieniły się w papierosy, które następnie wypalała.

Żadne z nich nie było pewne szczegółów. Oboje widzieli atak na morze, choć nie pamiętali przyczyny.

– Nie? – spytała Saira. W jej głosie zabrzmiało wahanie. Wciąż obawiała się tego tematu, choć ostatnio spędzili ze sobą tyle czasu.

– Nie do końca – odparł. – Przecież nawet go nie znałem.

Mówiąc „on”, miał na myśli człowieka, który zginął, wcześniejszą wersję, pierwszego Billy'ego, Billy'ego Harrowa, który teleportował się z domu morza, gdzie znalazł się z jakichś niejasnych powodów. Został rozbity na cząsteczki mniejsze od atomów.

– Był odważny – dodał po chwili. – Zrobił to, co należało.

Saira przytaknęła. Billy nie miał wrażenia, że chwali sam siebie, chociaż wiedział, że on sam, obecny Billy musiał być odważny dokładnie w takim samym stopniu co poprzednik.

– Dlaczego to zrobiłeś... Dlaczego to zrobił?

Billy wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chyba nie miał wyjścia. Dane mówił... pamiętasz Dane'a? – Dane zginął. Tego był akurat pewien. – Wcześniej, zanim Grisamentum go wykończył? – Grisamentum także zniknął. – Jest mnóstwo ludzi, których wcale nie przeraża taki sposób podróżowania. Problem pojawia się wtedy, gdy naprawdę jesteś świadoma, co robisz. – Wszystko zależało od punktu widzenia i od tego, czy komuś przeszkadzał fakt, że takie manewry zawsze kończyły się śmiertelnie. – Czasem próbuję się przyłapać na gorącym uczynku – przyznał. – Sprawdzam, czy wiem rzeczy, które mógłby znać tylko on. Ten pierwszy. Sekrety. – Zaśmiał się. – Zawsze pamiętam. – Billy nie czuł się właścicielem tych odziedziczonych wspomnień, otrzymanych w spadku, gdy narodził się z cząsteczek powietrza w sali ze zbiornikiem, u kresu umierającej katastrofy.

„Tęsknię za Dane'em”, pomyślał. Nie był pewien niczego, co się z nim wiązało, nawet samego faktu, że za nim tęskni, ilekroć jednak o nim myślał, było mu bardzo przykro z powodu tego, co się stało. Dane zasługiwał na coś więcej.

Gdy z dołu zadzwonili Marge i Paul, Billy zaprosił ich do środka, ale oni woleli zaczekać na chodniku. Zszedł do nich. Było to zawczasu zorganizowane pożegnanie. Wtedy wszyscy jeszcze chodzili wokół siebie na palcach.

Paul był ubrany swoją starą kurtkę. Zadrapania na twarzy goiły się powoli. Marge wyglądała tak samo jak zawsze. Przywitani się, obejmując się niezręcznie, mocno, serdecznie.

– Dokąd się teraz wybierasz? – spytał Billy.

– Jeszcze nie wiem – odparł Paul. – Może na wieś. Może do innego miasta.

– Naprawdę? – upewnił się Billy.

Paul wzruszył ramionami. Marge uśmiechnęła się w milczeniu. Za każdym razem, gdy rozmawiała z Billym, od czasu tamtego dnia, gdy uratował świat od nie wiadomo czego, zdawała się bardziej radosna, tym bardziej, im więcej dowiadywała się o miejscu, w którym żyła.

– To wszystko bujda – stwierdził Paul. – Myślisz, że tylko tutaj żyją bogowie? – Uśmiechnął się. – Teraz już nie da się przed tym uciec. Gdziekolwiek byś poszedł, zawsze znajdzie się tam jakiś bóg.

Billy i Marge usiedli kiedyś razem, a on przez parę godzin opowiadał jej o tym, co się stało z Leonem – o tym, jak zginął z rąk Gossa i Subby'ego. Była to część dłuższej historii, wciąż pełnej białych plam. Te luźne, postrzępione końce wątków wciąż działały im na nerwy.

– Możesz zapytać Paula – podsunął Billy. – Wydaje mi się, że był to jakiś plan tego gnojka.

– Niby jak mamy to zrobić? – odparła. – Myślisz, że on wie? – Niektórzy mieszkańcy herezjopolitycznego podziemia Londynu wciąż słuchali rozkazów Paula, jakby był Tatuazem, ale nie pozostało ich wielu. Większość nie znała szczegółów, choć zdawała sobie sprawę, że coś się w nim zmieniło. Teraz stał się wolnym strzelcem, chodzącym więzieniem dla zdetronizowanego króla podziemia. Żołnierze Tatuaza zostali pobici i rozproszeni po ostatniej, bardzo niejasnej prawie-apokalipsie. – Niby jak mamy to zrobić? – powtórzyła.

Nikt na nich nie patrzył, nikt nie zwracał uwagi. Paul wyciągnął koszulkę ze spodni i pokazał Billy'emu plecy.

Tatuaż gorączkowo wytrzeszczał i mrużył oczy, próbując coś powiedzieć, tak jakby spodziewał się, że Billy go usłucha. W dole pleców pojawiły się nowe wzory. Na skórze Paula widniały wytatuowane szwy zamykające usta bossowi podziemia. Billy słyszał stłumione „Mmm, mmm, mmm”.

– Nie było łatwo – stwierdził Paul. – Musieliśmy znaleźć kumatego tatuazystę. A on też nie poddał się bez walki, ciągle się ruszał i zaciskał usta. Zabrało nam to sporo czasu.

– Nie myślałeś o tym, żeby go usunąć?

Paul włożył koszulkę. Uśmiechnęli się razem z Marge, która uniosła brwi.

– Jeśli za bardzo mi podpadnie, to go oślepię – stwierdził mężczyzna.

Sadyzm? Czyżby? Billy chyba nie użyłby tego słowa. Sprawiedliwość? Władza.

– Chyba już nigdy nie opowiesz nam, co się stało, prawda? – powiedziała nagle Marge.

– Nie wiem – odpowiedział Billy. – Goss zabił Leona. Od tego się wszystko zaczęło. Zrobił to tak po prostu, bez żadnego powodu. – Nikt nie polemizował. – Ale potem Paul zabił Gossa. Byłaś przy tym.

– Tak – powiedział Paul.

– Tak – powiedziała Marge. – Okej – dodała w końcu i nawet się uśmiechnęła. – Okej. I co dalej? Co się jeszcze stało?

– Uratowałem wszystko – odparł Billy. – I ty też.

– Zatrzymali Byrne? – spytała Saira.

– Chyba chcą ją zaprowadzić do domu morza. Pokazać oceanowi, że nam przykro.

– Bez względu na to, czy to rzeczywiście jej sprawka?

– Bez względu na to.

– Słyszałam, że morze zaczęło napęlniać nową ambasadę.

– Też to słyszałem.

Mieszkanie Billy'ego znów należało do niego. Nie był pewien, co ma o tym myśleć, i często chodził po nim zadziwiony. Oczywiście to mieszkanie nigdy nie było jego – odziedziczył je po swoim identycznym poprzedniku. Nie miał też pojęcia, dlaczego ciągle

przeprowadza te drobne eksperymenty myślowe. Spojrzeli na ulicę. Był już prawie koniec roku.

– Co to był za rok? – spytała Saira. – Ten, który właśnie się kończy? Rok czego?

– Nie wiem – odparł Billy.

– Rok butelki?

– Zawsze mamy rok butelki.

– Rok butelki i jakiegoś zwierzęcia.

– Tak, to też.

A zatem to był wszechświat, tak? Billy napiął mięśnie – może nie stało się nic takiego, może było to złudzenie optyczne – ale wyglądając przez okno, miał wrażenie, że ptak na niebie zastygł na ułamek sekundy. Saira popatrzyła na niego, unosząc brew. Ludzie wciąż byli spokrewnieni z małpami. W starym nowym Londynie wciąż mogły stać się najróżniejsze rzeczy.

Billy spojrział na miasto, które wyglądało inaczej niż wtedy, gdy ostatnio wyglądał przez to okno. Teraz mieszkał w Herezjopolis i potrafił dostrzec każdy nadchodzący, nieudany armagedon. Pił teraz w innych barach i uczył się innych rzeczy.

Powoli wysączył wino, po czym dolał sobie i Sairze. „To rok butelki”, pomyślał. „Rok peklowania”, dodał napinając mięśnie i poczuł, jak zegar waha się lekko, jakby ktoś chwycił go za gardło. To znów rok butelki.

Stuknęli się kieliszkami. Ten rok nie był rokiem niczego innego. A zatem.

Znów miał nadejść koniec świata – oczywiście, zawsze tak było. Choć może nie tak gorączkowo. Bez bolesnej agonii. Billy nie był aniołem pamięci – był na to stanowczo zbyt ludzki – potrafił jednak zrozumieć ich punkt widzenia. Czy sam też miał obowiązek chronić jakąś historię? Ulice nie wyglądały już na zagłodzone.

Niebo spoglądało na nich zza okna. Billy był za szkłem.